7/03 (11) Grudzień 2003 indeks 379166

FANTASY

Science-Fiction • Fantasy • Horror

6.50 zł
z 7% VAT

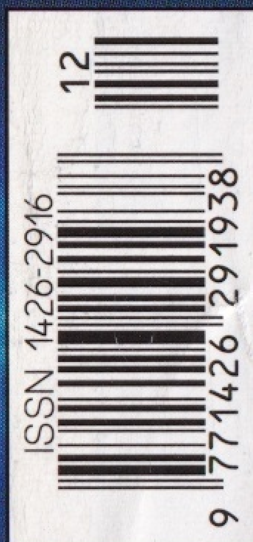
CD-ACTION
Wydanie Specjalne

Sposób na Armageddon
Jak wytępić ludzkość?

Bogowie Egiptu
W cieniu Anubisa

Galeria sław SF
Neil Gaiman

Wilkołak: Apokalipsa
Wilcza klątwa



Skarby i dziewice

Smoki w mitach, książkach, filmach

Moi drodzy,

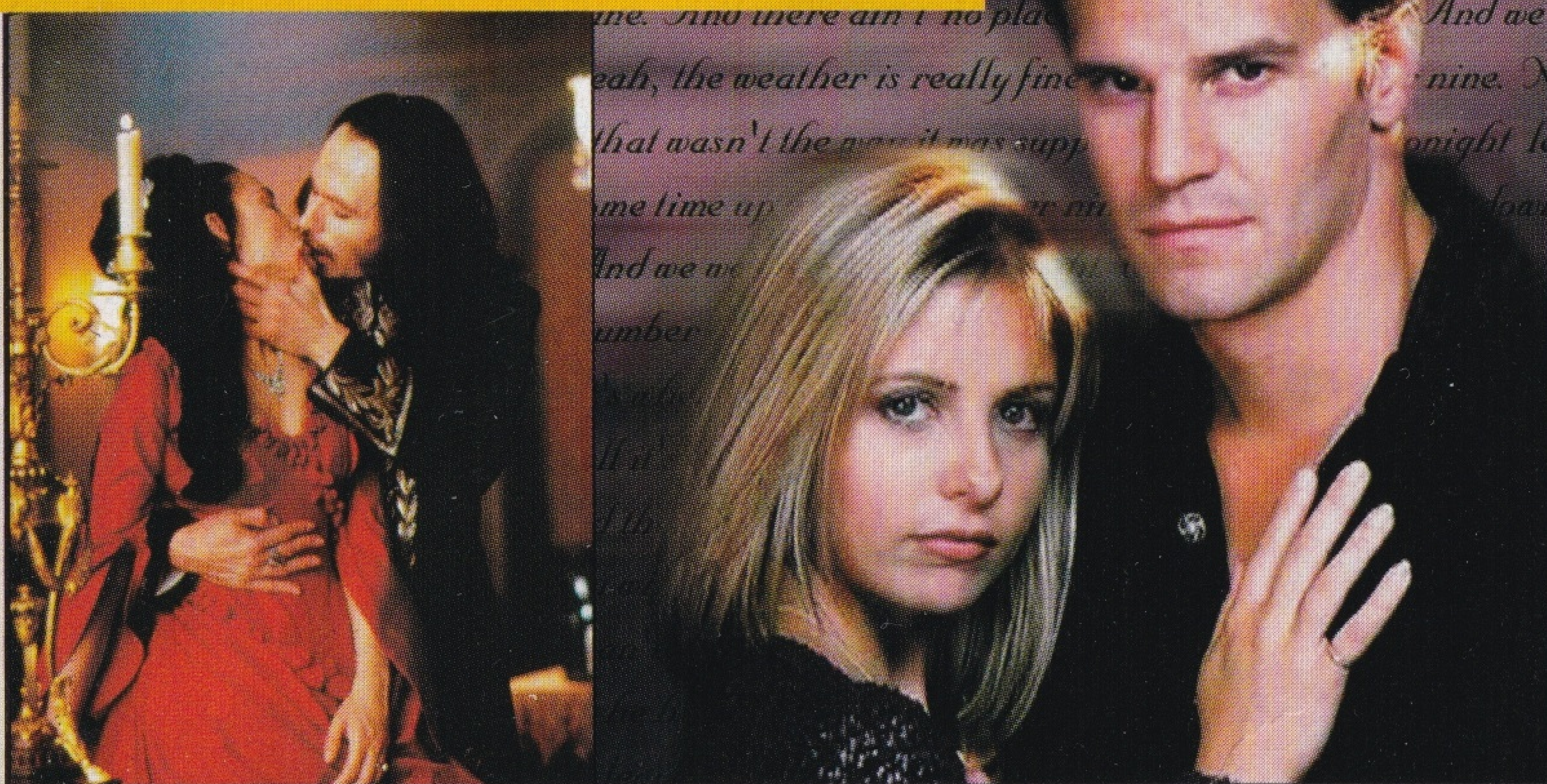


Mam nadzieję, że czekaliście na FANTASY z taką samą niecierpliwością jak my (bo to pięęękna sprawa zobaczyć kolejny numer pisma zrobiony własnymi łapskami!). Jak przystało na numer świąteczny, opisujemy wiele smacznych rzeczy. Na przykład najkrwawsze i najohydniejsze filmy w historii kina. Kanibalistyczne oraz mordercze rytuały Ameryki Południowej. Zdradzamy, w jaki sposób można wykończyć naszą cywilizację, piszemy o wilkołakach oraz powątpiewamy w świętość świętych. Myślę, że to niezły Zestawik Gwiazdkowy! Niemniej jednak, choć generalnie jesteśmy ohydnymi, pozbawionymi uczuć wyższych szubrawcami, to życzymy Wam ton choinkowych prezentów oraz tak znakomitej zabawy Sylwestrowej, aby pamięć o niej przetrwała przez cały 2004 rok.

DO ZOBACZENIA W POŁOWIE LUTEGO !

Jacek Piekara

Fantastyczne miłości ➔ str. 30
W horrorach, science-fiction i fantasy roi się od pięknych kobiet, ale nieszczęśliwe miłości są tu codziennością





Smocze opowieści ➔ str. 8
Tu dowiesz się wszystkiego o smokach w legendach, mitach, wierzeniach i literaturze oraz filmach. Atrakcyjne są to bestie...



Kanibale i okrutnicy ➔ str. 68
W Ameryce Południowej kanibalizm i krwawe obrządki były na porządku dziennym. Niektóre z tych tradycji przetrwały do dziś

W NUMERZE:

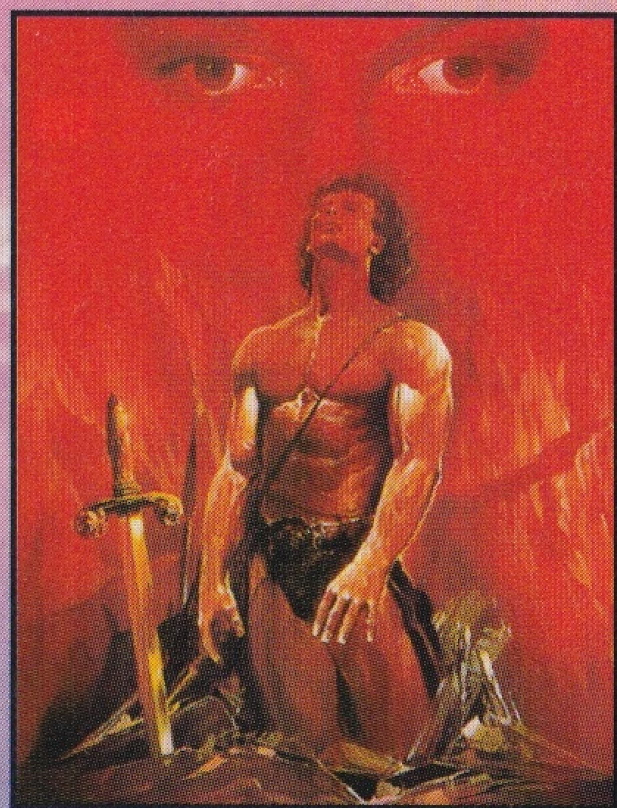
➔ **Redaguje zespół:** Redaktor naczelny – Piotr Moskal • Zastępca red. nacz. i redaktor merytoryczny – Jacek Piekara • Sekretarz redakcji – Agnieszka Trzebska • Korekta – Magdalena Salik
➔ **Dział graficzny:** Jacek Goliatowski (kierownik działu, projekt graficzny pisma) • Marek Janowski • Wojciech Langner
➔ **Dyr. wydawniczy:** Jerzy Szulwic, Zbigniew Bański
➔ **Autorzy tekstów:** Paulina Braiter, Anna Brzezińska, Wojciech Gołąbowski, Grażyna Grzędowicz, Artur Marciniak, Piotr Moskal, Maciej Nowak-Kreyer, Jolanta Lisowska, Tomasz Nowak, Jakub Nowak, Jacek Piekara, Romuald Pawlak, Magdalena Salik, Agnieszka Trzebska, Michał Zacharzewski, Andrzej Zaremba, Paweł Ziemkiewicz
➔ **Adres korespondencyjny:**
FANTASY, skr. pocztowa 333, 04-026 Warszawa
➔ **Kontakt:** tel. (22) 5170194, 5170193, fax. 5170468
➔ **Fantasy w Sieci:** e-mail click@click.pl www.click.pl
➔ **Dział reklamy:** Monika Walczak (kierownik działu) • Aleksandra Blicharz • Jarosław Czujak • Maciej Szwejkowski • tel. (0#22) 5117441



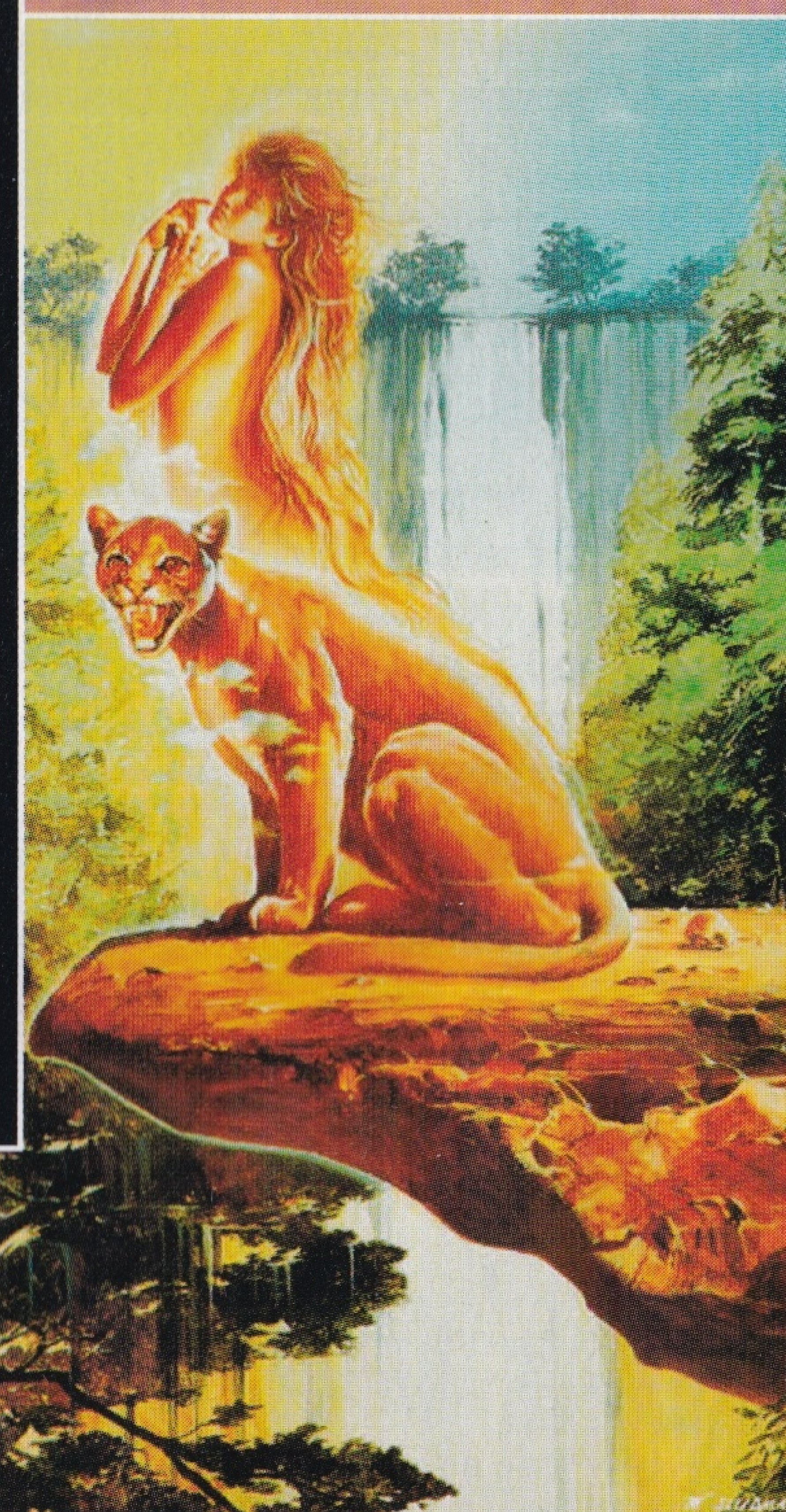
➔ **Druk:** Poligrafia S.A. Kielce
➔ Nr indeksu: 379166
➔ ISSN: 1426-2916
➔ Za treść reklam redakcja nie odpowiada



Siudmak wystawa



Cały czas można oglądać w Polsce wystawę retrospektywną czołowego przedstawiciela realizmu fantastycznego, Wojciecha Siudmaka. Składa się ona dokładnie ze 100 prac – 65 obrazów i 35 rysunków. Do końca listopada wystawę można było zobaczyć w Wieluniu, obecnie (do 18 stycznia) jest we Wrocławiu, później odwiedzi Kielce, Katowice, Łódź, Toruń i Warszawę. Prace Siudmaka są niepowtarzalne, już od pierwszego wejrzenia widać w nich niezwykłą moc, ale też delikatność i perfekcję warsztatu. Dlatego też jego obrazy goszczą w największych galeriach, a sam twórca przez wielu nazywany jest „Michałem Aniołem science-fiction". Dla miłośników sztuki fantastycznej odwiedzenie tej wystawy to obowiązek.



Konkurs literacki Znaku

Do końca roku można nadsyłać prace na konkurs „Popisz się przed dzieckiem" organizowany przez Wydawnictwo Znak. Wszystkie książki dla dzieci, które nadesłano do redakcji, prezentują podobno wysoki poziom. Aby wziąć udział w konkursie, należy przesłać na adres organizatorów 3 kopie maszynopisu utworu, który nie był jeszcze w całości publikowany. W jury znaleźli się zarówno najmłodsi, jak i dorośli znawcy literatury dziecięcej. Adres organizatorów: SIW Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków. Prace należy przesyłać z dopiskiem „Konkurs-dzieci".

Czy będzie trzecia trylogia



Wygląda na to, że ekranizacja ostatnich części „Gwiezdnych Wojen" może jednak dojść do skutku. Początkowo reżyser, producent i scenarzysta George Lucas mówił, że jego celem jest nakręcenie wszystkich epizodów. Później wycofał się z tego i przebąkiwał coś o „darowaniu sobie sequeli", ale... Jak wiadomo, zaczął od środka („Nowa Nadzieja", „Imperium Kontratakuje" i „Powrót Jedi"), teraz kończy kręcić prequele, do zamknięcia zostałyby więc części VII, VIII i IX. Sam Lucas raczej nie zostałby ich reżyserem (mówi się o Franku Daraboncie), ale być może napisałby scenariusz. Wszystko to na razie dywagacje, jednak w obliczu miernego poziomu ostatnich części należy mieć się na baczności.

Soundtrack „Powrotu..."



Już od 1 grudnia będzie można kupić ścieżkę dźwiękową z filmu „Władca Pierścieni: Powrót Króla". To jedna z niewielu rzeczy mogących uprzyjemnić długie oczekiwanie na ostatnią część trylogii. Muzykę, podobnie jak to miało miejsce w przypadku „Drużyny Pierścienia" i „Dwóch Wież", skomponował Howard Shore. Kompozytor ten jak nikt potrafi stopniować napięcie i budować niesamowity klimat. Płyta kosztować ma 57,50 zł.

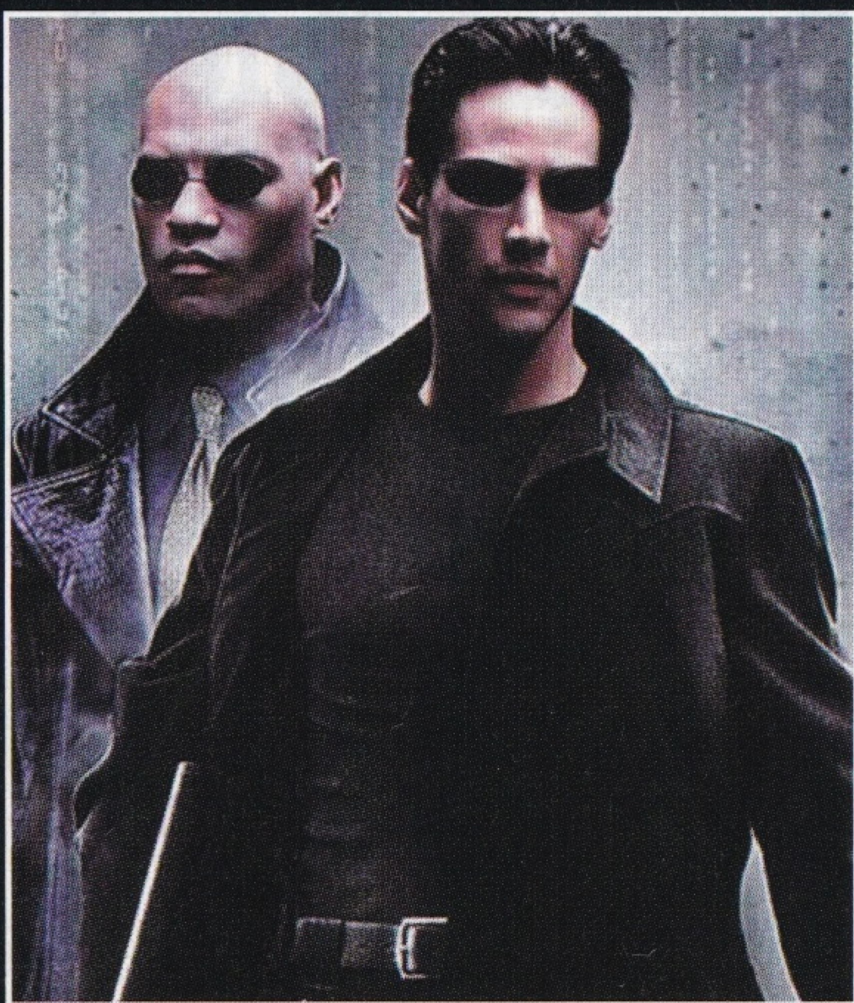
Komiksowy Kilmer



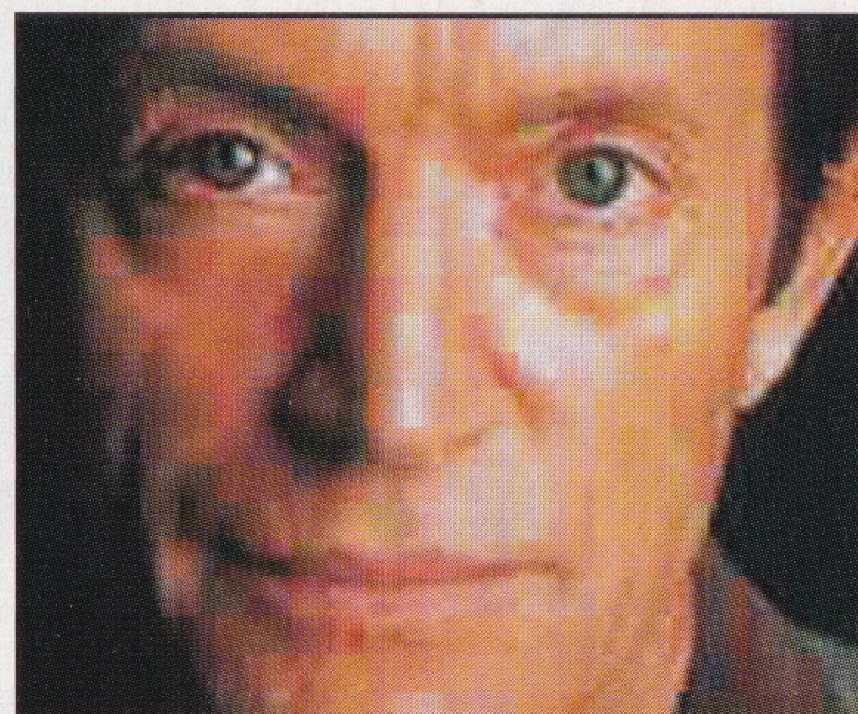
Ptaszki ćwierkają, że w wysokobudżetowej superprodukcji „Kapitan Ameryka" ma wystąpić Val Kilmer – usilnie zabiegają o to producenci. „Kapitan Ameryka" to jedno z najstarszych komiksowych dzieci Marvela. Opowiada o losach amerykańskiego żołnierza, który obdarzony przez naukowców nadzwyczajnymi zdolnościami wyrusza walczyć najpierw z Czerwoną Czaszką (superbohaterem nazistów), a potem gnębić wszelkiej maści przestępców. Kilmer często gra twardych facetów („Gorączka", „Święty", „Willow"), ale czy odważy się wcielić w postać komiksową?

Martix 4 nie, ale…

Raczej nie będzie czwartej części „Matriksa" (bo przecież Wachowscy od początku mówili o trylogii). Za to Joel Silver – producent filmowych przygód Neo – nie wyklucza wydania następnej gry, której akcja osadzona byłaby w matriksowym świecie. Nad tworzeniem multiplayerowej gry online czuwa firma UbiSoft. Pojawić się tam mają postacie Niobe i Morfeusza. Zakończenie prac zaplanowano na lato przyszłego roku.



Tajemniczy Henriksen



Lance Henriksen zagra w przygotowywanym właśnie filmie „Aliens vs. Predator". Znany między innymi z mrocznego serialu „Millenium" i drugiego (tego reżyserowanego przez Jamesa Camerona) „Obcego" aktor ujawnił, że jego obecność na planie nie jest przypadkowa i ściśle wiąże się właśnie z rolą u boku Sigourney Weaver. Jak może niektórzy pamiętają, zagrał tam androida Bishopa. W powstającym obrazie wcieli się w jego stwórcę i prototyp – ekscentrycznego miliardera Weylanda. Oś akcji stanowi wyprawa na Antarktykę, gdzie podróżnicy odkrywają starożytną piramidę i spotykają dwie cywilizacje pozaziemskiego pochodzenia. Sam aktor nie chce zdradzić szczegółów dotyczących fabuły – po pierwsze, otrzymał surowy zakaz od producentów, a po wtóre, scenariusz podlega stałym modyfikacjom. „To będzie bardzo ekscytujący film. Tyle mogę wam obiecać" – mówi z enigmatycznym uśmiechem.

Nagroda dla Gandalfa



Czwartego listopada w Londynie sir Ian McKellen odebrał z rąk swojego kolegi z planu „Władcy Pierścieni" Orlando Blooma nagrodę British Independent Film (przyznaną w tym roku po raz szósty). Podczas przemowy nie szczędził cierpkich słów brytyjskiemu przemysłowi filmowemu – skrytykował go między innymi za brak ambicji i bojaźliwość. Ubolewał także nad faktem, że Anglicy zadowalają się robieniem małych, niezależnych filmów, więc to Amerykanie musieli zekranizować Tolkiena. Kto by się spodziewał tylu nieprzyjemnych słów po Gandalfie?

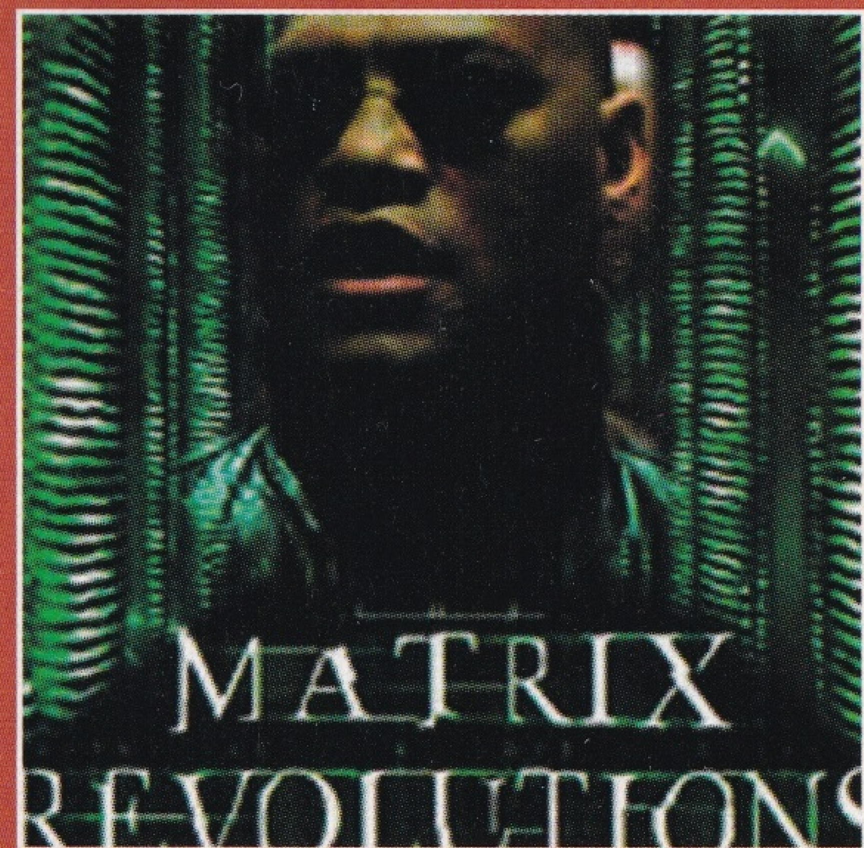
Potter vs. Baggins

Harry Potter kontra Frodo Baggins – kto wie, czy nie będziemy mieli okazji zobaczyć w przyszłości takiego pojedynku! Wytwórnia MGM zamierza bowiem zrealizować film „Henry Bates and the Sorcerer's Balls" – parodię filmów fantasy, a „WP" i „HP" w szczególności. Twórcy scenariusza (James R. Stein i Timothy Stack) ostrzegają, że dla fantastycznych konserwatystów może to być traumatyczne przeżycie.



Rewolucja w box-office

Piątego listopada miała miejsce światowa premiera filmu „Matrix: Rewolucje" – tego dnia aż w 96 krajach pokazano dzieło Wachowskich. Nic dziwnego, że przychody były ogromne i przekroczyły 40 milionów dolarów (w samych Stanach Zjednoczonych, gdzie wyświetlano „Rewolucje" na 3,5 tysiącach ekranów, wpływy przekroczyły 20 mln). A do 9 listopada obraz zarobił 85,5 milionów dolarów. Także w Polsce do kin waliły tłumy, a kupienie biletów na pierwszy seans graniczyło z cudem. Nadzwyczaj dobrze spisał się także inny fantastyczny film – „Elf" z Willem Farrellem, który zarobił w pierwszy weekend ponad 30 milionów dolarów. Czyżby renesans s-f w kinie?



Reżyserski „Alien"

Ostatnio w modzie są wersje reżyserskie starych przebojów kinowych. Kilka miesięcy temu mogliśmy zapoznać się z odmienionym „Czasem Apokalipsy" Coppoli. Teraz na podobny pomysł wpadł Ridley Scott, czego wynikiem jest wyświetlana właśnie na ekranach najnowsza wersja „Obcego – ósmego pasażera Nostromo". Ten kultowy już dziś film s-f (ze świetną kreacją Sigourney Weaver, niepowtarzalną atmosferą i genialnym potworem stworzonym przez H. R. Gigera) został radykalnie odmłodzony. Przede wszystkim cyfrowo poprawiono obraz i dźwięk oraz dodano nigdy nie pokazywane wcześniej sceny. Premierę przewidziano na czternastego listopada.



Rozdano WFA

Drugiego listopada w Waszyngtonie wręczono nagrody World Fantasy przyznawane przez SFWA (Science Fiction and Fantasy Writers of America) – najważniejsze obok Hugo i Nebuli wyróżnienie przyznawane twórcom fantastyki. Otrzymali je:

– za całokształt twórczości: Lloyd Alexander i Donald M. Grant
– za powieść: „Ombria in Shadow" Patricia A. McKillip i „The Facts of Life" Graham Joyce
– za nowelę: „The Library" Zoran Zivkovic
– za opowiadanie: „Creation" Jeffrey Ford
– najlepszymi antologiami wybrano: „The Green Man: Tales from the Mythic Forest" (red. Ellen Datlow i Terri Windling) oraz „Leviathan 3" (Jeff VanderMeer i Forrest Aguirre)
– „The Fantasy Writer's Assistant and Other Stories" Jeffreya Forda w kategorii najlepszego zbioru opowiadań
– Tom Kidd jako najlepszy artysta
– redaktor Gordon Van Gelder z „The Magazine of Fantasy & Science Fiction" otrzymał nagrodę specjalną.



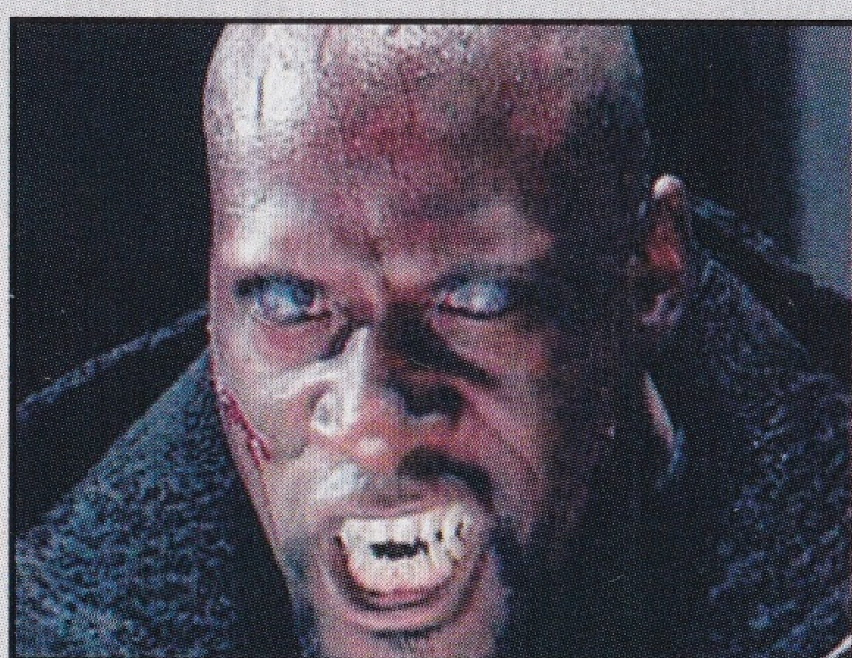


Szanse „Independece Day 2"

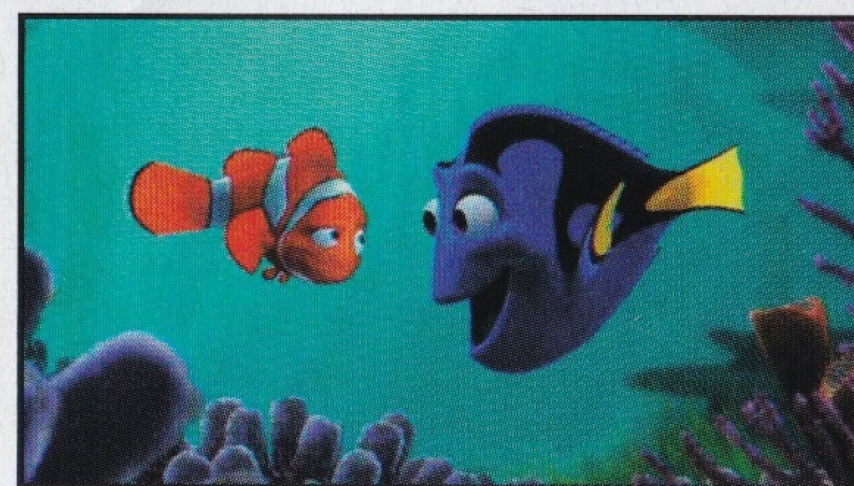
Will Smith rozwiał nadzieje wielu fanów s-f, kiedy w jednym z ostatnich wywiadów stwierdził, że nie wierzy, iż kontynuacja „Independence Day" kiedykolwiek powstanie. „To Hollywood, więc nigdy nie można być na sto procent pewnym, ale jestem przekonany, że to [druga część Independence Day] się nigdy nie stanie" – powiedział czarnoskóry gwiazdor. „Dzień niepodległości" jest jednym z najbardziej kontrowersyjnych dzieł w historii kina fantastycznego. Film miał dobrą obsadę (Will Smith, Jeff Goldblum), przyniósł ogromne zyski na całym świecie, ale był niesamowicie krytykowany za przeogromną liczbę fabularnych oraz logicznych nonsensów. Może więc lepiej się stanie, gdy nie będziemy narażeni na kolejną dawkę idiotyzmów w hollywoodzkim wydaniu?

Underworld 2

Ledwie na ekranach polskich kin zagościł film „Underworld", a już zza Oceanu docierają wiadomości o jego drugiej odsłonie. Reżyser Len Wiseman zapowiada, że w kontynuacji będzie więcej wampirzo-wilkołaczej mitologii. Najważniejsze postaci pierwszej części (np. Kate Backinsale) pojawią się w też „Underworld 2" . Trochę dziwnie brzmi wypowiedź, w której Wiseman porównuje pierwsze 15 minut „U 2" do „Indiany Jonesa i Ostatniej Krucjaty". Szczegóły najwcześniej w przyszłym roku.



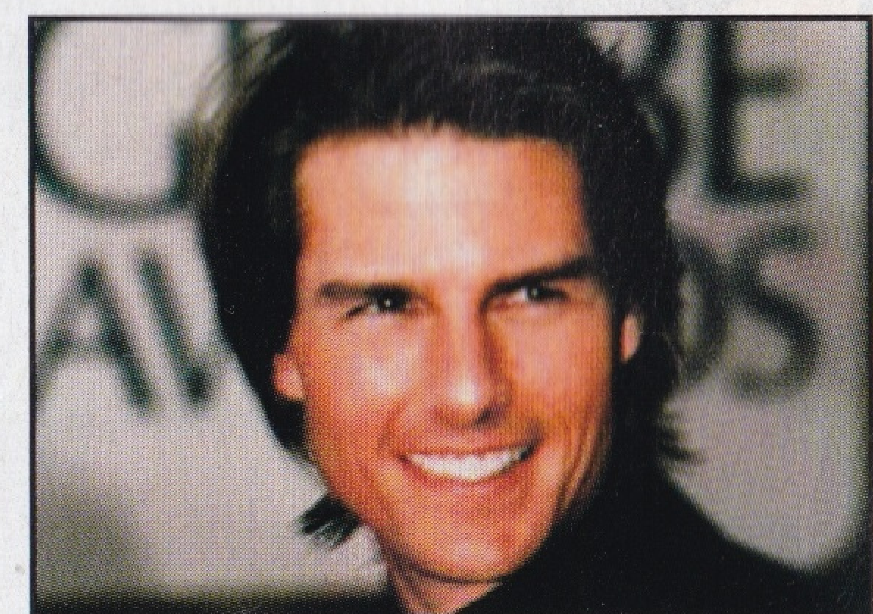
Rekordowy Nemo



I nie chodzi tu bynajmniej o Keanu Reevesa, ale o małą, niepozorną rybkę. Na dodatek rybkę, która zgubiła się w całkiem sporym oceanie. Czyli film „Gdzie jest Nemo" z wytwórni Walta Disneya. Obraz ma duże szanse stać się najlepiej „sprzedawalnym" DVD wszech czasów. W trakcie pierwszego tygodnia zysk ze sprzedaży i wypożyczeń DVD oraz kaset wideo sięgnął 300 milionów dolarów. Kupiono 17 milionów kopii VHS i ponad 12 milionów DVD. Do tej pory na pierwszym miejscu znajdowały się ex aequo „Spider-Man" i „Drużyna Pierścienia" (po około 14 milionów kopii).

Mission Impossible 3

Czy superszpieg i pożeracz kobiecych serc Ethan Hunt wróci na ekrany? Do niedawna wydawało się, że nie ma żadnych przeciwwskazań. Tym bardziej, że proces prowadzący do powstania filmu jest już w toku (a zdjęcia miałyby się zacząć wiosną 2004). Tymczasem Tom Cruise, odtwórca głównej roli w obu częściach, w udzielonym ostatnio wywiadzie zasiał ziarno wątpliwości. Stwierdził, że praca nad kolejnymi częściami „MI" to ciężka harówka i jeśli nie będzie mógł podołać wyzwaniu, zrezygnuje. Jednego możemy być pewni – gdy „trójka" powstanie, na pewno przebije poprzednie epizody pod względem szybkich samochodów, pięknych kobiet i efektownych wybuchów.



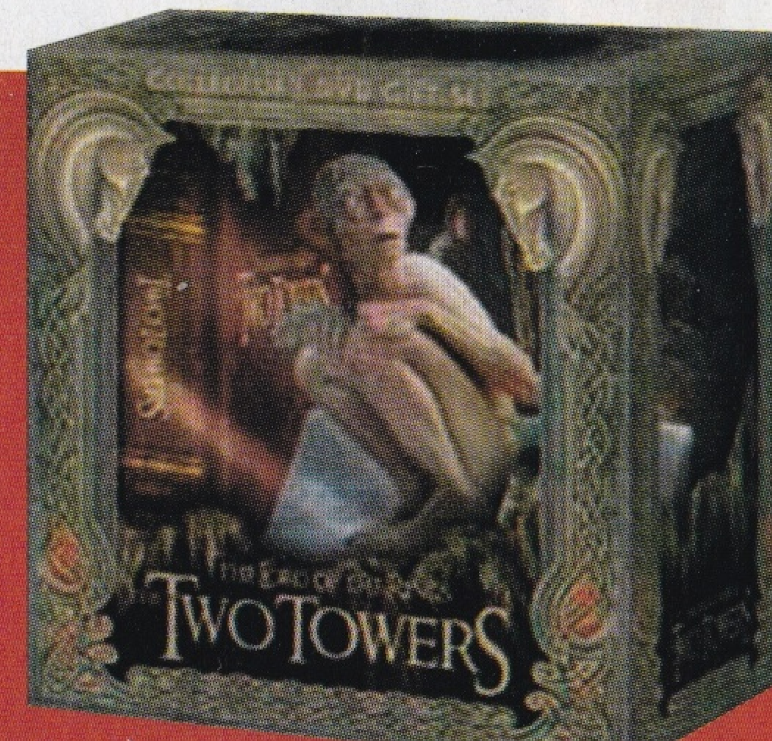
Disney podbija Chiny



Być może już w 2010 roku otwarty zostanie Disney World w Szanghaju. Rozmowy na ten temat trwają. Park miałby być zlokalizowany w finansowej dzielnicy Pudong. Już teraz w buduje się podobny ośrodek w Hongkongu, a od 1983 istnieje w Tokyo. Inwestycja miałaby kosztować „zaledwie" 1,8 miliarda dolarów.

Więcej „Wież.."

W dniu 18 listopada ukazało się długo wyczekiwane wydanie „Dwóch Wież" na DVD. Fani Tolkiena prawie rok musieli czekać na czteropłytową, specjalną edycję, więc rzucili się na film jak szaleni (w polskich sklepach internetowych „towar wyszedł" w ciągu kilku godzin). Podobnie jak było w przypadku „Drużyny Pierścienia", i tu dostajemy ponad pół godziny nowych scen (ok. 40 minut!). Oprócz tego na płytkach znajdziemy niesamowitą ilość dodatków: komentarze twórców i aktorów, atlas Śródziemia, relacje z planu, galerię zdjęć i wiele, wiele innych. Aha, będzie można także odwiedzić warsztat, gdzie produkowano zbroje i broń do „WP". Cena zestawu to ponad 200 złotych, ale jeśli weźmiemy pod uwagę, co za to dostajemy (dokładny opis wszystkich dodatków zamieściliśmy w poprzednim numerze



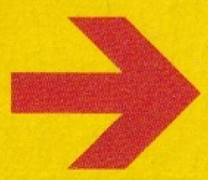
Fantasy), wydatek jest w pełni uzasadniony. Teraz nie pozostaje nic innego, jak przed wycieczką na „Powrót Króla" zrobić sobie (bagatela) siedmiogodzinną rozgrzewkę przed telewizorem. W powszechnej opinii druga część trylogii odbiega poziomem od „Drużyny...", a za największą wpadkę należy uznać postać Faramira. Jednak obejrzenie jej w rozszerzonej wersji to obowiązek każdego szanującego się fana. Oby ostatnia odsłona przywróciła zachwianą równowagę. Niepokój budzą tylko pogłoski o braku Sarumana w „Powrocie Króla".

Wskrzeszenie Nieśmiertelnego



Wytwórnia Dimension Films zatrudniła pisarza Joela Soissona, aby napisał scenariusz do piątej części „Nieśmiertelnego" o podtytule „The Source". Na ekranie nie zobaczymy już na pewno Christophera Lamberta – gwiazdy poprzednich części. Poznamy za to czterech nowych nieśmiertelnych, których zadaniem będzie odnalezienie Świętego Graala.

■ Jakub Nowak, zdj.: archiwum Wyd. Bauer



Święty Jerzy oczami mistrzów



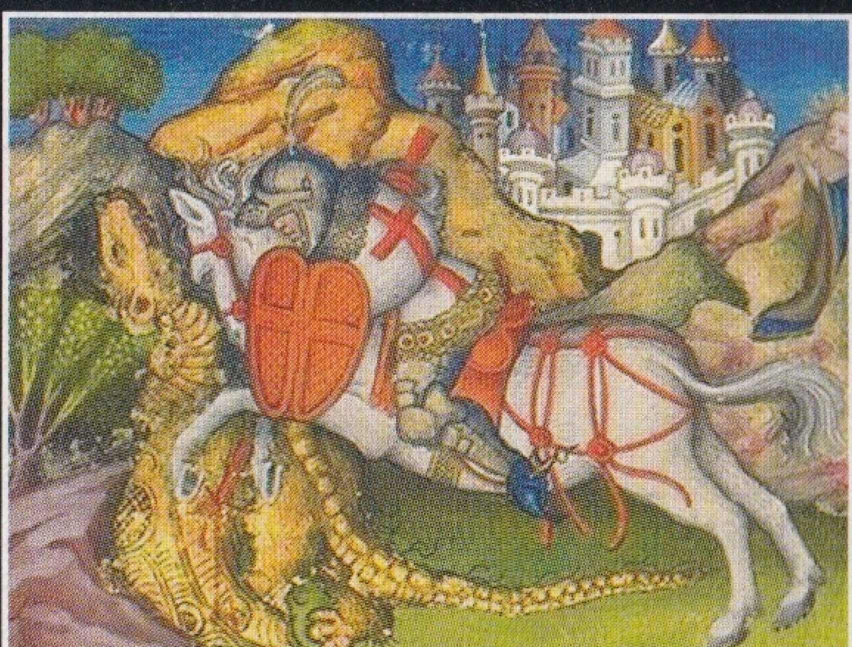
Tak wyobrażał sobie walkę św. Jerzego ze smokiem francuski malarz Delacroix



Dzieło Boba Atchisona przypomina do złudzenia średniowieczne obrazy



Tak św. Jerzego wyobrażano sobie na terenach dzisiejszej Ukrainy (ikona)



Oto okładka modlitewnika, gdzie motywem głównym jest walka ze smokiem



U włoskiego malarza Piedro Ucello smok wreszcie nie jest wielkości pudla

Najpiękniejszym wydało nam się przedstawienie walki ze smokiem pędzla naszego rodaka, Wojciecha Kossaka

Wielki, skrzydlaty gad, niezwykle zwinny, silny i ziejący ogniem, siewca zniszczenia. Pan magii oraz znawca tajemnic, odpoczywający na górze skarbów. Taki obraz smoka na trwałe wpisał się w naszą europejską kulturę. Z rzadka tylko usiłują zmienić go niektóre opowieści fantasy. Autor niniejszego artykułu zmieniać niczego nie zamierza, chciałby jednak pokazać, jak to ze smokami bywało dawniej (a bywało bardzo różnie), jak pokazywane są w innych kulturach i jakież to mity, legendy tudzież inne bajania kryją się pod smoczą łuską...

Smok to wąż!

Mało kto wie, że na samym początku europejski (a właściwie europejski i bliskowschodni) smok był po prostu wielkim, czarodziejskim wężem obdarzonym niebywałym intelektem. Nawet jego nazwa w większości europejskich języków (na przykład angielski dragon czy niemiecki Drache) pochodzi od greckiego *draco*, czyli „wąż". Sam zaś wyraz *draco* wywodzi się od czasownika *derkomai*, czyli „spoglądać bystro". Przez wiele wieków słowa „smok" oraz „wąż" można było używać zamiennie.

Królewski symbol

Owe smoki/węże uważano za istoty dobre, powiązane z dającą życie wodą oraz powietrzem. Szanowano je do tego stopnia, iż smok stał się symbolem monarszej władzy oraz niezależności. W starożytnym Rzymie symbolizował cesarza, a nieco później królów Brytanii i Walii (po dziś dzień godłem tej ostatniej jest czerwony smok, nie wspominając już o tytule władcy – Pendragon, czyli dosłownie, „Najdostojniejszy Smok"). Z kolei na sztandarach Sasów, bijących poddanych Pendragona, widniał smok biały. Wizerunek mocarnego gada znajdował się też na chorągwi Ryszarda Lwie Serce, z którą król udał się na krucjatę.

WŁADCY OG

Smok staje się zły

Źródeł późniejszego smoczego zła upatrywać należy chyba w dwoistej naturze powietrza oraz wody. Z jednej strony dają one życie, z drugiej jednak, jako nękające ludzi wichury, ulewy i błyskawice przynieść mogą śmierć oraz zniszczenie. Być może to nawałnica z piorunami stanowi pierwowzór lecącego z niebios straszliwego gada ziejącego ogniem. A gdzie jest jeszcze smok pogrzebany? Otóż prawdziwe węże zwykle pełzają po ziemi, czasem pod nią – prędzej czy później musiano je więc połączyć z mitycznym światem podziemnym, czyli przede wszystkim z krainą zmarłych, która, jak wiadomo, rzadko budzi sympatyczne skojarzenia. I tak oto, powoli lecz nieubłaganie, smok z naszego kręgu kulturowego stawał się bohaterem negatywnym. Do tego doszły jeszcze rozmaite starcia międzykulturowe i międzyreligijne, odzwierciedlane potem w mitach tworzonych przez ich zwycięzców. Jako że zazwyczaj wygrywali przeciwnicy starego kultu przyrody (wąż nadawał się znakomicie na jej symbol), pełno w nich historii o świetlanych bohaterach pokonujących obrzydliwe węże/smoki.



Św. Jerzy musiał być dumny z ubicia tak WIELKIEGO gada

Winni są Żydzi!

Za zohydzenie wizerunku smoka bezpośrednio odpowiedzialni są Hebrajczycy, którzy zapoznali się z mieszkańcami Mezopotamii oraz ich wężowymi mitami. Zaczerpnęli stamtąd historie o paskudnych cechach magicznych gadów. Na pewno znali opowieść o wodnej smoczycy, chaotycznym potworze imieniem Tiamat, ginącej z ręki nowego jaśniejącego boga Marduka. I tak judeochrześcijański smok stał się zdradliwym wężem, mieszkańcem głębokich wód (vide Lewiatan) i krainy umarłych, toczącym uparcie walkę z Bogiem. Stwór ów kusił do złego i psuł dzieła Stwórcy. Co ciekawe, najprawdopodobniej w dawnych żydowskich wierzeniach wcale nie był utożsamiany z tym, co my rozumiemy pod pojęciem Szatana. Raczej symbolizował stare i kłamliwe religie, od których każdy uczciwy wyznawca Jahwe powinien się zdecydowanie odciąć. Za sprawą Żydów negatywny wizerunek węża przeniknął do chrześcijaństwa, gdzie gad ów stał się symbolem wszelakiego zła, występku – i już „właściwego" Szatana. Pojawił się jednak pewien rozdźwięk, bowiem pamiętano nadal o drugiej, dobrej naturze węża. I to pamiętano tak dobrze, iż Jezusa nazywano czasem „dobrym wężem", ba, węże przedstawiano nawet wiszące na krzyżu jako symbol ofiary Mesjasza! Może więc dlatego zaczęto rozróżniać wówczas węża i smoka, tworząc znany nam wizerunek przerośniętej, latającej jaszczurki.

Ostateczne zohydzenie

Złemu smokowi, jako sile nieczystej, dodano wszystko, co ówcześni ludzie uważali za najpaskudniejsze i najstraszniejsze: nietoperze skrzydła, wielkie zębiska, gadzią łuskę, obrzydliwe, pozurzaste łapska. Nadal jednak owo stworzenie pozostało w wyobrażeniach ludzi opiekunem tajemnicy. Bo chyba właśnie dlatego na dawnych mapach miejsca dalekie i nieznane opisywano często słowami „tam żyją smoki". Rozmaite smocze podobizny, w zależności od fantazji obmyślających je osób, różniły się znacznie, a z biegiem czasu różnice pogłębiły się tak bardzo, iż zaczęto powstałe w ten sposób monstra uznawać za całkiem nowe gatunki potworów. I tak na przykład smok z tylko jedną tylną parą łap dał początek stworowi nazywanemu wywernem. Kiedy zaś owej wywernie dodano jeszcze głowę koguta, narodził się bazyliszek.

Smok wawelski

Tego potwora zafundował nam na przełomie XII i XIII stulecia Wincenty Kadłubek, prezentując go w swej Kronice Polskiej. Kadłubek opierał się na niesłowiańskich legendach, opowiadających głównie o bojach ze złymi gadami toczonych przez proroka Daniela i Aleksandra Macedońskiego. Co ciekawe, opowieść Kadłubka różni się od najpopularniejszej wersji legendy. Historia wygląda tak: poddanych starego króla Grakcha (Kraka) dręczy smok mieszkający pod wzgórzem, a stary i niedołężny władca nie potrafi ich obronić. Dzielni synowie Grakcha ruszają, aby walczyć z potworem, jednak choć stają rycersko, muszą mu ustąpić pola. Nie będąc w stanie pokonać monstrum w zwykły sposób, uciekają się do podstępu – napychają bydlęce skóry płonąca siarką, podtykają gadowi, on je zjada i ginie od płomieni, wybuchających mu w trzewiach. A potem jeden z braci zabija drugiego, by zgarnąć całą sławę smokobójcy. Jak widać, nie ma ani owieczki, ani dzielnego szewczyka. To już elementy dodane w szesnastym wieku.

Ruski Żmij

Osławiony Żmij, lansowany na oryginalnego, słowiańskiego smoka, to pierwotnie dobry duch przestworzy, który potrafi latać, jest potężny i ściera się właśnie ze smokami. Tak się jednak zdarzyło, iż należne mu imię przeszło w końcu na jego wrogów (podobnie stało się z nieszczęsnym doktorem Frankensteinem). Być może przyczyną „zesmoczenia" żmija było również to, iż często posługiwał się piorunami oraz błyskawicami. Z opiekuńczego bóstwa stał się więc potworem i to nie byle jakim. Taki na przykład żmij Gorynycz miał trzy głowy, potrafił zaćmiewać światła, a był na tyle mocny, że z powodzeniem występował w roli strażnika świata umarłych. Zresztą jedną z cech żmija było to, iż siedział nad granicą (zwykle rzeką) i pilnował, aby nikt się nie przekradł na drugą stronę. Z tego właśnie powodu wiele nadgranicznych miejscowości nazywano Żmigrodami.

■ Maciej Nowak-Kreyer,
zdjęcia: arch. wydawnictwa Bauer

Smoczy kanon

- Smoki z wyglądu przypominają wyrośnięte jaszczurki – mają cztery łapy, długie szyje, zębate paszcze, długie ogony i łuski. Do tego dochodzą nietoperze skrzydła.
- Skóra smoka jest właściwie nie do przebicia przez jakikolwiek oręż.
- Smocza krew ma magiczne właściwości, na przykład umożliwia zrozumienie mowy zwierząt. A smoczy ogon to niezrównany przysmak.
- Smoki są długowieczne, niezwykle inteligentne, potrafią czarować oraz hipnotyzować wzrokiem i głosem.
- Smoki kochają skarby i kosztowności, gromadzą je dla samego posiadania. Uwielbiają wylegiwać się na stosach klejnotów.
- Smoki mieszkają w jaskiniach, żywią się mięsem (w tym dziewicami), nie gardzą jednak i zwykłą owieczką.
- Smoki nie są ani złe, ani dobre, a ludzkie wartości moralne nie mają dla nich znaczenia. Ludziom pokazują się zwykle ze złej strony.



Św. Jerzy, ikona z XIX wieku
Obraz Caravaggia (XVI wiek)






Piękne kobiety służą smokom nie tylko za posiłek – czasem mogą się z nimi zaprzyjaźnić

CO KROK INNY

Legendarne smoki

Oto smoki, które według autora tego artykułu powinien znać każdy szanujący się miłośnik fantasy:

Smaug – zwany Złotym, ponoć ostatni smok Śródziemia. Niszczyciel krasnoludzkiego królestwa pod Samotną Górą, pokonany za sprawą krasnoludów, ludzi i hobbita imieniem Bilbo.

Fafnir – smok z „Eddy Poetyckiej", pokonany przez germańskiego bohatera Sigurda/Zygfryda (tego znanego z wagnerowskich oper).

Glaurung – podstępny i potężny smok z „Silmarilionu", przyczyna zguby i zarazem ofiara Turina Turambara.

Tiamat – mezopotamska smoczyca-wężyca, uosobienie chaosu. Dzisiaj słowo to znane jest głównie za sprawą doskonałego zespołu heavy-metalowego.

Kalessin – potężny i rozumny smok z Ziemiomorza.

Falkor – przesympatyczny, futrzasty smok szczęścia z „Niekończącej się opowieści" Michaela Endego (na podstawie głośnej powieści zrealizowano cykl filmowy).

Draco – dobroduszny gad o głosie Seana Connery'ego, bohater filmu „Ostatni Smok".

Smok Wawelski – mądry, dobry, dość cwany, ale cywilizowany potwór wypełniający misję króla Kraka. Mowa oczywiście o filmie „Wyprawa profesora Gąbki".

W smoki, istoty powietrza i wody, wierzono też na Dalekim Wschodzie, a przede wszystkim w Chinach oraz Japonii. Tam również dostrzegano ich dwoistą, niszczycielsko-życiodajną naturę, tyle że w przeciwieństwie do naszego kręgu kulturowego chętniej akcentowano dobrą stronę smoczej osobowości. Zresztą nie godziło się inaczej, wszak i tam smok pełnił rolę symbolu władzy. Ba, wierzono nawet, iż smokami byli pierwsi cesarze Chin! Nie wypadało więc, aby przodek władcy okazał się zupełnym szubrawcem. Chiński smok stał się również uosobieniem pierwiastka męskiego we wszechświecie (yang) i symbolem wszystkiego, co w naturze rytmiczne oraz święte. Smok przebywał jednocześnie w trzech światach: w powietrzu, w wodzie i w ziemi. Mieszkańcy Orientu wierzyli również, iż smoki potrafią dowolnie zmieniać postać, a najchętniej przekształcają się w ptaki.

Tak jak na Zachodzie, wizerunek chińskiego smoka powstał z połączenia cech różnych stworzeń. Jednak w tym wypadku nie brano części najpaskudniejszych. A zatem orientalny dragon to rogi jelenia, głowa wielbłąda, demonie oczy, szyja węża, łuska karpia, krowie uszy, łapy tygrysa, orle pazury oraz brzuch małży.

Bardzo możliwie, że wspomniane wcześniej łączenie smoków i ptaków sięga czasów prehistorycznych, albowiem na coś podobnego natknąć się można w Ameryce, której pierwotni mieszkańcy to wszak potomkowie przybyszy z Azji. Mowa o Quetzalcoatlu, Pierzastym Wężu, jednym z największych bogów dawnej Ameryki Łacińskiej. Był on zarazem ptakiem i wężem, istotą przepełnioną mądrością, łącząca w sobie pierwiastki przynależne światom powietrza oraz podziemi. Czczono go jako boga powietrza, wiatru oraz opiekuna artystów i rzemieślników.

Smoki Tolkiena

Jeśli chodzi o smoki, Tolkien stworzył nowy kanon, choć tak naprawdę jedynie przeniósł do Śródziemia obraz smoka z germańskiej mitologii, a konkretnie z „Eddy" oraz „Beowulfa". Jednakże smoki Profesora oprócz „klasycznych" przymiotów mają też cechy, które jego naśladowcy raczej pomijali. Na Ardzie stwory te to kreatury złego Morgotha, dlatego więc wszystkie bez wyjątku są nikczemne. Dzielą się na Smoki Ogniste (czyli po elfiemu „Uruloki"), potrafiące ziać



płomieniami, oraz na Smoki Zimne, nie mające takich zdolności. Ich ciała pokrywa gruba łuska. Znają się na magii, jednak nie wszystkie potrafią latać (o czym świadczy fakt, że nie zawsze miewają skrzydła). Choć czasy ich świetności przypadły tylko na Pierwszą Erę (potem zostały niemal doszczętnie wytępione) zdołały sporo nabroić. Ich najbardziej spektakularne wyczyny to zniszczenie elfich siedzib: Nargothrondu i Gondolinu. Jak niebezpieczne musiały być to stworzenia, świadczy fakt, iż tysiące lat później znacznie słabszy ich potomek, Smaug, zdołał sam zniszczyć całe królestwo krasnoludów. Jak nietrudno się domyśleć, najbardziej zajadłymi wrogami tolkienowskich smoków są właśnie krasnoludy. Korzeni wzajemnej niechęci obu ras należy jednak poszukiwać wśród spraw zgoła przyziemnych. I wielkie gady, i mali brodacze najbardziej ze wszystkiego na świecie pożądają skarbów, nie zamierzając się przy tym nimi z nikim dzielić.

Tolkien pisał też o smokach spoza Śródziemia. W książce „Rudy Dżil i jego pies" czytelnik spotyka jaszczura zwącego się Chrysophylax Dives. Gad nie ma zbyt dobrego charakteru, ale nie jest tak zdeprawowany jak koledzy z Ardy i daje się (choć z trudem) obłaskawić tytułowemu bohaterowi.

Smokołaki

Prekursorem nowego spojrzenia na smoki był Gordon R. Dickson, autor powieściowego cyklu o smokach i jerzych (tak smoki nazywają ludzi). W baśniowej, średniowiecznej Europie smoki i ludzie co prawda nie żyją w przyjaźni, jednak wielkie gady to nie jakieś przesiąknięte złem potwory, tylko jeszcze jedna odmiana rozumnych stworzeń, mająca po prostu interesy często sprzeczne z ludzkimi. Ciekawostka – główny bohater cyklu to „smokołak" – człowiek wpierw uwięziony w ciele wielkiego gada, potem zaś mogący, w razie potrzeby, przyjmować smoczą postać.



nowe, takie jak futro (żeby nie zmarzły na dużych wysokościach), strach przed wodą i ogromną niechęć do gromadzenia oraz pilnowania skarbów... Uwaga, nie zieją też ogniem! Raczej nie przypominają jaszczurów, za to ponoć wyglądają jak skrzyżowanie kota z żyrafą. Pisząc o polskich smokach warto też wspomnieć debiutanckie powieści Iwony Surmik, „Talizman złotego smoka" i „Smoczy Pakt", gdzie gady wystąpiły w roli śmiertelnego zagrożenia, które zafundowało ongiś ludzkości prawdziwą apokalipsę.

SMOK

Mądre smoki LeGuin

Obecnie rzadko się zdarza, że smoki w fantasy to stworzenia złe. Stało się tak za sprawą opowieści z Ziemiomorza autorstwa Ursuli le Guin. Właśnie ta pisarka, bodajże po raz pierwszy (a w każdym razie najskuteczniej), zaprezentowała owe stworzenia jako starszą od ludzi, mądrzejszą i obcą rasę rozumną. Smoki, mistrzowie magii, łączą w sobie dobro i zło, a właściwie stoją ponad nimi i w zależności od sytuacji pokazują się mieszkańcom Ziemiomorza jako bestie lub stworzenia, z którymi można się dogadać.

Smoki Sapkowskiego

O dziwo, w twórczości Andrzeja Sapkowskiego, głównego polskiego speca od fantasy, smoki potraktowano raczej po macoszemu. Wiemy, że istnieją, a nawet że jest ich wiele rodzajów (ich prawdziwe barwy niewiele mają wspólnego z kolorami występującymi w nazwach). Wiemy także, iż gdzieś na obrzeżach świata istnieje kraj amazonek (Zerrikania), gdzie się je czci. Jeden ze smoków jest nawet ważnym bohaterem opowiadania „Granica Możliwości". Wielkie gady trzymają się jednak najwyraźniej z dala od spraw ludzi, elfów oraz krasnoludów. Złoty smok Villentretenmerth pojawia tylko raz jako element dekoracji, który spełniwszy zadanie znika bez śladu. Jego występ jest jednak spektakularny, bo smok okazuje się zwinniejszy i mocniejszy od najtęższych zabijaków, umie czytać w myślach, zmieniać postać, a nawet opiekuje się małymi dziećmi.

Panie lubią smoki...

Smoki stanowią bardzo ważny element opowieści o młodych magach pióra Ewy Białołęckiej. Jeden z nich, zabawny Pożeracz Chmur, to przyjaciel ulubionego bohatera Białołęckiej, głuchoniemego maga Kamyka. Co ciekawe, są to smoki bardzo oryginalne. Poza standardowym pakietem smoczych zdolności (latanie, zmiana postaci, magia) mają też cechy

Smoki dla dzieci

Znaczącą pozycję w rodzimej „drakoliteraturze" zajmują dwa smoki bajkowo-komiksowe. Czymże byłby bowiem świat, gdyby zabrakło w nim sympatycznego smoka Milusia, wychowanka Kajka i Kokosza, który na widok małych stworzeń ze strachu ział ogniem? I czy łatwo byłoby polskiemu czytelnikowi zaakceptować wędrujące w czasie i przestrzeni smoki z Pern (patrz niżej), gdyby wcześniej nie poznał posiadającego podobną umiejętność smoka Diplodoka z komiksu Tadeusza Baranowskiego?

Smoki w SF

Smoki, czyli – wydawałoby się – stwory nierozerwalnie związane z fantastyką baśniową, pojawiają się też w dziełach mniej lub bardziej nawiązujących do science-fiction.

Przede wszystkim znajdziemy je w cyklu powieściowym Anne McCaffrey o mieszkańcach planety Pern. Ziemscy koloniści zasiedlając obcy glob wyhodowali smoki z ognistych jaszczurek, aby za ich pomocą zwalczać tak zwane Nici, śmiercionośne zarodniki kosmicznych roślin. Owe smoki potrafią latać, szybko przenosić się z miejsca na miejsce (a nawet w czasie), zaś nakarmione odpowiednią skałą umieją ziać ogniem. Pozostają jednak zwierzętami i daleko im do gadzich intelektualistów z wielu utworów fantasy. W nieco podobny sposób smoki są wykorzystywane przez bohaterów Pratchetta, którzy używają tych stworzeń jako napędu do rakiety kosmicznej!

■ Maciej Nowak-Kreyer,
zdjęcia: arch. wydawnictwa Bauer, TSR

Jak pokonać smoka?

- Struć go podprawioną baraniną, tak aby popijając ją, śmiertelnie uszkodził sobie trzewia.
- Razić go w spodnią część ciała, zwykle miękką. Nawet jeśli od siedzenia na skarbach poprzyczepiały się tam klejnoty i tworzą swoisty pancerz, to i tak znaleźć można jakiś słaby punkt.
- Uderzyć między łopatki, w miejsce pozbawione łuski.
- Zablokować paszczę, żeby gada rozsadził ogień, którym nie może buchnąć.
- Najechać na niego z kopią, siedząc w pełnej zbroi na rozpędzonym rumaku. Wbrew pozorom, takie uderzenie to dla smoka nie byle co.
- Sposobów dostarczyli: szewczyk Dratewka, Bard z Esgaroth („Hobbit"), Sigurd („Edda"), Madmartigan („Willow") oraz anonimowy jerzy („Smok i jerzy").



↑ Stereotypowy obrazek fantasy: rycerz w zbroi kontra ogromny smok...



↑ Czy wyobrażacie sobie jak bardzo obtarte uda musi mieć ta pani dosiadająca smoka? :)

W filmie „Ostatni smok" sławny aktor Sean Connery użyczył swego głosu tytułowej gadzinie

Smocza gwiazda

Przed około czterema tysiącami lat najjaśniejsza gwiazda północnej półkuli znajdowała się w konstelacji Smoka. To ona właśnie była gwiazdą polarną, nim zmienił się układ niebios i musiała ustąpić miejsca swej dzisiejszej odpowiedniczce.

Vlad Smokownik

Przydomek „Dracula", noszony przez osławionego Vlada Palownika, znaczył „syn smoka". Smokiem nazywano zaś jego ojca ze względu na przynależność do rycerskiego zakonu, mającego tego stwora w herbie. Osobnicy niechętni Draculi mawiali, iż smok w jego imieniu oznacza po prostu diabła.



Vlad Palownik, jak widać, był obleśnym typem i pewnie stąd jego okrucieństwo :-)

Smok stworzony przez grafików firmy TSR stał się symbolem systemu RPG Advanced Dungeons & Dragons



Wielkie gady pojawiają się nawet w Gwiezdnych Wojnach. Wystarczy tylko wspomnieć kosmicznego węża/robala mieszkającego w meteorycie, którego obiadem o mało nie staje się Sokół Millenium („Imperium kontratakuje"). W „Nowej Nadziei", na Tatooine R2D2 i C3PO mijają szkielet pustynnego smoka, a wśród koncepcyjnych grafik przedstawiających faunę Dagobah znaleźć można i taką, na której widać skrzydlate, smukłe gady, których chyba tylko kompletny dyletant nie skojarzyłby od razu ze smokami.

Smoki są przewodnim tematem filmu „Władcy ognia" Roba Bowmana. O tym obrazie było u nas całkiem głośno, choć chyba tylko ze względu na występ Izabelli Scorupco. Wielkie gady tracą tam wiele typowo smoczych atrybutów, choć zachowują najważniejsze – gadzi wygląd, latanie i zdolność ziania ogniem. Autorzy filmu uczynili z nich potwory niszczące ludzką cywilizację (odpowiedzialne są również za zniszczenie przed milionami lat dinozaurów), coś w rodzaju nowszej wersji Godzilli. Z potworami walczą niedobitki ludzi, gnieżdżące się w różnych zakamarkach futurystycznej Ziemi. Ostatni bojownicy wykorzystają fakt, że smocza społeczność składa się z wielu tysięcy samic i tylko jednego samca...

Kapitalny obraz dobrego i mądrego smoka zawiera film „Ostatni smok". Sławny Sean Connery użyczył wielkiej bestii swego głosu, a specjaliści od efektów specjalnych zadbali również o to, by pysk gada miał mimikę „ukradzioną" aktorowi. Stworzenie o jeszcze lepszym charakterze przedstawia „Niekończąca się opowieść", gdzie sprzymierzeńcem głównego bohatera jest ogromny smok o mordzie dobrodusznego, kudłatego psa.

Kinomani nie mogą oczywiście zapomnieć o wrażliwej na piękno i spragnionej uczucia smoczycy ze „Shreka" (okrzyk: „mam smoka i nie zawaham się go użyć" przeszedł wręcz do języka potocznego!). Zupełnie innego rodzaju bestię można było oglądać w fantastycznej baśni „Willow", gdzie główny bohater zostaje zmuszony do pojedynku z trójgłową krwiożerczą bestią.

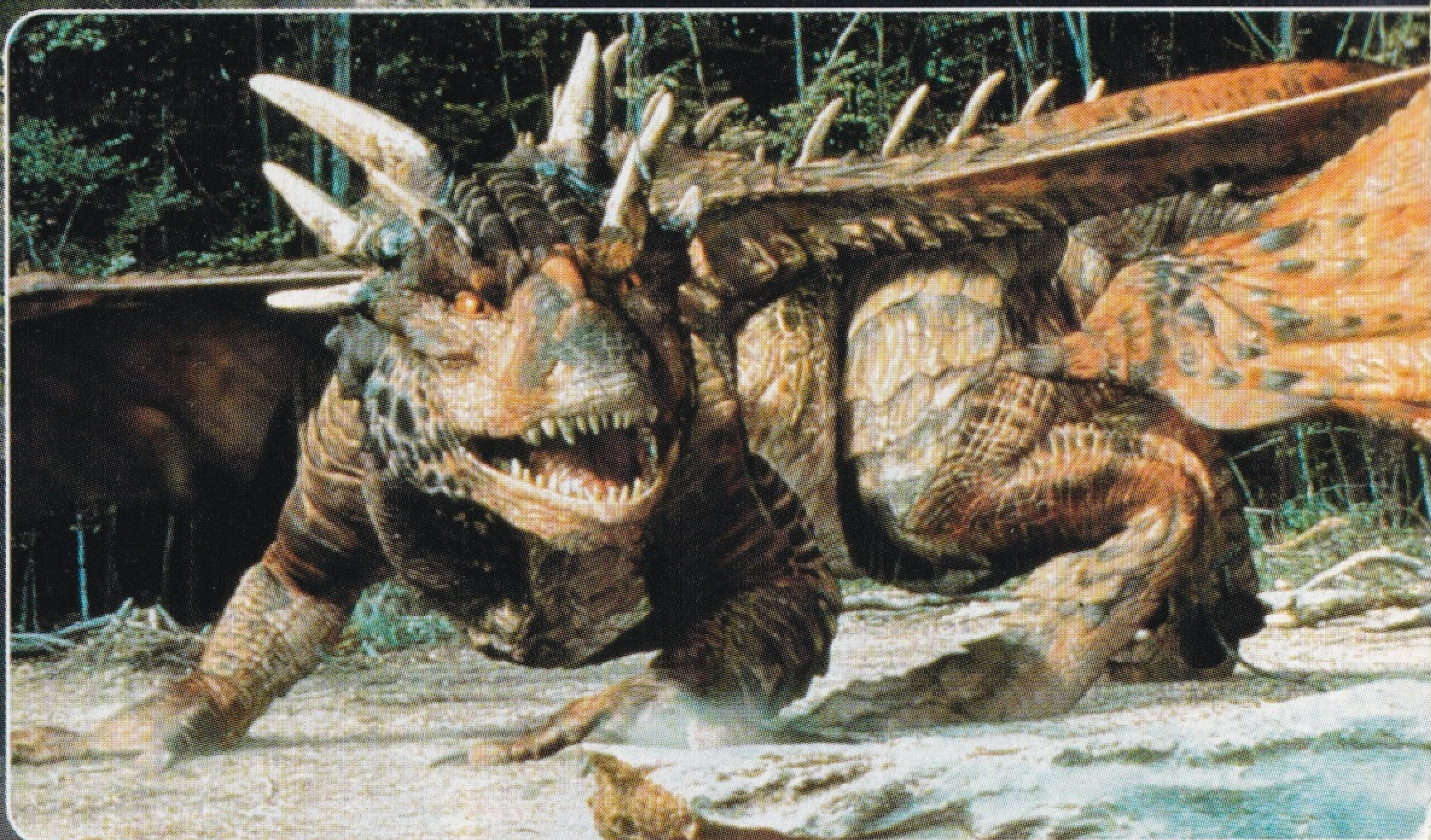
Smocze gry

To przede wszystkim gry komputerowe i RPG. W obu tych odmianach rozrywki smoków nigdy nie brakowało, jako że stanowią ważny element fantasy, po który twórcy gier sięgają bardzo często. Zresztą pierwsza gra fabularna na świecie zwała się nie inaczej jak właśnie Lochy i Smoki (czyli Dungeons & Dragons,w skrócie D&D) i po dziś dzień istnieje, regularnie poddawana rozmaitym ulepszeniom. Jeden ze światów, które mogą odwiedzić miłośnicy tej gry, to rzeczywistość Dragonlance (Smoczej Lancy), gdzie na planecie Krynn ścierają się ze sobą siły dobra i zła. Głównym „uzbrojeniem" tych ostatnich są właśnie smoki, odpowiednio „metaliczne"

SMOCZA ROZ



„Mam smoka i nie zawaham się go użyć" – ten tekst z filmu Shrek przeszedł już do języka potocznego



(srebrne, złote itp.) i „kolorowe" (czerwone, niebieskie itp). Co ciekawe, w świecie tym miejscowym odpowiednikiem hord orków są armie smokowców, humanoidalnych istot wyhodowanych z magicznie splugawionych jaj wielkich gadów.

Komputerowe gry fantasy przedstawiają smoki głównie jako materiał do „rozwałki". Ale na przykład w MIGHT&MAGIC VIII można smoka zaprosić do drużyny (jest on wspaniałym sprzymierzeńcem), a w grze GORASUL: DZIEDZICTWO SMOKA uczestnik zabawy wciela się w człowieka wychowanego przez smoka i wyposażonego w drakoidalne moce (np. ziejącego ogniem). Smoka jako bohatera pozytywnego, a właściwie znakomity środek transportu dla dzielnej wojowniczki prezentuje też popularna gra DRAKAN. Ciekawym doświadczeniem jest też możliwość wcielenia się w smoka w programie I OF THE DRAGON.

Smoki w socjalizmie

Radzieccy uczeni swego czasu usiłowali naukowo wyjaśnić pochodzenie żmijowych legend. Ponoć dały im początek niszczycielskie, wężowate powietrzne wiry, nierzadko szalejące w towarzystwie innych, mniejszych (w bajaniach wspomina się o krewnych żmija, zjadliwych żmijewikach). By zakłócić sktrukturę takiego wiru i go unieszkodliwić, starczał wedle owych naukowców mocny cios jakimś ciężkim narzędziem – przykładowo, mieczem.

Smoki żyją do dziś

Co jakiś czas mniej lub bardziej nawiedzony miłośnik smoków twierdzi, iż wiara w nie to niezbity dowód, iż do czasów antycznych przechowały się jakieś niedobitki dinozaurów. Sądząc jednak po tym, jak w ciągu wieków ewoluowały wizerunki czarodziejskich jaszczurów (punkt wyjścia stanowił zwykle wąż, a nie pterodaktyl), raczej mało to prawdopodobne. Chociaż nie można wykluczyć, że znajdowane od czasu do czasu wielkie kości wymarłych stworów mogły zachęcać do wymyślania rozmaitych monstrów – smoków także.

Czasami zresztą, kiedy spojrzy się na rozmaite istniejące współcześnie twory natury, faktycznie łatwo przy odrobinie wyobraźni przerobić je na smoki. Pominąwszy już takie bana-ły jak wielkie krokodyle lub węże, mocnych wrażeń dostarczają na przykład słynne warany z Komodo. Gady te osiągają do trzech metrów długości, uzbrojone są w ostre pazury, mają paszczę wypełnioną silnie trującymi toksynami i nie wahają się atakować ludzi. A co powiecie na istotę noszącą miano, ni mniej, ni więcej, tylko Smoka Latającego (Draco volans)? Żyje ona w południowo-wschodniej Azji i jest jaszczurką, mającą między przednimi i tylnimi kończynami rozpięte płaty skórne, pozwalające szybować jej na małe odległości (do 100 metrów).

■ Maciej Nowak-Kreyer,
zdjęcia: arch. wydawnictwa Bauer, TSR

RYWKA



Oto Smaug spod Samotnej Góry atakujący miasteczko Dale. Pokonany został przez łucznika Barda



Morze ze smoka

W wielu mitologiach smoka przedstawiano jako węża oplatającego całą Ziemię (vide skandynawski Midgardsorm). Zawsze wiele miał on wspólnego z wodą, a w mitologii greckiej ostatecznie się nią stał, zmieniając się w Okeanos, wielkie morze opasujące wszystkie lądy świata i wyznaczające jego granice.

Smoki pod żaglami

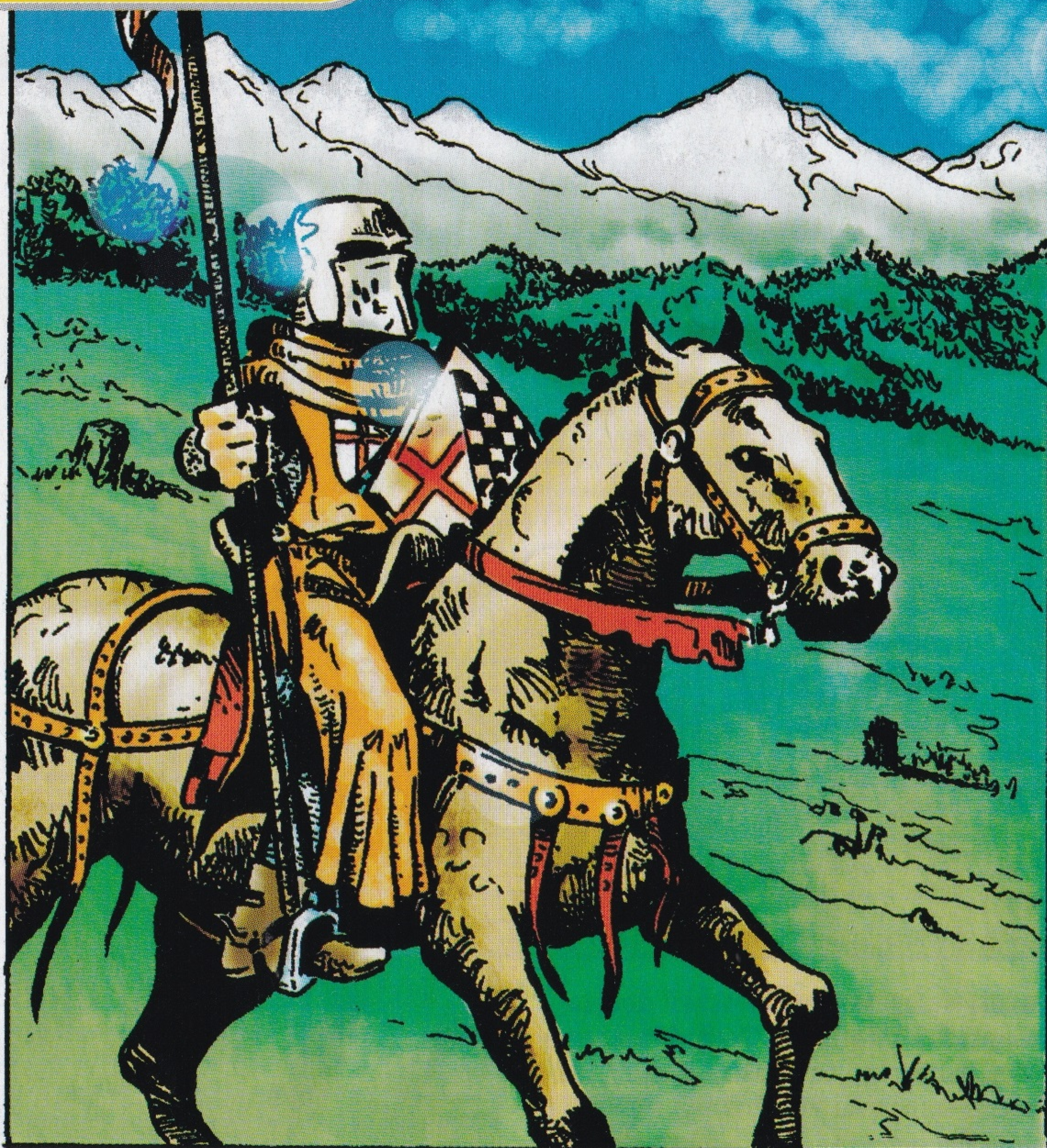
Wikingom ich podłużne i smukłe okręty kojarzyły się ze smokami i wężami. Dlatego też bojowe statki nazywali właśnie smoczymi oraz wężowymi łodziami, czyli drakkarami i snekkarami. Wypływając na wyprawę, Normanowie zatykali na dziobach rzeźbione łby smoków/węży, aby przestraszyć duchy opiekujące się napadanymi wybrzeżami. Dbali też bardzo, aby zdjąć owe łby, kiedy wracali do domu – by przypadkiem nie obrazić własnych duchów opiekuńczych.



Fałszywy smokobójca

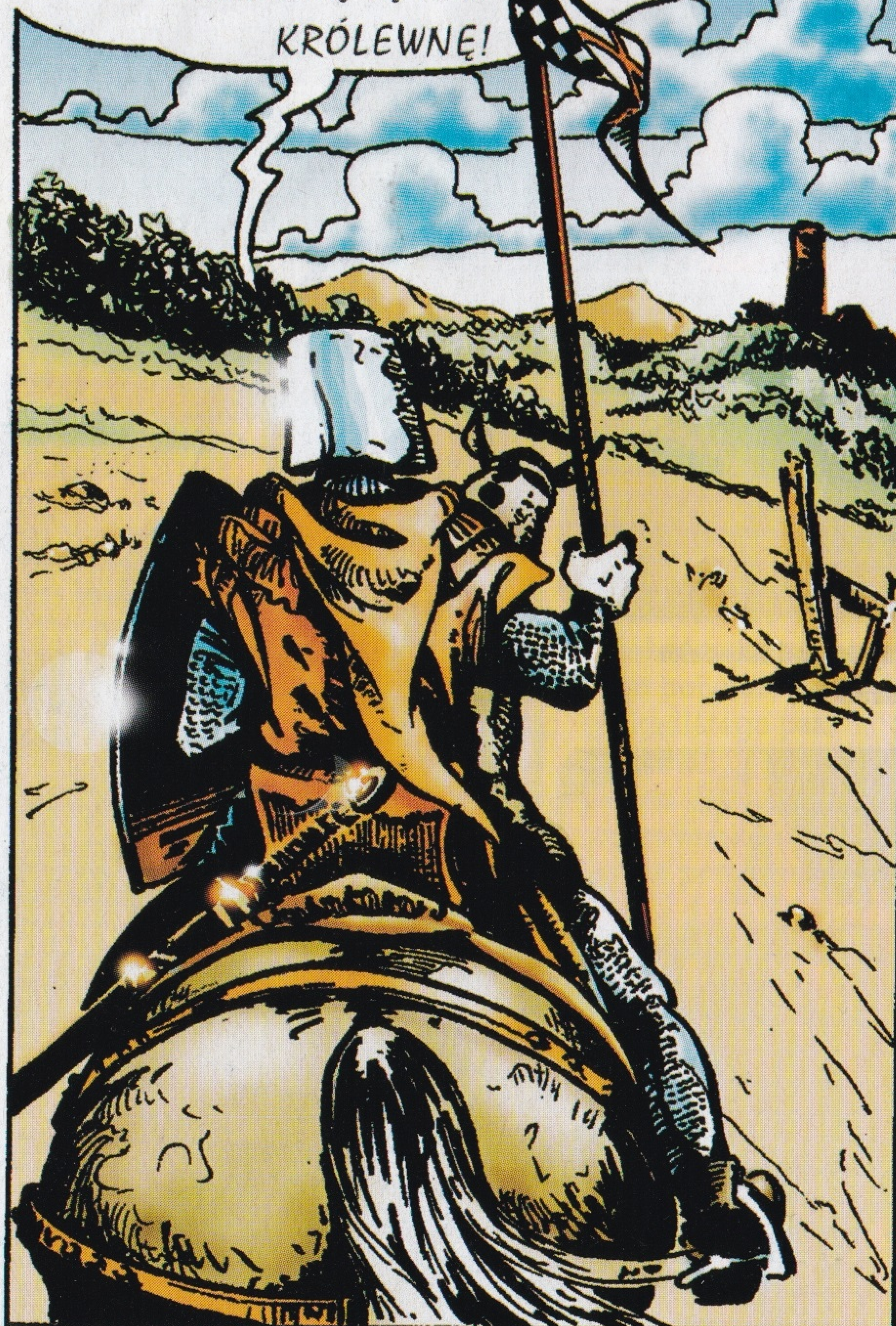
Istnienie świętego Jerzego, słynnego smokobójcy oraz patrona Anglii, już w XVI wieku zostało uznane za mocno wątpliwe i z opowieści o nim usunięto wszelkie wzmianki o smokach. Później bohatera w ogóle skreślono z rejestru katolickich świętych.







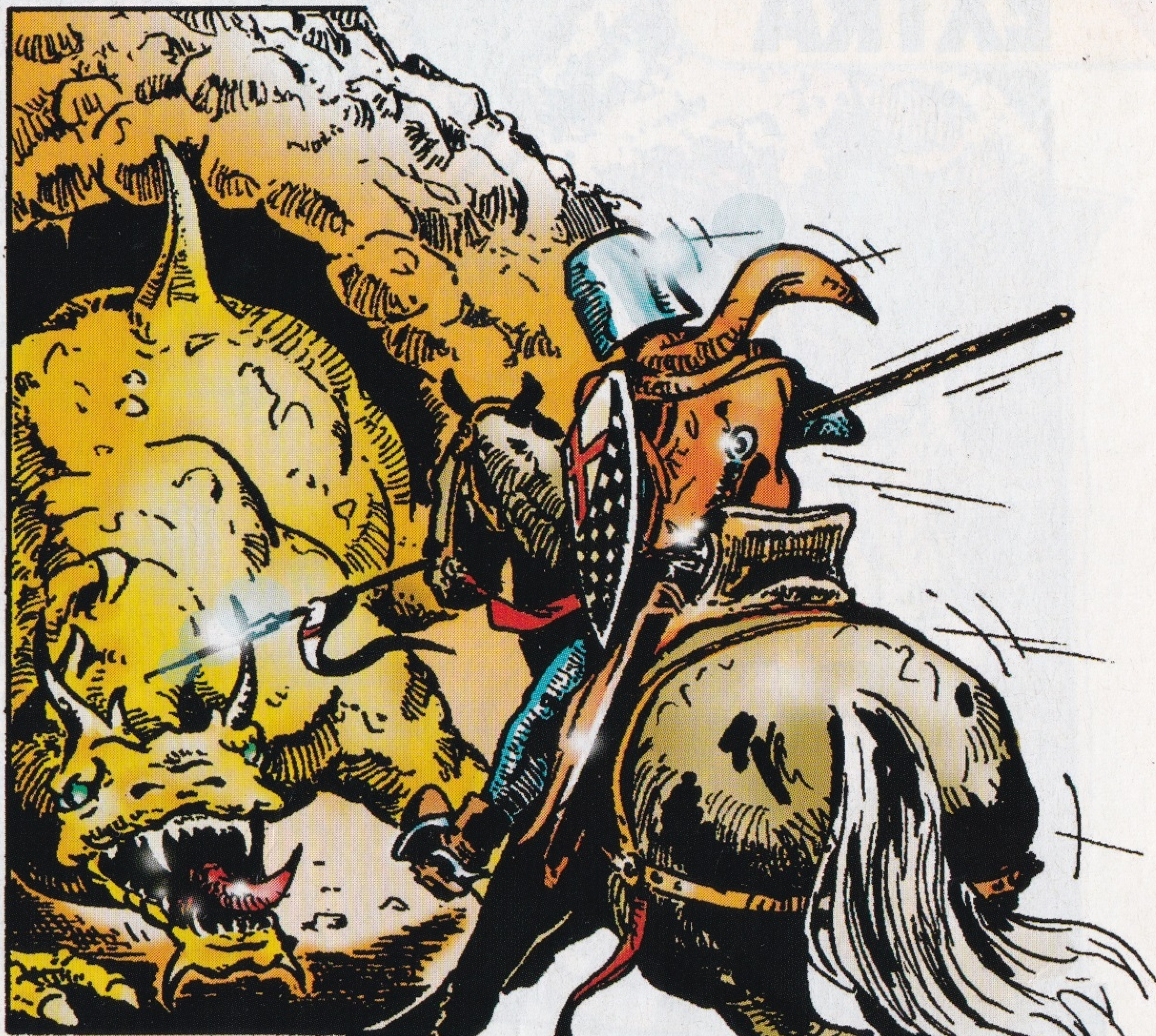
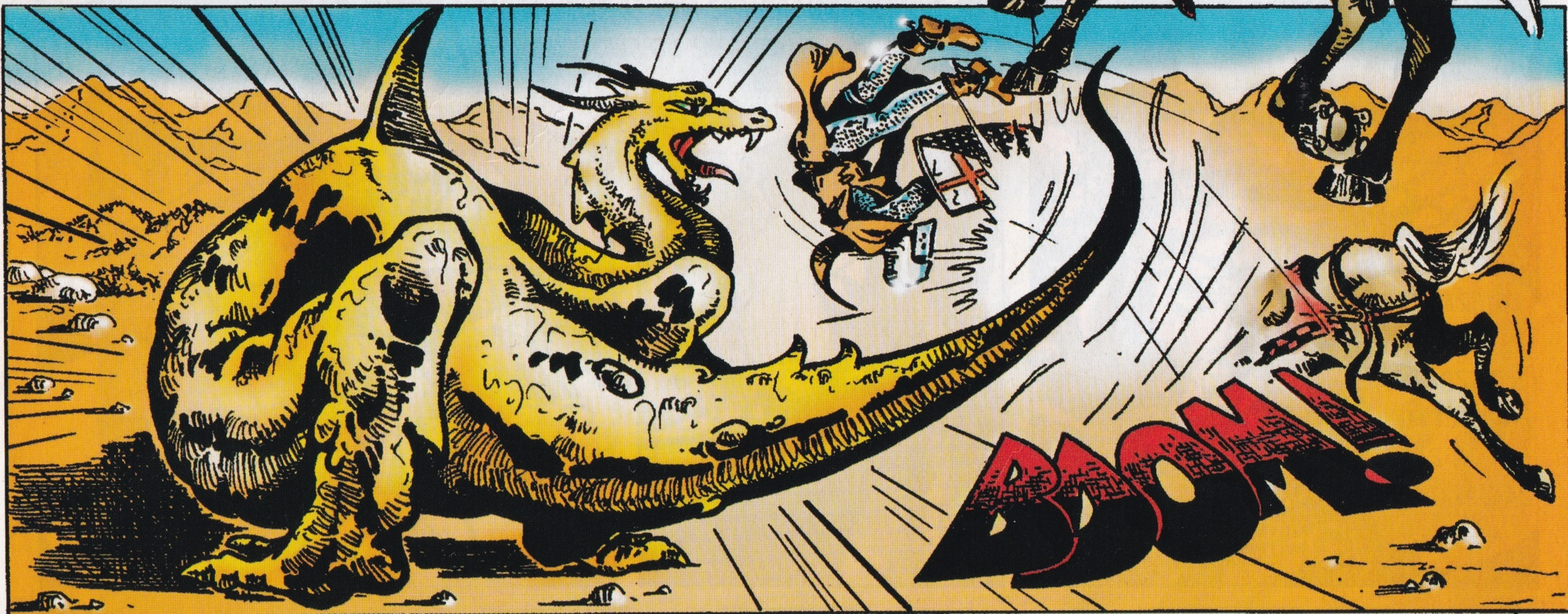


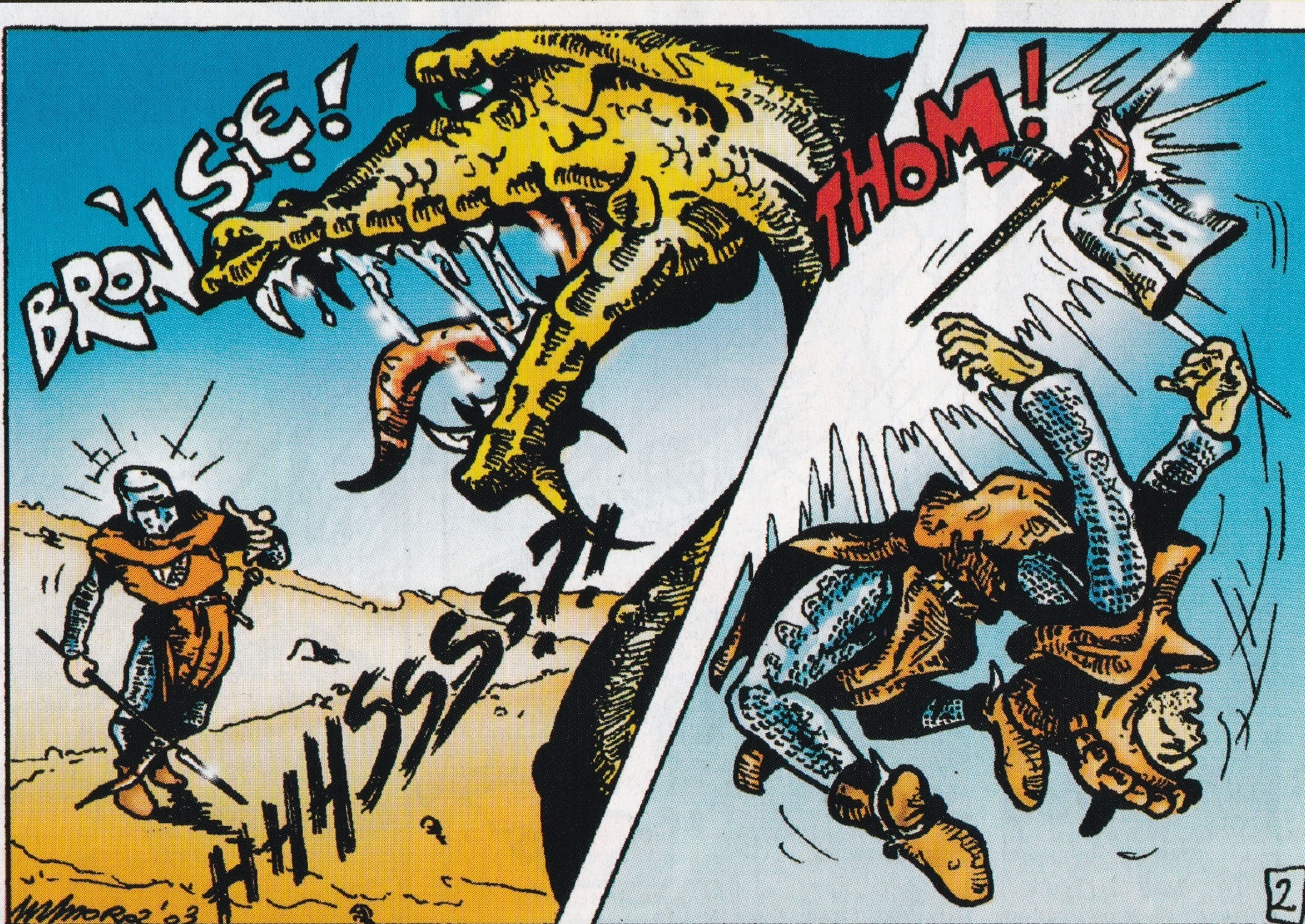


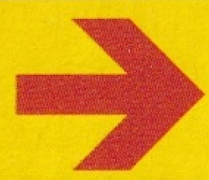


Z radością prezentujemy wam pracę, która nadeszła w ostatniej chwili do naszej redakcji, a jest związana z tematem tego numeru Fantasy – gratulujemy!



HHSSSS!!
JESTEŚ POCZWARO!...
HE! HE! HE!...
WIDYWAŁEM JUŻ
WIĘKSZE!


BDOM!

PUNKT DLA CIEBIE, PASKUDO!
NIE DOCENIŁEM TWEGO OGONA!
ALE TO JESZCZE NIE KONIEC!..

BROŃ SIĘ!
THOM!
HHHSSSS!!





















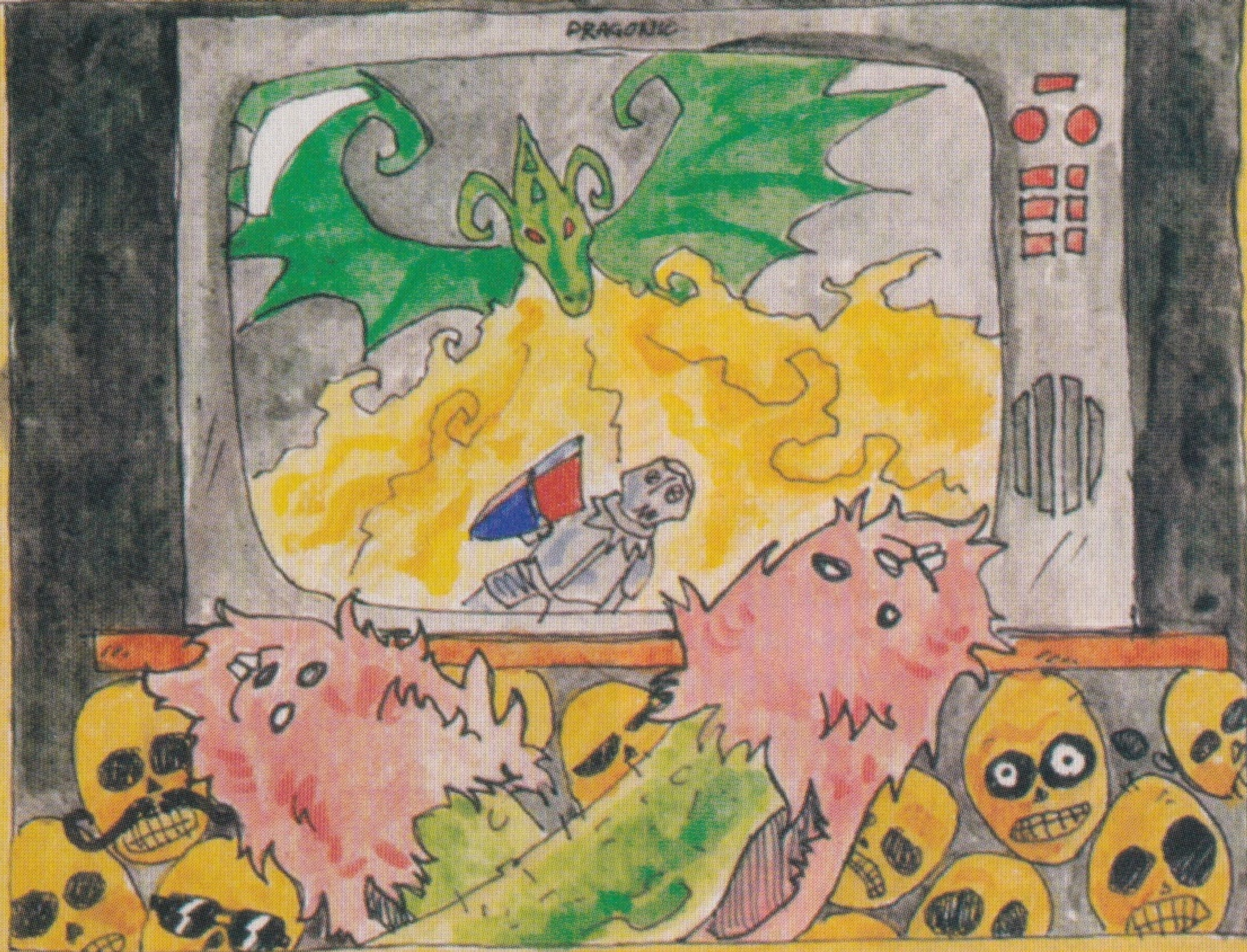


■ tekst i rysunki: Marcin Moroz, kolor: Pit Neb

ZŁEGO SMOKA PRZYPADKI

TXT&GFX: MACIEJ "CZAJNIK" PERKOWSKI

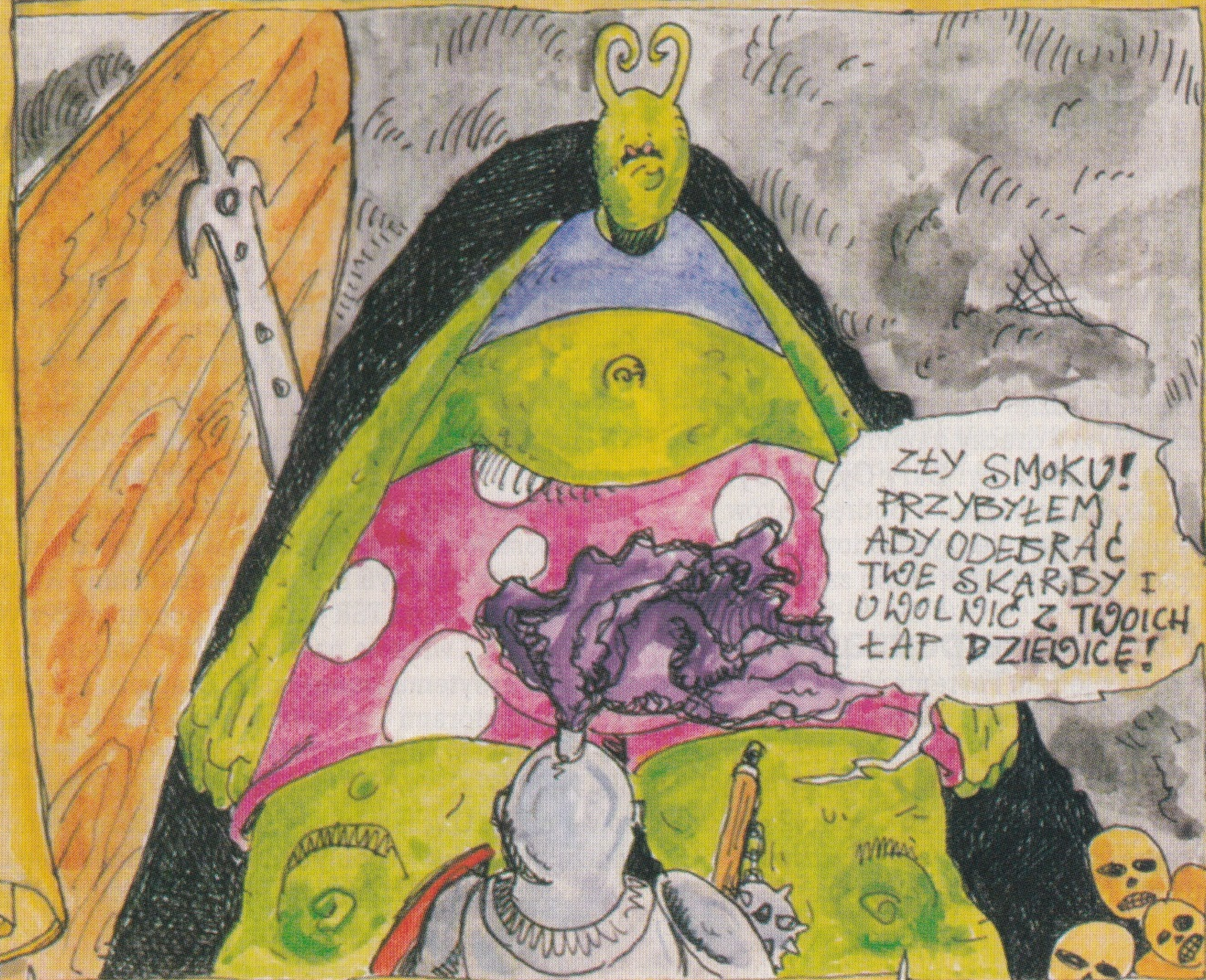














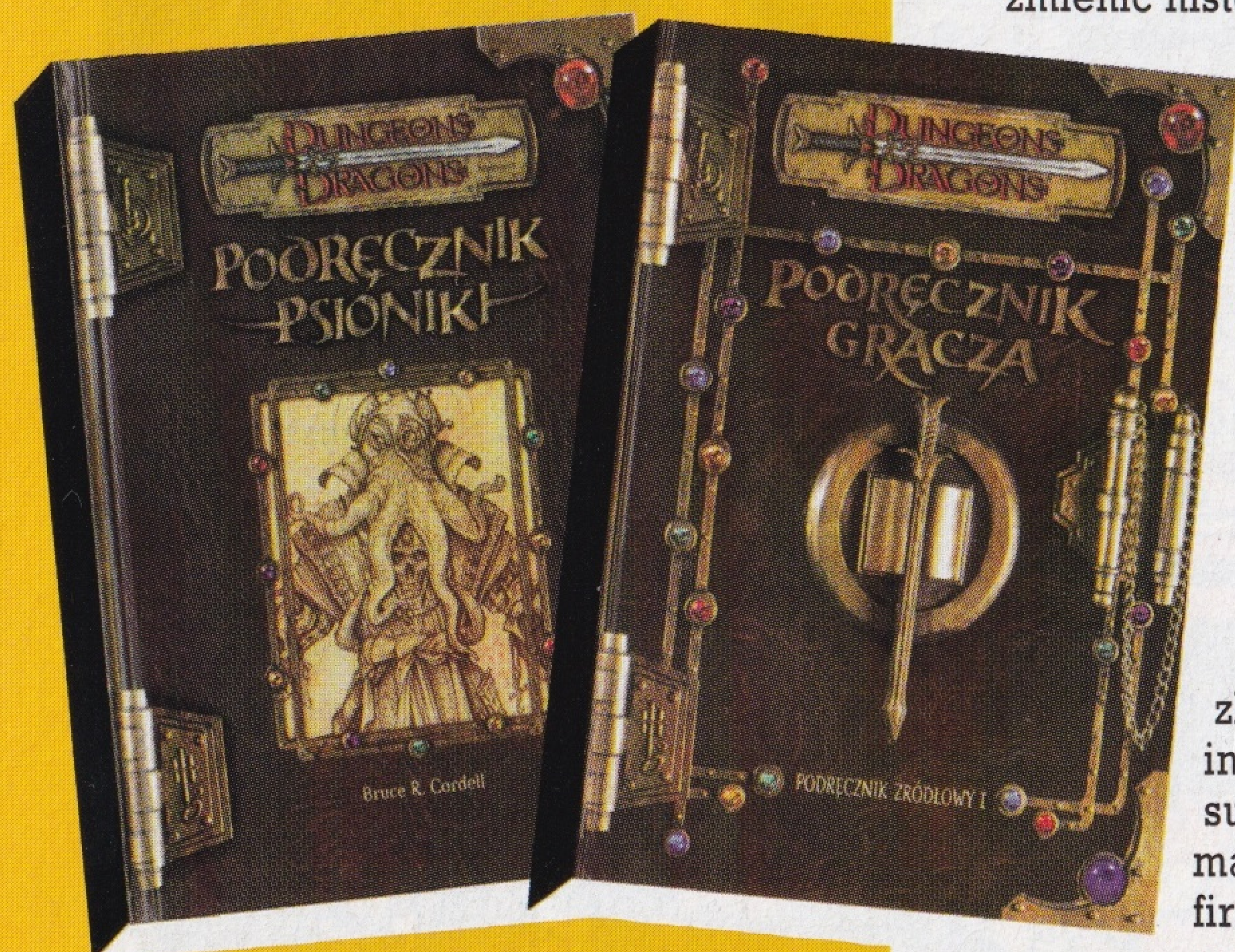
Polski rynek D&D

W Polsce system Advanced Dungeons & Dragons ukazał się dwukrotnie. Najpierw wydawcą była firma TM-Semic, znana z publikowania zachodnich serii komiksowych. Od strony graficznej pierwszemu polskiemu wydaniu nie można wiele zarzucić – wyglądało dokładnie tak jak oryginał. Wiele złego można natomiast napisać zarówno o tłumaczeniu, jak i o redakcji poszczególnych podręczników (szczegóły pominę milczeniem). Prawdopodobną przyczyną spektakularnej klęski tego wydania był właśnie jego poziom merytoryczny. Z tego powodu w praktyce nie nadawał się do użytku.

Drugie wydanie polskie zostało przygotowane przez inną firmę i inne osoby. Wydawcą jest znana w kręgach polskich graczy firma ISA. Opracowane przez nią książki są tłumaczeniem trzeciego wydania amerykańskiego, a podręczniki główne trafiły na rynek w ubiegłym roku. Są doskonale wydane od strony technicznej i dobrze przetłumaczone (udało się też nie przeszarżować z ceną).

Do trzech podręczników źródłowych – „Podręcznika Gracza", „Przewodnika Mistrza Podziemi" i „Księgi Potworów" – dołączyły wkrótce kolejne podręczniki. Najważniejszym z nich jest „Żyjący Greyhawk" – przewodnik źródłowy, będący dokładnym opisem jednego z najstarszych światów gry, wywodzącego się jeszcze z kampanii prowadzonej kilkadziesiąt lat temu przez Gygaxa. Oprócz prezentacji krainy opisuje on też jej historię, zamieszkujące ją rasy, przedstawia najciekawsze miejsca, zawiera pomysły na krótkie i długie przygody.

Trzy kolejne książki, które wydano w naszym języku, to dodatki dla graczy, którzy wcielają się w przedstawicieli określonych profesji. Są to: „Księga i Krew" – książka przeznaczona dla czarodziejów i zaklinaczy, „Miecz i Pięść" – analogiczny dodatek dla wojowników i mnichów oraz „Podręcznik Psioniki", wprowadzający do gry nową klasę i zawierający zbiór reguł nią rządzących. Ostatnio na rynku pojawiła się także nowa przygoda. Nosi ona tytuł „Powrót do Świątyni Złych Żywiołów".





Dungeons
magiczny świat narodził

Zwykłe gry są nudne. No dobrze, może nie teraz, kiedy w większości domów jest komputer. Każdy jego użytkownik może bez problemu stać się czy to wojownikiem, walczącym z hordami potworów w jakiejś fantastycznej krainie, czy też pilotem najnowszego supermyśliwca albo generałem, próbującym zmienić historię. Ale tak nie było zawsze. W latach 60. ubiegłego wieku dość popularną rozrywką w kręgu miłośników gier na Zachodzie były figurkowe gry wojenne – coś w rodzaju dzisiejszego Warhammer Battle, z tym że ze znacznie bardziej skomplikowanymi zasadami. Jednym z graczy, zajmujących się tego rodzaju zabawą, był Gary Gygax. Gygax opublikował nawet kilka podręczników z zasadami i założył międzynarodową federację, skupiającą podobnych sobie zapaleńców.

Piwniczne początki

Gygax wraz z Jeffem Parrentem napisali zbiór przepisów regulujących walkę zarówno indywidualną, jak i zespołową w świecie okresu średniowiecza. Przepisy te nazwano Chainmail (czyli Kolczuga). Podręcznik opublikowała firma należąca do Gygaxa, której siedziba znajdowała się (uwaga, oto potwierdza się następny amerykański mit!) w piwnicy autora. Zbiór „kolczugowych" zasad stał się inspiracją dla Davida Arnesona, który w 1968 roku napisał i pokazał Gygaxowi reguły, zmieniające przepisy Kolczugi tak, by pozwalały one rozgrywać pojedynki jeden na jeden w – uwaga – realiach świata fantastycznego (plotka głosi, że Arneson napisał to po obejrzeniu jednego z odcinków nadawanego wówczas w USA serialu „Star Trek"). Gygaxowi bardzo spodobał się ten pomysł i wraz z Arnesonem stworzyli potem coś, co w zasadzie można już określić mianem pierwszego podręcznika Dungeons & Dragons.

Pojawia się D&D

Wspólnicy ruszyli na poszukiwanie wydawcy. Nie znaleźli jednak żadnej firmy, która podjęłaby się ryzyka wydania gry „nie mającej ani celu, ani końca". Gygaxowi i Andersonowi nie pozostało więc nic innego jak zajęcie się działalnością wydawniczą. Założyli firmę – Tactical Study Research, później przemianowaną na TSR – mającą początkowo wydawać gry historyczne. I właśnie nakładem TSR ukazało się pierwsze wydanie systemu Dungeons & Dragons. Był rok 1974 i nikt – łącznie z autorami – nie przewidywał, że ten produkt odniesie gigantyczny sukces. Pierwsze wydanie było pełne wad, niejasności, błędów i sprzeczności, a mimo to trafiło we właściwą niszę. Okazało się, że istnieje liczne grono ludzi, którzy marzą o tym, by w wolnym czasie przenieść się do świata pełnego magii, gdzie mogą stać się dzielnymi rycerzami,

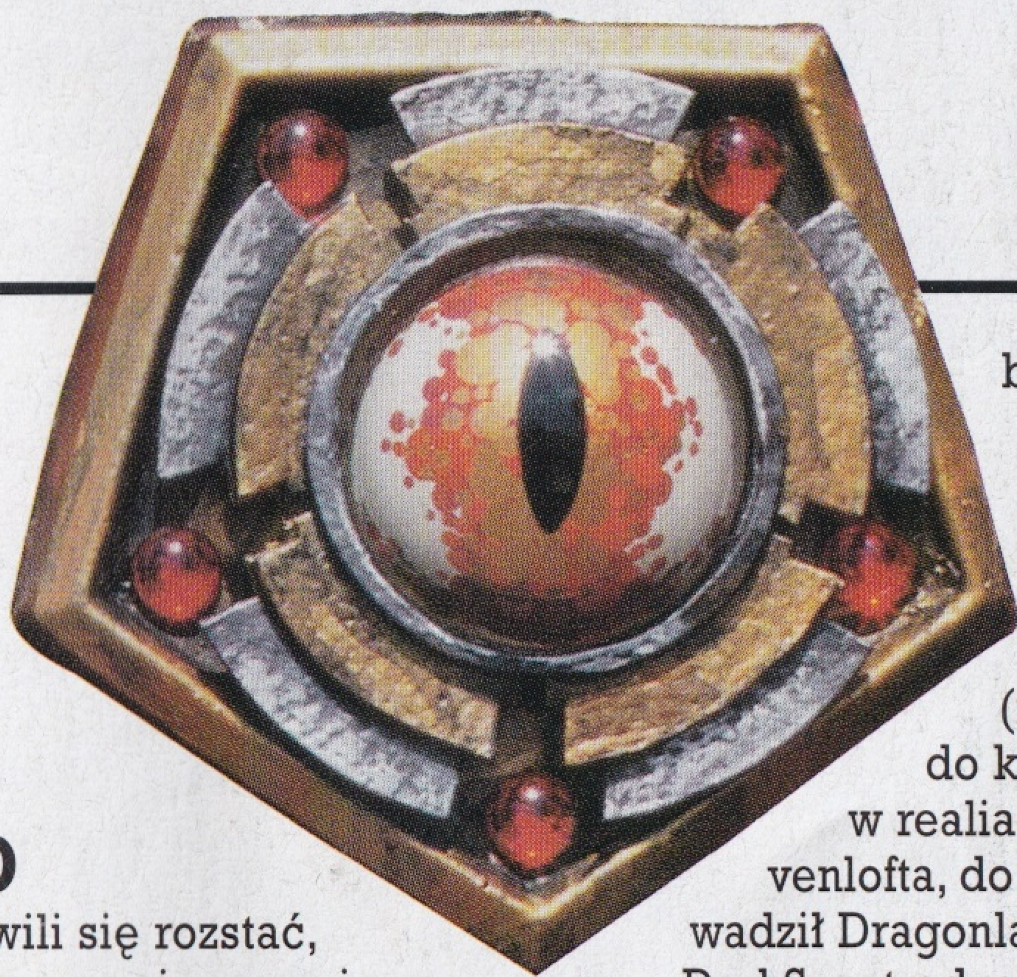


wspaniałymi myśliwymi czy groźnymi czarodziejami. Dzięki poczcie pantoflowej, wymianie doświadczeń i polecaniu sobie tej nowości, gra nie zniknęła z rynku. Początkowo jednak nic nie zapowiadało sukcesu, gdyż D&D był przecież prekursorem całkiem nowego gatunku rozrywki!

Zamówienie: trzy sztuki!

O niepewności, z jaką podchodzono do produktu TSR, niech świadczy fakt, że firma, która dystrybuowała D&D w Wielkiej Brytanii – Games Workshop – zamówiła początkowo jedynie trzy podręczniki. Sprzedaż pierwszego nakładu – tysiąca egzemplarzy – trwała blisko pół roku. Jednak gra spodobała się tak bardzo, że zaczęły powstawać pisma prowadzone przez jej fanów, prezentujące nowe zasady i dodatki do gry. Firma Gygaxa wydała wkrótce nową, poprawioną edycję, zrezygnowała także całkowicie z publikowania gier historycznych, koncentrując się jedynie na role-playing. Sytuacja taka trwała kilka lat – na rynku ukazywały się coraz to nowe podręcz-

& Dragons się w... piwnicy



niki, autorstwa głównie Arnesona, gdyż Gygax skoncentrował się na udoskonalaniu produktu. Pisał w tym czasie grę, która stała się najbardziej znanym systemem RPG na świecie – Advanced Dungeons & Dragons.

Triumf AD&D

Twórcy systemu D&D postanowili się rozstać, gdyż mieli zarówno odmienne koncepcje rozwoju samej gry, jak i prowadzenia firmy. Lata osiemdziesiąte i początek dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku to okres, w którym TSR stała się prawdziwą potęgą na rynku. Firma wydawała w tym czasie liczne podręczniki dodatkowe do AD&D, przygody, opisy światów. Publikowała także inne gry RPG, choć żadna z nich nie dorównała popularnością pierwszemu produktowi.

Sataniści?

Sukces miał jednak także złe strony. Jedną z nich, której echa słychać czasami i dzisiaj, są oskarżenia o propagowanie satanizmu, magii i okultyzmu (można się z nimi spotkać głównie w prasie brukowej oraz chrześcijańskiej). Powodem była niezwykła dokładność Gygaxa, który w jednym z wczesnych bestiariuszy bardzo dokładnie opisał Piekło oraz jego mieszkańców. Opublikowano także kilka przygód, których akcja miała miejsce w tym nieprzyjemnym i śmierdzącym siarką miejscu. Na domiar złego zdarzył się pewien nieszczęśliwy wypadek. Zapalony zwolennik AD&D popełnił samobójstwo, pisząc przed śmiercią coś o lochach i grze. To wystarczyło, by atmosfera wokół AD&D zaczęła się psuć. Echa tych afer dotarły także do Polski i w rozmaitych pismach kościelnych można także i teraz spotkać się z pseudonaukowymi wywodami, dowodzącymi szkodliwości gier fabularnych.

Mnogość światów

Pod koniec lat osiemdziesiątych TSR opublikowała drugie wydanie Advanced Dungeons & Dragons. W podręcznikach, które wchodziły w skład zestawu głównego, poprawiono większość błędów i umieszczono w nich przepisy pozwalające grać w zasadzie w dowolnych realiach fantastycznych. Zabrakło zarówno opisów świata, jak i bestiariusza. Tego rodzaju dodatki ukazywały się już oddzielnie. W latach świetności TSR publikowała dodatkowe podręczniki do około 10 różnych światów. Przedstawicielem typowego fantasy były Zapomniane Krainy (nieco odmienny charakter miały Greyhawk, do którego jeszcze wrócimy, oraz Lankhmar), w realiach gotyckiego horroru toczyła się akcja Ravenlofta, do uniwersum pełnego magii oraz smoków prowadził Dragonlance, apokaliptyczny świat przedstawiał DarkSun, tradycję i kulturę zbliżoną do arabskich baśni oraz legend ujawniał Al-Quadim. Ponadto stworzono również zdumiewające i wymykające się gatunkowym przyporządkowaniom uniwersum Planescape.

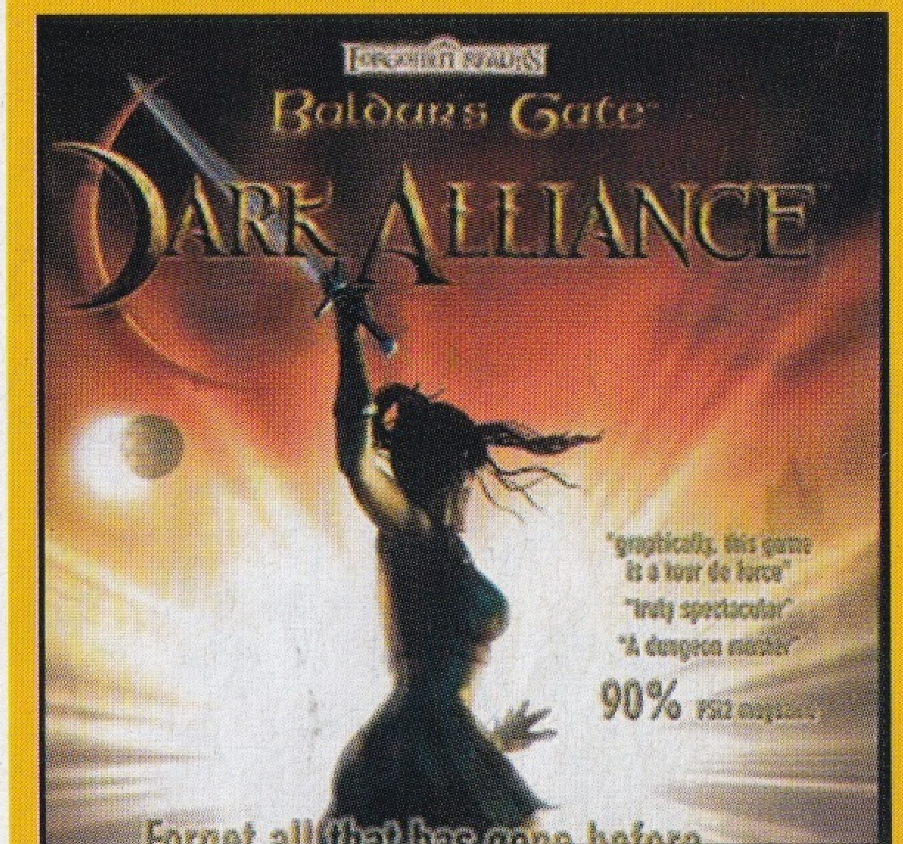
Mnogość kapuchy...

Do każdego z tych światów publikowano książki z przygodami, specjalne podręczniki z opisami potworów, skarbów, czy miejsc wartych odwiedzenia. Ukazywały się także podręczniki dodatkowe, rozwijające zasady dotyczące poszczególnych klas postaci, zawierające opisy dodatkowych umiejętności i czarów. Działalność wydawnicza TSR była w tym okresie bardzo bogata. W ciągu roku ukazywało się blisko sto pozycji przeznaczonych do wykorzystania w grze!

Gry komputerowe

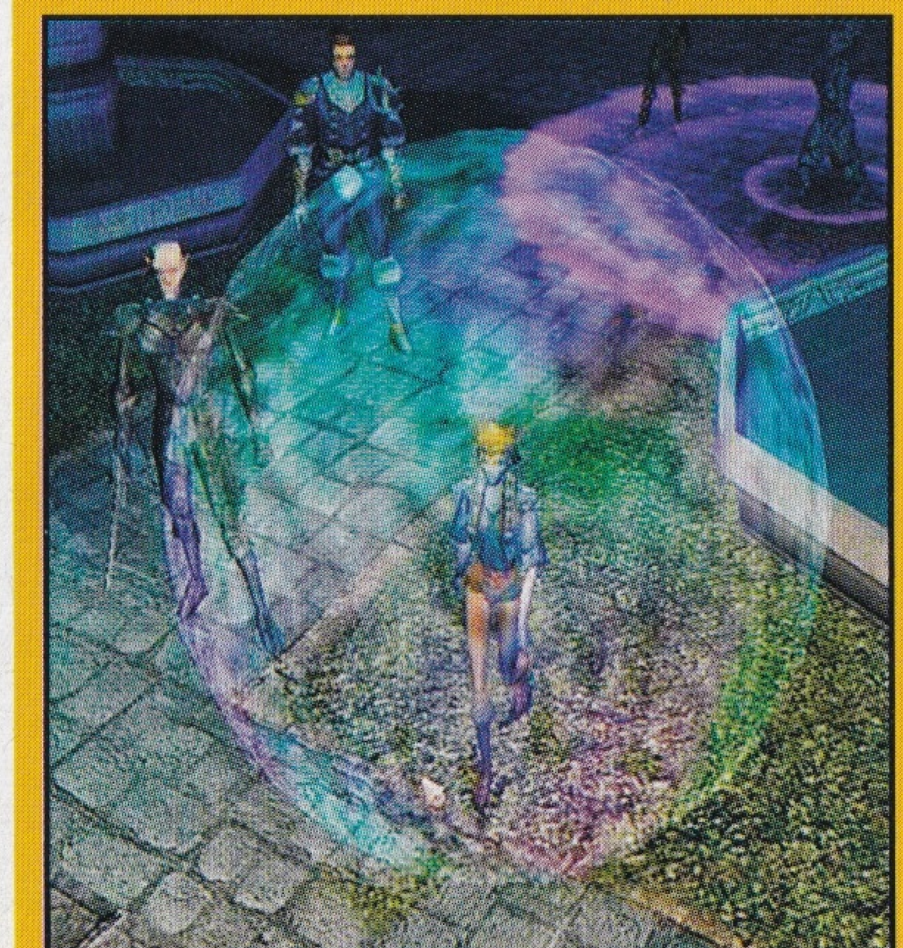
System Advanced Dungeons & Dragons odniósł taki sukces, że pojawienie się gier komputerowych, których akcja toczyłaby się w miejscach znanych z wersji papierowej, było jedynie kwestią czasu. W trakcie ponad dwudziestu pięciu lat istnienia system przenoszono na ekran komputera około 30 razy!

Większość gier została opracowana przez firmę SSI, do której przez długi czas należały wyłączne prawa do produktów komputerowych z logiem TSR. SSI wyprodukowała tytuły, z których część weszła do kanonu komputerowych gier fabularnych (takie jak Pool of Radiance, Eye of the Beholder czy tytuły ze świata Ravenloftu).



Jeszcze lepsze czasy dla komputerowych wersji przygód AD&D nadeszły wraz z bankructwem TSR. Licencję na produkcję gier komputerowych otrzymała firma Interplay, która wydała tak udane tytuły jak Baldur's Gate czy Icewind Dale. Sukces tych programów spowodował odrodzenie podupadającego gatunku. W minionych dwóch, trzech latach na rynku ukazało się co najmniej kilka interesujących gier.

Akcja części z nich osadzona jest w światach D&D – mam tu na myśli zwłaszcza Neverwinter Nights. Warto zwrócić na ten tytuł szczególną uwagę, gdyż dzięki niemu gracz może zamienić się w komputerowego Władcę Podziemi i samodzielnie stworzyć własną krainę (bohaterów, potwory, skarby itp.). Władca Podziemi może następnie zaprosić do zabawy innych graczy, cały czas kontrolując przebieg przygody i wpływając na jej fabułę. Innymi słowy – komputer staje się pośrednikiem, jakim niegdyś były ołówki i kartki papieru, służące do zapisywania wartości dziesiątków cech, umiejętności i skarbów.



Książki

Liczba tytułów książkowych, których akcja toczy się w licznych światach AD&D i D&D sięga kilkuset pozycji! Siłą rzeczy reprezentują one bardzo różny poziom. Część z nich to nic innego jak fabularyzowane przygody, pisane czasami albo przez amatorów, albo przez początkujących pisarzy. Jeszcze inne to doskonałe powieści fantasy, ze świetnie nakreślonymi postaciami i pasjonującą fabułą. Klasą samą w sobie są niektóre powieści ze świata Ravenloft („Wampir z mgieł", „I", „Strahd") i cykl przygód Mrocznego Elfa Drizzta Do-Urdena autorstwa R. S. Salvatore'a. Każdy, kto chciałby zorientować się, jak wyglądają przygody w światach Dungeons & Dragons, może przeczytać którąś ze stosunkowo licznych książek sygnowanych logiem gry, jakie ukazały się w Polsce.

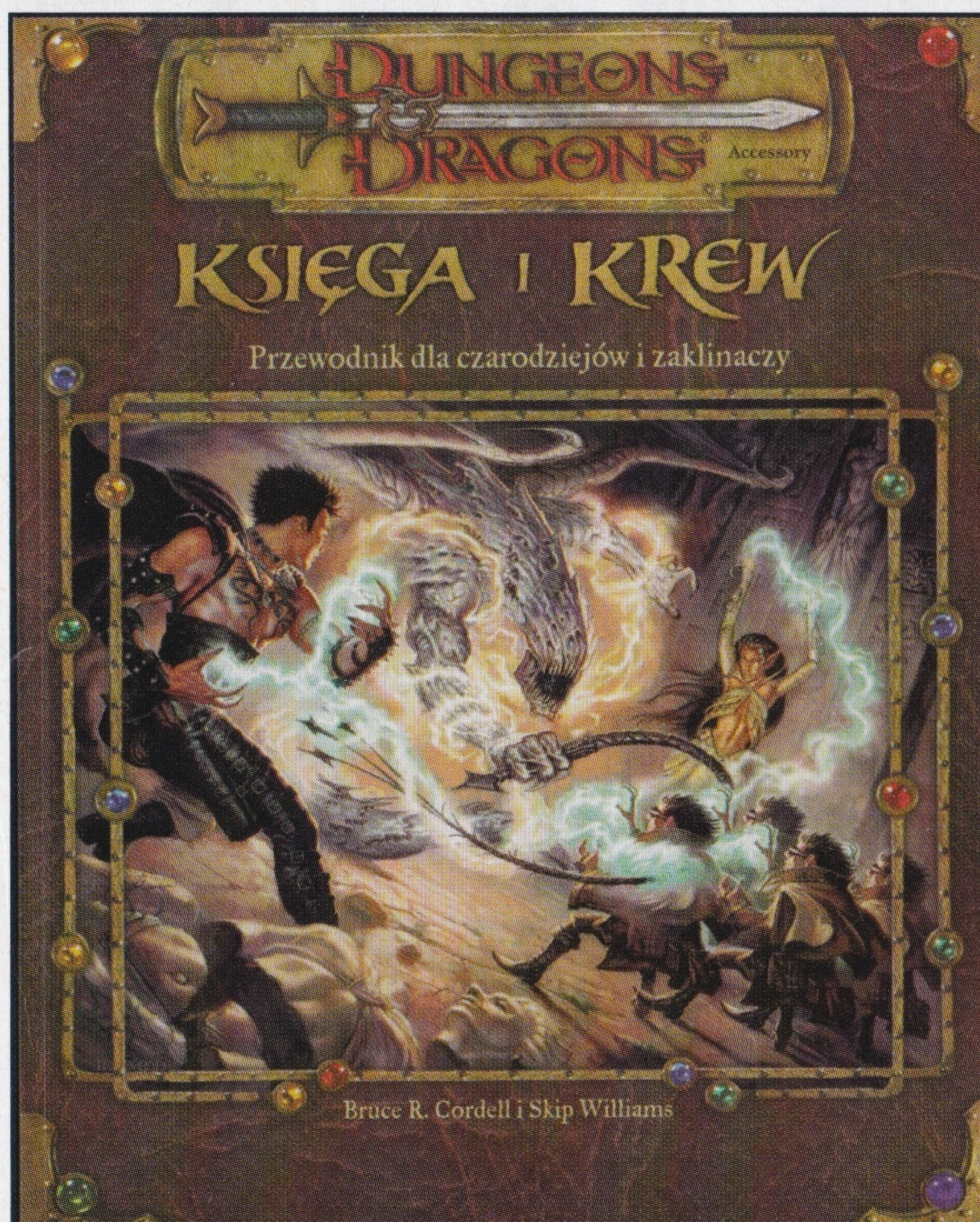


Filmy

Zrealizowano tylko jeden wysokobudżetowy film fabularny, który otwarcie przyznawał się do związków z grą. Nosił on tytuł „Dungeons & Dragons: The Movie" i nie spełnił do końca oczekiwań miłośników gry. Stosunkowo prosta fabuła została wzbogacona o dość spektakularne efekty specjalne, ale bohaterowie filmu zachowywali się w sposób raczej infantylny. Jednak w „D&D: The Movie" występuje wiele elementów i postaci znanych z systemu: przyjazne i wrogie smoki, źli czarnoksiężnicy i dobrzy magowie, zuchwałe i opryskliwe krasnoludy, tajemnicze i wywyższające się nad inne rasy elfy.

Inne filmy, w których wykorzystywano logo AD&D, to filmy rysunkowe. Powstało co najmniej kilka serii, z których kilkanaście pojedynczych odcinków prezentowano także w Polsce.





Pojawiają się rywale

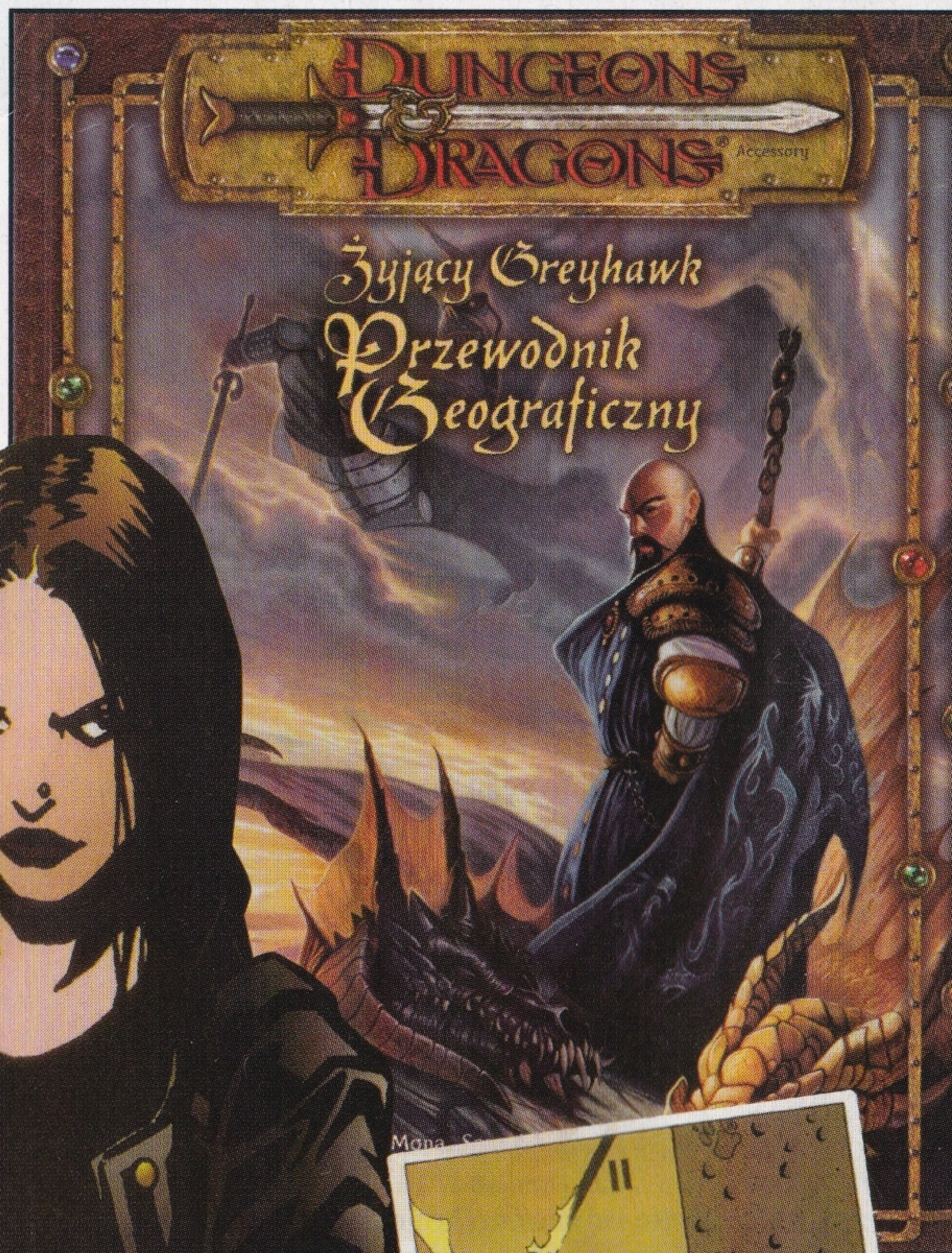
Niestety, po latach tłustych nadeszły dla TSR lata chude. Nagle okazało się, że wyrosło nowe pokolenie, któremu grzeczne opowiastki, dość charakterystyczne dla produktów TSR, przestały wystarczać. Ci gracze odnaleźli się w grach, których akcja toczy się w Świecie Mroku (Wampir: Maskarada, Wilkołak: Apokalipsa itp.). Na domiar złego na rynku pojawiła się bardzo groźna konkurencja – gry karciane, a szczególnie Magic: The Gathering, wydawana przez firmę Wizards of The Coast. Nowy rodzaj gry, połączenie hobby polegającego na kolekcjonowaniu kart i możliwości zabawy, okazał się prawdziwym strzałem w dziesiątkę. Tysiące młodych ludzi rzuciły w kąt podręczniki do AD&D (i innych gier fabularnych) i zajęły się zbieraniem prostokątnych tekturek. Sprzedaż gier fabularnych zaczęła znacząco spadać. Dotknęło to wszystkich wydawców, ale jednym z największych przegranych okazał się TSR. Na spadek koniunktury nałożyły się błędy kierownictwa firmy. W rezultacie zaczęto zamykać poszczególne serie produktów, zaprzestano wydawania niektórych dodatków, próbowano także skorzystać z popularności karcianek wydając własną, co jednak okazało się przysłowiowym gwoździem do trumny. Wszystko na nic. Firma w 1997 roku stanęła na krawędzi bankructwa. Ironię losu stanowi fakt, że wykupiła ją spółka, która jak żadna inna przyczyniła się do jej upadku – Wizards of The Coast.

Historia zatacza koło

Nowy właściciel zaprzestał wydawania kilku serii, wznowił część wcześniej zarzuconych, ale wszystko to było jedynie przygotowaniem do wydania nowej edycji gry. Ukazała się ona w roku 2000 – tym razem pod tytułem Dungeons & Dragons. Nowa wersja charakteryzuje się nieco uproszczonymi zasadami – wszystkie sytuacje w grze można rozstrzygnąć za pomocą rzutu dwudziestościennymi kośćmi. Zlikwidowano większość skomplikowanych, pełnych niejasności przepisów (zwłaszcza dotyczących walki na odległość), stworzono także system, który można wykorzystać do prowadzenia gry w dowolnym świecie. Mechanika prowadzenia rozgrywki, stworzona przez Wizards of The Coast, stała się na tyle popularna, że licencję na jego wykorzystanie wykupiła praktycznie każda licząca się firma w świecie RPG. Decyzja była prosta – aby przetrwać, konieczne stało się przystosowanie do standardu narzuconego przez największego gracza na rynku.

W tym roku ukazało się nowe wydanie gry, w którym poprawiono dostrzeżone błędy – fani nazywają je wydaniem 3.5 (nasuwa się analogia z rynkiem komputerowym, gdzie także raz na jakiś czas ukazują się nowe wersje programów pełne funkcji, które – najczęściej – nie są do niczego potrzebne, ale płaci się za nie ciężkie pieniądze).

■ Artur Marciniak, zdjęcia: arch. wydawnictwa Bauer; ilustracje: Wizards of the Coast, TSR, ISA; materiały graficzne dostarczyła ISA





Książki

Oryginalny świat, przedstawiony w grze fabularnej Wilkołak: Apokalipsa, doczekał się licznych opowiadań i powieści wydanych nakładem wydawnictwa White Wolfe. W Polsce ukazał się tylko jeden zbiór zatytułowany „Kiedy ogarnie cię szał". Warto zauważyć, że ma on cechy charakterystyczne dla wszystkich dzieł literackich osadzonych w tym świecie. Opowiadania mówią o walce garou z zepsuciem toczącym ich świat, o ich osamotnieniu w tej walce, o bezrozumnej wściekłości i szale. Obecnie dostępnych jest około tuzina innych książek opowiadających o garou, większość z nich należy do serii „Tribe". W Polsce można je kupić za pośrednictwem księgarni internetowych takich jak Amazon.com lub bezpośrednio na stronie internetowej wydawnictwa White-Wolf.

Gry komputerowe

Miłośnicy gier komputerowych będą zawiedzeni. Dotychczas nie ukazała się żadna gra, której akcja toczy się w świecie mroku, a fabuła opowiada o garou. Jakiś czas temu pojawiły się zapowiedzi WEREWOLF: THE APOCALYPSE HEART OF GAIA Computer Game, której producentem było studio ASC Games. Fabuła opowiadała o szesnastolatku, który był świadkiem gwałtu i makabrycznego zabójstwa swej matki. Ryan – bohater – stawia sobie za cel znalezienie tajemniczego mordercy i niewidzianego od lat ojca. Okazuje się, że jest „zaginionym szczenięciem" – garou, który nie wie o swym pochodzeniu. Na drodze prowadzącej do rozwiązania tajemnicy jego rodziny czeka go spotkanie z Tancerzami Czarnej Spirali, wrogimi duchami i nie zawsze przyjaznymi garou.

Informacje na temat gry są raczej skąpe – wiadomo że powstawała w oparciu o zmodyfikowany silnik UNREAL, że miała być przygodówką z licznymi elementami walk i akcji. Wyobraźnię fanów rozbudziły screeny, jakie pokazano w Sieci. Widać na nich garou w walce, używające darów, przemieniające się w rozmaite formy człowieka-wilka znane z papierowej gry. Cóż – ostatnie informacje o grze pochodzą sprzed dwóch lat, firma ASC Games już nie istnieje i powstanie W:TA HEART OF GAIA jest – niestety – raczej mało prawdopodobne.



Hmm, ze screenshota wynikałoby, że raczej nie ma co żałować tej gry...



WILKOŁAK

Umieram... Moje ciało przegrało walkę z trucizną, ginę od ukąszenia stworzenia Żmija. Umieram powoli. Powoli umiera też nasza Matka. W jej żyłach także płynie trucizna, robaki toczą jej ciało, zepsucie przenika ostatnie enklawy czystości. My, jej dzieci, kość z jej kości, krew z jej krwi, walczymy o jej życie, lecz i wśród nas coraz mniej jest tych, którzy wierzą w zwycięstwo w tym starciu.

Nasza Matka zmienia się. Miejsca, gdzie kiedyś szumiał gęsty las, gdzie niegdyś po bezkresnych przestrzeniach goniły watahy naszych wilczych braci, zajęły betonowe monstra – miasta – wrzody na ciele Gai. Ciężko pisać o upadku, o krańcu świetności naszej rasy, o zagładzie i apokalipsie. Nie jest jednak naszą winą, że przyszło nam żyć w czasach, kiedy ma miejsce finał zmagań między Gają a Żmijem, między Czystością i Naturą, a Zepsuciem i Techniką. Naszym udziałem jest życie w czasach, gdy zbliża się decydująca bitwa, apokalipsa, zwana armageddonem. Każdy bój ze sługami Żmija, wielkiego przeciwnika naszej Rodzicielki, jest starciem w tej Ostatecznej Walce. Smutek przepełnia me serce, gdy widzę powolną śmierć naszej Matki i gasnącą świetność mej rasy. Nie wszystko jednak jest stracone, wciąż jeszcze zdolni jesteśmy do czynów wielkiej wagi.

Piszę w nadziei, że zapiski te przysłużą się kiedyś jakiemuś zaginionemu szczenięciu garou, który nie jest świadomy swej istoty. Miota się w świecie ludzi lub wilków, zepchnięty poza nawias ich społeczeństwa. Może dzięki mym słowom zdoła przebudzić w sobie Ducha, może wróci do swoich. Tam pozna przepowiednię Feniksa, a jakiś filodoks, mądry szczepu, przekaże mu całość wiedzy naszej rasy.

Wszystko zaczęło się w Czasie Przed Czasem, kiedy trzy najwyższe byty – Tkaczka, Dzikun i Żmij tworzyły Wszechświat. My, garou, nazywamy je Triadą. Dzikun to Chaos, z którego powstawało tworzywo, przerabiane przez Tkaczkę – pajęczycę Porządku – na nić będącą osnową wszechświata. Rolą Żmija było dbanie o zachowanie równowagi pomiędzy Porządkiem a Chaosem. Byty te istniały w idealnej równowadze, stało się jednak coś, co zakłóciło kosmiczny porządek. Sądzimy, że oszalała Tkaczka chciała uwięzić wszechświat w pajęczynie, co z kolei dało początek szaleństwu Żmija i jego przemianie w Niszczyciela oraz Plugawca. Jak było naprawdę, nie ma w tej chwili żadnego znaczenia. Ważne jest, że Żmij oraz jego rozliczni słudzy są naszymi wrogami.

Oprócz Triady istnieją też byty podobnego rodzaju, lecz o mniejszej potędze – wciąż jednak ogromnie silne. To Celestiny – Luna i Helios. Oddajemy im cześć. Są także słabsze od nich duchy – Incarna – będące często totemami naszych plemion, naszymi legendarnymi bohaterami i półbogami. Spotykamy także liczne duchy pomniejsze, zarówno przyjazne nam i neutralne, jak i służące Żmijowi. Te ostatnie, duchy nieczyste i skalane, nazywamy Zmorami. Zazwyczaj spotykamy je w Umbrze, magicznym świecie ducha, do którego potrafimy się przenieść. Czasami jednak można je także spotkać w świecie realnym.

Początki istnienia naszej rasy – garou – skrywa mrok niepamięci. Nie jesteśmy ani ludźmi, ani wilkami, choć potrafimy przyjmować ich postacie. Nie jesteśmy zresztą jedynymi istotami tego rodzaju, istniało wiele podobnych nam ras, które – w swej głupocie i pysze – zraziliśmy do siebie próbami ich eksterminacji. Dawniej, setki lat temu, Gaja była piękna i czysta. Ziemię porastały wysokie drzewa, miękka trawa szumiała na brzegach czystych wód, osady ludzi były nieliczne i małe, duchy natury potężne. Nasze plemiona opiekowały się caernami – miejscami mocy, gdzie od niepamiętnych cza-

Witajcie wędrowcy w świecie mroku





Postęp postępem, a i tak wiadomo, że na potwory najlepszy jest ostry kawał żelaza, szczególnie skuteczny w rękach pięknej kobiety

APOKALIPSA

sów gromadzimy się, by odprawiać święte rytuały, by komunikować się z duchami i słuchać głosu Gai. W tym czasie wprowadziliśmy Impergium – zamknęliśmy ludzi w wioskach i miastach, sprawiliśmy, że z bojaźnią słuchali wycia wilka, wpatrywali się ze strachem w ciemności nocy, z obawą zapuszczali się w leśne ostępy. Ubocznym skutkiem naszych działań było Delirium – stan, dzięki któremu możliwe jest obecnie istnienie naszej rasy. Lata Impergium doprowadziły do tego, że człowiek, który ujrzy wilkołaka w postaci crinosa – potężnego człowieka-wilka – wymaże ten obraz ze swojej pamięci, a skutki spotkania postara się wyjaśnić w racjonalny sposób. Dzięki temu udaje nam się żyć poza świadomością ludzi. Są oczywiście i tacy, którzy wiedzą o nas – to nasi Krewniacy, ludzie w których żyłach płynie nasza krew, ale nie należą do garou.

Na świecie istnieją obecnie następujące plemiona naszej rasy. Czarne Furie – plemię złożone praktycznie w całości z samic, wywodzących się z terytorium starożytnej Grecji. To mścicielki Dzikuna, obrończynie ostatnich źródeł czystej magii w świecie. Czerwone Szpony – członkowie tego plemienia to niemal wyłącznie lupusy – garou zrodzone z wilków. Wierzą, że jedynie całkowita eksterminacja ludzi przywróci pierwotne piękno Gai. Kolejnym szczepem są Dzieci Gai – to garou pragnący prawdziwej jedności ze światem, słudzy i miłośnicy Natury. Czwartym plemieniem są Fianna, garou o korzeniach celtyckich. Można ich określić mianem strażników tradycji naszej rasy. Gnatożuje, następne plemię, to garou bytujące w miastach ludzi. Wiodą najczęściej nędzne życie, inne wilkołaki traktują je z pogardą. Również w miastach żyją Tubylcy Betonu – ci jednak przystosowali się do bytowania w miejskiej dżungli, chętnie korzystają też z nowoczesnych technologii. Na swych szlakach możesz także napotkać garou z plemienia Milczących Wędrowców. To tajemniczy podróżnicy, wędrujący od caernu do caernu, od zgromadzenia do zgromadzenia, znakomici znawcy świata duchów. Nieulęknionymi przeciwnikami Żmija są garou z plemienia Pomiot Fenrisa – heroldowie śmierci i zniszczenia, herosi walki, stworzeni do boju, nienawidzący wrogów, straszni w szale. Arystokracją garou są Srebrne Kły – plemię mędrców, bohaterów i artystów. Jeśli nosisz w sobie cząstkę krwi pierwotnych mieszkańców Ameryki, istnieje szansa, że pochodzisz z plemienia Uktena. To przebiegli, pełni sprytu garou, doskonale rozumiejące duchy. Innym plemieniem związanym z Indianami są Wendigo – mistrzowie sztuki przeżycia, doskonali łowcy i wojownicy. Ostatnim plemieniem naszej rasy są Władcy Cieni – nieprzejednani w walce, pełni ambicji i odwagi, wodzowie i przywódcy.

Niestety, ze smutkiem i z wściekłością muszę przyznać, że istnieją garou, które poddały się Żmijowi i przeszły na jego służbę. To Tancerze Czarnej Spirali, przemienione i spaczone wilkołaki, niegdyś z plemienia Białych Wyjców. Wieki temu przepędziliśmy je w głąb Ziemi, od tej pory ulegli zmianom, przeistoczyli się w groźny pomiot Żmija, w posłusznych wykonawców jego woli. Są tym niebezpieczniejsi, że dysponują mocami podobnymi do naszych.

Mamy też wielu innych wrogów. To wampiry – krwiopijcy, władcy miast ludzi, którzy nocami snują swoje intrygi. Są też pewni ludzie obdarzeni wielkimi mocami – magowie – którzy kradną moc naszych caernów.

Trudno mi dalej pisać... Ból rozrywa mi wnętrzności, ręka drży, oczy zasnuwa mgła zbliżającej się śmierci... Mam nadzieję, że chociaż ty zobaczysz kiedyś nieskalane lasy Gai...

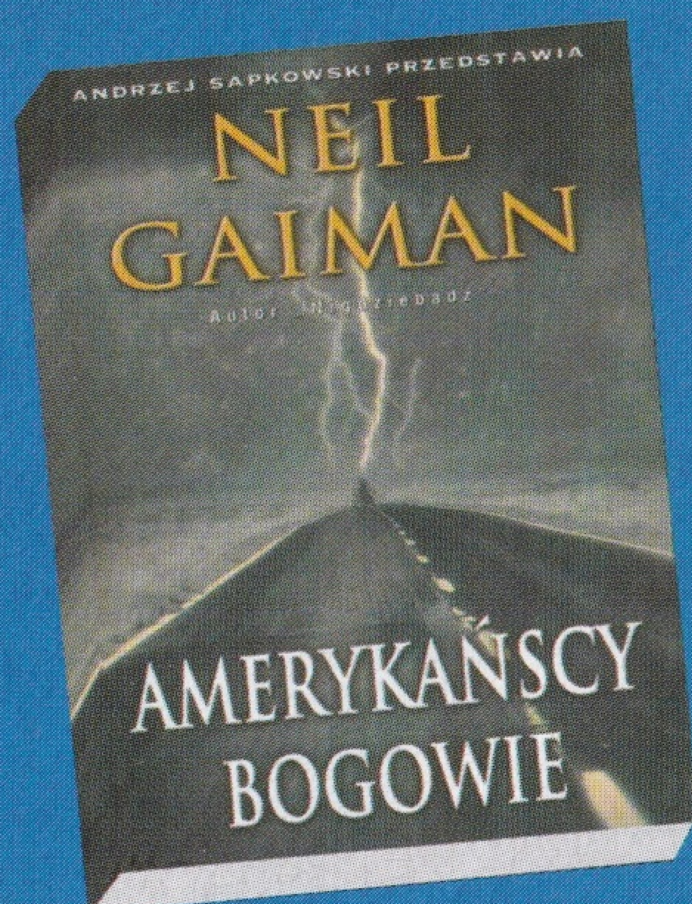
■ Artur Marciniak, zdj. White Wolfe, ISA



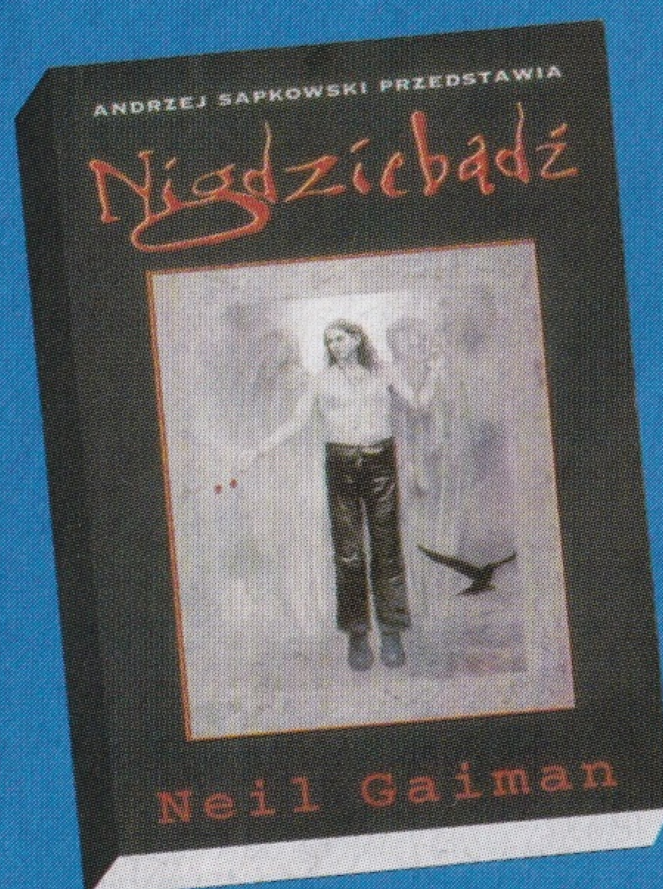
Wilkołaki w Apocalypse nie stronią od zdobyczy nowoczesnej technologii...



A fuuuu, ale paskudnik. Ciekawe, że gracze chcą się wcielać w takie koszmarki



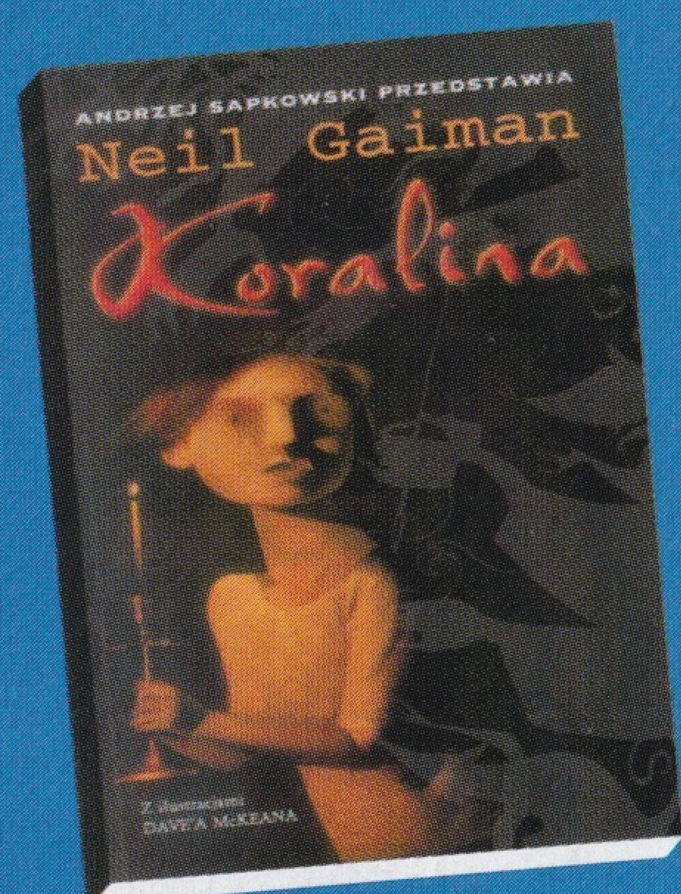
Niesamowita powieść, której akcja toczy się we współczesnej Ameryce. Tyle, że pojawiają się tam dawni bogowie



Dramatyczna historia człowieka, który żyje na pograniczu dwóch światów – magicznego i realnego



Rewelacyjny zbiór opowiadań, zawierający niestety również domieszkę w postaci bardzo słabych wierszy



Nawiązanie do „Alicji w Krainie Czarów", ale w odróżnieniu od swego wielkiego poprzednika Gaiman straszy



Neil Gaiman
CZŁOWIEK

Jeszcze kilka lat temu Neil Gaiman właściwie pozostawał u nas nieznany. Oczywiście miłośnicy komiksów kojarzyli to nazwisko, poza tym jednak funkcjonował jedynie jako współautor (ze znacznie popularniejszym Terrym Pratchettem) zabawnej powieści fantasy „Dobry omen". Potem nieśmiało zaczęły ukazywać się opowiadania – jedno, drugie, czwarte... A za nimi w dość szybkim tempie powieści (polecane przez Andrzeja Sapkowskiego w jego MAGowskiej serii). I zaskoczyło. Dwie ostatnie, „Amerykańscy bogowie" (jedyna bodaj w historii powieść wyróżniona czterema najważniejszymi „fantastycznymi" nagrodami – Hugo, Nebulą, nagrodą Brama Stokera i World Fantasy Award) oraz „Koralina", stały się już, jak na nasze skromne nakłady, bestsellerami. Na rynku pojawiły się komiksy Gaimana, przede wszystkim legendarny już „Sandman", seria, dzięki której zdobył sławę, uznanie fanów i krytyki oraz sporo swobody artystycznej.

Kim jest Gaiman?

Pytanie z pozoru proste, a przecież nie tak łatwo na nie odpowiedzieć. Kim jest? Anglikiem w średnim wieku, ojcem rodziny, szanowanym literatem. Jeśli komuś przemknie przez głowę wizja młodszej wersji

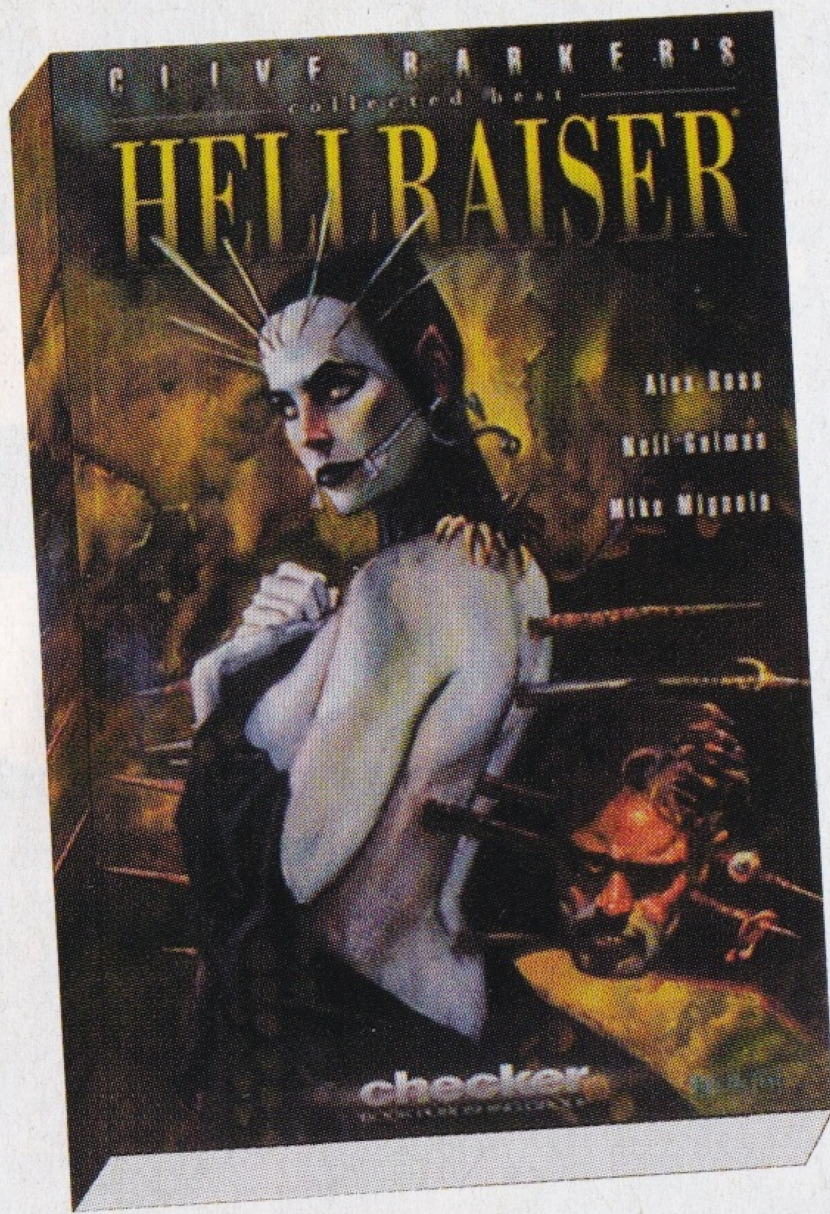


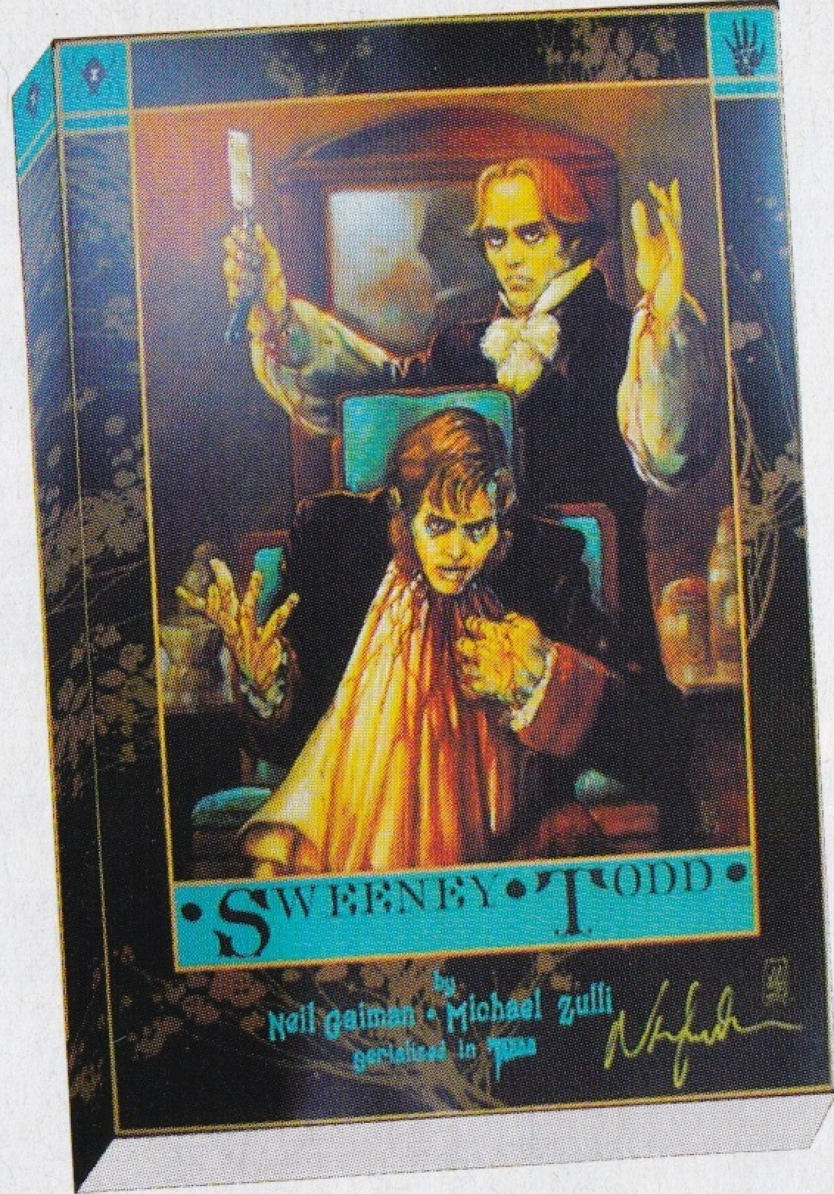
profesora Tolkiena, uprzedzam od razu, że się myli.

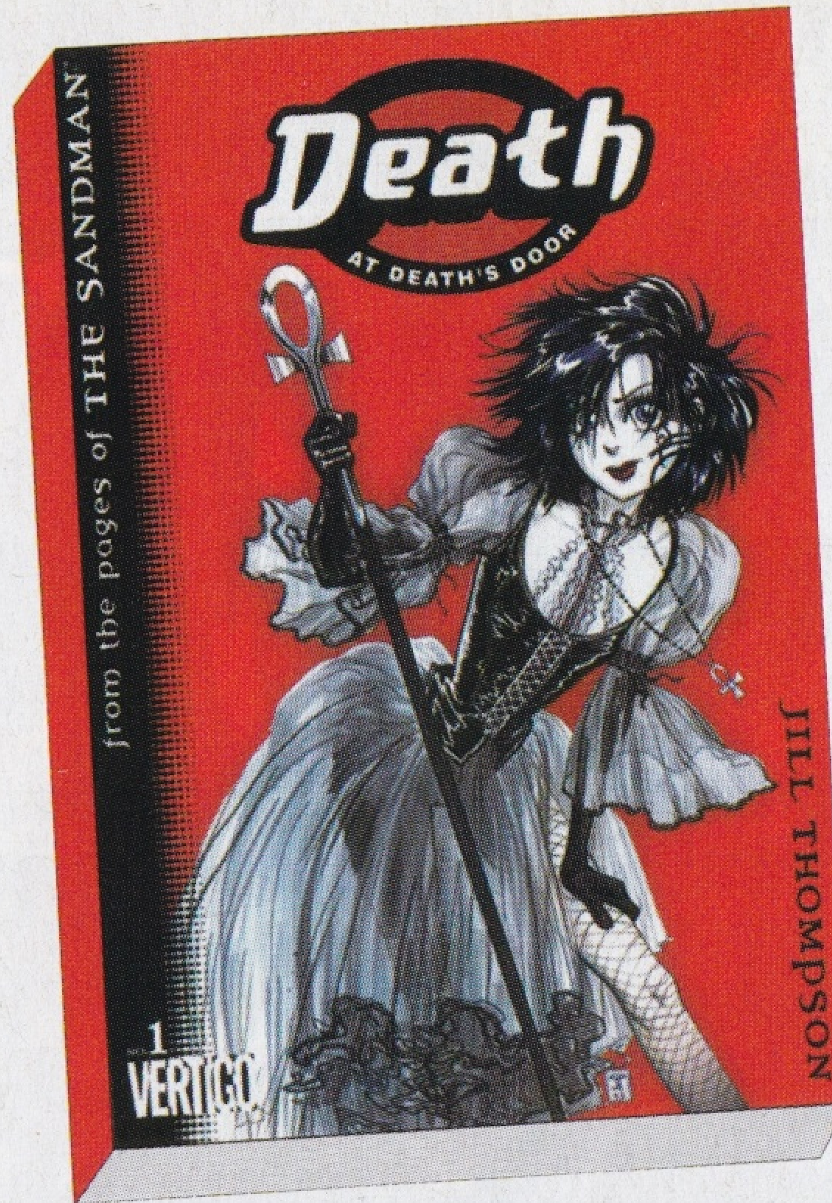
Gaiman nie nosi tweedowych marynarek ani nie pali fajki, z wyglądu przypomina muzyka rockowego. Zwykle ubiera się mniej lub bardziej na czarno, a zachowaniem dalece odbiega od typowej angielskiej flegmy (zresztą od ponad dziesięciu lat mieszka w Stanach).

Może zatem podejdźmy do tego pytania od strony twórczości? Ha, i tu sprawa się komplikuje. Mamy bowiem Gaimana – pisarza, Gaimana – twórcę scenariuszy komiksów, Gaimana – autora wierszy, słuchowisk, scenarzystę, adaptatora, dziennikarza, ba!, również reżysera (trwają własnie prace nad jego pierwszym filmem pełnometrażowym: „Death: The Hight Cost of Living"). Z dużym upodobaniem czyta publicznie własne utwory, nagrał nawet płytę, a fanów informuje na bieżąco o własnych planach i najnowszych zajęciach, prowadząc sieciowego bloga (coś w rodzaju publicznego dziennika-pamiętnika, uaktualnianego na bieżąco). I jak go zaklasyfikować?

To może tak: urodził się 10 listopada 1960 roku (znak zodiaku: skorpion). Echa dzieciństwa można znaleźć w opowiadaniu „Jedno życie, urządzone w stylu wczesnego Moorcocka" – dużo książek, protestancka szkoła, żydowskie wychowanie... Potem praca dziennikarza w bardzo różnych pismach (także tych dla panów – a pamiętajmy, że pisma dla panów nieźle komponują się z fantastyką, dzięki zamieszczanym w nich opowiadaniom), po







drodze książki niebeletrystyczne, także powiązane z fantastyką. W 1987 roku pierwszy komiks. Rok później – pierwszy „Sandman"...

Gwiazda

Obecnie Gaiman jest gwiazdą. Może jeszcze nie formatu Stephena Kinga, ale gwiazdą niewątpliwą. Ma swoich oddanych wielbicieli i fanatycznych wyznawców. Jego trasy promocyjne przyciągają tysiące ludzi, a książki trafiają na listy bestsellerów. Imponujące. Poza tym Gaiman jest postacią niezwykle medialną. Sam pracował jako dziennikarz i świetnie umie sobie z mediami oraz publicznością radzić. Na spotkaniach autorskich czuje się jak ryba w wodzie, potrafi nawiązać kontakt z czytelnikami, cierpliwie odpowiada na pytania i pozuje do zdjęć.

Postmodernista

Gaiman to naprawdę bardzo utalentowany i ciekawy twórca, czerpiący pełnymi garściami z różnych mitologii, odwołujący się do dzieł innych artystów oraz do znanych symboli kulturowych.

się jedynym komiksem uhonorowanym World Fantasy Award w kategorii najlepszego opowiadania.)

Jak zatem wygląda sam cykl? W sumie dość skromnie. Sandmanowski kanon to 75 zeszytów regularnej serii (zebranych potem w dziesięciu tomach, z których na naszym rynku jak dotąd ukazały się trzy pierwsze) plus wydania specjalne, dodatki, odpryski (najnowszy, „Endless Nights", ukazał się jesienią 2003). Bohaterem łączącym w całość wszystkie opowieści jest Sandman, Sen, władca krainy zwanej Śnieniem, istota (jeśli w ogóle można go nazwać istotą) starsza i potężniejsza niż bogowie, jeden z siedmiorga Nieskończonych. Nie oznacza to jednak bynajmniej, że Sen to superbohater. Brońcie bogowie. Nie jest też wcale postacią idealną – mimo swej niewyobrażalnej potęgi znajdujemy w nim wiele ludzkich cech. Ma wady – dumę, arogancję, niedopuszczanie do siebie świadomości popełnionych błędów, osobliwe poczucie humoru, sympatie i antypatie. Ma też rodzeństwo. Ponieważ w polskich edycjach komiksów nie pojawili się jeszcze wszyscy Nieskończeni, nie będziemy psuć czytelnikom zabawy i wspomnimy tylko o jednej z nich, skądinąd najpopularniejszej: starszej siostrze Snu, Śmierci. Wbrew tradycji anglosaskiej i językowi angielskiemu,

RENESANSU

Postmodernista? Zapewne... Jak sam powiedział w jednym z wywiadów: „Cały czas dodawałem coś nowego i patrzyłem, czy całość wciąż trzyma się kupy. Pomyślałem sobie: dorzućmy Szekspira. Wyszło całkiem nieźle. No dobra, ale bogów nordyckich na pewno tam nie wcisnę... A jednak się udało. Ale z aniołami już mi nie wyjdzie." (Entertainment Weekly, 3.10.2003). I choć wypowiedź ta dotyczyła „Sandmana" (gwoli ścisłości – aniołów też wcisnął), to równie dobrze pasuje do „Amerykańskich bogów" czy „Nigdziebądź". Kultury się przenikają, przeplatają, łączą... i powstaje coś ciekawego.

Popatrzmy na Sandmana

Choć obecnie Gaiman wypłynął na szerokie wody (jego trzy ostatnie książki stały się w Stanach przebojami) i choć istnieją już bez wątpienia czytelnicy, znający go wyłącznie jako autora powieści oraz opowiadań, nadal jednak pozostaje przede wszystkim twórcą „Sandmana". Serii w dziejach komiksu ważnej, czasem nazywanej wręcz przełomową. Sam autor skromnie nazwał ją „komiksem przekazywanym drogą płciową", bo „Sandman" przyciągnął ponoć do komiksów całkiem sporo czytelniczek (wcześniej pozostawał medium zdecydowanie męskim). Panie dostawały kolejne numery od swoich partnerów, starających się przekonać dziewczynę, że komiks może być naprawdę ciekawy. I wygląda na to, że się udało. (Nieco z innej parafii warto wspomnieć, że jeden z numerów „Sandmana" stał

w którym Śmierć jest rodzaju męskiego, Śmierć z rodu Nieskończonych to dziewczyna (Gaiman powiedział kiedyś, że wedle jego wyobrażeń wygląda na siedemnastolatkę) ciepła i przyjacielsko nastawiona do świata, o punkowo-gotyckiej powierzchowności i nieco ironicznym poczuciu humoru. W swoim domu hoduje nawet złote rybki, a kiedy spotykamy ją po raz pierwszy, z entuzjazmem opowiada bratu o filmie „Mary Poppins". Potrafi też, chyba jako jedyna, zbesztać go, a on tylko od niej przyjmuje gorzkie słowa. Obecnie Neil Gaiman pracuje (między innymi) nad przeniesieniem na ekran miniserii opowiadającej o Śmierci, „Death: The Hight Cost of Living".

...i dalej

Dalsza twórczość Gaimana rozwija się we wszystkich kierunkach jednocześnie. Niezależnie jednak od tego, co akurat tworzy, pozostaje twórcą fantastyki, i to chyba dla nas, czytelników, najważniejsze. Czy to w komiksie, czy w książce dla dzieci, dorosłych, wierszu – wszędzie widzimy fantastykę i to nie jako ozdobnik. Można by powiedzieć, że jedynym niefantastycznym dziełem Neila Gaimana (dzieci, rzecz jasna, pomijam) jest jego blog-dziennik. Ale czyż opisywane w nim życie nie jest, jakby tu rzec... fantastyczne?

■ **Paulina Braiter**

Prawdziwa Anegdota Nr 1:

Pewna miła pani z wydawnictwa z dużym zainteresowaniem dopytywała się, kiedy przyjedzie „ten Gaiman". Zapytana, czy czytała jakieś jego książki lub komiksy, odparła, że nie, ale jej się podoba, „bo taki przystojny".

Prawdziwa Anegdota Nr 2:

Podczas wizyty w Brazylii w centrum handlowym miało miejsce podpisywanie książek, na które przybyły tłumy. Kiedy obsługa postanowiła wpuścić do środka tylko część fanów, reszta oznajmiła radośnie, że jeśli autografów nie dostaną, zorganizują zamieszki. I dostali! Sam autor wspomina, że głos stracił gdzieś w połowie i do tej pory nie wie, jak sobie poradził ze składaniem tylu podpisów.

Nadistoty

Kim są występujący w „Sandmanie" Nieskończeni? To siedem personifikacji pewnych idei, istniejących dłużej niż świat. Każda z nich włada własną krainą i ma swoje obowiązki. Jak w każdej rodzinie, stosunki między nimi układają się... Cóż, różnie.

Poza Nieskończonymi, w komiksie pojawia się cała parada bogów i istot, dysponujących niezwykłą mocą: są władcy piekła (Lucyfer, Azazel, Belzebub), bóstwa skandynawskie, egipskie, japońskie, greckie, muzy, Oberon, Tytania, Spodek i Puk z Szekspira, sam William Szekspir wraz z Christopherem Marlowe'em, Kain i Abel, sporo postaci rodem z innych komiksów... A mimo to historia nie traci wcale spoistości, nadal pozostaje jedną logiczną całością. I w tym też kryje się źródło niezwykłej popularności cyklu o Sandmanie.

Strony internetowe:

- **www.neilgaiman.com – oficjalna strona internetowa**
- **www.neilgaiman.net – oficjalny sklep internetowy**



JAK WYTĘPIĆ

Fragment obrazu „Sąd Ostateczny" pędzla Michała Anioła. Ten najciekawszy, strącanie grzeszników do piekła



Oto mała niebieska planeta, na której stłoczonych siedzi 6 miliardów żądnych krwi neandertali. Jak toczyli wojny pałami o miedzę 7 tysięcy lat temu, tak robią to teraz za pomocą bomb. Ewolucja? Bah!! Pusty śmiech mnie ogarnia!

Przypuszczalnie właśnie teraz rozstrzygną się losy naszego gatunku – albo zmądrzejemy i opanujemu wszechświat, albo unicestwimy się w bezsensownych wojnach o to, czyj to kawałek pustyni i czyj wyssany z palca bóg jest fajniejszy i bardziej słuszny...

Wyrwij chwasta

Pomimo iż z reguły jestem nastawiony do życia bardzo pozytywnie, czasem nachodzą mnie mroczne myśli. Gdy widzę w TV kolejną kronikę policyjną, a w niej o kolejnym bestialskim mordzie czy martwych noworodkach w beczkach po kiszonej kapuście. Gdy przyglądam się, jak fanatyczni terroryści mordują niewinnych ludzi, a świat nie jest w stanie temu zapobiec. Gdy w kolejnym programie patrzę na ludzkie zakłamanie, obłudę i fałsz, na te uśmiechnięte, zadowolone z siebie ryje, pouczające innych o moralności, a pomijające milczeniem własne plugastwo. Na to, jak ludzie traktują siebie nawzajem, z jakim bezinteresownym i bezmyślnym okrucieństwem postępują wobec zwierząt, roślin i natury – zawsze wtedy mam ochotę ich wszystkich zabić. Oczyścić tę piękną planetę z ohydy, jaką pod wieloma względami jest rasa ludzka. Wytłuc, anihilować, zniszczyć raz na zawsze w morzu ognia. Białych, czarnych, żółtych, brązowych i czerwonych. Bogatych, biednych, mądrych i głupich. Mężczyzn, kobiety i dzieci. Raz na zawsze i definitywnie wymazać istoty, które natura stworzyła chyba na własną zgubę. Jak Lobo w komiksie pod tym samym tytułem.

Niby prosta sprawa – wytępić ludzkość. Kiedy się jednak nad tym dłużej zastanowić, okazuje się, że wcale nie jest to proste zadanie. Ba, im dłużej nad tym myślę, dochodzę do wniosku, że jedyną siłą dostatecznie potężną, by zmierzyć się z tym wyzwaniem, byłaby jakaś kosmiczna katastrofa na skalę globalną. Ludzi bowiem jest tak dużo i mnożą się w takim tempie, a w dodatku dysponują tak iście szczurzym instynktem przetrwania, że wszelkie zamierzone próby ich eksterminacji muszą chyba spełznąć na niczym...

W dalszej części tekstu znajdziecie sześć przyczyn, które moim zdaniem mogłyby spowodować zagładę naszej rasy (lub jako takie są postrzegane przez ogół). Postaram się pokrótce przybliżyć wam, jakie są wady i zalety poszczególnych rozwiązań i jakie są szanse, że faktycznie ludzkość po nich by się nie podniosła. Wszystkie te scenariusze zakładają jednak (a przynajmniej większość z nich), że to Ziemia i tylko Ziemia jest jedynym domem ludzkości. Jeśli ludziom uda się uciec poza tę planetę, jeżeli rozpełzną się niczym stonka po innych układach gwiezdnych, nic już nie zdoła ich zgładzić i dopiero śmierć całego wszechświata (jeśli takowa nastąpi) położy jej kres. Jak widać, należy się więc spieszyć...



Jeżeli ludzkości uda się rozpełznąć po wszechświecie, już chyba nigdy nie znajdzie się taki kozak, który zdołałby ją wytępić...

LUDZKOŚĆ



Wojna konwencjonalna

Gdy zakończył się koszmar II wojny światowej, wydawało się, że świat stanął na krawędzi kompletnego chaosu. Wojna pochłonęła około 60 milionów ofiar – to bardzo dużo. Żadna wojna wcześniej nie mogła „poszczycić" się takim wynikiem. Z drugiej jednak strony, owe 60 milionów to „zaledwie" około 1,5% ówczesnej populacji Ziemi. Tak więc pomimo całego tragizmu sytuacji nie można powiedzieć, iż II wojna światowa w jakikolwiek sposób zagroziła ludzkości jako takiej.

Nie wydaje mi się też, żeby jakakolwiek wojna prowadzona konwencjonalnymi metodami była w stanie zagrozić naszej rasie. Nawet gdyby jakiś szalony dyktator uparł się, że zgładzi ludzkość podczas wojny totalnej, wydaje się, iż taki proces eksterminacji przebiegałby zbyt wolno, by był skuteczny. Jak widać na przykładzie obecnych problemów wojsk amerykańskich w Iraku, dobrze zorganizowana partyzantka jest w stanie przeciwstawić się w dość skuteczny sposób nawet przeważającym siłom wroga. Na szczęście (tylko w kontekście tego artykułu, oczywiście) naukowcy opracowali tzw. bronie masowej zagłady, czyli gadżety pozwalające eliminować homo sapiens hurtowo, w sposób dużo bardziej efektywny.

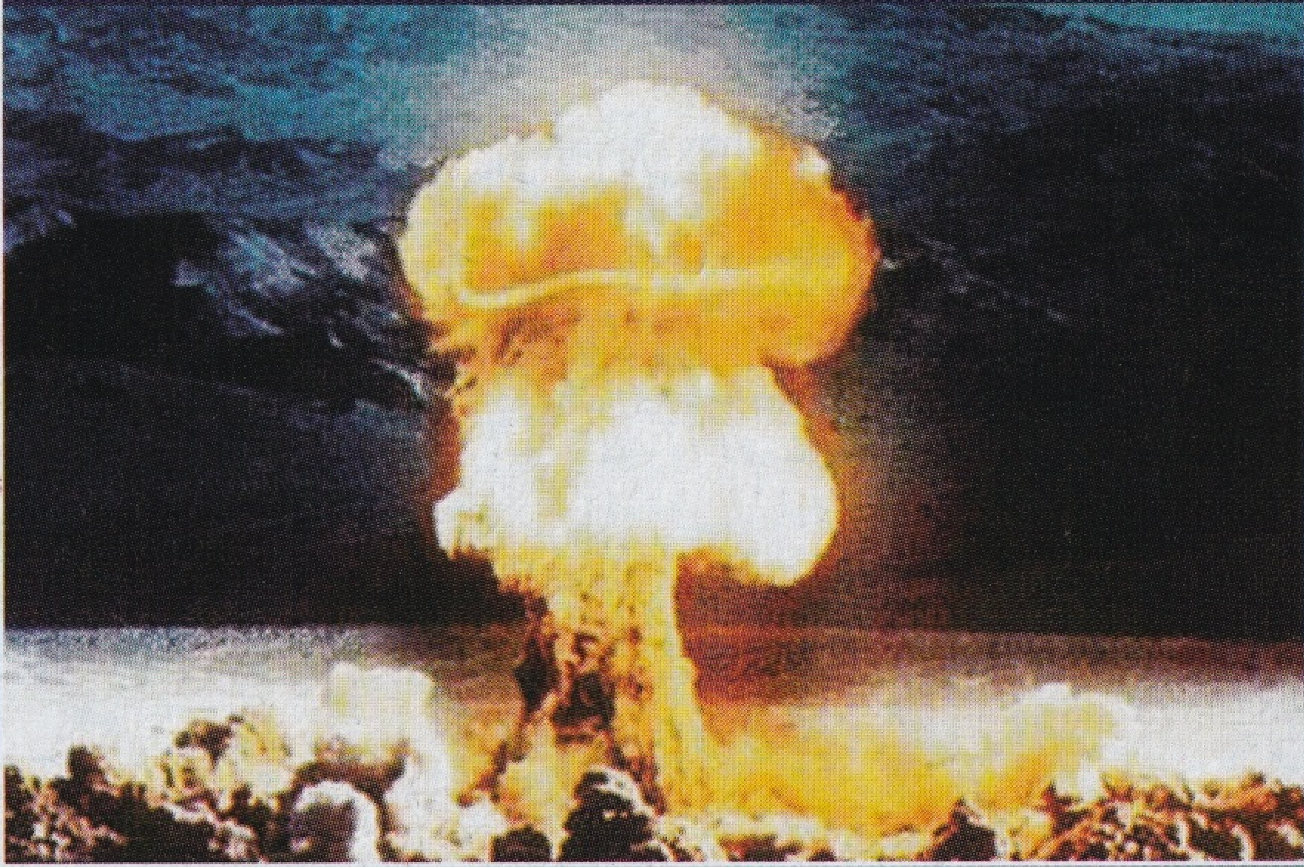


Jedno z największych cudeniek wojny konwencjonalnej – lotniskowiec – to praktycznie cała zróżnicowana armia w pastylce

Wojna atomowa

Dziesięć tysięcy głowic jądrowych w USA, piętnaście tysięcy w byłym ZSRR i zapewne jeszcze kilkaset w pozostałych kilku krajach dysponujących bronią atomową. Mniam. Oto gratka dla kogoś planującego zagładę ludzkości. Teoretycznie wystarczy sprowokować zastosowanie procedur opracowanych przez Pentagon i Kreml, by mieć pewność, że ludzie znikną z powierzchni Ziemi. Jak wyglądają te procedury? Ano dość prosto. Widzisz na radarze zbliżającą się rakietę balistyczną? Odpalasz w przeciwnika natychmiast wszystko co masz, bojąc się, iż potem możesz nie zdążyć. Jeśli wydaje ci się to bezsensowne, cóż mogę rzec? Tak NAPRAWDĘ wyglądały oficjalne procedury postępowania po obydwu stronach żelaznej kurtyny, stąd też w latach 50. i 60. wziął się obsesyjny wręcz strach przed totalną wojną jądrową, który zaowocował boomem na schrony.

Najmniejsza głowica atomowa jest w stanie kompletnie zniszczyć małe miasteczko. Największa wymazuje z mapy całą metropolię wraz z peryferiami (dziura na globusie o średnicy kilkudziesięciu kilometrów). Ponadto napromieniowanie obszaru i (w przypadku wojny totalnej) tzw. „nuklearna zima" – wszystko to dostateczna gwarancja pozbycia się wszystkich ludzi. Jednak czy aby na pewno?



Nawet broń atomowa nie wydaje się dostatecznie potężna, żeby zetrzeć ludzkość z powierzchni Ziemi. Co więc pozostaje?

Pomimo iż głowic jest dużo, nie są w stanie pokryć zasięgiem rażenia całej powierzchni kuli ziemskiej. A przecież ludzie mieszkają nie tylko w dużych miastach – część z nich mieszka gdzieś w małych osiedlach po lasach i górach, polując na bobry i wypasając kozy. Trudno sobie wyobrazić, by dało się przycelować atomówką w każde skupisko ludności. Druga trudność polega na tym, że pomimo całej swojej potęgi broń atomowa nie jest w stanie zniszczyć wszystkiego. Dobrze zaprojektowany bunkier, jeżeli nie zostanie trafiony bezpośrednio, ma bardzo duże szanse przetrwać atak. A w takim bunkrze siedzieć będą najgorsze męty, które właśnie zgładzić chcielibyśmy w pierwszej kolejności – wojskowi i politycy. Również zima nuklearna nie rozwiązuje sprawy. Tego typu odosobnione skupiska ocalonych, dysponując szczytowymi osiągnięciami technologicznymi, które z pewnością w bunkrach by się znalazły, będą przypuszczalnie w stanie ją przetrwać, nawet gdyby miała trwać wiele lat. No i nici z pięknego planu – tu i tam przetrwają gniazda „szczurów", które ileś tam lat później wyjdą z ukrycia i odbudują świat. Fatalnie...



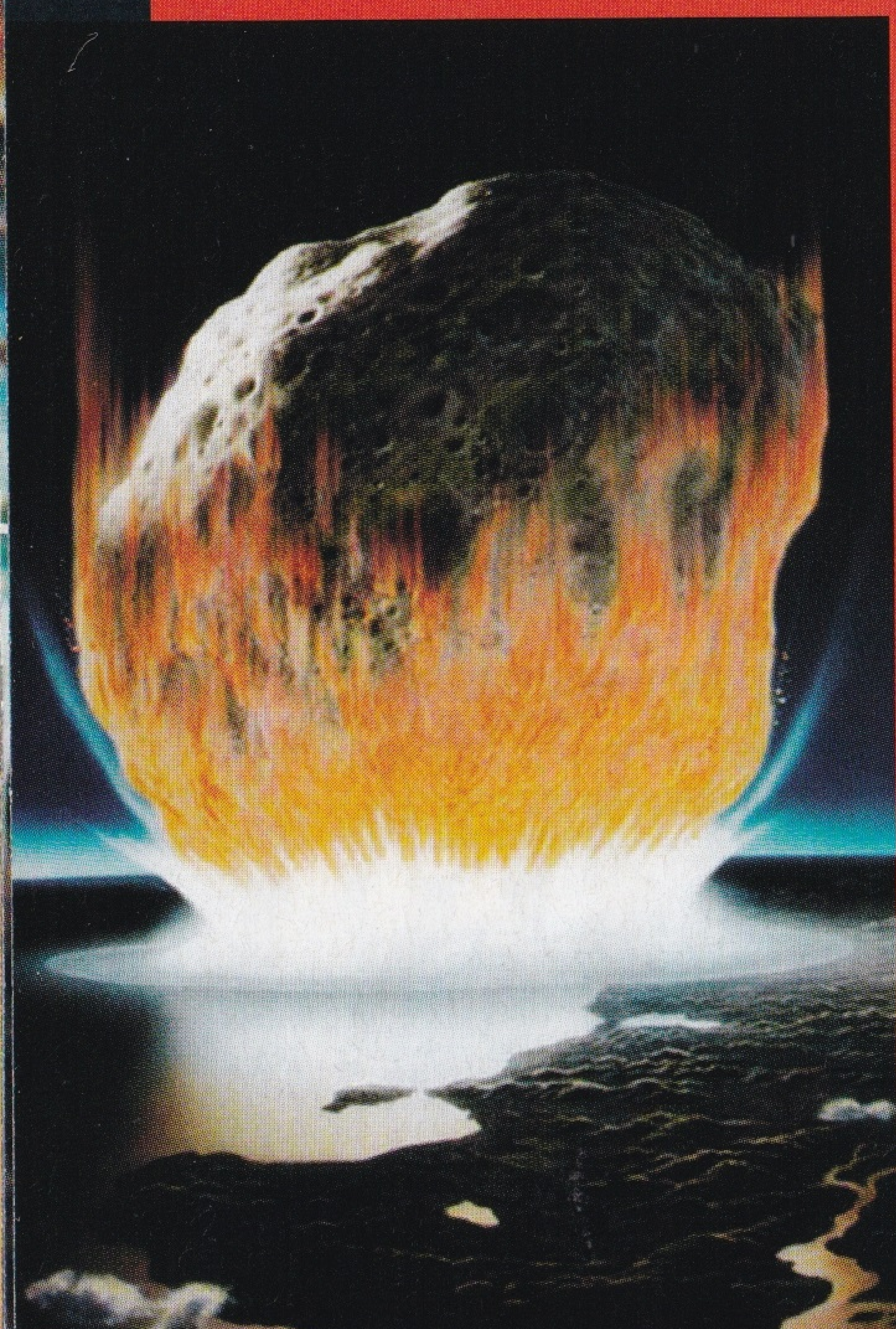
Tak wyglądała Hiroszima w dzień po ataku nuklearnym. W gruzach legło 65% zabudowań, zginęło ok. 70 tys. ludzi...

A może grypka?

Czy możliwe jest wytępienie ludzi za pomocą jakiegoś wyjątkowo zjadliwego mikroba? Hmm, ciężko powiedzieć, zastanówmy się najpierw, jakie warunki musiałby on spełniać. Przede wszystkim musiałby rozmnażać się niezwykle szybko i, co oczywiste, być śmiertelny dla ludzi. Co może wydawać się paradoksalne, gdyby jednak taki wirus był zbyt skuteczny, przyniosłoby to dokładnie odwrotny skutek. Jak pokazuje wiele przykładów z historii i ze świata zwierzęcego, choroby, które rozwijają sie zbyt szybko i zbyt gwałtownie uśmiercają swoich nosicieli, wcale nie są najbardziej skuteczne. Dzieje się tak dlatego, że cała populacja w danymi miejscu wymiera, zanim jej członkowie zdążą zarazić innych. Z powodu nagłego braku nosicieli ognisko choroby po prostu zanika.

Tak więc idealny wirus musiałby wywoływać nieuniknioną śmierć, ale w niezbyt krótkim czasie. Musiałby rozprzestrzeniać się na tyle szybko, by zarazić i wybić całą ludzkość, zanim opracowane zostanie antidotum. Aby to osiągnąć, trzeba by stworzyć wirusa, który (najlepiej) roznosiłby się na kilka sposobów na raz – np. przez powietrze (drogi oddechowe), krew i kontakt ze skórą zakażonego (płyny ustrojowe itp). Ponadto, wirus taki musiałby działać bez wyjątku na wszystkie rasy i podrasy ludzi (co akurat jest chyba najprostszą kwestią). Tak czy inaczej, trochę sporo tych warunków i stawia to pod zna-





Wydaje się nieprawdopodobne, że zwykły kawał kamienia może wywołać tak gigantyczne zniszczenia. A jednak wynika to z prostej fizyki: uwolniona energia równa jest iloczynowi masy i kwadratu prędkości obiektu, a obie te wartości są w przypadku meteorytu olbrzymie... I wszystko jasne



Feeling postal?

Wyobraź sobie, że wszyscy ludzie na Ziemi ustawili się w piękną kolejeczkę, a ty stoisz sobie z karabinem i pakujesz im po kolei kulę w łeb z prędkością jednego strzału na sekundę. Czyż nie pięknie i szybciutko? Jeden trup na każdą sekundę to chyba nieźle? Chyba dostatecznie efektywnie, prawda?

Otóż muszę cię zmartwić. Zdecydowanie NIE. Zakładając nawet, że strzelałbyś non-stop 24h na dobę i 365 dni w roku nie śpiąc i nie jedząc, na wyeliminowanie populacji Ziemi w takim tempie... nie starczyłoby ci życia! A dokładniej, musiałbyś strzelać przez około 190 lat, by rozprawić się z całymi 6 miliardami ludków zamieszkujących naszą planetę. Tak więc jeżeli kiedykolwiek miałeś plan rozprawienia się ze wszystkimi za pomocą zwykłej pukawki, możesz spokojnie odłożyć go na dno szuflady.



Nie wiem, jakie jest wasze zdanie, ale ja już wolałbym wyparować w ogniu wybuchu atomowego niż nędznie skonać na jakieś choróbsko

kiem zapytania całe przedsięwzięcie. W dodatku pojawia się ten sam problem, co w przypadku rozwiązania atomowego – wystarczy kilka plemion żyjących na odludziu, pozbawionych kontaktu z tzw. cywilizacją – i po ptakach. Porażka. No i jeszcze jeden ważny czynnik naturalny mogący pokrzyżować nam plany – mutacje. W ich wyniku każdy organizm tego samego gatunku nieco się różni od innych, a że jest ich całkiem sporo, istnieje duże prawdopodobieństwo, że gdzieś żyje sobie ludek całkiem przypadkowo odporny na działanie naszego wirusa (dla przykładu, podobno 1 na 100 przedstawicieli rasy białej jest naturalnie uodporniony na AIDS). Ehh, ciężkie życie. Wirus chyba więc też nie pomoże w nieoczekiwanie ciężkim zdaniu kasacji ludzkości.

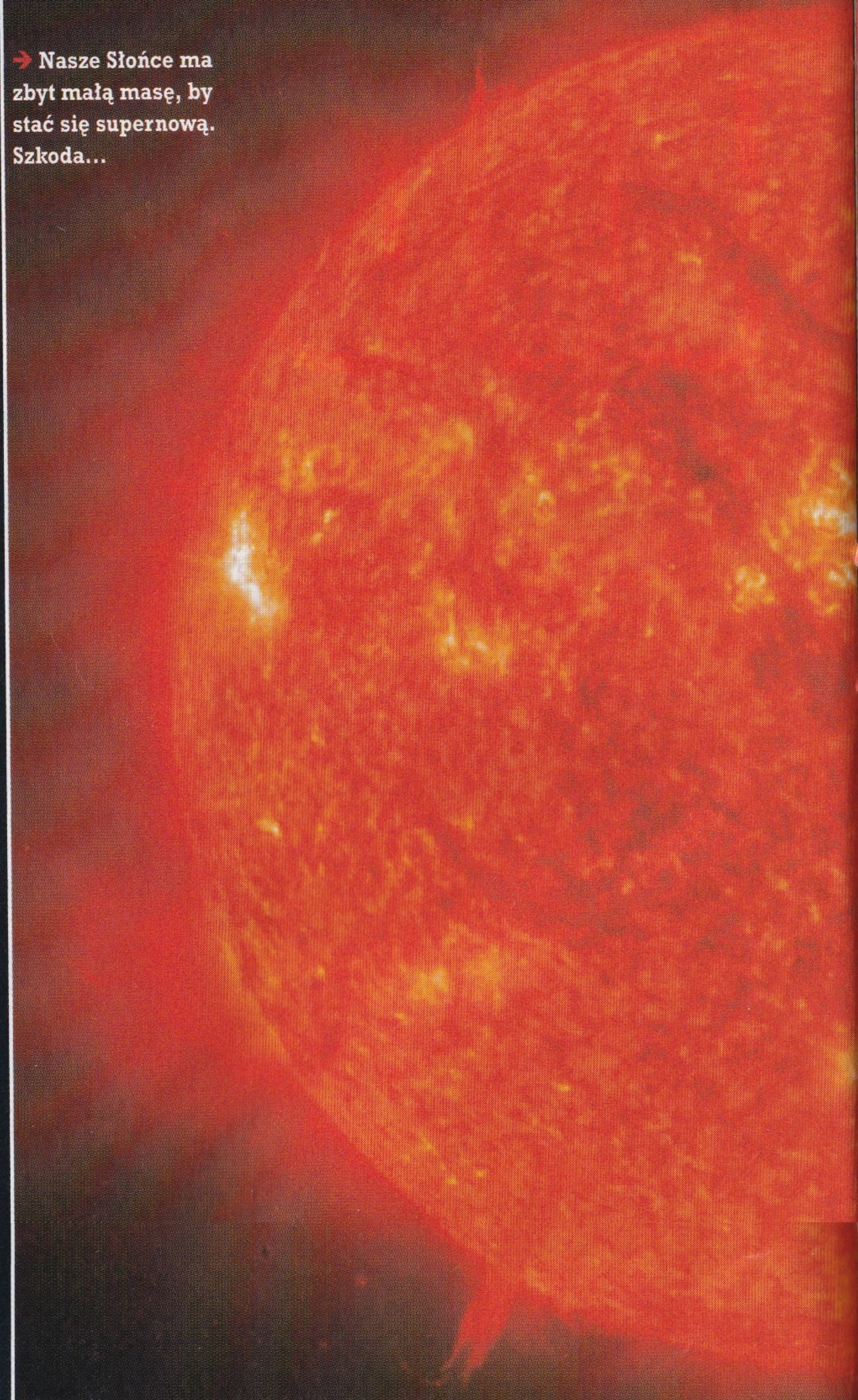
Meteoryty i komety

Około dwóch lat temu koło Ziemi przeleciał kosmiczny kamyczek o średnicy, bagatela, 2 km. Przez obserwatoria zauważony został dopiero wtedy, gdy już minął naszą planetę i dziarsko odlatywał w kosmiczną pustkę. Minął nas o włos, gdyż przeleciał pomiędzy Księżycem a Ziemią, co w skali kosmicznej jest odległością naprawdę minimalną. Jakie z tego wszystkiego wnioski? Że uderzenie meteorytu, jeśli kiedyś się zdarzy (lub może raczej GDY się zdarzy), nastąpi bez ostrzeżenia. Nie będzie czasu na przygotowania, nie będzie czasu, by się schować. Spadnie na nas jak przysłowiowy grom z jasnego nieba.

Gdyby tej wielkości skałka trafiła w miasto, zostałaby po nim dziura w ziemi. Wystarczy jednak zwiększyć średnicę asteroidy z 2 do 10 km, a już mamy do czynienia z potencjalnym końcem ludzkości. Tyle właśnie miał kamyk, który trzasnął w Ziemię 65 milionów lat temu i któremu bezsilnie wygrażały pięściami dinozaury przed śmiercią. Wybił gigantyczną dziurę, spowodował huraganowe pożary na całej planecie, wreszcie na kilkadziesiąt lat zasnuł niebo dymami tak gęstymi, że wymarła większość roślin. Oto siła zdolna zniszczyć ludzkość. W porównaniu z taką



Powierzchnia Ziemi upstrzona jest kraterami powstałymi po uderzeniu meteorów. Ten ma około kilometra średnicy i znajduje się w USA



Nasze Słońce ma zbyt małą masę, by stać się supernową. Szkoda...

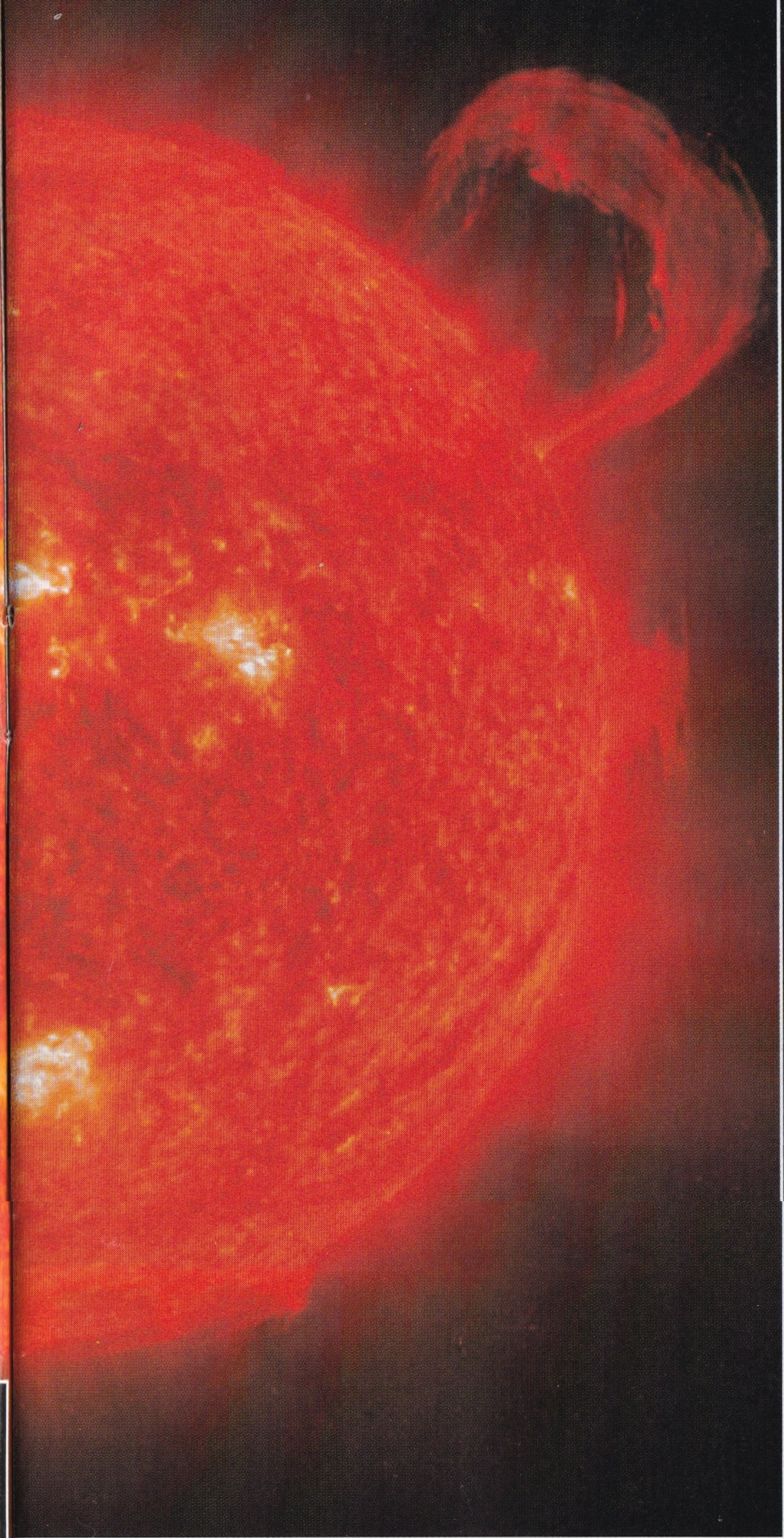


Uderzenie meteorytu spowodowało zagładę dinozaurów i przypuszczalnie mogłoby również spowodować zagładę ludzkości

katastrofą wybuchy naszych bomb wodorowych to petardy. Co prawda, jest to wydarzenie naturalne, więc ciężko w kontekście niniejszego artykułu uznać je za metodę wytępienia naszej rasy. Chociaż z drugiej strony, odpowiednio umieszczone na asteroidzie silniki rakietowe mogłyby skierować ją na kurs kolizyjny z Ziemią... Hmm, tak, mój ssskarbie, mogłyby... Nawet jednak po takiej katastrofie mogłoby się zdarzyć, że przebrzydli ludzie w jakiś sposób daliby radę przetrwać w podziemnych schronach.

Wybuch supernowej

No to jedziemy dalej. Jeżeli bomba wodorowa przy uderzeniu meteorytu to petarda, to uderzenie meteorytu przy wybuchu supernowej przypomina pierdnięcie pchły.



Każda gwiazda ewoluuje w czasie. Część z nich wypala się grzecznie i spokojnie i zamienia w małą, zimną kulkę. Niektóre jednak kończą żywot w sposób niezwykle spektakularny i niszczycielski – gigantycznym wybuchem. Sposób, w jaki gwiazda „umiera", zależy przede wszystkim od jej masy, jak również od kilku innych, mniej ważnych czynników. Gdyby Słońce nagle wybuchło, 8 minut później nastąpiłby koniec Ziemi i tym razem nie byłoby już żadnego ratunku.

Słońce ma jednak zbyt małą masę i supernową nigdy się nie stanie. Tak czy inaczej, za około 4 milardy lat Ziemia i tak zostanie przez Słońce zniszczona, gdyż przejdzie ono w fazę tzw. czerwonego giganta. Zmieni barwę ze złotawej na czerwoną, zaś jego średnica bardzo się powiększy (efekt nadmuchiwanego balonika) i dosłownie wchłonie Ziemię. Jeżeli do tego czasu ludzie nadal będą urzędować tylko na Błękitnej Planecie (co wydaje się niemożliwe) i będą na tyle głupi, by nie zareagować na zagrożenie, spotka ich szybki i nieunikniony koniec. Oczywiście na długo zanim Słońce wchłonie Ziemię, temperatura na jej powierzchni podniesie się na tyle, że życie na bazie białka zginie.

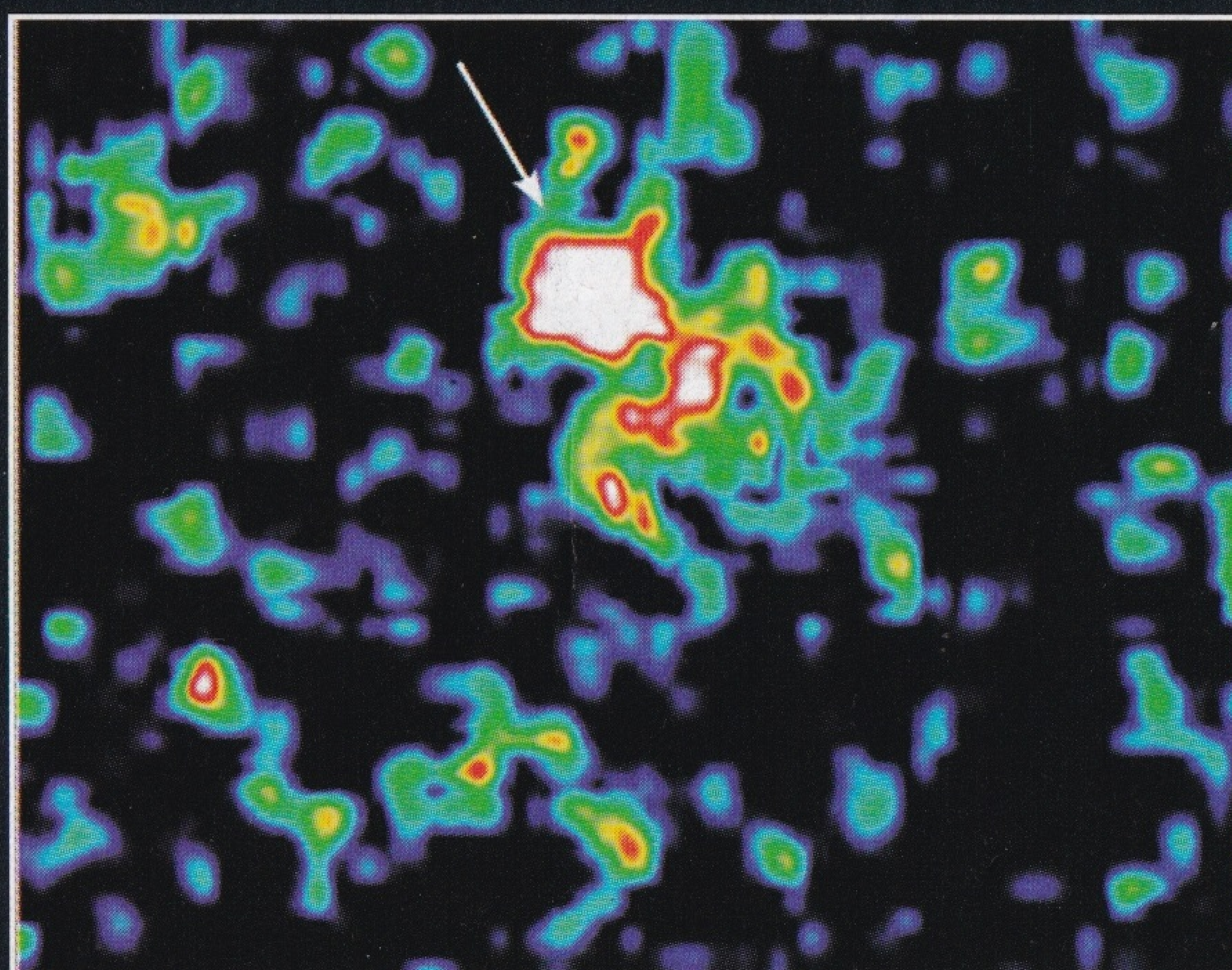
A wracając do supernowych. Słońce co prawda nie wybuchnie, ale może w pobliżu Układu Słonecznego znajduje się inna gwiazda, której masa jest dostateczna, by tak się stało. Gdyby znajdowała się odpowiednio blisko, niewykluczone, że skutki takiego wybuchu dla ludzkości byłyby opłakane... No i na koniec jeszcze kwestia chyba najbardziej interesująca – czy sprytny a zajadły wróg rasy ludzkiej mógłby wywołać eksplozję supernowej w sposób sztuczny. Przy naszym stanie wiedzy technicznej – nie (pomijam projekt dosypywania łopatką brakującej masy do wnętrza Słońca). Kto wie jednak, jakimi technologiami mogą dysponować wredne ufoludy. Są przecież ponoć rzeczy, o których nie śniło się filozofom...



Rozbłyski gamma

Dochodzimy wreszcie do najbardziej chyba niszczycielskiej, a jednocześnie najbardziej tajemniczej siły przyrody, czyli do tzw. rozbłysków gamma. Jakiś czas temu naukowcy ze zdumieniem zaobserwowali na dalekich obrzeżach wszechświata eksplozje, których skala wręcz nie mieści się w głowie. Eksplozje o sile zdolnej zniszczyć całą galaktykę, a których echo dociera do nas z olbrzymich odległości w postaci wysokoenergetycznego promieniowania gamma. Do tej pory nie udało się ustalić, co powoduje owe eksplozje ani jaki dokładnie mają przebieg. Jedno jest pewne – wybuch supernowej przy takiej katastrofie jest jak... czkawka ameby albo i jeszcze mniejszy. Bez dwóch zdań rozbłysk gamma ze stuprocentową pewnością zakończyłby nędzny żywot ludzi, Ziemi, całego Układu Słonecznego i wszystkich innych układów gwiezdnych w naszej galaktyce. Poezja :) Wygląda jednak na to, że rozbłyski gamma zdarzają się tylko bardzo daleko od nas – zarówno w przestrzeni, jak i w czasie. Pamiętajcie bowiem o tym, że obserwując obiekt oddalony o milion lat świetlnych od Ziemi, tak naprawdę widzimy go takim, jakim był milion lat temu (właśnie tyle potrzebowało światło, by do nas dotrzeć niosąc obraz tego obiektu). Jest więc dość prawdopodobne, że rozbłyski gamma były zjawiskiem charakterystycznych dla wczesnych chwil wszechświata i teraz już się nie zdarzają. No, chyba że ktoś by je do tego sprowokował. Jakiś sprytny a zajadły wróg ludzkości, na przykład w przebłysku (gamma) geniuszu. Nie będę nawet próbował spekulować, jak taki wybuch wywołać, gdyż tak naprawdę zbyt mało o zjawisku tym wiemy. Wydaje się jednak, że to zdecydowanie najlepszy i najskuteczniejszy sposób na wytępienie ludzkości.
I tak oto dochodzimy do wniosku, iż potrzeba najbardziej niszczycielskich sił przyrody, by skutecznie pozbyć się 6 miliardów sztuk różowych mięsnych galaretek na planecie Ziemia.
I niech mi teraz ktoś powie, że jesteśmy delikatni i łatwo nas skrzywdzić...

■ **Piotr Moskal, zdj. NASA, arch. wydawnictwa Bauer**



↑ Obrazy rozbłysków gamma uzyskane przy pomocy radioteleskopów nie są zbyt spektakularne. Na żywo na pewno byłyby ciekawiej

No patrz pan...

• Gdyby zsumować masę wszystkich ludzi na Ziemi, otrzymalibyśmy około 450 milionów ton biomasy. To stosunkowo niewiele – dużo, dużo więcej ważą na przykład wszystkie stworzenia morskie zamieszkujące Wielką Rafę Barierową u wybrzeży Australii.



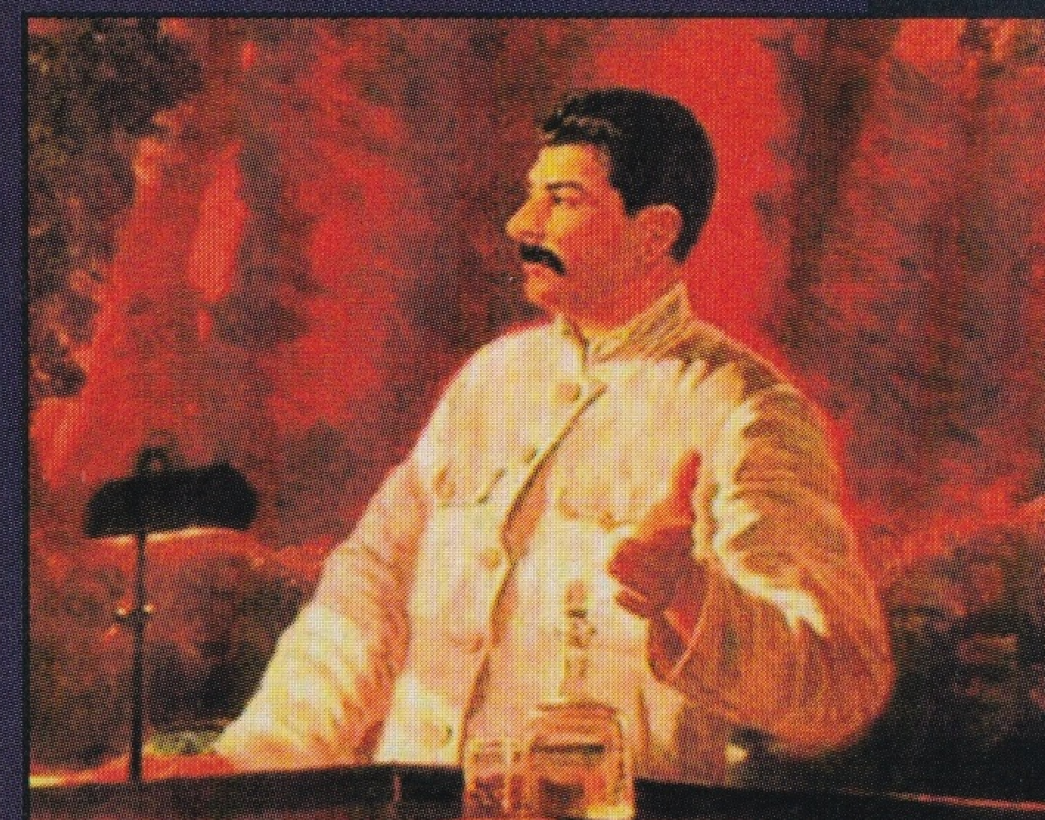
• Gdyby ustawić wszystkich ludzi jeden na barkach drugiego, otrzymalibyśmy kolumnę o wyokości 10,5 miliona kilometrów. To jedna szósta drogi z Ziemi na Marsa!

• Wystarczyłoby ustawić w podobny sposób 210 milionów przysłowiowych Chińczyków (czyli około 1/5 populacji Chin), by móc wspiąć się po takiej „drabinie" na Księżyc.



• Gdyby mieszkańcy Ziemi zrobili na ciebie „zrzutkę", każdy z nich musiałby dać aż 17 dolarów, byś dorównał fortuną Billowi Gatesowi.

• Wujcio Stalin powiedział kiedyś, że zabicie jednego człowieka to morderstwo, zabicie tysiąca to ludobójstwo, a zabicie miliona to już tylko statystyka. I tyle, jeśli chodzi o moralność polityków. Ciekawe, jak Józwa określiłby zabicie całych 6 miliardów? Dowcip?



Serce nie sługa, nawet w filmach



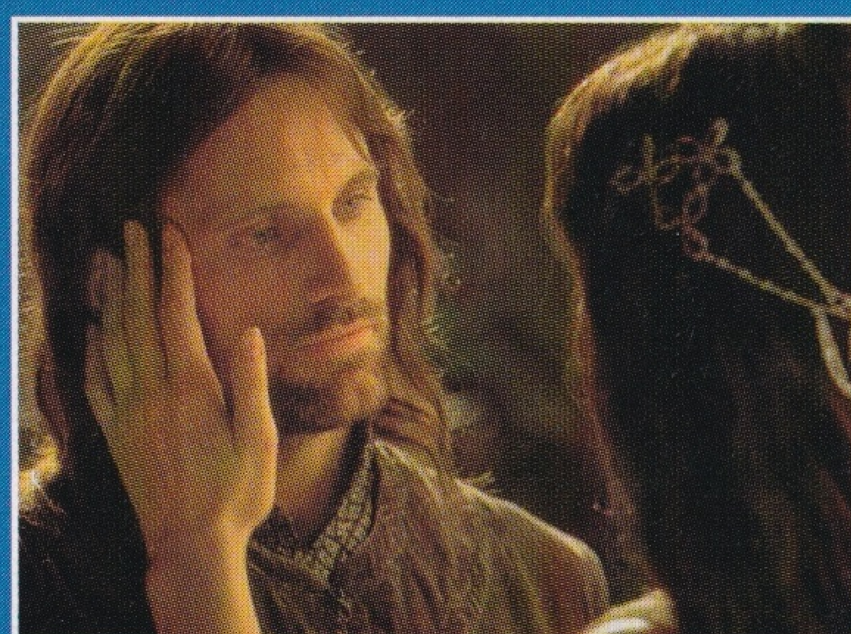
„Kto się lubi, ten się czubi" – Han Solo i Leia, córa marnotrawna Lorda Vadera



To przykład miłości nieco innego rodzaju – miłości do małego dziecka... („Willow")



... które z czasem dorasta i zakochuje się w złej księżniczce. Jest i happy end.



Miłość Aragorna do nieśmiertelnej elfiej księżniczki Arweny nie jest łatwa



Coonor Mac Leod („Nieśmiertelny") nie umiera i nie starzeje się. Jak długo wytrwa ze swoją ukochaną będącą zwykłą kobietą?



10 FANTASTYCZ

Buffy: The Vampire Slayer

Tytuł oryg.: Buffy: the Vampire Slayer, 1997-2003
Bohaterowie: Buffy Summers i Angel
Występują: Sarah Michelle Gellar i David Boreanaz

W serialu „B:tVS" wampiry są istotami specyficznymi – nie umarłymi ludźmi, lecz demonami w ciele człowieka, który utracił duszę. Jednak Angel – jeden z najgroźniejszych wampirów – odzyskuje swą duszę i pomimo że zachowuje fizyczną postać wampira, to zostaje mu przywrócone człowieczeństwo wraz z całym balastem wyrzutów sumienia, skrupułów moralnych i etycznych rozterek. Tymczasem Buffy Summers jest Wybrańcem – kobietą stworzoną i wyszkoloną w celu niszczenia wszelkich złych, ponadnaturalnych istot. Zrozumiałe więc, że miłość tych dwojga musi być tragiczna i obfitująca w liczne (łagodnie to ujmując) zawirowania. Dodajmy jeszcze fakt, że klątwa rzucona na Angela nie pozwala mu na przeżycie „chwili prawdziwego szczęścia", gdyż wtedy z powrotem utraci on duszę i stanie się potworem. Historia miłości Angela i Buffy to opowieść o cierpieniu i poświęceniu oraz tragicznym, niemożliwym, niespełnionym uczuciu.

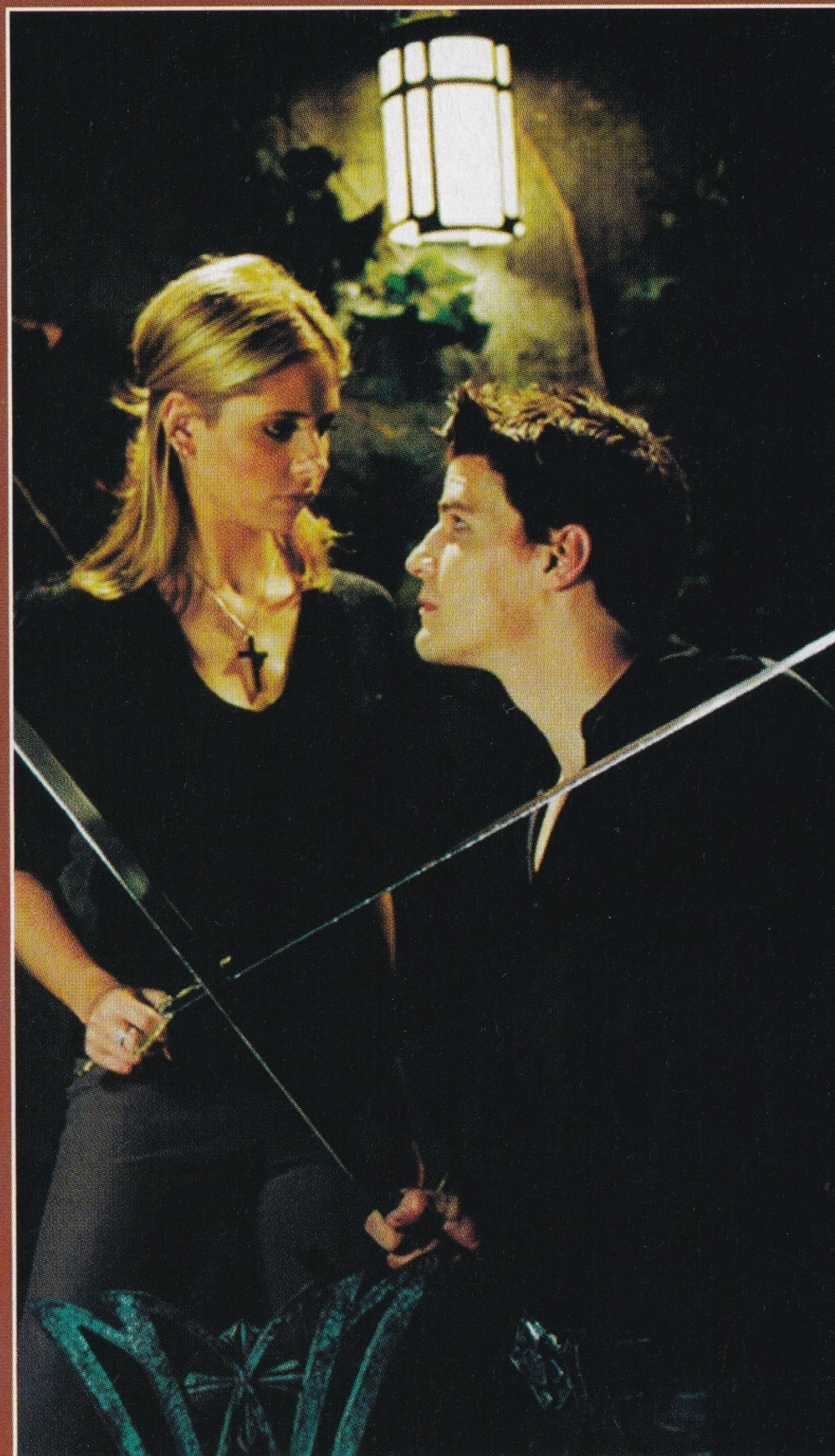
Seriale „B:tVS" oraz „Angel" święcą triumfy na całym świecie, a w USA emitowane są w tej chwili serie odpowiednio szósta oraz czwarta. Przyznaję, że tytuł „Buffy: Pogromca Wampirów" brzmi po prostu idiotycznie, ale serial wbrew tytułowi oraz scenerii (jego akcja rozpoczyna się w szkole średniej) to kawał poważnego, dorosłego kina traktującego o ważnych problemach, takich jak odpowiedzialność, miłość oraz przyjaźń (i płynących z nich obowiązkach), a także o zakresie dostępnej człowiekowi wolności.

Oba seriale („Angel" oraz „Buffy") cieszą się nadal ogromną popularnością, jednak Sarah Michelle Gellar nie poprzestaje na rolach serialowych. Zebrała świetne recen-



Uczucie zabójczyni do ofiary („Buffy the Vampire Slayer") obfituje w tragiczne wydarzenia. Czy tak dziwna para może zaznać szczęścia?

Sam Wheat („Uwierz w ducha") zostaje zamordowany, ale aby uratować ukochaną, musi przezwyciężyć śmierć i powrócić do rzeczywistego świata





Jedna z najbardziej szalonych miłości dużego ekranu – oto ogr Shrek i niesforna księżniczka Fiona, co nie chciała pokurcza



Rick Deckard („Blade Runner") jest zabójcą androidów. Ale co się stanie, kiedy zakocha się w kimś, kogo powinien zabić?

NYCH MIŁOSCI

zje za rolę w „Cruel Intentions", obrazie będącym współczesną wersją „Niebezpiecznych związków". W tej chwili Gellar pracuje nad drugą częścią opowieści o psie Scooby Doo i jego przyjaciołach.

Blade Runner

Tytuł oryg.: Blade Runner, 1982
Bohaterowie: Rick Deckard i Rachael
Reżyseria: Ridley Scott
Występują: Harrison Ford i Sean Young

Deckard jest łowcą androidów – sztucznych ludzi toczących wojny w imieniu ludzkości, a teraz zbuntowanych i dążących do przedłużenia krótkiego okresu swego życia. Film opowiada o historii prowadzonego przez Deckarda śledztwa oraz o wykonywanych przez niego wyrokach.

Sceneria futurystycznego, wiecznie zasnutego mrokiem i pogrążonego w deszczu miasta do dzisiaj jest jedną z najbardziej przemawiających do wyobraźni wizji science-fiction. Blade Runner próbuje odpowiedzieć na pytanie, gdzie zaczyna i gdzie kończy się człowieczeństwo oraz czy myśląca istota ma prawo odbierać życie innej myślącej istocie.

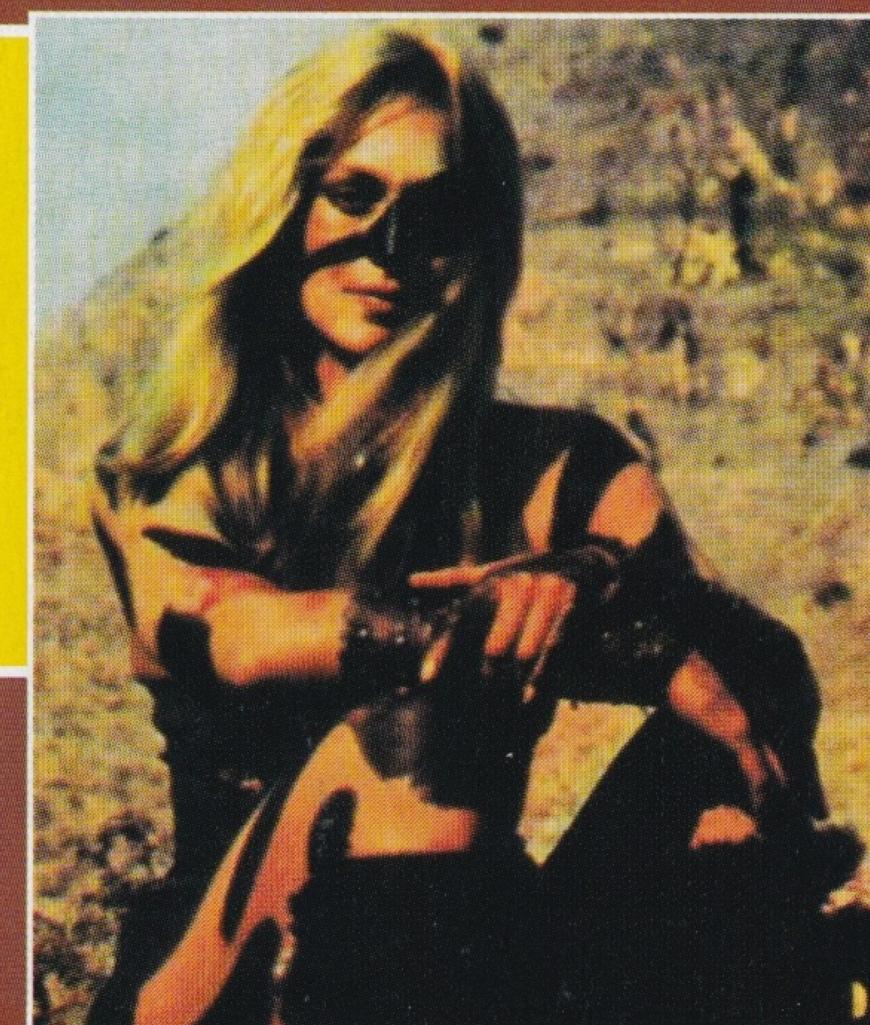
Po przeszło 20 latach od premiery „Blade Runnera" Harrison Ford jest nadal megagwiazdą (choć na pewno nie świeci się tak silnym blaskiem jak w latach 90.). Piękna Sean Young pokazuje się w kinie i TV bardzo często, ale nie jest osobą, która należałaby do wybijających się postaci z Fabryki Gwiazd. No i najlepsze lata ma już zdecydowanie daleko za sobą.

Conan Barbarzyńca

Tytuł oryg.: Conan the Barbarian, 1982
Bohaterowie: Conan i Valeria
Reżyseria: John Milius
Występują: Arnold Schwarzenegger i Sandahl Bergman

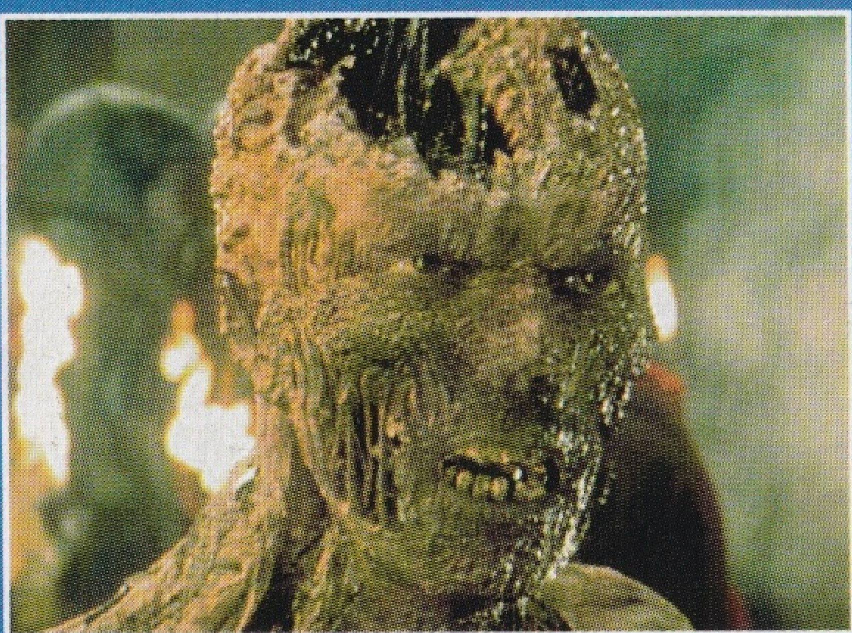
Kto by pomyślał, że prymitywny i opętany żądzą zemsty osiłek, zabójca oraz gladiator jest zdolny do miłości? A jednak! W roli Conana pojawił się, oczywiście, dzisiejszy gubernator Kalifornii, któremu partnerowała piękna modelka oraz specjalistka od fitnessu. Filmowych barbarzyńcę i uroczą złodziejkę połączyła najpierw wspólna miłość do złota oraz wspólna nienawiść do krwawego kultu węża, jednak potem ich uczucie nabrało znacznie poważniejszych kształtów. I okazało się, że więzów tych nie jest w stanie rozerwać nawet śmierć.

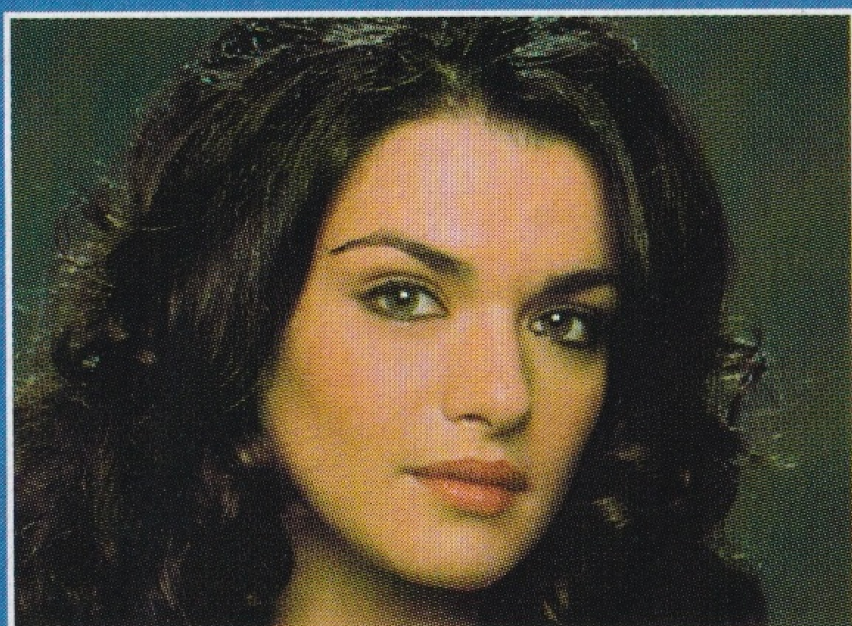
„Conan Barbarzyńca" uważany jest za czołowy film z gatunku fantasy (pomimo że 20 lat to dla kina wieczność), a niewiarygodny, epicki rozmach obrazu i cudowna muzyka imponują do dzisiaj. W odróżnieniu od współczesnych infan-



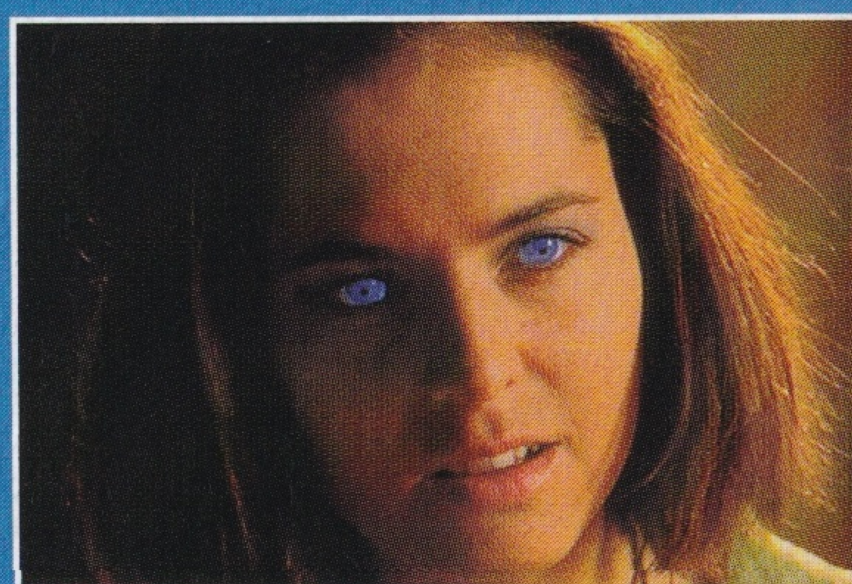
Waleczny Conan i piękna Valeria wspólnie walczą, kradną i cieszą się życiem. Wspólnie też dążą do zemsty...

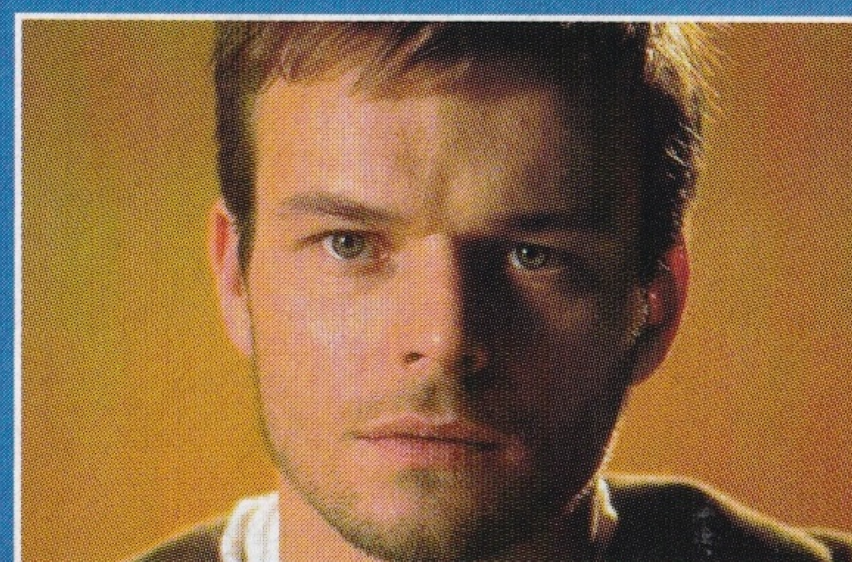






Przegniły mumiak zakochuje się w pięknej dziewczynie, gdyż, jak twierdzi, jest ona wcieleniem jego dawnej miłości





Zakochana para z Diuny – Paul Muad' Dib oraz Chani – w nowej wersji filmu na postawie słynnej powieście Herberta



Dobrotliwy kosmita podbija serce ziemianki – oczywiście w filmie „Spaceman"

Jolanta Lisowska, zdjęcia: Wydawnictwo Bauer

tylnych seriali telewizyjnych („Conan", „Herkules" itp.) jest to kino realistyczne i brutalne. Lecz romantyczna scena ostatniego spotkania Conana i Valerii za każdym razem budzi drżenie serca.

Wielki Arnie jest teraz u szczytu sławy oraz kariery, a aktorstwo zamienił na wielką politykę. Natomiast jego partnerka zajęła się propagowaniem fitnessu oraz zdrowego trybu życia i w Hollywood już nie zarządziła...

Dracula

Tytuł oryginalny: Dracula, 1992
Bohaterowie: Mina Murray-Harper i Dracula
Reżyseria: Francis F. Coppola
Występują: Winona Ryder i Gary Oldman



Mina Harper („Dracula") do złudzenia przypomina zmarłą przed stuleciami ukochaną księcia wampirów. Czy wielka miłość odżyje?

Przeklęty na wieki rumuński książę utracił uwielbianą żonę i wyrzekł się Boga. Po setkach lat spędzonych na zamku w Transylwanii odnajduje cień dawnej ukochanej w narzeczonej angielskiego dżentelmena – Jonathana Harpera. I postanawia za wszelką cenę ją zdobyć. Co ciekawe, fascynacja ta wcale nie działa tylko w jedną stronę!

Coppola przedstawił (nie po raz pierwszy w historii kina, ale niezwykle obrazowo) księcia wampirów nie tylko jako okrutnego, bezwzględnego mordercę, lecz jako godną współczucia, wyklętą istotę poszukującą miłości oraz wiecznego uspokojenia, które może przynieść tylko śmierć. „Dracula" to film wysmakowany pod każdym względem (na podziw zasługuje zwłaszcza rewelacyjna praca operatora), w którym wzięli udział aktorzy z hollywoodzkiej pierwszej ligi (Reeves, Hopkins, Ryder, Oldman).

Z bohaterów miłosnego trójkąta w „Draculi", wielką karierę zrobił tylko Reeves, który jako Neo w „Matriksie" stał się jedną z ikon pop-kultury. Dla miłośnika kina warta zauważenia będzie również rola Rider jako obdarzonego rozumem i sercem cyborga w „Alienie 4" oraz przede wszystkim wielkie kreacje Oldmana w „Leonie Zawodowcu" i „Hannibalu". Już niedługo aktora zobaczymy w filmie „Harry Potter i więzień Azkabanu".

Uwierz w ducha

Tytuł oryg.: Ghost, 1990
Bohaterowie: Molly Jensen i Sam Wheat
Reżyseria: Jerry Zucker
Występują: Demi Moore i Patrick Swayze

Czy miłość może przetrwać jeszcze po śmierci? Czy zabity mąż powróci, aby pomóc żonie i ocalić ją od niebezpieczeństwa? W jaki sposób duch, czyli istota z natury eteryczna i bezcielesna, znajdzie sposób, aby komunikować się z otoczeniem i wpływać na bieg zdarzeń? Kto przychodzi po złych ludzi, kiedy umrą? W „Uwierz w ducha" znajdziecie odpowiedzi na te właśnie pytania.

Film Jerry'ego Zuckera jest połączeniem dramatu obyczajowego oraz komedii romantycznej, a wszystko podlane mocnym fantastycznym sosem. Ten film to urocza, familijna produkcja z niezwykle ciepłymi rolami głównych bohaterów oraz partnerującej im fenomenalnej Whoopi Goldberg.

Aktorskie kariery Demi Moore oraz Patricka Swayze są już chyba przeszłością. Moore zagrała w fatalnym „Striptease" oraz żałosnej feministycznej historyjce „G.I. Joe", poza tym rozpadło się jej małżeństwo z Brucem Willisem. Swayze, uważany niegdyś za męski symbol seksu, ostatnio wystąpił w historycznym widowisku „Jerzy i smok", ale kto na świecie słyszał o tej niemiecko-luksemburskiej produkcji?

Nieśmiertelny

Tytuł oryg.: Highlander, 1986
Bohaterowie: Connor MacLeod i Heather
Reżyseria: Russel Mulcahy
Występują: Christopher Lambert i Beatie Edney

Któż chciałby żyć wiecznie? – to pytanie z przewodniej piosenki filmu śpiewanej przez Freddy'ego Mercury. Bohaterem „Highlandera" jest Conner MacLeod – szkocki góral, obdarzony szczególnym darem niemal całkowitej nieśmiertelności (zginąć może tylko z rąk człowieka tego samego pokroju i tylko kiedy odetnie mu się głowę) oraz wiecznej młodości. Cóż jednak zrobić, kiedy ukochana kobieta starzeje się, jej włosy siwieją i wyglądem zaczyna przypominać matkę, a może wręcz babkę bohatera?

„Nieśmiertelny" jest jednym z najwybitniejszych filmów science-fiction/fantasy w historii kina, a rola głównego bohatera to najlepszy chyba występ zapomnianego teraz Christophera Lamberta (szczególnie bliskiego polskiemu widzowi, gdyż rewelacyjnie zagrał rolę księdza Popiełuszki w znakomitym „Księdzu" Agnieszki Holland). Natomiast piosenki Mercury'ego to niewątpliwie jedna najlepszych opraw muzycznych w historii kina.

Lambert należał do moich ulubionych aktorów i bardzo żałuję, że jego kariera potoczyła się w niewłaściwym kierunku. Z supergwiazdy stał się jednym z tysięcy hollywoodzkich wyrobników obsadzanym w marnych rolach marnych filmów (np. „Beowulf", „Vercingétorix"). Ostatnio sporo grał w Europie. Jeśli chodzi o Beatie Edney, sukces „Nieśmiertelnego" nie stał się dla niej początkiem wielkiej kariery, ale aktorka otrzymuje cały czas sporo propozycji z telewizji.

Dziecko Rosemary

Tytuł oryginalny: Rosemary's Baby, 1968
Bohaterowie: Rosemary Woodhouse i Adrian
Reżyseria: Roman Polański
Występują: Mia Farrow i N.N.

Czy można szczerą, prostolinijną i pełną miłością pokochać Antychrysta? No cóż, pytanie to nabiera głębszego sensu, kiedy dotyczy matki szatańskiego dziecka. Rosemary zostaje zdradzona przez męża oraz wykorzystana przez przyjaciół, którzy, otumanioną narkotykami, oddają Szatanowi. Wszystko



Rosemary Woodhouse („Dziecko Rosemary") została wybrana, aby urodzić Antychrysta. Czy znajdzie siłę, by zabić groźne niemowlę?

po to, by poczęła dziecko, które w przyszłości zdobędzie dla sił ciemności władzę nad światem. Można rzec, że Polański zadaje na końcu filmu pytanie „czy Szatan może zostać zbawiony?", ale nie udziela na nie odpowiedzi.

„Rosemary's Baby" to jedno z arcydzieł sztuki filmowej. Wysmakowany, kameralny, a zarazem przerażający thriller, w którym widz niemal do końca nie może być pewien, czy obserwuje zmagania psychicznie chorej kobiety, czy też bierze udział w horrorze, gdzie naprawdę istnieją oraz działają czarnoksiężnicy oddający cześć diabłu. Z filmem „Dziecko Rosemary" powiązana została tragiczna historia morderstwa żony Romana Polańskiego zabitej przez sekciarskich fanatyków. Prasa brukowa donosiła między innymi o czarnych mszach, odbywających się w domu reżysera, i kulcie diabła, któremu mieli się oddawać on i jego najbliżsi.

Matrix

Tytuł oryginalny: Matrix, 1999
Bohaterowie: Neo i Trinity
Reżyseria: Andy i Larry Wachowscy
Występują: Keanu Reeves i Anne Moss


On ma zostać zbawcą ludzkości. Ona od dawna walczy o wyzwolenie naszej cywilizacji. Tylko razem mogą zwyciężyć („Matrix")...

We wstrząsającej scenerii świata rządzonego przez cywilizację maszyn rozkwita miłość dwojga bojowników o wyzwolenie ludzkości: tajemniczej Trinity oraz uzdolnionego hakera Neo, który zostaje obwołany Wybrańcem mającym przynieść wolność naszej cywilizacji.

O popularności serii „Matrix" nawet nie trzeba mówić. Niewiarygodne dochody, jakie przyniosły trzy filmy z tego cyklu, mówią same za siebie. Co do jakości tych obrazów (zwłaszcza części drugiej) zdania są już podzielone, ale z całą pewnością Neo oraz Trinity jeszcze na długo pozostaną w pamięci widzów. Ja w każdym razie długo nie zapomnę sceny uratowania Trinity na dachu biurowca. Poza tym „Matrix" wszedł już do kanonu popkultury. Ludzie noszą okulary „zmatriksa", ubierają się w płaszcze „zmatriksa", a biały króliczek stał się motywem damskich tatuaży.

Zaklęta w sokoła

Tytuł oryg.: Ladyhawke, 1985
Bohaterowie: Etienne Navarre i Isabeau d'Anjou
Reżyseria: Richard Donner
Występują: Rutger Hauer i Michelle Pfeiffer


Wydawało się, że ich miłość została zniszczona klątwą („Ladyhawke"). Czy znajdzie się sposób, by sokoła zamienić w piękną damę?

Na zawsze rozdzieleni. Kiedy w ciągu dnia on jest człowiekiem, ona przemienia się w sokoła. Kiedy ona w nocy zyskuje kobiecą postać, on staje się wilkiem. Zawsze razem, a jednak zawsze osobno. Wszystko za sprawą klątwy rzuconej przez zawistnego i podłego arcybiskupa. Czy miłość, przyjaźń oraz poświęcenie wystarczą, aby przemóc siły Zła?

„Ladyhawke" to wspaniałe kino fantasy, gdzie obok znanego i uznanego Rutgera Hauera zalśniły dwie nowe gwiazdy – Michelle Pfeiffer oraz młodziutki wtedy Matthew Broderick (później zobaczyliśmy go między innymi w „Godzilli" oraz usłyszeliśmy jako Simbę w „Królu Lwie"). Hauer przez wielu uważany jest za jeden z największych zmarnowanych talentów Hollywood, ale jego rolę w „Autostopowiczu" powinien zobaczyć każdy miłośnik filmów grozy.

Shrek

Tytuł oryginalny: Shrek, 2001
Bohaterowie: Shrek i Fiona
Reżyseria: Anrew Adamson i Vicky Jenson
Występują: Cameron Diaz (głosy)

Czy groźny, wielki i mający obrzydliwe obyczaje ogr może zakochać się w pięknej, romantycznej księżniczce? A czy księżniczka może zapałać miłością do odstręczającego stwora o fatalnych manierach i złotym sercu?

„Shrek" to błyskotliwa, dowcipna i niebanalna wariacja na temat Pięknej i Bestii. Film zdobył nieprawdopodobną popularność na całym świecie, a historyjki z wytwórni Disneya wyglądają przy nim jak mdłe i nudnawe bajeczki. W polskiej wersji językowej na uwagę zasługuje nieprawdopodobna szarża aktorska Jerzego Stuhra w roli osła – przyjaciela głównych bohaterów oraz olśniewające, nawiązujące do polskich realiów, tłumaczenie.


Śmierdzący ogr nie wydaje się odpowiednią partią dla pięknej księżniczki. A jednak istnieje między nimi dziwne porozumienie dusz...

Gore na świecie

Głośne filmy gore powstawały także w innych krajach, np. szokujący „I spit on your grave" (1980, reż. Meir Zarchi) jest produkcji izraelskiej, „Necromantic" (1987, reż. Jorg Butgereit), opowiadający o parze nekrofili to produkcja niemiecka, a jeden z najgłośniejszych filmów gatunku, prześmiewcza „Martwica mózgu" (Braindead, 1992), powstała w Nowej Zelandii i wyszedł spod ręki Petera Jacksona (tak, tego samego, który przeniósł na ekran „Władcę Pierścieni" Tolkiena).

Szokujące filmy

- **Cannibal Ferox**
- 1981, Włochy, reż: Umberto Lenzi – liczne sceny kanibalistyczne.

- **I Spit On Your Grave**
- 1980, Izrael, reż: Meir Zarchi – brutalny gwałt i zemsta ofiary na gwałcicielach; brutalne morderstwa i scena kastracji.

- **Organ**
- 1996, Japonia, reż Kei Fujiwara – brutalne morderstwa i pozbawiane ofiar narządów.

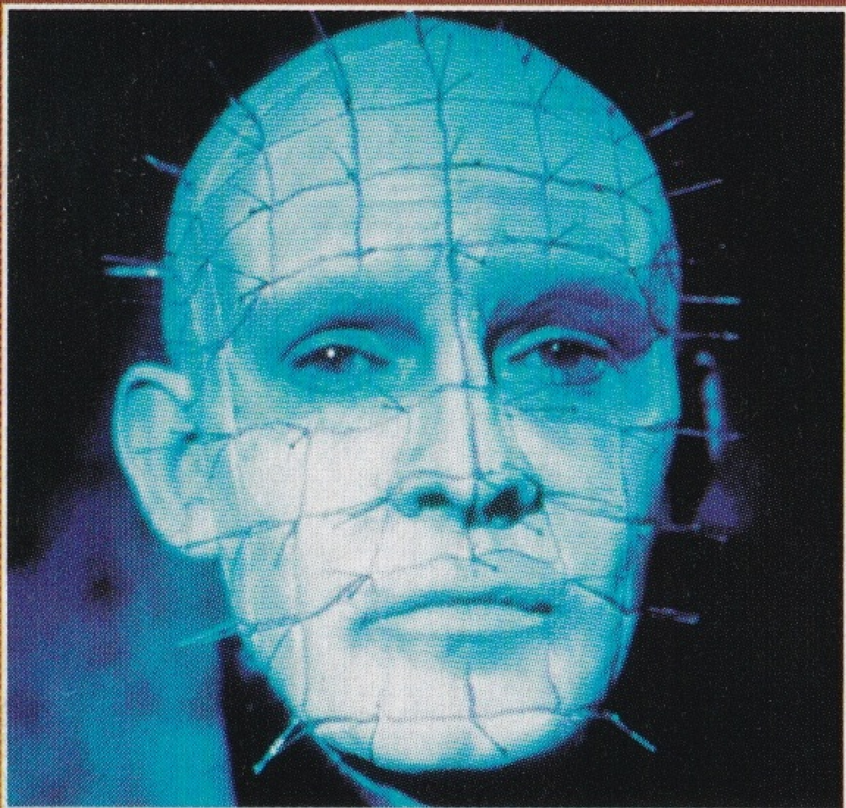
- **Tetsuo**
- część 1 1988 i część 2 1992, Japonia, reż. Shinya Tsukamoto – brutalne morderstwa i krwawe sceny przekształcania człowieka w cyborga.

- **Teksańska masakra piłą łańcuchową**
- Texas Chainsaw Massacre, 1974, reż Tobe Hooper – realistyczne zdjęcia ludzkich zwłok w stanie rozkładu, liczne morderstwa.

- **Necromantic**
- 1987, Niemcy, reż Jorg Butgereit – niezwykle realistyczne zdjęcia ludzkich szczątków w różnych stadiach rozkładu i praktyki nekrofilskie.

Hellraiser

Słynny cykl zrealizowany według prozy Clive'a Barkera daje przedsmak tego, co na widza czeka w prawdziwym gore. Jednak jest to cykl obrazów wart polecenia wszystkim, którzy od horroru oczekują nie tylko wstrząsającej brutalności, lecz również kapitalnego nastroju i, uwaga!, uwaga!, inteligentnego scenariusza.



Przerażający Pinhead stał się bohaterem wielu filmów oraz komiksów





Krew, wyprute flaki, obcięte głowy i wyrwane kończyny to dla gatunku „gore" zwykły widok

KRWAWE

U lubionym zajęciem miłośników kina (i krytyków) jest dzielenie gatunków filmowych, takich jak westerny, filmy fantastyczne, sensacyjne i inne, na różne podgrupy. Stąd w sensacji wyróżnianie filmów szpiegowskich, kryminalnych czy po prostu zwyczajnych strzelanek, w fantastyce – fantasy, science-fiction, space oper, horrorów i jeszcze innych. Oczywiście podgrupy te mają z kolei swoje pod-podgrupy... Ale nie o tym mowa. Chcę się dziś zająć jednym z rodzajów horroru, bardzo specyficznym i adresowanym do dość wąskiej grupy jego fanów.

Wiadra pełne krwi

Wielbiciele filmowej grozy doskonale wiedzą, że horror horrorowi nierówny. Z reguły są to filmy fantastyczne, zawierające jakiś pierwiastek nadprzyrodzony. Można wybierać między opowieściami o wampirach, o przerośniętych zwierzątkach (takich jak Godzilla, Gigan, Mothra i dziesiątki innych stworów, czyli tzw. monster movies), o duchach przybywających z zaświatów, by pomóc żywym lub, wręcz przeciwnie, tylko im zaszkodzić, o zombie czyli żywych trupach, wilkołakach, straszliwych klątwach itd.

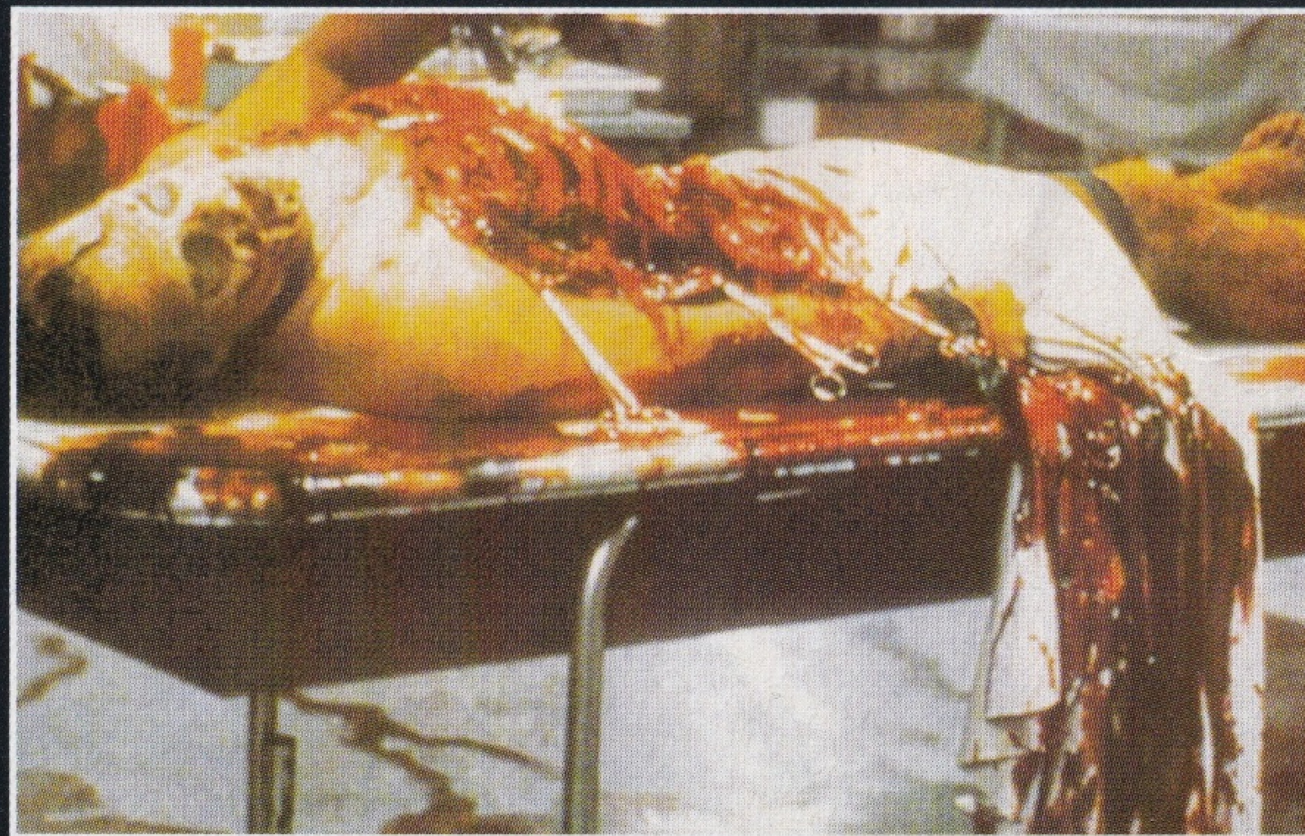
Istnieje jednak grupa horrorów, które właściwie nie są odrębnym gatunkiem, lecz czymś pośrednim – mogą opowiadać o duchach, wampirach, maniakach z brzytwą czy wielu innych sprawach, a łączy je jedna wspólna cecha – hektolitry krwi, wylewające się na ekranie i kilogramy flaków walających się w polu widzenia. Są to tzw. gore films, czyli filmy krwawe (gore to pochodzące jeszcze ze staroangielskiego określenie krwi). Istnieją także inne określenia jak splatter (znowu z angielskiego, ale tym razem od odgłosu, jaki wydaje kawałek surowego mięsa rzucony o ścianę; w komiksach towarzyszy temu napis: „SPLAT!") czy slasher (od cięcia nożem, czyli „slash").

Narodziny okropności

Ten rodzaj filmów powstał w Stanach Zjednoczonych na początku lat siedemdziesiątych, kiedy twórcy podejmowali różnorodne eksperymenty. Jeden z takich eksperymentalnych obrazów, „Teksańska masakra piłą łańcuchową" (1974), wywołał prawdziwy szok. Widzami najbardziej wstrząsnął początek filmu, kiedy w pierwszej sekwencji, rozgrywającej się na cmentarzu, ukazane są przestrzenne kompozycje z ludzkich zwłok w różnych stadiach rozkładu. Następujące potem realistycznie pokazane sceny zabijania, ćwiartowania ludzkich ciał i potoki krwi były czymś dotąd niespotykanym. Dodatkowo scenariusz został luźno oparty na prawdziwych wydarzeniach (znaleziono dom wyposażony w meble zrobione z ludzkich szczątków). Po „Masakrze..." zaczęły pojawiać się coraz śmielsze filmy, produkowane poza wszelkimi oficjalnymi wytwórniami i tak rozpowszechniane. Dzięki rosnącej popularności techniki wideo filmy te trafiły do większej ilości widzów. Powstawały wyspecjalizowane pisma (jak chociażby amerykańskie „Fangoria" czy „The Gore Zone") i kluby miłośników gatunku.

Gore trafia do sądów

Fabuła filmów „gore" jest często tylko pretekstem. Chodzi głównie o stworzenie takiej sytuacji, w której można szokować widzów niesamowitymi i, nie bójmy się tego określenia, dość obrzydliwymi efektami specjalnymi. Czasem są one robione tak realistycznie, że jednego z twórców nawet oskarżono o znęcanie się nad zwierzętami – żeby uniknąć skazania musiał w sądzie pokazać, w jaki sposób udało mu się osiągnąć tak wielki realizm. Podobne pozwy zdarzały się częściej. Kiedyś nawet oskarżono pracownika British Film Institute (odpowiednik naszej Filmoteki Narodowej) o rozpowszechnia-



Day of the Dead jest filmem, który przeszedł już do historii i absolutną klasyką opowieści o zombich

cd s.67



Eliksir szczęścia

czyli Rafał Aleksandrowicz spotyka Jakuba Wędrowycza

tekst: Rafał A. Ziemkiewicz
rysunki: Marcin Kułakowski

Powinienem się, oczywiście, wcześniej domyślić. Już po pierwszym kieliszku tego mętnego świństwa, którym mnie plugawy staruch poczęstował. Nie, co ja mówię – jeszcze wcześniej. Od razu, jak udało mi się dotrzeć na miejsce. No bo jak: zadupie, że w życiu gorszego nie widziałem. Wszelkie tradycyjne odzywki o diable mówiącym dobranoc czy psach szczekających odwrotną stroną ciała wydawały mi się tu zdecydowanie za słabe. W takim miejscu na człowieka z Warszawy, jeszcze dziennikarza, powinni patrzeć jak buszmeni na brytyjskiego lorda w korkowym kasku. Nie mówię, że mieliby aż bić przede mną pokłony albo znosić ofiary, ale powinni przynajmniej troszkę się zdziwić. Tymczasem pierwszy wieśniak, którego zaczepiłem, powiedział: – A, jeszcze jeden od tych tu z Warszawy?

Wyjaśniłem mu, że nazywam się Rafał Aleksandrowicz, jestem dziennikarzem „Gazety Narodowej", przybyłem zrobić reportaż o ich gminie i zapytałem, jakich to tych tu z Warszawy ma na myśli.

– Nu, władzę – powiedział. – Co byli wczoraj.

Po czym umknął w przestrzeń między zaniedbanymi chałupami, bez pożegnania. Nie zatrzymywałem go. Po co niby? Tłumaczyć, że jestem tu przez cholernego redakcyjnego jasnowidza?

Zresztą do głowy mi wtedy nie przyszło, że naprawdę mogło chodzić o prawdziwych przedstawicieli władzy. W języku ludu słowo to miało znacznie szersze znaczenie, obejmując nie tylko, co jeszcze zrozumiałe, wszystkich mundurowych, ale również i dziennikarzy. Może ktoś gdzieś usłyszał o „czwartej władzy" i wziął to dosłownie, a może tak po prostu działała telewizja. Znajomy prawicowy polityk przeżył kiedyś ciężki szok, kiedy pojechał w teren buntować elektorat przeciwko rządowi. Ledwie wszedł na salę, miejscowa ludność zaczęła go lżyć i czynnie znieważać, jak wy dranie rządzicie, do pierwszego nie starcza, za bezcen Polskę żeście wyprzedali i tak dalej. Rozpaczliwe tłumaczenia, że w pełni się z nimi zgadza i właśnie dlatego przyjechał, odbijały się jak od ściany. „Ludzie, ja jestem w opozycji! Ja przecież nie rządzę", usiłował perswadować rozgniewanemu elektoratowi, na co usłyszał: „Jak to nie ty rządzisz, ch... złamany, kiedy cię w telewizji pokazują"?

Uśmiechnąłem się do tego wspomnienia, podziwiając nieco pochyłą architekturę Wojsławic. Tak, kiedyś wystarczało mieć znajomych polityków. Jak wychodziły na kogoś kwity, to polityczny przeciwnik zanosił je do znajomych dziennikarzy. Przecieki o aferach i przekrętach lewicy szły więc do mediów prawicowych, a o aferach i przekrętach prawicy do mediów lewicowych. Małe, niezależne pisma o jasno określonym profilu ideowym, takie jak moja gazeta, jakoś mogły funkcjonować. Niestety, z czasem dawcy przecieków uświadomili sobie, że taki przeciek to dla mediów chodliwy towar, a za towar tylko frajer nie bierze pieniędzy. No i zaczęły się normalne konkursy ofert. Mam historię o tym, co łączy poszukiwanego międzynarodowym listem gończym aferzystę z osobistym sekretarzem premiera, cena wywoławcza pięćdziesiąt, kto da więcej? A ja mam billing doradcy ministra spraw wewnętrznych z numerami komórki znanego gangstera... W efekcie przecieki zostały szybko zmonopolizowane przez potężne medialne koncerny, o rywalizacji z którymi moja gazeta nie miała nawet co marzyć.

Miałem wybór: mogłem zacząć od biura sołtysa, posterunku, parafii albo knajpy. W tym ostatnim miejscu warszawiak zawsze musi się liczyć z możliwością zarobienia w kły, ale w pozostałych nie dawali alkoholu.

Więc zasadniczo nie miałem wyboru.

Knajpa w Wojsławicach wyglądała ni mniej, ni więcej, tylko jak knajpa w Wojsławicach. Potrzeby estetyczne konsumentów zaspokajały zakurzone papierowe falbanki, przypięte pinezkami do okapu nad bufetem, oraz ustawiony na barze frontem do sali telewizor. W telewizorze podrygiwały z wyłączonym dźwiękiem czekoladowe dziewczyny w skąpych kostiumikach, w perspektywie nad nimi dało się widzieć jakiś święty obrazek, a z zaplecza dochodził smród odgrzewanych mrożonek i odgłosy krzątania się agenta.

Salę wypełniały pamiętające czasy towarzysza Wiesława stoliki z podwiniętych, rozwarstwionych na rogach laminowanych płyt paździerzowych, osadzonych na drucianych nogach, na tyle ażurowych, że nikomu nie przyszło do głowy ich powyłamywać i użyć jako argumentu w którejś z toczonych w lokalu przez te wszystkie lata dyskusji. Podobnie ażurowe konstrukcje, opatrzone tapicerką z brudnej, niegdyś czerwonej dermy, służyły za krzesła. Na krzesłach tych, wokół kilku zestawionych stolików pod oknem, biesiadowała miejscowa ludożera sztuk siedem.

Ajent, kiedy w końcu łaskawie wyłonił się z zaplecza, zmierzył mnie umiarkowanie zaciekawionym wzrokiem. Zacząłem ostrożnie od piwa; przyniósł jakiś wynalazek z miejscowego browaru, postawił przede mną i wrócił na zaplecze, nie nawiązując rozmowy.

Wyglądało na to, że centrum grupy pod oknem stanowiło dwóch omszałych staruchów w fufajkach – jeden chudy, trochę podobny do proroka z „Konopielki", drugi bardziej przysadzisty, pomarszczony, o czerwonej gębie wpadającej w okolicach nosa w fiolet i złośliwych oczkach. Ten pierwszy zaciągał mocno śpiewnym, kresowym akcentem, a ten ze złośliwymi oczkami stawiał albo był solenizantem.

No, więc ten redakcyjny jasnowidz. Kiedy skończył się dostęp do afer, trzeba było sięgnąć w walce z konkurencją po niestandardowe metody. Wiadomo, że pod względem szybkości przekazania informacji o każdym zdarzeniu radio i telewizja zawsze będą od gazety lepsze. Chyba że gazeta będzie z góry wiedziała, gdzie szukać, jeszcze zanim zdarzenie nastąpi. Skoro odwołują się do jasnowidzów policjanci, to co się dziwić, że w końcu sięgnęły po nich i walczące o miejsce na rynku redakcje.

Współpraca z wróżem szła topornie, bo w tej branży jasność wysławiania się i ścisłość nie są wysoko w cenie. Wręcz przeciwnie. Jasnowidz mędził, ściemniał, ubierał wszystko w piętrowe metafory i dopiero przypomnienie, że płacimy za konkrety, a nie za show, skłoniła go do wydukania nazwy miejscowości: Wojsławice. To właśnie z Wojsławic miała niebawem wyjść wielka zmiana nastrojów, która obali wywyższonych i wywyższy obalonych, czy jak tam leciał ten wieszczy słowotok. Na czym owa zmiana miała polegać, nie był już

w stanie wyjaśnić. I jeszcze śmiał żądać kasy od ręki. Na szczęście szefowa miała na takich wypracowane sposoby.

Po dokładniejszym sprawdzeniu okazało się, że poza niedalekimi wykopaliskami Wojsławice zwracają uwagę tylko jednym. Od niepamiętnych czasów frekwencja wyborcza wynosiła tu od 99,8 do 100 procent uprawnionych, i zawsze 99,8 do 100 procent głosów uzyskiwał ten sam sołtys.

Staruch z czerwoną twarzą nie był solenizantem, tylko bohaterem wieczoru. Stwierdziłem to po kilkunastu minutach niezbyt intensywnego nadstawiania ucha. Oblewano tu jakiś jego sukces.

Ajent objawił się z kolejnym piwem i postanowiłem wykorzystać to do nawiązania konwersacji.

– Niezłe piwo – zagadnąłem. Oryginalnie.

– Perła – burknął.

Od biedy można było uznać, że już się zaprzyjaźniliśmy.

– Jestem dziennikarzem, z Warszawy – przestawiłem się. – Robię tu reportaż.

Na twarzy ajenta odbił się umysłowy wysiłek.

– O tych z beczkowozem?! – spróbował zgadnąć.

– Z beczkowozem? To znaczy, ci, co tu przyjechali wczoraj, mieli ze sobą jakiś beczkowóz?

– A, ja tam nic nie wiem. – No i masz, spłoszył się.

Popatrzyłem smętnie, jak znika na zapleczu. Nie pozostało nic innego, tylko iść na bezczelnego. Ująłem świeżo przyniesione piwo, szklankę, i zbliżyłem się do zajętych stolików.

– Witam szanownych panów – oznajmiłem teatralnym tonem, zarezerwowanym na podobne okazje. – Proszę wybaczyć, że naruszam prywatność, ale czy łaskawie zechcą panowie pozwolić, że spocznę tu na chwilę, aby wypić w ich zacnym towarzystwie – tu uniosłem nieco butelkę – to jedno piwo?

Onieśmielenie, jakie spowodowała moja wyszukana uprzejmość, można było zinterpretować jako milczącą zgodę, i tak właśnie zrobiłem, dostawiając sobie ażurowo-dermowe krzesełko.

– Jeszcze jeden z Warszawy – mruknął domyślnie jeden z biesiadników, bardziej od pozostałych zasmarkany.

– W istocie. Jak słyszałem, zamieszkiwana przez panów miejscowość z niejasnych jeszcze dla mnie przyczyn stała się ostatnio obiektem szczególnego zainteresowania ludzi ze stolicy. Panowie zaś, jak pozwalam sobie zauważyć, właśnie świętują jakiś sukces. Muszę powiedzieć, że jako dziennikarza bardzo mnie to interesuje.

– A, świętuję – zaskrzypiał staruch o złośliwych oczkach. – Birskiego wreszcie szlag trafi!

To ostatnie stwierdzenie wyzwoliło falę rechotu i stukania się musztardówkami. Pociągnąłem łyk „Perły". Kiedy ludzie zaczną gadać, to i w końcu powiedzą. Nie ma co ciągnąć za język, bo się spłoszą jak ajent.

– Nasz Jakub – poczuł się w obowiązku uświadomić mnie miejscowy o kartoflowatym wyglądzie – został wczoraj po raz trzydziesty uwolniony od zarzutu pędzenia bimbru ze względu na zły stan zdrowia, podeszły wiek i znikomą szkodliwość społeczną.

– Nu, uniewinniony, ta jedno, ale jakie ma teraz chody... – rzekł pociągły. – Odkrycie o strategicznym znaczeniu dla państwa...

– To mówię, że Birskiego wreszcie szlag trafi – zarechotał ponownie staruch.

No tak, od razu się tego domyślałem.

– Zechce pan pozwolić, że dołączę swoje gratulacje. Bo zapewne słusznie wnoszę – podjąłem, odczekawszy, aż się wyśmieją. – Że mam przed sobą producenta znanych i cenionych w środowiskach koneserów napojów wyskokowych, Jakuba Wędrowycza?

– Hę? – staruch wcale nie wyglądał, jak się tego spodziewałem, na mile połechtanego. – To sukinsyny, obiecali mordę trzymać w kubeł, a już rozgadali do gazet!? – potrząsnął nad stołem odmrożonym na fioletowo, kościstym kułakiem.

– Nu, i mówił ja, z partyjnymi zawsze tak – westchnął pociągły, rozkładając ręce.

– To nie partyjne były, tylko ABW – sprostował kartoflowaty.

– W pańskiej zaś osobie – zwróciłem się do chudego – mam zapewne zaszczyt powitać Semena Korczaszkę? A pan – skinąłem kartoflowatemu – niewątpliwie jest przedstawicielem miejscowych władz samorządowych, czyli innymi słowy tutejszym sołtysem?

Potwierdzili, ale tylko sołtys zareagował prawidłowo, to znaczy dumnym uśmiechem i wypięciem okrytej fufajką piersi.

– Jest mi niezmiernie miło i pozwólcie, zacni panowie, że od razu rozproszę wasze ewentualne obawy co do tego, skąd mam przyjemność was znać. Mamy po prostu wspólnego znajomego.

– Hę?

Właśnie ta cholerna znajomość, a raczej nieopatrzne przyznanie się do niej, kiedy w redakcji padło na głos słowo „Wojsławice", zadecydowały o wyznaczeniu mnie przez kierownictwo do tej eskapady.

– Opowiadał mi o panach znany archeolog, doktor Olszakowski. W zeszłym sezonie prowadził wykopaliska na pobliskich kurhanach.

– Aaa! Ten... – staruch przełknął w ostatniej chwili jakieś słowo. – W okularkach? No, no, pamiętam. Śmieszny chłopina, ale pił jak uczciwy człowiek!

– Nu, wiesz co, ty nasz strategiczny wynalazco? – zaśpiewał Korczaszko. – Należże redaktorowi, z daleka jechał...

Spod stołu wyjechała butla z grubego szkła o rozmiarach małego gąsiorka, napełniona do połowy mętnym, zalatującym fuzzlami płynem. Wszystko szło zgodnie z klasycznymi wskazaniami Malinowskiego: pierwsze lody zostały przełamane, można było rozpocząć obserwację uczestniczącą.



Dalej, mimo wszelkich starań, relacja nieuchronnie musi nabrać rwanego charakteru. Piliśmy bimber, popijając piwem, i nie zamierzam udawać, że byłem w stanie dotrzymać w tej konkurencji kroku miejscowym. Zgodnie z zasadami obserwacji uczestniczącej nie starałem się ciągnąć nikogo za język. Gadaliśmy głównie o Jewno Azefie i Stołypinie (z Korczaszką) oraz o trzynastu biegach traktora (z zasmarkanym). Za oknami robiło się już ciemno – chyba że była to moja własna, z wolna nasuwająca się na oczy, wewnętrzna pomroczność – kiedy sołtys wyjaśniał mi tajemnicę bezprzykładnie wysokiej frekwencji w jego gminie.

Prawdę mówiąc, specjalnej tajemnicy w tym nie było.

– Szkoły u nas nie ma, rady narodowej nie ma, to gdzie zrobić komisję wyborczą? Tylko tu. Lokal wyborczy zamknąć można dopiero wtedy, kiedy wszyscy uprawnieni i w dniu głosowania obecni na terenie gminy oddadzą głos. To już ci, co ich suszy, sami pilnują, żeby wszyscy przyszli za obywatelskim obowiązkiem jeszcze przed mszą.

– Aha. A że zawsze na ciebie, sołtys – nie pamiętam dokładnie, w którym momencie przestałem się wygłupiać z wyszukanym sposobem wysławiania i przeszedłem z miejscowymi na „ty". – To już z braku innych kandydatów?

– A, to już, widzisz, redaktor, zasługa Wędrowycza. Takiego napędził... A, zresztą to sekretno.

Nie nalegałem na szybkie wyjawienie tajemnicy, bo obecnych zaprzątała akurat dyskusja nad problemem zasadniczej natury. W szklanej butli wyschło już dno i należało ustalić, jaki kolejny trunek wybrać dla podtrzymania miłego nastroju. Obowiązujące w wykwintnym wojsławickim towarzystwie zasady wykluczały najwyraźniej repertuar oficjalny, wszystko bowiem, co dostępne było w bufecie, uznane zostało za niegodne takiej okazji. Z pewnym trudem zgodzono się na propozycję ajenta, aby zastąpić piwo owocową bormotuchą, zwaną tu pieszczotliwie „prytą". Ale, oczywiście, tylko w charakterze „papojki".

– Daj, Jakub, tego rządowego – zawyrokowało w końcu towarzystwo. Staruch odmówił zdecydowanie. Charakterystyczna rzecz: wydawało się, że w każdej innej sprawie zebrani uszanowaliby stanowczość swego nestora, w tej jednak nie.

– Dajcie spokój, rządowego? Nie mogę!

– Nu, nie zawalaj. Redaktor niech popróbuje, z daleka jechał.

– A właśnie nie mam nic, wszystko wzięli – bronił się Wędrowycz. – Zresztą tajemnica!

– Jaka tam tajemnica, jak on już i tak uznał. I nie gadaj, bo sam mówiłeś, że sobie trochę zostawiłeś, taki dobry wyszedł.

– Ale to koncentrat! A on nieprzygotowany, zaszkodzi mu!

– Co tam zaszkodzi, duży chłop!

Staruch pomarudził jeszcze, potem zniknął gdzieś na chwilę i za jakiś czas wrócił z zatkaną papierowym zwitkiem litrówką. Na oko, wykorzystywano ją do alkoholowego recyklingu już tyle razy, że aktywiści partii zielonych mogliby się do niej modlić.

Nalano mi szczodrze. Pomyślałem, że coś, co w gronie takich tęgoryjców uchodzi za koncentrat, pozbawi mnie życia w minutę osiem. Ale płyn nie miał wcale jakiejś szczególnej mocy. Samogon jak samogon. Tylko jakiś taki białawy i z dziwnym posmakiem.

Nie trwało to długo. Kątem oka zauważyłem, że ośrodek zainteresowania towarzystwa jakby przemieszcza się ku sołtysowi, którego wszyscy zaczęli poklepywać, gładzić i okazywać mu życzliwość na inne sposoby. I wtedy zaczęło mnie brać.

W telewizorze na bufecie ktoś przełączył muzyczną satelitarkę na polską jedynkę. Dostrzegłem na ekranie sejmową mównicę, a nad nią twarz premiera. Tknięty nieodpartym impulsem rzuciłem się zrobić głośniej. To było oburzające, że gadali tak głośno, nie słuchając zupełnie, kiedy nasz przywódca mówi o swoich sukcesach. Zwróciłem im na to w ostrych słowach uwagę, ale zareagowali tylko chóralnym rechotem. A ja nie mogłem uczyć ich w tym momencie dobrych manier. Nie pozwalało mi na to wzruszenie, z jakim chłonąłem słowa mego ukochanego polityka. Potwierdzałem entuzjastycznie, gdy mówił, że nigdy nie mieliśmy lepszego rządu i premiera. A potem, obejmując telewizor i całując poczerniałe od kurzu szkło, szlochałem z oddania, na przemian to wznosząc prorządowe okrzyki, to znowu wyznając swe winy wobec naszej wspaniałej władzy.

– Ależ go wzięło – stwierdził ktoś z podziwem.

– Niezwyczajny, mówiłem. A to koncentrat. Szklanka na dziesięć litry wystarczy...

Uczucie wstydu nie jest mi obce, więc na swoje dalsze zachowanie spuszczę tu zasłonę milczenia.



Nie wiedzieć jak ani skąd, rano, a żeby być ścisłym, następnego popołudnia, ocknąłem się w chałupie Wędrowycza, równie cuchnącej jak on sam. Długo trwało, zanim opanowałem ból głowy i mdłości na tyle, aby wstać. Zaofiarowanego przez gospodarza klina wciągnąłem tylko w nadziei, że umrę po nim szybko i przestanę się męczyć. Ale byłem w rękach fachowca. Z wolna doszedłem do stanu pozwalającego skupić myśli oraz uświadomić sobie sytuację.

Sytuacja była tragiczna. Facet w ramach przyjacielskiej przysługi dla sołtysa napędził magicznego bimbru, skutkującego nieopanowaną miłością do władzy. I, niestety, wiadomość o tym strategicznym odkryciu wydostała się poza Wojsławice. Jasne, że za taki prezent grupa trzymająca władzę gotowa była umorzyć staruchowi każdy proces. Gdyby tego zażądał, daliby mu willę z ogrodem jak ruski poligon albo diamentową aparaturę do destylacji. Diabli wiedzą zresztą, czego jeszcze zażądał.

– Ty stary łajdaku – wybełkotałem. – Sprzedałeś tej bandzie coś takiego... Przecież oni teraz... oni nas teraz...

Staruch rechotał tylko, a jego kaprawe oczka lśniły jeszcze większą złośliwością niż zwykle.

Wywlokłem swoje zwłoki na dwór. Trochę po to, żeby złapać powietrze, a trochę, żeby poszukać zasięgu. Znalazłem go za stodołą.

Doleją tego świństwa do siwuchy, pewnie specjalnie obniżą na ten gatunek akcyzę, i mają miażdżącą większość w każdych wyborach. Chciało mi się płakać.

– Prorok? Tu Rafał. Słuchaj, mamy wszyscy przegwizdane...

– Masz tam telewizor? Stary, żałuj – Prorok był czymś niezmiernie ubawiony. – Powariowali! Od wczoraj na wszystkich kanałach...

Kręciło mi się w głowie, chciało wymiotować, słowa Proroka docierały jak przez ścianę z gąbki.

– Na wszystkich kanałach... Jacy to są świetni... Zakochani w sobie... Kompletny samozachwyt... Pochlali się całym rządem czy co...

Kompletny samozachwyt... Jak przez mgłę przypomniałem sobie premiera w telewizji...

– Pochlali się – powtórzyłem za Prorokiem i w mózgu coś zaskoczyło. – Tak! Prorok, pochlali się! Musieli to wszystko wychlać sami! Jesteśmy uratowani!!!

– Eeee... Rafał, u ciebie w porządku?

– Potem ci wszystko opowiem – wyłączyłem komórkę i z błogością osunąłem się na półzgniły snopek.

Tak. Wczoraj, odurzony, nie mogłem tego zauważyć – ale gdy premier mówił o sobie i swoim rządzie, jego stalowe spojrzenie pobłyskiwało przecież autentyczną, głęboką miłością.

Teraz myślałem już tylko o jednym: że kaca najlepiej jest przespać.

KONIEC

Skansen

tekst: Andrzej Pilipiuk
rysunki: Marcin Kułakowski

I wtedy nauczyłem się, by więcej nie zaczepiać krasnoludków – Jakub zakończył opowieść.

– Cholera – mruknął Semen. – A ja z kolei miałem taką przygodę ...

Uczone rozważania przerwało pukanie do drzwi.

– Kogo niesie? – zdumiał się Jakub.

Gliniarze pukali zupełnie inaczej. Zazwyczaj używali podkutych buciorów, kolb, pistoletów, pałek... Kumple właziili zawsze bez pukania. Listonosz pukał dwa razy, zresztą nie często tu zaglądał, gdyż od kiedy Jakub dał mu w łapę, pozwy sądowe wracały do nadawcy z adnotacją „adresat nieznany".

– Wlazł – warknął gospodarz.

Wsunięta pod stół ręka namacała spust pepeszy. Gość był jeden. Na jego widok wszystko w Jakubie zwinęło się w supły. Koleś wyglądał zupełnie od czapy. Ale jednocześnie jakby znajomo. Ubrany był w garnitur, w ręku trzymał neseser.

– Panowie Wędorwycz, Korczaszko i Paczenko? – zagadnął.

– To zależy kto pyta – burknął egzorcysta.

Ten typek jakoś mu nie pasował.

– Jestem przedstawicielem ministerstwa kultury i dziedzictwa narodowego.

– Nie mam żadnych ikon. A zresztą i tak ich nie znajdziecie – Jakub postanowił wziąć byka za rogi. – Moja chałupa też nie jest zabytkowa.

Semen nie powiedział nic, ale z jego piersi znikły ordery zdobyte w czasie wojny mandżurskiej.

– Tamten motor już dawno na złom poszedł – dodał Józef. – To zresztą był tylko poniemiecki szmelc.

Facet uśmiechnął się lekko.

– Wybaczcie panowie nieporozumienie. Przyszedłem zaproponować wam zajęcie.

Staruszkowie popatrzyli po sobie zaskoczeni.

– A co konkretnie trzeba zrobić? – zapytał Jakub. – Duchy wyganiać z zamków?

– Wręcz przeciwnie – uśmiechnął się. – Organizujemy pod Warszawą wielki skansen wsi polskiej.

– Moja chałupa!? – ryknął egzorcysta. – Nie dam!!!

I dla podkreślenia wagi swoich słów pociągnął serię z pepeszy po suficie. Spodziewał się, że gość natychmiast zwieje, ale on okazał się naprawdę twardy. Tylko zmrużył oczy, żeby nie wpadało do nich próchno.

– Po co tak nerwowo? – powiedział. – Po kiego grzyba nam ta chałupa? Wy nam jesteście potrzebni.

– A tak konkretnie do czego? – zainteresował się kozak.

– Staniecie się atrakcją turystyczną. Powiem od razu, że będziecie mogli robić dokładnie to, co dotychczas. A wasze obowiązki? Zajmiecie się pędzeniem i piciem bimbru. Zakąskę my dostarczymy. Kontrakt bezterminowy.

– A co z gliniarzami? – zaciekawił się Józef. – Nie będą nas ganiać?

– Oczywiście, że nie. Do skansenu wpuszczamy tylko zwiedzających.

Kumple popatrzyli po sobie zaskoczeni.

– To brzmi niegłupio – mruknął Semen.

– O nie – powiedział Jakub. – Nie dam z siebie zrobić małpy w klatce. Wynocha mnie stąd!

– Po co tak nerwowo? – powtórzył gość. – Napijemy się i pogadamy. Może dojdziemy do porozumienia.

– Może – mruknął gospodarz. – A może chcecie mnie spić i podsunąć kontrakt?

Kumple parsknęli śmiechem. Nie zdarzyło się jeszcze, żeby ktoś przepił Jakuba. Facet wyciągnął z teczki flachę 1,75 żubrówki i najlepsze czeskie salami. Usiadł na ławie.

Gospodarz zorganizował świeżą gazetę i musztardówki.

– No to zdrowie skansenów – podniósł szklankę w stronę czterdziestowatowej żarówki.



Świadomość wracała z wielkim trudem. Jakub otworzył oczy i spostrzegł nad sobą drewniane belki. Potem wszystko utonęło w zielonych plamach.

– O kuźwa, przesadziłem ździebko.

Pogrzebał w pamięci. Impreza była co się zowie. Pili i pili, ten goguś zarzygał garnitur, ale pił dalej. Ile to było tych flaszek? Miał przed oczyma obraz: butelki na stole... piętnaście, ale że troiło mu się w oczach, to pewnie tylko pięć. Ponad dwa litry na twarz... E, nie możliwe, żeby ten miastowy tyle wypił. Chociaż... pił równo, bo pilnowali go przecież... Cholera! Taki twardziel?

Otworzył ostrożnie jedno oko i zakręciło mu się we łbie. Z trudem zwlókł się z łóżka i trzymając ściany rozejrzał się po pokoju. Grube dechy na ścianach, na belce stropowej wyrżnięta sentencja. Wyrko z dranic, piec do spania, wyłożony pasiastym materacem, gliniane talerze...

– Kuźwa, jak przed pierwszą wojną – ochrypły głos dobiegł z wyschniętego na wiór gardła.

Jakub powlókł się do stołu. Stała na nim blaszana kanka. Podniósł pokrywę i powąchał. Hmmm. Serwatka. Wypił kilka solidnych łyków. Żołądek trochę się buntował, ale egzorcysta walnął pięścią w kałdun i rebelia została stłumiona w zarodku.

– Gdzie ja jestem? – pchnął drzwi.

Jak się okazało, prowadziły one do sąsiedniego pokoju. Na szerokim małżeńskim łożu spoczywał Józef z juwenaliami na wierzchu.

– Ty, zbudź się – Wędrowycz potrząsnął go za ramię. – Gdzie my jesteśmy?

Kumpel uchylił oczy i jęknął przeciągle.

– Nie tak głośno – wychrypiał. – Jesteśmy w skansenie.

– Co?! – Jakub ryknął, aż kumplowi ślepia wyszły z orbit. – Jakim prawem?

– Normalnie. Założyliście się, że jak ciebie przepije, to pójdziemy do skansenu, a jak ty jego, to przez rok będzie naszym niewolnikiem... Jak ci się durniu niewolników zachciało, trzeba było wcześniej powiedzieć, nałapalibyśmy sobie w Afryce... A tak, sami jesteśmy udupieni – wychrypiał Józef.

– Przepił mnie? Niemożliwe!

– Możliwe! A w dodatku wstał od stołu i poszedł prosto. A ty leżałeś pod stołem jak kłoda!

Skołatany Jakub zapragnął odetchnąć świeżym powietrzem. Wyszedł przed dom.

– O kurde – mruknął.

Chałupa stała na wzgórzu. Wokoło ciągnęły się urocze pagórki i dolinki, wszędzie stały chaty, pościągane widać z całego kraju. Koło domu rozkwitał sad, dojrzewały jabłka i śliwki. Sąsiednia chałupa, utrzymana w stylu syberyjskim, pasowała tu jak pięść do nosa, ale widać postawiono ją specjalnie dla Semena. Kozak przewieszony przez płot wymiotował jak wulkan. Widząc to Jakub nieco poweselał.

– Dobra – powiedział, kiedy Józwa przyczłapał za nim. – Tylko kac minie i spieprzamy z tego zoo...

– Oj tam, po co tak nerwowo? – zapytał goguś w garniturze stając za płotem. – Nie podoba wam się tutaj czy co?

Egzorcysta rzucił na niego okiem i zdębiał. Koleś chlał równo, a nie było po nim widać śladów wczorajszej imprezy. Z takim nie wstyd przegrać...

– Kontrakty podpisywane po pijanemu nieważne – odwarknął tak dla zasady. – Spływamy stąd. I co? Policję wezwiecie, żeby nas zatrzymała siłą?

– Panie Jakubie – uśmiechnął się typek. – Dlaczego tak niekulturalnie. Może najpierw rzuci pan okiem do szopki...

– Może i rzucę – rzekł egzorcysta. – Ale potem idę.
– No to zapraszam.
Ruszyli przez sad. Po drodze Wędrowycz zerwał z drzewa śliwkę i spróbował.
– Idealna na śliwowicę – pochwalił facet z ministerstwa, czy kim on tam był. – Nawet cukru nie trzeba dodawać.
Pchnął drzwi sporej drewnianej szopy. Jakubowi szczeka opadła do pasa. Aparatura do pędzenia samogonu była wielka jak lokomotywa. Kotły, paleniska, zawory... Elementy żelazne oksydowano na czarno. Pokrętła lśniły barwą polerowanego mosiądzu. Tylko raz widział coś podobnego, kiedy mając siedem lat włamał się z dziadkiem do carskiej gorzelni.
– I to...? – wykrztusił.
– Dla was. A na rozruch macie trochę zacieru – wskazał kadź, w której coś właśnie dojrzewało.
Jakub zaczerpnął kubkiem cieczy i posmakował. Idealna. Nic, tylko lać do kotłów, podkładać drewno pod paleniska...
– Może faktycznie zostaniemy kilka dni – mruknął.
Koło południa z kraniku popłynęła pierwsza aromatyczna strużka. Egzorcysta popatrzył na termometr, przeliczył szybko temperaturę pary na stężenie procentowe.
– Dziewięćdziesiąt dwa stopnie – ocenił.
Podstawił szklankę. Goguś z ministerstwa dotrzymał słowa także w sprawie zagrychy. Na stole leżała gazeta, na niej kiełbasa. Wyglądała pospolicie, ale w smaku była niebiańska. Wypili, zagryźli... Oczywiście byli i turyści. Biali, czarni, żółci... Zachodzili, zaglądali do szopy, kontemplowali ucztujących staruszków i szli zwiedzać dalej. Nawet nie przeszkadzali i co najważniejsze nie chcieli, żeby ich częstować.
– Kuźwa, Jakub, zostańmy tu na stałe – rzekł Semen. – Tu jest jak... – szukał odpowiedniego słowa.
– Jak w raju – szepnął Józef.
Obaj kumple spojrzeli na niego zaskoczeni.
– Sądzisz? – zapytał Jakub. – My, tacy grzesznicy, mielibyśmy trafić o nieba?
– Słusznie, pierdoły – Józef palnął się głowę. – Po prostu ktoś z rządu nas lubi, stąd te spec-warunki i wyżywienie.
Teraz dopiero egzorcysta się zafrasował. Z rządem jak do tej pory miał raczej na pieńku... Nie mogąc rozwikłać sytuacji, nalał sobie kolejną porcję.



Facet w garniturze stał na pagórku i obserwował, jak impreza w szopie rozwija się w najlepsze. Tak, to był zdecydowanie dobry pomysł. Nieoczekiwanie powietrze zmętniało i wyrósł przed nim dyrektor.
– Mam cię, huncwocie – wycedził łapiąc podwładnego za klapy garnituru. – Coś ty, sukinsynu, narobił?
– Ależ Kluczniku, wszystko wytłumaczę.
– Tylko migiem i niech to wygląda przekonująco. Co to za granda?
– No więc, byłem przez prawie 90 lat aniołem stróżem Wędrowycza...
– Jego nie upilnowałeś i tylko sam się nauczyłeś chlać – wycedził zwierzchnik.
– Nie, nauczyłem się wcześniej...
– Do rzeczy!
– Czas mu zapisany minął w zeszłym roku i wysłaliśmy Śmierć...
– Pamiętam. Sam ją sklejałem superglue po tym, jak oberwała z pancerfausta. I co?
– Jak doszła do siebie, chcieliśmy posłać ją raz jeszcze, ale się zaparła, że nie. No więc postanowiliśmy nagiąć nieco przepisy.
– Ładnie mi nieco – huknął święty Piotr. – Każdy musi umrzeć. Takie jest prawo.
– No więc nagięliśmy...
– A potem nagięliście, tak że wylądowali tutaj – syknął. – To jest sabotaż. Jakub i jego kumple to niepoprawni grzesznicy. Powinni smażyć się w piekle! Taki dostali przydział!
– No więc, w piekle byliśmy. Ale nie chcieli ich wziąć. No więc, wymyśliliśmy...
– Żeby ich wziąć na etat jako atrakcję turystyczną dla zbawionych – domyślił się. – Złamaliście ze dwadzieścia punktów regulaminu, przekroczyliście kompetencje... A tak właściwie, dlaczego umarli?
– Od nadmiaru alkoholu. Sam to załatwiłem – pochwalił się anioł stróż. – Fajna impreza była, ciężko szło, ale w końcu ostatni kipnął. Miał dwanaście promili i wątroba nie wytrzymała.
– To do listy zarzutów dorzucimy jeszcze chlanie z grzesznikami. W dodatku na służbie... – syknął święty. – I zdaje się nie pierwszy raz? – wyciągnął z powietrza teczkę personalną. – Co my tu mamy? Piętnaście nagan w ciągu ośmiu ostatnich stuleci. Wszyscy ludzie, których miałeś pilnować, zostali potępieni...
– No więc, kiepski materiał ludzki dostawałem i tak wyszło...
– I chciałeś się choć raz odegrać, żeby poprawić swoje notowania – domyślił się szef. – No ładnie... Co my tu jeszcze mamy? W czasie urlopu podejrzewany o rozprowadzanie samogonu w niebie i szmugiel do piekła... Jasne. To już wiem, skąd ta aparatura... Cholera, nie mieli kogo oddelegować do sprawy Wędrowycza, tylko największego ochlapusa wśród aniołów – rozżalił się.
– Ale to w zbożnym celu...
– Właśnie widzę – burknął. – Posprzątasz ten burdel. Migiem. I wynocha na Ziemię. Popracujesz w terenie jako krawężnik. Nikim się nie będziesz opiekował, tylko pochodzisz i popełniasz dobre uczynki. Powiedzmy, po dziesięć dziennie. Powiedzmy przez sto lat... No, pal cię diabli, siedemdziesiąt lat – złagodniał. – I jeszcze jedno. Ta maszyna do samogonu, wywalić mi to w diabły. Żeby śladu nie było. Bo jeszcze kogoś skusi... Odmaszerować.
– Tak jest – wykrztusił anioł.



Kuźwa, co za cholerny kac – powiedział. Jego kumple właśnie dochodzili do siebie.
– Gdzie ten dupek z ministerstwa?
– Poszedł. Wypiłeś całą flachę. Prawie dwa litry duszkiem, a jak podetkał ci kontrakt, to mu się w twarz roześmiałeś – wyjaśnił Józwa. – A ja miałem taki piękny sen...
– Aha – mruknął Jakub.
Wyszedł z chałupy odetchnąć świeżym powietrzem. Odlał się zaraz koło progu. Nieoczekiwanie jego nos złowił nutkę znajomego zapachu.
– Co zapomniałem wyłączyć? – zdziwił się.
Ruszył do stodoły i otworzył wrota.
– O choroba... – stanął jak wryty.
W stodole stała aparatura do pędzenia samogonu. I to jaka! Wielka jak lokomotywa. Kotły, paleniska, zawory... Elementy żelazne oksydowano na czarno. Pokrętła lśniły barwą polerowanego mosiądzu.
Przy maszynie kręcił się facet w garniturze. Sprawdzał poziom cieczy w kotłach, regulował kurki.
– Co to jest? – wykrztusił egzorcysta.
Tylko raz widział coś podobnego, kiedy mając siedem lat włamał się z dziadkiem do carskiej gorzelni.
– Skoro nie chce pan iść do skansenu, to zdecydowaliśmy się przerzucić maszynę tutaj – powiedział pracownik ministerstwa. – Szkoda, żeby się u nas marnowała bez pożytku. A ja czasem będę w okolicy służbowo... – puścił do niego oko.
– Jasne, zapraszamy – uśmiechnął się Jakub.
Anioł uśmiechnął się. Pierwszy dobry uczynek zaliczony, a przy okazji pozbył się maszyny.



Michał Bardak człapał do chałupy na ciężkim kacu. Mieszkańcy Wojsławic odprowadzali go spojrzeniami pełnymi nienawiści. Parszywy typ... Anioł podszedł do niego mile uśmiechnięty z flaszką w ręce.
– Czego? – warknął konfident patrząc pożądliwie na półlitrówkę.
Nieznajomy wyciągnął spod marynarki kij bejsbolowy i zamalował go w ryj. Pochylił się nad ciałem i przyłożył palce do tętnicy. Pulsu nie było. Drugi dobry uczynek z głowy. Jeszcze osiem i fajrant.

KONIEC



Czerwony most

tekst: Romuald Pawlak
rysunki: Paweł Miedziński

Rzeka znacznie zwężała się w tym punkcie, osiągając ledwie ze sto pięćdziesiąt kroków szerokości. Lecz to, co traciła na rozmiarze, nadrabiała agresją. Nurt rwał niczym diabeł opryskany święconą wodą, wysokie brzegi z obu stron podnosiły gadaninę fal do gniewnego pomruku. Było go słychać aż tu, ćwierć mili dalej, na przysadzistej skarpie oznaczonej płasko ściętą skałą, gdzie przysiedli dwaj ludzie.

W skupieniu przyglądali się kamiennemu mostowi, który śmiałym łukiem spinał oba brzegi Tamizy, opadając na drogę wiodącą pomiędzy pagórki skrywające Balisbury. Przez szare, przysadziste, kwadratowe wieże wzniesione na obu jego krańcach, w promieniach zachodzącego słońca niespiesznie ciurkał strumień podróżnych: pieszych, konnych i wozaków na furach pełnych różnorakiego dobra. Całą konstrukcję spowijał czerwony, jakby mistyczny blask płynący z wielkich niby pięść karbunkułów, osadzonych na balustradach i ścianach wież.

– A więc to jest wasz ósmy cud świata – stwierdził Fillegan z Wake, przyglądając się rubinowej poświacie. – Zaiste, robi wrażenie – z uprzejmości nie dodał, że most przypomina mu odwrócony do góry nogami i podświetlony podnóżek albo niewygodny stołek.

Proboszcz Doe ponuro skinął głową. Na jego usta wypłynął grymas zniechęcenia i zawodu. Wstał i zaczął wiercić butem dziurę w ziemi.

– Same z nim kłopoty, panie. Spójrz, ilu strażników potrzeba do pobierania myta i pilnowania tego cudu. Nikt za darmo pracować nie będzie. Jakbym wiedział, w co się pakuję, nigdy bym się nie zdecydował...



To miał być krótki rekonesans do Wake. Pozostawiwszy Perdigana z jego dziewczyną na francuskim brzegu Kanału, Fillegan wraz z giermkiem przybyli na angielską ziemię. Rycerz nie był jeszcze gotów na starcie z Ayerminem, który wciąż twardą łapą trzymał rodową siedzibę Fillegana. By odebrać mu włości, musiał lepiej rozeznać teren, poczynając od rozplątania sieci wpływów, którym podlegał lub które posiadał przebrzydły kupiec. Miał dziką ochotę nasłać na niego jakiegoś paskudnego demona, jednak rozsądek podpowiadał, by okiełznać złość. Bo cóż pocznie, jeżeli (dajmy na to) Ayermine uczynił zapis w testamencie na rzecz kogoś możnego, dobrze ustosunkowanego, a przez to znacznie trudniejszego do usunięcia?

Na horyzoncie widać już było opłotki Londynu, jednak zbliżała się pora spoczynku. Nie dojechaliby za dnia, a nocnej eskapady Fillegan nie chciał ryzykować. Zginąć z ręki przypadkowych rzezimieszków niemal na progu swego domu, toż to by było piramidalne nieporozumienie. Zatrzymali się więc w jedynej przyzwoitej gospodzie Balisbury. Od tuzina podłych zajazdów odróżniała się głównie ceną i brakiem żebraków w środku, bo właściciela stać było na zatrudnienie wysokiego na siedem stóp wykidajły, który ostentacyjnie dłubał czubkiem sztyletu w zębach. Fillegan od razu podążył do izby na pięterku, Duendainowi zlecając zadbanie o wierzchowce i wieczerzę.

Zamierzał pomedytować chwilę nad Pax magica, dokładniej zaś nad passusem poświęconym kupieckiej zarazie, którą można owinąć sobie wokół palca, jeżeli zdobędzie się substancję zwaną przez autora „kaczanus cucurydzus". Trudność zrozumienia tego fragmentu tekstu brała się stąd, że poza autorem nikt o tym składniku magicznych mikstur nawet nie słyszał, nie wiadomo więc było, skąd go wziąć. A może nie należało tego „kaczanusa" brać dosłownie, może był to jakiś szyfr dla wtajemniczonych?

Odpoczynek, a tym bardziej przyjemność lektury, nie zostały jednak tego wieczora dane Filleganowi. Nie zdążył nawet wyjąć oprawionej w czerwone płótno książeczki, kiedy Duendain wpadł z hałasem do pokoju. Za nim nieśmiało wsunął się do pokoju przyodziany na czarno... duchowny, z miną tak mroczną, jakby wysłuchał właśnie wyznania seryjnego mordercy, a próba dochowania tajemnicy spowiedzi miała się skończyć bezsennymi nocami.

Fillegan skrzywił się z niesmakiem. Długi język giermka jak zwykle sprowadził na nich kłopoty. Nie mógł to proboszcz sam się upić z rozpaczy, musiał to Duendain kłapać dziobem na prawo i lewo? Ech, życie... choć późniejsza opowieść proboszcza wyjaśniła przynajmniej tę krwawą łunę, jaką widzieli na horyzoncie i mylnie wzięli za światła Londynu.

– Tak, panie, naprawdę wyprodukowałem złoto – Doe stuknął w kamień, wyrywając Fillegana z rozmyślań. – Biskup, mój protektor, pchał mnie na medycynę, bo zdradzałem odpowiednie talenta, ale wszystko na nic, opierałem się z całych sił. Nie wiedział, że zamiast dzieł patrologicznych ukradkiem studiuję księgi alchemiczne. A dlaczego? – Doe podszedł do rycerza. – Bo mi się most, jasna cholera, zamarzył! Rewolucja społeczna mi we łbie zaświtała!...

Fillegan uśmiechnął się nieznacznie. Spojrzał na most, coraz wyraźniej płonący krwawą łuną, w miarę przechodzenia zmierzchu w pogodną noc.

– No i zbudowałeś... Prawdziwe cacko, sam król pewnie ci zazdrości.

Doe niechętnie skinął głową.

– No, nie tak od razu, mości Filleganie. Długo mieli mnie za wariata, jak twierdziłem, że tu, w Balisbury, przerzucę most przez Tamizę, żeby nie trzeba było drogi nadkładać albo brodu szukać w drodze do Londynu. Szacunku nabrali dopiero wtedy, kiedy okazało się, że potrafię leczyć, choć nie pobierałem stosownych nauk.

Uśmiechnął się smutno.

– Cóż, talenty talentami, a długo za pomocą alchemicznych zaklęć zamiast złota i kamieni udawało mi się uzyskiwać tylko jakieś paskudztwa, niezdatne do niczego, póki nie odkryłem, że niektóre jednak nadają się na leki. Oj, nie pochwaliłby mnie święty Franciszek za to, że dokonywałem prawdziwej hekatomby tutejszych kur i królików, marnując dobre mięso, próbując przypisać daną maź czy kamień do konkretnej przypadłości...

Westchnął ciężko.

– No i tak czas leciał... Aż wreszcie wiosną ubiegłego roku udało mi się wyprodukować złoto. Nie jestem zachłanny, zrobiłem go tyle, żeby starczyło na most i na tym poprzestałem. Później stworzyłem kamienie, które oświetlają całe dzieło na chwałę Bożą. A niedawno wynajęci ludzie skończyli budować most. Minął właśnie tydzień, jak przeprawa ruszyła.

Coś jakby łkanie wydobyło się z jego gardła, ale zaraz znów podjął opowieść.

– Prawda, most jak malowanie. Działa we dnie i w nocy. Jak sobie umyśliłem, oświetla go najpierw słońce, później księżyc. Trzeba naprawdę pochmurnego dnia, żeby te moje kamienie nie pracowały niczym latarnie. Ale właśnie z karbunkułami jeden wielki kłopot, panie...

– Kradną? – domyślił się Fillegan. Nietrudno było dojść do takiego wniosku. Imponująca łuna musiała przyciągać uwagę złodziei. Na razie inicjatywę wykazywali pewnie miejscowi, ale niech no się tylko dowie przestępcze podziemie Londynu...

Proboszcz ponuro skinął głową, choć zapewne nie do myśli Fillegana.

– A jakże. Trzy już ukradli, choć strażnicy mają ciągłe baczenie. A może to sami strażnicy ukradli? Nie wiem, przecież ich wciąż nie pilnuję – Doe skubnął wargę. – I co, mam strażników stawiać, żeby pilnowali tych pierwszych strażników i podróżnych?

– A nie próbowałeś jakiegoś magicznego rozwiązania? – podsunął Fillegan. – Związać most i kamienie z miejscem, na ten przykład...

Doe pokręcił głową. Spochmurniał jeszcze bardziej i zaklął pod nosem.

– Przecież mówię, że mi z nieba spadliście. Na czarach się nie znam, Boga prosiłem o radę, ale... Trzy kamienie już mi wydłubali, a żadnemu z tych przeklętych złodziei nawet ręka nie uschła!

– I uważacie, że ja tu mogę coś poradzić? – rzekł Fillegan wstając.

Proboszcz zebrał się w sobie, ważąc słowa. Wreszcie wyjaśnił, o co mu konkretnie chodzi.

– Jak twierdzi wasz giermek, paracie się magią. Więc może by jakimś magicznym sposobem odstręczyć złodziei? Popatrzcie na most, pomyślcie, a ja hojnie zapłacę, jak mój problem rozwiążecie, jeszcze parę modlitw do Najwyższego dołożę...

Fillegan udał, że zamyśla się głęboko.

– Mogę zrobić małe trzęsienie ziemi – zaproponował po odczekaniu stosownej chwili. – A potem rozpowiecie, że jak kto co ukradnie, to mu tak się zrobi w środku głowy. Wywróci na nice, i tak już pozostanie, mózgiem na zewnątrz.

Mina proboszcza świadczyła, że nie jest to dobry pomysł.

– A jeśli most runie? – wydusił z siebie Doe.

– No, gwarancji nie daję, że nie – zreflektował się Fillegan, bo trzęsienie ziemi, na wywołanie którego od dawna miał chrapkę, mogło tu zadziałać jak armatni strzał w stronę komara. – Wasz most wygląda solidnie, ale i trzęsienie umiem wywołać niezgorsze.

Doe puścił pod nosem wiązankę, której nie powstydziłby się najpaskudniejszy parobek z królewskich stajni, gdzie od wieków kwitła twórczość językowa.

– A duch, panie, jakiś duch? Wezwijcie jakiegoś ducha, zwiążcie czarami z mostem...

Fillegan zaśmiał się, bo naraz uświadomił sobie, jakie to zabawne. Duchowny namawia go do wywołania ducha.

– A jak ludzie nie będą chcieli korzystać z mostu?

Doe szeroko otworzył oczy. Widać taka możliwość nie przyszła mu wcześniej do głowy.

Tymczasem Fillegan udał, że ziewa.

– Muszę się zastanowić w izbie, przespać z tym problemem...

W rzeczywistości wiedział doskonale, co trzeba zrobić. Most był nieważny, liczyły się alchemiczne receptury na złoto i kamienie. Karbunkuł wielkości pięści! Czy w tym kraju nie rządzi już król? Na Boga, proboszcza zaraz zamkną, wezmą na męki – i receptura przepadnie w lochach na zawsze!



Rankiem dowiedział się od gospodyni proboszcza, że Doe w pilnej sprawie musiał wyjechać do wsi pod Balisbury, trzeba więc zaczekać. Jednak Filleganowi przestało jakoś się spieszyć do Wake. Pokręcił się po mieście, z uwagą obejrzał dominujący nad rynkiem kościół, ze trzy razy przeszedł most, przekonując się, że marzenie proboszcza naprawdę przybrało konkretne wymiary.

Wreszcie nadszedł wieczór i wysłany chłopak zawiadomił Fillegana, że Doe oczekuje go na plebanii. Proboszcz mył ręce w miednicy, nacierając je proszkiem zalatującym tatarakiem. Kręciło w nosie tak przeraźliwie, że Fillegan solidnie kichnął.

– Zaraza – mruknął znad miski Doe.

Rycerz z niepokojem cofnął się prawie pod ścianę. Zbladł.

– Zaraza, panie, z tymi młódkami – ciągnął proboszcz, nie zauważając nagłego zmieszania Fillegana. – Żeby duchowny porody odbierał... No, ale się zmarło nie w porę starej Gaithan, a dziecko pchało się na ten paskudny świat przed terminem... I co wymyśliliście? – otrząsnął ręce z kropel wody i spojrzał bystro na Fillegana.

– Jest pewien sposób – zaczął rycerz. – Można by uaktywnić kwantyfikator fluktuacji nieoznaczoności chaosu.

Proboszcz wytrzeszczył na niego oczy.

– Że co? – stęknął. Po chwili dodał z powątpiewaniem. – A to pomoże? – Sięgnął po ręcznik i w skupieniu zaczął się wycierać.

Fillegan wzruszył ramionami. Termin magiczny zaczerpnął z dziełka jakiegoś Einsteinusa von Zurich, żeby proboszcza zbić z tropu. A zamiary miał proste jak konstrukcja strzały. Tyle że zamiast grotu, zamierzał użyć granitusa.

– Macie jakiś wybór?

Doe westchnął smętnie. Widać było, jak w jego myślach rośnie wędrujący mostem strumień złodziei przeszłych, teraźniejszych oraz przyszłych.

– Co mi tam... Czyńcie swoją powinność, panie, tylko szybko i skutecznie.

Fillegan uśmiechnął się łagodnie. Znów rozejrzał się po pokoju proboszcza. Z uznaniem stwierdził, że dla siebie chyba rzeczywiście Doe złota nie produkował, bo na ścianach nie było widać nic cennego. Raczej ubóstwo.

– Nie tak zaraz, wiśta wio i hopaj chwat, proboszczu. A zapłata?

Doe zachmurzył się nieco.

– Ile? Dziesięć funtów w złocie wystarczy? Więcej i tak nie dam, bo nie mam. – Podszedł do stojącej w rogu skrzynki, otworzył i sięgnął po mieszek. Z rozmachem rzucił go na stół.

Fillegan przyglądał się temu z nikłym uśmiechem.

– Nie, proboszczu, nie „ile". Powinno być „co". Otóż i owszem, uaktywnię kwantyfikator, ale to ciężka, żmudna, a ponadto niebezpieczna robota. Będę używał drogich składników, w rodzaju szerszeni karmionych koszoną o poranku koszenilą... Spiszecie mi w zamian receptury na wyrób złota i kamieni, wtedy będziemy kwita.

W proboszcza jakby piorun wstąpił. Gniewnym ruchem usunął mieszek ze stołu.

– Po moim trupie!

– Receptury – powtórzył Fillegan, ostantacyjnie wzruszywszy ramionami. – Godziwa zapłata za ciężką i niebezpieczną robotę.

– Dwie takie receptury za zwykłą ochronę mostu to grube zdzierstwo – Doe podniósł głos, na jego szyi nabrzmiały grube węzły żył. – Taniej mi wyjdzie wynająć więcej strażników.

Fillegan uśmiechnął się niby niedźwiedź, który wypatrzył barć ze słodkim miodem, i już wie, jak się do niej dobrać.

– Jeżeli tak uważacie... Cóż, szkoda, ale i tak miło było was poznać.



Cień niemal bezszelestnie wślizgnął się do izby przez otwarte okno. Stukając butami, położył coś na stole, potem wrócił i przymknął okiennice, pozostawiając jedynie wąską szparkę dla świeżego powietrza.

– Masz? – rozległ się w izbie senny głos Fillegana.

W odpowiedzi izbę wypełnił triumfalny chichot.

– Panie, czyżbyś we mnie zwątpił?

Spożywali późne śniadanie w głównej izbie zajazdu (a z racji płacenia uczciwym złotem zajmowali honorowe miejsce pod rozłożystymi rogami jelenia), kiedy do środka wpadł proboszcz Doe.

– Te małpiszony znowu kamienie mi ukradli! Od razu trzy! – rozkrzyczał się od wejścia.

Fillegan rzucił Duendainowi szybkie spojrzenie. Ten dyskretnie wzruszył ramionami i z nagłym przypływem zainteresowania zajął się polewką z mięsem.

– Czyżbyście przystali na moje warunki, oj-





cze? – rzekł słodko Fillegan, zamaszystym ruchem ręki zapraszając proboszcza do stołu. – Aż się wierzyć nie chce, ile się może zmienić w jedną noc...

Doe ciężko klapnął na ławę obok rycerza.

– Już mnie tak nie katujcie! Zgoda, mówię! Zgoda, no, zgoda, co mam jeszcze powiedzieć?

– Niech mi ojciec rękę poda – mruknął pod nosem Fillegan.

Proboszcz z wahaniem wyciągnął prawicę. Rycerz uśmiechnął się szeroko.

– Ech nie, to nie do was, to taki szyfr dla mego giermka, żeby wiedział, co robić i nie zapomniał. Ano, jak tak, to wy idźcie po receptury, a ja przygotuję wszystko co trzeba i popołudniem, gdy słońce i księżyc zaczną mieszać swe światło, spotkamy się przy moście. Aha – dodał do pleców Doe, który już pędził, aby wykonać rozkazy. – Tylko trzeba będzie zamknąć most, a ludzi odepchnąć na bok, żeby nie przeszkadzali. Niech burmistrz wyda strażnikom rozkaz, żeby mi nikt nie przeszkadzał. Chcę mieć wolną rękę. Dacie radę?

Proboszcz ponuro skinął głową.

– Co mam nie dać, jak Towney z brudnych butów mi jada – burknął. – Jak i wszyscy, poza tymi złodziejami, niech ich robaki żrą żywcem.



Fillegan dłuższą chwilę przyglądał się marnemu, źle wyprawionemu pergaminowi o nieregularnych kształtach, na którym zostały spisane receptury. Wreszcie skrobnął palcem i przyjrzał się dokumentowi pod gasnące słońce.

– Psie kapki? – rzekł, a w jego tonie zabrzmiało zdumienie. – Ćwierć kiltu szczodrego Szkota? Ech, nie wiem... Co do psa, rasowy czy kundel? A ten kilt, to ćwiartka przednia czy tylna?

Doe ponuro przyglądał się oględzinom. Jeszcze bardziej ponurym spojrzeniem wodził po moście.

– Pies musi być myśliwski – burknął. – A ćwiartka jest bez znaczenia, może być i zachodnia, jak wam odpowiada.

Rycerz w zdumieniu uniósł brew. Oderwał wzrok od pergaminu, przeniósł na twarz proboszcza.

– Jakże to tak „bez znaczenia"? – prychnął, a w jego spojrzeniu dało się wyczuć pogardę dla amatorów tylko psujących obraz profesji i rynek zamówień. – I złoto wychodziło wam tej samej próby przy kundlu i królewskim wyżle?!

– Szlag! – warknął Doe. – Most zamknięty, a wam się zachciało bawić w śledczego, panie! Do roboty się bierzcie!

Fillegan wyprostował się na całą swoją mikrą wysokość. Nadął się, poczerwieniał na twarzy... i wypuścił powietrze, bo go zakłuło w dołku. Ach, to niezdrowe angielskie powietrze. Skinął głową.

– To idę – rzekł, jakoś jednak niepewnie.

Most z obu stron został oczyszczony z podróżnych, co dało efekt dokładnie odwrotny od zamierzonego. Całe Balisbury zbiegło się, by sprawdzić, co się będzie działo takiego, że aż fundator mostu musiał go przedtem zamknąć. Gdyby Fillegan mógł, w tej chwili na wszystkich gapiów rzuciłby urok ślepoty – jednak w żadnej z ksiąg nie znalazł objaśnienia, jak należy to czynić. Mógłby użyć czaru snu, ale to by dopiero było gadania...

Na szczęście przygotował się na podobne okazje: wiózł ze sobą kolisty parawan z cienkich i lekkich deszczułek, oklejonych jeszcze cieńszą, niemal pajęczą czarną materią. Dał za to bandycką cenę kupcowi powracającemu z Jedwabnego Szlaku, ale dzięki temu mógł się odgrodzić od widzów. A smoki, wymalowane na jedwabiu, robiły wrażenie, nawet kiedy Fillegan tylko udawał, że odprawia czary. – Właściwie, wtedy robiły największe wrażenie – westchnął z żalem.

Zamierzał wywołać granitusa, demona skalnego. Grudkę najtwardszej alpejskiej skały miał przy sobie, pozostałe składniki także. Spojrzał w niebo – zmierzchało, tak jak planował. Gdy księżyc wspiął się już na nieboskłon, a słońce jeszcze nie opadło poza widnokrąg, najłatwiej związać wszystko ze wszystkim, a zwłaszcza granitusa z mostem i kamieniami. Magiczna pora, kiedy można wykorzystać świetlne nici obu ciał niebieskich.

Ułożył grudkę pod czterema szczapkami dębu, rzucił trzy liście kosoliny zajęczystej, skropił makabrencją soczystą, a wreszcie dał nasienie z niezakwitłej dzięcieliny.

– Kurkum – zaczął. – Urrum chrum pakum mach!

Błysnęło i nad czterema patykami pojawił się dym. Z wolna formował się w spiralę skręconą z czterech włókien...



Słodki jest sen strudzonego maga. Pasma magicznych mocy owijają się w kołyskę fascynujących wizji, dziewczęta nie zadają głupich pytań, a smok przypala świeczkę w pokoju, kiedy zmierzch zaczyna zacierać litery na stronicach...

Okropne jest przebudzenie strudzonego maga, niebezpieczne i mocno ryzykowne dla wszystkich znajdujących się w pobliżu. Na wpół rozbudzony mag może rzucić od niechcenia klątwę, w robaka zamienić albo w proch, który zdepcze bosymi stopami, zmierzając do wiadra w kącie...

Ale najstraszniejsze przebudzenie maga to takie, które przydarzyło się tej nocy Filleganowi. Dostał kułakiem w bok, a uderzenie prawie złamało mu żebro, tak że zabrakło tchu, by plunąć żywym ogniem na zdrajcę i zbrodniarza, który go tak potraktował. Skręcił się z bólu, przysięgając sobie, że osobiście, osobiście posieka Duendaina na kawałki i każdy z osobna nabije na wi...

Gdy rozkleił powieki, zobaczył nad sobą szarą z przerażenia twarz proboszcza. Ten znów go szarpnął i rzekł chrapliwie:

– Obudźże się, człowieku! Tam się coś dzieje!

Fillegan powoli dochodził do siebie. Ból w boku przygasł do przykrego ćmienia. Przypomniał też sobie, że dał Duendainowi wolne na tę noc. – I proszę! – pomyślał z goryczą. – Tylko go spuścić z oczu, od razu kłopoty.

– Na moście! – gorączkowo powtórzył Doe. – Spapraliście robotę, panie!

Teraz dopiero Fillegan oprzytomniał całkowicie. Słowa proboszcza dotarły do niego, a słodkie sny uciekły z wrzaskiem.

– Przecież wszystko było dobrze – stęknął i usiadł na łóżku, masując bok. Zastanawiał się przy tym, jakim sposobem proboszcz dostał się do izby, póki nie przypomniał sobie, że ze względu na Duendaina nie założył magicznej blokady na drzwi.

Proboszcz z goryczą pokiwał głową.

– A tak mnie coś tknęło, żeby ludzi nocą po moście nie puszczać, poczekać do rana – zaczął, przysuwając sobie drewniany zydel. Usiadł naprzeciw Fillegana. – Postanowiłem popatrzeć, co też ów demon mostowy będzie robić, jaką to właściwie zarazę sprowadziłeś, magu, by pilnowała mojego nieszczęścia.

Fillegan potarł szorstki policzek i pytająco zerknął na Doe. Ten wzruszył ramionami.

– Długo nic się nie działo, ale potem most spowiła czarna mgła wypływająca z punktu położonego jakąś stopę ponad lustrem wody. Nigdy takiej nie widziałem. Jest tak gęsta, że nawet światło rubinów z trudem się przez nią przedostaje. A ze środka zaczęły dobiegać wrzaski, jakby sam diabeł tam siedział i wycinał bolesne odciski. No to przybiegłem, bo wy gwarantowaliście spokój, demon miał być niewidzialny, a tu taki pasztet.

Fillegan w miarę opowieści proboszcza zdumiewał się coraz bardziej, aż wreszcie tak był tym osłupieniem napchany, że już więcej by się nie zmieściło, nawet gdyby dopychać nogą jak podróżny kufer.

– Granitusy tak się nie zachowują – stwierdził wreszcie.

Doe roześmiał się nieprzyjemnie.

– A co to, ja nie wiem? Tłumaczyliście, więc pamiętam, że niewidzialny miał być, skupiony na kamieniach mostu i karbunkułach. Tyle że widziałem czarną mgłę



i słyszałem wrzaski. Pijany przecież nie jestem, a samemu na most wracać ochoty nie mam. Zresztą, w ogóle na nic nie mam ochoty, chętnie bym się pod ziemię zapadł, taka mnie sromota spotyka. Ot, karze Bóg moją pychę, ciężko karze... – proboszcz podszedł do okiennic i otworzył je, wpuszczając do środka nocny ziąb. Widać już było granatowiejące niebo, pierwszą zapowiedź świtu. – Zbierajcie się, panie, trzeba coś zaradzić, zanim gawiedź uzna nas obu za pomocników diabła.



Na pół mili od mostu nie zaśpiewał ptak, nie zagrały nawet głupie pasikoniki. Ani jeden powiew wiatru nie poruszył liśćmi. Natura, przyczajona w ostępach i matecznikach, czekała na rozwój wydarzeń. Fillegan także miał ochotę gdzieś się skryć, a ta ochota niezwykle się nasiliła, kiedy znad rzeki dobiegły ochrypłe wrzaski, wibrujące w uszach niby jęki ranionego łosia.

– Sami słyszycie, panie – ponuro stwierdził Doe, nie przerywając marszu w stronę mostu, wciąż spowitego ciemnym oparem, choć brzask począł już rozjaśniać okolicę. – Zdycha ten wasz granitus albo co?

A żebym ja wiedział – pomyślał z nagłą rozpaczą Fillegan. Przecież po raz pierwszy posiłkował się skalnym duchem, bo zasadniczo jego zastosowanie było niewielkie, w demonologii uchodził za bydlę niskiej inteligencji, zdolne wykonać jedynie proste prace. Siedzieć i naprawiać pęknięcia w moście, odtrącać łapy wyciągające się po kamienie – to tak. Ale już wznieść taki porządny most – nie. Za głupi. Tu trzeba by wynająć prawdziwego dżina, najlepiej zaś nie takiego zwykłego dżina lampowego, tylko dżinusa breslausa, przez niektórych badaczy zwanego też dżinksem, dinksem albo dynxem, mylonego w literaturze ze sfinxem. Ale chorować? W swojej praktyce Fillegan nigdy się nie zetknął choćby ze wzmianką, że duch może chorować. Cóż, zawsze musi być ten pierwszy raz... Przynajmniej będzie miał materiał do skreślenia paru słów dla braci naukowej.

Tymczasem minęli kordon strażników, obserwujących w świetle pochodni (i z nietęgimi minami), czy z mostu nie pofrunie na na nich jakie smoczysko. Podeszli już na przedmoście i widzieli, że opar koncentrował się pośrodku mostu, rzednąc wyraźnie na brzegach. Wrzaski ze środka ciemnej chmury dobiegały teraz bez przeszkód i powiedzmy to sobie wprost: były to wrzaski przerażające, porażające i prowokujące (do natychmiastowej ucieczki).

– No, czyńcie swą powinność – grobowym głosem stwierdził proboszcz. – Albo cokolwiek, byle zlikwidować ten... tę... to paskudztwo!

Może i Fillegan by coś uczynił, gdyby naraz z wnętrza obłoku nie dobiegł odgłos przypominający chrupanie kości albo raczej mielenie kamieni. Nieco to speszyło rycerza, zatrzymał się w pół kroku.

– A może by użyć wody święconej? – zapytał niepewnie.

Doe roześmiał się strasznym głosem, od którego rycerzowi pobiegły ciarki po grzbiecie.

– Zawsze noszę ze sobą buteleczkę wody święconej, ot tak, na wszelki wypadek, i co sobie myślicie, nie użyłem? Nic nie pomogło. Modlitwa też – głosem proboszcza dałoby się łupać deski, tak twarde w nim pobrzmiewały nuty. – Ciekawą moc wywołaliście, nie ma co... A teraz ją odwołajcie, skąd przyszła. Już wolę przepłacać strażników, panie...

Fillegan popatrzył na most. Chmura wisiała jak przedtem. Ale... zdało mu się naraz, że słońce zaczyna się przebijać przez ten ponury opar. Jakby dostrzegał jakieś kształty... zarysy kończyn...

Nagle ponad opar wychynął ni to kobold, ni to gnom, szary na twarzy, nieforemny, rzekłbyś, kanciasto-brylasty, podobny do wizerunków przedstawiających dojrzałego granitusa.

– Może miał zły sen? Albo przejadł się kamieniami? – westchnął z nadzieją Fillegan. – Bo to skalny duch jak malowanie, proboszczu.

Doe spojrzał na niego z nadzieją. I wtedy stało się to, co w takich przypadkach zwykle się dzieje: miłe złudzenia ustąpiły pod naporem brutalnej rzeczywistości. Z chmury obok granitusa wyłonił się... człowiek. O ile uznacie za przedstawiciela tego gatunku chudego, wysokiego na sto stóp kolosa o rysach kanciastych, ponurych, wyciągającego długie łapska w stronę granitusa, który ze świdrującym w uszach piskiem, przypominającym wodzenie diamentu po szkle, usiłował się od niego odsunąć.

Stanowczo należało coś zrobić, stwierdził Fillegan.

– Umma gumma durna est – krzyknął, splatając dłonie do znaku Fink Ployd. – Fruta safuta bimba dong!

Chmura z cmoknięciem wessała się sama w siebie, z wilgotnym „pluff" zniknęła. Nic już nie paskudziło proboszczowego mostu, nawet karbunkuły rozbłysły żywym, krwistym blaskiem.

– C-co tto było? – stęknął Doe.

– Ja go znam – ponuro stwierdził Fillegan. – To Marcus Winietus, rzymski inżynier, który próbował bić drogi przez alpejskie lodowce. Wszyscy pukali się w głowy, ale on nie ustawał w wysiłkach... póki nie umarł z wyziębienia na jakiejś przełęczy. A teraz straszy na drogach całej Europy. Zaraza jakaś, sam się pojawia i niczym go spacyfikować nie można.

Proboszcz nadal z niedowierzaniem spoglądał na most, jakby spodziewając się najgorszego, czyli zstąpienia samego Szatana.

– Odesłałem go do diabła, czyli tam, skąd przybył – mruknął rycerz. – Według ksiąg, na jakiś czas mamy spokój. Problem w tym, że, jak mi się wydaje, pociągnął za sobą granitusa. I teraz mój skalniak mostu nie strzeże, trzeba by wywołać następnego...

Doe rozjaśnił się cały. Na jego nalanym obliczu pojawiła się wyraźna ulga.

– To już niech tak zostanie! – poprosił błagalnie. – To i tak lepiej niż było... przed chwilą. A ludzie bać się będą, już moja w tym głowa! Co jakiś czas w kazaniu przypomnę, postraszę... i wystarczy.

Fillegan z aprobatą skinął głową. Recepturę miał, skalniaka przywołał – i choć ani się domyślał, po jaką cholerę granitus ściągnął Winietusa, rycerz per saldo wyszedł na swoje. Pora było zwinąć żagle i wziąć kurs na Wake. I tak za dużo czasu tu zmitrężyli.

– Zgoda, jeśli tak wam pasuje. To cóż, wracajmy – rzekł. Tym chętniej, że odpowiedniej do wywołania granitusa zapasowej skały nie posiadał, trzeba by szukać, a może sprowadzać...

Doe pogrążył się w myślach, pewnie nawet nie dotarły do niego słowa Fillegana. Naraz odwrócił się gwałtownie ku rycerzowi.

– Wypada chyba sprawdzić, czy... no, bo skoro to mój most... – rzekł z wahaniem, jakby poszukując potwierdzenia słuszności tego pomysłu.

Fillegan spojrzał na niego z ukosa, po czym uśmiechnął się chytrze.

– Wiary pełniście, to i słusznie czynicie, przecież kogo jak kogo, ale was Bóg w łasce trzyma – stwierdził pogodnie. – Bez obaw, granitus niegroźny, ludzi nie jada.

Te pozornie życzliwe słowa przyniosły zamierzony efekt: Doe oklapł naraz jak przekłuty rybi pęcherz.

– A może jednak konnego puszczę? – westchnął. – Szybciej będzie, prawda? – I nie czekając na odpowiedź Fillegana pobiegł w stronę gromady strażników, którzy bronili wstępu na most. To znaczy mieli bronić, bo wydarzenia na moście skutecznie odstraszyły wszystkich gapiów i chętnych do przeprawy.

Doe zamierzał to naprawić. Ale strażnicy nie w ciemię bici, dyskusja z proboszczem przedłużała się, ten nawet odstąpił, ruszył w stronę Fillegana. Ostatecznie jeden ze strażników dał się namówić, poszedł odwiązać spokojnie pasącego się gniadosza. Dosiadł go, jeszcze zatrzymał się przy proboszczu, który pobłogosławił go niezdarnym znakiem krzyża, bardziej przypominającym opędzanie się od much, po czym jeździec galopem ruszył przez most, rozpędzając się coraz bardziej. Fillegan zszedł mu z drogi, bo zostać zabitym przez stratowanie, to naprawdę nie jest śmierć warta eposu, a taki właśnie zamierzył sobie kupić u jakiegoś wierszokletу na zwieńczenie żywota.

Strażnik był już na moście. Gnał niby wicher, walił piętami w boki konia. Ten widać wyczuł strach jeźdźca, bo chrapnął i zauważalnie przyśpieszył. Zdało się, że kilkoma susami wystraszony centaur pokonał przeprawę i śmignął na drugą stronę.

Wybuchła wrzawa wiwatów, a sam jeździec, uszczęśliwiony do granic wytrzymałości, krzyczał chyba najgłośniej, jego wrzaski niosły się aż do Fillegana. Rwał trawę garściami i wyrzucał w powietrze, pozwalając jej opaść na twarz i pierś.

Fillegan też odetchnął głęboko. Przynajmniej pozbycie się cholerstwa poszło dobrze.

Tymczasem jeździec już powracał, stępa, majestatycznie, napawając się własną odwagą i triumfem. Na samym środku mostu zatrzymał się, jakby chciał wszystkim unaocznić odniesione zwycięstwo.

Naraz za jego plecami z nicości poczęła wyrastać łapa. Właściwie była to dłoń, ludzka w dodatku, tyle że wielka jak trzy woły. Złapała kwiczącego wierzchowca za zadnie nogi i uniosła ku górze, strząsając jeźdźca na kładkę mostu. Strażnik zerwał się na równe nogi i począł uciekać. Gnała go niezwykle silna motywacja – zapewne pobił wszystkie olimpijskie rekordy, ustanowione w zamierzchłej przeszłości przez Greków.

Winietus, który ujawnił się już w całej okazałości, nadal zajmował się pochwyconym łupem, po kolei wyrywając biednemu wierzchowcowi wszystkie nogi. Potem zacisnął dłoń na martwym kadłubie i wypuścił końskie wnętrzności do rzeki.

Strażnik minął sparaliżowanego Fillegana, który także ocknął się ze stuporu i zaczął biec za nim. Gonił ich skrzekliwy chichot Winietusa.

Dobiegając do grupy bladych ze strachu strażników zauważyli, że proboszcz zasłabł. Winietus nadal się naśmiewał, ale nie przekroczył granicy mostu, zajęli się więc cuceniem proboszcza. Pierwszych słów, jakie ten wypowiedział po ocknięciu się, nie powstydziłby się najczarniejszy sługa Jego Piekielności. Druga sekwencja, skierowana w stronę niejakiego Fillegana z Wake, brzmiała jeszcze paskudniej. Wręcz plugawie, jakby proboszcz terminował nie w seminarium, tylko w londyńskich dokach.



Cały dzień Fillegan spędził na rozważaniach, co poszło nie tak. Przeglądał formuły, spoglądał w gwiazdy, raz nawet postanowił zasięgnąć rady prostego ludu, czyli w tym przypadku Duendaina, który za nic sobie mając kłopoty pryncypała, zwinął się na swojej części łóżka i zaczął bezczelnie chrapać. Rycerz obudził go, spytał – Może jednak trzęsienie ziemi, co? – a kiedy w mętnych jeszcze od snu oczach giermka wyczytał odpowiedź, skinął głową i wzdychając ciężko, podszedł do okna.

Być może było to tylko wytworem chorej wyobraźni, ale wydało mu się, że słyszy dobiegający znad rzeki ironiczny chichot Winietusa.

Gorzej, iż po jednokrotnym wypowiedzeniu formuły odsyłającej, Winietus się na nią uodparniał. Księgi mylnie twierdziły, że nie powraca nigdy w to samo miejsce przed upływem wielu lat. I tak Fillegan zyskał materiał do naukowej publikacji, ale popadł w kłopoty.



Dopiero następnego dnia rankiem odważył się sprawdzić, czy Doe czuje się lepiej. Gospodyni zaprowadziła go do pokoju, w którym leżał proboszcz, pół głowy mając obłożone zimnym kompresem.

– Wy mi tu zdrowia nie życzcie – burknął niechętnie w odpowiedzi Filleganowi – tylko pomyślcie, jak sprawę zakończyć.

Fillegan z namysłem przechadzał się po pomieszczeniu, w skupieniu oglądając krzyż i licząc plamy na ścianach.

– Skoro znak FP nie pomógł, to już właściwie niewiele mogę zrobić – wyznał wreszcie. – My, magowie, też podlegamy ograniczeniom.

Proboszcz prychnął, wyraźnie dało się w tym odgłosie słyszeć sarkazm. Wstał z łóżka, odrzucił kompres, który z mokrym cmoknięciem wylądował w kącie obok komody.

– Jak nie wierzycie – ze złością warknął rycerz w odpowiedzi. – Spróbujcie modlitwą zmusić pełny pęcherz, żeby się sam opróżnił, bez potrzeby zajścia do wychodka. Ponoć Bóg potrafi czynić cuda, czyż nie tak mówicie wiernym na kazaniach?

Doe wzruszył ramionami. Sięgnął do komody, wyciągnął stamtąd wino i naczynia. Nalał.

– Ale konkretnie nie powiedzieliście, że nic nie możecie zrobić – zauważył, posuwając jeden z pucharów w stronę rycerza. – Z czego wnioskuję, że coś jednak uczynić można, tylko wam nie w smak.

Fillegan z wahaniem – czy aby proboszcz nie uraczył go cykutą? – upił łyk wina. Z uznaniem skinął głową, doceniając jakość mszalnego, wreszcie splótł dłonie, które zaczęły go drżeć.

– Komu nie w smak, zaraz się okaże, proboszczu. Mogę go zniknąć – zawiesił głos. – To znaczy spróbować – poprawił się zaraz.

Mina Doe właściwie mówiła wszystko: dziesięć plag egipskich i jeszcze trzęsienie ziemi na dodatek. Na końcu zaś biskup-kretyn, który naukę ma w głębokim poważaniu, więcej wydając na astrologusów niż łożąc na medyków i prawdziwych alchemików.

– Czyli chcecie most zniszczyć – stwierdził sucho, czując nagłe drapanie w gardle. Zalał dolegliwość resztką wina – Zniknąć, powiadacie. A dokąd?

Rycerz nadal pilnował swoich palców, żeby żaden mu nie uciekł.

– Całkiem zniknąć, proboszczu. Do nigdzie.

Nie przyznał się Doe, że jedyna naukowa wzmianka o całkowitym zniknięciu dotyczyła obiektu potocznie zwanego jabłkiem, i to bynajmniej nie przynależnym koronowanej głowie, tylko owocem zwykłej kwaśnej dziczki, na płodach której – i tak już dostatecznie poronionych – nie żal było eksperymentować. A że autor nie chwalił się na trzydziestu trzech stronach tym niezwykłym osiągnięciem, oznaczało, że krył się w sprawie jakiś haczyk.

Z drugiej strony, most z grasującym na nim Winietusem nie był małym haczykiem. Marcus Winietus to było haczysko wielkie na sto stóp, o krzyku donośnym, gotowe wkrótce ściągnąć im na głowę wielkie kłopoty, gdy tylko o całej sprawie dowie się król.

– Nie ma wyboru – podsumował Fillegan. – Ja mogę w każdej chwili odjechać, ale wy zostaniecie, most też pewnie będzie stał, jak stoi... Niech się ktoś zapomni albo w porę nie zostanie ostrzeżony... A jak ta zaraza zlezie z mostu i ruszy do miasteczka, żeby – dajmy na to – napić się wina? Potraficie to sobie wyobrazić?

Oblicze Doe świadczyło, że proboszcz dysponuje dostatecznie bogatą imaginacją, aby odmalować sobie ewentualne skutki takiej wycieczki.

– Jeszcze jedno – zaznaczył Fillegan. – Zastosuję eksperymentalną technikę, proboszczu, jeszcze nie uklepaną stuletnią tradycją. To dla mnie sprawa ambicji oraz honoru, ale różnie przecież może być. Spróbuję most z Winietusem zniknąć do nigdzie, ale jak mi się nie uda i zostanie, gdzie stoi, nie życzę sobie żadnych pretensji, znaczących chrząknięć i takich tam. Jasne?

W izbie ochłodziło się gwałtownie.

– A co, ja biskupa nie mam nad sobą? – stęknął Doe. – Jak most zniknie, to będę mógł iść w zaparte, że ludziom się zwidziało albo diabeł coś zamieszał, jak to bywa... omamił podlec... Ale jak mi biskup na wizytację przyjedzie i zobaczy tego waszego Winietusa, to każe mi udać się do Grenady i Maurów nawracać. Pewne jak amen w pacierzu... Musicie coś z tym fantem zrobić. Cokolwiek. Byle skutecznie.



Intuicja podpowiadała Filleganowi, że należy jak najszybciej opuścić Balisbury – przy czym eufemizm ten odpowiadał w istocie wzięciu nogi za pas albo sromotnej ucieczce, jak kto woli. Gdyby mógł, nie oglądając się na gospodynię proboszcza, która odprowadziła go do drzwi z chmurnym spojrzeniem na tłustej twarzy, rycerz zacząłby biec i zatrzymałby się dopiero na przedmieściach Londynu.

Rozum jednak nie pozwalał mu na pozostawienie kwestii Winietusa samej sobie. Była to kwestia reputacji i nie mógł jej zlekceważyć. Ledwie więc z trzaskiem zamknęły się za nim plebanijne drzwi, skinieniem palca przywołał wyrostka kręcącego się wokół kościelnych zabudowań i nakazał mu powiadomić swego giermka, aby ten przyniósł zaraz na most kuferek z przyborami. Miał tylko nadzieję, że Duendain nie przywlecze zamiast magicznych artefaktów kufra z ubraniami, bo ducha tym nie odpędzi. Sam zaś postanowił w spokoju poddać monumentalny kłopot ostatnim oględzinom. Wciąż bowiem żywił nadzieję, że w jakimś błysku natchnienia dostrzeże rozwiązanie lepsze niż zniknięcie mostu.

Nie wziął wierzchowca, bo po ostatnich wydarzeniach na moście jakoś stracił zaufanie do jazdy konnej. Nie dało się bowiem wykluczyć, że Winietus większą urazę żywi do czterokopytnych. W końcu jeźdźcowi udało się uciec, a wnętrzności konia pewnie już dopłynęły do morza.

Aby skrócić drogę, powędrował przez zarośla. Czoło oblewał mu pot, ale genialna myśl jakoś nie chciała się pojawić. W takim stanie dotarł do ostatniego wzgórza i wdrapał się na zbocze sięgające brzegu rzeki, na wprost mostu. Niemal w tej samej chwili rozległ się dziki tętent i na drodze pojawił się jeździec. W rozwianych połach czarnego płaszcza wyglądał niczym demon pędzący na doroczny sabat. Prawie stratował strażników, ci w ostatniej chwili odsunęli się z drogi, jednak ku zdumieniu Fillegana nawet nie próbowali go zatrzymać. Jeździec coraz bardziej zbliżał się ku wieżom, jakby nie zdając sobie sprawy z niebezpieczeństwa. W powietrzu rozedrganym południowym żarem Fillegan dostrzegał już zarysy Winietusa, wyciągającego ręce ku intruzowi. I wtedy w zagadkowej postaci Fillegan rozpoznał... proboszcza Doe! Właściwie odruchowo skreślił prawą ręką czar Fetty, zamrażający atakowany obiekt. Wolną lewą ręką wymachał efekt spowalniający, równocześnie zębami wyzgrzytując sen dla strażników. Zaczął biec, czując jak ogarnia go najpierw osłabienie spowodowane zużytą energią magiczną, później zaś pod ciemieniem zaczyna pulsować potężniejący ból, przypominający, dlaczego starzy magowie powiadają, że lepiej głód cierpieć niż magii używać. Zdążył dobiec, nim końskie kopyta znów sięgnęły ziemi, równo z uderzeniem podków w trakt złapał proboszcza za połę i szarpnięciem pociągnął w stronę przeciwną do mostu.

Winietus, na którego czary nie podziałały, przegarnął ręką powietrze, jednak nie sięgnął konia, który zamarł na drodze niby posąg. Fillegan odciągnął proboszcza, spoczywającego w jego ramionach jak kłoda drewna i dopiero wtedy krótką frazą rekapitulacyjną unieważnił wszystkie czary.

– Co mnie szarpiesz?! – stęknął Doe, odpychając jego ręce, strzasając je z siebie jak wściekły niedźwiedź. – A w ogóle, skąd się tu wziąłeś? – zrobił krok w stronę wierzchowca, w oczach którego widać było zastygłe, całkiem ludzkie zdumienie.

Koń niemrawo grzebnął kopytem, jakby konstatując, że znów może grać rolę pięknego zwierzęcia słynącego z gracji ruchu.

Fillegan roześmiał się ochryple.

– Przechodziłem.

Przytrzymał proboszcza za połę.

– Gdzie idziecie? Tam Winietus was zagryzie, proboszczu.

Doe nadal mu się wyrywał, dosyć słabo, bo efekt zamrożenia nie minął jeszcze całkowicie, a najbardziej działał na głowę – pewnie stąd brało się proboszczowe mamrotanie o ukrytym skarbie. Tymczasem w dali, do strażników, nieco zaskoczonych nagłą drzemką, która ich opadła, dołączył giermek rycerza, taszczący kufer z magicznymi przyborami.

– O, nadchodzi Duendain – radośnie rzekł Fillegan. – No gdzie mi, kurna, uciekacie! – krzyknął, bo proboszcz wykorzystał moment nieuwagi rycerza i posunął się w stronę zwierzęcia, które podeszło i trąciło go pytająco łbem. Już sięgnął po wodze...

– A, psiakrew! – zdenerwował się Fillegan. Nie bacząc, że takie stężenie czaru może proboszczowi zaszkodzić, poczekał, aż ten wesprze się na koniu i wtedy zamroził ich niczym Michał Anioł bryłę czarnego marmuru. Tyle że jak sławny Italio Italiani raz zamroził, to już na wieki tak światu pozostawił, a Filleganowi biło w piersi gołębie serce i jak już będzie po wszystkim, zamierzał rozdzielić tego maszkarona, pozwolić żyć każdej osobie po swojemu.

Tymczasem Duendain minął strażników i szybkim truchtem podbiegł do pryncypała. Oddał Filleganowi kufer, jakby go parzył. Podczas kiedy rycerz zajął się wyjmowaniem przedmiotów niezbędnych do zniknięcia mostu, giermek podszedł do zamrożonego zespołu konno-duchownego i zaczął go obmacywać.

– Tego jeszcze nie widziałem – rzekł z podziwem. – Tak na śmierć zamrozić...

– Nie na śmierć, tylko na trochę – odparł Fillegan, nie odwracając głowy. – Jak mi będziesz przeszkadzać, dorzucę cię tam do kompletu, akurat będzie. Trzy stworzenia, no wiesz, trzy gracje – tak nazwę tę kompozycję. Może się jakieś bestuarium skusi?

Giermek szybko wciągnął z powrotem do gęby słowa, które już zsuwały mu się z języka. Rycerz tymczasem wziął co trzeba i zrobił ze dwadzieścia kroków w stronę mostu, mniej więcej do tej granicy, na której zatrzymał proboszczo-konia. Ustawił na utwardzonej drodze małą klepsydrę, chwilę patrzył na przesypujący się piasek, później zaczerpnął z zielonego naczynka sproszkowanej lawendy zmieszanej z kredą węglową. Zaczął sypać w poprzek drogi figurę najbardziej przypominającą ślimaka, jeżeli przyjąć, że ślimak może mieć czułki zawijające się akurat w symbole kabały. Wreszcie Fillegan spojrzał na klepsydrę. Tak, wciąż mieścił się w czasie. Zaczął więc wypowiadać zaklęcie. Później spokojnie odszedł w stronę Duendaina, który obserwował go z zainteresowaniem.

– Teraz się zacznie – zapowiedział rycerz. – Raz, dwa, trzy... teraz – efektownie pstryknął palcami.

Nic się nie wydarzyło. Słońce paliło coraz bardziej, Duendain udawał, że jest poważnie zainteresowany przebiegiem eksperymentu...

– Trzy i pół... – warknął rozzłoszczony Fillegan.

W odpowiedzi niespodziewanie ziemia mu odwarknęła. Wrzasnęła. Zagrzmiała. Huknęła. Krzyknęła rozdzierająco, porażająco i rozpaczliwie. W jaskrawym rozbłysku most razem z przyległymi wieżycami zniknął do nigdzie.

– No i po wszystkim – rzekł Fillegan, oddychając ciężko. – Chwała ci Panie na wysokościach – zaintonował. – A pieniądzy daj nam tu, na ziemi.

Łupnęło przeraźliwym gromem i ziemia pod ich stopami podskoczyła.

– Już go diabli powitali - mruknął Duendain. – Razem z prezentem.

„Do nigdzie" okazało się jednak lekką przesadą. Rozmrożony proboszcz mamrotał straszliwe przekleństwa pod adresem Fillegana, na przemian klął i bił się w pierś jakby w poczuciu winy. Co o rycerzu myślał koń prowadzony przez Doe za uzdę, tego Fillegan wolał się nie dowiadywać. I tak wyłonili się zza pagórków, a przed nimi otworzyła się panorama na Balisbury. Wyglądała teraz nieco inaczej niż przedtem. Bardziej niezwykle. Most bowiem, w całej swojej okazałości, z przysadzistymi strażnicami po bokach, wylądował obok kościoła, w poprzek, niemal tarasując wejście, przygniatając wolną dotąd przestrzeń ryn-

ku ze straganami. W ten sposób jedyna wieża przybytku zyskała nieoczekiwane dwie siostry, brzydsze, pobłyskujące krwawymi ślepiami.

Gdyby proboszczów rozliczano za słowa i towarzyszące im czyny, Doe niechybnie wylądowałby w najstraszliwszym kotle piekielnego paleniska. Najpierw zaklął obrzydliwie, później rzucił się dusić Fillegana. Ten stał, osłupiały, więc ręce proboszcza zacisnęły się na jego karku. Na szczęście Duendain w porę zerwał dłonie szaleńca z szyi swego pryncypała.

Doe opamiętał się zaraz. Na jego twarzy pojawiło się nawet coś przypominającego nikły uśmiech. Jego usta poruszyły się bezgłośnie. – Oszalał – pomyślał Fillegan. – Zobaczył, jak karbunkuły włażą mu do domu Bożego i doznał szwanku na umyśle. Wokół kościoła i mostu można było dostrzec ludzi, gapiących się na tę nieprawdopodobną instalację.

Proboszcz krzyknął i rzucił się w stronę swojej świątyni. Fillegan ze swym giermkiem podążyli za nim, ale nie udało im się szaleńca dogonić, bo po równi napędzała go złość i strach, a ich tylko lekka obawa, a także świadomość, że pchają się w niebezpieczeństwo. Rycerz mógł co prawda użyć czaru Fetty, ale wolał tego nie robić. Nie chciał ryzykować, że po odmrożeniu Doe po kres swoich dni będzie przypominał bełkotliwą kapustę.

Złapali go dopiero na rynku, gdzie proboszcz napotkał barierę gapiów. Mocno pochwycili go za ramiona. Jednocześnie rycerz rozejrzał się za strażnikami. Podczas kiedy Duendain zmagał się z szaleńcem, Fillegan rozkazał strażnikom usunąć wszystkich ludzi z placu, a najlepiej wyprowadzić poza miasteczko, bo nie wiadomo, co się będzie działo, kiedy podejmie próbę zaprowadzenia porządku. Popatrywali na niego wrogo, bo przecież nie wyglądał na świetnego rycerza i nosił się jak uniwersytecki profesor. Magiem też jak widać nie był najlepszym. Tłum więc szemrał, strażnicy wahali się, czy w ogóle należy dalej gadać z tym tu rycerzo-magiem Filleganem, a most stał, jak stał.

Nieoczekiwanie sytuacja jednak się zmieniła, choć trudno orzec, że akurat na korzyść Fillegana. Tłum zaszemrał gwałtowniej, ktoś krzyknął, w stronę mostu wyciągnęły się ręce... Rycerz uniósł wzrok.

Na moście rysował się siny, ciemniejący opar, w którym można było rozpoznać Marcusa Winietusa! Otrząsał się jakby z głębokiego snu, lekko jeszcze oszołomiony.

– Wszystkich na błonia! – rozkazał Fillegan i tym razem strażnicy właściwie nie potrzebowali dalszej zachęty. Pod pretekstem pomagania ludności sami chętnie zaczęli uciekać z niebezpiecznego miejsca.

– Duendain!

Giermek wraz z wyrywającym się proboszczem natychmiast podbiegł.

– Kufer! Wy razem z ludźmi uciekajcie. Jakby co, gadaj, że od magii proboszcz z lekka nie ten tego, zaczadzony, rozumiesz? Niech mi nie przeszkadza! – zarządził pospiesznie rycerz, odbierając skrzynkę z magicznymi przyborami od giermka. – A jakby mi się nie powiodło, rozsyp moje prochy na polach wokół Wake, choćby ukradkiem. Bo inaczej straszyć cię będę, hultaju, rozumiesz?

Uzbrojony w magiczne narzędzia odczekał, aż gawiedź spłynie krętymi uliczkami z rynku, w czym wydatnie pomogły ryki całkiem już przebudzonego Winietusa, który stanął na moście, niemal dorównując wieży kościoła. Musnął ją nawet pieszczotliwie łapskiem. Fillegan zaklął.

Popatrując na most i Winietusa, doznał naraz olśnienia – oczywistego, jak to właśnie z przebłyskami geniuszu bywa. Błąd nad rzeką wynikał z prostej sprawy: żeby zniknąć podłużny most, trzeba było znakami opatrzyć oba jego końce, inaczej niż przy zniknięciu kwaśnego jabłka, gdzie czar działał sferycznie. To tylko paraliżujący strach przed przejściem po moście w obecności Winietusa przesłonił Filleganowi ten fakt.

Teraz jednak demon-inżynier rządził wyższymi rejestrami rzeczywistości, a fundamenty mostu stały się dostępne. Przy odrobinie sprytu można było spróbować wykreślić niezbędne znaki i odesłać Winietusa do nikąd. Była to operacja nie pozbawiona ryzyka, jednak duch zdawał się być w oślepiająco triumfalnym nastroju, niby tokujący głuszec. Łatwo mógł przeoczyć szarą myszkę u podstaw wież.

Fillegan przeżegnał się znakiem krzyża, po czym zaczął się skradać pod most. Pierwszy znak usypał bez problemów. Gdy przekradał się pod mostem ku drugiej z wież, posłyszał gniewne pomruki Winietusa. Przez most przebiegło drżenie, jakby duch podskoczył kilka razy nerwowo, podstawa kościoła zatrzeszczała, jakby ktoś manipulował przy szczycie wieży. Wyczuwa magię – pomyślał Fillegan, czując jak po plecach cieknie mu strużka zimnego potu. Pospiesznie usypał drugiego ślimaka, spojrzał na klepsydrę. Wciąż mieścił się w limicie czasu dla dwóch znaków, ale zostało go już za mało, aby wypowiedzieć formułę z jakiegoś bezpiecznego miejsca, daleko stąd. Wywołał lekki efekt opóźniający, wypowiedział formułę i odkopnąwszy na bok zawadzający mu kufer z magicznymi artefaktami rzucił się do ucieczki. Nieoczekiwanie u wylotu jednej z uliczek pojawił się wrzeszczący Duendain.

– Uciekł, panie! – wydyszał. – Doe wyrwał mi się, uciekł i zniknął!

Tu akurat giermek mylił się, bowiem dokładnie w tej chwili kilka uliczek dalej pojawił się rzeczony proboszcz, zmierzając dokładnie tam, skąd próbował uciec Fillegan! Pędził ku tej z wież, która jeszcze niedawno stała przy rzece od strony miasteczka. Fillegan spostrzegł go ledwie kątem oka, ale zatrzymał się na jeden oddech i krzyknął ostrzegawczo:

– Wracaj! Most zaraz zniknie!

– Formuły! – odkrzyknął proboszcz, nie zatrzymując się. – Prawdziwe formuły wmurowałem w skrzynkę u podstawy wieży! Trzeba je odzyskać!

Fillegan zaklął i potruchtał ku Duendainowi, gorszącymi słowy przeklinając kłamców i oszustów.

Tymczasem Winietu zauważył wreszcie tę interesującą pogawędkę biegaczy i wtrącił do niej swoje trzy grosze. Wyciągnął łapsko i chwycił proboszcza niby rzadki okaz insekta. Nie zrobił mu krzywdy, tylko strącił na drugą, otwartą i ustawioną poziomo dłoń. Wtedy delikatnie ją zamknął. Kwicząc ze strachu, proboszcz wyglądał spomiędzy palców, wołając o pomoc, podczas kiedy Winietus podnosił sobie pochwycone dziwo do oczu... Fillegan dobiegł do poszarzałego na twarzy Duendaina. Odwrócił się... i wtedy jaskrawy błysk wwiercił mu się w oczy. Formuła uaktywniła się z całą podwójną mocą.



Fillegan przypatrywał się pustej przestrzeni, powstałej tam, gdzie ciężka konstrukcja wcisnęła się w grunt. Teraz dopiero uświadomił sobie, że pod mostem zginęło kilku sprzedawców, zgniecionych razem ze swoimi świątkami, literaturą pobożną i wyrzezanymi z drewna kiczowatymi Chrystuskami o twarzy tutejszego proboszcza, które zauważył podczas pierwszej przechadzki. Wszystko to poniewierało się po placu wokół Bożej świątyni.

– Ciekawe, dokąd zniknąłem go tym razem – rzekł zamyślonym głosem. – Jak myślisz, zacny Duendainie Capodimonte?

Giermek podrapał się po głowie.

– Tam, gdzie jego miejsce – orzekł wreszcie.

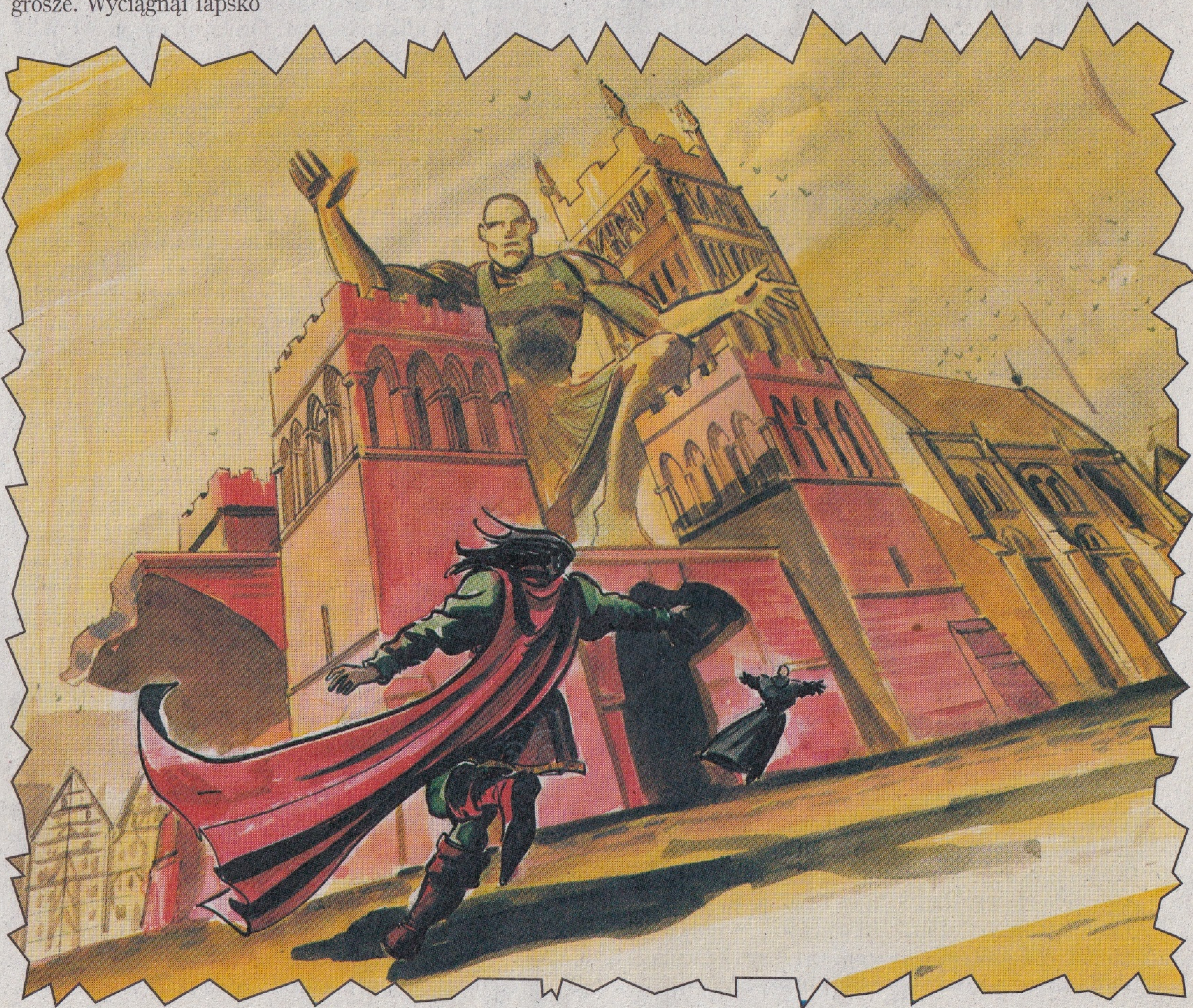
Fillegan prychnął.

– To znaczy, giermku mój niejasnomówiący?

– No, do piekła, a gdzieżby – odparł Duendain z wilczym uśmiechem. – Będzie miał diabeł podnóżek. Towarzystwo też mu się pewnie przyda.

Podążając do zajazdu, Fillegan zastanawiał się, czy Marcus Winietus znajdzie w piekle jakiś lodowiec, po którym mógłby poprowadzić bity rzymski trakt. Na wszelki wypadek postanowił, że jak już wrócą na kontynent, zniknie mu jakiś mały, ośnieżony alpejski pagórek. A proboszczowi jakiś czerwony kamyczek.

KONIEC





Magiczny pierścień

tekst: Artur Marciniak
rysunki: Marcin Kułakowski

Gra paragrafowa to specyficzne opowiadanie. Gracz, którego alter ego stanowi bohater opowiadania, czyta je i podejmuje decyzje, wpływające bezpośrednio na przebieg fabuły. Do niego należy wybór, czy w obliczu niebezpieczeństwa schowa się, czy też stawi mu czoło – oczywiście, jeśli takie opcje przewidział autor opowieści. Istnieją gry paragrafowe bardzo rozbudowane, w których bohater opisywany jest wieloma cechami – podobnie jak w grach fabularnych. Są też i takie, w których istotne są tylko wybory dokonywane przez gracza. Nasze opowiadanie leży gdzieś pośrodku. W trakcie walk wynik rozstrzygany jest rzutem kośćmi. Polega to na tym, że tekst paragrafu mówi o wykonaniu RZUTU WALKI. Za każdym razem podana będzie informacja, iloma kostkami wykonuje rzut gracz-bohater i iloma „rzuca" jego przeciwnik (tak naprawdę, rzuty za obu uczestników starcia wykonuje gracz). Wygrywa ta strona, która wyrzuci więcej oczek.

Przykład:
Nasz bohater walczy z ogromnym szczurem. W trakcie poprzednich przygód zdobył nóż, o którym wie, że do wyniku rzutu dodaje 2. W tekście paragrafu znajduje się wiadomość, że szczur walczy jedną kostką sześciościenną (1k6). Gracz rzuca najpierw kością za swojego bohatera. Otrzymuje wynik 3, do którego dodaje 2 punkty (za nóż). Łącznie 5. Potem rzuca jedną kostką za szczura. Wynik to 4. W takiej sytuacji bohater wygrywa i ma prawo przejść do odpowiedniego paragrafu. Inny wynik walki – przegrana lub remis – oznaczają konieczność przejścia do innych paragrafów.
UWAGA: Nie czytaj paragrafów, do których nie jesteś odsyłany, bo popsujesz sobie zabawę!

1 Cześć. Mam na imię Marek. Mieszkam w małym miasteczku, niewiele się tu dzieje. Chodzę do drugiej klasy liceum. Ostatnio trochę się nudzę, zwłaszcza w takie dni jak dzisiejszy. Leje deszcz, ani gdzieś wyjść, ani posiedzieć z kolegami na podwórku. Gry komputerowe też mi się znudziły. No i jeszcze odrabianie lekcji. Nuuudy. Wybiorę się chyba do dziadka. U niego zawsze można porobić coś fajnego, ostatnio wspominał, że trzeba mu pomóc w sprzątaniu strychu. Od dawna chciałem tam zajrzeć, ale jakoś nie było okazji. Mój dziadek to w ogóle fantastyczny facet. Ma ponad osiemdziesiąt lat, ale zawsze lepiej się z nim dogadywałem niż z tatą. Jakoś mnie rozumie. Może dlatego, że słucha, co do niego mówię. OK, pójdę do dziadka.

(minęło kilkanaście minut)

Miałem rację, dziadek prosił, żeby posprzątać strych. Chciał mi sam pomóc, ale jak mówi, „coś mu strzyka w krzyżu" i wyszło na to, że sam będę sprzątał. Nic nie szkodzi. Może znajdę coś ciekawego. Rany, ale kurzu! Chyba nikt tutaj nie zaglądał od dobrych kilkunastu lat. Gruba warstwa. WOW! – tam w kącie wisi mundur dziadka. I jego szabla. Super. Mówił tylko, że był kawalerzystą, ale nie chciał o tym bliżej opowiadać. Piękna ta szabla. Ani śladu rdzy. Zniosę ją później na dół, myślę, że powinna wisieć na ścianie, a nie leżeć tutaj w kurzu. Aaapsik! Wszędzie kurz! Hmmm, a co leży pod tą kupą starych płyt? To chyba albumy ze zdjęciami. Zaraz je wyciągnę. Ale ciężkie. O rany, nie! No ładnie, wszystkie płyty na podłodze. Ech, trzeba je posprzątać. A to co? Jakaś otwarta koperta. Wysunął się z niej list. Hmmm. Drogi wnuku... To do mnie? Dziwne. Ten list wygląda na zdecydowanie starszy ode mnie. Zobaczmy.

Drogi wnuku,

Piszę do Ciebie, choć nie wiem, czy kiedyś to przeczytasz, mam jednak nadzieję, że tak się stanie. Nie wiem, jak masz na imię, nie wiem, jak wyglądasz, wiem jednak, że skoro znalazłeś tę kartkę, istniejesz i jesteś moim potomkiem. Kiedyś, dawno temu, sam czytałem podobny list, pisany do mnie przez mojego dziadka. On sam wspominał, że będąc młodym chłopcem, czytał pergamin swojego dziadka. Dziwne, prawda? Ale do rzeczy. W kopercie znajdziesz pierścień, powinien pasować na Twój palec. Pierścień jest magiczny – wiem, że brzmi to cokolwiek nieprawdopodobnie i chyba nie do końca mi wierzysz. Przynajmniej na razie. Nie wiem, skąd ten pierścień wziął się w naszej rodzinie, nie wiem też, skąd czerpie moc. Wiem tylko, że przekazywany jest przez dziadka swojemu najstarszemu wnukowi, który – we właściwym czasie – przekaże go swojemu potomkowi. W dniu, w którym się go otrzyma, pierścień pozwala przenieść się do tajemniczej krainy – jak napisał mi mój dziadek, każda podróż ma swój cel – sprawdziło się to w moim przypadku, prawdopodobnie okaże się to prawdą także i w twoim. Kiedy nałożysz pierścień na palec, nie dzieje się nic nadzwyczajnego. Żeby przenieść się do owej tajemniczej krainy, musisz założyć go na wskazujący palec lewej ręki. Jeśli zechcesz powrócić do domu, wystarczy zdjąć go i nałożyć ponownie. Pamiętaj, że jeśli zgubisz pierścień, resztę życia spędzisz wśród obcych ci ludzi, w innych czasach. Cóż, przygoda jest na wyciągnięcie ręki, nie każ jej zbyt długo czekać!

Zakładasz pierścień na wskazujący palec lewej ręki (przejdź do **paragrafu 27**), czy też może wkładasz go wraz z listem do kieszeni, pomyślawszy sobie, że dziadek na starość traci już kontakt z rzeczywistością (przejdź do **paragrafu 58**).

2 Rozglądasz się dokładniej wokół. Las sprawia wrażenie bardzo starego, wygląda trochę jak Puszcza Białowieska, w której byłeś na wycieczce. Zielona gęstwina, pełna tajemniczych odgłosów i szumu drzew. Jesteś zdezorientowany, nie wiesz, co się stało. Przecież jeszcze przed chwilą stałeś na strychu domu dziadka! Czyżby to, co pisał o pierścieniu, który błyszczy na twoim palcu, było jednak prawdą? Uznajesz, że równie dobrze zamiast stać w miejscu możesz iść przed siebie. Najwygodniejsza droga prowadzi w kierunku, gdzie widać prześwit pomiędzy drzewami. Przejdź do **paragrafu 37**.

3 To, co początkowo wydawało ci się przecinką, to po prostu trakt. Nie wiesz, dokąd prowadzi, ale z pewnością łączy jakieś osady. Pytanie tylko, kto w nich mieszka i czy na drodze będziesz bezpieczny. Kto wie, kogo można na niej spotkać. Idziesz traktem (przejdź do **paragrafu 28**), czy też wolisz iść lasem, w pobliżu drogi (przejdź do **paragrafu 4**)?

4 Decydujesz się iść w pobliżu drogi, na tyle blisko, by nie stracić jej z oczu, jednak wystarczająco daleko, żeby zdążyć się ukryć, gdyby pojawił się na niej ktoś wyglądający na niebezpiecznego. Wędrówka jest jednak uciążliwa, a las w niczym nie przypomina tych, w których zbierałeś grzyby. Panuje w nim wilgoć, a powietrze jest duszne. Niewiele promieni słonecznych dociera na ziemię, zatrzymuje je gruba warstwa gałęzi i liści nad twoją głową. Idziesz, potykając się o korzenie. Na-

gle noga wpada w jakąś norę. Przewracasz się. Wstajesz powoli, klnąc pod nosem, otrzepujesz ubranie, gdy zauważasz, że z nory wysuwa się jakieś dziwne stworzenie. Nigdy wcześniej nie widziałeś takiego zwierzęcia. Nie jest zbyt duże, ma wielkość mniej więcej borsuka, ale jest pokryte łuskami. Co to za gad? Widzisz jego czarne, błyszczące oczka i paszczę pełną ostrych zębów. Zwierzak dostrzega cię, szczerzy kły w twoim kierunku i zdaje się gotować do ataku. Co robisz? Bronisz się (przejdź do **paragrafu 36**) czy uciekasz (przejdź do **paragrafu 50**)?

5 Obracasz się na pięcie i umykasz co sił w kierunku drogi. Pokąsane nogi bolą, na szczęście jednak twój prześladowca zaniechał pościgu. Zmęczony wpadasz na drogę, z trudem łapiesz oddech. Oglądasz swoje łydki. Na szczęście, rany okazują się powierzchownymi zadrapaniami, dżinsy zatrzymały zęby stworzenia. Decydujesz się iść dalej drogą – nie chcesz narażać się na spotkanie z innymi mieszkańcami lasu. Przejdź do **paragrafu 28**.

6 Jest gorąco, słońce praży. Napiłbyś się coli, ale chyba nie ma co liczyć na znalezienie sklepu. Po paru minutach obok traktu pojawia się niewielki strumyk, gasisz więc pragnienie. Pijąc wodę słyszysz nagle dziwny odgłos, coś jakby skrzypiało. Padasz na ziemię i obserwujesz drogę. Po chwili widzisz wóz. Nigdy wcześniej nie widziałeś niczego podobnego – wygląda jak skrzyżowanie budy jarmarcznej z wozem pionierów z Dzikiego Zachodu. Ciągną go dwa konie, a powozi nimi gruby jegomość. Obok niego na koźle siedzi dziewczyna. Wychodzisz na drogę i zatrzymujesz wóz (przejdź do **paragrafu 7**), czy chowasz się głębiej między paprocie porastające brzegi strumyka, licząc, że pozostaniesz niezauważony (przeczytaj **paragraf 49**)?

7 Wychodzisz na drogę. Widząc cię woźnica sięga – najwidoczniej zdenerwowany – do wnętrza wozu i wyciąga małą kuszę. Trzymając ją wycelowaną w twoim kierunku, pyta, kim jesteś i dlaczego wyskakujesz z lasu. Opowiadasz jakąś zmyśloną naprędce historyjkę, mówiąc, że pochodzisz z daleka i idziesz w kierunku, w którym jedzie wóz. Pytasz, czy możesz się do nich przyłączyć, by ulżyć zmęczonym nogom. Woźnica najpierw nie chce cię zabrać, nieufnie przygląda się twojemu ubraniu, nie przekonuje go najwidoczniej bajeczka o przybyszu z daleka. Ustępuje jednak wskutek próśb dziewczyny. Wskakujesz na wóz i jedziesz dalej. Przejdź do **paragrafu 48**.

8 Tak jak kazał ci Masław, zaszywasz się w krzakach, jednak po chwili ciekawość bierze górę. Chcesz zobaczyć, jak strażnicy rozprawią się z bandytami. Postanawiasz, że ostrożnie zbliżysz się do obozowiska rabusiów. Idziesz lasem, kiedy nagle zauważasz jednego z rabusiów. To ten, który miał stać na warcie. Klęczy ukryty w kępie krzaków i przygląda się ścieżce. Nagle zauważasz, że bandyta sięga po róg, wiszący przy jego pasie. Dostrzegasz strażników, powoli i ostrożnie jadących przy ścieżce. Nie ma chwili do stracenia! Jeśli wartownikowi uda się ostrzec towarzyszy, to umkną z pułapki albo zabiją porwanych. Co robisz? Czy decydujesz się odwrócić uwagę bandyty (przejdź do **paragrafu 45**), czy też czekasz na rozwój sytuacji (przeczytaj **paragraf 9**)?

9 Stwierdzasz, że sam i tak nic nie wskórasz. Bandyta podnosi do ust róg i daje sygnał ostrzegawczy. Zaskoczeni strażnicy poganiają konie i pędzą ścieżką w kierunku obozowiska bandytów. Rabuś dobywa miecza i już ma biec za nimi, kiedy nagle odwraca się i dostrzega ciebie, kryjącego się za drzewami. Rzuca się w twoim kierunku. Uciekasz – przejdź do **paragrafu 13**.

10 Niezgrabnie machasz kijem. Na zwierzaku nie wydaje się to robić najmniejszego wrażenia. Skacze dookoła ciebie, usiłując kąsać cię w nogi. Od czasu do czasu czujesz, że jego ukąszenia trafiają w cel. Decydujesz się na ucieczkę. Przejdź do **paragrafu 5**.

11 Wóz mija cię i znika za zakrętem drogi. Wychodzisz na trakt i idziesz jego śladem. Przynajmniej wiesz już na pewno, że ktoś jeździ tą drogą. Nagle wydaje ci się, że słyszysz krzyki, łomot, zamieszanie. Szybko zbiegasz z drogi w las i ostrożnie idziesz w kierunku źródła hałasu. Po chwili, spoglądając z kępy wyjątkowo bujnych paproci, widzisz wóz stojący na drodze. Grupa mężczyzn ściągnęła z kozła woźnicę oraz dziewczynę, zaglądają do worów i pakunków na wozie, głośno się śmieją i szturchają przestraszonego grubasa. Jeden z nich, wysoki, ubrany na czarno, przerywa zabawę pozostałym, wydaje im rozkazy. Jeden z mężczyzn siada na koźle, będzie chyba powoził. Nagle zaczyna kręcić cię w nosie. No nie, nie w takiej chwili! Próbujesz powstrzymać kichnięcie, ale jest już za późno. Głośne „aaaaapsiiiiik" rozlega się niczym wystrzał z armaty. Kulisz się w kępie krzaków, mając nadzieję, że bandyci niczego nie usłyszeli. Po chwili jednak widzisz, że jeden z nich, ten, który wygląda na przywódcę, dobywa z pochwy miecza i powoli idzie w twoją stronę. Rzucasz się do ucieczki, a za plecami słyszysz tupot nóg bandyty. Gałęzie smagają cię po twarzy i rękach, miejscami ciężko jest biec. Kluczysz przez chwilę, gdy nagle przypominasz sobie o pierścieniu i powrocie do domu. Tak, to jest rozwiązanie! Gorączkowo sięgasz dłonią po pierścień, chcesz go zdjąć i założyć z powrotem! Nie! Nie ma go na palcu! Musiał zsunąć się zaczepiony o jakąś gałąź. Ale zaraz! Nie słychać też tupotu nóg twojego prześladowcy. Zdesperowany i zrozpaczony ostrożnie cofasz się ku drodze. Między drzewami dostrzegasz wysokiego bandytę, obraca coś w palcach. To twój pierścień! Musiał go znaleźć w trakcie pościgu. Widzisz, że zakłada go na palec i powoli wraca do swoich towarzyszy. Ostrożnie, skradając się, idziesz za nim. Przejdź do **paragrafu 47**.

12 Strażnicy popędzają konie. Nigdy wcześniej nie jechałeś na takim rumaku, jest znacznie masywniejszy od koni, jakie widziałeś dotychczas w stadninie. Oj! Jazda nie jest wcale komfortowa. Jak ci strażnicy mogą wytrzymać cały dzień w siodle? Po chwili widzisz zwalone drzewo, maskujące zjazd na zarośniętą ścieżkę, którą udali się rabusie. Masław wypytuje o ostatnie informacje, zsadza cię z konia i każe ukryć się gdzieś w pobliżu.



Masz czekać na powrót strażników. Przejdź do **paragrafu 8**.

13 Rzucasz się do ucieczki, biegniesz w stronę obozowiska bandytów. Słyszysz biegnącego za tobą rabusia, z przodu słyszysz odgłosy walki, szczęk oręża, krzyki i przekleństwa. Tupot ścigającego cię wartownika jest coraz bliżej. Rzuć kostką. Wynik od 1 do 3 – przeczytaj **paragraf 44**. Wynik 4-6 – zapoznaj się z treścią **paragrafu 20**.

14 Przeciwnik jest niemal oślepiony, co znacznie ułatwia ci zadanie. Uchylasz się przed niezgrabnym ciosem jego miecza i kopiesz go w kolano. Łatwizna, ten facet nie przeżyłby minuty na przerwie w twojej szkole. Zachodzisz go od tyłu, poprawiasz kopniakiem w nerki, a kiedy zaskoczony rabuś przewraca się na ziemię, bierzesz nogi za pas i uciekasz w kierunku obozowiska bandytów. Przejdź do **paragrafu 43**.

15 Przeciwnik ucieka w stronę skał, widzisz, jak znika w niewielkim otworze w skalnej ścianie. To musi być pieczara, o której wcześniej mówił podwładnym. Ale dlaczego ucieka w miejsce, z którego nie ma wyjścia? Nie ma czasu na zastanawianie się, wbiegasz do środka pieczary. Przejdź do **paragrafu 54**.

16 Podłoże jaskini zmienia się. Wcześniej było piaszczyste, teraz to lita skała. Ściany zbliżają się do siebie, to już nie jest przestronna pieczara, jesteś w krętym i wąskim korytarzu skalnym. Ogień rzuca błyskotliwe refleksy na ściany, widzisz świecące w blasku pochodni kryształki miki. Powoli idziesz naprzód. Wydaje ci się, że słyszysz szum wody. Po chwili korytarz rozszerza się, w świetle pochodni dostrzegasz kolejną obszerną pieczarę, płynie w niej podziemna rzeka. Widzisz przeciwnika, który szykuje się chyba do ucieczki, zdjął bowiem niemal całe ubranie i wchodzi właśnie do wody. Krzyczysz i biegniesz w jego kierunku. Zaskoczony przywódca bandytów odwraca się, a widząc, że ma do czynienia z samotnym dzieciakiem, uśmiecha się zadowolony i wychodzi na brzeg. Z pozostawionego na brzegu ubrania wyciąga niewielki nożyk, po czym syczy – A więc to ty sprowadziłeś mi na kark strażników! Nadszedł czas zapłaty! Rzuca się w twoją stronę, a ty widzisz w świetle pochodni pierścień błyszczący na jego palcu. Przejdź do **paragrafu 39**.

17 Nie powinieneś ufać temu zdradzieckiemu bandycie, trzeba było zachować większą ostrożność. Rabuś rzuca się na ciebie, przewraca na ziemię i kłuje nożem, czujesz ból i zapadasz się w ciemność. Przejdź do **paragrafu 33**.

18 Ech! Rzucanie nigdy nie było twoją najmocniejszą stroną. Kamień trafił, co prawda, wartownika, ale nie pozbawił go przytomności. Zaskoczony bandyta rozgląda się i dostrzega cię stojącego za drzewem. Zapomina o rogu i rusza w twoją stronę. Uciekasz. Przejdź do **paragrafu 13**.

19 Mmm. Co za fajny sen. Kręcisz się rano w pościeli, wspominając swoje senne przygody. Tracisz tyle czasu, że aż spóźniasz się do szkoły. Na szczęście pierwsza lekcja to w-f, zdążysz jeszcze na zbiórkę. Przebierasz się szybko w szatni, gdy nagle zauważasz na swojej łydce świeże ślady ugryzienia. Czyżby twój sen był mimo wszystko prawdziwy? Sięgasz ręką do kieszeni spodni, wciąż tkwi tam tajemniczy pierścień. Musisz to jeszcze wszystko przemyśleć, masz jednak nad czym się zastanawiać. Szkoda tylko, że jeśli twoja przygoda była prawdziwa, nie masz jak wrócić do tej tajemniczej krainy. Cóż. Może kiedyś, za kilkadziesiąt lat, trafi tam twój wnuk.



20 Choć zdawało się wcześniej, że nie możesz już biec szybciej, zagrożenie dodaje ci skrzydeł. Biegniesz, jak nigdy wcześniej. Przez głowę przebiega ci absurdalna myśl, że szkoda, że nie widzi tego twój nauczyciel od w-f. Byłby chyba zadowolony. Biegniesz jeszcze chwilę i wypadasz na polanę z dębem, na której znajduje się obóz rabusiów. Kilka metrów za tobą na polanę wypada wartownik bandytów. Przejdź do **paragrafu 43**.

21 Stoicie naprzeciwko siebie, obaj spięci, obaj niepewni, co zrobi wróg. Nagle bandyta rusza do przodu, dźga tuż przed twoim nosem, ledwo udaje ci się odskoczyć. Niewiele brakowało, a byłoby już po tobie. Impet uderzenia wytrąca jednak bandytę z równowagi. Tego właśnie potrzebowałeś. Tniesz mieczem, poważnie raniąc go w ramię. Zaskoczony, obolały bandyta cofa się. Decydujesz się na atak. Skaczesz do przodu z mieczem w wyciągniętej dłoni, natomiast rabuś postanawia uciec. Odwraca się, lecz nie zdążył zrobić nawet dwóch kroków, gdy twój miecz tnie go przez plecy. Pada na ziemię. Podchodzisz do niego i zabierasz z jego dłoni swój pierścień. Przyglądasz się jeszcze chwilę ciału rabusia, po czym zabierasz pochodnię i wracasz na polanę. Strażnicy schwytali wszystkich bandytów, niektórzy z nich są ranni. Widzisz Masława. Strażnik podchodzi do ciebie i mówi, że wszyscy bandyci zostaną oddani katu. Łapie cię też za ramię i mówi, że czas na pewne wyjaśnienia. Co tu robisz? Kim jesteś? Dlaczego jesteś tak dziwnie ubrany? Wkładasz lewą rękę do kieszeni i wsuwasz na palec tajemniczy pierścień. Widząc zaskoczoną minę starego wojaka parskasz jeszcze śmiechem, po czym zapadasz w ciemność. Przejdź do **paragrafu 19**.

22 Przeciwnik, choć niemal oślepiony, nie jest nowicjuszem. Mało brakowało, a cięcie jego miecza rozpłatałoby ci brzuch. Próbujesz uników, zwijasz się jak w ukropie, chcesz kopnąć go w kolano, tak jak pokazywali ci to koledzy w szkole. Nagle przeciwnik zwinnym ruchem wbija ci miecz w gardło. Czujesz tylko ból, zapadasz w ciemność. Przejdź do **paragrafu 42**.

23 Zaskoczony wróg na chwilę traci koncentrację, wykorzystujesz to, zadając niezgrabny cios mieczem. Trafiasz go w rękę. Uderzenie nie jest silne, bandyta cofa się jednak, a z rany zaczyna płynąć krew. Wyraźnie widać, jak bardzo jest rozwścieczony. Mówi, że jeśli puścisz go wolno, da ci dużo pieniędzy. Nie dbasz o kasę, ale odpowiadasz, że puścisz go w zamian za pierścień. Bandyta początkowo nie wierzy, ale w końcu zdejmuje klejnot i rzuca go na ziemię. Powoli podchodzisz do pierścienia. Wykonaj rzut kostką. Przy wyniku od 1 do 3 przeczytaj **paragraf 17**. Jeśli wynik rzutu będzie wynosił od 4 do 6, zapoznaj się z treścią **paragrafu 38**.

24 Ciemność. Budzisz się po nocy pełnej koszmarów, śniło ci się, że przeniosłeś się do tajemniczej krainy i musiałeś walczyć o życie. Dobrze, że to był tylko sen. Pokrzepiony śniadaniem idziesz do szkoły. Pierwsza lekcja to w-f, przyda ci się trochę wysiłku. Przebierając się w szatni, zauważasz na swojej łydce świeże ślady małych zębów. Czyżby ten sen nie był jednak do końca nieprawdziwy? Sięgasz ręką do kieszeni spodni, wciąż tkwi tam tajemniczy pierścień. Musisz to jeszcze wszystko przemyśleć, masz nad czym się zastanawiać. Szkoda tylko, że twoja przygoda okazała się tak niebezpieczna. Cóż... Może kiedyś, za kilkadziesiąt lat, przygoda twojego wnuka będzie nieco przyjemniejsza.

25 Wykonaj Rzut Walki. Przeciwnik (1k6) nie jest uzbrojony w miecz (1k6), ale oczy zalewa mu krew. Jest oszołomiony i kiepsko widzi. Od wyniku rzutu dwoma kostkami odejmij mu 4 punkty (oczywiście, najgorszy wynik, jaki może uzyskać, to dwa). Jeśli jesteś uzbrojony w nożyk, znaleziony przy wozie kupca, rzuć kostką i do wyniku dodaj trzy. Jeśli nie jesteś uzbrojony, rzuć kostką bez żadnych modyfikatorów. Jeśli wygrałeś, przejdź do **paragrafu 14**. W przypadku przegranej przejdź do **paragrafu 22**.

26 Ostrożnie zbliżasz się do polany, kiedy nagle rozpoczyna się walka. Słychać okrzyki, szczęk broni. Podbiegasz bliżej. Konni strażnicy zaskoczyli bandytów i choć ci ostatni stawiają zacięty opór, wynik jest chyba przesądzony. Rabusie nie noszą pancerzy, walczą też wyraźnie mniej wprawnie. Strażnikom pomagają także konie, wyraźnie specjalnie wyszkolone do tego, by umiały radzić sobie w czasie starcia! Widzisz właśnie, jak któryś z bandytów usiłował uciec, a wierzchowiec z rozmachem kopnął go w krzyże. Sądząc z pełnego bólu wycia, kopnięcie nie było pieszczotliwe. No dobra, walka zdaje się niemal wygrana, ale gdzie jest przywódca rabusiów? Gdzie są porwani? Rozglądasz się rozpaczliwie i nagle dostrzegasz czmychającego ukradkiem wysokiego przestępcę. Nie masz chwili do stracenia, za moment zgubisz jego ślad. Ruszasz za nim. Przejdź do **paragrafu 15**.

27 Niepewnie wsuwasz pierścień na wskazujący palec lewej dłoni. Przez chwilę nic nie czujesz, masz tylko wrażenie, że dziwna mgła zasnuwa ci wzrok. Ale to chyba tylko omamy, wciąż przecież widzisz strych. Co to?! Nagle okazuje się, że nie stoisz już pośrodku stosu szpargałów na strychu dziadka. Wokół ciebie szumi las, świeci słońce, ale chyba zbiera się na burzę – wskazują na to ciemne chmury na horyzoncie. Powietrze pachnie zupełnie inaczej, jak latem na wsi. Masz wrażenie, że w pewnym miejscu las jest mniej gęsty. Zostajesz na miejscu, dokładnie przyglądając się okolicy (przejdź do **paragrafu 2**), czy też idziesz w kierunku, w którym las się przerzedza? (przejdź do **paragrafu 37**).

28 Droga nie jest zbyt szeroka, ma najwyżej trzy metry szerokości. Z całą pewnością jest jednak uczęszczana, o czym świadczą liczne koleiny. Zastanawiasz się, jak wygląda, kiedy deszcze zamienią ją w błoto. Dochodzisz do wniosku, że masz szczęście, że nie pada i jest ciepło. Chwytasz mocniej kij w rękę i idziesz przed siebie. Przejdź do **paragrafu 6**.

29 Oglądasz nogę. Nie jest źle, na szczęście dżinsy zatrzymały zęby zwierzaka. To, co początkowo wydawało się groźną raną, okazuje się tylko powierzchownym zadrapaniem. Zaczynasz zastanawiać się, czy jednak nie lepiej będzie wędrować dalej drogą. W ten sposób unikniesz spotkania z kolejnymi mieszkańcami lasu. Przejdź do **paragrafu 28**.

30 Usiłujesz kopniakiem posłać w oczy przeciwnika trochę piachu. Nie udaje ci się jednak, widać że rabuś był na taki ruch przygotowany. Nawet się nie zasłania, po prostu przesunął się w bok, wciąż macha nożem. Sytuacja robi się groźna. Wykonaj Rzut Walki. Sam (1k6) jesteś uzbrojony w ostry miecz (1k6). Twój przeciwnik (2k6) ma nóż (1k6-2). W przypadku wygranej zapoznaj się z treścią **paragrafu 21**, w przypadku przegranej przejdź do **paragrafu 32**.

31 Ze zwinnością, jakiej sam u siebie nie podejrzewałeś, uderzasz stwora kijem w głowę. Łup! I jeszcze raz! Łup! Zaskoczony i przestraszony zwierzak bierze nogi za pas i ucieka do nory. Ha! Pokazałeś mu, gdzie raki zimują! Przeczytaj **paragraf 34**.

32 Bandyta jest naprawdę niebezpieczny, widać to po tym, w jaki sposób trzyma nóż, jak rusza dłonią. Bawi się z tobą w kotka i myszkę. Zdesperowany rzucasz się na niego, machasz mieczem, choć bez żadnego rezultatu. Skaczesz i udaje ci się powalić go na ziemię. Niestety, jest o wiele cięższy i silniejszy, więc bez większego kłopotu wydostaje się spod ciebie i usiłuje zasztyletować. Z całych sił trzymasz jego rękę z nożem, broniąc się przed nieuchronną śmiercią, gdy nagle... Słychać głuchy odgłos spuszczanej cięciwy. Na twarzy zaskoczonego bandyty maluje się wyraz zdziwienia, pada martwy na ziemię. Przestraszony wygrzebujesz się spod jego ciała. Widzisz, że twoim wybawcą jest kupiec, który wrócił po broń i zdecydował się udzielić ci pomocy. Kiwasz roztrzęsiony głową. Masz dość tych wszystkich przygód. Ściągasz pierścień z palca trupa bandyty i znikasz z oczu zaskoczonego kupca. Przejdź do **paragrafu 24**.

33 Ciemność i ból. Czujesz też ciepło. Jest bardzo nieprzyjemnie, coś krępuje twoje ruchy. Przestraszony krzyczysz w ciemności. Nagle zapala się światło. Rzucasz się w przepoconej pościeli. Do twojego pokoju wbiega przestraszony ojciec. Ufff... To był tylko koszmarny sen. Całe szczęście. Zadowolony i bardzo, bardzo zmęczony zasypiasz. Rano sięgasz do kieszeni spodni. Pierścień zamienił się w kupkę rdzy, z listu od dziadka została jedynie garstka pyłu. Spóźniasz się trochę do szkoły, jest już po dzwonku, kiedy szybko przebierasz się na lekcję w-f. Nagle, między żebrami dostrzegasz świeżą bliznę, wyglądającą na ślad po cięciu. Czyżby sen był jednak prawdziwy? To już koniec twojej przygody.

34 Zaczynasz zastanawiać się, czy nie lepiej będzie wędrować dalej drogą. W ten sposób unikniesz spotkania z kolejnymi mieszkańcami lasu, a jeśli zachowasz odpowiednią czujność, zdołasz zapewne uniknąć spotkania z niebezpiecznie wyglądającymi podróżnymi na szlaku. Przejdź do **paragrafu 28**.

35 Ze zwinnością, jakiej sam u siebie nie podejrzewałeś, uderzasz stwora kijem w głowę. Noga trochę cię boli, nie przeszkadza ci to jednak w powtórnym trafieniu stwora. Zwierzak zdaje się być zaskoczony takim oporem. Łup – kolejne trafienie! I jeszcze raz! Łup! Przestraszony stwór z piskiem ucieka do swojej nory. Ha! Pokazałeś mu, gdzie raki zimują! Przeczytaj **paragraf 29**.

36 Wykonaj Rzut Walki. Jesteś uzbrojony w kij (1k6), natomiast przeciwnik atakuje zębami i pazurami (1k6-2). Jeśli wygrałeś, przejdź do **paragrafu 31**. Jeśli przegrałeś, przeczytaj **paragraf 10**.

37 Choć las rzeczywiście się nieco przerzedza, nie oznacza to, że wygląda jak park. Idziesz, przedzierając się przez chaszcze, gałęzie smagają cię po twarzy. Stopy niemal giną w grubej warstwie zbutwiałych liści i w mchu. Podnosisz z ziemi kawał porządnego drąga i opierając się na nim idziesz dalej, przed sobą zauważasz bowiem jakąś przecinkę. Przejdź do **paragrafu 3**.

38 Ostrożnie, nie spuszczając wzroku z bandyty, podnosisz pierścień i wkładasz go do kieszeni. Rabuś przygląda się temu ponuro, po czym cofa się do wody i znika, nurkując. Przyglądasz się jeszcze chwilę miejscu, gdzie stał przed chwilą, po czym zabierasz pochodnię i wracasz na polanę. Strażnicy schwytali wszystkich rabusiów,

niektórzy bandyci są ranni. Widzisz Masława. Strażnik podchodzi do ciebie i mówi, że wszyscy bandyci zostaną oddani katu. Łapie cię też za ramię i mówi, że czas na pewne wyjaśnienia. Co tu robisz? Kim jesteś? Dlaczego jesteś tak dziwnie ubrany? Wkładasz lewą rękę do kieszeni i wsuwasz na palec tajemniczy pierścień. Widząc zaskoczoną minę starego wojaka parskasz jeszcze śmiechem, po czym zapadasz w ciemność. Przejdź do **paragrafu 19**.

39 Odrzucasz pochodnię, na szczęście nie zgasła po upadku na piasek, jaki wyściela jaskinię. Przywódca bandytów krąży dookoła ciebie, zwodząc twe oczy wężowymi ruchami ręki, w której trzyma nóż. Jesteś pewien, że gdyby nie miecz, już dawno rzuciłby się na ciebie. Nagle bandyta błyskawicznie skacze do przodu, ledwo udaje ci się uskoczyć. Parę centymetrów dalej i skończyłbyś z nożem w gardle. Pot zaczyna zalewać ci oczy. Decydujesz się wykorzystać pewną sztuczkę, jaką widziałeś kiedyś na filmie. Kopniakiem posyłasz piach w oczy przeciwnika. Wykonaj rzut kostką. Jeśli wyrzucisz od 1 do 4, przeczytaj **paragraf 23**. W przypadku wyrzucenia 5 lub 6, zapoznaj się z treścią **paragrafu 30**.

40 Udało ci się! Co za rzut. Kamień trafia idealnie w cel. Słychać głuche łup i bandyta wali się na ziemię, nie zdążywszy uprzedzić towarzyszy. Zadowolony ze swego wyczynu mijasz go i dalej powoli idziesz w kierunku obozowiska rabusiów. Przejdź do **paragrafu 26**.

41 Z uchwytu na ścianie jaskini wyjmujesz pochodnię. Może dalej nie będzie żadnego światła, warto więc się zabezpieczyć. Czujesz się nieco pewniej, mając w ręku ostry miecz, zdajesz sobie jednak sprawę, że w starciu nie masz większych szans. O walce mieczem wiesz tyle, ile widziałeś na filmach, a to nie jest zbyt dużo. Nie masz jednak wyboru, musisz odzyskać swój pierścień. Ruszasz drogą wskazaną przez córkę kupca. Przejdź do **paragrafu 16**.

42 Ciemność i ból. Czujesz też ciepło. Jest bardzo nieprzyjemnie, coś cię krępuje. Przestraszony krzyczysz w ciemności. Nagle zapala się światło. Rzucasz się w przepoconej pościeli, która krępuje ci ruchy. Do twojego pokoju wbiega przestraszony ojciec. Ufff... To był tylko koszmarny sen. Całe szczęście. Zadowolony i bardzo, bardzo zmęczony zasypiasz. Rano sięgasz do kieszeni spodni. Pierścień zamienił się w kupkę rdzy, z listu od dziadka została jedynie garstka pyłu. Spóźniasz się trochę do szkoły, jest już po dzwonku, kiedy szybko przebierasz się na lekcję w-f. Nagle, na swojej łydce zauważasz dziwne ślady. Tak jakby ugryzł cię w nią jakiś mały zwierzak. Czyżby twój sen był jednak prawdziwy? To już koniec przygody.

43 Na polanie trwa walka. Konni strażnicy zaskoczyli jednak bandytów i choć ci ostatni stawiają zacięty opór, wynik jest chyba przesądzony. Rabusie nie noszą pancerzy, walczą też wyraźnie gorzej. Strażnikom pomagają także konie, widzisz właśnie, jak którył z bandytów usiłował uciec, biegnąc w pobliżu strażnika zajętego pojedynkiem z innym przestępcą. Nie przeszkodziło mu to cofnąć nieco swego wierzchowca, by ten z rozmachem kopnął uciekającego rabusia. Trzeba powiedzieć, że sądząc z odgłosu i chmury kurzu, jaka uniosła się z brudnych portek bandyty, kopnięcie nie było pieszczotliwe. No dobra, walka zdaje się niemal wygrana, ale gdzie jest przywódca rabusiów? Gdzie są porwani? Rozglądasz się rozpaczliwie i nagle dostrzegasz czmychającego ukradkiem wysokiego przestępcę. Nie masz chwili do stracenia, za moment zgubisz jego ślad. Ruszasz za nim. Przejdź do **paragrafu 15**.

44 Rabuś dogania cię. Jeszcze chwila i cię złapie. Rozpaczliwie kluczysz między drzewami, czując, jak gałęzie biją cię po twarzy, gdy nagle przychodzi ci do głowy pewien pomysł. Wbiegasz pomiędzy gęste zarośla, twój prześladowca jest tuż za tobą. Nagle zatrzymujesz się i naginasz gałęzie krzaków. Puszczone, silnie uderzają twego prześladowcę w twarz. Zaskoczony rabuś wrzeszczy z bólu. Po chwili, rozwścieczony, opuszcza ręce, oczy zalewa mu krew z rozciętego czoła i licznych zadrapań. Z mieczem w dłoni rusza w twoją stronę. Robi się naprawdę gorąco. Przejdź do **paragrafu 25**.

45 Musisz jakoś przeszkodzić wartownikowi. W ułamku sekundy przez głowę przelatuje ci kilkadziesiąt pomysłów, ale tylko jeden ma szansę powodzenia. Łapiesz spory kamień i rzucasz w bandytę, celując w jego głowę. Rzuć kostką. Wynik 1-3 oznacza, że musisz przeczytać **paragraf 18**, wynik 4-6 oznacza, że powinieneś zapoznać się z treścią **paragrafu 40**.

46 Wyskakujesz z krzaków na drogę, wprost pod nogi jednego z koni. Spłoszony wierzchowiec staje dęba, a jeździec prawie spada z konia, jednak udaje mu się opanować rumaka. Błyskawicznie dobywa miecza. Jego towarzysze również sięgają po broń. Zaczynasz szybko tłumaczyć swoje nagłe pojawienie się na drodze. Po chwili na twarzach strażników widać zrozumienie. Chowają miecze do pochew i wsłuchują się w twoją opowieść. Mówisz o napadzie na wóz i porwaniu pasażerów, o tym, jak śledziłeś rabusiów. Przywódca jeźdźców, Masław, wypytuje cię o liczebność bandytów, ich uzbrojenie, miejsce, w którym rozłożyli obóz. W końcu klepie cię po ramieniu (co przypomina nieco uderzenie belą drewna, ten facet ma naprawdę krzepę w łapach), po czym każe ci usiąść przed nim na koniu. Masz wskazać miejsce, w którym bandyci zjechali z traktu. Przeczytaj **paragraf 12**.

47 Co teraz? Co zrobić? Nie masz wyjścia, musisz jakoś odzyskać swój pierścień, bez niego nie możesz przecież wrócić do domu! Ostrożnie zbliżasz się do drogi i wozu. Widzisz, że jeden z rabusiów siada na koźle, będzie chyba powoził. Pozostali wrzucają bezceremonialnie na wóz grubasa i dziewczynę, po czym sami wchodzą na wóz i ruszają w drogę. Nie masz wyjścia. Musisz odzyskać pierścień. Ostrożnie, trzymając się lasu, biegniesz za wozem z rabusiami. Przejdź do **paragrafu 56**.

48 Czas mija powoli. Upewniasz się, czy na palcu wciąż tkwi pierścień, dzięki któremu zdołasz wrócić do domu. Jest, błyszczy na palcu. Zastanawiasz się przez chwilę, czy nie wracać, postanawiasz jednak pobyć jeszcze trochę w tym dziwnym miejscu. Czyżby dlatego, że dziewczyna z wozu jest bardzo ładna? Zaczynacie rozmawiać. Okazuje się, że wozem jedzie kupiec Barnaba, dziewczyna to jego córka, Jagienka. W myślach chichoczesz, przypominając sobie, jak miała na imię jedna z bohaterek „Krzyżaków" Sienkiewicza (która posładkami tłukła orzechy! Na szczęście TA Jagienka nie wygląda na taką herodbabę). Barnaba jedzie na targ do miasteczka, oddalonego o pół dnia drogi. Zareagował tak nerwowo na twoje nagłe pojawienie się, ponieważ od pewnego czasu w okolicy grasuje banda rabusiów, napadająca na podróżnych. Miejscowy władyka wysłał na trakty patrole zbrojnych, mających schwytać grabieżców, jednak – na razie – bandyci pozostają nieuchwytni.

Rozmawiacie jeszcze przez chwilę, Barnaba usiłuje dowiedzieć się czegoś o twoim dziwnym ubraniu i obuwiu, zbywasz go jednak mruknięciami, po jakimś czasie przestaje więc pytać. Nagle na drogę wyskakuje kilku mężczyzn. Dałbyś głowę, że jeden z nich pojawia się w dosłownie znikąd w miejscu, na które przypadkowo patrzyłeś. Bandyta chwyta konie i zatrzymuje wóz, jego kompan z łatwością ściąga z kozła zaskoczonego Barnabę. Konie rżą i stają dęba, wóz chwieje się, Jagienka gdzieś znika. Słychać krzyki zrozpaczonego kupca, śmiechy bandytów. Udaje ci się zeskoczyć z wozu, lewą ręką zawadzasz o pakunek na wozie, zaraz potem dostrzegasz na ziemi upuszczony przez kogoś nożyk. Łapiesz go w garść i uciekasz w las. Serce bije ci jak oszalałe, w ustach brak tchu. Oglądasz się za siebie, sprawdzając, czy nikt cię nie goni. Na szczęście żaden z bandytów nie zauważył twojej ucieczki. Myślisz, że takie przygody nie są dla ciebie, już masz zdjąć i nałożyć powtórnie pierścień, chcąc wrócić do domu, kiedy zauważasz. O nie! Nie ma go! Musiał zsunąć się z palca w tym całym zamieszaniu. O rany! Co teraz będzie? Uspokajasz się trochę i decydujesz ostrożnie wrócić na miejsce grabieży. Przejdź do **paragrafu 52**.

49 Rozpłaszczasz się na ziemi, starając się zniknąć między paprociami. Wóz jedzie dalej, jego pasażerowie najwidoczniej cię nie zauważyli. Czekasz jeszcze chwilę, po czym wychodzisz na drogę i idziesz jego śladem. Przejdź do **paragrafu 11**.

50 Bierzesz nogi za pas. Nie wiadomo, czy ten stwór nie jest naprawdę groźny. Obracasz się na pięcie i biegniesz w kierunku drogi. Rzuć kostką. Wynik od 1 do 3 – przejdź do **paragrafu 51**. Wynik 4-6 – przeczytaj **paragraf 57**.

51 Auuuu! Nagle czujesz, że zwierzę wbija zęby w twoją nogę. Okazało się bardzo zwinne i szybkie. Z bólu i zaskoczenia ciekną ci łzy. Nie masz wyjścia, musisz przepędzić tego zwierzaka. Wykonaj Rzut Walki. Jesteś uzbrojony w kij (1k6), ale ranny – od wyniku swojego rzutu odejmij jeden. Przeciwnik atakuje zębami i pazurami (1k6-2). Jeśli wygrałeś, przejdź do **paragrafu 35**. Jeśli przegrałeś, przeczytaj **paragraf 10**.

52 Wracasz w pobliże drogi. Widzisz, że bandyci poszturchują Barnabę, Jagienka płacze. Rabusie zaglądają do worów i pakunków na wozie, głośno się śmieją i klepią po plecach. Jeden z nich, wysoki, ubrany na czarno, przerywa pozostałym zabawę, wydaje im jakieś rozkazy. Nagle przerywa, patrzy na coś na ziemi i podnosi metalicznie błyszczący krążek. To twój pierścień! A niech to! Widzisz, jak przywódca rabusiów zakłada na palec twoją jedyną drogę powrotu do domu! Co teraz? Co zrobić? Jeden z mężczyzn siada na koźle, będzie chyba powoził. Pozostali wrzucają bezceremonialnie na wóz kupca i jego córkę, po czym sami siadają i ruszają w drogę. Nie masz wyjścia. Musisz odzyskać pierścień. Ostrożnie, trzymając się lasu, biegniesz za wozem z rabusiami. Przejdź do **paragrafu 56**.

53 Powolutku, ostrożnie, dbając by nie hałasować, wycofujesz się z okolic tymczasowego obozowiska rabusiów. Kiedy uznajesz, że jesteś już wystarczająco daleko, podnosisz się na nogi i biegniesz w stronę traktu. Po kilkunastu minutach jesteś już na pustej drodze. Zastanawiasz się chwilę i biegniesz w stronę, w którą jechał wóz. Mijają kolejne minuty, jednak droga jest pusta. Przystajesz zmęczony i zniechęcony, zaczynasz się martwić, że nie znajdziesz strażników. Nagle wydaje ci się, że słyszysz tętent kopyt na drodze. Szczupakiem rzucasz się w przydrożne zarośla. Po chwili dostrzegasz grupkę sześciu konnych, ubranych w jednolite skórzane pancerze. Noszą miecze, są także uzbrojeni we włócznie. Udało ci się! To chyba strażnicy. Wyskakujesz znienacka na drogę (przejdź do **paragra-**

fu 46), czy też najpierw krzyczysz, by się zatrzymali (przejdź do **paragrafu 55**)?

54 Pieczara jest całkiem obszerna, jest w niej zimno i dość ciemno. Jedynym źródłem światła są zapalone pochodnie, wetknięte w uchwyty na ścianach. Na podłodze jaskini walają się rozmaite skrzynie, pakunki, zwoje materiałów. W jednym z kątów dostrzegasz fragment odgrodzony od reszty prymitywną kratą. Siedzą tam kupiec wraz z córką. Gdzie jest ścigany przez ciebie mężczyzna z pierścieniem? Ze stosu broni łapiesz zgrabny mieczyk i biegniesz w kierunku kraty. Na szczęście prymitywna kłódka, na którą zamknięta jest krata, pęka po kilku uderzeniach miecza. Wdzięczny kupiec i dziewczyna zaczynają ci dziękować, ale szybko przerywasz ich słowa pytaniem o przywódcę bandytów. Dziewczyna mówi, że pieczara ciągnie się dalej, i że wódz rabusiów obrał właśnie tę drogę. Ruszasz w pościg. Przejdź do **paragrafu 41**.

55 Krzyczysz z całych sił, żeby się zatrzymali. Widzisz, jak zaskoczeni jeźdźcy spinają konie, dobywają broni i ruszają w twoim kierunku. Podnosisz się z krzaków i zaczynasz szybko tłumaczyć, kim jesteś i dlaczego ich zatrzymujesz. Po chwili na twarzach strażników widać zrozumienie. Chowają miecze do pochew i wsłuchują się w twoją opowieść. Mówisz, o napadzie na wóz i porwaniu jego pasażerów, o tym jak śledziłeś rabusiów. Przywódca jeźdźców, Masław, wypytuje cię o liczebność bandytów, o ich uzbrojenie, miejsce, w którym rozłożyli obóz. W końcu klepie cię po ramieniu (co przypomina nieco uderzenie belą drewna, ten facet ma naprawdę krzepę w łapach), po czym każe ci usiąść przed nim na koniu. Masz wskazać miejsce, w którym bandyci zjechali z traktu. Przeczytaj **paragraf 12**.

56 Biegniesz za wozem z rabusiami. Na szczęście, osie wozu tak skrzypią, że zagłuszają hałas, jaki robisz. Rabusie poza tym też nie są cisi – krzyczą, śmieją się i robią sporo zamieszania. Po niedługim czasie zauważasz, że wóz zatrzymuje się przy świeżo zwalonym drzewie. Trzech oprychów schodzi z wozu i ściąga gałęzie, które maskują wąski zjazd z drogi. Wóz zjeżdża z traktu w zarośniętą krzakami ścieżkę. Bandyci z powrotem maskują zjazd z drogi, wsiadają na wóz i jadą dalej. W dalszym ciągu ostrożnie ich śledzisz. Po kilkunastu minutach coraz gęściej pozarastana ścieżka zamienia się w niewielką polanę. Rośnie na niej olbrzymi dąb, w pobliżu widać wapienne skałki. Bandyci zsiadają z wozu, wyprzęgają konie, rozpalają małe ognisko. Zaczynają dokładnie badać zawartość ukradzionych pakunków. Są chyba zadowoleni, ich szpetne gęby wykrzywiają uśmiechy.

Udaje ci się znaleźć wygodne miejsce za zwalonym pniem drzewa. Leżąc na ziemi widzisz wszystko, co dzieje się na polance, sam pozostajesz praktycznie niewidoczny. Jesteś na tyle blisko bandytów, że słyszysz, jak mówią o wysłaniu listu z żądaniem okupu do rodziny porwanych. Z ich rozmowy dowiadujesz się, że porwali jakiegoś kupca i jego córkę, mają nadzieję dostać za nich sporo pieniędzy. Bandytami wydaje się dowodzić ten wysoki mężczyzna, który podniósł twój pierścień. Nie pasuje do pozostałych opryszków, jest lepiej ubrany i lepiej się wysławia. Widać też, że podwładni traktują go z respektem. Przywódca wyznacza strażnika, mającego pilnować obozu, a potem przypomina, że po trakcie krążą konne patrole strażników. Dowódca każe też przenieść zrabowane towary na noc do pieczary, gdzie mają również trafić porwani. Mówi jeszcze, że z rana pojadą do stałego obozowiska, głęboko w lesie. Nie wiesz, gdzie jest pieczara, o której mówi, jednak zarówno bandyci dźwigający zrabowane towary, jak i kupiec z córką odchodzą w kierunku skałek. Przywódca bandytów siedzi cały czas przy ogniu, zamyślony obraca na palcu twój pierścień. Zastanawiasz się przez chwilę. Z podsłuchanych rozmów wynika, że bandyci zatrzymali się na noc, a rano odjadą w kierunku stałego obozowiska. Przychodzi ci do głowy pewien pomysł. A może by tak spróbować ściągnąć tutaj strażników? Przez chwilę zastanawiasz się, po czym uznajesz, że ten plan daje możliwość odzyskania pierścienia. Decydujesz się powoli odczołgać od obozowiska, dotrzeć do traktu i poszukać strażników. Przejdź do **paragrafu 53**.

57 Udało ci się na pożegnanie zdzielić stwora kijem w głowę. Zaskoczony zostaje w miejscu, ty natomiast korzystasz z okazji i biegniesz w kierunku drogi. Chyba już lepiej iść wygodnym traktem niż narażać się na kolejne spotkania z mieszkańcami lasu. Przejdź do **paragrafu 28**.

58 Mija kilka godzin, w trakcie których porządkujesz strych. Nie znajdujesz już nic ciekawego, same starocie i zepsute klamoty. Kiedy uporządkowałeś cały bałagan, przypominasz sobie, że wieczorem miałeś iść do kolegi, któremu rodzice kupili nową konsolę do gier. Czas spędzony na zabawie minął szybko. O pierścieniu i liście w kieszeni przypomniałeś sobie dopiero następnego ranka. Sięgasz po klejnot, ale ku swemu zdziwieniu w kieszeni jest tylko kłębek starych strzępków papieru i kupka rdzy. Hmmm. Wzruszasz ramionami, niepewny, czy list od dziadka nie był przywidzeniem. To już koniec przygody. Następnym razem nie daj jej na siebie czekać.

KONIEC





Ogrody pamięci

tekst: Jacek Piekara
rysunki: Magda Miszczak

„I wielu fałszywych proroków powstanie i wielu zwiodą"

Ewangelia według św. Mateusza

Nazywam się Mordimer Madderdin i jestem inkwizytorem Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu. Dobrotliwym, łagodnym i przepełnionym pokorą oraz bojaźnią Bożą człowiekiem, który swe powołanie odnalazł w pocieszaniu grzeszników, w naprowadzaniu ich na drogę wytyczoną przez Boga Wszechmogącego, aniołów oraz święty Kościół... – gdybym pisał pamiętniki, tak właśnie powinny się zaczynać. Ale ja nie piszę pamiętników i nie sądzę, bym kiedykolwiek zaczął to robić. Nie tylko z uwagi na fakt, iż są takie miejsca w duszy i w myślach człowieka, w które zaglądać nigdy nie należy, ale też z powodu nędznej przyziemności mej pracy. Jestem tylko jednym z wielu robotników naszej Świętej Matki, Kościoła. Sługą Bożym. Najczęstsze wydarzenia w moim życiu to walka z pluskwami oraz wszami w karczmie Pod Bykiem i Ogierem, gdzie mieszkam dzięki uprzejmości właściciela, weterana spod Schengen. A my, którzy przeżyliśmy tę masakrę, mamy zwyczaj trzymać się razem i pomagać sobie nawzajem, choćby dzieliły nas różnice w zawodzie, pochodzeniu lub majątku.

Tego dnia leżałem w pokoju na piętrze karczmy i wsłuchiwałem się w jazgot wichury za okiennicami. Lato właśnie odchodziło, zaczęły się pierwsze zimne, dżdżyste dni. I całe szczęście, gdyż wtedy smród ścieków oraz odór bijący z największego rynsztoku, umownie nazywanego tu rzeką, wydawał się ustępować. A wasz uniżony sługa ma niezwykle czułe powonienie i smród gnijących odpadków oraz nieczystości budzi jego, jakże uzasadniony, wstręt. Rozmyślałem nad własnym, wysublimowanym poczuciem estetyki, kiedy usłyszałem kroki na schodach. Najbardziej rozchwierutany stopień skrzypnął przeraźliwie, a ja uniosłem się na łokciach i spojrzałem w stronę drzwi. Rozległo się ciche pukanie.

– Wejść – powiedziałem i drzwi uchyliły się.

W progu zobaczyłem kobietę okutaną w wełnianą, szarą chustę. Jej twarz miała podobny kolor co chusta, a długi, haczykowaty nos sprawiał, że wyglądała jak czarownica z sabatowych sztychów. Ach, zresztą mylne wyobrażenie, mili moi. Zdziwilibyście się widząc, że piękne i dobrze urodzone kobiety potrafią oddawać się diabłu. Bo i czegóż miałby on szukać u wyschniętych, wyblakłych niewiast jak ta, która pojawiła się w moim pokoju? Wiadomo, że również diabłu bardziej podobają się urodziwe młódki o świeżych policzkach i stromych piersiach. Niemniej kobieta, która mnie odwiedziła, miała piękne, zielonkawe oczy i czujne spojrzenie ptaka.

– Mistrzu Madderdin – powiedziała pochylając głowę. – Czy zechcecie mnie przyjąć?

– Proszę – odparłem i wskazałem zydel, a ona przysiadła na jego skraju. – Czym wam mogę służyć?

– Nazywam się Verma Riksdorf, szlachetny mistrzu i jestem wdową po kupcu zbożowym Amandusie Riksdorfie, zwanym Żyłą.

– Aż tak ostrożny był w planowaniu wydatków? – zażartowałem.

– Nie, panie – zauważyłem, że rumieniec pojawił się na jej policzkach. – Przezwano go z innego powodu...

Chciałem spytać z jakiego, ale nagle się domyśliłem i roześmiałem.

– Ach tak – powiedziałem, a ona zaczerwieniła się jeszcze bardziej. – Słucham więc, Vermo. Z jaką sprawą do mnie przychodzisz?

– Potrzebuję pomocy – podniosła wzrok i spojrzała na mnie twardo. – Pomocy kogoś znacznego, niestrachliwego i gotowego, by odbyć podróż.

– Gdybym był znaczny, nie mieszkałbym w tej oberży, odbycie podróży w czasie jesiennych deszczy nie uśmiecha mi się, a dnie i noce spędzam w bojaźni Bożej – odparłem. – Źle trafiłaś, Vermo. Do widzenia.

– Ależ panie – usłyszałem zaniepokojenie w jej głosie. – Polecili mi ciebie przyjaciele przyjaciół. Mówią, że jesteś człowiekiem, którego siła jest równa stanowczości i że nie masz sobie równych w śledzeniu diabła oraz jego uczynków.

– Przesada – ziewnąłem, bo byłem odporny na pochlebstwa. Chociaż... zawsze to grzeczne słowa mile łechcą serduszko.

Nic tak jak początkowa obojętność nie wpływa na zwiększenie kwoty, którą klient zamierza oferować za usługi. A skoro była wdową po kupcu zbożowym, liczyłem, że dysponuje czymś więcej niż tylko wdowim groszem. Chociaż jej strój zdawał się zaprzeczać moim podejrzeniom. Niemniej widziałem już księżniczki wyglądające niczym żebraczki. Tak, tak, niewiele rzeczy pod szerokim niebem jest w stanie zadziwić waszego uniżonego sługę.

– Nie jestem bogata – powiedziała, a ja wzruszyłem ramionami. Czy klienci nie mogliby wymyślić innej śpiewki? – Ale jestem w stanie wiele ofiarować w zamian za niewielką przysługę.

Gdyby przysługa była rzeczywiście niewielka, nie szukałabyś drogi do mnie. A gdybyś była piękna, znalazłbym sposób, w jaki możesz się odwdzięczyć – pomyślałem, ale nic nie odrzekłem. Patrzyłem na nią chwilę w milczeniu.

– Mów – zdecydowałem w końcu. – Ostatecznie i tak nie mam nic do roboty.

Gdyby była uroczą, młodą kobietą, być może zaproponowałbym jej kieliszek wina, ale ponieważ wyglądała, jak wyglądała, więc nawet nie chciało mi się wstać z łóżka.

– Mam siostrę, która mieszka w Gewicht, czterdzieści mil na północ od Hezu – zaczęła. – To mała miejscowość, a siostra przeniosła się tam po ożenku z kupcem bydła Turelem Vosnitzem, zresztą wbrew woli rodziców, gdyż...

– Nie musisz opowiadać mi historii swojej rodziny – uniosłem dłoń. – Lubię tylko zajmujące opowieści.

Zacisnęła wargi, ale nic nie odparła.

– Ta będzie zajmująca. Obiecuję – rzekła dopiero po chwili.

– Skoro obiecujesz... – skinąłem, by mówiła dalej.

– Siostra chowa ośmioletniego synka – powiedziała. – I doniosła mi, że dziecko ma pewne... – urwała nie wiedząc, co powiedzieć i nerwowo zacisnęła dłonie. – Czy mogłabym dostać kubek wina?

Wskazałem ręką stół, na którym stał dzbanek i dwa brudne kubki. Wytarła jeden krajem chusty – cóż za dbałość o czystość! – i nalała wina.

– A wy, mistrzu? – zapytała i nie czekając na odpowiedź napełniła drugi kubek. Podała mi go.

Usiadła z powrotem na zydlu i spojrzała pod nogi, bo potrąciła stopą leżącą na podłodze

książkę. Było to „Trzysta nocy sułtana Alifa", niezmiernie interesująca opowiastka, którą otrzymałem od mego przyjaciela, mistrza drukarskiego Maktoberta. Znowu zobaczyłem, że się zaczerwieniła. No, no, jeśli ten tytuł coś jej mówił, to musiała nie być taka wyblakła i nieciekawa, na jaką wyglądała. „Trzysta nocy sułtana Alifa" znajdowało się, oczywiście, na indeksie ksiąg zakazanych, ale akurat na tego typu publikacje patrzono przez palce. Sam widziałem ozdobny, wypełniony nad wyraz realistycznymi rycinami egzemplarz u Jego Ekscelencji Gersarda, biskupa Hez-hezronu. Ha, trzysta nocy, trzysta kobiet – ciekawe życie prowadził sułtan Alif! Nawiasem mówiąc, powiastka kończyła się jednak smutno, bo sułtana, pochłoniętego nieustannym chędożeniem i nie zajmującego się sprawami państwa, kazał zabić wielki wezyr.

– *Po cóż, ach po cóż swym chuciom hołdowałem*
W objęciach nałożnic szukając rozkoszy?
Żałuję tych postępków w obliczu Boga
Patrząc na miecz, co mnie wypatroszy – mówił sułtan pod koniec i był to monolog tak straszny, że aż zęby bolały. Podobno zresztą dodano go wiele lat po śmierci autora, chcąc opowiastkę doprawić moralizatorskim smaczkiem. Całkiem możliwe, gdyż niezmierzona była zawsze fantazja kopistów oraz drukarzy.

Tak zamyśliłem się nad sułtanem Alifem i kolejami jego życia, że prawie zapomniałem o siedzącej obok kobiecie.

– Czy mogę mówić dalej? – zapytała.

– Ach, wybaczcie – odparłem i upiłem łyk wina. Czy ja kiedyś nauczę Korfisa, by chociaż zawartości moich dzbanków nie chrzcił wodą?

– Synek siostry ma szczególny dar – mówiła i widziałem, że przychodzi jej to z trudem. – W dni święte przeguby jego dłoni oraz golenie pokrywają się krwawymi ranami...

Uniosłem się wyżej na łóżku.

– ... także rany robią mu się na czole, gdzie Panu naszemu barbarzyńcy włożyli cierniową koronę.

– Stygmaty – powiedziałem. – A to ładnie.

– Tak, stygmaty – powtórzyła. – Siostra ukrywała to jak długo mogła, ale w końcu rzecz się wydała.

– I?

– Miejscowy proboszcz pokazuje chłopca w czasie kościelnych świąt. Ludzie zjeżdżają się z daleka, by na niego patrzeć. No i oczywiście...

– Składają hojne datki – dokończyłem za nią.

– Właśnie – westchnęła. – Tyle że, mistrzu Madderdin – wciągnęła głęboko powietrze. – Sprawa bardzo zajęła miejscowych inkwizytorów.

– Inkwizytorzy? W Gewicht? – zapytałem, bo znam wszystkie lokalne oddziały Inkwizytorium, a o takim miasteczku nigdy nie słyszałem.

– Nie, przyjechali z Cloppenburga – wyjaśniła.

I to się zgadzało. Byłem niegdyś w Cloppenburgu i sam widziałem mały, murowany budyneczek Inkwizytorium, a nawet spożyłem tam wieczerzę. Bardzo interesującą wieczerzę, jak się potem okazało, gdyż dzięki niej odnalazłem w mej pamięci dawno wygasłe wspomnienia.

Niespecjalnie dziwiłem się, że inkwizytorzy ruszyli śladem domniemanego cudu. W końcu byliśmy tylko gończymi pieskami, a tu trop był aż nadto wyraźny. Proboszcz nie wykazał się inteligencją nagłaśniając to, co się działo z dzieckiem. Czy nie uczono go, że w najgorszym wypadku może skończyć na stosie razem z chłopcem i jego matką? My, inkwizytorzy, nie lubimy cudów, bo wiemy, że wiele jest oblicz Bestii i znamy Jej zdradliwe działania. A na torturach każdy przecież przyzna, iż jest konfratrem diabła.

– Przykra sprawa – powiedziałem szczerze, bo żal mi było chłopca. – Ale cóż ja mogę poradzić?

– Jedźcie tam, mistrzu – powiedziała z żarem w głosie. – Błagam was, jedźcie i zobaczcie, co da się zrobić.

– Nie mogę kontrolować pracy miejscowych inkwizytorów – powiedziałem.

Była to nie do końca prawda, gdyż mając licencję z Hezu uzyskiwałem teoretyczną władzę nad wszystkimi szeregowymi inkwizytorami z lokalnych oddziałów Inkwizytorium. Czy zwróciliście uwagę na słowo: „teoretyczną", mili moi? Otóż miejscowi inkwizytorzy bardzo nie lubili, jeśli ktokolwiek wtrącał się w ich sprawy, a niepisany kodeks mówił, że bez polecenia biskupa staramy się nie wchodzić nikomu w drogę. I bardzo słusznie. Mamy dość wrogów na całym świecie, by jeszcze tworzyć sobie następnych, we własnym gronie. Ale przecież i u nas trafiały się parszywe owce, które należało eliminować. Lecz to nie było rolą waszego uniżonego sługi, a od tych, którzy się tym zajmowali, wolelibyście się trzymać z daleka. Przypomniałem sobie Mariusa von Bohenwald – łowcę heretyków – i zrobiło mi się zimno. Choć zwykle nie mam strachliwego serca, a Mariusa mogłem wspominać przecież tylko z wdzięcznością, gdyż uratował mi życie.

– Po prostu zobaczcie, co się dzieje – powiedziała niemal płaczliwym tonem. – Mam trochę oszczędności...

Uniosłem dłoń.

– To nie tylko kwestia honorarium – powiedziałem. – Ale zrobię dla ciebie jedno, Vermo. Powiadomię o wszystkim Jego Ekscelencję biskupa. Być może zechce, bym przyjrzał się sprawie. Wróć do mnie za dwa, trzy dni, a poinformuję cię, co uzyskałem.



Jego Ekscelencja Gersard – biskup Hez-hezronu i zwierzchnik Inkwizytorium – miewał kaprysy niczym rozpieszczona kobieta. Czasami kazał mi antyszambrować codziennie w swojej kancelarii (zwykle zresztą bez wyraźnego celu), a czasami całymi tygodniami nie zajmował się moją skromną osobą. Co zresztą nad wyraz mi odpowiadało, gdyż mogłem poświęcić się wtedy sprawom tak nieważnym z wysokości biskupiego tronu, jak zarabianie na kęs chleba i łyczek wody. Fakt, że ja sam proszę o audiencję, musiał go zdziwić na tyle, że zezwolił mi przyjść już następnego dnia rano. Miałem tylko nadzieję, że Jego Ekscelencja nie będzie właśnie cierpiał na atak podagry, gdyż wtedy konwersacja z nim przebiegała w nad wyraz nieprzyjemny sposób. Niedawno usłyszałem plotki, że medycy odkryli u Gersarda również hemoroidy i wiadomość ta nie poprawiła mi humoru. Jeśli Jego Ekscelencję zaatakują jednocześnie i podagra i hemoroidy, to życie nas – inkwizytorów stanie się nad wyraz nędzne.

Ubrałem się jak przystało człowiekowi mojej profesji: w czarny kubrak z wyhaftowanym złamanym, srebrnym krzyżem na piersi. Na ramiona zarzuciłem czarny płaszcz i założyłem czarny kapelusz z szeroką kryzą. Nie przepadam za służbowym strojem, zwłaszcza że moje zajęcia bardzo często wymagają utrzymywania incognito. Ale na oficjalną audiencję nie wypadało przychodzić w cywilnym ubraniu. Zresztą Gersard potrafił być bardzo nieprzyjemny dla osób naruszających zasady etykiety.

Kiedy dotarłem pod drzwi biskupiego pałacu, byłem już przemoczony niczym bezdomny pies. Z ronda kapelusza spływały mi krople wody, a płaszcz przylegał do ciała jak mokra szmata.

– Psia pogoda, mistrzu Madderdin – powiedział ze współczuciem strażnik, który miał szczęście stać pod okapem. Zerknął, czy nikogo nie ma w pobliżu. – Naleweczki? – mrugnął.

– Synu, lejesz miód na moje serce – powiedziałem i przechyliłem do ust bukłak.

Piekąca, mocna jak zaraza śliwowica sparzyła mi usta i gardło. Odetchnąłem głęboko i oddałem mu manierkę.

– Ale trucizna – powiedziałem łapiąc powietrze. – Musisz mi powiedzieć, gdzie robią takie specjały.

– Tajemnica domu – uśmiechnął się szczerbatym uśmiechem. – Ale jeśli pozwolicie, przyślę wam przez chłopaka duży dzbanek.

Poklepałem go po ramieniu.

– Zyskasz moją dozgonną wdzięczność – odparłem i przekroczyłem progi pałacu.

Kancelista czuwający przed apartamentami biskupa tylko westchnął, widząc mój opłakany wygląd i pokazał, abym usiadł.

– Jego Ekscelencja zaraz was przyjmie, inkwizytorze – powiedział sucho i wrócił do papierów, które w nierównych stosach zaścielały blat biurka.

Kichnąłem i przetarłem nos wierzchem dłoni.

– Boże daj zdrowie – rzekł nie podnosząc oczu.

– Dziękuję – odparłem i podałem płaszcz oraz kapelusz służącemu, który pojawił się w bocznych drzwiach.

Nie zdążyłem się naczekać, kiedy zza drzwi apartamentów wychynął blady sekretarz Gersarda. Był nowy w pałacu i mogłem mu tylko serdecznie współczuć. Ekscelencja zmieniał sekretarzy jak rękawiczki. Nie żeby był taki wymagający. Najczęściej sami nie wytrzymywali biskupich humorów oraz całych dni pijaństw, przerywanych wieloma godzinami wytężonej pracy. Trzeba przyznać, że biskup, mimo podagry, hemoroidów (jeśli ta plotka była, rzecz jasna, prawdziwa), starszego wieku oraz lat nadużywania jedzenia oraz trunków, miał zdrowie niczym koń.

– Jego Ekscelencja prosi – oznajmił i zauważyłem, że przygląda mi się ciekawie.

Odpowiedziałem spojrzeniem, a on szybko uciekł z oczami. Cóż, niewielu ma ochotę bawić się z inkwizytorem w grę pod tytułem: „zobaczymy, kto szybciej odwróci wzrok".

Biurowe apartamenty biskupa były urządzone nader skromnie. W pierwszym pokoju znajdował się półkolisty stół i szesnaście zdobionych krzeseł. Tutaj odbywały się wszelkie większe narady. Nawiasem mówiąc, odbywały się bardzo rzadko, bo biskup nie znosił rozmawiać w tłumie i wolał krótkie spotkania w cztery, a najwyżej sześć oczu. A one odbywały się w drugim pokoju, gdzie tkwiło ogromne, palisandrowe biurko. Miało tak wielki blat, że mogłoby być pokładem średniej wielkości łodzi. Biskup zasiadał przy jednym jego krańcu (obok rzeźbionych głów lwów), a swych gości sadzał na drugim krańcu. W pokoju znajdowały się jeszcze tylko dwie wypchane papierami sekretery, ciągnący się przez całą ścianę regał pełny ksiąg oraz maleńka, przeszklona szafka, w której lśniły kryształowe kielichy i butla lub dwie dobrego wina. Wiadomo było, że biskup lubił często raczyć się winkiem i niekiedy miał kłopoty z wychodzeniem z kancelarii o własnych siłach.

– Witaj Mordimer – powiedział serdecznym tonem.

Z ulgą zauważyłem, że siedzi wygodnie rozparty w krześle, a rąk nie ma zawiniętych w bandaże. Oznaczało to, iż dzisiaj nie męczą go ani hemeroidy ani podagra, co dobrze wróżyło wszystkim pragnącym wyłuszczyć mu swoje prośby. Po uśmiechu i oczach poznałem również, że ani nie ma kaca ani wyrzutów sumienia związanych z piciem (co również mu się niestety zdarzało i kto wie, czy nie było gorsze niż ataki podagry). Przed Gersardem stała do połowy opróżniona butelka wina i kielich z resztką trunku, a sam biskup sprawiał wrażenie leciutko podchmielonego. Ot, miał szczęście biedny Mor-

dimer i trafił w dobry czas.
– Co cię sprowadza? – zamachnął się szeroko pokazując mi, abym usiadł, a ja posłusznie przysiadłem na brzegu krzesła.
– Weź kieliszek – dodał machając tym razem drugą dłonią – i nalej sobie. Przednie wino – czknął lekko. – Ci przeklęci doktorzy mówią, że mam wrzody i nie powinienem pić – urwał przypatrując mi się bystrze. – A wiesz dlaczego, Mordimer?
– Gdyż kwas zawarty w winie drażni chory żołądek? – poddałem.
No, no zapowiadało się nieźle. Jeśli Jego Ekscelencja będzie miał kompanię chorób złożoną z podagry, hemoroidów i wrzodów, to życie jego pracowników stanie się nad wyraz żałosne.
– Właśnie – zachmurzył się. – Dokładnie tak mówią. Rozmawiałeś z nimi?
– Nie, Wasza Ekscelencjo – zaprzeczyłem gwałtowniej niż chciałem. – Anatomia i fizjologia oraz pewna biegłość w leczeniu prostszych przypadłości była elementem mojego wykształcenia.
– Prostszych przypadłości, mówisz... No tak, Mordimer, zapomniałem, jaki jesteś uczony...
Oho, Jego Ekscelencja stawał się zgryźliwy. Niedobrze. A ja popełniłem niewybaczalny błąd sugerując, iż wrzody są jedynie prostszą przypadłością. Kiedyż ty się nauczysz dworskiego życia, biedny Mordimerze? – zapytałem sam siebie.
– Każą mi pić takie świństwa – poskarżył się biskup tym razem dość żałosnym tonem. – Śmierdzi to to jak rzygowiny, a smakuje – machnął znowu ręką. – Lepiej nie mówić.
– Doradzałbym mleko, Wasza Ekscelencjo – powiedziałem najłagodniej jak potrafiłem. – Kiedy czuć tylko pieczenie, kubek świeżego mleka...
– Mleko? – spojrzał na mnie podejrzliwie. – Kpisz, Mordimer?
– Gdzieżbym śmiał – zaprzeczyłem szybko. – Na zgagę, wrzody i przypadłości żołądka mleko jest najlepsze. Proszę mi wierzyć.
– Może i mleko – podrapał się w podbródek. – Wolę mleko niż te ich trucizny. A może – coś błysnęło niebezpiecznie w jego oku. – Może oni chcą otruć swojego biskupa?
Na miecz Pana, Jego Ekscelencja musiał być bardziej pijany niż sądziłem! Widocznie opróżniona do połowy butelka nie była pierwszą, która gościła dzisiaj na biskupim stole.
– Nikomu nie można ufać, Wasza Ekscelencjo – powiedziałem. – Oprócz świątobliwych mężów, takich jak my. Jeśli Wasza Ekscelencja wyda rozkaz, każę ich wybadać.
– Eee, gdzie ja potem znajdę następnych? – westchnął po chwili i pokręcił głową. – Już ja znam twoje przesłuchania, Mordimer. Myślisz, że zapomniałem, jakżeś badał kuzyna hrabiego Werfena?
Wolałem się nie odzywać, bo sprawa była dawna i już niegdyś za nią zapłaciłem biskupią niełaską. Zresztą kuzyn hrabiego Werfena zmarł nie z mojej winy, bo nawet nie zdążyłem go dotknąć, tylko serdecznie i spokojnie wyjaśniałem mu zasady działania naszych narzędzi. A on zatrzepotał powiekami, zachłysnął się powietrzem, poczerwieniał i oddał duszę Bogu. Strasznie delikatna była nasza szlachta, ale wolałem nie zagłębiać się w dyskusje na ten temat, więc tylko kornie pochyliłem głowę.
– Badał, badał i wybadał – mruczał niezadowolony biskup. – A ja muszę potem tłumaczyć, czemu moi inkwizytorzy mordują szlachtę. Dlaczego ja ci właściwie nie odebrałem wtedy licencji, co Mordimer? – zasępił się.
Jeśli spytacie, mili moi, czy wasz uniżony sługa żałował, że poprosił o audiencję u biskupa, to zapewne znacie odpowiedź: tak, żałował. I chętnie znalazłbym się już we własnym pokoju, bo towarzystwo wszy oraz pluskiew było znacznie przyjemniejsze i, co ważne, znacznie bezpieczniejsze niż towarzystwo Gersarda.
– No dobrze – odetchnął głęboko. – Skoro mówisz mleko, spróbujemy mleka. Tylko czy ja nie będę miał po nim sraczki? – zaniepokoił się. – Ale w sumie lepsza sraczka niż wrzody – dodał zaraz. – A medykom każę pić te ich driakwie. Niech sami zobaczą, jakie to przyjemne. Aha, a czegoś ty ode mnie właściwie chciał, Mordimer?
– Pozwoliłem sobie poprosić o audiencję, by wyłuszczyć Waszej Ekscelencji pewien problem...
– Problem – przerwał biskup. – Zawsze tylko problemy, które ja – mocno zaakcentował ostatnie słowo – muszę rozwiązywać. No dobrze – westchnął znowu. – Mów, skoro jesteś.
Króciutko, zwięźle i jak najszybciej wyłuszczyłem biskupowi sprawę, z którą przybyła do mnie Verma Riksdorf. Pokiwał głową.
– I co? – zapytał.
– W związku z tym chciałbym prosić o oficjalną delegację do Gewicht – powiedziałem.
– Czyś ty na głowę upadł, Mordimer? – Jego Ekscelencja nie był nawet rozdrażniony, tylko zdumiony. – Czy myślisz, że ja nie mam większych problemów niż stygmaty jakiegoś gówniarza? Gdybym chciał do każdej takiej sprawy wysyłać inkwizytora, musiałbym mieć ich całą armię.
Zamyślił się przez moment i zobaczyłem, że sama perspektywa musiała mu się spodobać. Mnie akurat mniej, gdyż każdy zawód jest tym cenniejszy im bardziej elitarny. Może nie byliśmy elitą w pospolitym tego słowa znaczeniu, ale też inkwizytorem nie mógł zostać byle kto. Miało to również swoje minusy, gdyż jak mówi Pismo: „Żniwo wprawdzie wielkie, ale robotników mało".
– Ośmielam się tylko przypomnieć Waszej Ekscelencji, że sprawą zajęli się inkwizytorzy z Cloppenburga. Być może więc nie jest ona podobna do innych.
– Niby tak – mruknął, a potem spojrzał na mnie bystrym wzrokiem. – Zaraz, zaraz, Mordimer, czy wy przypadkiem nie macie jakiegoś cholernego, niepisanego kodeksu, który każe nie wtykać nosa w sprawy innych inkwizytorów, chyba że dostało się oficjalne zlecenie?
Zmilczałem, bo inkwizytorski kodeks honorowy nie był tym, o czym chciałbym i mógłbym rozmawiać z biskupem.
– I ty mnie właśnie o takie zlecenie prosisz – powiedział powoli. – O co tu chodzi, Mordimer? Ta kobieta? Piękna?
– O, nie – roześmiałem się szczerze – wręcz przeciwnie.
– Znasz ich rodzinę?
– Nie, Wasza Ekscelencjo.
Upił łyczek wina, skrzywił się i postukał upierścionymi palcami po blacie biurka. Cały czas patrzył na mnie.
– Więc czemu chcesz jechać?



– Stygmaty – powiedziałem. – Są niezwykle interesującym zjawiskiem, Wasza Ekscelencjo. I jak przy każdego rodzaju cudzie nie wiadomo, czy bliżej im do świętości, czy diabelstwa. Przyznaję, że interesują mnie zarówno z teologicznego, jak i fizjologicznego punktu widzenia. Bo czymże jest świadectwo przebicia rąk i nóg Naszego Pana? Grzesznym przypomnieniem chwil, kiedy Jezus był tylko słabym człowiekiem, czy też świętą oznaką siły Jezusa, który do samego końca czekał, aż prześladowcy zobaczą Jego boskość i oddadzą Mu cześć? Który wydał się na mękę, by jak najdłużej pozostawić nieprzyjaciołom szansę zrozumienia prawdy oraz odkupienia win, zanim zdecydował się w chwale zejść z Krzyża i pokarał ich ogniem oraz mieczem... – przerwałem, by zaczerpnąć oddechu.

– Ty mi tu nie opowiadaj dyrdymałów, Mordimer – rzekł powoli biskup. – Ilu ludzi mamy w Cloppenburgu?

– O ile się nie mylę trzech, Wasza Ekscelencjo.

– Znasz któregoś?

– Znam – odparłem ostrożnie, bo wpływaliśmy na głębokie wody.

– Aha – rzekł. – Porachunki – dodał w końcu. – Małe animozyjki, awanturki i przepychanki. Chcesz dopiec koledze, Mordimer, co? Bardzo nieładnie – roześmiał się.

– Zawsze w onieśmieleniu podziwiałem bystrość umysłu Waszej Ekscelencji – rzekłem pochylając głowę. – Lecz zapewniam, że to nie jedyny ani nawet nie najważniejszy powód.

Nie był to może wyszukany komplement, mimo to biskup uśmiechnął się szeroko.

– Bo ja was wszystkich znam, łajdaki – rzekł dobrodusznie. – Jak zły szeląg. Tylko dlaczego mam płacić za twoje rozrywki? Oświecisz mnie, mój drogi Mordimerze, w tym względzie?

– Ponieważ z Cloppenburga nie zameldowano o sprawie – odparłem. – Sprawdziłem ostatnie raporty i nie znalazłem nic ani o żadnym dziecku, ani o żadnych stygmatach. A jednak kobieta twierdzi, że Inkwizytorium zajęło się problemem. Dlaczego więc nie raczyli poinformować o tym Waszej Ekscelencji?

– Nieładnie – powiedział, a jego głos wyjątkowo mi się nie podobał. – Bałagan panuje w Cloppenburgu, co? No to zajrzyj do nich, Mordimer.

Sięgnął do szuflady po kartę papieru, przysunął sobie kałamarz oraz pióro i nabazgrał coś.

– Zgłoś się po pełnomocnictwa i pieniądze – rzekł. – Już ty wiesz gdzie – parsknął urywanym śmieszkiem. – Z Bogiem, Mordimer.

Wstałem i skłoniłem się nisko.

– Pokornie dziękuję Waszej Ekscelencji – powiedziałem.

Machnął tylko ręką.

– Módl się, żeby mleko mi pomogło – burknął i opróżnił butelkę wina do kieliszka. – No wynoś się, Mordimer i zostaw mnie mojej boleści.



Biskupia kancelaria nie słynęła ze szczodrości, a pieniądze, które dostał wasz uniżony sługa, zaledwie miały starczyć na podróż. Na szczęście, jak wszyscy inkwizytorzy, miałem prawo do darmowego noclegu oraz posiłku w każdej z placówek Inkwizytorium, więc wiedziałem, że w Cloppenburgu nie będę musiał wydawać grosza na gospodę.

Verma Riksdorf odwiedziła mnie powtórnie w dzień po wizycie u Jego Ekscelencji. Miała podkrążone, przekrwione oczy i wyglądała jeszcze gorzej niż zeszłym razem.

– Mam dla ciebie dobre wiadomości – powiedziałem. – Jego Ekscelencja zgodził się na moją podróż do Cloppenburga. Teraz pozostaje nam ustalić sprawę honorarium...

– Skoro jedziecie tam służbowo, mistrzu... – opuściła wzrok i zaczęła międlić fałdy sukni. Cały jej dół miała ubrudzony zaschniętym już błotem.

– Mogę jechać, lecz nie muszę – powiedziałem niezgodnie z prawdą, bo teraz przecież była to oficjalna delegacja i ciężko byłoby wyjaśnić biskupowi, że chcę zrezygnować z misji, o którą sam prosiłem.

Ale w końcu zamierzałem wycisnąć trochę grosza z wdowy po kupcu Żyle, bo skoro była bogata, to czemu nie miała się tym bogactwem podzielić ze mną? Zwłaszcza że sama, jak widać, potrzeby miała niewielkie.

– Czy piętnaście koron będzie dobrze? – spytała nieśmiało i cały czas nie podnosiła wzroku.

– Piętnaście – powtórzyłem z przekąsem. – Z kim, kobieto wyobrażasz sobie, że rozmawiasz, co? Z żebrakiem? – podniosłem głos. – Jeśli chcesz mojej pomocy, będzie cię to kosztować pięćset koron – spojrzałem na nią bacznie, by zobaczyć, jak zareaguje na taką bezczelność.

O dziwo, na twarzy nie drgnął jej nawet jeden mięsień. Czyżby prowadziła teraz interesy zmarłego męża i przyzwyczaiła się do handlowych rozmów?

– Nie mam tyle – odparła jeszcze ciszej. – Zapewniano mnie, żeście są rozsądnym człowiekiem, mistrzu.

– Rozsądny człowiek lubi być dobrze opłacany za pracę – odparłem. – Ale skoro nie, to nie. Z Bogiem, Vermo.

Ach, poniżające są rozmowy, które musi prowadzić Boży sługa, by zapewnić sobie gotowiznę na drobne wydatki. Nie będę wdawał się, mili moi, w opisy targów z wdową Riksdorf. Ale w efekcie stanęło na stu koronach, gdyż ona targowała się przebiegle, a ja po pierwsze musiałem jechać do Cloppenburga, a po drugie ciągnęło mnie tam zarówno zawodowe zainteresowanie, jak i motywy natury, powiedzmy to szczerze, prywatnej. Cóż, w Cloppenburgu niegdyś gościłem przejazdem i na wieczerzy spotkałem nikogo innego, jak Vitusa Mayo, nazywanego niegdyś Rzeźnikiem. Był szefem miejscowego Inwizytorium, co oznaczało niezbyt ciekawe zesłanie, bo trudno sobie wyobrazić zrobienie kariery w Cloppenburgu i zwrócenie tam na siebie uwagi przełożonych.

Kim był Vitus Mayo? Koszmarem uczniów Akademii, moi mili. Pracując jako asystent naszych nauczycieli wykazywał się niezasadnym okrucieństwem, pozbawioną powodów złośliwością i zdumiewającą głupotą. Wykorzystywał swą pozycję, by poniżać słabszych i znęcać się nad młodszymi. Zrozumcie mnie dobrze, moi mili. Akademia Inkwizytorium nie jest miejscem, gdzie wrażliwe duszyczki mają przeżywać estetyczne i intelektualne uniesienia, a nauczyciele nie chodzą wśród uczniów ocierając im zasmarkane noski i łezki w kącikach oczu. Akademia to wytężona nauka na granicy ludzkich możliwości, nieustanna praca od świtu do zmierzchu i surowa dyscyplina. Akademia jest szkołą życia, ale Mayo nie chciał nas uczyć i przygotowywać do zawodu. Jego jedynym pragnieniem wydawało się pobłażanie własnym zachciankom, a te zachcianki najczęściej oznaczały bezinteresowne znęcanie się. Nie mógł nas bić, gdyż do tego upoważnieni byli tylko instruktorzy i to za zgodą starszych wykładowców (nie udzielaną, nawiasem mówiąc, zbyt pochopnie), ale znajdował wiele innych sposobów, by solidnie nadepnąć swoim „ulubieńcom" na odcisk. A wasz uniżony sługa miał nieszczęście należeć do tego rodzaju „ulubieńców".

Przez cały okres trwania nauki marzyłem, że kiedy zostanę już absolwentem Akademii, udam się z Vitusem w ustronne miejsce i tam za pomocą pięści oraz kija nauczę go grzeczności. Później zresztą, pod wpływem pewnego godnego pożałowania wydarzenia, moje marzenia znacznie się wyostrzyły. Jednak kilka miesięcy przed egzaminami mój prześladowca został wysłany na staż do jednego z lokalnych oddziałów. No a potem ochota na zemstę mi odeszła, przysłonięta natłokiem bieżących zajęć. Jednak wspomnienie Vitusa Mayo, jego świńskich, złośliwych oczek, poznaczonych pryszczami policzków i długich bladych palców, którymi zwykle bezwiednie wykonywał ruchy, jakby kogoś dusił lub szarpał, towarzyszyły mi nawet w nocnych koszmarach. Teraz ja otrzymałem okazję, by nadepnąć mu na odcisk. Jako specjalny wysłannik Jego Ekscelencji oraz licencjonowany inkwizytor z Hez-hezronu miałem pozycję nieporównanie wyższą. Oraz prawo objęcia dowództwa w cloppenburskim Inkwizytorium, przynajmniej w ramach zleconego mi zadania. A to oznaczało bardzo wiele, mili moi. I byłem pewien, że Vitus dostanie szału, kiedy zobaczy pełnomocnictwa waszego uniżonego sługi. Cóż, stare przysłowie mówiło: „Nigdy nie upokarzaj tych, co są niżej od ciebie, bo nie wiadomo, czy nie spotkasz ich, kiedy będziesz spadał". I oto inkwizytor Mayo miał niedługo przekonać się o prawdziwości tych słów.



Z Hezu do Cloppenburga prowadził wygodny, szeroki gościniec, przy którym rozłożyły się karczmy, zajazdy oraz oberże. Drogę patrolowali biskupi justycjariusze, więc była ona wyjątkowo bezpieczna, nawet jak na warunki okolic Hezu, które w ogóle należały do jednych z najbezpieczniejszych w Cesarstwie. Miecz sprawiedliwości biskupa był ostry i spadał bezlitośnie na karki wszelkiej hołoty – wagabundów, złodziei, rabusiów czy gwałcicieli, a na kupców oprócz płacenia dość wysokiego myta nie czekały żadne niebezpieczeństwa. Ciekawe, że biskup, który tak doskonale radził sobie z utrzymywaniem porządku w swych włościach, nigdy nie usiłował nawet zaprowadzić dyscypliny w samym Hezie, gdzie od złodziei, bandytów, dziwek oraz szulerów aż się roiło.

Cloppenburg był niewielkim, ale bogatym miasteczkiem. Po pierwsze krzyżowały się tu szlaki handlowe (więc miasto żyło z praw myta i składu), a po drugie miejscowi rzemieślnicy specjalizowali się w farbiarstwie i w tym fachu nie mieli sobie równych. Istniały kiedyś nawet plany, by przekopać kanał łączący Cloppenburg z rzeką, co spowodowałoby połączenie go drogą wodną z Hezem i Tirianem. Zaraz po ostatniej wojnie z Palatynatem zapędzono do roboty kilka tysięcy jeńców, ale kiedy skończył się ich zapas, to również plany umarły śmiercią naturalną. A sam kanał rychło się osypał, zabagnił i zarósł. Wśród miejscowych cieszył się zresztą złą sławą, bo bajano, że nawiedzają go duchy zmarłych niewolników.

Do Cloppenburga wjechałem tuż przed południem. Założyłem oficjalny strój: czarny kaftan z wyhaftowanym na piersi połamanym, srebrnym krzyżem, czarny płaszcz i kapelusz z szerokim rondem. Na gościńcu od razu zrobiło się jakby luźniej, a pod cloppenburskie bramy podjechałem szerokim korytarzem utworzonym z czekających na przepustkę ludzi, którzy nad wyraz szybko się przede mną rozstępowali. Ot, drobne korzyści inkwizytorskiego fachu.

Strażnicy miejscy, uzbrojeni w okute żelazem pałki, ustąpili mi drogi równie ochoczo, a ich sierżant skłonił się dość nisko.

– Jak Wasza Wielmożność pozwoli, wskażę drogę do Inkwizytorium – powiedział pokornym głosem.

– Znam ją – odparłem i skinąłem mu głową.

Faktycznie znałem drogę, a zresztą w niemal każdym mieście placówka Inkwizytorium była

budowana na samym rynku lub w jego pobliżu, najchętniej tuż obok ratusza. Nasza siedziba w Cloppenburgu nie należała do szczególnie wystawnych. Ot, ceglany piętrowy dom otoczony najeżonym szpikulcami murem (tak jakby ktokolwiek chciał się włamywać do Inkwizytorium) i drewniana brama, przy której zawsze czuwał miejski strażnik. Sama posesja była również niewielka. Rosło na niej kilka owocowych drzew, a wzdłuż wschodniej części muru ciągnęły się grządki warzywne oraz zielnik. Do południowej ściany przytulała się stajnia. Nic specjalnego i nic oryginalnego.

Strażnik, kiedy tylko mnie zobaczył, zajął się odmykaniem bramy i mamrotaniem: „Już, już Wasza Wielmożność, proszę zaczekać ze swej łaski", a ja spokojnie czekałem aż poradzi sobie z ciężkimi wierzejami. Natychmiast, kiedy wjechałem do środka podbiegł do mnie stajenny i zabrał wodze. „Piękne zwierzę, Wasza Wielmożność" – usłyszałem i skinąłem mu uprzejmie głową.

W każdej z placówek Inkwizytorium jest zarządzający – człowiek, którego zadaniem jest dbanie o jakże przyziemne sprawy gospodarcze, a także witanie zacniejszych gości. Tu zarządzający był niskim, krępym człowieczkiem ze sterczącymi na wszystkie strony wiechciami siwych włosów. Ubrany był w poplamiony kubrak, a na dłoniach miał grube, ogrodowe rękawice. Widać oderwałem go od pielęgnowania zielnika lub warzywnych grządek. Cóż, jak widać, na prowincji życie toczyło się spokojnym rytmem.

– Tak, tak, biedny Mordimerze – pomyślałem. – Kiedy inni oddają się urokom prowincjonalnego życia, ty musisz wdychać smrodliwe powietrze Hezu i walczysz z wszami oraz pluskwami we własnej kwaterze.

– Witam, mistrzu – rzekł zarządzający i pochylił głowę. Nie tak nisko, jak zwykła służba i strażnicy, ale wystarczająco, by przybrać pozę pełną szacunku. – Jestem Johan, a nazywają mnie Zielarzem. Mam zaszczyt opiekować się gospodarstwem świętych mężów. Proszę do środka.

– Czy zastałem Vitusa? – zapytałem myśląc, że ja sam nie odważyłbym się nazwać mego kolegi z Akademii, świętym mężem. – Albo innych braci?

– Tak, mistrzu. Skończyli właśnie śniadać.

Było południe, słońce stało wysoko na niebie, więc pora na śniadanko nie była zbyt wczesna. Jak widać inkwizytorzy z Cloppenburga nie mieli za wielu zajęć. Wszedłem do chłodnej, ciemnej sieni przesyconej zapachem starego drewna, a potem Johan otworzył przede mną drzwi do jadalni. Przy półkolistym stole siedzieli wszyscy trzej cloppenburscy inkwizytorzy, a na talerzach i w miskach widziałem już tylko resztki jedzenia. Teraz raczyli się winem i właśnie zderzali się pucharami, kiedy stanąłem w progu. Zamarli na moment, a potem Vitus Mayo wstał z krzesła.

– Zacny Mordimer – wykrzyknął. – Jakże miło cię gościć! – Jego skośne, świńskie oczka lustrowały mnie aż nazbyt uważnie, a chłód wzroku miał się nijak do ciepła głosu.

Podszedłem do stołu i podałem rękę najpierw Vitusowi, a potem jego dwóm kolegom. Byli to młodzi inkwizytorzy, jak sądzę zaledwie parę lat po Akademii. Pierwszy przedstawił się jako Noel Pomgard, a drugi jako Erik Hastel. Nie znałem ich ani nigdy wcześniej o nich nie słyszałem. No cóż, w Cloppenburgu może nauczą się żreć i pić, ale wątpię, by rozwinęli zawodowe umiejętności. Chociaż z drugiej strony wiemy przecież, że diabeł potrafi uderzać w najmniej spodziewanym miejscu i najmniej spodziewanym momencie. A my, pokorni słudzy Boży, zostaliśmy ulepieni po to właśnie, by znaleźć się w odpowiednim czasie oraz miejscu i strzec niewinnych owieczek przed lwem.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparłem uprzejmie. – Choć tym razem nie sprowadza mnie przypadek.

Odgarnąłem na bok talerze oraz miski, starając się nie uczynić tego nazbyt ostentacyjnie i rozłożyłem na blacie pergamin z pełnomocnictwem Jego Ekscelencji.

Vitus wziął papiery ostrożnie w palce, jakby bał się, że dokument może go ugryźć. Czytał i zauważyłem, że jego obwisłe policzki poczerwieniały.

– Cóż, Mordimerze – rzekł w końcu, odkładając pełnomocnictwo z powrotem na blat. – Jesteśmy do twoich usług, zgodnie z wolą Jego Ekscelencji. Jakże się miewa biskup, jeśli wolno spytać?

– Pan błogosławi go atakami podagry, by hartować jego niezłomną wolę – odparłem, a Vitus wolno pokiwał głową.

Wydawało mi się, że na jego ustach pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. Zresztą sam najchętniej roześmiałbym się słysząc własne słowa.

– Błogosławieni, których doświadcza Pan – rzekł uroczyście Vitus, a młodzi inkwizytorzy poważnie skinęli głowami. Ziewnąłem sobie serdecznie w myślach.

– Czy skosztujesz naszego wina, Mordimerze? – zapytał uprzejmie Vitus.

– Nie odmówię – usiadłem przy stole, a oni w zgodzie z obyczajem, odczekali chwilę, zanim usiedli sami.

Vitus podał mi kielich i ostrożnie nalał ciemnoczerwone wino. Skosztowałem i uniosłem brwi.

– Znakomite – powiedziałem.

– Z cloppenburskich winnic – wyjaśnił Noel.

– Coś takiego – zdziwiłem się znowu, bo nie miałem nawet pojęcia, że w pobliżu Cloppenburga są winnice.

– Udało się tu wyhodować szczep nieco odporniejszy na zimno i nie wymagający zbyt intensywnego nasłonecznienia – powiedział Vitus. – Może to wino nie jest tak smaczne jak alhamra, lecz za to – uniósł palec – dużo tańsze. Ale, drogi Mordimerze, choć o radościach stołu moglibyśmy dyskutować godzinami, to nie to cię do nas sprowadza. Czy zechcesz nam wyjawić cel swej misji?

– Gewicht – odparłem patrząc mu prosto w twarz, a jemu nie drgnął na niej żaden mięsień.

– Gewicht – powtórzył, jakby po raz pierwszy słyszał tę nazwę. – Cóż takiego jest w Gewicht?

– Myślałem, że właśnie wy mi powiecie – oznajmiłem spokojnie.

Vitus spojrzał w stronę swoich współpracowników, jakby żądał od nich odpowiedzi na jakieś wyjątkowo bezsensowne pytanie. Noel wzruszył tylko leciutko ramionami, ale Erik klasnął w dłonie.

– Mordimerowi chodzi o dzieciaka – zawołał. – Tego z niby stygmatami, co proboszcz pokazywał go jako miejscowe dziwo...

– Ach tak – uśmiechnął się Vitus, a ja miałem okazję zobaczyć jak szczery i rozbrajający jest to uśmiech. – Sprawa dawno zamknięta, drogi Mordimerze i wyznam szczerze, iż niepotrzebnie się trudziłeś. Ale oczywiście przyjrzymy się wszystkiemu jeszcze raz, jeśli takie jest twoje życzenie.

– Jego Ekscelencja będzie nalegał na szczegółowy oraz pieczołowity raport – wyjaśniłem pozwalając sobie na stosowny dystans w głosie, tak by przez chwilę nawet nie mieli wątpliwości, że wszystko jest tylko kaprysem biskupa, któremu wasz uniżony sługa musi ulegać wbrew swej woli. – Tak więc im szybciej udamy się do Gewicht, tym lepiej. Będę chciał porozmawiać z rodziną chłopca, być może z proboszczem, no i oczywiście z samym dzieciakiem. Powiedzmy: jutro z samego rana.

– Jak sobie życzysz, Mordimerze – odparł Vitus uprzejmym tonem. – Dzieciak jest po prostu chory na nieczęsto spotykaną chorobę skóry, a proboszcz próbował wykorzystać to, by nieco wzbogacić ubogą parafię. Został przez nas upomniany i wysłaliśmy również stosowny raport do jego zwierzchników.

– Upomniany – powtórzyłem cicho, ale wyraźnie, bo za mniejsze przewinienia księży składano z urzędów lub wysyłano do klasztorów.

A jakby się zdarzył nadgorliwy inkwizytor, to mógł nawet wszcząć oficjalne śledztwo z oskarżenia o herezję i zakończyć je żądaniem przygotowania stosu. Chociaż księży rzadko kiedy palono. Zbyt rzadko – zdaniem waszego uniżonego sługi, gdyż wielu duchownych jedynie plugawiło nauki Chrystusa. Zresztą moim zdaniem tak właśnie było i być miało, że parszywymi owcami będą ci, którzy noszą sutanny. Wierzcie mi, mili moi, że nie ma podlejszego stworzenia nad wiejskiego lub małomiasteczkowego księdza. Głupota połączona z pazernością i nieczystością obyczajów. A na domiar złego chęć poniżania i upokarzania innych oraz niezwykle wysokie mniemanie o własnej osobie.

– Złagodniałeś na starość, Vitusie – powiedziałem bez złośliwości w głosie, ale na jego policzki wypełzł krwistoczerwony rumieniec. – Przedstawcie mi, z łaski swojej, pełną dokumentację śledztwa, łącznie z kopią listu wysłanego do kościelnych zwierzchników proboszcza.

Wstałem i dopiłem wino.

– Wyborne – pochwaliłem raz jeszcze. – Czy możecie pokazać mi kwaterę?

Vitus dał znak Noelowi, a ten pospiesznie wstał.

– Proszę za mną – powiedział uprzejmie. – Zważ jednak i wybacz nam, że nie mamy tu szczególnych wygód...

– Nie szkodzi – przerwałem mu. – Wystarczą łóżko, stół i lampa.



Pokój, który mi przeznaczono, był niewielki, ale czysty, no i miał wszystko, czego mogłem potrzebować: łóżko ze świeżą pościelą oraz solidny stolik i rzeźbione krzesło z wysokim oparciem. Postanowiłem przespać się chwilę, czekając aż bracia-inkwizytorzy przygotują wszelkie niezbędne dokumenty. Świętej pamięci Lonna – właścicielka jednego z bardziej znanych domów płatnych uciech w Hezie – zawsze mówiła, że mam lekki sen i śpię czujnie, jak ptak. To prawda. Dlatego też obudziłem się, zanim jeszcze usłyszałem pukanie do drzwi. Wystarczył tylko cichy odgłos kroków na kamiennej posadzce. Usiadłem na łóżku.

– Proszę – rzekłem uprzejmym tonem.

Drzwi otworzyły się, a do środka wszedł sam Vitus. A więc nie wysłał do mnie jednego ze swych podwładnych, lecz pofatygował się sam. Ciekawe, gdyż chodziło wszakże tylko o przyniesienie dokumentów.

– Mam nadzieję, że wypocząłeś, drogi Mordimerze – powiedział z szerokim uśmiechem.

Spod napuchniętych warg wyjrzały krzywe, żółtawe łopaty zębów. Zabawne, że uśmiechał się tak samo w Akademii wtedy, kiedy złapał mojego psa. A przynajmniej ja tak właśnie zapamiętałem ten uśmiech przez wszystkie lata.

– Dziękuję – odparłem. – Na szczęście droga nie była zbyt męcząca.

Położył na blacie stołu stosik równo poskładanych pergaminów.

– Oto dokumenty, o które prosiłeś – rzekł. – Ale niewiele tego i zaręczam ci, że nie znajdziesz

żadnych rewelacji.

– Też tak myślę – uśmiechnąłem się. – Ale cóż robić: pan każe, sługa musi. Zazdroszczę wam, tu na prowincji, że żyjecie z dala od zgiełku i intryg wielkiego miasta.

Skinął głową i byłem pewien, że nie wierzy żadnemu mojemu słowu. Zresztą niesłusznie, gdyż naprawdę nie lubiłem Hez-hezronu. To było miasto zabieganych, wynędzniałych szczurów, a ja byłem jednym z nich. Spokojne życie na prowincji, służba i własny ogródek, leniwe popołudnia spędzane z przyjaciółmi przy szklaneczce wina – takie życie nie mogło stać się udziałem biednego Mordimera. Westchnąłem w myślach i rozżaliłem się nad własnym losem, który poskąpił mi drobnych radości, a przeznaczył do życia w trudzie i znoju.

– To prawda, Mordimerze, że żyjemy spokojnie. Staramy się nikomu nie wadzić i w pokorze wypełniać swe obowiązki.

Nie podniosłem na niego nawet wzroku. Nikomu nie wadzić? Czy to powiedział inkwizytor? I czy zupełnie stracił już instynkt samozachowawczy, aby takie rzeczy mówić właśnie mnie?

– Oczywiście, Vitusie – odparłem. – Wszyscy w rzeczywistości jesteśmy ludźmi łagodnego serca.

Zauważyłem, że zerknął na mnie niespokojnie, ale ja odpowiedziałem mu szczerym, otwartym spojrzeniem.

– Postaram się jak najszybciej zakończyć czynności zlecone mi przez Jego Ekscelencję i powrócić z satysfakcjonującym raportem – dodałem. – Zapewne będę miał kilka pytań związanych z dokumentami, ale rozumiem, że o tym pogadamy przy śniadaniu.

– Przy śniadaniu lub w drodze. Jak sobie tylko życzysz.

Popchnął lekko palcem papiery, jakby chciał je dodatkowo wyrównać do brzegu stołu. Potem skinął mi głową i wyszedł z pokoju. Nie domknął jednak drzwi, ale odwrócił się w progu.

– Jeśli będziesz chciał coś zjeść lub wypić, to zejdź z łaski swojej do kuchni, a w kredensie znajdziesz wszystko, co trzeba.

Tym razem już wyszedł na dobre, zatrzaskując drzwi. Mój Boże, jakże ludzie się zmieniają. Vitus Mayo dba o to, bym nie był głodny lub spragniony! Gdyby mi to opowiedziano w Akademii, wybuchnąłbym śmiechem. Zresztą i teraz sytuacja wydawała mi się całkiem zabawna. Nie pamiętałem takiego Vitusa – uprzejmego, łagodnego i spokojnego. Zwykle mówił podniesionym tonem, w chwilach zdenerwowania chrypiąc jak kogut. Klecił nieskładne zdania i przerywał sobie długie tyrady wybuchami rzężącego śmiechu lub co najmniej parsknięciami. A może to tylko ja go tak zapamiętałem? Może niechęć lub, użyjmy nawet tego słowa, nienawiść do Vitusa Mayo wykoślawiła moje wspomnienia i kazała je oglądać w krzywym zwierciadle? Szkoda, że nie mam zdolności Kostucha, które pozwalają mu zapamiętać co do słowa rozmowy toczone nawet przed wielu laty. Zastanawiałem się przez chwilę, co porabiają Kostuch oraz bliźniacy, ale nie żałowałem, iż nie ma ich w tej chwili ze mną. Sprawa była delikatnej natury i nie sądziłem, aby konieczne stało się ani użycie siły (do czego stworzony był Kostuch) ani też specjalne zdolności bliźniaków.

Przysunąłem sobie krzesło do stolika i podkręciłem knot w lampce. Sięgnąłem po dokumenty wypełnione ładnym, kaligraficznym pismem. Co prawda sztuka odcyfrowywania nawet największych bazgrołów była również elementem mojego wykształcenia, ale zawsze to lepiej, kiedy nie muszę przedzierać się przez gąszcz niewprawnie położonych zygzaków. A nie uwierzycie, mili moi, jak bardzo nieczytelne potrafiły być czasami protokoły z przesłuchań, zwłaszcza kiedy pisarz sądowy w czasie inwestygacji pokrzepiał się winem lub gorzałką. Rzecz jasna na przesłuchaniach inkwizytorskich rzadko dopuszczano do tak karygodnego łamania prawa, ale ławy miejskie miały już zupełnie inny pogląd na trzymanie się litery przepisów. Zwłaszcza że pisarze miejscy często nie byli w stanie wytrzymać trudów przesłuchań (szczególnie tych prowadzonych z udziałem kata) i znieczulali swe sumienia trunkami. Najzupełniej niesłusznie, gdyż cóż może być piękniejszego nad uczestniczenie w zbożnym dziele nawracania grzeszników?

Nie dowiedziałem się jednak wiele z dokumentów, pomimo ich niewątpliwej przejrzystości. Wdowa Helga Vosnitz z dziesięcioletnim synem Karlem mieszkała w Gewicht i cieszyła się nieposzlakowaną opinią. Żyła skromnie, ale nie biednie, z procentów od kapitału zmarłego męża i była nawet fundatorką marmurowego krucyfiksu we wschodniej nawie kościoła w Gewicht. No i takimi właśnie bzdurami wypełniony był raport cloppenburskiego Inkwizytorium. Owszem, napomknięto o stygmatach, ale przytoczono również opinię dwóch medyków mówiącą o rzadkiej chorobie skóry. Załączono kopię listu do biskupa, przełożonego proboszcza z Gewicht, gdzie nad wyraz oględnie informowano o lekkomyślnym zachowaniu księdza, który zbyt pospiesznie i bez porozumienia z władzami uznał za cud zdarzenie mające naturalne przyczyny. Na końcu informowano, że chłopiec został wyleczony, a proboszcz ukarany kościelną pokutą. Jednak nie tylko nie zdjęto go ze stanowiska, ale nawet nie wezwano do biskupstwa, a Inkwizytorium nie wszczęło oficjalnego śledztwa, poprzestając na postępowaniu przygotowawczym. Krótko mówiąc wszystko to było jednym wielkim skandalem, chociaż dość zręcznie opakowanym. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że gdyby nie doniesienie wdowy Riksdorf, sprawa nie ujrzałaby nigdy światła dziennego, bo faktycznie lokalne Inkwizytorium nie miało obowiązku informować centrali o prowadzonych postępowaniach przygotowawczych, lecz jedynie o wszczętych śledztwach. Nie zmieniało to faktu, iż nie wszczęcie tego śledztwa było karygodnym błędem w sztuce. No ale cóż, biedny Mordimer właśnie przyjechał i jak zwykle będzie naprawiał czyjeś zaniedbania.



Nie zamierzałem o wysnutych przeze mnie wnioskach informować Vitusa, a tym bardziej jego podwładnych. Następnego dnia rankiem wyruszyliśmy w drogę zaraz po sutym śniadaniu, a ja stwierdziłem tylko, że zapoznałem się z dokumentami i zadałem kilka nieistotnych pytań. Jeśli Vitus był bystry,





to powinien poczuć, że nad jego głową zbierają się burzowe chmury. Z drugiej strony mógł jednak mieć cień nadziei, że naprawdę moim marzeniem jest tylko jak najszybsze załatwienie formalności oraz powrót do Hezu. I bardzo dobrze, gdyż człowiek zdenerwowany oraz niepewny rozwoju sytuacji zazwyczaj popełnia wiele błędów. A ja zamierzałem bez litości wykorzystać każdy błąd Vitusa, tak jak on niegdyś wykorzystał moją słabość. Nawiasem mówiąc słabość, której nie miałem powodów się wstydzić, lecz którą niepotrzebnie okazałem, przysparzając cierpień komuś, komu za wszelką cenę chciałem ich oszczędzić.

W drodze towarzyszył nam tylko Noel Pomgard i wiele wskazywało, że przynajmniej on jest zaniepokojony. Poznałem to po skrywanych spojrzeniach, które rzucał w moją stronę, kiedy myślał, że nie patrzę oraz po pełnych zakłopotania i niepewności odpowiedziach, których udzielał na pytania. Zresztą nie cisnąłem go. Jeśli coś wiedział, prędzej czy później podzieli się swymi przemyśleniami z waszym uniżonym sługą.

Do Gewicht dojechaliśmy wczesnym popołudniem. Było to małe miasteczko, koncentrujące się wokół błotnistego rynku, na którym taplało się kilka świń. Brudny pies o zjeżonej sierści i mętnych oczach oszczekiwał nas chrapliwie, kiedy podjeżdżaliśmy pod rozchwierutaną gospodę, obok której wydzielono miejsce dla koni. Rzuciłem lejce chłopcu stajennemu ubranamu w ubłoconą i porwaną kapotę, a on zastygł w miejscu, przypatrując się z otwartymi ustami połamanemu krzyżowi wyhaftowanemu na moim kubraku.

– Ruszże się – Noel kopnął go zręcznie w pośladek czubkiem buta i chłopak zakręcił się jak fryga.

– Wdowa Vosnitz mieszka tu zaraz, obok rynku – objaśnił Vitus. – Przejdziemy się.

Skinąłem głową i zeskoczyłem z siodła, starając się ominąć błotnistą kałużę. Chłopakowi w oberwanej kapocie wcisnąłem w dłoń półgroszaka.

– Oczyść konia, a dostaniesz drugiego – powiedziałem.

– Zrobiłby to huncwot za darmo – Noel chciał go trzepnąć w ucho, ale stajenny zdołał się uchylić. Młody inkwizytor niezadowolony zmarszczył brwi.

Zostawiliśmy wierzchowce przy zagrodzie i przeszliśmy na północną stronę rynku. Vitus wyjął z sakwy kawałek mięsa i rzucił go naszczekującemu psu. Zwierzę zamilkło, spojrzało nieufnie na kąsek i pochwyciło go łapczywie w zęby. Zdziwiłem się, gdyż nie zapamiętałem Vitusa jako miłośnika zwierząt. Wręcz przeciwnie, mili moi. Zapamiętałem go z zupełnie innego powodu. Mayo uśmiechnął się i wskazał drewniany domek z ceglaną podmurówką oraz dachem nierówno obitym pozieleniałą blachą.

– To tu – rzekł i zastukał mocno w drzwi.



Usłyszeliśmy szuranie butów, a potem szczęknął zamek. W progu pojawiła się niestara jeszcze kobieta z włosami splecionymi w wysoki węzeł. Była skromnie ubrana, jej suknia nosiła ślady cerowania, a rozdeptane trzewiki z pewnością pamiętały lepsze czasy. Na twarzy i szyi miała brązowe, wątrobiane plamy.

– Witaj, Helgo – rzekł Vitus. – Pozwól, że wejdziemy.

Kobieta spojrzała na mnie i wyraźnie pobladła, ale posłusznie usunęła się z drogi. Gestem zaprosiła nas do środka.

– Witajcie, zacni panowie – powiedziała cichym głosem.

Skinąłem jej głową, a kiedy zamknęła drzwi powiedziałem:

– Nazywam się Mordimer Madderdin i jestem licencjonowanym inkwizytorem Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu. Przybyłem, by porozmawiać o waszym synu.

– Proszę do izby – powiedziała bezbarwnym głosem, a my weszliśmy za nią do kuchni, na środku której stał duży stół.

Zobaczyłem rozwałkowane ciasto na pierogi i teraz dopiero dostrzegłem, że Helga Vosnitz miała palce utytłane w mące.

– To tylko formalność – powiedziałem serdecznym tonem. – Nie macie się czego obawiać. Zapamiętajcie, że waszemu synowi nic nie grozi z naszej strony, a zamierzamy jedynie dojść, czemu miejscowy proboszcz wykazał się karygodną lekkomyślnością i wykorzystywał wasze dziecko.

Opadła na zydel i zauważyłem na jej twarzy ulgę.

– To dobry człowiek – powiedziała. – Ale wierzył, że mamy cud w Gewicht.

Cud dla małego miasteczka mógł stać się istną kopalnią złota. Sam znałem przypadki, kiedy ludzie podróżowali z drugiego krańca Cesarstwa, by pomodlić się przy pachnących fiołkami zwłokach albo peregrynowali tylko po to, by dotknąć ustami kości świętego. W tym ostatnim wypadku zresztą kość rzekomego świętego okazała się tak naprawdę złomkiem bydlęcego gnata, a właściciel cudownych szczątków poszedł do lochów. Miał szczęście, że uniknął po pierwsze rozerwania przez wściekły tłum (oj, ludzie nie lubią być oszukiwani!), a po drugie tortur i stosu. Oszustwa zresztą pleniły się od wieków. A to ktoś pokazywał pióro ze skrzydeł archanioła Gabriela, a to okruch kamienia, na który zstąpił nasz Pan schodząc z Krzyża Swej Męki, a to drzazgę z samego Złamanego Krzyża. Słyszałem nawet o bluźniercy, pokazującym flaszeczkę mleka z piersi Marii Panny oraz kolec z Korony Cierniowej Jezusa. Przemyślność ludzka nie zna granic, tak jak i przemożna chęć wyłudzenia grosiwa od naiwnych. I pomimo, że kary za fałszerstwa relikwii były srogie, a nabrani mieszczanie czy wieśniacy potrafili sami wymierzyć świętokradcom sprawiedliwość, to jednak zaraza się pleniła w najlepsze.

Usiedliśmy przy stole, a ja dotknąłem delikatnie ramienia gospodyni.

– Opowiedzcie o wszystkim – powiedziałem.

Potem już tylko słuchałem i wiecie, mili moi, jakie dziwne wrażenie odniósł wasz pokorny i uniżony sługa? Oto takie, że Helga Vosnitz mówi zbyt składnie, zbyt płynnie i zbyt logicznie. Tak jakby ktoś ją nauczył, co ma mówić. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, iż wrażenie to może być spowodowane moją inkwizytorską, godną pożałowania nieufnością, ale z biegiem lat nauczyłem się dmuchać na zimne i wierzyć własnemu instynktowi. Wysłuchałem jej spokojnie do końca, ale nie dowiedziałem się niczego poza tym, co wyczytałem w dokumentach Inkwizytorium. Dostrzegłem, że Vitus również uważnie się

przysłuchuje, a czasami nawet ledwo zauważalnie kiwał głową, tak jakby słowa wypowiadane przez wdowę były po jego myśli.

– Chciałbym porozmawiać z chłopcem – powiedziałem, a Helga zagryzła wargi.

– Oczywiście, Wasza Dostojność – odparła. – Ale pozwólcie na górę, bo dziecko słabuje.

– Czy znowu to samo? Ta dziwna choroba skóry? – w moim głosie nie było nawet grama ironii.

– Nie, panie – opuściła głowę. – Kąpał się w rzece, a było zimno...

– Nacierajcie go gorzałką, pojcie gorącym rosołem i niech leży w cieple – poradziłem.

Wstałem, a inkwizytorzy podnieśli się wraz ze mną.

– Nie będę was fatygował – powiedziałem uprzejmie. – Tyle razy zapewne słyszeliście to samo – uśmiechnąłem się.

Vitus odpowiedział uśmiechem, ale miałem wrażenie, że było to raczej tylko skrzywienie warg, mające uśmiech imitować.

– Oczywiście, Madderdin – rzekł. – Zaczekamy na ciebie.

Wdowa Vosnitz pierwsza weszła na schody, ale trudno było nie zauważyć, iż stała się jeszcze bardziej niespokojna.

Na piętrze znajdował się wąski korytarz, od którego odchodziły dwie pary drzwi. Gospodyni nacisnęła klamkę i weszliśmy do maleńkiego pokoiku, gdzie mieściło się tylko niewielkie łóżko, stoliczek na jednej nodze oraz koń na biegunach z wyliniałą grzywą zrobioną z prawdziwego włosia. Leżący na łóżku chłopiec spał, a jego policzki były czerwone od wypieków. Podszedłem i dotknąłem palcami jego czoła. Za plecami usłyszałem cichе westchnięcie.

– Powinniście wietrzyć pokój – powiedziałem półgłosem. – Gorączka wywołuje złe fluidy.

– Karl – wdowa Vosnitz delikatnie poruszyła ramieniem dziecka. – Synku, obudź się.

Chłopiec przekręcił się na bok i otworzył oczy. Dostrzegł mnie i cofnął się na brzeg łóżka.

– Nie bój się – powiedziała Helga Vosnitz. – Jego Wielmożność przybył, aby cię przepytać...

Uniosłem dłoń, a ona przerwała w pół słowa.

– Zostawcie nas samych, proszę – rzekłem łagodnie, ale stanowczo.

Wydawało mi się, że chciała zaprotestować, lecz w końcu tylko znowu westchnęła i wyszła. Poczekałem, aż zamknie za sobą drzwi. Usłyszałem oddalające się kroki na korytarzu, a potem skrzypienie schodów.

– Jestem inkwizytorem, mój chłopcze – powiedziałem łagodnie. – Czy wiesz, czym zajmują się inkwizytorzy?

Skinął głową bez słowa.

– Powiesz mi?

– Łapią ludzi i palą na stosach – odparł cicho.

Westchnąłem. Dlaczego w naszej ciężkiej pracy nawet dzieci dostrzegają tylko ten element? Cóż, przyznam, że najbardziej spektakularny, ale przecież zaledwie jeden z elementów i to, wierzcie mi, mili moi, najistotniejszy.

– Nie, Karl – odparłem i przysiadłem ostrożnie na krawędzi łóżka. – Inkwizytor jest pasterzem, mój chłopcze, mającym się opiekować bezbronnym stadem. Strzec go przed drapieżnikami, przed wszystkimi tymi, którzy chcą skrzywdzić niewinne owieczki. Tylko widzisz, dziecko, zadanie pasterza jest proste. On widzi zbliżającego się wilka i odpędza go ogniem, krzykiem albo hałasem, czasami szczuje psami. Ale co zrobić, kiedy wilk nie wygląda jak wilk?

– Jak to, panie?

– Co powinien zrobić pasterz, który wie, że wilk może przybrać postać innej owieczki? Albo drzewa? Albo kamienia? Albo jeszcze gorzej: sprawić, aby pasterzowi wydawało się, że jedna z jego owieczek jest wilkiem i by zaatakował niewinne stworzenie w bezrozumnym gniewie? – starałem się mówić powoli, bo chciałem, żeby mnie zrozumiał.

– Wilki tak potrafią? – zapytał po chwili namysłu.

– Zwykłe wilki nie – odpowiedziałem. – Ale na świecie jest wielu złych ludzi, znajdujących radość w dręczeniu innych. Ja jestem po to, aby bronić tych, którzy nie potrafią się obronić sami. Przybyłem tu, bo powiedziano mi, że być może właśnie ty, Karl, potrzebujesz obrony.

– Aha – rzekł tylko i uniósł się na łokciu.

– Przyniosłem ci coś – sięgnąłem do kieszeni płaszcza i wyciągnąłem drewnianego konika, tak sprytnie wyrzeźbionego, że ruszał głową, kiedy się go stuknęło w pysk. Był pomalowany na czarno, z białymi plamkami na pęcinach.

Podałem mu zabawkę, a on wziął ją w dłonie po chwili wahania.

– Dziękuję – powiedział, ale widziałem, że cały czas jest przestraszony.

– Mało kto lubi opowiadać o swoich chorobach, chłopcze – rzekłem. – Na pewno nie wiesz, że biskup, który mnie tu wysłał, cierpi na podagrę i codziennie bolą go kości. Ale on opowiada o tej chorobie i znajduje ulgę widząc, że wszyscy mu współczują. Współczują i starają się pomóc. Bo widzisz, czasami nawet najsilniejsi i najpotężniejsi ludzie muszą szukać pomocy u innych. Dlatego też chciałbym, żebyś opowiedział mi o tym, co cię boli i czego się boisz. A ja postaram ci się pomóc w miarę moich sił. Tak aby nigdy cię już nic nie bolało i żebyś niczego nie musiał się bać.

– Już nic mnie nie boli – powiedział szybko. – Nie leci mi krew.

– A bolało?

Zagryzł wargi.

– Robiły ci się rany, prawda? – wziąłem go za rękę. – Tu – dotknąłem jego przegubu. – I podobne na nogach. Czyż nie tak?

Ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– Leciała ci krew z czoła?

Znowu przytaknął.

– Ksiądz mówił, że być może jestem świętym dzieckiem – powiedział cichutko.

Żachnąłem się w myślach. Miejscowy proboszcz musiał naprawdę odczuwać ogromne niedobory finansowe w swej parafii, skoro wdał się w tak niebezpieczną grę. Zrozumcie mnie dobrze: wierzę w cuda, bo nieraz byłem ich świadkiem. Wierzę też, że Bóg potrafi uczynić, co tylko zechce. Ale każde objawienie, każde proroctwo, każdy cud muszą zostać dokładnie sprawdzone. Gdyż w innym wypadku mogą stać się orężem w dłoniach Wroga.

– I pokazywał twoje rany na mszach, prawda?

– Ja tego nie chciałem – zobaczyłem, że jego oczy szklą się łzami, a głos zaczyna się łamać. – Bolało mnie wszystko, ale ksiądz kazał...

– Nikt cię nie obwinia, dziecko – przerwałem mu. – Pamiętaj, że nie jestem tu, by cię karać albo karcić. Sam biskup wysłał mnie, żeby zobaczyć, czy nie potrzebujesz pomocy.

– Sam biskup... – powtórzył.

Zobaczyłem, że ma spieczone usta, więc podałem mu kubek wody i patrzyłem jak pije. Kiedy skończył, odstawiłem naczynie z powrotem na stolik. Zauważyłem, że chłopiec nie ucieka już pod ścianę. Usiadł nieco swobodniej, a w dłoni ściskał zabawkowego konika.

– Gdzie cię najbardziej bolało? – zapytałem.

– Na boku – odparł i nagle zobaczyłem, jak jego oczy rozszerzają się strachem. – Powiedzieli, żebym o tym nikomu nie mówił – dokończył z płaczem.

Położyłem mu dłoń na ramieniu.

– Ciiii – szepnąłem. – Nie ma się już czego bać. Jeśli mam ci pomóc, musisz mi wszystko opowiedzieć. Miałeś też więc ranę na boku?

Pokiwał głową, a ja zasępiłem się. Słusznie wietrzyłem w tym wszystkim plugastwo, ale nie potrafiłem zrozumieć, jak proboszcz i inkwizytorzy mogli być tak głupi, by próbować schować sprawę pod sukno? Czy matka ich ubłagała? Przekupiła? Nie chcieli po prostu kłopotów, śledztw i dochodzenia? Bo sprawa z całą pewnością powinna stać się obiektem dochodzenia. Dlaczego? Ależ to oczywiste, mili moi! Naszemu Panu założono cierniową Koronę – to pierwszy stygmat. Przebito mu gwoździami przeguby dłoni – to drugi stygmat. Przebito mu stopy – to trzeci stygmat. Ale kiedy po godzinach męki, żołnierz zamierzył się włócznią, by przerwać Jego życie, wtedy właśnie nasz Pan zszedł z Krzyża i w chwale poniósł wrogom wiary żelazo oraz płomienie. Więc nikt nie może mieć czwartego stygmatu, gdyż boku Jezusa nigdy nie przebiło ostrze włóczni!

Owszem, słyszałem wcześniej o takich sprawach, o tych bluźnierczych, demonicznych stygmatach. Słyszałem o heretykach twierdzących, że Jezus Chrystus umarł na Krzyżu. Cóż, ludzkie szaleństwo i zła wola nie mają sobie równych. Czyż mało mieliśmy historycznych świadectw? Zapisów samych Apostołów? Czyż ktokolwiek przy zdrowych zmysłach wątpił w moc Jezusa? Tylko ludzie opętani przez Bestię mogli uwierzyć, że nasz Bóg w poniżeniu i rozpaczy umarł na Krzyżu, skazany przez nic nie wartych łajdaków! W końcu nie bez powodu, mili moi, najświętszym symbolem naszej wiary jest połamany krzyż, oznaczający triumf ducha nad materią i triumf cnoty nad niegodziwością.

I teraz nie było już ważne, czy dzieciak miał prawdziwe, heretyckie stygmaty, czy też jedynie chorobę skóry lub krwi. Istotny był jeden jedyny fakt: inkwizytor Vitus Mayo nie pofatygował się, by spisać raport o całym wydarzeniu, wszcząć śledztwo i powiadomić biskupa. Dlaczego tak właśnie postąpił? Cóż, będzie miał sporo czasu, by nam to wyjaśnić.

– Nie martw się, Karl – powiedziałem. – Wszystko już dobrze. Ty i twoja mama pojedziecie z nami do Hez-hezronu i zaopiekują się tobą lekarze biskupa. Zobaczysz wielkie miasto i pałace... – uśmiechnąłem się.

Zastanowiłem się, jaki będzie los chłopca i matki. Cóż, zajmą się nimi teologowie, egzorcyści i lekarze. W najgorszym wypadku przyjdzie czas inkwizytorów. Być może Heldze i Karlowi uda się przeżyć gościnę u biskupa, ale nie miałem co do tego wielkich nadziei. Jeśli na ciele chłopca faktycznie pojawiały się bluźniercze stygmaty (co oznaczało, że zamieszkał w nim demon), to w najlepszym wypadku do końca życia zostanie zamknięty w klasztorze. Zadumałem się przez moment nad potęgą Zła, które ośmiela się nawiedzać nawet ciała niewinnych dzieci. Zadumałem się też nad przewrotnością losu, który kazał Vermie Riksdorf zapłacić za to, by ponieść nieszczęście do domu własnej siostry i siostrzeńca. Zadumałem się nad tym bardzo poważnie.

– Prześpij się teraz – powiedziałem i pogłaskałem chłopca po głowie.



Kiedy zszedłem, przy kuchennym stole siedzieli tylko Vitus oraz Noel, a wdowa Vosnitz krążyła niepokojnie pod oknem. Zobaczyła mnie i znieruchomiała.

– Wszystko dobrze – powiedziałem uspokajająco. – Idźcie do dzieciaka.

Niemal wbiegła na schody, a ja podszedłem i oparłem dłonie na blacie stołu.

– Vitusie Mayo i Noelu Pomgard, zatrzymuję

was do dyspozycji Świętego Officjum – rzekłem. – Jesteście oskarżeni o ukrywanie dowodów i fałszowanie urzędowych protokołów. Udacie się ze mną do Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu, aby tam złożyć stosowne wyjaśnienia przed pełnomocną komisją Inkwizytorium.

Noel Pomgard nawet nie drgnął i tylko widziałem, jak zaczynają mu drżeć usta. Ale Mayo skoczył pod ścianę i położył dłoń na rękojeści miecza.

– Nie pogarszaj swojej sytuacji, Vitusie – powiedziałem spokojnie. – Stąd już nie ma ucieczki.

Miecz wysunął się o cal z pochwy.

– Zabijesz mnie? – zapytałem. – Śmiem wątpić. A jeśli nawet, to czy przypuszczasz, że możesz przed nami uciec? Że gdziekolwiek na świecie znajdziesz miejsce, w którym cię nie odszukamy?

Słyszałem jak głośno przełyka ślinę, a potem puścił rękojeść miecza.

– To wszystko bzdury – powiedział. – Wszystko mogę wyjaśnić.

– O, tak – odparłem. – I zaręczam, że będziesz miał ku temu okazję. Noel – zwróciłem się do młodszego z inkwizytorów – zabierz mu miecz i złóż również swoją broń.

Pomgard poderwał się na równe nogi, szybko i ochoczo. Po raz kolejny zadziwiło mnie spostrzeżenie, z jaką naiwną wiarą większość ludzi korzysta z pierwszej okazji, by w kotle pełnym grzeszników zyskać nadzieję na pełnienie roli dozorcy.

– Potem zawołaj do mnie miejskich strażników – rozkazałem. – I powiedz, że obejmuję władzę w tym – spojrzałem na Vitusa – gnieździe bluźnierczych herezji.

– Oczywiście, Wasza Dostojność – Noel niemal zachłysnął się własnymi słowami. – Ja nic nie wiedziałem, proszę mi zaufać. Ja nie jestem nikim ważnym, nawet nie byłem przy prze...

– Noelu – powiedziałem łagodnie i uśmiechnąłem się uspokajająco. – Wierz mi, że nikt o nic cię nie oskarża.

– Bowiem już niedługo, mój synu, oskarżysz się o wszystko sam – dodałem w myślach.



Wiedziałem, że właściwe przesłuchania odbędą się w Hezie. Wdowa Vosnitz wraz z synem, proboszcz i inkwizytorzy – wszyscy otrzymali natychmiastowy nakaz podróży do Hez-hezronu, a ja musiałem dopilnować, by podróż przebiegła bezpiecznie i by nie daj Boże żadna z owieczek nie zaginęła po drodze. Jednak nie mogłem sobie odmówić ostatniej rozmowy z Vitusem Mayo. Wynikała zresztą ona nie tylko z grzesznej ciekawości, ale i z poczucia obowiązku, który nakazywał mi zebrać jak najwięcej informacji przed rozpoczęciem właściwych przesłuchań w Hezie.

– Czy potrafisz wyjaśnić, czemu nie napisałeś raportu? – zapytałem.

Vitus siedział na zydlu z dłońmi skrępowanymi na plecach. Był starszy ode mnie i rozpieszczony bezczynnością oraz dobrobytem, ale nie zamierzałem ryzykować walki. Nie, żeby mógł mi w jakikolwiek sposób zagrozić. To ja jemu nie chciałem wyrządzać krzywdy, bo dużo łatwiej przecież podróżować ze zdrowym człowiekiem.

– Zostałem nawrócony – odparł patrząc mi prosto w oczy.

– Och, mocne słowa Vitusie! A na jakąż to wiarę, jeśli wolno spytać?

– Wierzę w Jezusa Chrystusa – powiedział wyraźnie.

– A dlaczegóż ta wiara przeszkodziła ci w napisaniu raportu?

– Gdyż skrzywdzilibyście dziecko i jego matkę – odparł mocno. – A chłopiec nie tylko miał świadectwa stygmatów, ale mówił głosem Boga! I przeżywał cierpienie naszego Pana, tak jak On ongiś przeżywał je na Krzyżu. Bo „choroba ta nie jest na śmierć, ale dla chwały Bożej"!

– Mówił głosem Boga – powtórzyłem bez ironii i bez szyderstwa. – A cóż takiego mówił, Vitusie?

– „Oto zostałem zabity, a włócznia przebiła mój bok. Oto miałem wam dać odkupienie mą męką i śmiercią. Ale wtedy zstąpiła Bestia, wniknęła w martwe ciało i rana na boku się zabliźniła. A Bestia złamała Krzyż, schodząc z żelazem i ogniem w dłoniach. I zamiast królestwa miłości oraz pokoju nastały rządy Bestii" – wyrecytował znowu patrząc mi prosto w oczy.

Odpowiedziałem mu spojrzeniem, a potem pokiwałem wolno głową.

– Vitusie, mój Vitusie – powiedziałem. – Czy uwierzyłeś naprawdę, że nasz Pan mógłby umrzeć na Krzyżu? Pozwolić zatriumfować poganom i skazać swych wiernych na niekończące się prześladowania? Jezus do końca ofiarowywał oprawcom szansę, do końca błagał, by się do niego przyłączyli, by skosztowali owoców prawdziwej wiary. A kiedy pozostali ślepi oraz głusi, zstąpił z Krzyża, by w chwale pokarać ich cierpieniem. Taka jest jedna, jedyna i najprawdziwsza prawda. Jak mogłeś uwierzyć demonom przemawiającym przez usta nieszczęsnego dziecka? Ty, inkwizytor!

– Doznałem oświecenia – rzekł nie odwracając wzroku, a w jego głosie była jakaś niezwykła godność, tak nie pasująca do tego Vitusa, którego znałem z Akademii. – Wierzę, że nasz Pan zginął w męce, by oddając życie zbawić nas od grzechu. Niedługo zmartwychwstanie, a ten chłopiec mówi ustami Jezusa i objawi nam, co czynić!

– Jesteś szalony, Vitusie – pokręciłem głową i nawet nie mogłem wykrzesać z siebie satysfakcji, że oto mój dawny wróg pogrążył się własnymi słowami tak głęboko, jak żaden inkwizytor przed nim. – Szalony lub opętany. Będę się za ciebie modlił.

– Nie trzeba – warknął z nagłą pogardą. – Nie trzeba mi twoich modlitw. Mój Bóg jest przy mnie.

– Ten, który umarł? – roześmiałem się. – Nie był widać zbyt potężny, skoro nie potrafił się nawet zatroszczyć o siebie samego. Jest jeden Bóg, Vitusie, ten, do którego modlitw cię uczono. Nie pamiętasz słów: „umęczon pod Ponckim Piłatem, ukrzyżowan, zstąpił z Krzyża, w chwale zaniósł słowo i miecz swemu ludowi"?

– On zmartwychwstanie – powiedział Mayo z wiarą w głosie. Jego oczy błyszczały szaleństwem i wiedziałem, że go nie przekonam. Zresztą nie to było moim zadaniem.

– Nie – odparłem. – Natomiast ty zrozumiesz swe błędy...

Pokręcił głową. Miał zaciśnięte usta i upór wymalowany na twarzy.

– Daj mi dokończyć – uniosłem dłoń. – Powiedz, czy widziałeś kiedyś owoc kokosu? Brązowy, podłużny, w twardej skorupie, rośnie na południu...

Kiwnął głową, ale widziałem, że nie rozumie, dlaczego go o to pytam i dokąd zmierzam.

– W środku tej twardej skorupy jest bezbarwny płyn, często gorzki lub zgniły. Ale tubylcy potrafią rozkroić owoc, wylać jego sok i oczyścić skorupę. A potem wlewają w nią wino lub wodę i używają tak jak my pucharów – uśmiechnąłem się do niego. – Ty jesteś takim zgniłym kokosem, Vitusie. Ale uwierz mi, że napełnimy cię źródlaną wodą czystej wiary.

Wzdrygnął się, a w jego oczach po raz pierwszy błysnął strach. Był inkwizytorem, więc wiedział, że stanie się tak jak mówię. Jego dawni bracia w pokorze i z miłością wyjaśnią mu wszystkie błędy, tak aby umierał pełen Pańskiej chwały. Ze szczerym żalem, iż kiedykolwiek mógł zwątpić i pełen pogardy dla dawnego siebie – tego, który zboczył z prostych ścieżek wiary. Niewiele zostanie z grzesznego ciała, ale zbawimy jego duszę, by mogła po wiekach czyśćca radować się przy niebieskim stole Pana.

– Dlaczego mi to zrobiłeś, Mordimer? – zapytał gorzko po chwili milczenia, ale nadal widziałem strach w jego źrenicach. – Dlaczego tu w ogóle przyjechałeś? Aż tak bardzo chciałeś się zemścić za błędy mojej młodości? Za błędy, których dzisiaj żałuję i za które błagam co dzień Boga o przebaczenie?

Spojrzałem mu prosto w oczy.

– Mój pies – powiedziałem i spostrzegłem, że nie rozumie, a raczej nie pamięta, o czym mówię.

To zabolało jeszcze bardziej, gdyż świadczyło, że moje cierpienie było tylko nic nie znaczącym incydentem w jego życiu.

– Znalazłem bezdomnego psa – kontynuowałem spokojnie. – Uleczyłem go i odkarmiłem. A ty go znalazłeś i spaliłeś, pokazując nam jak podkładać ogień, by ofiara nie umarła zbyt szybko.

W jego oczach błysnęło coś na kształt zrozumienia.

– Oszalałeś, Mordimer? – zapytał cicho. – Myślisz o psie ze swego dzieciństwa? Ty, który zabiłeś i kazałeś zabić więcej ludzi niż możesz spamiętać?

– To krzyż, który dźwigam na chwałę Pana – rzekłem. – Ale nigdy nie zabiłem dla zabawy. Nigdy nie zadawałem męki bez istotnego powodu. Co zawinił ci pies, który mnie kochał, Vitusie? Zawiązałeś mu pysk sznurem, by nie mógł wyć, ale ja widziałem, jak płacze i patrzy na mnie, nie rozumiejąc, czemu go nie ratuję od bólu.

Cofnął się pod ścianę, razem z krzesłem, na którym siedział, ale niepotrzebnie. Nie zamierzałem go uderzyć, choć niegdyś przecież o tym marzyłem. Objąłem lewy nadgarstek palcami prawej dłoni, by nie dostrzegł, że zadrżała mi ręka.

– To było tak dawno temu – powiedział tylko. – Jakby w innym życiu.

– W ogrodzie mojej pamięci pielęgnuję różne kwiaty – odparłem. – A wymiar kary nigdy nie może zależeć od czasu, który upłynął od popełnienia przestępstwa ani od późniejszych uczynków grzesznika.

– Przestępstwa? – niemal zawył. – o był tylko pies!

Pokiwałem głową, bo nie sądziłem przecież, by był w stanie zrozumieć.

– Cóż, widać jestem nieznośnie sentymentalny – odparłem i wyszedłem po strażników, aby go zabrali. Musieli szarpnąć go mocno za ramiona, by się ruszył.

Wiedziałem, że teraz będę mógł już zapomnieć, a z ogrodu mojej pamięci zniknie mroczny kwiat, który rósł w nim stanowczo zbyt długo.

Epilog

Verma Riksdorf drgnęła przestraszona, kiedy zobaczyła, że siedzę na jej własnym łóżku w jej własnej sypialni. Uśmiechnąłem się samymi ustami.

– Nie należy krzyczeć – powiedziałem. – Przyszedłem tylko na krótką, najzupełniej prywatną pogawędkę.

– Zapłaciłam wam, ile chcieliście – przypomniała cicho.

– Zamknij drzwi – rozkazałem.

Wyglądała tak samo szaro i bezbarwnie, jak zapamiętałem to z pierwszego spotkania. Mysie, rzadkie włosy miała spięte w wysoki kok. Zauważyłem, że drżą jej ramiona. To dobrze. Ludzie nie powinni być butni i pewni siebie w towarzystwie inkwizytora.

– Czym wam mogę służyć? – spytała, a jej głos również drżał.

– Informacją – odparłem. – Prostą, jasną i uczciwą.

Przysiadła na zydlu, ostrożnie, jakby wiedziała, że w każdej chwili może nadejść moment, kiedy trzeba się będzie zerwać i uciec. Niepotrzebnie, bo po pierwsze, nie miała dokąd uciekać, a po drugie, naprawdę nie zamierzałem zrobić jej krzywdy.

– Słucham was...

– Ludzie często przychodzą do mnie po pomoc – powiedziałem. – Ale rzadko kiedy chcą, bym zajął się inkwizytorskim śledztwem. Zwłaszcza kiedy ma dotyczyć ich najbliższych. Wiesz dlaczego, Vermo?

Pokręciła głową cały czas wpatrzona w czubki znoszonych trzewików.

– Dlatego, że inkwizytorowi nie wolno się cofnąć, kiedy ujrzy herezję. Niezależnie od tego, kto i w jakiej sprawie go wcześniej wynajął. A nie zatrudnia się strażaka, by opiewał uroki pożarów, prawda?

Podniosła wzrok, ale nadal nie patrzyła mi w twarz, tylko zatrzymała się gdzieś na wysokości sprzączki od pasa. Widziałem, że silnie zaciska dłonie, tak silnie, że aż pobielały jej kostki palców.

– I wiesz, Vermo, nie tylko to mnie uderzyło w zleconym przez ciebie zadaniu. Już w Gewicht zorientowałem się, że miejscowi inkwizytorzy nie pragną bynajmniej wyjaśnienia i nagłośnienia sprawy, a wręcz przeciwnie: wszystko chcą zamieść pod sukno. Czyli żądałaś, bym pojechał do Gewicht nie by pożar zgasić, lecz by go rozpalić.

– Nie złamałam prawa – niemalże zaskrzeczała. – Nie możecie mi nic zrobić!

– To prawda – odrzekłem, choć była to odpowiedź jedynie na pierwszą część wypowiedzianego przez nią zdania. – Okazałaś się dobrą chrześcijanką, a twój donos posłużył naszemu Panu i naszemu Kościołowi. Ale czy zechcesz mnie oświecić? Czy zechcesz mi powiedzieć, dlaczego doniosłaś na siostrę i siostrzeńca? Dla śledztwa nie ma to najmniejszego znaczenia. Uznaj to za prywatną ciekawość inkwizytora.

Teraz podniosła wzrok i spojrzała prosto na mnie. Miała piękne, zielone oczy i był to jedyny piękny element w jej twarzy.

– Czy Pismo nie mówi przypadkiem „Kto miłuje ojca albo matkę więcej niż Mnie, nie jest Mnie godzien"? – zapytała i nie spodobało mi się szyderstwo, które usłyszałem w jej głosie.

– Jaką wyrządziła ci krzywdę, Vermo? – spytałem ignorując jej słowa. – Czym zasłużyła sobie na taki los?

– Zabrała mi narzeczonego, urodziła dziecko... – wykrztusiła w końcu.

Wczepiła się pazurami w krawędź zydla.

– A ja byłam zawsze jałowa, inkwizytorze. Dlatego mój mąż włóczył się po burdelach, dlatego przezwał mnie bezpłodną suką. A ona miała wszystko... miała dziecko... a kobieta, kobieta... – urwała i dyszała przez chwilę ciężko, a jej twarz zmieniła się w ściągniętą, odrażającą maskę – kobieta bez dziecka jest tylko drwiną...

Pokiwałem głową, bo wreszcie zrozumiałem. I tak dobrze, że nie chodziło o złotą zapinkę, czy rzucone w dzieciństwie przekleństwo. Bo i takie rzeczy ludzie potrafili pamiętać i z takich właśnie powodów donosić na swoich bliskich do Inkwizytorium.

Ale w tym wypadku, dzięki łasce Pana, nawet grzech zawiści posiał wspaniały plon.

– Rozumiecie mnie? Rozumiecie?

Skinąłem głową. Rozumiałem ją, a ona, jak każdy grzesznik, szukała właśnie zrozumienia. Nie znaczyło to jednak, że pozostawię sprawy, tak jak się miały. Jeśli była narzędziem we wszechmocnych rękach Boga, to Bóg znajdzie sposób, by jej pomóc. Ja nie zamierzałem.

– Dziękuję ci za objaśnienia, Vermo. I jeszcze jedno. Uczynek taki jak twój nie może pozostać bez nagrody. Może nieświadomie, ale powstrzymałaś krzewienie się zła. Twoja rodzina, sąsiedzi i przyjaciele będą na pewno dumni z tego, że postawiona w obliczu trudnego wyboru wybrałaś zasady naszej wiary i lojalność wobec Kościoła, a nie tak przyziemne sprawy jak więzy rodzinne. Gratuluję ci w imieniu Świętego Officjum.

Wstałem i skłoniłem lekko głowę.

– Do zobaczenia – powiedziałem. – Życzę miłych snów.

– Dlaczego?! – wrzasnęła. – Dlaczego mi to robicie? Byłam pożytecznym narzędziem!

– Prawda – odparłem. – Ale czy grabarz ma płakać z powodu złamanej łopaty? Nie ta, to będzie inna...

Pożegnałem ją uprzejmym skinieniem głowy i odszedłem. Z sypialni słyszałem tylko zduszony szloch, lecz miałem smutną pewność, że Verma Riksdorf nie żałuje swych uczynków, lecz tylko ich konsekwencji. Milczenia, kiedy ujrzą ją sąsiedzi, nieczystości wylewanych na głowę, kiedy będzie przechodziła pod oknami, plucia pod stopy i zduszonych przekleństw. Nie wiecie, moi mili, jak bardzo boli pogarda, zwłaszcza kiedy jeszcze do niedawna było się osobą szanowaną. A kobieta, która wskazała inkwizytorom siostrę i jej małego synka, nie zyska poklasku sąsiadów. Swoją drogą, to smutne, że największą groźbą dla naszych donosicieli jest zazwyczaj groźba ujawienia wszem i wobec ich donosów. Cóż, świat nie jest doskonały, bo przecież każdy uczciwy człowiek powinien współpracę ze Świętym Officjum uważać za powód do chluby...

Nie mogłem się powstrzymać od uczucia obrzydzenia do wdowy Riksdorf. Gdybyż szukała prawdy, oświecona świętymi przykazaniami wiary i pchana zbożną trwogą! Ale ona tylko pragnęła zemsty na kimś, kto w niczym jej nie zawinił. Była nędznym robakiem i mogłem ją jak robaka rozdeptać. Jednak wiedziałem, że świadczyłoby to o okazaniu nadmiernej łaski. A wszak Pan nie ulepił mnie, bym sprowadzał łaskę, lecz sprawiedliwość. Co też starałem się czynić jak umiałem, przepełniony pokorą oraz bojaźnią Bożą.

KONIEC





Straty uboczne

tekst: Tomasz Pacyński
rysunki: Paweł Miedziński

Długi, źle oświetlony korytarz uparcie przywodził na myśl więzienie z kiepskiego filmu klasy B. Kraty pomalowane złażącą płatami farbą, rzędy drzwi z otworkami judaszy, żarówki, niegdyś skryte pod tandetnymi kloszami, teraz już tylko osłonięte drucianą siatką, zakurzone i obesrane przez niezliczone pokolenia much.

Gumowe podeszwy nie wydawały żadnego odgłosu w zetknięciu z lastrykową posadzką. Starali się omijać pety i inne niezidentyfikowane świństwa zalegające w kątach. Ostrożność niepotrzebna, zza cienkich drzwi słychać było zwykłe odgłosy życia w mrówkowcu na warszawskim Bródnie, intensywne zwłaszcza w ten weekendowy wieczór. Mimo to, gdy pod czarnym butem pękła jednorazowa strzykawka, dziewczyna skrzywiła się niezadowolona. Idący obok niej starszy mężczyzna uśmiechnął się tylko pobłażliwie. Cichy trzask utonął w jazgocie kłótni, jakaś rodzina słowem silna rozstrzygała właśnie kwestię, kto pójdzie po następną flaszkę.

Te właściwe drzwi nie różniły się niczym od pozostałych, nawet numer, namalowany kiedyś czarną farbą, był już całkiem wypłowiały, niewątpliwie ze starości. Twierdzenie, że ścierka ciecia dotknęła kiedykolwiek brudnej dykty, było bardzo ryzykowne. Ale niewątpliwie nad bielmem porysowanego wizjera widniała kiedyś siódemka.

Ze smrodem gotowanej kapusty mieszał się inny ostry zapach, jakby acetonu czy rozpuszczalnika. Mężczyzna mrugnął do towarzyszki. Niewątpliwie dobrze trafili.

Jednocześnie naciągnęli na twarze czarne kominiarki.

– Wchodzimy na trzy? – szepnął mężczyzna. Nawet w tym szepcie dało się słyszeć miękki, wschodni akcent. Ubrana w czarny, obcisły kombinezon dziewczyna zaprzeczyła ruchem głowy, na małym pudełeczku w jej dłoni błysnęła czerwona dioda.

– To jak? – zmarszczył się, widząc, jak końcem paznokcia wciska mikroskopijne, gumowe klawisze.

– Na raz, dwa, trzy i już! – uśmiechnęła się. Zęby błysnęły w wykroju kominiarki. – Potrzymaj chwilę.

Najpierw zawiasy. Plastyczny materiał wybuchowy łatwo dał się wcisnąć w szczelinę tuż przy futrynie. Potem zamek, solidna gerda z podwójnym ryglem. Aż syknęła ze zdziwienia, taki zamek na takie gówniane drzwi, pomyślała. Przecież kopniakiem to można otworzyć, noga przez tę dyktę na wylot przejdzie.

– Tylko nie naciśnij teraz – rzuciła swemu towarzyszowi szybkie spojrzenie. Ten nic nie odpowiedział, choć zauważył, że jak zwykle dała dużo plastiku. Lubiła mocne wejścia. Ale działała wprawnie, z przyjemnością patrzył, jak wciska w materiał wybuchowy tulejki detonatorów, łączy przewody, ściągając izolację zębami, niczym stary saper. Cicho szczęknął magnes, gdy odbiornik zdalnego urządzenia odpalającego przylgnął do metalu framugi.

– Nie lepiej tradycyjnie, z kopa? – mruknął mężczyzna ironicznie, gdy dała znak, by odskoczyć od drzwi.

– Nie – syknęła, gdy przywarli już oboje do ściany niedaleko. Plastik miał działanie kierunkowe, nie trzeba było zbytnio odchodzić. Szczęknęła przeładowywana czterdziestkapiątka, dziewczyna wsunęła ją za pas na plecach, wyciągnęła rękę po detonator, ujęła czarne pudełko dłonią w rękawiczce pozbawionej palców. Jej zwalisty towarzysz odrzucił worek, w mętnym świetle żarówki błysnęła matowo oksydowana lufa śrutowej strzelby. Podwójny trzask oznajmił, że nabój z grubymi loftkami znalazł się w komorze.

– No to raz, dwa, trzy... – powiedziała dziewczyna już na głos, wpatrując się w nabazgrany flamastrem na olejnej lamperii napis „Jolka to kurwa".

– ...i już!

Wcisnęła guzik.

Ładunek istotnie był mocny, korytarz wypełnił się kwaśnym dymem, pociemniało gwałtownie, również dlatego, że popękały żarówki pod stropem.

Ruszyli oboje, jeszcze w uszach dzwoniło echo wybuchu, gdy zza mijanych drzwi usłyszeli ochrypły, zgodny damsko-męski wrzask.

– Ciszej tam, kurwa!

To życzenie nie zostało spełnione.

Odrzuciła niepotrzebny już detonator, sięgnęła do pasa. W buchającą dymem czeluść wyrwanych drzwi poleciał granat obezwładniający, za nim drugi. Nawet przy przymkniętych powiekach błysk był intensywny, a co dopiero dla tych w środku, zaskoczonych i nieprzygotowanych. Powinni teraz zwijać się z bólu na podłodze, ludzki system nerwowy, zaatakowany jednocześnie światłem i dźwiękiem o takim natężeniu po prostu odmawia posłuszeństwa. Można przeciwników wybierać jak raki z saka, nieważne, terrorystów, gangsterów czy protestujących rolników.

– Osłaniaj! – rzuciła dziewczyna, zupełnie niepotrzebnie, bo partner właśnie zamierzał wpaść do środka. Sama skuliła się, rzuciła naprzód, trzymając w złączonych dłoniach swojego wojskowego kolta.

W środku można było już coś zobaczyć, podmuch wybuchu wywalił szyby, przeciąg wywiewał dym. Obróciła się i omiotła pomieszczenie wiązką laserowego celownika, widoczną wyraźnie, rozpraszającą się na resztkach dymu i na wiszącym w powietrzu kurzu wzniesionym wybuchem.

Istotnie, ludzki system nerwowy wysiada w konfrontacji z granatem obezwładniającym. Ale tym razem nie było to takie proste.

Pierwszy – wbrew swemu imieniu – zareagował Gapcio. Unosił właśnie swojego skorpiona, dość sensownie wybraną broń jak na faceta, który miał około metra pięciu wzrostu, jeśli liczyć spiczastą, czerwoną czapeczkę z pomponikiem. Ale nawet mały skorpion był dla niego niczym M-60 dla Sylvestra Stallone. Małe bicepsiki krasnoludka nabrzmiały niczym mięśnie Rambo, był jednak za wolny. Zanim czarny otwór lufy zajrzał w oczy dziewczyny, huknęła czerdziestkapiątka, cała głowa nad siwą, długą brodą zniknęła w rozprysku krwi.

Dziewczyna zamarła na chwilę, co nie było zbyt rozsądne. Ale nigdy przedtem nie widziała, jak działa Glaser Safety Slug na krasnoludki.

– Padnij! – usłyszała i posłuchała natychmiast. Charakterystyczny trzask AK-47 w zamkniętym pomieszczeniu był ogłuszający, długa, niemierzona seria wybijała płytkie dziury w ścianach z wielkiej płyty, w pokoju zatańczyły odłamki betonu i rykoszety. Dziewczyna przycisnęła głowę do gołego PCV, pokrywającego podłogę. Coś szarpnęło nogawkę kombinezonu, za chwilę poczuła potężne uderzenie w plecy, chronione na szczęście płytą kamizelki. Mimo to wyparło jej powietrze z płuc i zdawało jej się, że w pomieszczeniu nagle pociemniało.

Trzask serii z kałacha przerwał wreszcie głęboki, basowy huk śrutowki, zaraz potem drugi. Zapadła chwila ciszy, tylko ostatnie łuski spadały

z brzękiem na podłogę. Z kwaśnym odorem plastiku mieszał się smród kordytu. I coraz silniejsza woń acetonu.

Mogła się już poruszyć. Kuchnia, przemknęło dziewczynie przez głowę, zawsze ktoś jest w kuchni. Poderwała się, nie zważając na ostry ból w plecach, to chyba jednak nie był rykoszet, pomyślała, tylko solidny kawałek gruzu. Kątem oka dostrzegła coś jak stertę szmat z pomponikiem, leżącą w kącie, odrzuconą tam wiązką śrutu. Jeśli był to Wesołek, to powinien zmienić imię na Dziurawiec. Kałasznikow leżał obok niego. A dalej druga sterta szmat, równie podziurawiona, z której oskarżycielsko spoglądało niebieskie oko, ocienione krzaczastą, siwą brwią. Tego do pary nie było, tylko powoli wypełniający się krwią oczodół.

Wymierzyła w drzwi z wielką, żółtą szybą, jakimś cudem nietkniętą dotąd, mimo wybuchów i strzelaniny. Zza okien dochodziło już zawodzenie policyjnej syreny. Trzeba się spieszyć, pomyślała.

Kopnęła w drzwi, posypały się odłamki matowej szyby. Tych trzech w środku zgubiła chciwość, zamiast zwiewać przez okno, co byłoby najrozsądniejsze, w rozpaczliwym pośpiechu pakowali do sakw już odważone działki, w małych, estetycznych, plastikowych torebkach. W dodatku wyrywali je sobie wzajemnie.

Wycelowała starannie, stojąc w pozycji Weavera, jak w podręczniku strzeleckim. Pociągnęła spust trzykrotnie, raz za razem, tak szybko, jak tylko nadążała przenosić czerwoną laserową plamkę na kolejne cele. Ścianę nad zlewem ozdobiły trzy czerwone rozbryzgi.

Wpadła do kuchni, zanim jeszcze bezgłowe ciała trzech krasnoludków osunęły się na podłogę. Sprężona obróciła się wokół, omiatając przestrzeń lufą pistoletu.

– Czysto! – krzyknęła.

Dostrzegła przewrócony kanister, na podłogę wylewała się struga przejrzystej cieczy, śmierdzącej jak rozpuszczalnik nitro. W zlewie i na kuchennym blacie stała aparatura, wyglądająca jak z koszmarnego snu alchemika. Coś bulgotało, przelewało się w szklanych rurkach.

– Uważaj, brakuje jednego!

Istotnie, trzech tam, trzech tutaj. Gdzie siódmy, pomyślała, znów unosząc broń, mierząc w kuchenne szafki. Taki kurdupel mógł przecież schować się w dowolnej z nich. Zaklęła pod nosem. Zaraz wypadnie z którejś z ingramem w każdej ręce i okrzykiem „banzai!", czy co tam krzyczą krasnoludki w sytuacjach ekstremalnych.

Nie wypadł. Z pokoju dało się słyszeć jakiś łomot, szurnięcie, oddalający się tupot małych nóżek. Potem plugawe rosyjskie przekleństwo i huk śrutówki, już z korytarza. A potem już tylko narastający jęk policyjnych syren zza wybitych okien i ciche charczenie w tle. Coraz cichsze.

Dziewczyna wyprostowała się, naciśnięciem kciuka wyrzuciła magazynek. Wbiła w rękojeść nowy, tym razem załadowany porządną, penetrującą wojskową amunicją. Glaser był niezły na terrorystów w samolotach i krasnoludki w pomieszczeniach, ale już nie na policjantów. Poza tym strasznie niszczył przewód lufy, zupełnie jak srebrne pociski na wampiry.

Jeszcze raz obrzuciła spojrzeniem kuchnię zamienioną w laboratorium do produkcji amfetaminy. Stoczyliście się, kurduple, pomyślała, pewnie od czasu, kiedy Śnieżka zaszła w ciążę. Kłóciliście się wiek bez mała, jakby miało znaczenie, kto jest naprawdę ojcem. Bez sensu, bo i tak badania genetyczne wykazały w końcu, że żaden z was.

Pod gumowymi podeszwami zazgrzytało szkło. Wyszła na korytarz, stanęła obok mężczyzny. Ostatni krasnoludek przestał już charczeć.

– Daleko dobiegł – mruknęła dziewczyna, ściągając kominiarkę. Potrząsnęła głową, włosy rozsypały się dokoła głowy.

– Siedział pod stołem, nie zauważyłem. Długo zwlekał, od razu widać, że Maruda.

Popatrzyła krytycznie.

– W dodatku prawie chybiłeś.

Istotnie, trafiony krasnoludek odbiegł jeszcze spory kawałek, malując na olejnej lamperii całkiem nowe graffiti. Mężczyzna wzruszył ramionami.

– I tak nie uciekł – odparł spokojnie. – Chyba pora się zbierać.

Nadepnął na porzucony w korytarzu detonator, rozgniatając go butem. Będzie niezła zagwozdka dla antyterrorystów, urządzenie pochodziło jeszcze z pięknych, afgańskich czasów, kiedy to CIA zaopatrywało mudżahedinów, wtedy jeszcze dobrych.

Rodzina słowem silna zamilkła już – albo wystraszona, albo ktoś poszedł w końcu po flaszkę. Dziewczyna przypaliła cienkiego papierosa, zaciągnęła się raz i drugi. Pstryknięciem palców posłała papierosa wprost przez wywalone drzwi. Z głuchym stęknięciem zajęły się opary rozpuszczalnika, buchnęły płomienie.

– Zawsze byłaś efekciarą, Matyldo – mruknął z dezaprobatą mężczyzna. Też ściągnął kominiarkę, ocierał z potu rumianą, szeroką twarz.

– Spadamy, zanim coś tam pieprznie – dodał. Nie szukał nawet worka, by schować swoją broń, trzymał ją niedbale pod pachą. Nigdy nie wiadomo, co zastaną przed blokiem.

Istotnie pieprznęło, gdy tylko zdążyli wyjść z klatki. Widać kanistrów z odczynnikami było więcej. Wybuch nie był silny, tylko resztki szyb na parterze posypały się z brzękiem. Jakaś emerytka, paskudne babsko z równie paskudnym psem na smyczy, przypadła do ziemi.

– Skaranie boskie! – wrzasnęła. – Tylko bomby by podkładali!



Przy motocyklu Matyldy stał młody policjant. Wyglądał, jakby już zdążył pożegnać się z życiem. Jego kolega w stojącym nieopodal radiowozie udawał, że wcale go tam nie ma. Wychodziło mu to niezgorzej.

Matylda schowała broń. Dyskretnie ominęła wzrokiem mokrą plamę na mundurowych spodniach. Policjant widząc, że wciąż żyje, odzyskał głos.

– Jja... – zająknął się. – Jjja tylko pilnowałem motoru...

– To nie motor, to Harley – odparła Matylda uprzejmie, kopiąc rozrusznik. Jej towarzysz usadowił się za nią, objął wpół. Po chwili oddalający się, głęboki warkot dwóch cylindrów w układzie V pochłonęły zbliżające się strażackie syreny.



Szczupła barmanka o ostrych, lecz noszących ślady niegdysiejszej urody rysach przechyliła szklankę. Piwo spływało po ściance, układając się w złotą warstwę nad kręgiem soku wiśniowego na dnie.

– Sześć pięćdziesiąt.

Matylda podała dziesięciozłotowy banknot, gestem odmówiła przyjęcia reszty. Barmanka włożyła do szklanki plastikową słomkę. Nie podziękowała nawet uśmiechem.

Matylda nie była zdziwiona. Bez słowa wzięła piwo, ruszyła przez małą salkę w kierunku wysokich stołków pod wielkim oknem, skąd miała znakomity widok na Nowy Świat, a w lustrach, zdobiących ściany, na całe wnętrze lokalu. Złowiła kilka spojrzeń, natarczywych jak zwykle. Ale bywalcy baru „Piotruś" nie mieli żadnych szans. Nie gustowała w urzędnikach we wczesnym stadium alkoholizmu na tle niezrozumienia u żon, ani też w miejscowych menelach.

Zamieszała piwo słomką, gęsty sok z dna zabarwił je na jasnorubinowy kolor. Pociągnęła pierwszy łyk, spoglądając na ruchliwą ulicę. Miała czas, wprawdzie Dziadek nigdy się nie spóźniał, ale ona lubiła przyjść wcześniej. Wypić spokojnie, przemyśleć wszystko.

Dziadek. Zawsze tak o nim myślała. Czasem mówiła, choć wyraźnie widziała, że nie sprawia mu to przyjemności.

Za szybą mignęła srebrna, krótko przystrzyżona czupryna. Po chwili mogła obserwować w lustrze, jak przeciska się między stolikami, mija wystawioną bez sensu na środek zamrażarkę, wypełnioną lodami w podejrzanych kolorach. Najgorsze skojarzenia budziły czekoladowe.

Z trudem usadowił się na stołku, ich ustawienie nie było przewidziane na jego tuszę. Sapnął głośno.

Matylda popatrzyła z ukosa. Zmienił się bardzo przez te lata. Z krótko przystrzyżoną, rzedniejącą czupryną, ze srebrnym zarostem przypominał bardziej Seana Connery, niż Dziadka Mroza sprzed... Tak, sprzed zaledwie trzech lat.

Dostrzegła taki sam taksujący wzrok. W tym spojrzeniu niebieskich oczu było jeszcze coś więcej. Z trudem powstrzymała się, by nie pogłaskać szerokiej dłoni, spoczywającej na imitującym marmur blacie.

Zamiast tego cmoknęła go w policzek, bardzo po przyjacielsku.

– Wyglądasz jak nowy Ruski.

Dziadek przyjrzał się z uwagą nowiutkiemu roleksowi na swym przegubie. Potem złotej bransoletce zdobiącej drugi nadgarstek.

– Przecież jestem nowym Ruskim – uśmiechnął się. – Co w tym złego?

Matylda pociągnęła głęboki łyk, resztka piwa zabulgotała w słomce.

– Nic – odparła. – Tylko tracisz czas na głupoty.

Nie odpowiedział. Strzelił tylko palcami, nie odwracając się nawet. Barmanka o ostrych rysach wyszła spiesznie zza kontuaru.

– Co podać? – spytała.

– Whisky z colą.

Matylda skrzywiła się.

– Co, nie podoba ci się? – Dziadek uśmiechnął się. – A co niby ma pić nowy Ruski?

– Nie o to chodzi. Mnie nigdy nie podaje...

– No i sama widzisz. Nie pasujesz tutaj, wyglądasz na siksę z dobrego domu. Powinnaś pić gdzie indziej, tu wzbudzasz tylko ciekawość. A może i podejrzenia.

Podał jej ogień, już nie swoją starą, benzynową zippo, ale złotym, gazowym ronsonem.

– I nie masz racji – dodał, widząc zmarszczenie brwi. – Nie tracę czasu na głupoty. Byłem na rybach.

Zaciągnęła się głęboko. A potem zakrztusiła się dymem, gdy dotarło do niej, co powiedział. Kaszlała jeszcze, przecierając załzawione oczy, kiedy barmanka postawiła przed Dziadkiem szklankę i butelkę coli.

– Tak lubię – sapnął z zadowoleniem. – Sam sobie zmieszać.

Ujął butelkę, nie zaczął nawet nalewać, kiedy impulsywnie objęła go za szyję, przylgnęła policzkiem do jego twarzy. Poczerwieniał nieco, gdy poczuł nacisk twardej piersi.

– No już, dziecinko – powiedział tak jakoś bezradnie, zmieszany. – Puść, bo mnie przecież udusisz.

Odsunęła się powoli, przesunęła lekko dłonią po szorstkim, siwym zaroście. Jej oczy błyszczały radością i podnieceniem.

– Mój ty kochany... – szepnęła. – Czyli złota rybka już też?

Poczerwieniał jeszcze bardziej, udawał, że jest bardzo pochłonięty mieszaniem drinka.

– Ano też – mruknął w końcu. – I tak sobie pomyślałem, mają się te trzy życzenia zmarnować? Zawsze chciałem mieć roleksa.
– No, nie mów! – roześmiała się jak mała, uszczęśliwiona dziewczynka. – Trzeba było jeszcze merca sobie zażyczyć!
– Skąd wiesz? – rzucił jej speszone spojrzenie.
Roześmiała się jeszcze głośniej. Po chwili jednak spoważniała.
– Dziękuję – powiedziała cicho. – Obawiałam się o tę robotę, naprawdę. Zupełnie nie wiedziałam, gdzie cholery szukać.
Rozpogodził się.
– Ech, żeby tylko takie zlecenia były. Żaden problem, stary wędkarz jestem, pamiętam, rzeka Moskwa, mróz czterdzieści stopni, rąbię przerębel...
– Tylko bez kombatanctwa – przerwała mu bezceremonialnie. – Opowiedz lepiej, jak było.
Dziadek spochmurniał nieco.
– No, normalnie... – zaczął jednak. – Na białego robaczka wzięła, zanęciłem wcześniej...
– Takie szczegóły techniczne mnie nie interesują – przerwała znów. Popatrzył na jej zaciętą twarz.
Ona ich naprawdę nienawidzi, pomyślał po raz któryś. Nie spocznie, póki nie wytępi do końca. Tu nie chodzi o biznes, o to, by tylko Dziadek Mróz ze swoją asystentką mógł uszczęśliwiać dzieciaki. To już sprawa osobista.
– No cóż... – powiedział wolno. – W łeb i do sadzyka. Ale dopiero wtedy, kiedy spełniła te trzy życzenia i przeszła do gróźb. A potem... Jak powiadają, ucha najlepsza, kiedy jest z wielu gatunków ryb. A brały i okonki, i krąpiki, zwykłe płotki też. Szkoda było robaczki zmarnować.
Pociągnął łyk ze swej szklanki. Skrzywił się, na pewno nie była to ballantine. Przez chwilę zastanawiał się, czy jednak nie odstrzelić barmanki. Co tam, za dużo ludzi, pomyślał.
– Lubię taką robotę – dodał po chwili. – Stary już jestem, trochę relaksu się przyda. To nie to, co ostatnio, z tymi kurduplami. Ten ostatni, gdyby nie był tak tchórzliwy, mógłby mnie dostać.
Rysy Matyldy stwardniały.
– Ciebie? – spytała powoli. – Afgańca? Czyżbyś miękł na starość?
Pokręcił głową.
– Nie, Matyldo, nie mięknę. Ale zawsze możemy popełnić błąd. Tak jak ty, przy tej samej okazji zresztą. Miałaś szczęście, że krasnoludkowi ciężko strzelać z kałacha, odrzut za bardzo nim rzuca.
Matylda spoważniała.
– Nie złość się – powiedziała cicho. – Wiesz, to dlatego, że ja tych kurdupli nienawidziłam chyba najbardziej. Wujek dał mi kiedyś kasetę, ukradł gdzieś pewnie. I kazał w kółko te bzdury oglądać.
I obmacywał przy tym, bo miałaś już dwanaście lat, pomyślał Dziadek Mróz. Nigdy się do tego nie przyznałaś, ale mówiłaś przez sen. Masz rację, tak nie można, to nieprawdziwe. Świat tak nie wygląda, a biednym dzieciom robią wodę z mózgu. Im prędzej się to skończy, tym lepiej dla wszystkich.
W kąciku Dziadka błysnęła łza. Kochał dzieci, uwielbiał widzieć ich rozpromienione buzie, kiedy sięgał do worka z prezentami. A potem przegnano go, przyszedł ten uzurpator. Matylda ma rację, to nie biznes, to sprawa osobista. To dla dobra tych wszystkich małych pędraków. A Mikołaj miał to wszystko gdzieś. Wystarczy przypomnieć sobie jego słynną odzywkę z Etiopii.
Mikołaja już nie ma. Ale zostały te wszystkie bzdury, krasnoludki, smerfy, skrzaty. Złote rybki spełniające życzenia i żabki zamieniające się w królewny. Tylko dziewczynka z zapałkami nabrała w porę rozumu i zaczęła handlować innym towarem. Słuszna decyzja, pomyślał, bo też niezła z niej szprota.
Matylda ma rację. Dopóki nie wypleni się wszystkiego, dopóty dzieci nie będą nic wiedziały o złym świecie. Bo prawdziwy świat to Van Damme i Steven Segal, proste prawa. To cuchnący gorzałą wujek pedofil i mama puszczalska. I jak maleństwa mają się przed tym bronić, skoro od dzieciństwa ogłupia się je kurduplami w czerwonych czapeczkach?
– Popatrz, jak kurduple skończyły – głos Matyldy wdarł się w tok jego myśli. – Mogły poprzestać na szczaniu do mleka.
– To skrzaty – sprostował machinalnie. Matylda uśmiechnęła się złym uśmiechem.
– Wszystko jedno, im też się dobierzemy do dupy. Na wszystko przyjdzie właściwa pora.
Z irytacją popatrzyła na swoją pustą szklankę.
– Zamów mi piwo. Nie chce mi się tyłka ruszać.
Dziadek, nie patrząc, strzelił palcami. Wskazał Matyldę.
Zanim barmanka nalała kolejne piwo, rysy dziewczyny złagodniały. Sięgnęła do torebki, grzebała w niej chwilę. W końcu, zniecierpliwiona, wysypała zawartość na blat. Na samym wierzchu leżał złożony wielokrotnie papier, dość pomięty. Rozprostowała go jedną ręka, drugą upychając zawartość do torebki. Największy problem sprawiał kolt, nie był to damski pistolet.
Barmanka podała piwo. Nie dała po sobie poznać, że cokolwiek zauważyła. Zbyt wiele widziała już w tym barze.
– Mam coś dla ciebie – uśmiechnęła się Matylda, gdy barmanka odeszła. – Taką robotę jak lubisz, przyjemne z pożytecznym.
Oczy Dziadka Mroza rozjaśniły się z rozczulenia. Dostrzegł na wymiętoszonym dokumencie pieczęcie związku łowieckiego i nadleśnictwa.
– Załatwiłaś... – szepnął cicho i z radości golnął swojego drinka jednym haustem. – Załatwiłaś odstrzał na jelonka Bambi!
Objął ją i ucałował siarczyście.
– Moja dziewczynka kochana! Ech, idiot ochota na wołkow, idiot ochota! – zanucił głośno, nie całkiem a propos. Bywalcy baru „Piotruś", którzy unieśli z zaciekawieniem głowy, opuszczali je szybko, zmrożeni spojrzeniem Matyldy.
– Ale to później – powiedziała dziewczyna, kiedy Dziadek Mróz zamilkł, skonsternowany nieco swą dziecinną radością. – Na przyjemności przyjdzie czas. Będzie ich więcej, obiecuję. Ale jeszcze nie teraz.
Dziadek nie mógł opanować niecierpliwości. Jest jak duży dzieciak, pomyślała Matylda, wielki, kochany misio. No dobrze, powiem mu, z mężczyznami trzeba umieć postępować.
– No dobrze. Słoneczna Kenia, potem skóra z lwa przed kominkiem... – zawiesiła na chwilę głos. – Z Króla Lwa. Tylko już nie śpiewaj, proszę!
Nie zaśpiewał. Mrugał tylko, by ukryć łzy wzruszenia. Kocham cię, pomyślała Matylda ze smutkiem. Chociaż nie tak jakbyś chciał.
– Do... – jej głos się załamał, odchrząknęła, by pokryć zmieszanie. – Do rzeczy. Na jelonka przyjdzie czas w sezonie, nie będziemy przecież kłusować. Na razie mamy ważniejsze sprawy. I pilniejsze.
Obawiał się tego. Po ostatniej akcji miał złe przeczucia, Matyldę czasem ponosiło. Wolałby wrócić do szkolenia, większe akcje to nie to samo co stuknięcie wampira ze snajperskiego karabinu, nawet srebrną kulą. Uśmiechnął się mimo woli. Postęp technologiczny sprawiał czasem kłopoty, wiele trudu kosztowało namówienie norweskich inżynierów w zakładach Nammo do zastąpienia cyrkonowego rdzenia srebrnym. Ale teraz dysponowali zapasem amunicji o parametrach Grade A i żaden wampir nie miał szans. Nawet z odległości kilometra.
Matylda dostrzegła, że szybko spochmurniał.
– Nie – powiedziała. – Tym razem żadnych wariackich przedsięwzięć. Zaufaj mi.
Dopiła swoje piwo.
– Jutro mamy spotkanie. Ubierz się, tylko porządnie...
Otaksowała go wzrokiem, drogi, w niezłym guście garnitur i tandetne, ciężkie złote ozdoby. Nowy Ruski w najlepszym wydaniu.
– A w zasadzie nie – uśmiechnęła się. – Nawet lepiej, jeśli przyjdziesz tak jak dzisiaj.



Amerykański attache kulturalny w Warszawie nienawidził swojej roboty. Polskę uważał za zadupie, w dodatku takie, gdzie zupełnie nie miał szans wykazać się w swej właściwej specjalności. Wyjątkowo kiepski przydział dla szefa rezydentury CIA.
Jego kontakt się spóźniał. Lubił tak myśleć, właśnie „kontakt", to dawało mu namiastkę tych przeżyć, których mógłby doświadczyć, gdyby nie zesłano go na tę beznadziejną placówkę, a choćby do Bangladeszu. Ale na myśleniu zwykle się kończyło, dziś pewnie będzie nie inaczej. Cóż, może ta smarkata da się choć poderwać, ona pewnie też gra w tę samą grę, chce znaleźć się w centrum wydarzeń. Może wcale nie skończy się na jednym spotkaniu z amerykańskim dyplomatą, może będą następne, już nie tylko u Bliklego, a w bardziej sprzyjających warunkach. Miał nadzieję, że ona też oglądała filmy z Jamesem Bondem i wie, jaki powinien być naturalny w tych sprawach rozwój wydarzeń.
W kawiarni było pustawo, był jedynym gościem poza ponurym, szpakowatym typem przy sąsiednim stoliku. Typ kończył właśnie kolejnego pączka, wydawał się całkiem pochłonięty oblizywaniem palców. Attache popatrzył z niesmakiem na drobinki lukru na krótko przystrzyżonej brodzie, na ciężki, złoty łańcuch na przegubie. Co za dzicz, pomyślał, kogo tu wpuszczają.
Sączył swoją kawę. Choć był w Polsce już od roku, wciąż nie mógł się przyzwyczaić do jej smaku. Wpatrywał się bezmyślnie w jedynego, poza sobą, gościa, od czasu do czasu zerkając na zegarek z rosnącą niecierpliwością. Pół godziny spóźnienia, nie ma się co łudzić. Nici z pięknie zapowiadającego się romansu, wystawiła go.
Szpakowaty skończył pączka, rozejrzał się, po czym utkwił spojrzenie niebieskich, ocienionych krzaczastymi brwiami oczu prosto w skonsternowanym dyplomacie. Zanim ten jeszcze zdążył spuścić wzrok, typ wyraźnie mrugnął. I uśmiechnął się szeroko.
Może to jakiś gej, zdążył jeszcze pomyśleć attache, zanim zwalisty mężczyzna wstał i otrzepał niespiesznie resztki lukru z gorsu. Mylił się.
Szpakowaty zdecydowanie ruszył do jego stolika. Stanął przy nim, spojrzał z góry na rozpaczliwie unikającego jego wzroku dyplomatę.
– Pajdiom, towariszcz szpion – powiedział cicho, lecz stanowczo.
Czekała w ogródku, pustym o tej porze, tak jak i wnętrze cukierni. Attache był zawodowym dyplomatą, jego posada w CIA była rezultatem republikańskiego podziału powyborczych łupów. Od razu jednak zrozumiał, że dziewczyna jest zawodowcem, mimo braku wywiadowczego przygotowania czytał przecież wiele przygód Jacka Ryana, co, jak sądził, dawało mu wystarczające kwalifikacje.
Stolik wybrała znakomicie, na skraju ogródka. Ludzie przechodzący obok mogli usłyszeć jedynie strzępy rozmowy, kilka słów, których nie sposób złożyć w sensowną całość.
Była piękna jak wtedy, kiedy podeszła do niego po raz pierwszy, na jakiejś śmiesznej uroczystości składania wieńców z okazji kolejnej polskiej klęski narodowej. Teraz jednak dyplomata zupełnie nie miał głowy do kontemplowania damskiej urody. Coś, co miało być zabawą w szpiegów, nieuchronnie zmierzającą do finału w łóżku, okazało się czymś zgoła innym. Oby nie prowokacją, pomyślał w panice.

Nie wstała na powitanie, wyciągnęła tylko rękę, jakoś tak dziwnie. Nagły przebłysk inteligencji i attache przypomniał sobie miejscowe obyczaje, po czym ucałował jej dłoń. W innych okolicznościach muśnięcie wargami gładkiej skóry sprawiłoby mu niekłamaną przyjemność, jednak nie dziś.

Szpakowaty rozsiadł się przy sąsiednim stoliku. Zapalił jakiegoś okrutnie śmierdzącego papierosa bez ustnika i pozornie zrelaksowany śledził przechodniów spod zmrużonych powiek.

– Napijesz się czegoś? – spytała dziewczyna. Zaprzeczył ruchem głowy, myśląc jednocześnie, że jak na ukraińską dziennikarkę znakomicie mówi po angielsku, prawie bez akcentu.

– No to do rzeczy – powiedziała. – Przysuń się bliżej, nie gryzę. W każdym razie nie od razu i nie w takich okolicznościach.

W jej głosie wyraźnie dawała się wyczuć kpina. Gdy przysunął się niezdarnie, oparła mu naturalnym gestem głowę na ramieniu. Zapach perfum w połączeniu z feromonami sprawił, że dyplomata na chwilę przestał myśleć.

– No, nie wyobrażaj sobie zbyt wiele – jej głos wyrwał go brutalnie z rozmarzenia. – To interes, nie przyjemność. Popatrz.

Położyła na stoliku małą fotografię, czarno-białą, ziarnistą odbitkę. Przez chwilę attache wpatrywał się w nią bezmyślnie. Z niczym mu się na razie nie kojarzyła.

– To al samum, zmodyfikowana wersja starego scuda – powiedziała, gdy milczenie się przedłużało. – Zasięg pozwala na osiągnięcie Izraela z każdego punktu w Iraku czy nawet Libii. Zdjęcie zostało zrobione w tajnej wytwórni, podczas montażu. Zwróć uwagę na pierścień mocowania głowicy.

Chwilę wpatrywał się w niewyraźną fotografię. Zupełna abrakadabra, nawet nie wiedział, gdzie szukać tego cholernego pierścienia.

– Nie... – zaczął po dłuższej chwili niepewnie.

– Wiem, nie jesteś analitykiem – przerwała bezceremonialnie. – Więc musisz uwierzyć mi na słowo, potem prześlesz dalej, ktoś potwierdzi te dane.

– Może i nie jestem, ale oglądam przecież CNN! – odparł machinalnie, oburzony. Ostra mała, pomyślał. Ma najwyżej dwadzieścia, dwadzieścia dwa lata...

Coś zaskoczyło w skołowanym umyśle dyplomaty. Al samum... Broń masowego rażenia. Coś, czego nie chcą znaleźć inspektorzy ONZ i ten stary piernik Blix, niewątpliwie na złość naszemu Dubya.

– Może chcesz ocenić źródło? – spytała niewinnie dziewczyna. Podniosła głowę z jego ramienia, zatrzepotała rzęsami. Tętno rezydenta CIA osiągnęło stadium tachykardii. Sam nie wiedział, czy na widok uwodzicielskiego spojrzenia, czy informacji, które mogły stać się politycznym dynamitem. Kiwnął tylko głową, zastanawiając się, jak połączyć przyjemnie z pożytecznym. Może jednak skończy się w łóżku.

– Źródłem jest niejaki Alladin, zakonspirowany jako importer sprzętu oświetleniowego w Hamburgu. Agent Al Quaidy, w młodości pasjonował się modelarstwem lotniczym, co stanowi wyraźny ślad łączący go z zamachami na WTC.

Położyła na stoliku następne zdjęcie, tym razem ostre i wyraźne. Przedstawiało ponurego typa o słowiańskich rysach twarzy.

– Akademik Kozodojew. W ramach redukcji rosyjskiego programu zbrojeniowego bezrobotny, zwerbowany przez Alladina...

— Zaraz, zaraz! – przerwał attache, wyraźnie nie nadążał. Wyciągnął pospiesznie swego palmtopa. Jak to się pisze, zastanawiał się w popłochu, te cholerne szmaciane łby mają takie dziwne nazwiska, niewątpliwie na złość ludom cywilizowanym. Zaraz... Al Laden...

Wcisnął klawisz search. Ciekłokrystaliczny ekran migotał chwilę. Holly shit!

– Już teraz wierzysz? – uśmiechnęła się.

Powoli skinął głową. Skończyły się żarty. Był teraz zimnym, przygotowanym na wszystko profesjonalistą. Nawet gdy ujęła go za rękę, nie zrozumiał tego opacznie. Poczuł, jak wkłada mu w dłoń coś małego. Kluczyk.

– W dzisiejszej poczcie elektronicznej znajdziesz numer skrytki. Wystarczy podzielić przez dwa i dodać pierwiastek kwadratowy z rocznej produkcji parasoli w Zimbabwe, by otrzymać właściwy kod.

Skinął głową. Jego spojrzenie było chłodne i stalowe. Twardy wzrok profesjonalisty.

– W skrytce są dowody, świadczące o produkcji przez reżim Saddama broni masowego rażenia. A, B, C, D, aż do Z. Oraz koordynaty najbardziej strzeżonego ośrodka, którego nie potrafią znaleźć inspektorzy rozbrojeniowi.

Coś kołatało się w mózgu dyplomaty. Coś, co trzeba jeszcze powiedzieć. Hasta la vista, baby? Nie, to nie z tego filmu. Już wiedział.

– Co chcesz w zamian? – popatrzył przenikliwie w oczy dziewczyny, w duchu miał nadzieję, że poprosi o azyl w Stanach. Już widział ją i siebie na plaży w Key West, naturalnie oboje objętych programem ochrony świadków. Skrzywiła się tylko.

– Nic. Nie musisz w zasadzie wiedzieć. Ale powiem ci, nie chcemy, żeby wujek Saddam urósł zbyt duży.

Nawet nie poczuł rozczarowania. Jego przenikliwy, analityczny umysł znów zaczął pracować na najwyższych obrotach, Nie chcemy. My nie chcemy. Ktoś za nią stoi, niewątpliwie. Mówiła, że jest z Ukrainy. Wprawdzie w teksańskim college'u nie uczono o tym, ale Ukraina to chyba gdzieś niedaleko Rosji.

Wszystko stało się jasne. Już nie był rozczarowany, że pięknie zapowiadający się romans nie dojdzie do skutku. Wreszcie uczestniczył w grze, tej na najwyższym poziomie. Murowana Gwiazda Wywiadu, odznaczenie, o którym będzie wiedział tylko prezydent.

– Zostaniesz tu chwilę – jej głos przywrócił go do rzeczywistości. – Nie idź za mną, więcej się nie zobaczymy.

Wstała, pochyliła się i pocałowała go w policzek.

– Szkoda – szepnęła. – Niezły jesteś, mój szpiegu.

Siedział chwilę, oszołomiony szczęściem. Wreszcie ktoś go docenił. I to kto, piękna agentka terenowa. Nawet nie zauważył, że wraz z nią zniknął szpakowaty, niewątpliwie komandos Specnazu.

Widział jeszcze, jak dziewczyna skręca w bramę. Powodowany impulsem poderwał się od stolika, przewracając krzesełko, pobiegł za nią.

Zarośnięte zielenią podwórko na tyłach Nowego Światu było puste. Zniknęła. Za to zza opaskudzonej przez gołębie rzeźby wielkiego jelenia wyszedł szpakowaty.

– A wy kuda? – spytał obcesowo. Attache stropił się na chwilę. Zwalisty typ przyglądał się kpiąco.

– Kim jesteście? – wyrwało się wreszcie dyplomacie, zanim zdążył ugryźć się w język. Znowu nieprofesjonalizm.

– KGB – odparł niedbale facet o wyglądzie rosyjskiego mafiosa.

– Przecież was już nie ma! – zaprotestował dyplomata. Zwalisty typ ujął go konfidencjonalnie pod ramię.

– No właśnie – przeszedł na angielski. – A teraz spierdalaj.



Dziadek Mróz nacisnął przycisk pilota, brama podziemnego garażu uniosła się z cichym szumem. Mercedes ruszył, gang silnika odbijał się od ścian tunelu oświetlonego mrugającymi świetlówkami. Jeszcze zakręt i po chwili samochód wsunął się na swoje miejsce parkowania, oznaczone numerem apartamentu.

Dziadek wysiadł, nie zawracając sobie głowy zamykaniem wozu. Drogi apartamentowiec na starym Mokotowie dawał gwarancję zabezpieczenia przed kradzieżą.

Można było skorzystać z windy prowadzącej wprost do mieszkania, ale Dziadek wolał wejść schodami. W przestronnym hallu na parterze portier zmierzył go uważnym spojrzeniem, po czym odprężył się wyraźnie. Znał tego szpakowatego mężczyznę jako Pawła Morozowa, rosyjskiego biznesmena, jednego z wielu mieszkających w tym luksusowym budynku.

Biznesmen Morozow pozdrowił portiera skinieniem głowy, po czym skierował się w stronę schodów. Portier, wyglądający na byłego komandosa jednostki Grom, nie był zaskoczony, mieszkańcy mieli różne dziwactwa. Ten akurat dość nieszkodliwe, gorszy był inny, który na dźwięk strzelającego korka od szampana wykonywał instynktowne „padnij". W Sylwestra prowadziło to do żenujących sytuacji.

Przed wejściem do swojego apartamentu Dziadek skrzywił się z niesmakiem. Nawet przez wytłumione drzwi dobiegała bitewna wrzawa.

Matylda oglądała wiadomości. Na ekranie redaktor Tommy Desert Fox przesuwał strzałki na mapie niczym dziadia Stalin. Po chwili zniknął, zastąpiony przez obraz malowniczych wybuchów na przedmieściach Bagdadu.

Dziewczyna spostrzegła Dziadka, wycelowała pilotem w telewizor. Tommy Desert Fox pojawił się znów, ale już bez dźwięku. Tak naprawdę robiło to niewielką różnicę.

Dziadek Mróz patrzył chwilę na ekran, marszcząc brwi. Uśmiechnął się na widok helikoptera apache, wokół którego radośnie tańczyli faceci z kałachami.

– Dubya nieco przesadził – mruknął.

Matylda pokręciła głową.

– I co z tego? – spytała. – Ważny jest efekt, ktoś za nas odwali robotę. A Saddam był i tak skurwysynem, powiedzmy sobie szczerze.

Dziadek wzruszył ramionami. Prawdę mówiąc, niewiele go to obchodziło.

– Zaraz zrobię kolację – Matylda chciała wstać, powstrzymał ją gest Dziadka.

– Oglądaj sobie, nie jestem głodny – powiedział łagodnie. – A potem może gdzieś pójdziemy.

Uśmiechnęła się. I zaraz powróciła do wiadomości.

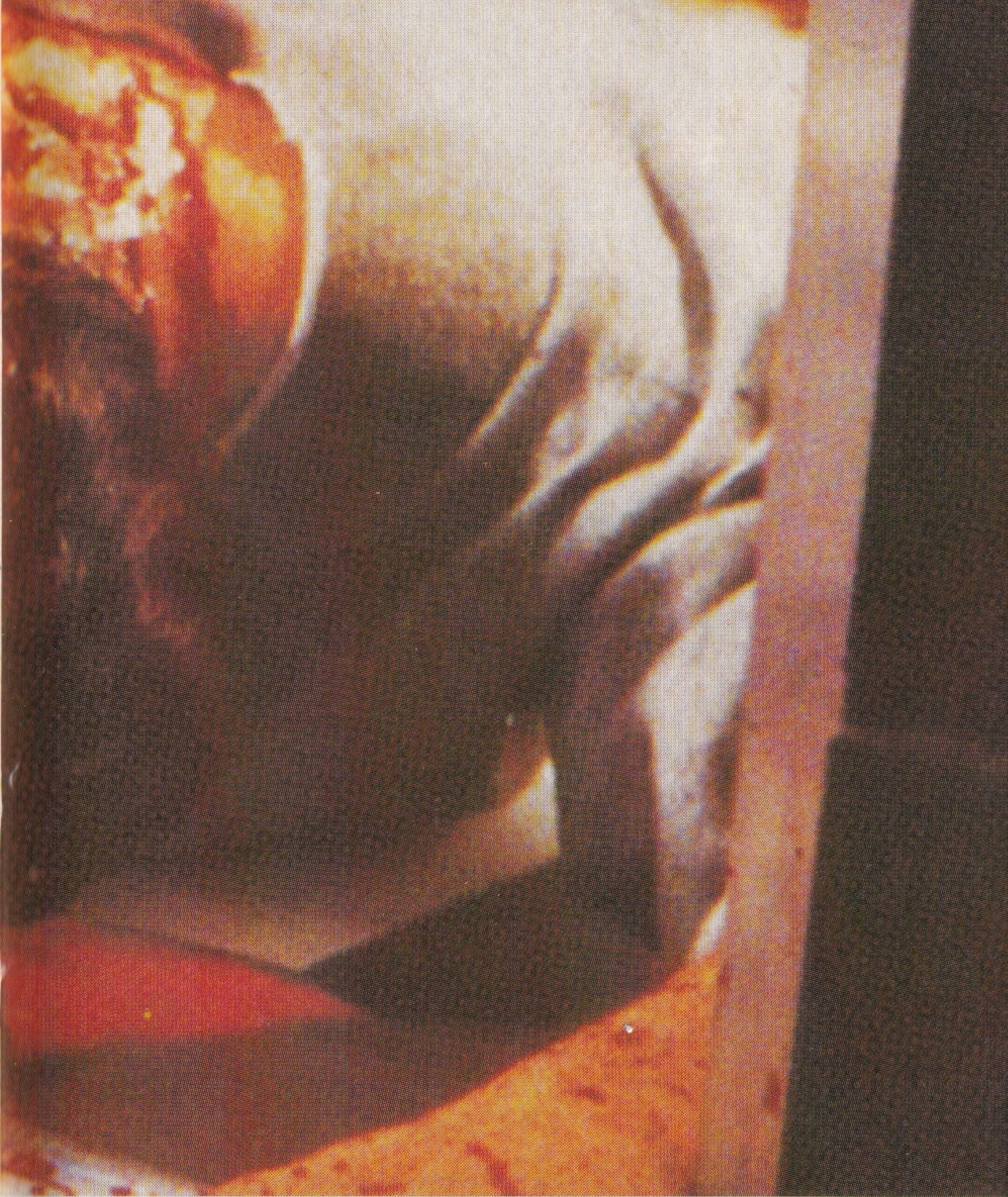
Dziadek chwilę stał jeszcze, wreszcie poszedł do swego pokoju. Zwalił się na szeroki tapczan, nie zdejmując nawet butów. Kontemplował wielkie poroże, wiszące na ścianie. Jelonek Bambi zdążył wyrosnąć na tęgiego byka.

Istotnie, pomyślał, nie ma co żałować Saddama. Cel uświęca środki, nieważne, jak to oni nazywają? Collateral damage? Szczególnie, gdy sprawa jest osobista.

Zamknął oczy. Ciekawe jak powodzi się Alladinowi w drucianej klatce w bazie Guantanamo? Uśmiechnął się po chwili.

Naprawdę ciekawe, jak czuli się Ali Baba i jego czterdziestu rozbójników, kiedy w tajnym obozie pod Bagdadem spadła im prosto na łby GBU-28.

KONIEC





„Bal maturalny III" opowiada typową dla gatunku historię: grupę nastolatków atakują potwory lub psychopaci



KINO

nie zakazanych filmów, ponieważ miał kopię japońskiego horroru (z cyklu o „Króliku..."), a znany aktor Charlie Sheen zaniósł kasetę z kopią tego samego filmu na FBI, zgłaszając popełnienie przestępstwa przez filmowców.

TROMA

Oczywiście najwięcej filmów powstaje w Stanach Zjednoczonych, a wytwórnia Troma (o której już pisaliśmy na łamach FANTASY) specjalizuje się głównie w tym gatunku, choć w wielu jej produkcjach wprowadzono wątki komediowe czy parodystyczne. Jednak już tytuły filmów opuszczających tę wytwórnię mówią same za siebie: „Nazistowscy surferzy muszą umrzeć" (o murzyńskiej matce mszczącej się za śmierć jedynego syna – liczne brutalne sceny likwidacji kolejnych członków gangu), „Maniakalne pielęgniarki w poszukiwaniu rozkoszy" (o grupie pielęgniarek porywających, gwałcących i mordujących pacjentów), „Barbarzyńska nimfa w piekle dinozaurów" (tu już chyba nawet nie trzeba podawać żadnych bliższych szczegółów).

Spaghetti gore

Sporo filmów klasyfikowanych jako gore powstało we Włoszech, a wielu ich twórców, jak choćby Lucio Fulci, Mario Bava czy Dario Argento przeszli na stałe do historii tego gatunku. Jednak najgłośniejsze włoskie produkcje spod znaku krwi to „Cannibal Holocaust" (1980, reż. Ruggero Deodato) o wyprawie antropologicznej do kolumbijskiej dżungli. Wszyscy uczestnicy zaginęli, udało się tylko odnaleźć nagrane taśmy filmowe, z których dowiadujemy się prawdy o losach ekspedycji (czy miłośnicy „Blair Witch Project" nie dostrzegają pewnych narzucających się wniosków?). Film obfituje w liczne sceny zabójstw, obgryzania ludzkich kończyn przez kanibali i, co jest naprawdę szokujące, prawdziwe sceny zabijania zwierząt. Innym, nie mniej głośnym dziełem jest „Cannibal Ferrox" z 1981 roku (reż. Umberto Lenzi). Fabuła jest nieco zbliżona – grupa antropologów trafia do kolumbijskiej dżungli, gdzie natyka się na handlarzy narkotyków nieludzko wykorzystujących miejscowych Indian. Indianie postanawiają zmienić swój los i pozbywają się intruzów (zarówno handlarzy, jak i badaczy) zjadając ich.

Filmy realizowane przez Dario Argento prezentują sobą zupełnie inny poziom. Mimo że obfitują w liczne krwawe sceny, są jednocześnie bardzo dobrymi filmami grozy. Jego „Głęboka czerwień" (Profondo Rosso, 1975), „Szepty" (Suspiria, 1977) czy „Tenebre" (1982) stały się klasykami gatunku. Niemniej głośne są filmy Lucio Fulciego, „Dom przy cmentarnym murze" (1981) lub „Zombi 2" (1979), zawierający wiele naprawdę bardzo krwawych scen.

Sushi gore

Niezwykle krwawe (i często ocierające się o pornografię) filmy powstają w Japonii. Międzynarodową karierę zrobiły „Tetsuo" (część 1 i 2), opowiadające o mężczyźnie fetyszyście, który wszczepił sobie metalową szynę i nagle zaczyna zmieniać się w cyborga, „Evil Dead Trap", będący japońską przeróbką kultowego horroru „Evil Dead", czy też cykl „Uciekaj króliku...", słynący z realistycznie przedstawionych scen tortur. Niezwykle krwawym filmem jest „Organ" (1996, reż. Kei Fujiwara), opowiadający o policjancie poszukującym zaginionego brata i trafiającym na trop gangu handlującego ludzkimi organami.

Slash!

Nieco innym podgatunkiem gore są filmy z podrodzaju slasher. Z reguły nie mają wątków fantastycznych, a fontanny krwi zapewniają maniakalni mordercy wyposażeni w bardzo ostre narzędzia tnące. Znany krytyk filmowy, Peter Nicholls, określił takie filmy mianem „hulanka maniaka z rzeźnickim nożem" i chyba zawarł w tych kilku słowach całą prawdę o slasherach. Najbardziej znane cykle to „Helloween" i w „Piątek trzynastego", liczące sobie już po kilka części (a wciąż powstają nowe). Do niemniej popularnych należy cykl „Prom Night" („Bal maturalny"). Ich główną atrakcją są rzezie nastolatków dokonywane z reguły nocą i zawsze w wyrafinowany sposób. Czasem, dla urozmaicenia fabuły, ofiary nie są zabijane nożem, a innymi ostrymi narzędziami (np. głowa nabita na sterczący ze ściany gwóźdź, tasak, kosa itp).

Gore jest gatunkiem przeznaczonym dla widzów o naprawdę mocnych nerwach (nie mówiąc już o pełnoletniości), ale miłośnikom może dostarczyć wiele wrażeń. Trzeba tylko pamiętać, że znajomi mogą się nam dziwnie przyglądać, jeśli spróbujemy im pokazać nasze ulubione filmy.

■ Paweł Ziemkiewicz

Masssakraaa!!!



Film „Bloodlust: Subspecies III" to jeden z „mocniejszych" obrazów gatunku



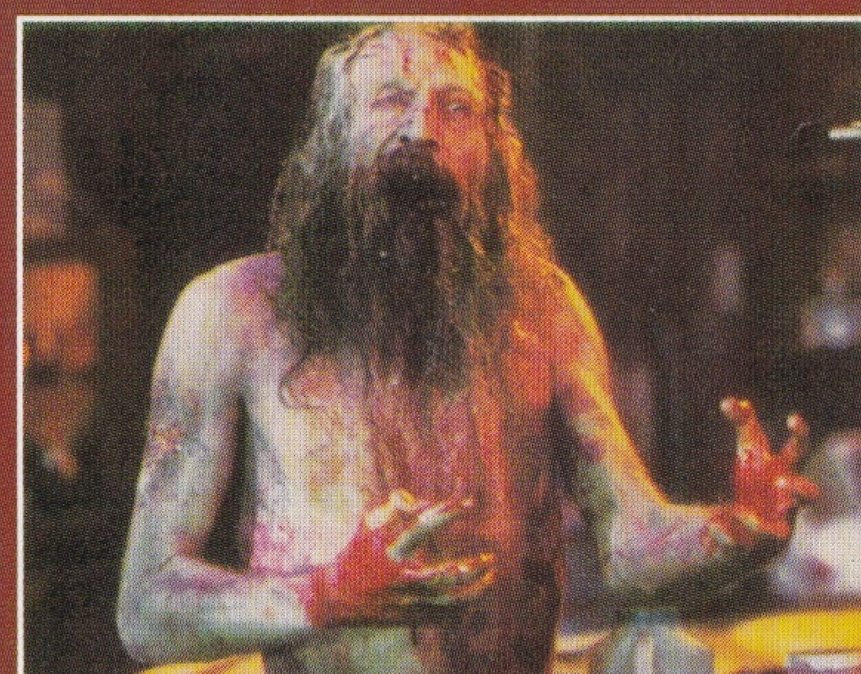
Postacie tak zdeformowane jak w „Ghost Writer" pojawiają się w gore nagminnie



Tak realistyczne zdjęcia zabijania lub tortur („Prison"), to dla gore normalka...



Oto jeden z krwawych efektów przygotowanych do filmu „Highway to Hell 2"

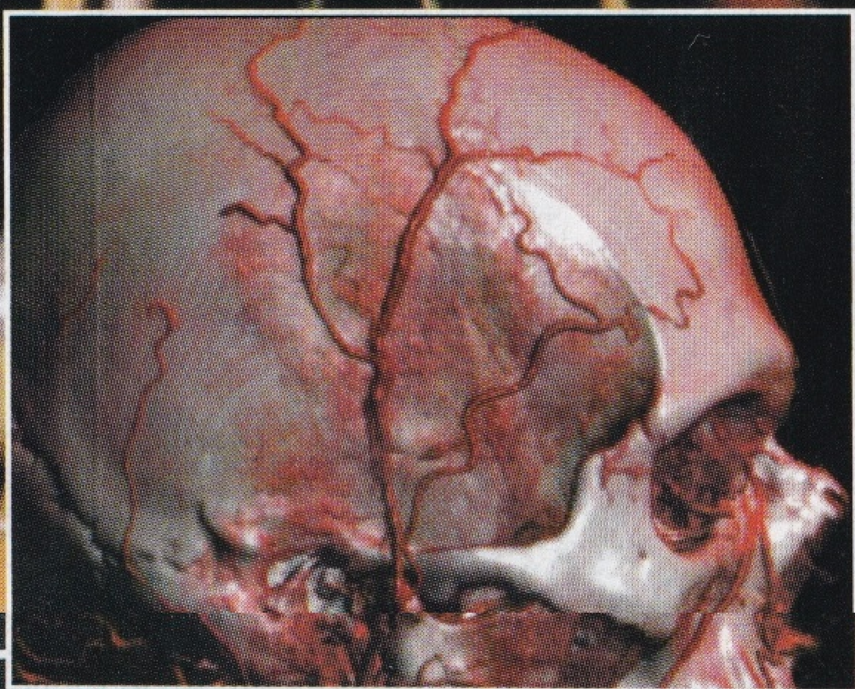


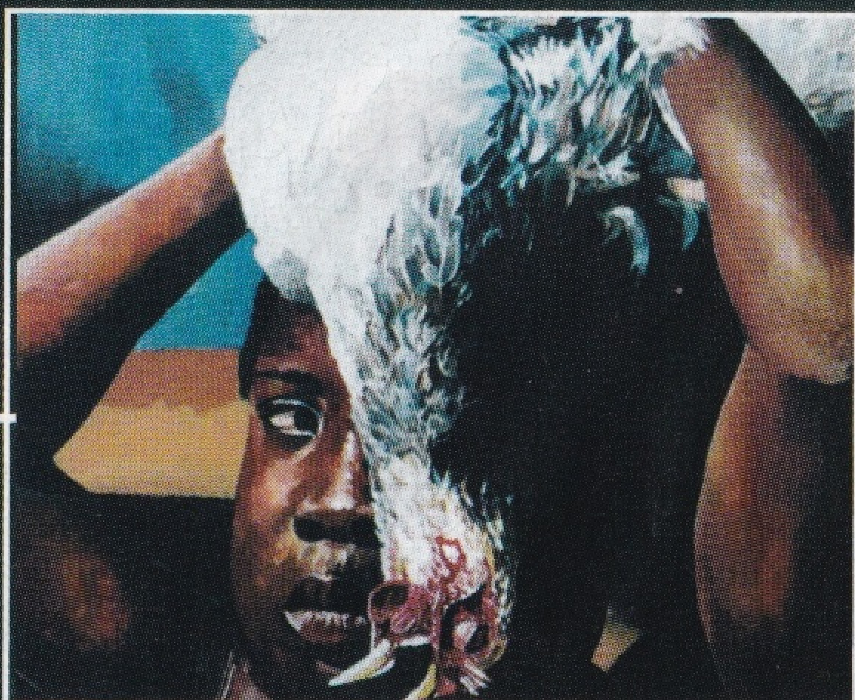
Przygotowanie charakteryzacji takiej jak w „La Boheme" wymaga sporo pracy

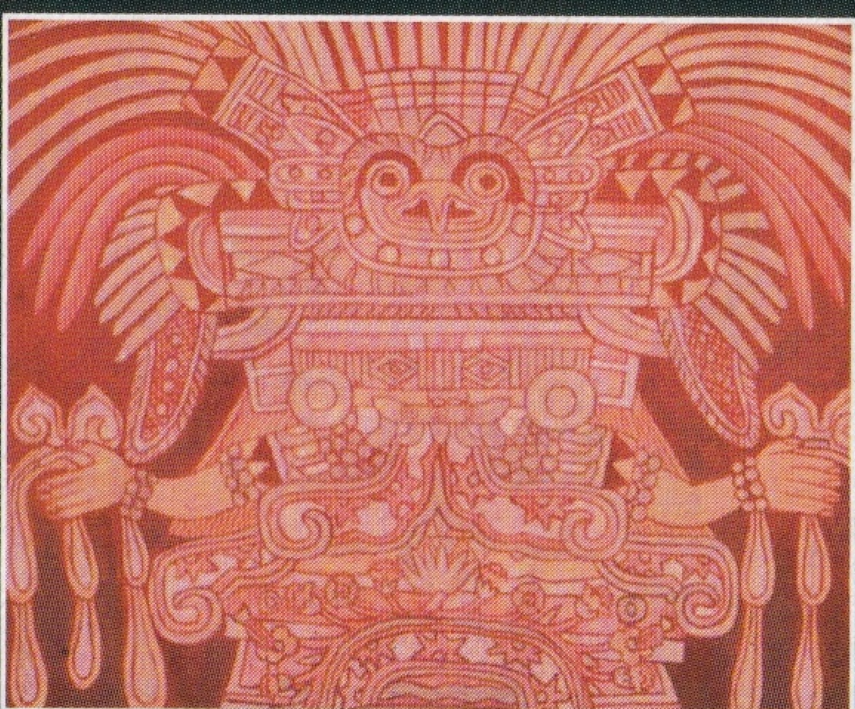


Ludzka krew wciąż jest w cenie. Ofiary ciągle są składane. I wydaje się, że starzy bogowie, choć odeszli w cień, nadal zyskują nowych wyznawców

KRWAWE RYTU


Na wielu cmentarzyskach i śmietnikach znajduje się kości ze śladami ludzkich zębów


Okrutne obrzędy magii voodoo do dzisiaj cieszą się ogromną popularnością


To południowoamerykańskie malowidło przedstawia składanie bogom krwawej ofiary


Oto ołtarz boga - jaguara wzniesiony przez zamieszkujących Płd. Amerykę Olmeków

Nie tylko Aztekowie...

Indiańskie krwawe rytuały to domena nie tylko wielkich i sławnych kultur obu Ameryk, takich jak Majowie, Aztekowie czy Inkowie, które opisałem w poprzednim numerze. Znamy je lepiej, gdyż towarzyszące im okrucieństwo oraz widowiskowość sprawiają z pozoru większe wrażenie, podobnie jak piramida zdaje się być bardziej imponująca od zwykłej lepianki. Na dodatek w tym przypadku dysponujemy nie tylko pełnymi grozy i oburzenia hiszpańskimi relacjami, lecz także dziełami takimi jak słynne kodeksy azteckie, gdzie skrupulatnie wyliczano, kiedy kogo należy zabić, i w jakiej intencji popłynie jego krew.

A jednak różnego rodzaju ofiary oraz rytuały były na terenie obu Ameryk praktyką tak powszechną, że trudno właściwie znaleźć kulturę, która by potrafiła obejść się bez rozlewu krwi. Często krwawe obrzędy odbywały się pod osłoną nieprzebytej dżungli czy w zaciszu skalnego domu.

Okrutna inicjacja

Zapewne najlepiej znaną indiańską praktyką inicjacyjną jest tortura cierpienia i krwi – swego rodzaju krwawo okupione przejście w świat dorosłości – stosowana powszechnie przez Indian Ameryki Północnej, zamieszkujących równiny oraz wschodnie pasma Gór Skalistych.

Dysponujemy setkami opisów tego obrzędu, różniących się nieco szczegółami. Zwykle najpierw plemienny szaman poił młodzieńca naparami z ziół, okadzał lub dokonywał innych magicznych obrządków, aby pomóc adeptowi zwycięsko przejść trudną próbę. Później nieszczęśnikowi rozcinano skórę na plecach lub piersi, przez rozcięcia przewlekano skórzane rzemienie i tak „spreparowanego" chłopca wiązano do drzewa, pala lub wręcz wieszano na specjalnej konstrukcji! Musiał wytrzymać w milczeniu jakiś czas, zwykle około pół doby. Nie wolno mu było także zemdleć. Jeżeli wszystko poszło jak należy, stawał się dorosłym, pełnoprawnym członkiem plemienia, mógł brać udział w polowaniu, a także wojnach międzyplemiennych, których nigdy nie brakowało.

Równie krwawe rytuały stosowały plemiona zamieszkujące lasy Północnej Ameryki. Wiele szczepów wolało, aby młodzieńcy nie marnowali krwi, w obrzędzie inicjacyjnym chodziło przecież głównie o wykazanie się męstwem i hartem ducha. Stąd upowszechniła się praktyka starcia z dużym dzikim zwierzęciem: bizonem, niedźwiedziem czy – w Górach Skalistych – pumą. Zabicie go było równoznaczne z przejściem w dorosłość.

Choć przed polowaniem dawano młodzieńcowi zioła i narkotyki mające zwiększyć jego siłę fizyczną oraz sprawić, by pozbył się strachu, to jednak spróbujmy to sobie wyobrazić. Oto mamy młodego chłopca z oszczepem (tej broni zwykle używano, gdyż należało stanąć ze zwierzęciem twarzą w twarz) naprzeciw niemal trzymetrowego, ważącego pół tony grizzli! A wbrew pozorom nie są to zwierzęta bezbronne jak miś Yogi w kreskówkach. To drapieżniki, które potrafią zabić jelenia i biegają szybciej niż człowiek!

Chłopiec, któremu się nie udało i zginął lub został ciężko ranny, natychmiast był wyrzucany z plemia. Jeżeli przeżył starcie ze zwierzęciem, po wyleczeniu wypędzano go, skazując na banicję. Szacunki mówią, że zwłaszcza w przypadku opisanego tu polowania na grizzli odsetek rannych i zabitych sięgać mógł nawet kilku procent.

Praktykę krwawo okupionej inicjacji stosowali nie tylko Indianie. Znamy ją także z opowieści Inuitów, dawniej zwanych Eskimosami. Ci swą męskość udowadniali w walce z groźnymi ssakami morskimi, takimi jak morsy czy przede wszystkim wieloryby. Wieloryba nie da się jednak upolować w pojedynkę. Stąd podczas polowania na te wielkie zwierzęta chłopcu aspirującemu do roli mężczyzny wyznaczano jedynie zadanie podpłynięcia do ssaka i wbicia pierwszego oszczepu. Potem przyłączała się gromada myśliwych, osłabiając wieloryba kolejnymi harpunami. Lecz to pierwsze uderzenie i wściekłość wieloryba, uderzenia ogonem w wodę lub łódkę bywały naprawdę groźne i niejeden Inuita zginął podczas ceremonii wchodzenia w świat dorosłych.

Święty jaguar

Zwierzęta nie tylko zabijano w ramach krwawych praktyk inicjacyjnych czy religijnych. Utożsamiano je także z bogami, składano im cześć i ofiary. Najbardziej rozpowszechniony w całej pokrytej dżunglą Ameryce Łacińskiej był kult jaguara. Za jego twórców uważani są Olmekowie. Jest to najstarsze plemię z tego regionu, zamieszkujące niegdyś ziemie południowego krańca Meksyku, a szerzej znane z pozostałych po nim wielkich kamiennych głów o negroidalnych rysach, które do dzisiaj stanowią nierozwikłaną zagadkę.

Panteonowi olmeckich bóstw, przybierających postacie w połowie zwierząt, w połowie ludzi, niewątpliwie przewodzi bóg-jaguar, którego prawdziwej, olmeckiej nazwy nie znamy, gdyż nie zachowały się żadne pisane zabytki po tej kulturze. Zwykle przedstawiany był przez Olmeków jako dziecko o niemal kwadratowej twarzy i ustach wygiętych na kształt pyska jaguara. Wciąż stoją w dziewiczej dżungli monumentalne pomniki poświęcone temu bóstwu.

Olmeccy szamani składali bogu-jaguarowi ofiary z ludzi, tym sposobem – a także przy pomocy narkotyków – starając się uzyskać dostęp do wyższego, mistycznego świata.

Już po wygaśnięciu olmeckiej kultury kult ten rozlał się szeroko, sięgając aż po ziemie dzisiejszej Brazylii, czyli amazońskie dżungle. Nie przybierał już tak wyrafinowanej formy i nie wymagał wznoszenia kamiennych przedstawień boga. Najczęściej praktykowany był na sposób czysto szamański: do obrzędów wystarczały skóra i czaszka jaguara oraz narkotyki. Jeżeli podczas takich praktyk składane były ludzkie ofiary, to nie mamy na to dowodów, a jedynie ślady w opowieściach i relacjach. Niekiedy pośród bezkresnych dżungli odnajdywane są skały wychodzące na powierzchnię ziemi, wyrzeźbione na sposób olmecki. I tam, na wydzielonej świętej ziemi, można odnaleźć kości ludzi złożonych w ofierze. Powtarzane są opowieści o szamanach, którzy tak daleko zabrnęli w świat mistyczny, że już nie potrafią w pełni wrócić do ludzkiego świata. W postaci jaguarów krążą więc wokół wiosek i z gniewu zabijają ludzi czy bydło.

Kult ściętych głów

Na zachodnich wybrzeżach Ameryki Południowej – przed pojawieniem się tam inkaskiego imperium – istniał ciekawszy i bardziej okrutny kult, przez ikonografów nazywany „kultem ściętych głów". Nie znamy boga, któremu był poświęcony, jednak ogarnął swym wpływem obszary od wybrzeży Ekwadoru po Chile. Jeżeli wierzyć rzeźbom i malunkom, praktyka ta wyglądała następująco: mężczyźnie krępowano na plecach ręce, następnie siłą zmuszano go do skłonienia się przed kapłanem, który ostrym nożem odcinał mu głowę. Ponieważ rytuał przypominał aztecki sposób postępowania z jeńcami, ceremonia mogła kończyć się libacją i kanibalizmem. W nieco zmienionej postaci kult ten zawędrował w głąb kontynentu, na wschodnie zbocza Andów.

Hunowie morza

Kiedy Kolumb dotarł do Ameryki, wydała mu się ona Rajem. Dopiero później pojął, jak groźni potrafią być mieszkańcy tej ziemi. Zwłaszcza dwa plemiona – Arawaków oraz Karaibów – zapisały się krwawo w hiszpańskiej świadomości. Czy gra w piłkę może się kojarzyć z krwawymi ofiarami? Nam nie, chyba że do akcji wkroczą pseudokibice. Natomiast Arawakowie powiązali tę grę, prowadzoną przy pomocy kauczukowej piłki, z podtrzymywaniem więzi ze światem nadprzyrodzonym. Gra stała się więc rytuałem poprzedzającym złożenie ofiary z pochwyconych jeńców, czemu towarzyszył skomplikowany obrzęd szamański. Jeszcze większą postrachem Hiszpanów okazali się Karaibowie. Plemię to nieco przypominało europejskich Hunów. Choć miało stałe siedziby, szybko je zmieniało, wędrując od wyspy do wyspy. Karaibów wyprzedzał porażający strach, albowiem nie uznawali oni czegoś takiego jak pokój. Wojna była ich sposobem na życie, a ofiary z ludzi formą zapewnienia sobie pomyślności. Karaibowie nie bali się napadać na nikogo – nawet na hiszpańskie statki. Jeżeli zobaczycie film, którego akcja dzieje się na obszarze Zatoki Meksykańskiej i w w którym indiańskie dłubanki dziesiątkami czy wręcz setkami oblegają dumny galeon czy bojową karawelę, będzie to przypominało to właśnie, co wielokrotnie czynili Karaibowie.

A jeńców po złożeniu w ofierze zjadali. Bo do złej sławy otaczającej Karaibów przyczynił się przede wszystkim fakt, iż było to plemię ludożerców.

Kanibalizm

Nie tylko Aztekowie jedli serca jeńców. Właściwe jest postawienie pytania, kto nie był w tej części świata kanibalem? W zasadzie wszystkie plemiona zamieszkujące ziemie Ameryki Łacińskiej – słusznie czy niesłusznie – bywały o to oskarżane. Na pewno kanibalami byli wspomniani wcześniej Olmekowie. Czcili pięknego kota, składali mu ofiary z ludzi, lecz także spożywali zwłoki. Również kultowi ściętych czaszek towarzyszył kanibalizm, choć nic nie wskazuje na to, aby miał powszechny charakter.

W skali uprawianego kanibalizmu wszystkich przebili Anasazi. Wróćmy na chwilę na tereny Ameryki Północnej i przenieśmy się do kanionu rzeki Colorado. Na terenie dzisiejszej Arizony, gdzie nurt wciąż się głęboko w skalny płaskowyż, tworząc urwiska często przecinane skalnymi nawisami, plemię Anasazi wzniosło kilka miast, skalnych pueblo. Była to społeczność świetnie zorganizowana, obejmująca zasięgiem terytoria czterech stanów USA (Nowy Meksyk, Utah, Arizona, Colorado). I oto na jednym ze śmietników – a są one dla archeologów i etnologów bogatym źródłem wiedzy – odkryto kości dziecka. A jeszcze niżej... Jeszcze niżej jest całe cmentarzysko. Tysiące szkieletów, składanych na przestrzeni kilkuset lat. Zabawne, że przez ponad dwie dekady uważano, iż ta skalna kultura w taki właśnie sposób chowała zmarłych. Jednak badając kości przy pomocy mikroskopu elektronowego, ktoś wreszcie zauważył... ślady ludzkich zębów! I tak plemię Anasazi awansowało na zaszczytne pierwsze miejsce w rankingach intensywności uprawianego ludożerstwa. Badania genetyczne pozwoliły ustalić, że jadali zarówno członków własnej społeczności – tu pojawia się wysuwana przez najbardziej radykalnych badaczy teoria, że po prostu hodowali ludzi jak psy, na mięso – jak i jeńców z innych plemion.

Wreszcie wypada wspomnieć o swoistej formie kanibalizmu (naukowo zwanej endokanibalizmem), praktykowanej na wielkich obszarach dzisiejszej Brazylii, wśród szczepów Yanoama. Otóż kiedy ktoś umrze, rodzina, krewni i reszta plemienia najpierw spopielają zwłoki na specjalnie przygotowanym stosie, równocześnie przygotowując papkę z bananów, zwaną mingau. Później zaś podczas specjalnej uczty, poświęconej zmarłemu, mieszają mingau z prochami zmarłego i zjadają. Tym sposobem zmarły pozostaje z nimi na zawsze...



■ Romuald Pawlak, zdjęcia: arch. wyd. Bauer

AŁY 2 DUCHY DŻUNGLI I SKAŁ



Jaguar był dla Indian nie tylko symbolem siły, ale świętym zwierzęciem, a nawet bóstwem



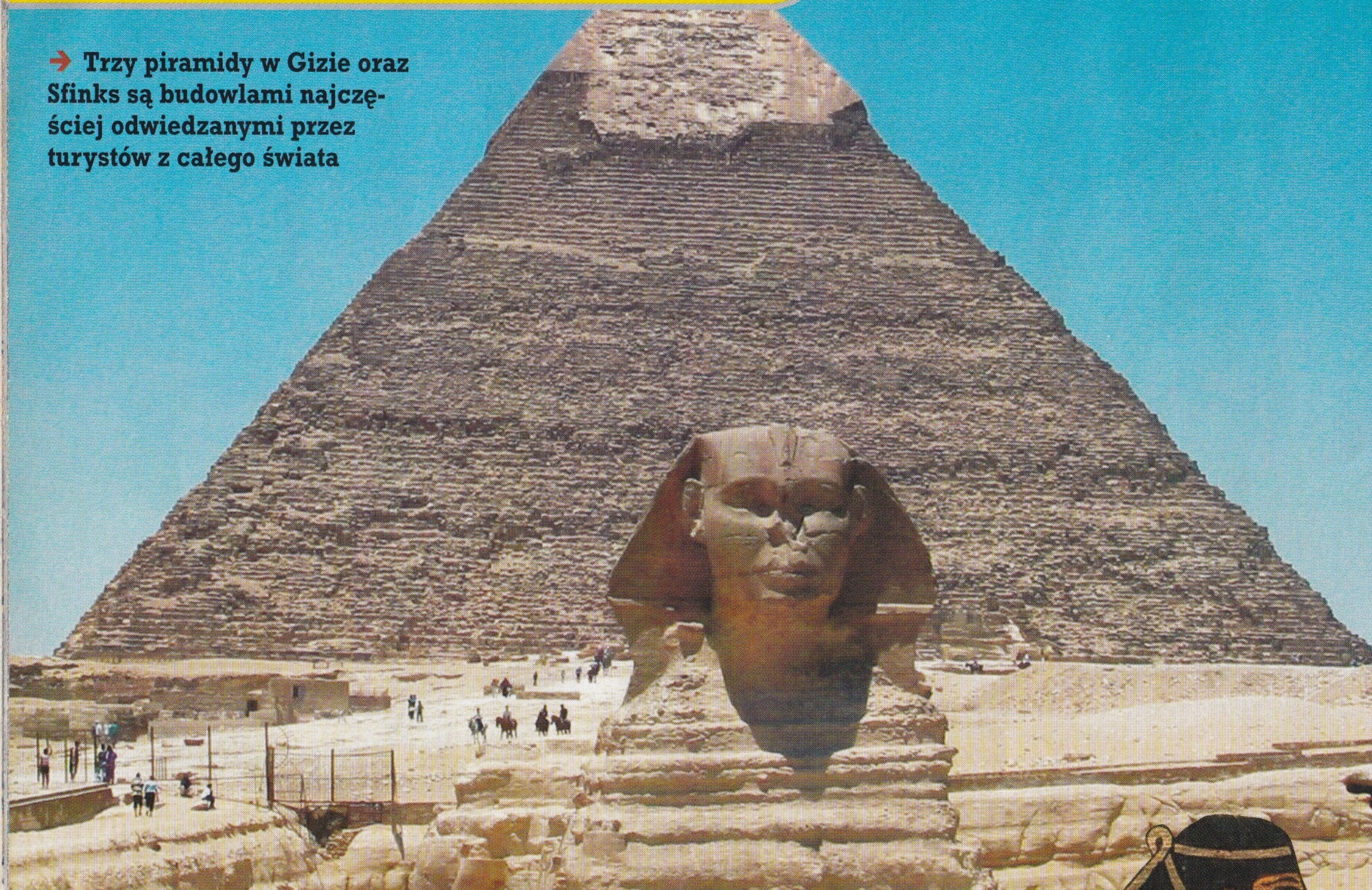
Polowanie na niedźwiedzia to jeden z inicjacyjnych obyczajów Indian. Taka próba nie zawsze kończyła się szczęśliwi

Magia voodoo

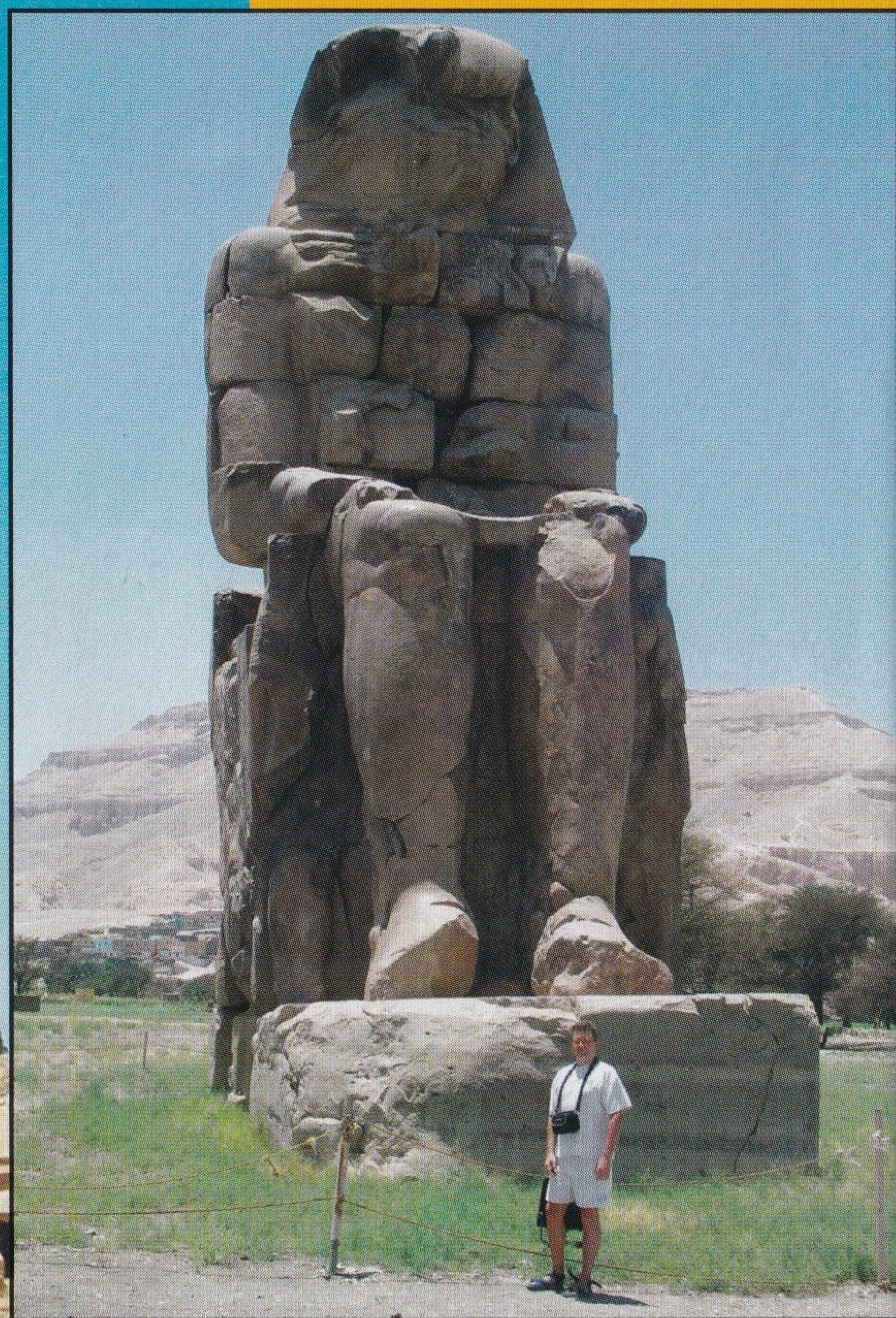
Większość opisanych tu praktyk oficjalnie już nie jest kultywowana. Na wieloryby polować nie wolno, Inuici dostają zezwolenie na odłów raptem kilkudziesięciu sztuk rocznie. Nikt nie ryzykuje inicjacji w starciu z dziką bestią, gdyż Indianie wolą prowadzić kasyna niż mierzyć się z grizzli, a w Ameryce Łacińskiej porywa się kogoś dla okupu, a nie by złożyć go na ołtarzu. Yanoama nie palą się do kontaktów z białymi, zapewne więc ich rytuał kanibalistyczny przetrwa – nie jest to jednak praktyka typowa, choć moim zdaniem bardzo piękna.

Istnieją jednak wyjątki, którym chciałbym poświęcić kilka zdań. Po pierwsze, w stolicy Meksyku od kilku lat tajemniczo giną kobiety. Policja, zamiast starać się rozwikłać sprawę, próbuje ukręcić jej łeb. Ciała odnajduje się na przedmieściach, czasami okaleczone, pozbawione głów albo kończyn. Zdaniem wielu jest to powrót do zamierzchłych, krwawych praktyk, z których słynęli Aztekowie oraz podbite przez nich plemiona.

Hiszpanie zniszczyli większość kultur Ameryki Łacińskiej i pogrzebali makabryczne praktyki. Przez przypadek stworzyli jednak nową: voodoo. System ten jest niezwykłą mieszanką wierzeń plemion Afryki Zachodniej, tradycji rodowitych mieszkańców Haiti oraz hiszpańskiej wersji katolicyzmu, bardzo gorliwej, niekiedy na granicy szaleństwa. Voodoo to religia, ale także praktyki magiczne. Jako wiara służy osiągnięciu zbawienia, a w życiu doczesnym szczęścia. Postrzegany jako magia, zdaniem swoich wyznawców zamienia się w potężną broń. Pozwala zniszczyć przeciwnika, czyli zabić lub przemienić w niewolnika-zombie. Krwawe ofiary są w voodoo na porządku dziennym, choć zwykle na ołtarzach płynie krew zwierząt. Lecz nie tylko. Zarówno na Haiti, jak i w USA dowiedziono niektórym wyznawcom, że składali ofiary z ludzi, szczególnie z dzieci.



Trzy piramidy w Gizie oraz Sfinks są budowlami najczęściej odwiedzanymi przez turystów z całego świata



Zagadki z Egiptu

Słowo „faraon", a właściwie po egipsku „per-aa", nie było dla mieszkańców kraju nad Nilem określeniem władcy, ale jego pałacu. Znaczyło „wielki dom". Prawdopodobnie dopiero Grecy zaczęli tak nazywać też egipskiego króla.

Wierzono, że zmarłemu codziennie trzeba dostarczać posiłek. Obowiązek ten spadał na najstarszego syna nieboszczyka i często był niezwykle uciążliwy.

Kiedyś piramidy były obłożone wapiennymi i granitowymi płytami. Zniszczyli je Arabowie, usiłując dobrać się do ukrytych w grobowcach skarbów.

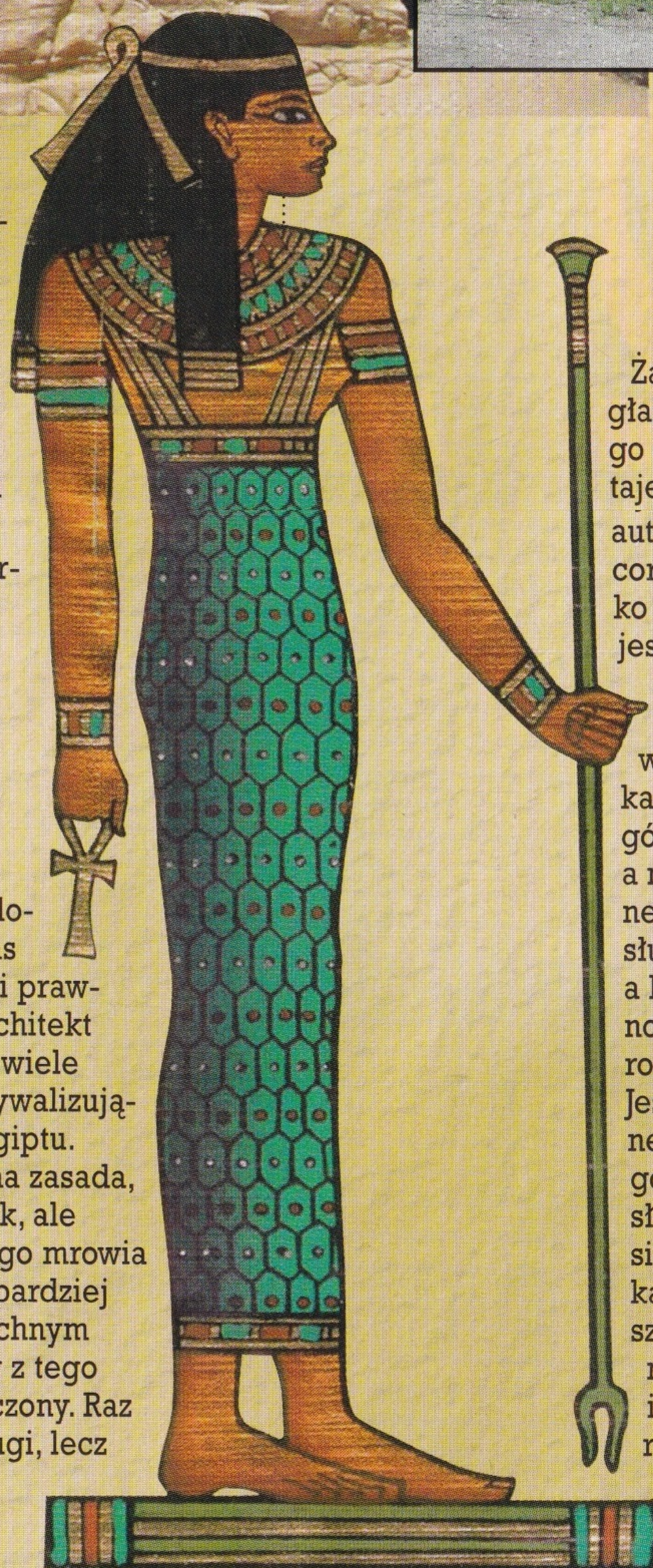
Krzyż Ankh, któremu współcześnie natchnieni mistycy nadają różne, coraz to wznioślejsze znaczenia, dla Egipcjan był po prostu... przedstawieniem żeńskich narządów płciowych, symbolu życia!



W fantastyce Egipt funkcjonuje jako najbardziej typowa, wręcz klasyczna kraina starożytnej magii i tajemnic. Napisano o nim tak wiele, pojawił się w tylu filmach, że zaczął się chyba wydawać czymś swojskim... Szczęśliwie dla egipskich sekretów, wiedza o nich jest zwykle mocno powierzchowna i w dodatku najczęściej czerpana ze swobodnie je traktujących książek oraz filmów.

Egipscy bogowie

Egipcjanie bogów mieli bez liku i prawie każda część kraju oddawała cześć miejscowemu nadprzyrodzonemu bytowi. Do tego dochodzili jeszcze pojawiający się co jakiś czas nowi bogowie, których pierwowzór stanowili prawdziwi ludzie. Bóstwem został na przykład architekt Imhotep, budowniczy pierwszej piramidy, a wiele wskazuje na to, iż Ozyrys i Set byli kiedyś rywalizującymi ze sobą królami Dolnego i Górnego Egiptu. Źródłem tego wielobóstwa była sympatyczna zasada, że nowa wiara nie wyrzuca starej na śmietnik, ale harmonijnie się z nią łączy. Spośród wielkiego mrowia nadistot wyróżnić możemy jednak kilka najbardziej znanych, choć nie jest to panteon w powszechnym tego słowa znaczeniu. Prawie każdy z bogów z tego grona bywał mniej lub bardziej gorliwie czczony. Raz jeden bóg był bogiem „naczelnym", raz drugi, lecz nie rezygnowano z kultu żadnego z nich.



Księga Umarłych

Żadna księga o TAKIM tytule nie ustrzegłaby się wykorzystania w roli mrocznego grimuaru, skrywającego straszliwe tajemnice. Zatem i po nią często sięgali autorzy opowiastek grozy, przypisując jej coraz to potworniejsze moce (starczy tylko wspomnieć film „Mumia"). A prawda jest tak prozaiczna, że aż przykro. Starożytni Egipcjanie mieli sprecyzowane poglądy na temat życia pozagrobowego. Wedle zachowanych przekazów, każdy nieboszczyk trafiał przed sąd bogów, gdzie musiał złożyć samokrytykę, a następnie poddać swe serce specjalnemu ważeniu pod okiem Ozyrysa. „Obsługą" wagi zajmował się bóg Anubis, a bóg Thot, wynalazca pisma, skrzętnie notował wynik. Odważnik stanowiło pióro, symbolizujące boginię prawdy, Matt. Jeśli obie szale pozostawały we względnej równowadze, delikwenta uznawano godnym wiecznego szczęścia na błogosławionych pola Iaru, gdzie miał wieść sielski żywot. W innym wypadku spotykały go różne kary. Jedną z łagodniejszych stanowiły wieczny głód i pragnienie, a najcięższą było fizyczne i duchowe unicestwienie przez potwora Ammita. Ammit wyglądał przerażająco, gdyż miał zad hipopotama, lwi tułów i łeb krokodyla.

EGIPSKIE

Szczęśliwcy, którym udało się przejść próbę bez szwanku, mogli także podróżować poza Iaru, np. mieszkać w grobie i spacerować po świecie od wschodu do zachodu słońca, przybierając różne postaci (np. zwierząt), wieczorem zaś grzecznie kłaść się do mogiły lub wracać na pola Iaru.

Perspektywa pośmiertnego sądu mocno stresowała każdego Egipcjanina, który, jak my wszyscy, zawsze miał sporo na sumieniu. Co gorsza, stanąwszy przed Ozyrysem, musiał jeszcze pamiętać o przestrzeganiu skomplikowanych reguł pozagrobowego savoir-vivre'u.

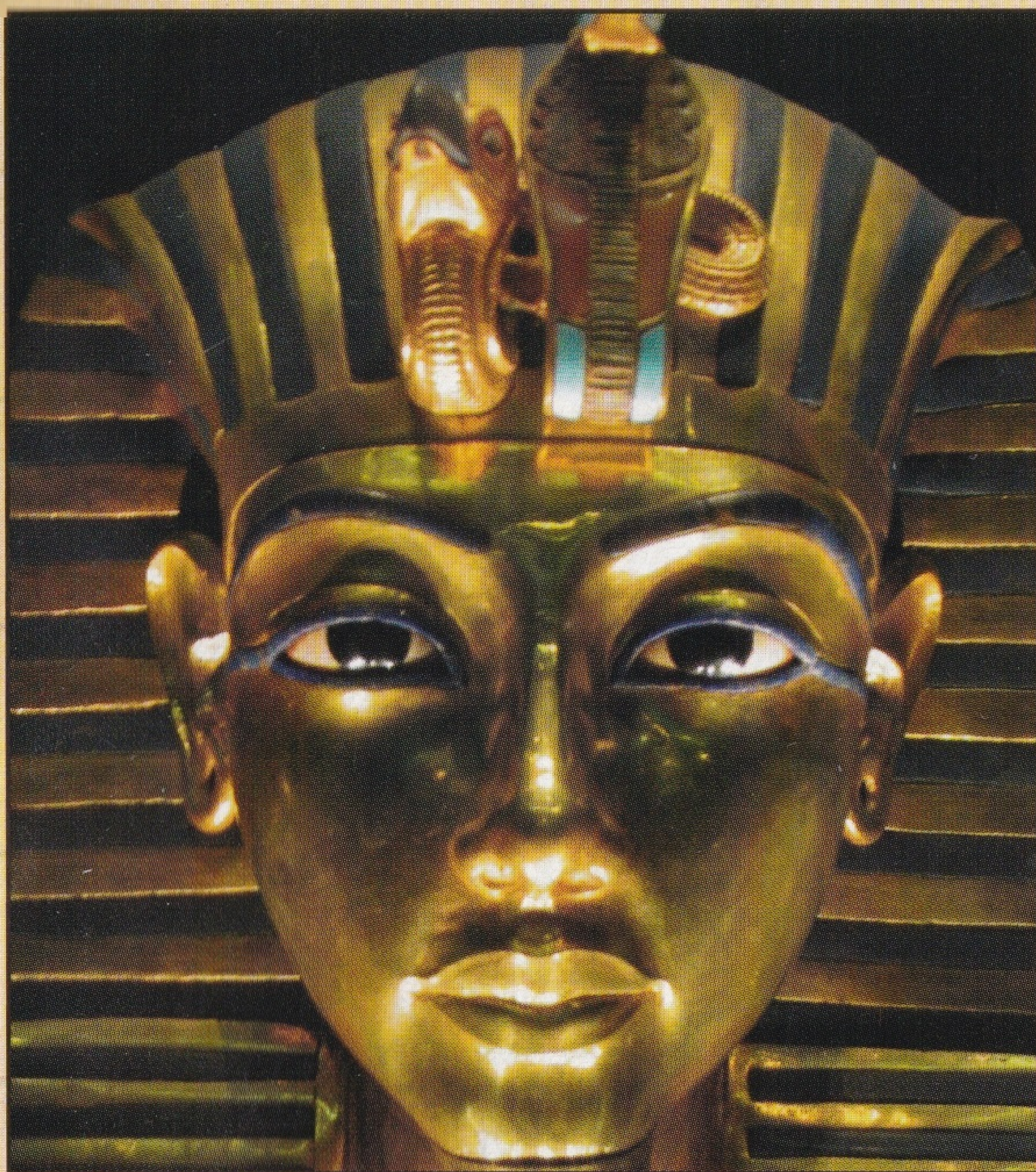
Egipscy kapłani zwęszyli w tym wszystkim okazję do ubicia świetnego interesu i zaczęli proponować rozmaite usługi, mające pomóc zmarłemu w szczęśliwym przebrnięciu czekających go w zaświatach formalności. Oferowali modlitwy, amulety, a przede wszystkim odpowiednie informacje. Powstawały przewodniki, szczegółowo opisujące, co czeka nieboszczyka po tamtej stronie oraz jakimi sposobami może przechytrzyć bogów (na przykład zamiast serca radzono kłaść na wagę odpowiedni amulet). Bojaźliwi Egipcjanie oczywiście kupowali to za grube pieniądze. Powstawały zatem różne „Księgi Bram", „Księgi Nocy" – aż wreszcie tekstów, mapek i innych wskazówek zrobiło się tyle, iż pojawiła się konieczność zebrania tego w jeden bedeker. Co też uczyniono, nazywając ów przewodnik, całkiem adekwatnie do treści, „Księgą Umarłych". A jej kopie wkładano do wszystkich grobów, napędzając w ten sposób miejscowy przemysł księgarski.



Mumie

Wiemy, że w Egipcie balsamowano zwłoki i to tak skutecznie, że prawie nie psuły się przez tysiące lat. Ale nie wiemy za to, dlaczego tak robiono. Zwyczaj mumifikacji wynikał najprawdopodobniej z wierzeń dotyczących związków duszy i ciała. Sądzono, iż owe związki są tak silne, że zniszczenie fizycznej powłoki powoduje całkowite unicestwienie osobowości, zupełne odejście w niebyt. Sądzono też, że człowiek żyje w innym świecie, póki na Ziemi istnieje jego fizyczna powłoka. Nic więc dziwnego, że Egipcjanie ze wszystkich sił starali się ocalić ją od zniszczenia. Początkowo chowali zmarłych na pustyni, ufni, że słońce wysuszy zwłoki i w ten sposób je zakonserwuje. Wkrótce jednak zaczęto sięgać po bardziej wyrafinowane metody. Przykrywano trupa skórami, wielkimi glinianymi nieckami, aż wreszcie zaczęto owijać bandażami nasączonymi sodą – co dało początek słynnej i skomplikowanej egipskiej mumifikacji.

Proces mumifikacji trwał kilkadziesiąt dni. Najpierw usuwano mózg i wnętrzności, wkładając je do specjalnych urn. Potem zwłoki umieszczano w roztworze soli i ługu, który po prostu je marynował. Jamę brzuszną odkażano wonnymi ziołami i owijano zmarłego w coraz to grubsze płócienne bandaże (wcześniej wetknąwszy w jego ciało wiele amuletów). Między bandażami – na piersiach, pod ramionami lub w okolicy nóg kładziono „Księgę Umarłych". Ostatnią warstwę bandaży nasączano klejem, przez co twardniała jak skorupa. Spreparowane zwłoki chowano potem do coraz to większych trumien, początkowo zwykłych skrzyń, a w późniejszych latach do antropomorficznych sarkofagów. Na trumnach wypisywano teksty religijne, malowano drzwi służące zmarłemu do wychodzenia na ten padół oraz oczy, którymi mógł nań spoglądać. Bogaczom wsadzano też do grobów ich własne posągi, które miały chronić od zguby w razie zniszczenia ciała.



Piramidy i inne groby

Okazałe i trwałe grobowce egipskich zmarłych to także efekt lęku przed zniszczeniem ciała. By zapewnić mu jak największe bezpieczeństwo, mogiły robiono coraz staranniej – wykuwano je w skale, tynkowano, malowano, zaopatrywano w strop. Miejsce pochówku oznaczano wpierw kopczykiem piasku, potem budowlą w kształcie ściętego ostrosłupa o prostokątnej podstawie. Dziś nazywamy ją mastabą, od arabskiego słowa oznaczającego ławę.

Faraonom takie groby nie wystarczały. Genialny architekt Imhotep, sługa faraona Dżosera z III dynastii, wpadł na pomysł, aby na zwykłej mastabie postawić drugą, mniejszą, na niej jeszcze jedną i jeszcze jedną... Tak powstała pierwsza piramida schodkowa, którą po dziś dzień można podziwiać w Sakkarze, nieopodal Memfis. Późniejsi architekci uznali, że budowla ładniej będzie wyglądać, jeśli przestrzeń między schodkami czymś się wypełni, a całość zwieńczy szpicem. I tak powstała klasyczna piramida.

Królewska piramida była centrum całej nekropolii, bowiem wokół niej stawiano grobowce urzędników i dostojników, jak w prawdziwym mieście grupując je w kwartały i wytyczając ulice.

Budowa piramid pochłaniała jednak zbyt wiele czasu i środków, dlatego gdy faraon z IV dynastii z boga stał się tylko synem bożym, uznano, iż wystarczy mu mniej okazały grobowiec, kuty w skale – choć bogato wyposażony. Takie grobowce znajdują się w słynnej Dolinie Królów, nieopodal Luksoru.

Nie tylko hieroglify

Słynne egipskie hieroglify tak naprawdę znane były niewielu mieszkańcom i rzadko ich używano. Te 750 symboli (około) znali tylko wtajemniczeni kapłani i używali ich do naprawdę ważnych spraw, na przykład uświetnienia grobowca władcy. Pozostawiwszy skomplikowane hieroglify sferze obrzędów, kapłani wymyślili łatwiejszy sposób notowania, nazywany pismem hieratycznym (czyli po prostu „kapłańskim"). Wyszukane symbole uproszczono do konturów, czasem zlewano kilka znaków w jeden, prawie w ogóle nie przypominający oryginału. Owo pismo z biegiem czasu uproszczono jeszcze bardziej, zmieniając w pismo demotyczne (czyli ludowe), gdzie znaki niczym już nie przypominały obrazków, z których się wywodziły, stając się abstrakcyjnymi połączeniami kresek i łuków.

■ Maciej Nowak-Kreyer,
zdjęcia: arch. wydawnictwa Bauer



↑ **Świątynia w Karnaku (na zdjęciu stojące nieopodal wejścia posągi) jest jednym z największych arcydzieł antycznej sztuki architektonicznej**

Bogowie znad Nilu

Amon Ra – pierwotnie było to dwóch bogów. Amon, władca powietrza, urodzaju oraz opiekun miasta Teby i Ra, bóg Słońca, płynący w swojej świętej łodzi po niebie od wschodu do zachodu. Od czasów faraona Chefrena każdego egipskiego władcę uznawano za syna Ra. Obie nadistoty z czasem stopiły się w jedną: najwyższego boga i opiekuna całego egipskiego państwa.

Horus – syn Ozyrysa i Izydy, wojownik, a zarazem opiekun niebios, jeden z najpopularniejszych bogów Egiptu. Także jeden z pierwszych bogów czczonych nad Nilem. Dopiero zlewanie się nowego ze starym uczyniło go synem Ozyrysa.

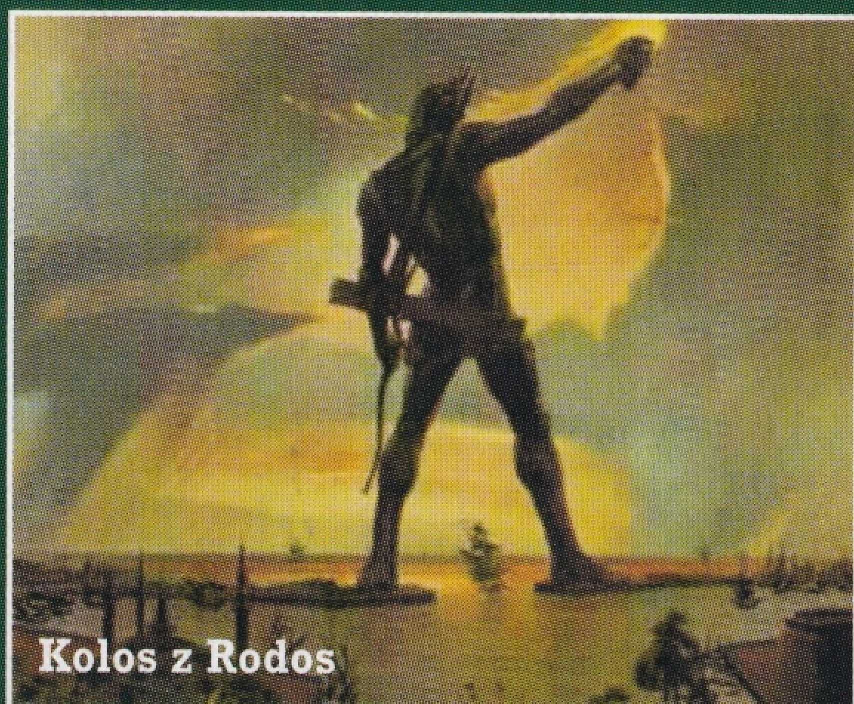
Izyda – żona i siostra Ozyrysa (w Egipcie kazirodztwo wśród elit nie było piętnowane, uważano je za sposób na zachowanie czystości krwi). Bogini płodności, egipskie oblicze pradawnego kultu Bogini Matki. Na przedstawieniach często piastuje małego Horusa – co bardzo ułatwiło przerobienie jej kultu na maryjny. Nie trzeba było nawet rzeźbić nowych figur...

Ozyrys, brat Seta, pan Nilu i życiodajnych sił natury. Zamordowany przez brata i pocięty na kawałki, zmartwychwstał. Zstąpił do zaświatów, gdzie objął dodatkową funkcję sędziego umarłych. Ciekawostka – przedstawiono go zwykle pod postacią ukoronowanej mumii z zieloną twarzą.

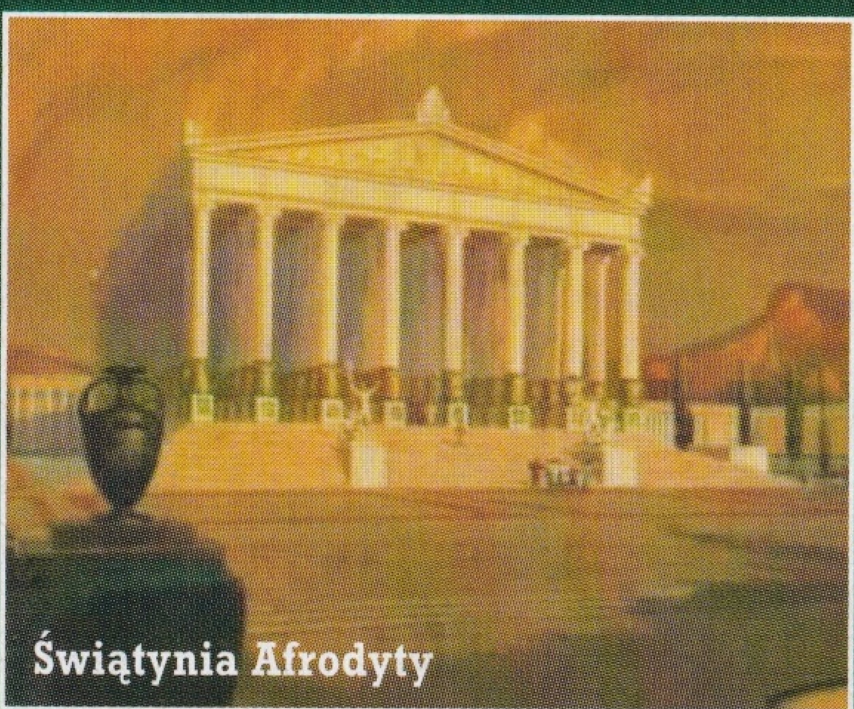
Seth, groźny bóg burzy i pustyni. Nieprzyjaciel Ozyrysa, jego brat i zabójca, przedstawiany w postaci zwierzęcej lub z głową szakala, czczony głównie w Górnym Egipcie. Wbrew powszechnej opinii, Egipcjanie zazwyczaj nie uważali go za boga złego, lecz tylko niebezpiecznego. Ciekawostka – jego imię przybierali niektórzy faraonowie.

TAJEMNICE

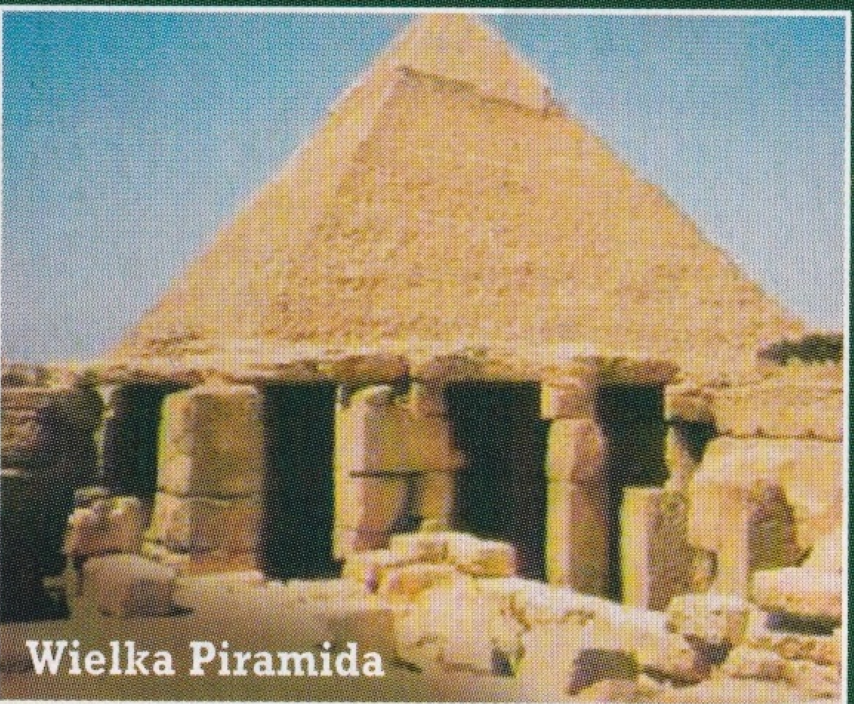
7 CUDÓW


Kolos z Rodos

- Miejsce: wyspa Rodos, koło Grecji
- Przeznaczenie: symbol jedności i zwycięstwa
- Rok powstania: 282 r. p.n.e.
- Budowniczy: rzeźbiarz Chares z Lindos


Świątynia Afrodyty

- Miejsce: Efez, 50 km od Izmiru w Turcji
- Przeznaczenie: miejsce kultu oraz targ
- Rok powstania: 550 r. p.n.e.
- Budowniczy: architekt Chersiphron


Wielka Piramida

- Miejsce: Giza, koło Kairu w Egipcie
- Przeznaczenie: grobowiec faraona Khufu
- Rok powstania: 2650 r. p.n.e.
- Budowniczy: faraon Khufu (IV dynastia)

Zanim zaczniesz czytać ten artykuł, spróbuj przypomnieć sobie, jakie budowle nazywamy Siedmioma Cudami Świata. Jeśli uda ci się wymienić chociaż pięć, to wierz mi: jest nieźle! Bowiem chociaż często używa się w potocznym języku określenia „ósmy cud świata", które oznacza coś zachwycającego (lub ironicznie: coś żałosnego), to nie tak łatwo przypomnieć sobie pozostałych siedem Cudów, które w dawnych czasach przyciągały dziesiątki tysięcy antycznych turystów.

Lista ta zresztą powinna tak naprawdę nazywać się Siedem Cudów Świata Antycznego, gdyż nie uwzględnia imponujących budowli pochodzących spoza okresu antycznego kultury śródziemnomorskiej. A przecież posągi na Wyspie Wielkanocnej, meksykańskie piramidy, chiński Wielki Mur, hinduski Taj Mahal czy rzymskie Koloseum do dzisiaj są obiektami godnymi podziwu, odwiedzanymi przez miliony turystów i opisywanymi w tysiącach bedekerów. Istnieje też pojęcie Siedem Cudów Nowoczesnego Świata, do których zalicza się na przykład Statuę Wolności, wieżę Eiffla czy pałac w Luwrze. Tymi budowlami zajmiemy się jednak w innym artykule.

Wielka Piramida

Piramidy to jedne z najbardziej zagadkowych budowli starożytnego świata. Do tej pory jeszcze uczeni oraz inżynierowie prowadzą spory dotyczące szczegółów wzniesienia tych imponujących monumentów. Trzeba bowiem zdać sobie sprawę z kilku rzeczy. Na przykład z tego, że Egipcjanie nie znali koła, a więc kolosalne bloki kamienne transportowali za pomocą rolek zrobionych z pni drzew. Najbliższe kamieniołomy znajdowały się po drugiej stronie Nilu, a więc bloki te trzeba było również przetransportować przez rzekę. Faraonowie dysponowali jednak ogromnymi zapasami siły roboczej, a piramidy wznoszono przez długie lata. Do tej pory zachowały się spisy robotników, z których wiadomo, że jednorazowo przy budowie piramid mogło pracować nawet do stu tysięcy ludzi. Trzeba też pamiętać, że piramidy są nie tylko pomnikiem ludzkiego geniuszu i grobowcami faraonów. Są pomnikami bezwzględności, pychy oraz okrucieństwa i grobowcami dziesiątków tysięcy Egipcjan, którzy zginęli w czasie ich wznoszenia.

Piramidy istnieją w niemal nienaruszonym stanie (niestety jednak, ukradziono piękne kamienne płyty, którymi były wyłożone ich ściany) i budziły podziw wszystkich, którzy mieli okazję odwiedzić Egipt. Napoleon Bonaparte, kiedy najechał to państwo, powiedział: „Żołnierze, 40 wieków na was patrzy ze szczytów tej piramidy".

Piramidę budowano przez 20 lat i do tego celu użyto około 2 milionów kamiennych bloków (każdy ważył co najmniej dwie tony). W momencie powstania budowla miała ponad 145 metrów wysokości (a więc mniej więcej tyle co 5 dziesięciopiętrowców z wielkiej płyty). Zbudowano ją na bokach kwadratu o wymiarze 229 metrów. Wszystkie ściany piramidy są obrócone dokładnie w kierunku geograficznych stron świata. Obliczono, że z kamieni użytych do wybudowania wszystkich trzech piramid w Gizie dałoby się wznieść trzymetrowej wysokości mur otaczający całą Francję.

Latarnia z Faros

Żegluga w czasach antycznych nie była zajęciem łatwym, a na Morzu Śródziemnym, wydającym się nam dzisiaj małym oraz bezpiecznym akwenem, ginęło każdego roku wielu żeglarzy. Dlatego też Latarnia z Faros stanowi przykład nie tylko osiągnięcia budowlanego. Jako jedyny z Cudów Świata służyła czemuś więcej niż tylko religijnemu kultowi lub podkreśleniu potęgi rządzącego władcy. Budowla ta przetrwała bardzo długo. Jednak około roku 900 n.e. przypadkowo zostało stłuczone jej lustro, a w roku 956 oraz 1303 i 1323 latarnię uszkodziły trzęsienia ziemi. Podróżujący do Aleksandrii w 1349 roku sławny podróżnik Ibn Batuta nie był już w stanie zwiedzić zrujnowanego budynku. W roku 1480 Latarnia została rozebrana z rozkazu sułtana Egiptu, a kamienie wykorzystano do budowy panującego nad nadbrzeżem fortu. Pamięć o Latarni przetrwała w językach wielu narodów, a włoskie, hiszpańskie i francuskie określenia „latarni morskiej" oparte są na słowie „pharos".

Wysokość Latarni wynosiła 117 metrów (czterdzieści dzisiejszych pięter). Odbicie lustra było widoczne z odległości 50 kilometrów od brzegu (w dzień odbijało ono promienie słońca, w nocy rozpalano przed nim płomień).

Kolos z Rodos

Górujący na wejściem do portu Kolos był posągiem Heliosa – boga Słońca. Miał symbolizować zjednoczenie rodyjskich miast-państw oraz upamiętniać wielkie zwycięstwo Rodos (i sprzymierzonego z nim Egiptu) nad macedońską flotą. Najzabawniejszy jest jednak fakt, że współczesne badania wskazują, iż Kolos w żadnym razie nie mógł wyglądać tak jak na późniejszych ilustracjach (czyli stać okrakiem nad wejściem do portu). Prawdopodobnie został wzniesiony na wschodnim wybrzeżu, a niektórzy podejrzewają, że nawet znajdował się w głębi lądu. Ten Cud przetrwał zaledwie 56 lat! W roku 226 silne trzęsienie ziemi uszkodziło kolana posągu i zwaliło go na ziemię. Natychmiastową pomoc w odbudowie zaoferował król Egiptu Ptolemeusz, ale została ona odrzucona. Zdecydowała magia, czyli zła wróżba wyroczni, która zakazała rekonstrukcji posągu! Ostatecznie ślad po budowli zniknął w VII wieku za sprawą Arabów, którzy zdobyli wyspę, a kamienie z Kolosa sprzedali syryjskim Żydom.

Zbudowany z brązu, kamienia i żelaza posąg miał wysokość 33 metrów, a więc nieco więcej niż dziesięciopiętrowy blok. To właśnie Kolos stanowił podobno wzór dla Augusta F[illegible]oldiego, twórcy Statuy Wolności.

ŚWIATA

Wiszące ogrody

Nazywa się je niesłusznie Ogrodami Semiramidy, choć królowa ta nie miała nic wspólnego z ich powstaniem. Jeśli w ogóle powstały! Obecnie uważa się bowiem, że Wiszące Ogrody są tylko poetyckim wymysłem i efektem opowieści żołnierzy króla Aleksandra, którzy pochodzili z biednej Macedonii. Zobaczyli oni wspaniałą przyrodę dorzecza Eufratu oraz imponujące zigguraty (kamienne budowle w kształcie piramid) i opowiadali o swych przeżyciach tak długo i tak barwnie, że zapłodnili wyobraźnię greckich pisarzy oraz poetów. Gdyż, co ciekawe, o fenomenie takim jak Wiszące Ogrody nie wspominają źródła rodzime, czyli mezopotamskie.

Świątynia Artemidy

Uważana była za najpiękniejszą budowlę wzniesioną kiedykolwiek przez człowieka. Ciekawe, że jej patronką stała się akurat Artemida – bogini łowów i lasów, opiekunka dzikich zwierząt. Budynek był niezwykle bogato zdobiony, znajdowało się w nim wiele posągów z brązu oraz srebra, złote filary oraz freski i malowidła. Interesujące, że nie znaleziono żadnych danych na temat posągu samej Artemidy, który zapewne musiał się w budynku znajdować. Jako miejsce kultu i jednocześnie słynny punkt handlowy Świątynia odwiedzana była nawet przez gości z Persji oraz Indii, o czym świadczą znalezione przez archeologów liczne dary pielgrzymów pochodzących z tych krajów.

Świątynia Artemidy zapisała się w historii jako miejsce jednego z najbardziej odrażających aktów wandalizmu (czy może raczej terroryzmu) w czasach antycznych. W roku 356 p.n.e została podpalona przez Greka o imieniu Herostratus (historycy zwracają uwagę na fakt, że wydarzyło się to dokładnie w dzień urodzin Aleksandra Macedońskiego!), który w ten sposób chciał „zapisać swe imię na wieczność w historii". Przez następnych kilkadziesiąt lat trwała odbudowa, do której zresztą walnie przyczynił się Aleksander Macedoński. W roku 262 Świątynia została zniszczona przez Gotów, ale ponownie ją odbudowano. Upadek tej budowli przypada na lata triumfującego chrześcijaństwa. W końcu w roku 401 kazał ją zniszczyć święty Jan Chryzostom (ciekawe, czy właśnie za to barbarzyństwo katolicy zrobili go świętym?). Ponownie więc chrześcijanie okazali się dużo gorsi od naturalnej katastrofy.

Wzniesiona została w całości z marmuru. Sklepienie znajdowało się na wysokości od 80 do 130 metrów, a każda ze 127 kolumn liczyła niemal 20 metrów.

Grobowiec Mausollosa

Budowla ta musiała na starożytnych wywrzeć wielkie wrażenie, skoro od imienia króla Mausollosa pochodzi nazwa „mauzoleum" oznaczająca „monumentalny, często bogato zdobiony grobowiec". Budowę rozpoczęto najprawdopodobniej za życia satrapy (był to tytuł przyznawany gubernatorom rządzącym w imieniu imperium Persów, ale faktycznie niezależnym politycznie), a po jego śmierci kontynuowały ją żona oraz córka.

Mauzoleum składało się z podium, arkad i piramidy, a jego zwieńczenie stanowił sześciometrowej wysokości posąg czterokonnego rydwanu. Komnata grobowa oraz sarkofag (znajdujące się na podium i otoczone kolumnami w stylu jońskim) zostały wykonane z alabastru zdobionego złotem. Szczególny podziw wśród zwiedzających budził nie sam budynek, lecz wkomponowane weń (a wykonane przez najwybitniejszych artystów epoki) wspaniałe rzeźby wyobrażające ludzi oraz dzikie zwierzęta.

Również dla tej budowli katastrofą okazały się rządy chrześcijan. Mauzoleum przetrwało trzęsienia ziemi, ale nie przetrwało rządów rycerzy maltańskich, którzy w latach 1494-1522 rozebrali budynek, a materiał zużyli na wzniesienie fortecy. Niektóre z posągów ozdabiających mauzoleum przetrwały do dzisiaj i można je obejrzeć w British Museum w Londynie.

Budynek zbudowano na bazie prostokąta o bokach 30x40 metrów, ogólna wysokość wynosiła 45 metrów.

Posąg Zeusa

Świątynia Zeusa była symbolem potęgi Grecji oraz hołdem oddanym starożytnym Olimpiadom. Znajdujący się w niej posąg stał sięw czasach antycznych celem licznych pielgrzymek. Starożytni kronikarze zwracali uwagę na fakt, że siedzący na tronie Zeus niemal dotykał głową sklepienia. Zaniepokojenie budziła myśl: co by było, gdyby bóg raczył powstać?

Na początku naszej ery rzeźba tak bardzo spodobała się cesarzowi Kaliguli, że kazał ją przetransportować do Rzymu, jednak cała rzecz nie powiodła się z przyczyn technicznych. Kiedy w roku 391 cesarz Teodozjusz, gorliwy chrześcijanin i fanatyk religijny, zakazał przeprowadzania Olimpiad, świątynię zamknięto. Sam posąg został przetransportowany do Konstantynopola, gdzie w roku 462 strawił go potężny pożar. W czasach antycznych powstały liczne jego kopie, ale żadna nie przetrwała do dzisiaj. Wszelkie próby rekonstrukcji są oparte raczej na fantazji autorów i najprawdopodobniej nie odzwierciedlają rzeczywistości. Po świątyni w Olimpii nie pozostało nic prócz ruin. Trzęsienia ziemi, powodzie, pożary oraz chrześcijanie „zatroszczyli" się, by nie pozostał nawet ślad po tym jednym z symboli antycznej kultury.

Łączna wysokość postumentu oraz samego posągu wynosiła 20 metrów, a więc więcej niż wysokość zwykłego bloku mieszkalnego. Monument wykonano z kości słoniowej oraz złota. Był on zdobiony ornamentami przedstawiającymi postacie z greckiej mitologii.

■ Andrzej Zaremba, zdjęcia: arch. wydawnictwa Bauer



Wiszące ogrody

- Miejsce: 50 km na południe od Bagdadu w Iraku
- Przeznaczenie: ozdoba
- Budowniczy: król Nabuchodonozor II?



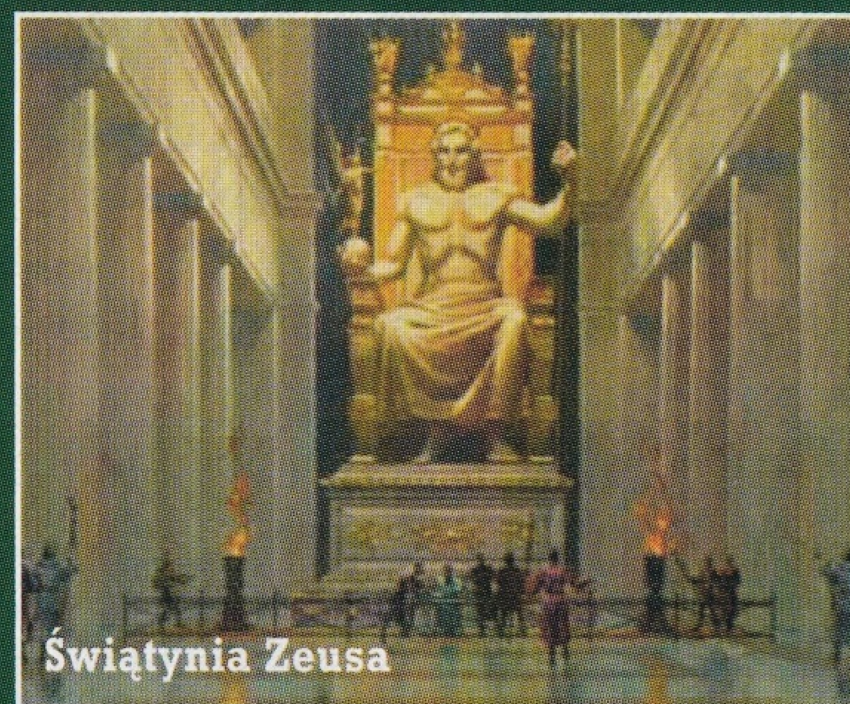
Mauzoleum

- Miejsce: Helikarnas (Bodrum) w płd-zach Turcji
- Przeznaczenie: grobowiec
- Rok powstania: 350 r. p.n.e.
- Budowniczy: satrapa Mausollos oraz jego rodzina



Latarnia z Faros

- Miejsce: wyspa Faros, koło Aleksandrii w Egipcie
- Przeznaczenie: latarnia morska
- Rok powstania: po 290 r. p.n.e.
- Budowniczy: królowie Ptolemeusz Soter i Ptolemeusz Filadelfijski



Świątynia Zeusa

- Miejsce: Olympia, 150 km od Aten w Grecji
- Przeznaczenie: miejsce kultu
- Rok powstania: ok. 440 r. p.n.e.
- Budowniczy: Pheidias

Obraz Malczewskiego „Anioły z Tobiaszem"

Średniowiecze było czasem świętych. Misjonarze nieśli Dobrą Nowinę na dalekie lądy, przemierzali oceany, ufni, że Bóg ochroni ich przed wzburzonymi odmętami. Męczennicy ginęli na arenach i stosach, nie chcąc się zaprzeć prawdziwej wiary. Świątobliwi biskupi samotnie stawiali czoła armiom i czynili cuda. Mnisi ustanawiali nowe zakony, wznosili klasztory, karczowali pola i sadzili winnice. Ale jednocześnie tamte czasy są pełne trudnych dla nas do zrozumienia okrucieństw, popełnianych w imię Boga. Świeżo nawróceni na chrześcijaństwo władcy w trosce o nieśmiertelne dusze swych poddanych bez miłosierdzia zmuszali ich do przyjęcia nowej wiary. Nasze rodzime wybijanie zębów tym, którzy nie zachowywali postów, należy uznać za łagodne karcenie. Św. Stefan Węgierski czy św. Olaf nie cofali się przed wyłupianiem oczu, wyrywaniem języków i obcinaniem rąk.

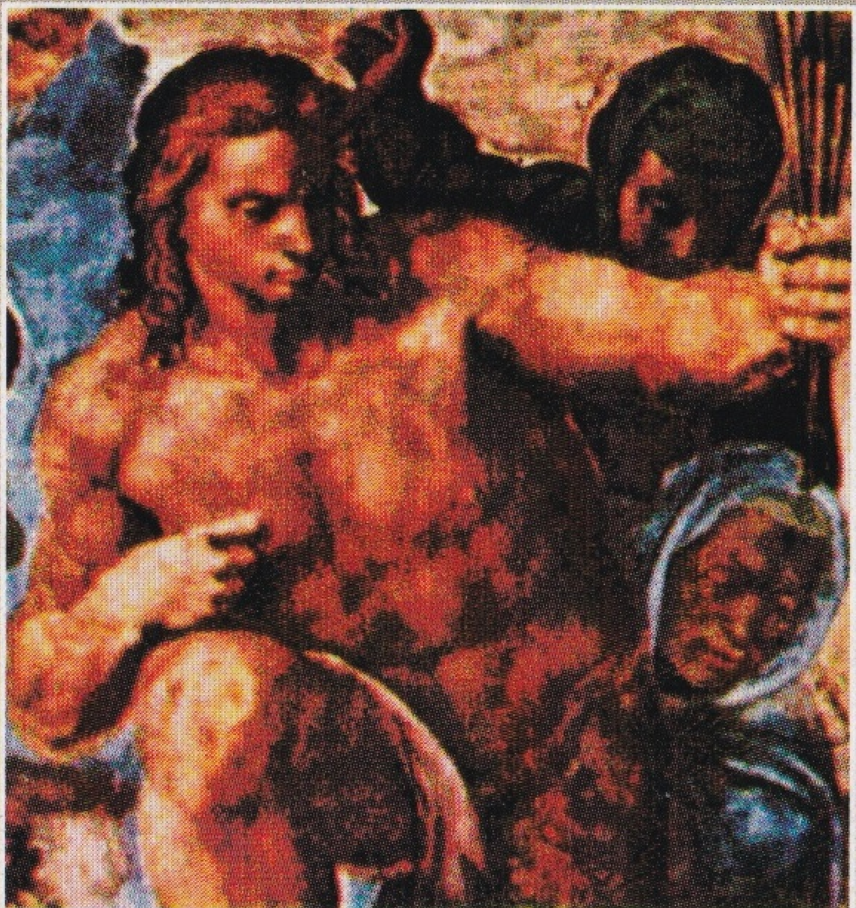
Miłośnicy brudu i pomyj

Jedną z najpopularniejszych postaci z epoki jest święty Aleksy, bohater licznych tekstów literackich, między innymi jednego z najwcześniejszych zabytków literatury staropolskiej. Właśnie święty Aleksy w najdoskonalszy sposób ucieleśnia ideę pokory, wyrzeczenia i ucieczki od świata. Był młodzieńcem z zacnego rzymskiego rodu. W noc poślubną oznajmił małżonce, że pragnie zachować czystość i oddać się służbie Bogu. Wyrzekł się wszelkich dostojeństw, zaszczytów oraz bogactwa, opuścił rodzinny kraj i został żebrakiem. Następnych siedemnaście lat spędził w przedsionku kościoła, żyjąc z jałmużny. Ale kiedy miejscowi poznali się na jego świątobliwości, znów uciekł, gdyż nie pragnął doczesnej chwały. Powrócił do rodzinnego miasta i – nierozpoznany przez ojca – został żebrakiem we własnym domu. Kolejnych siedemnaście lat umartwiał się i pościł, a słudzy drwili z niego, wylewali mu pomyje na głowę i czynili rozmaite przykrości. Wszystko to znosił w pokorze, a czując zbliżającą się śmierć, poprosił o kartę papieru, aby spisać dzieje swego życia. Kiedy umarł, dopiero papież zdołał ją wyjąć z jego zimnej dłoni – i wówczas zrozpaczeni rodzice i żona Aleksego zrozumieli, że przez wiele lat zaginiony dziedzic rodu żył tuż obok nich, ale nie rozpoznali go w odzianym w łachmany, brudnym żebraku.

Ten rodzaj absolutnej ascezy i wyrzeczeń pojawił się w Europie dość późno, pod wpływem Wschodu. We wczesnym średniowieczu świeżo nawróceni barbarzyńcy nie darzyli szczególnym szacunkiem nędzarzy, więc i model „świętego żebraka" nie był popularny. Dopiero od X wieku coraz częściej pojawiają się święci, którzy chcą dosłownie naśladować Chrystusa, opuszczają dom i rozdają dobytek. Najpopularniejszym „biedaczyną Bożym" późniejszego średniowiecza był św. Franciszek z Asyżu. Jego asceza, choć surowa, jest zarazem pogodna, pełna radości, otwarta na świat i potrzeby innych. Zgoła inaczej jest z częścią późnośredniowiecznych świętych, którzy umartwiają się na dworach i cierpią niejako przy podniesionej kurtynie, niemal mając „etat" dworskich świętych. Na przykład św. Franciszek a Paulo, sprowadzony na dwór Ludwika XI, ucieka na widok kobiet, nie dotyka mo- net, śpi na stojąco, nie strzyże się ani nie goli, żywi się wyłącznie korzonkami. Ten pustelnik zostaje założycielem zakonu braci najmniejszych, którzy w prostocie życia przewyższają jeszcze franciszkanów. Zaczyna się swoista licytacja, kto jest bardziej pokorny.



Według chrześcijan święci ludzie trafią do nieba i będą się pławić w rozkoszach. Pożyjemy – zobaczymy



św. Sebastiana naszpikowano strzałami jak indyka rodzynkami. Niemniej – przeszedł do legendy

WĄTPLIWI

św. Cecylia dorobiła się setek artystycznych wyobrażeń



Fanatyczne kobiety

Wcześni święci bardzo często bywali męczennikami, a wśród nich znajdziemy bardzo wiele młodych, aroganckich i nieodmiennie powabnych panien, które u schyłku Cesarstwa Rzymskiego zginęły na chwałę Pańską. Najpopularniejszą jest chyba św. Małgorzata, przedstawiana na obrazach ze smokiem, którego prowadzi na pasku. Jej ojciec był pogańskim kapłanem, matka zaś umarła podczas porodu. Małgorzatę wychowała więc piastunka, pobożna chrześcijanka, która wpoiła dziewczynce zasady wiary. Pewnego dnia okoliczny prefekt spostrzegł Małgorzatę pasącą owce i zapałał ku niej wielką namiętnością. Jednak młodziutka chrześcijanka oparła się zarówno jego miłosnym namowom, jak i groźbom. Rozeźlony prefekt wytoczył jej publiczny proces, zarzucając jej wyznawanie chrześcijaństwa. Kiedy ją oskarżał, Małgorzata odgryzała mu się złośliwie i z pasją, wykazując jego pogańskie błędy. Owa dysputa pomiędzy cnotliwą panną oraz jej pogańskim ciemiężycielem jest nieodłącznym elementem tego typu legend. I trzeba przyznać, że cnotliwe dziewice potrafią być naprawdę zgryźliwe. Na dodatek publicznie i bardzo wyraźnie obnoszą się z lekceważeniem władzy państwowej, co po części może wyjaśniać okrutne męki, na jakie je skazują zawiedzeni zalotnicy.

Jednak z Małgorzatą prefekt miał problem. Z początku zamierzał ją spalić, ale ku zdumieniu tłumów, płomienie nie uczyniły panience najmniejszej krzywdy. Później wrzucono ją do wrzącej wody, z podobnym – czyli żadnym – skutkiem. Na dodatek w więzieniu pojawił się Szatan pod postacią potężnego smoka, który ją połknął. Ale i jego dzielna święta zdołała poskromić. Mianowicie w brzuchu gada nie wypuściła z dłoni krzyża, który tak smoka oparzył, że ten wypluł dziewczynę z powrotem. W końcu ścięto ją, lecz łatwość, z jaką wyszła z wcześniejszych opresji, dowiodła współczesnym potęgi jej wiary, ją zaś samą uczyniła świętą. Zastanawiające, że Małgorzata stała się z czasem patronką kobiet w ciąży, choć o tej kwestii, jako święta dziewica, nie powinna mieć większego pojęcia!

Kiedy chrześcijaństwo stało się religią państwową, pobożne niewiasty musiały szukać innej drogi ku świętości. Nie spotykały już baśniowych stworów, same też stały się kobietami z krwi i kości. Niektóre zostawały mniszkami, inne praktykowały miłosierdzie i jałmużnę u boku rodziny, a jeszcze inne skrycie ślubowały czystość i namawiały małżonka do podobnych wyrzeczeń (dzięki czemu zmarniało kilka dobrze zapowiadających się książęcych rodów). Niejednokrotnie oddawały się ascezie jeszcze okrutniejszej niż mężczyźni – chadzały boso, we włosienicy, sypiały na ziemi, nieustannie pościły, okrutnie się biczowały i spędzały czas na nieustannych modłach. Czyniły cuda, mistycznie rozmawiały z Chrystusem, kontemplowały jego cierpienie i namawiały współczesnych do pokuty za grzechy. Niektóre – św. Klara, św. Teresa z Avili czy św. Katarzyna ze Sieny – bardzo mocno wpływały na duchowość epoki. Niejednokrotnie ich asceza była potwornie wyniszczająca, wręcz trudna do wyobrażenia dla człowieka z początku XXI wieku. Św. Katarzyna ze Sieny, jedna z największych mistyczek średniowiecza, całymi miesiącami przyjmowała jedynie Eucharystię, co współcześni uważali za cud i dowód świętości. Natomiast współczesny historyk, Rudolph Bell, nazwał ją „świętą anorektyczką".

Świętość za mocny sen

Po tych drastycznych opisach wypada opowiedzieć o ludziach, którzy na drodze do świętości nie musieli cierpieć żadnych okrutnych tortur, ale po prostu błogo się wyspali. Zdarzyło się to w Efezie, w czasach prześladowania chrześcijan. Siedmiu chrześcijańskich młodzieńców odmówiło uczestniczenia w pogańskich rytuałach i aby uniknąć gniewu cesarza Decjusza, uciekło na pustkowie. Schronili się w jaskini, ale cesarz dowiedział się o ich kryjówce. Rozkazał zasypać kamieniami wejście, aby umarli z głodu i pragnienia. Przez dwieście lat panował spokój, ale potem robotnicy postanowili wykorzystać pryzmy kamienia na budowie. Odsłonięto wyjście z jaskini, a młodzieńcy obudzili się i przekonani, że minęła jedna noc, postanowili wysłać jednego ze swego grona po chleb. Padło na Malchusa, którego wygląd miasta nieco zdziwił, i który sam wzbudził w Efezie powszechne zdumienie, bo usiłował płacić monetami z dawnych czasów. W końcu jako osobę podejrzaną zaprowadzono go przed oblicze biskupa (w międzyczasie miasto nawróciło się na chrześcijaństwo). Ten postanowił sprawdzić opowieść młodzieńca i razem z dworem udał się do jaskini. W pryzmie kamieni u wejścia odnaleziono zwój z opisem ich męczeństwa, co biskupa przekonało o prawdomówności Malchusa. Wezwał cesarza Teodozjusza, aby i on mógł obejrzeć ów cud. Gdy zaś Teodozjusz wszedł do środka, zobaczył urodziwych młodzieńców, z wyglądu jak najbardziej żywych. Ci pozdrowili go grzecznie i oznajmili, że oto Bóg ich wskrzesił, aby Teodozjusz przekonał się naocznie o zmartwychwstaniu ciała. Po czym położyli się na nowo na kamieniu i wyzionęli ducha – tym razem na dobre. I to już koniec historii. Przyznam, że nie do końca potrafiłam pojąć, na czym polega zasługa świątobliwych młodzianków, skoro męczeństwo zwyczajnie przespali. Ale poza tym jest to ładna baśń, podobna do całej masy opowieści o władcach i bohaterach, którzy usnęli w górach i oczekują na właściwy moment, aby obudzić się na nowo i wspomóc swój lud. Ot, jak choćby legenda o rycerzach śpiących w Giewoncie.

■ Anna Brzezińska,
zdjęcia: arch. wydawnictwa Bauer

ŚWIĘCI

Święty pies

Baśniowe motywy i baśniowe stwory często pojawiają się w legendach o świętych, ale najbardziej fantastyczny jest chyba św. Guinefort, który był... psem. Otóż pewnego razu rycerz Villars i jego małżonka musieli wyjść z zamku. Podobnie też uczyniła niańka, której opiece powierzono maleńkie dziecko. Tymczasem do komnaty, gdzie pozostawiono niemowlę, zakradł się wielki wąż. Widząc to, chart rycerza rzucił się na gada i zaczął z nim walczyć. W końcu pies zwyciężył: zabił napastnika i wyrzucił ścierwo z komnaty. Pies, choć mocno poraniony, został na straży dziecka, które podczas całej walki nawet się nie przebudziło.

Kiedy niańka wróciła wreszcie i ogarnęła wzrokiem okrwawioną komnatę wraz z umazanym posoką zwierzęciem, jej pierwszą myślą było, że chart pożarł chłopca. Zaczęła krzyczeć, aż przybiegła matka dziecka. Ich płacze zwabiły rycerza, który na widok nieszczęścia dobył miecza i niezwłocznie zabił charta. Kiedy jednak podeszli bliżej, dojrzeli, że dziecko wciąż słodko śpi w kołysce. Odkryli też rozszarpanego na kawałki węża. Ogromnie żałując, że zabili wierne zwierzę, wrzucili psa do studni naprzeciw wejścia do zamku i zasypali ją kamieniami, wokół zaś zasadzili drzewa na pamiątkę całego wydarzenia. Później z woli boskiej zamek został zniszczony, posiadłość obróciła się pył, a mieszkańcy przenieśli się gdzie indziej. Jednakowoż wieśniacy, słysząc o postępku psa i o tym, jak został zabity, czcili go jako męczennika i modlili się do niego, kiedy byli chorzy lub w jakiejś innej potrzebie. Nade wszystko zaś niewiasty prosiły go o pomoc dla słabych i chorych dzieci.

Tyle legendy. Opowieść o psie – świętym Guineforcie, jak go w okolicy nazywano – została zapisana w XIII wieku przez Stefana z Bourbon, dominikanina i inkwizytora, zwalczającego herezję waldensów. Stefan usłyszał ją w Dombes, czterdzieści kilometrów na północ od Lyonu, i uznał kult czworonoga za bluźnierstwo, przesąd i przykład diabelskich praktyk.

Oczywiście i wcześniej psy pojawiały się w legendach o świętych. Właśnie pies lizał rany świętego Rocha, a święty Krzysztof, który przeniósł Chrystusa przez strumień, w najstarszych wersjach legendy był olbrzymem o głowie psa. Jednak prawdziwy święty Guinefort nie był bynajmniej psem, ale człowiekiem, który za Dioklecjana i Maksymiliana, w czasach prześladowań chrześcijan, został skazany na śmierć w okolicach Mediolanu. Wieśniacy z Domes jakimś sposobem połączyli go ze starą legendą o dziecku, uratowanym przez bohaterskiego psa. Zresztą Stefan nie zdołał ich przekonać, że ich święty jest wyłącznie zabobonem, bo jeszcze w XIX wieku w Dombes matki prosiły go o wstawiennictwo dla swoich dzieci. Stąd płynie jeden wniosek – nigdy nie należy lekceważyć potęgi baśni. Nawet jeśli dotyczy świętego.

Przeklęty obraz

Obraz „Hands Resist Him" powstał w 1972 roku w pracowni Billa Stoneha-ma. Przedstawiał on 5-letniego artystę prowadzonego przez lalkę na obchód po jego minionych życiach. W 2000 roku wystawiono go na aukcję eBay z dopiskiem „przeklęty". I rzeczywiście – kolejni właściciele tego niecodziennego portretu widzieli przedstawione na nim osoby u siebie w mieszkaniach. Założyciel galerii, w której „Hands Resist Him" był wystawiany, zmarł w niewyjaśnionych okolicznościach. Z życiem pożegnał się też człowiek, który jako pierwszy opisał obraz w jednym z katalogów...





Rząd Malezji zabronił wydawania w tym kraju horrorów oraz innych książek budzących niepewność i strach...

UWIERZYSZ...

Najsłynniejszy duch

Brązowa Dama z Raynam Hall to jeden z najsłynniejszych sfotografowanych duchów. Zdjęcie powstało na początku XX wieku w jednym z brytyjskich dworków. Pracowało w nim dwóch fotografów. Jeden dostrzegł na schodach obły kształt i zaczął krzyczeć z przerażenia. Drugi zdołał wykonać poniższą fotografię.



Patrząc na nasze „radosne" prawodawstwo, nawet tak absurdalny przepis nie wzbudziłby chyba sensacji. Na naszym podwórku możemy spotkać inne dziwactwa – jednakże i tak miło pomyśleć, że w świetle malezyjskiego prawa ten artykuł jest nielegalny...

Na świecie wierzono w przedziwne rzeczy – w odcięcie Manhattanu i odholowanie go na pełne morze, w kosmitów kradnących Statuę Wolności i w eksplozję pierwszej bomby atomowej, którą carska propaganda przerobiła na meteor tunguski. Śmiano się też z młodziutkich panienek z dobrego domu, które wmówiły m.in Arturowi Conan Doylowi, iż widziały wróżki, a także z opracowanego przez firmę Burger King hamburgera dla leworęcznych. Dziwiono się wreszcie, że nikt nie wierzył w autentyczność zdjęcia prześmiesznych hippisów, którzy później założyli Microsoft. W Polsce niedowiarków i ściem również nie brakowało.

Młody Kiepski się przekręcił?

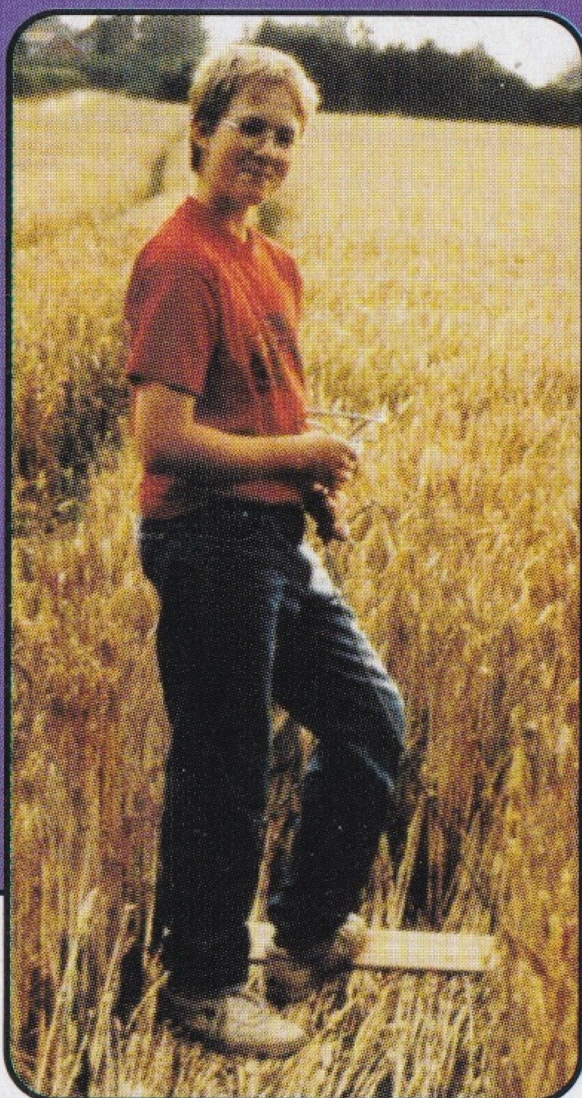
Najboleśniej przekonał się o tym utalentowany aktor młodego pokolenia, Bartosz Żukowski. Odtwórca roli Waldusia z popularnego serialu „Świat według Kiepskich" został kilka lat temu „zabity" przez nieznanego sprawcę. To właśnie w Internecie pojawiła się plotka, iż stracił życie w wypadku motocyklowym. Ludzie błyskawicznie przyjęli ową wiadomość za pewnik i przekazywali ją dalej0 swym znajomym i przyjaciołom. Po paru dniach portale zaczęły publikować zdjęcia i wspomnienia o aktorze, wieść powtórzyły też niektóre rozgłośnie radiowe. Na ręce przerażonych rodziców i dziadków Żukowskiego składano kondolencje, zaś twórcy serialu zostali zasypani listami od zrozpaczonych fanów. Wielokrotnie powtórzona plotka okazała się mieć straszliwą potęgę. Bartosz Żukowski – oczywiście cały i zdrowy – miał wielkie problemy z jej zdementowaniem. Dziś twierdzi, że aferę wywołał dziennikarz, któremu odmówił wywiadu.

Jo tom, panie, ufoków nie widzioła...

Z bardzo ciekawą historią związane jest Wylatowo, niewielka wieś w województwie kujawsko-pomorskim. Począwszy od 2000 roku prowadzono tam badania wysokiej aktywności niezidentyfikowanych obiektów latających. Zaledwie sześć miesięcy temu kraj obiegła wieść, iż na polu pszenicy należącym do jednego z tutejszych gospodarzy pojawiły się tajemnicze kręgi i symbole o gigantycznych rozmiarach 43 na 70 m. W przeciągu następnych kilku tygodni osada przeżyła prawdziwy szturm. Zjeżdżali się nie tylko turyści, ale i dziennikarze z całego świata, fotografując dziwne zjawisko i rozmawiając z mieszkańcami wsi. Mimo ich obecności oraz stałego monitoringu na polach pojawiały się kolejne piktogramy. Sprawców nie udało się niestety złapać ani tym bardziej sfilmować. Rozmiary kręgów były natomiast na tyle imponujące, iż niemożliwym wydawało się wykonanie ich za pomocą tradycyjnej metody – kawałka deski i sznurka. Rodzimi fachowcy nie mieli więc żadnych wątpliwości. Za obrazami z pewnością nie stały ludzkie ręce! W lipcu miejscowość odwiedzili znani zachodni ufologowie, Nancy Talbott i Daniel Lobb. Badacze część kręgów uznali za prawdziwe, autentyczność części podważyli. I rzeczywiście – później trójka młodych szczecinian przyznała się, że sfabrykowała część rysunków. Tylko skąd w Wylatowie wzięła się reszta piktogramów...

➔ Zrób sobie krąg w zbożu

Weź dwa kawałki grubego sznurka długości około półtora metra każdy oraz niewielką drewnianą deseczkę. Linki przywiąż do dwóch końców deseczki. Następnie podejdź do zboża i trzymając linki w garści, utrzymuj deseczkę 10 centrymetrów nad ziemią. Za jej pomocą – sterując nogą – przygniataj zboże do ziemi. Uważaj, by nie złamać kłosów! Jeśli chcesz, by twój krąg był doskonale okrągły, zatrudnij kolegę. Każ mu stanąć w środku planowanego okręgu i trzymać trzecią linkę. Przywiąż się do niej i zacznij pracę. Pamiętaj, że musi ona być przez cały czas naciągnięta, by krąg był idealnie okrągły.



Roswell po polsku

UFO w Polsce pojawia się zresztą dość często. W latach siedemdziesiątych unosiło się m.in. nad Wawelem i warszawskim Wawrzyszewem. W styczniu 1991 roku przefrunęło nad niemal całym krajem, zahaczając po drodze o Słowację i Węgry. W kwietniu 1997 roku widziano je nad Piłą. Unosiło się również nad poligonem w Nadarzycach oraz w Gierłacicach w dawnym województwie opolskim. Do jednego z najciekawszych wydarzeń doszło w styczniu 1959 roku w Trójmieście. Zdaniem nielicznych świadków pracujących wówczas w porcie, około godziny piątej rano niebo rozbłysło pomarańczowym światłem. Duży przedmiot przefrunął spory kawałek, ciągnąc za sobą długi warkocz światła, po czym uderzył w wodę i zatonął. W niebo strzeliła para wodna. Według relacji zachodnich źródeł kilka dni później strażnicy portowi w czasie patrolu odnaleźli czołgającą się po nadbrzeżu dziwną postać. Istota nosiła dziwny kombinezon, miała nadpalone włosy i nie potrafiła mówić ani po polsku, ani po rosyjsku. Uznano ją więc za amerykańskiego szpiega i przewieziono do pobliskiego szpitala. Niestety, lekarzom nie udało się uratować jej życia. W czasie sekcji zwłok okazało się, że była to istota pochodzenia pozaziemskiego – miała spiralny krwioobieg, zbyt dużą liczbę palców i nietypowe organy wewnętrzne. Nic dziwnego, że następnego dnia jechała już ciężarówką-chłodnią do Moskwy. Do dziś historia trójmiejskiej katastrofy powtarzana jest przez miłośników NOL. Sęk w tym, że pełna jest luk i brzmi szalenie naiwnie. W ówczesnej prasie brakuje jakichkolwiek wzmianek na temat odnalezionego kosmity, sam zaś jego wygląd nie przystaje do standardowych opisów przybyszów z gwiazd. Nie wiadomo też, skąd owe „zachodnie źródła" miałyby posiadać tak szczegółowe informacje na temat wydarzeń w komunistycznej Polsce. Wydarzeń, o których polskie źródła nie wspominają.

ALBO NIE

Jedyne, autentyczne medium na świecie

Jednak niecodzienne wydarzenia i sytuacje to nie tylko spotkania z UFO, ale i ludzie. Przed niespełna wiekiem światową sławę zyskała Stanisława Tomczyk, wybitna medium i telekinetyk prowadzona przez doktora fizyki Juliana Ochorowicza. Jej początkowo niewielkie, naturalne zdolności zostały rozwinięte w wyniku intensywnego treningu hipnotycznego, przeprowadzonego w Wiśle w latach 1908-1909. Wkrótce później kobieta potrafiła unosić w powietrzu i przesuwać lekkie przedmioty. Nauczyła się też zatrzymywać schowane pod kloszem zegary oraz ze sporym prawdopodobieństwem przewidywać liczbę, która wypadnie na ruletce. Oczywiście umiejętności Tomczyk spotkały się ze sporym niedowierzaniem ze strony ówczesnych naukowców. Wielu pokpiwało z fizyka i jego „nałożnicy" – jak nazywano dziewczynę. Jednak badania prowadzone przez następnych dziesięć lat przez francuskich profesorów Flournoy'a, Clarapede'a, Celleriera i Batellego, a także niemieckiego specjalistę od zjawisk paranormalnych, barona Schrencka Notzinga, potwierdziły obserwacje Ochorowicza. Do dziś Stanisława Tomczyk uchodzi za jedyne medium, któremu oficjalnie nie zarzucono fałszerstwa i którego umiejętności nie budziły wątpliwości badaczy.



Latające spodki pojawiają się dość regularnie na całym świecie. Niestety, zazwyczaj pojazdy Obcych okazują się czajnikami, samochodowymi kołpakami itp.

Paskuda, wąglik od kosmitów z Klewek i inne

Charakter polskich legend, megakłamstw bądź zawoalowanych tajemnic zyskały też opowieści o Paskudzie czającej się w otchłani Zalewu Zegrzyńskiego, o kanale łączącym Morskie Oko z Bałtykiem (którego ekipy nurków wielokrotnie poszukiwały) oraz o lądowaniu talibów w PGR Klewki. To ostatnie wydarzenie zyskało nawet światową sławę i stało się tematem licznych dyskusji politycznych. W grudniu 2001 roku Andrzej Lepper ogłosił, iż otrzymał od Bogdana Gasińskiego, pracownika Inter Commerce, dokumenty związane z atakiem terrorystycznym na Nowy Jork 11 września oraz powiązanymi z nimi „doświadczeniami na bydle w Klewkach". Lider Samoobrony twierdził, że Gasiński przekazywał ludziom z Afganistanu plany lotnisk we Frankfurcie nad Menem, Bochum, Duesseldorfie, Monachium, Paryżu i Warszawie. Współpracę z talibami zarzucił też politykom Platformy Obywatelskiej oraz członkom mafii pruszkowskiej. Mało tego, w jego opinii Afgańczycy otrzymali w Klewkach w 2000 roku najnowsze próbki wąglika, bakterii Escherícha Coli, salmonelli i zgorzelowych odmian tych wirusów. O wszystkich tych wydarzeniach poinformowana została ambasada USA w Warszawie. Jak widać Polacy – także i w ponurym na co dzień Sejmie – mają bujną fantazję i są gotowi uwierzyć w największą nawet bzdurę. Mają jednak ku temu powody. Naszego kraju zjawiska dziwne i niewyjaśnione nie omijają i omijać nie będą.

■ **Michał Zacharzewski, zdj. archiwum wyd. Bauer**



Również nad wielkimi aglomeracjami pojawiają się statki Obcych...

➔ Trójwymiar?

Poniższe zdjęcie wywołało sporą sensację wśród miłośników duchów. Jego autor zarzekał się, iż pracując nad książką z trójwymiarowymi ilustracjami (które należy oglądać za pomocą specjalnych fotografii), przypadkowo sfotografował prawdziwą zjawę. Dość szybko okazało się, że zdjęcie jest zwykłą podróbką. Powstało na zlecenie koreańskiego wydawnictwa, które przygotowywało dla dzieci książkę o duchach.



➔ Podpalaczka

W 1677 roku nastoletnia Jane Churm przypadkowo przewróciła świeczkę. Ratusz miasta Wem, w którym się znajdowała, błyskawicznie stanął w płomieniach. Dziewczyna zginęła na miejscu. Zdjęcie poniżej wykonano w 1995 roku podczas pożaru nowego ratusza. Osoby na balkonie nikt nie widział, nie znaleziono też jej ciała. Pojawiła się natomiast na jednym ze zdjęć zrobionych przez miejskiego reportera.



➔ Ludzie dymu

Nie ma chyba osoby, która nie widziałaby tajemniczej głowy diabła wystającej z dymów płonącego World Trade Center. Znalazła się ona na wszystkich zdjęciach pochodzących z miejsca zdarzenia. Co ciekawe, podobne twarze pojawiają się czasami tam, gdzie giną niewinni ludzie. W 1976 roku w jednym z amerykańskich stanów nieznany sprawca podpalił magazyny z drewnem. Wtedy też ukazała się twarz demona...





Michał Żebrowski

Nie cierpię horrorów

Geralt z Rivii z „Wiedźmina" to kolejna rola, jaką dane mi było zagrać. Wiążą się z nią miłe wspomnienia, gdyż na planie narodziło się wiele przyjaźni z twórcami filmu. Podejmując się roli wiedziałem, kim jest moja postać. Książkę czytałem dużo wcześniej, zanim jeszcze otrzymałem propozycję zagrania głównego bohatera. Koledzy zaczytywali się Sapkowskim, więc i ja uznałem, że warto poznać jego książki. Proza Sapkowskiego jest wyrazista, krwista, zajmująca. Zawiera to, czego czytelnik najbardziej oczekuje. Jest miłość, przemoc, akcja. Sapkowski jest dobrym pisarzem. Nie przedkładam jednak literatury fantasy czy s-f nad inne gatunki. A przede wszystkim chcę podkreślić, że nie dzielę literatury na s-f czy fantasy, ale na dobrą i złą. I wszystko, co w dobrym stylu, warte jest uwagi. Wracając do filmu, zdecydowanie nie cierpię horrorów, gdzie wszystko może się wydarzyć. Porównuję je do kreskówek, które po prostu nie wzruszają. Wyjątkiem jest „Misery" (obraz zrealizowany według powieści Kinga z nagrodzoną Oscarem rolą Kathy Bates – przyp. red). Za interesujące natomiast uważam filmy obyczajowe. Jestem racjonalistą, dlatego nie wierzę w UFO czy duchy. Wydaje mi się, że „coś" jest jedynie w telepatii. Nie widzę jednak powodu, by wykorzystywać czyjeś zdolności i pytać o przyszłość, gdyż ona zależy od nas samych.



Grażyna Wolszczak

W baśniowym świecie

Czy istnieje UFO? To trudne pytanie. Oglądałam kiedyś film o kręgach zbożowych (popularne w USA zjawisko będące ponoć jednym ze świadectw odwiedzin kosmitów), który wywarł na mnie niesamowite wrażenie. Uważam, że jest to zarazem prawda i nie-

Katarzyna Dowbor

Nie wierzę...

Zdecydowanie nie wierzę w UFO i zjawiska nadprzyrodzone. Każde zdarzenie staram się racjonalnie wytłumaczyć. Na takie podejście do życia wpływ mają na pewno przekonania wyniesione z dzieciństwa. Mój ojciec jest naukowcem. W moim domu zawsze szukało się przyczyn zdarzenia, nie wierzyło się w przypadki. Jestem w ten sposób nastawiona do życia również dlatego, że ani ja, ani też nikt z moich bliskich nie mieliśmy doświadczeń, które wskazywałyby na istnienie innych cywilizacji. Wierzę jedynie w przeczucia. Czasami mamy wrażenie, że coś się wydarzy i myślę, że warto wtedy posłuchać głosu intuicji. Nie ma to jednak związku ze zjawiskami nadprzyrodzonymi. A legendy o UFO są, moim zdaniem, czystym wymysłem ludzkiej wyobraźni, szukaniem sensacji. Przyznam szczerze, że nie jestem zwolenniczką literatury science-fiction czy horrorów. Nie porywa mnie twórczość Lema. Podobnie jest z filmami o tej tematyce. Gdy wszedł na ekrany „Wiedźmin", przeprowadziłam mnóstwo rozmów z odtwórcami ról. Ale mimo to i mimo ogólnego zainteresowania prozą Sapkowskiego, fantastyka jest mi obca.



GWIAZDY

Kuba Wojewódzki

Polacy to naród kosmiczny

Deklaruję się jako ateista. Nie wierzę w anioły czy diabła. Wolę wierzyć natomiast w istnienie innych cywilizacji, ale ich nie szukam. Świat jest jednak przedziwny. Uważam, że jako Polacy jesteśmy narodem kosmicznym, nie pasujemy do Europy z mnóstwa powodów. Jesteśmy dowodem na to, że istnieje UFO. Ale osobiście nie miałem doświadczeń z obcymi, bo, jak widać, moja skromna osoba nie budzi zainteresowania pozaziemskich istot. Nikt nie chciał mnie porwać, mam więc mało fantastyczną biografię.

Nie czytam książek z gatunku science-fiction. Próbowałem kiedyś, i to nie raz, „rozgryźć" Lema. Nie udało się. Jest to literatura hermetyczna, obca. Lem to nie Kapuściński, jak mi to ktoś próbował wmówić czy porównywać. Literatura z tego gatunku jest mi zupełnie obca i obojętna. Kilka mniej lub bardziej interesujących przykładów można za to znaleźć w kinie. Za mało udaną uważam ostatnią ekranizację „Solaris". Nie zachwyciła mnie, bo mało interesujący jest film, gdy się na nim zasypia. Mój ulubiony film z tego gatunku to „Alien" i chociaż każda kolejna część była coraz mniej udana, to wszystkie uważam za kanon kina science-fiction. Pamiętam, że będąc jeszcze dzieckiem obejrzałem horror „The Thing", czyli „Rzecz". Muszę przyznać, że zrobił na mnie wrażenie i rozbudził moją wyobraźnię. Zupełnie inaczej było w przypadku „E.T.", który „nie porwał" mnie. Przypatrując się kolejnym, nowym produkcjom, stwierdzam, że im więcej wykorzystano technologii, użyto efektów specjalnych, tym mniej w nich magii czy grozy. Wystarczy wspomnieć filmy Hitchcocka, które operowały prostymi środkami wyrazu, a efekt był niesamowity.



prawda, a na pewno coś niesamowitego, tajemniczego. Duchy, jasnowidzenie? Wierzę we wszystko, tym bardziej, że jedna z bliskich mi osób miała dziwne doświadczenie, które wskazywałoby na istnienie spraw nadprzyrodzonych. Jest to zresztą zagadnienie intrygujące ludzi od lat. Nierealny świat to przecież ulubiony temat pisarzy i filmowców. Nie czytałam zbyt wiele z literatury fantasy poza Tolkienem. Dlatego też gdy dostałam rolę w „Wiedźminie", mówiąc szczerze, nie miałam pojęcia, o czym to jest. Niedługo po zdjęciach do filmu dostałam w prezencie „Gwiezdny pył" Neila Gaimana. Książka mnie zachwyciła. A ponieważ z wrodzonego lenistwa chętniej oglądam telewizję niż czytam, mam więc trochę zaległości. Gaiman jednak tak mnie zainspirował, że jeszcze bardziej polubiłam baśniowe, magiczne książki, gdzie zachowane są wszystkie proporcje. Podobnie jest w przypadku kina. Cenię dobre, wyrafinowane filmy. Oczarował mnie horror „Inni", który niedawno z zapartym tchem obejrzałam na DVD. Niezapomniana była również pierwsza część „Matriksa". Druga zaś spłyca temat i jest kompromitacją pierwszej. Na szczęście trzecia część trylogii to film, który wbija w fotel i który chce się kolejny raz obejrzeć. Tutaj efekty specjalne nie istnieją dla samych efektów, ale jest to obraz o dużej wartości artystycznej.

Moja przygoda z filmem fantasy to oczywiście „Wiedźmin". Miło wspominam realizację, choć widzowie nie ocenili go najwyżej. Mogłam grać ze znakomitymi aktorami, a poza tym właśnie dzięki tej produkcji zaczęłam być bardziej rozpoznawalna. Cieszę się, że dane mi było zasmakować przejścia ze świata codziennego w baśniowy.



Magda Mołek

Twardo stąpam po ziemii

– Czy wierzy Pani w UFO, duchy, jasnowidzenie?

– Nie. Nie wierzę w zjawiska nadprzyrodzone, w UFO, w horoskopy i wróżki, jak również w andrzejkowe zabawy. Jestem stuprocentową realistką i twardo stąpam po ziemi, choć życie nie raz już mnie zaskoczyło.

– Można więc przypuszczać, że nie jest Pani zwolenniczką horrorów czy filmów s-f?

– Nie oglądam horrorów z założenia. Uważam, że bezsensowne jest poszukiwanie źródeł strachu, napięcia. Samo nagrywanie takich filmów jest absurdalne.

– A czy filmy baśniowe, magiczne? Czy „Władca Pierścieni" również Pani nie zainteresował?

– Gdy film wchodził do kin, pracowałam w programie informacyjnym. Wiedziałam, że jest popularny, ale do dnia dzisiejszego go nie obejrzałam. Myślę, że jedynym powodem, dla którego warto byłoby go zobaczyć, są efekty specjalne, jakie w nim zastosowano.

I TAJEMNICE

Jan Pietrzak

Nie lubię, jak ktoś mnie straszy

– Czy wierzy Pan w duchy, jasnowidzenie?

– Nie wierzę ani w duchy, ani w UFO. Myślę, że mogę uwierzyć w jasnowidzenie. Miewałem w życiu takie sytuacje, kiedy coś mi się wydawało, roiło, coś przeczuwałem i to się sprawdzało. Intuicja jest czymś, co pomaga w życiu i jest podstawą pracy artysty, pewnym rodzajem wrażliwości. By występować przed dużym gronem osób, trzeba mieć wyczucie. Pierwsze minuty występu są rodzajem testu na publiczność, intuicyjnego, nie racjonalnego. Czasami fizycznie odczuwam, że w trzecim rzędzie siedzi ktoś nieżyczliwy. Każdy występ to przesyłanie do widowni i od widowni impulsów. W każdym występie jest moment, kiedy trzeba się przedrzeć przez wrażliwość ludzi i to się dzieje przez emocje, jakieś tajemnicze siły, w żaden racjonalny sposób. Intuicja jest rzeczą podstawową w moim zawodzie, do tego stopnia, że dopiero podczas koncertu decyduję się, co dalej robić. Niezbędny jest tu pewien rodzaj telepatii.

– Czy interesujące wydają się Panu filmy s-f, horrory?

– Nie. Za horrorami nie przepadam, bo nie lubię, jak mnie ktoś straszy. A zwykle efekt ten uzyskuje się za pomocą dźwięków. I to wydaje mi się śmieszne i niepoważne. Filmy s-f zdarza mi się obejrzeć, ale nie jest to mój ulubiony gatunek. Lubię kino prawdy, charakterów, psychologii oraz aktorów, którzy mają w sobie pewną głębię.

– Czy z literaturą jest podobnie?

– Książek o tematyce s-f w ogóle nie czytam. W wieku młodzieńczym sięgnąłem po Lema, który okazał się bardzo ciekawy. Przeczytałem wszystkie jego książki. Rzeczywistość jest jednak bardziej inspirująca. Jeśli czytam, to raczej eseje. Ostatnio przeczytałem książkę swojego kolegi, Marcina Wolskiego, „Alterland", która zawiera ciekawe scenariusze przeszłości i przyszłości, i pokazuje, co by było, gdyby pewne wydarzenia historyczne miały inny przebieg. Taki rodzaj opowieści, nieco opartej na rzeczywistości, bardzo mnie pociąga.

■ Z gwiazdami rozmawiała Jolanta Lisowska, zdj.: archiwum wyd. Bauer



NOWOŚCI WYDAWNICZE

The Darkness 1

Garth Ennis, Marc Silvestri, Batt, Steve Frichov,
Mandragora, kolor, 14.50 zł

Fabuła

Ennis jest już w naszym kraju twórcą kultowym. Nic więc dziwnego, że fani z niecierpliwością oczekiwali pojawienia się na rynku „Darkness". I wreszcie otrzymujemy pierwszy z trzech zeszytów minicyklu. Wiele tu, jak zwykle u Ennisa, elementów mistycznych. Tym razem jednak nie wdaje się on w żadne zbędne, pseudoreligine spekulacje. Ożywia za to pradawne moce, którymi obdarzony zostaje potomek sławnego rodu, a dziś... „pracujący" dla mafii zabójca. Przystojny playboy, rozbijający się sportowymi samochodami, nie bardzo zdaje sobie sprawę z toczącej się wokół niego rozgrywki. Jeżeli na czas nie rozezna się w sytuacji, górę wezmą tajemnicze moce, którymi dysponuje.

Jeśli chodzi o fabułę, jeszcze nie wszystko wiadomo. Odpowiedzi na większość pytań przyniosą następne tomy, ale już dziś można się domyślać, że w serii nie spotkasz zbyt wielu bohaterów pozytywnych.

Rysunek

Niezmiernie dynamiczne, efektowne ilustracje opracowane zostały komputerowo. Zastosowane „przerysowanie" postaci uwypukla cechy charakterystyczne bohaterów, czasem nawet do przesady. Obserwując bowiem przemiany głównego bohatera w istotę o nadnaturalnych zdolnościach, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że mimo posiadania Wielkich Mocy jego siła tkwi głównie w... mięśniach. Niemniej, całość sprawia intrygujące wrażenie. Przytłaczająca atmosfera ilustracji podświetlonych jakimś „nieziemskim" światłem powoduje, iż dreszczyk niejednokrotnie przebiegnie ci po plecach.



Nadzwyczajni. Pantofel panny Hofmokl

Dennis Wojda, Krzysztof Ostrowski,
Mandragora, 32 str., 9.90 zł

Fabuła

Wydanie pracy nagrodzonej w jakimś konkursie jest praktyką popularną głównie na Zachodzie. W Polsce jest to wciąż zjawisko rzadkie. Cieszy zatem fakt, iż otrzymujemy albumowe wydanie historii uhonorowanej Grand Prix Międzynarodowego Festiwalu Komiksu w Łodzi w 2001 roku.

Bohaterami albumu, a w przyszłości także i cyklu, są detektywi Wydziału Spraw Nadzwyczajnych, mieszczącego się przy Nowym Świecie w... szafie. Klimat opowieści jest mocno surrealistyczny, co potęguje jej niesamowitość. Niesamowity jest też przebieg wydarzeń...

Rysunek

Szata graficzna świetnie odzwierciedla nastrój komiksu. Metafizyczny kryminał w stylu retro – takie skojarzenie nasuwa się po pobieżnym poznaniu historii. Przy uważniejszej obserwacji widać jednak, iż autorzy wychodzą daleko poza granice jednego stylu i mieszają różne konwencje. Jest i pewien minus – oszczędne używanie barw. Przesycone czerwienią i czernią plansze świetnie wyglądały na wystawie, ale w albumie niestety sporo straciły. Ich lektura stała się nieco męcząca i monotonna. Szkoda, gdyż uważne przyjrzenie się zarówno całym planszom, jak i detalom ujawnia wiele interesujących pomysłów i rozwiązań z pogranicza komiksu popularnego i awangardowego. Na szczęście, jak zapewnia wydawca, kolejne tomiki „Nadzwyczajnych" mają prezentować się pod tym względem znacznie lepiej.



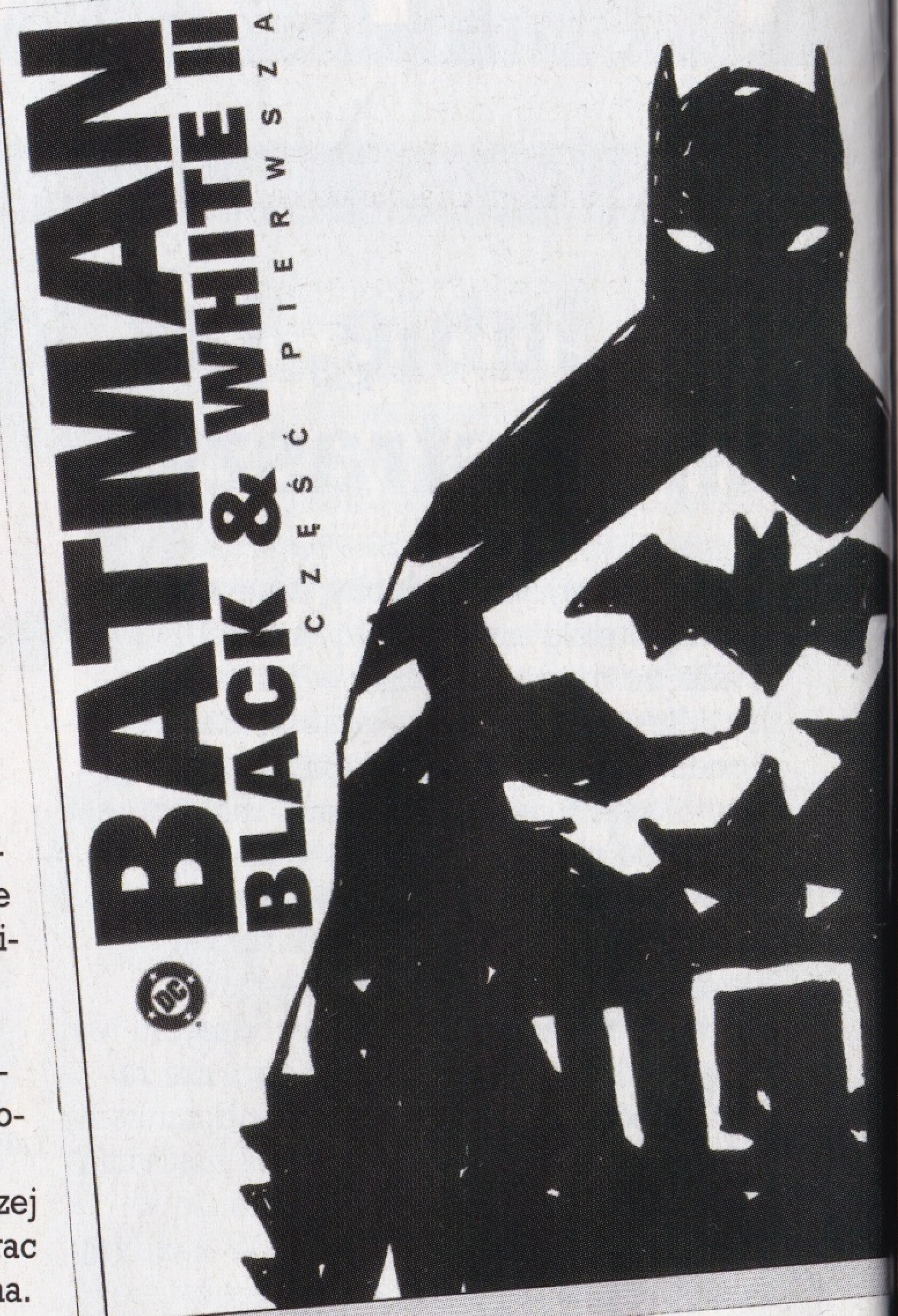
Batman. Black & White II Cześć 1

Egmont Polska, 86 str., cz-b., 9.90 zł

Fabuła

Kontynuacja kultowej już antologii czarno-białych shortów o Nietoperzu. Tym razem również otrzymujemy wiele zróżnicowanych historii, utrzymanych jednak na wysokim poziomie. Zasady powstawania tego typu zbiorów dają autorom wiele ciekawych możliwości, z czego ci skwapliwie korzystają. Któż nie zabawiłby się, wykorzystując bezkarnie słynne motywy, postacie i symbole? Na tej spontanicznej mieszaninie spoczęło jednak czujne oko redaktorów, dzięki czemu praca nie zamieniła się w chaos, jaki czasem zdarza się w antologiach. Mimo owej „czujności", trudno byłoby jednak w prezentowanym tomie znaleźć jakiś wspólny dla wszystkich historii motyw. Chyba, że będzie nim nieznane oblicza Batmana – mściciela, żartownisia, niańki (!) i... fana komiksów!

Polski wydawca podzielił oryginalne wydanie amerykańskie na dwa tomy. Dlatego też na próżno czytelnik będzie poszukiwał w części pierwszej anonsowanych na tylnej okładce prac Azarello, Risso, Buscemy czy Ellisona. Trzeba jeszcze poczekać...



Rysunek

Już na początku powala utrzymane w stylistyce kolażu „Studium Przypadku" Alexa Rossa, zdecydowanie najciekawszy kawałek w zbiorze. Na wyróżnienie zasługują także prace Warrena Ellisa i Steve'a Rude'a oraz wymykająca się nieco ocenom humorystyczna kreska Marie Severin.

Tomasz Nowak

Green Arrow. Kołczan
Część 1.

Kevin Smith, Phil Bester, Ande Parks,
Egmont Polska, 120 str., kolor, 24.90 zł

Fabuła
Sukces „odświeżonego" Batmana („Powrót Mrocznego Rycerza") zapoczątkował modę na przypominanie starych hitów. I tak oto na naszych oczach „zmartwychwstaje" kolejny z superbohaterów, członek Amerykańskiej Ligi Sprawiedliwość (JLA) – Green Arrow. Czy jednak obecny Szmaragdowy Łucznik to ta sama osoba, której śmierć oglądał sam Superman dziesięć lat wcześniej?

Ta i wiele innych zagadek pojawia się wraz z powrotem Strzały. Odpowiedzi na niektóre z nich poznamy dopiero w dalszej części opowieści. Na razie autorzy skupiają się wyraźnie na... nowym czytelniku. Mnóstwo tu zatem retrospekcji, wspomnień, przypomnień. To, co cieszy laika, może niestety mocno wynudzić kogoś, komu losy Strzały nie są obce. Komiks jest trochę przegadany, a na dodatek o tak silnym wydźwięku ideologicznym, że tylko patrzeć, jak Arrow zostanie ulubieńcem ekologów i antyglobalistów.

Rysunek
Historię narysowano mocną, pogrubioną kreską. Obwiedzione nią postaci nabierają przez to silnego wyrazu. Styl ten przesądza także (mimo scenariuszowych wysiłków Smitha) o wymowie komiksu, wpisując go w tradycję młodzieżową. Sporo tu dynamicznie skadrowanych starć i... sporo prostoty.



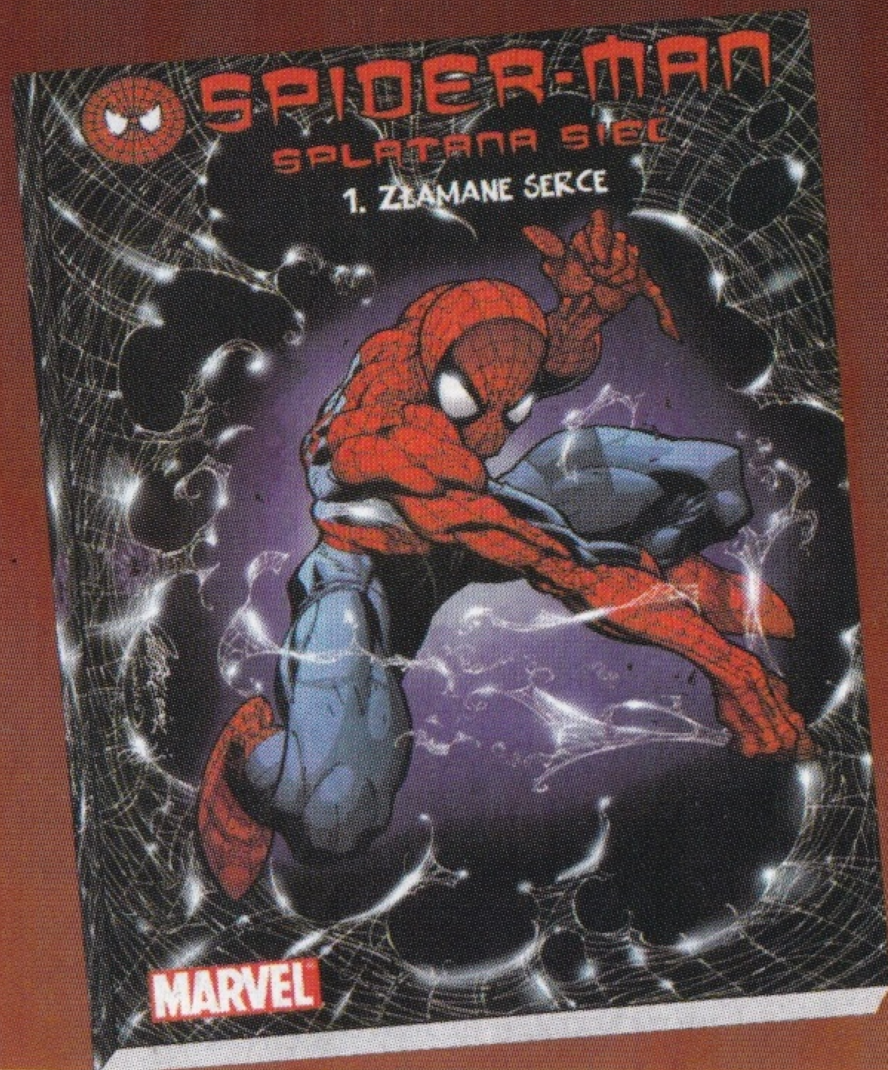
Spider-Man. Splątana sieć. 1
Złamane serce

Egmont Polska, 72 str., kolor, 19.90 zł

Fabuła
Wreszcie doczekaliśmy polskiej edycji serii, która zdążyła stać się legendą. Nieczęsto bowiem zdarza się cykl o bohaterze bez... bohatera. W tym przypadku głównymi postaciami komiksu są wrogowie Spider-Mana. W zamyśle autorów seria ta miała pogłębić portrety psychologiczne szwarccharakterów – pomysł nieco dwuznaczny. Sam Człowiek-Pająk pojawia się tu wyłączenie we wspomnieniach, wypowiedziach i... przekleństwach, rzecz jasna.

Dwie fabułki zawarte w tomie dotyczą zupełnie odrębnych wydarzeń. Wspólny dla nich pozostaje natomiast ponury nastrój, wszechogarniający strach oraz zmasowana przemoc. Trudno, żeby było inaczej, kiedy historia toczy się w świecie mafii czy w więzieniu pod specjalnym nadzorem. Mimo oczywistych związków z serią o Pająku, album nadaje się do czytania także dla „niewtajemniczonych".

Rysunek
Graficzna narracja Leandro Fernandeza jest wyraźnie odmienna stylistycznie – zwłaszcza w kreowaniu postaci. W konstrukcji poszczególnych plansz jest on do bólu tradycyjny. Risso zaś stosuje o wiele ciekawsze, zaskakujące rozwiązania. W obu częściach utrzymano podobną konwencję barwną. Jasne kadry, wyraziste, choć niezbyt nasycone kolory nałożone zostały komputerowo.

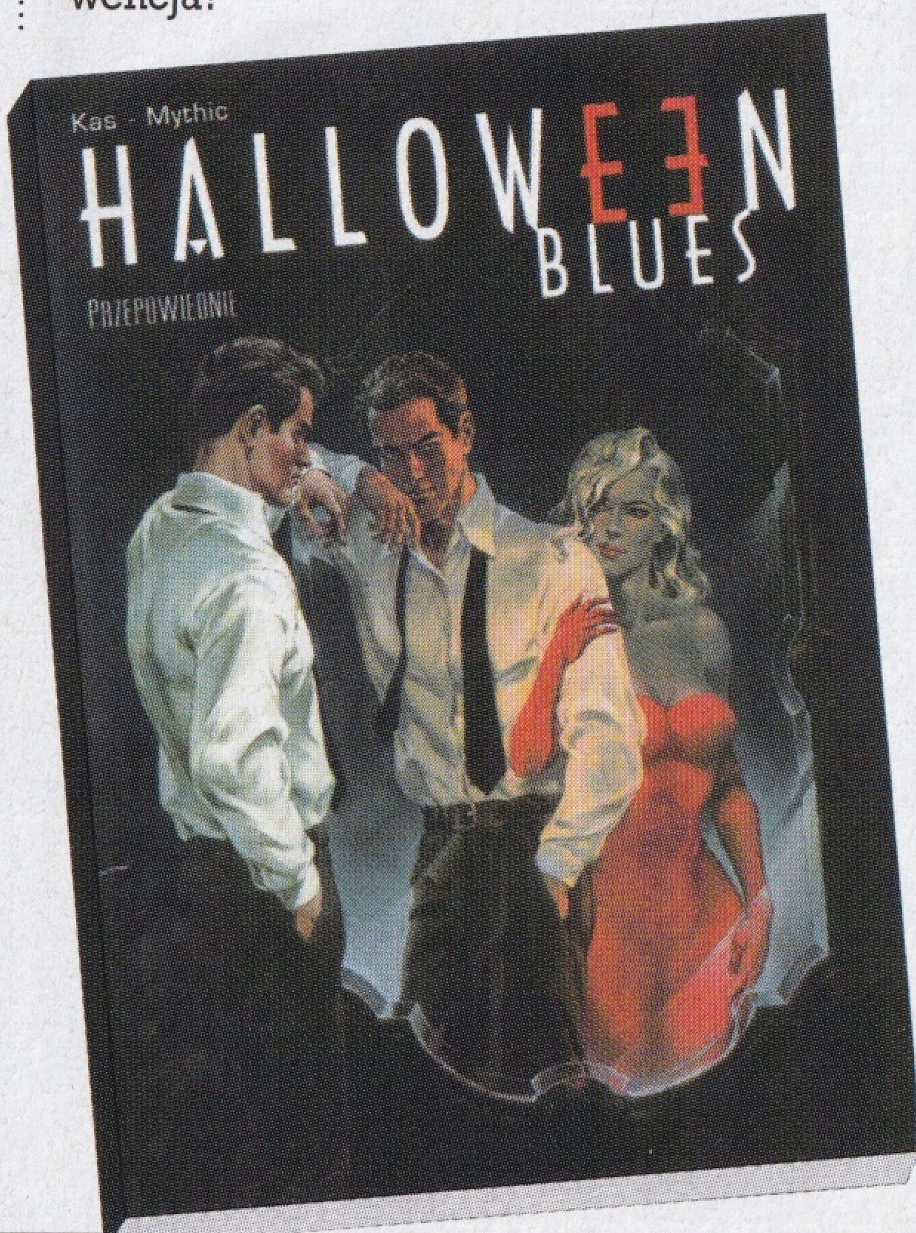


Halloween Blues. Przepowiednie

Zbigniew Kasprzak, Mythic,
Egmont Polska, 48 str., kolor, 17.90 zł

Fabuła
„Halloween Blues" ukazuje się w naszym kraju jedynie z kilkumiesięcznym opóźnieniem w stosunku do edycji francuskiej. Nie jest to właściwie historia fantastyczna. Chociaż... Jak zaklasyfikować kryminał, którego główny bohater, detektyw, zamieszkuje w domu z... duchem swej żony? Na dodatek kobieta uparcie utrzymuje, iż to właśnie on ją zamordował i usilnie przeszkadza mu w codziennej egzystencji. Podsumowując: kawałek niezłej kryminalnej rozrywki, ze szczyptą niesamowitości.

Rysunek
Kasprzak rysując po raz pierwszy historię współczesną, rozgrywającą się w latach 50. ubiegłego wieku, zmienił zupełnie styl. Próżno szukać tu znanych choćby z „Yansa" czy „Podróżników" charakterystycznych postaci ze zmierzwionym włosem i bogatych teł. W „Halloween" znajdujemy jasną, przejrzystą kreskę i czysty, kładziony plamą, mocno nasycony kolor. Wszystko to przywodzi na myśl wiele innych znanych już u nas tytułów kryminalnych. Zbieg okoliczności czy konwencja?



Gail. Kamienie

Piotr Kowalski, Egmont Polska, 52 str., kolor, 16.90 zł

Fabuła
I oto doczekaliśmy końca największej ostatnio polskiej serii fantasy. Fabuła przynosi rozwiązanie wątków rozpoczętych w poprzednich tomach. Nie sposób pisać o akcji tego komiksu, nie zdradzając szczegółów. Powiem tylko, iż w końcu dochodzi do ogromnej bitwy i objawienia potęgi pradawnej magii. Wszystko to wieńczy solidną (choć pozbawioną fajerwerków) opowieść o władzy, zdradzie i... miłości.

Rysunek
Ilustrując swój scenariusz, Kowalski nadal eksperymentuje. Jego kreska stała się bardziej przejrzysta, ale cięższa. Ogranicza to możliwość precyzyjnego kształtowania postaci, a zwłaszcza ich cech szczególnych. Dla znających wcześniejsze części problem ten w zasadzie nie istnieje. Niestety, gdy ktoś sięgnie wyłącznie po „Kamienie", łatwo dostrzeże, iż zacierają się również inne różnice, np. w wyglądzie wojsk. Powoduje to, że czytelnik obserwujący efektowne zmagania może się nie zorientować, kto właśnie bierze górę. W tym tomie zmieniły się także kolory. Są jakby ostrzejsze, czystsze, ale trudno ocenić, ile w tym „zasługi" autora, a ile wydawcy oraz poligrafów.



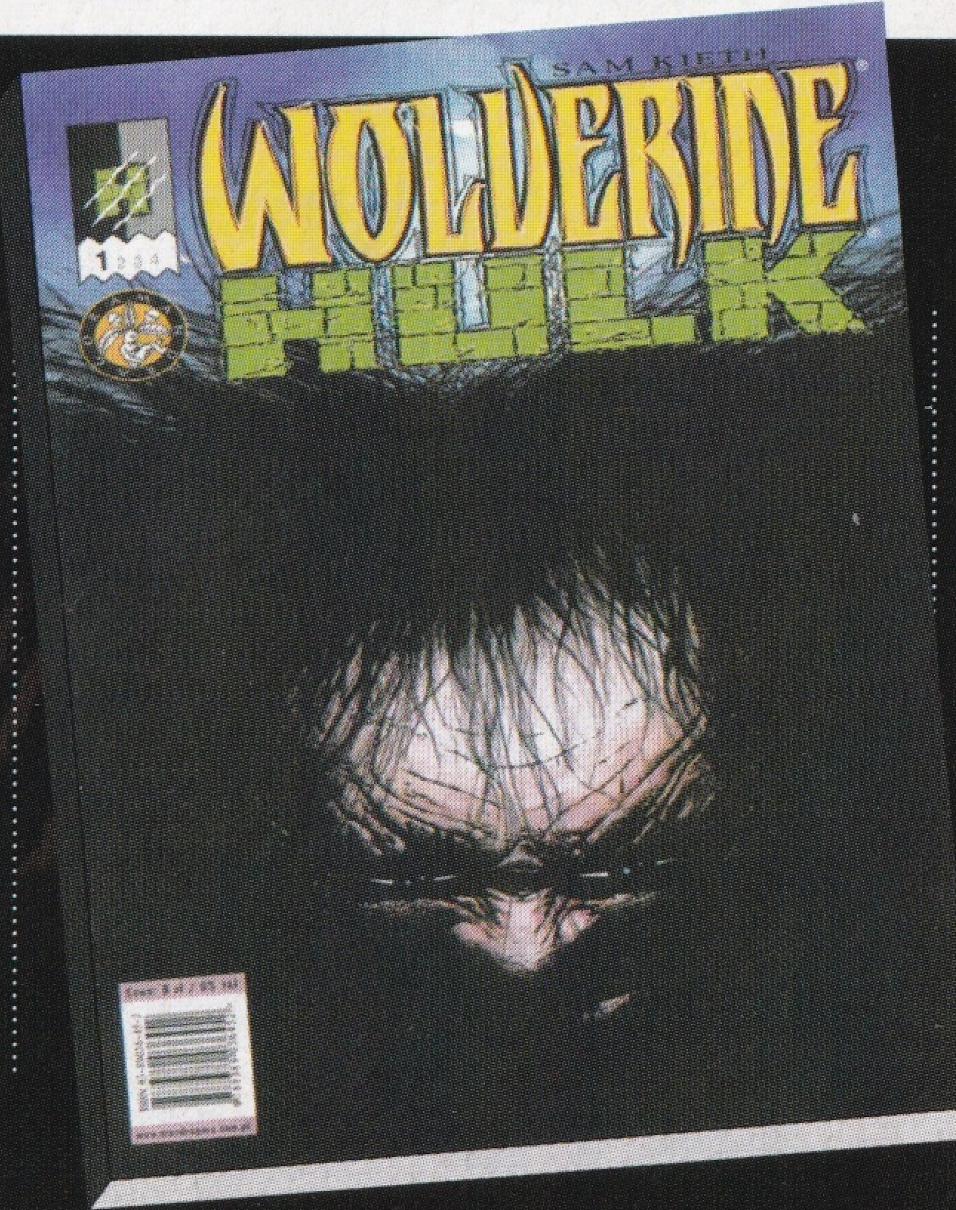
Wolverine. Hulk. 1

Sam Kieth, Richard Isanove,
Mandragora, kolor, 8 zł

Fabuła
Po lekturze historii „Wolwerina" możemy zapoznać się z ubiegłorocznym crossoverem jego serii z przygodami Hulka. Pierwszy z czterech zeszytów już wskazuje, iż obaj panowie niekoniecznie muszą zapałać do siebie sympatią.

Przeniesieni gdzieś w śniegi Północy, jesteśmy świadkami niezwykłego spotkania. Pojawienie się znikąd zaskakującej postaci to chwyt charakterystyczny dla „krzyżówek" cykli. W tym przypadku jest to ni to dziewczynka, ni chochlik snujący przedziwną opowieść. Stworzenie to prosi o pomoc odnalezionego przypadkiem gdzieś w pobliskich śniegach Wolverina... Trudno powiedzieć, co z tego wszystkiego wyniknie. Na pewno nie będzie to barwna gawęda w stylu cyklu „Wolverine".

Rysunek
Od samego początku pojawiają się rysunkowe eksperymenty formalne. Dziecięce obrazki na szarym kartonie przeplatają się ze znacznie bardziej wyrafinowanymi posępnymi obrazami, tworząc w całości kolaż oddający trafnie nieco schizofreniczny klimat historii. Zbliżenia wyraźnie sugerują, iż istotę opowieści stanowić będą raczej przeżycia bohaterów aniżeli oryginalna akcja. Karykaturalne oblicza zmniejszają realizm komiksu, ale jest to efekt zamierzony. Cóż, spotykają się przecież: wielki zielony gość z facetem, który ma stalowe pazury w dłoni...



NOWOŚCI WYDAWNICZE

Powrót sługi Aniołów

- Tytuł: Młot na czarownice
- Autor: Jacek Piekara
- Wydawca: Fabryka Słów
- Termin: grudzień 2003
- Cena: 26,99 zł

W oczach Boga wszyscy jesteśmy winni, niezależnie od naszych uczynków – powiedział Anioł w ostatnim opowiadaniu „Sługi Bożego", książki otwierającej cykl opowieści o Mordimerze Madderdinie. I oto licencjonowany inkwizytor biskupa Hez-Hezronu powraca w „Młocie na czarownice", by kolejnym heretykom ofiarować odkupienie win przez „bolesne rozkosze stosu", a czytelnikom – długie chwile pasjonującej lektury.

Pięć tekstów zawartych w tym tomie opowiada o kolejnych przygodach Mordimera Madderdina, jeszcze bardziej cynicznego od czasu ostatniej rozmowy z Aniołem Stróżem. Na rozwikłanie czekają kolejne mroczne zagadki, intrygi rodowe i dworskie, i... jak to w każdej ciekawej opowieści bywa, często nie ta owca jest czarna, która początkowo się nią zdawała. Tym razem zdarzy się nawet tak, że pokorny – jak lubi określać siebie – inkwizytor stanie przed problemem przekraczającym jego siły.

Czytelnik odnajdzie w książce postaci znane z poprzednich opowiadań. Pojawi się Anioł Stróż, tym razem w jeszcze bardziej przerażającej roli (wypowiedziane przez niego powitanie rozbawi zapewne czytelnika, ale inkwizytora zmrozi do szpiku kości). Na widok pokiereszowanej twarzy Kostucha wielu odwróci spłoszony wzrok, a psychopatyczni Bliźniacy znajdą niejeden powód do rechotu. Madderdin zostanie po raz kolejny zmuszony do odmówienia modlitw, które przyniosą obezwładniający ból i wizje przerażających demonów.

Teologia jest zarówno prosta, co tajemnicza. Znakiem Inkwizycji jest srebrny, złamany krzyż na czarnym płaszczu – symbol Jezusa schodzącego z połamanego narzędzia kaźni, który postanowił karać swych wrogów już na Ziemi (czy sam Jezus nie powiedział Apostołom: „zabijajcie ich wszystkich, Ojciec rozpozna swoich"? – pyta główny bohater). Jednocześnie zaś tak kler, jak i inkwizytorzy przy modlitwach kreślą się prostym znakiem krzyża. Inkwizytorzy, choć po studiach teologicznych, nie są duchownymi. Wręcz przeciwnie! Między tymi grupami sług Bożych panuje głęboka niechęć przechodząca wręcz w nienawiść. I choć Madderdin oficjalnie jest poddanym władzy biskupa, to... Jak sądzę, więcej informacji o Świętym Officjum i jego roli Jacek Piekara dostarczy nam w kolejnych tekstach – zamykające „Młot na czarownice" opowiadanie „Żar serca" rzuca tu nieco więcej światła.

W opisywanym przez autora momencie historycznym na świecie zaczyna szerzyć się, tępiona z całą stanowczością, herezja. Mówi ona, że Jezus jednak zmarł na krzyżu, a w jego martwe ciało wstąpił Szatan i to właśnie on zapoczątkował rządy przemocy oraz terroru. Oczywiście dla praworządnego głównego bohatera jest to wizja nad wyraz obrzydliwa.

Dla kogo?

Dla miłośników mroczniejszej odmiany fantastyki metafizycznej. Zwłaszcza dla osób zapracowanych, które mogą przeczytać tylko jeden rozdział co jakiś czas. Nie martwcie się, każdy kolejny przypomni wam sylwetki bohaterów.

Dlaczego kupić?

Bo autor, zręcznie manewrując między prawdami wiary a fantazją teologiczną, kreśli zupełnie inny wizerunek Inkwizycji niż znane do tej pory. Ani wyidealizowany, znany z przekazów kościoła katolickiego, ani czarny niczym ze źródeł protestanckich. Ze znanego – jak się wydawało – tematu Jacek Piekara potrafił wycisnąć nowe soki.

Tekst: Wojciech Gołąbowski



Nuda i piękno



- Tytuł: Krew i kamień
- Autor: Tomasz Kołodziejczak
- Wydawca: Supernowa
- Termin: listopad 2003
- Cena: 29 zł

Recenzję tej książki piszę z łóżka szpitalnego. Kończąca powieść scena starcia dwóch wielkich armii doprowadziła mnie do tak potwornego ataku ziewania, że zwichnąłem sobie szczękę w dwóch miejscach. Morał z tego taki, że „Krew i kamień" należy smakować powoli... Baaardzo powoli.

Jednak powieść została naprawdę dobrze napisana, pełna malowniczych opisów scenerii i ciekawych porównań. Nie ma w niej miejsca na odnośniki do czasów współczesnych. Jeśli włosy pijaczyny są krótkie, to „długości paznokcia", jeśli oczy skazańca wskutek czarów puchną, to „nadymają się niczym rybi pęcherz". Ładne to. Ładne i oryginalne. Podobnie zresztą jak i świat, w którym toczy się akcja powieści. Przypomina on wczesne średniowiecze, z tą różnicą, że nieliczni ludzie opanowali tajniki najprostszej magii, a wybrańcy mogą liczyć na pomoc przyrody bądź czterech potężnych żywiołów. Ludzka cywilizacja nie zna też koni ani obróbki metali. Wojownicy biegają więc zamiast jeździć konno i tłuką się drewnianymi karoggami, gdyż o mieczach nie słyszeli. Z punktu widzenia fabuły nie robi to jednak najmniejszej różnicy.

Najpoważniejszą wadą „Krwi i kamienia" jest wyzierająca z jej kart nuda. W powieści niewiele się dzieje, a przyzwyczajony do barwnych przygód wiedźmina czytelnik zaśnie nad opisami licznych obyczajów i tradycji, kolejnych bezcelowych przechadzek głównych bohaterów oraz ich obserwacji. Nie znajdzie tu barwnych pojedynków z oprychami i pełnych dynamizmu starć z potworami z bagien. Nawet tortury czy wielka bitwa z końca powieści nie były w stanie wyrwać mnie z marazmu. Być może dzieje się tak za sprawą opisywanych postaci, które są straszliwie mamałygowate. Ani ziębią, ani grzeją – po prostu łażą i gadają, myślą, rozważają, łażą, gadają...

Dla kogo?

Dla wszystkich fanów fantasy. Takiego fantasy swojskiego, przaśnego, z oryginalnymi słowami typu jopy, ban (władca) czy karogga. Także dla osób, które zakochały się w filmie „Śmierć w Wenecji" Viscontiego, w którym to facet płynie w łódce i płynie, i płynie, i płynie...

Dlaczego kupić?

Książka jest naprawdę ładnie napisana. Kołodziejczak świetnie operuje językiem polskim. Stosuje też piękne onomatopeje, hiperbole i przenośnie, jakich trudno szukać w tłumaczonych naprędce gniotach z Zachodu.

Tekst: Michał Zacharzewski

Błysk i cień

- Tytuł: Frajerzy
- Autor: Rafał Ziemkiewicz
- Wydawca: Fabryka Słów
- Termin: listopad 2003
- Cena: 25 zł

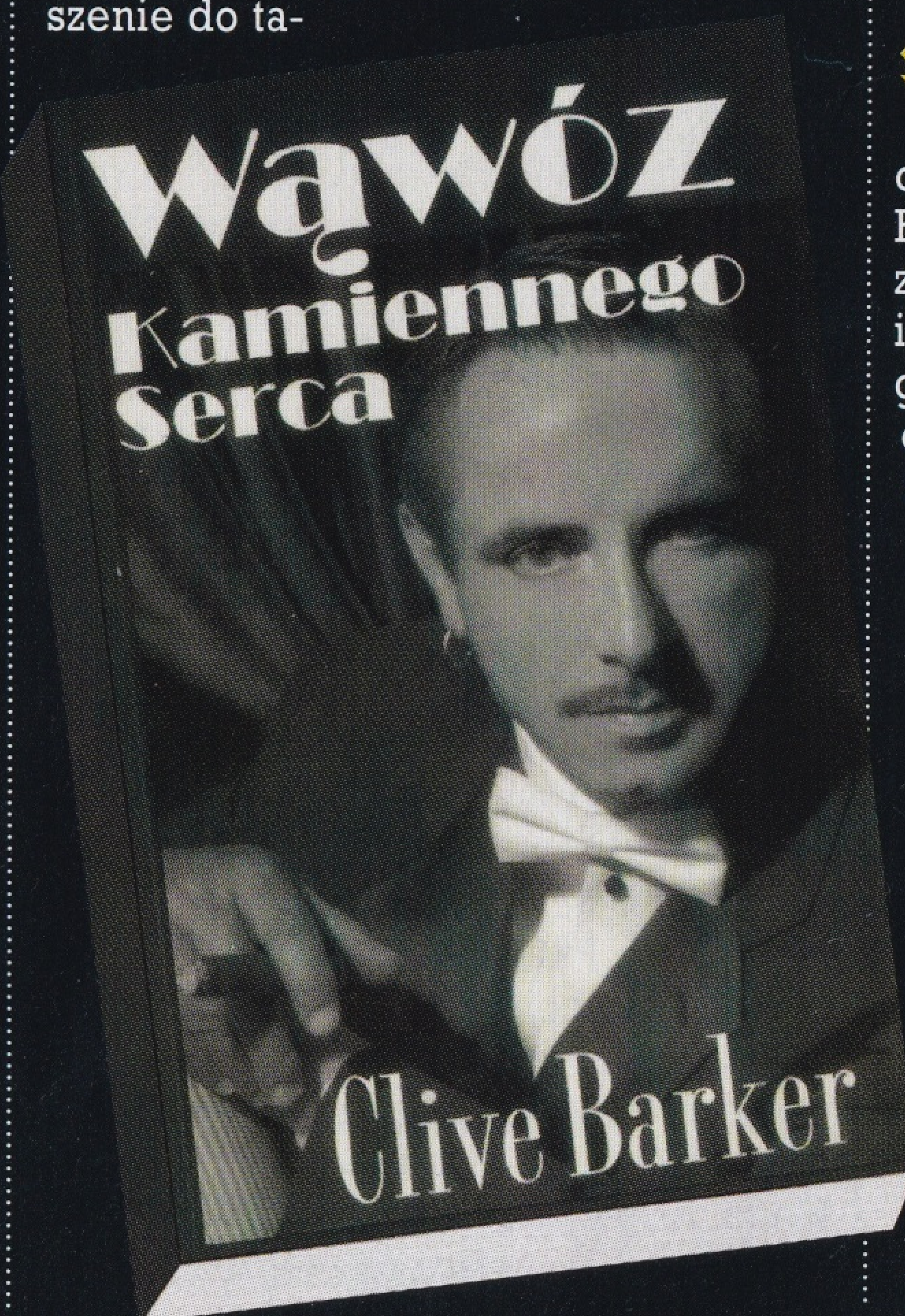
Rafał Ziemkiewicz wielkim polskim publicystą jest. Ten fakt wydaje się tak samo oczywisty, jak to, że słońce ma zwykle kolor żółty, a trawa zielony. Niestety, zbiór felietonów „Frajerzy" to dowód, iż najlepszemu nawet autorowi może paskudnie podwinąć się noga (uwaga ta dotyczy jednak tylko części tekstów, głównie tych poświęconych światkowi miłośników fantastyki). Co gorsza, towar oferowany przez Ziemkiewicza śmierdzi potworną starzyzną. Część opinii autora została zweryfikowana przez rzeczywistość (i to niezgodnie z jego koncepcją), a niektóre diagnozy oraz obserwacje dotyczą realiów sprzed kilku lat. W publicystyce, której zadaniem jest mierzenie się z aktualnymi problemami, odpowiada to wydawaniu dzieł o Marsie pochodzących sprzed czasu dokładnego zbadania tej planety przez sondy. Niektóre publikacje sprawiają wrażenie pisanych przez kumpla o kumplach i dla kumpli z myślą o wydaniu w pisemku czytanym przez kumpli. Sens zamiesz-

Strachy na laskach

- Tytuł: Wąwóz Kamiennego Serca
- Clive Barker
- Wydawca: MAG
- Termin: listopad 2003
- Cena: 39,90 zł

Dziennikarze mają śmieszną, zawodową skłonność do wypisywania głupot. Napędzani marketingowym bełkotem smęcą jakieś brednie o rzeczach, o których pojęcia nie mają. Dowód? Przeglądam właśnie notki prasowe dotyczące „Wąwozu Kamiennego Serca", czytam internetowe recenzje i nadziwić się nie mogę. Ponoć książka wstrząsnęła Hollywood. Ukazała ułudę i kłamstwa Fabryki Snów, a także przedstawiła znane gwiazdy w bardzo niekorzystnym świetle. Czytam więc powieść, czytam i stwierdzam: równie dobrze można by oskarżyć „Kubusia Puchatka" o krzewienie terapii hormonalnej wśród rosiczek!

Clive Barker, twórca świetnego „Hellraisera", zaczyna swą ponad 600-stronicową powieść na początku XX wieku w Rumunii. Willem Zeffer, menadżer gwiazdy filmowej Katyi Lupi, kupuje od obrotnego zakonnika starą mozaikę ścienną. Przewozi ją do Stanów i przekazuje podopiecznej. Wówczas okazuje się, że obraz przedstawia las Lilith, żony samego Szatana, i ma moc odurzająco-podniecająco-odmładzającą. Nic dziwnego, że u progu domu aktorki zaczynają pojawiać się spragnione nieśmiertelności gwiazdy. Orgie u panny Lupi, na które docierają takie sławy jak Rudolph Valentino i Theda Bara, każdorazowo kończą się w ciasnej piwniczce, której ściany ozdobiono rumuńską mozaiką... Osiemdziesiąt lat później znany współczesny gwiazdor filmowy, Todd Pickett, przechodzi nieudaną operację plastyczną. Chcąc ukryć się przed fanami, wynajmuje stary dom w Wąwozie Kamiennego Serca. Okazuje się, że mieszka w nim filigranowa ślicznotka podająca się za gwiazdę sprzed lat. Zakochany w Katyi Todd powoli odkrywa tajemnicę ogrodu, w którym obdarzone cielesnością duchy gwiazd sprzed lat wciąż czekają na zaproszenie do tajemniczej piwnicy. Kłopoty zaczynają się, gdy w okolicy pojawia się szefowa fanklubu Todda, gotowa do największych poświęceń, byle tylko wyciągnąć swego idola z kłopotów.



Moje szyderstwa z początku nie znaczą jednak, że „Wąwóz Kamiennego Serca" nadaje się jedynie do tego, by go o kant tyłka obić. Owszem, powieść jest całkowitą fikcją i nie ujawnia żadnych gwiazdorskich skandali oraz tajemnic. Mimo to czyta się ją z zainteresowaniem. Napisano ją bowiem ciekawym językiem, zaś akcja rozwijająca się w szybkim tempie potrafi wciągnąć czytelnika. Ale zaręczam, że niedługo o „Wąwozie..." nikt nawet nie będzie pamiętał.

Dla kogo?

Dla fanów niezbyt przerażających opowieści suto zakrapianych seksem. Również dla miłośników starego kina z lat dwudziestych, trzydziestych i czterdziestych minionego wieku – gdyż ucieleśnione duchy gwiazd tego okresu bardzo chętnie parzą się ze zwierzęcymi strachami zamieszkującymi tytułowy wąwóz.

Dlaczego kupić?

Autor potrafi zaintrygować czytelnika oraz w bardzo plastyczny sposób opisać sadomasochistyczne orgietki. Niestety, straszyć nie umie. W końcu jego słynny cykl „Księga krwi" wywołał nie tyle przerażenie, co najzwyczajniejsze obrzydzenie.

Tekst: Michał Zacharzewski

Ostatnia tandeta

- Tytuł: Ostatni legion
- Autor: Chris Bunch
- Wydawca: Rebis
- Termin: październik 2003
- Cena: 27 zł

Chris Bunch do historii literatury s-f trafił jako współtwórca popularnej serii „Sten". W najnowszej powieści opisuje historię niedoświadczonych żołnierzy, trafiających na planetę Cumbre. Po wyczerpującym szkoleniu mieli wieść spokojne życie na rubieżach Konfederacji. Ta jednak powoli wali się w gruzy i przestaje odpowiadać na komunikaty. Nic dziwnego, że wzrasta aktywność terrorystów. Na Cumbre zaczyna pachnieć rewolucją...

U Buncha dominują rozwlekłe dialogi i opisy starć. W powieści nie ma oryginalnych pomysłów, wydarzeń czy postaci godnych zapamiętania. Przez znaczną część książki bohaterowie przeczesują powierzchnię planety w poszukiwaniu terrorystów. Korzystają z dziwacznych pojazdów zwanych griersonami, tytułują się stenami, finfami i caudami, przeżywają krótkie romanse oraz fascynacje. Czasem wyskakują na przepustkę do miasta. Sęk w tym, że nie sposób ich polubić. Chłopcy są zbyt banalni, zbyt przeciętni, by zdobyć sympatię. Ich przygody mogłyby się odbywać przed trzydziestu laty w Wietnamie. Kosmos dodano na siłę, nie wykorzystując możliwości, jakie stwarza konwencja.

W „Ostatnim legionie" nie znalazłem nic, co zasługiwałoby na uznanie. Miałki język i szablonowa fabułka czynią z tej książki bardzo przeciętne czytadło. Podobnych „dzieł" jest na rynku bez liku.

Dla kogo?

Dla miłośników wojennego s-f i osób gustujących w literaturze brukowej.

Dlaczego nie kupować?

Bo nuuuda to jest....

Tekst: Michał Zacharzewski



czania takich tekstów w książce (mającej przecież trafić do czytelnika niezorientowanego w „gettowych" rozgrywkach) wydaje mi się co najmniej mocno dyskusyjny. W dodatku felietony wydają się być nieposegregowane pod względem tematycznym, niepoprawione i niezaktualizowane, co pogłębia wrażenie panującego w książce chaosu. Niestety, Ziemkiewicz wiele miejsca poświęca opisywaniu różnych bredni głoszonych przez Macieja Parowskiego – byłego redaktora naczelnego „Nowej Fantastyki", z którym przez wiele lat był na ścieżce wojennej. Nie wiem, czy publicysta tej rangi winien mierzyć się z postacią tak w tej chwili nieznaczącą oraz marginalną, ale widać nie mógł sobie Ziemkiewicz odmówić kontrowersyjnej satysfakcji, płynącej z kopania trupa.



Na szczęście we „Frajerach" czytelnik znajdzie wiele tekstów wybitnych. Zabawnych, ciekawych, pisanych z zębem, pazurem, a może nawet pianą na pysku! I to jest Ziemkiewicz, jakiego lubimy. Drapieżne polityczne zwierzę, potrafiące przekonać do swoich racji oraz wyszydzić poglądy przeciwne (ponieważ zresztą w kwestiach polityczno-społecznych jesteśmy z autorem niczym bracia bliźniacy, więc zrozumiałe, że rzecz szczególnie mi się z tego właśnie powodu podoba). Warte uwagi są również dwa artykuły traktujące o powstaniu mitu potwora Frankensteina oraz o historii Sherlocka Holmesa. Szkoda, że Ziemkiewicz nie zdecydował się zaczekać, aż uzbiera więcej tekstów podobnych jakościowo oraz gatunkowo, a przy tym (ważne!) uniwersalnych oraz ponadczasowych.

Ostatnim akcentem książki jest średnio interesująca rozmowa z niewątpliwie ciekawą osobowością, jaką jest Lech Jęczmyk (wybitny tłumacz, który do Polski wprowadził takich pisarzy jak Wharton, Vonnegut czy Heller). Sam autor podpisuje go jako „kultowy wywiad". Cóż, od autopromocji bardzo blisko do śmieszności i tym razem Ziemkiewicz zbliżył się niebezpiecznie do tej drugiej.

Dla kogo?

W jednej części dla zdeklarowanych czytelników fantastyki i to tych, którzy dobrze pamiętają realia lat 90. ubiegłego wieku, a w drugiej (tej lepszej) dla wszystkich, których świat nie kończy się na czubku własnego nosa. Oraz dla tych, którzy nie boją się odbrązowiania mitów i podważania obiegowych opinii.

Dlaczego kupić?

Bo Ziemkiewicz naprawdę potrafi pisać i jego znakomity styl widać nawet, kiedy dywaguje nad zaletami oraz wadami zeszłorocznego śniegu. Ziemkiewicz, chociaż popełnia błędy i czasem myli się w diagnozach, jest niewątpliwym erudytą umiejącym błyskotliwie „sprzedać" swe poglądy oraz swą wiedzę. Oto facet, który nawet tak żałosnie nudną ceremonię jak msza święta opisałby w taki sposób, że tekst czytałoby się z rodziawioną gębą!

Tekst: Jacek Piekara

Nocne strachy

- Tytuł: Nocna zmiana
- Autor: Stephen King
- Wydawca: Prószyński i S-ka
- Termin: październik 2003
- Cena: 34 zł

Tomik opowiadań „Nocna zmiana" pochodzi z wczesnego okresu twórczości Kinga i przedstawia teksty, o których można (w większości wypadków) wyrażać się w samych superlatywach. Stephen King nigdy nie stronił od thrillerów, w wielu jego utworach element horroru bądź nie pojawia się wcale, bądź też jest jedynie uzupełnieniem interesujących obserwacji obyczajowych. W „Nocnej zmianie" kilka przejmujących tekstów („Człowiek, który kochał kwiaty", „Ostatni szczebel w drabinie", „Quitters Inc.", „Gzyms", „Truskawkowa wiosna") jest zupełnie pozbawionych elementów fantastyki i, co ciekawe, właśnie one (oraz wstrząsający „Czarny lud" i przemawiające do wyobraźni „Wszystko, czego ci potrzeba") wypadają najlepiej.

Nie ukrywam, że w zbiorze są opowiadania bardzo słabe. Kultowe w USA „Ciężarówki" dla polskiego czytelnika mogą być co najwyżej mdłe oraz groteskowe. „Cmentarna szychta" to pozbawiony pomysłu oraz puenty „produkcyjniak", „Dzieci kukurydzy" są godnym debiutanta mistycyzującym nudziarstwem, a wyraźnie nawiązująca do twórczości Lovecrafta „Dola Jeruzalem" nawet nie umywa się do utworów Samotnika z Providence.

Biorąc jednak pod uwagę wszyskie za i przeciw, czytelnik ma do czynienia ze zbiorem bardzo dobrym, a miejscami wręcz wybitnym. King posiada niezwykły dar wiarygodnego przedstawiania sytuacji oraz bohaterów, a stworzony przez niego świat jest niczym realistyczna fotografia. Niewielu pisarzy na świecie ma tak wielki talent i wypada tylko żałować, że od czasu do czasu zdarza się Kingowi talent ten rozmieniać na drobne.

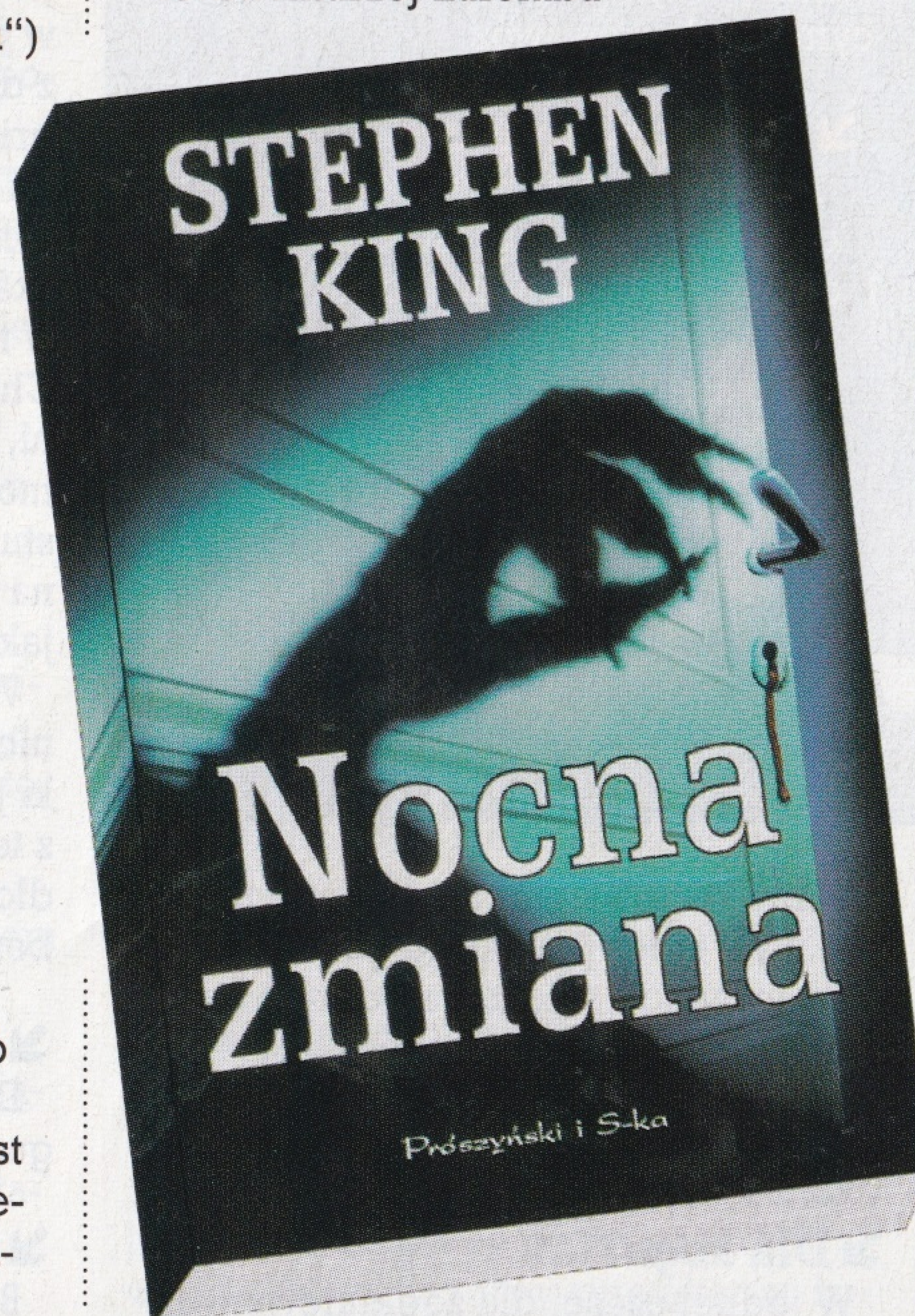
Dla kogo?

Dla miłośników silnych wrażeń, którzy wierzą, że zło kryje się często nie w ciemnym kącie pokoju, lecz w ciemnych zakamarkach naszych dusz. Oraz dla nałogowych palaczy, bo dzięki opowiadaniu „Quitter Inc." poznają radykalną i stuprocentowo skuteczną metodę na rozstanie się z nałogiem.

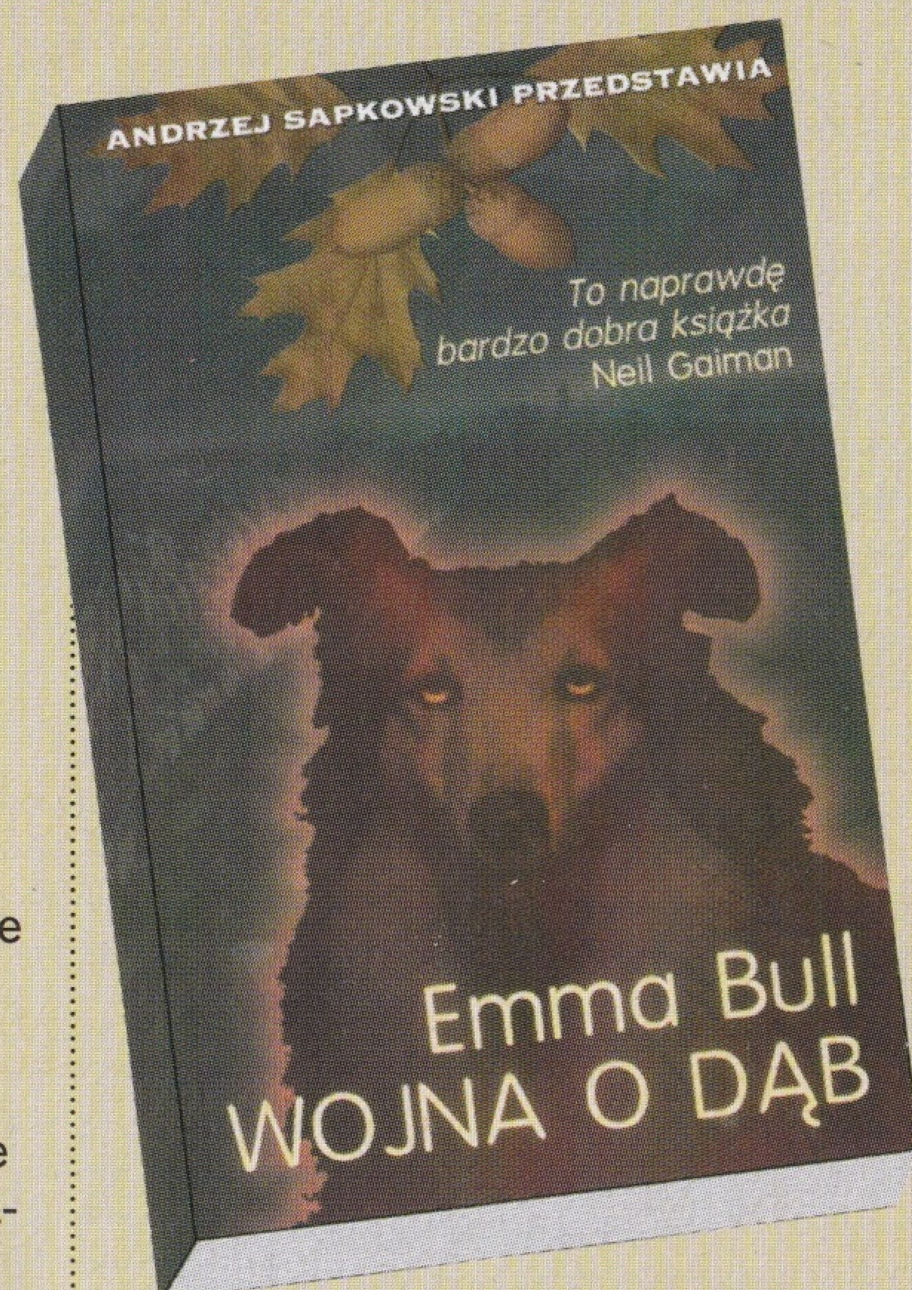
Dlaczego kupić?

Bo King, mimo swych słabostek, jest królem horroru. W dodatku jest to horror stonowany, wysublimowany i pełen kapitalnych obserwacji psychologicznych, a autor posługuje się bogatym oraz obrazowym słownictwem. No i najważniejsze: zero tu przynudzania, a marudny opowiadacz horrorów to jedna z najgorszych rzeczy, jakie można sobie wyobrazić!

Tekst: Andrzej Zaremba



Urocze czytadło



- Tytuł: Wojna o dąb
- Autor: Emma Bull
- Wydawca: MAG
- Termin: październik 2003
- Cena: 29 zł

Czy chciałbyś, aby od ciebie zależały losy świata oraz abyś współdecydował o tym, kto zatriumfuje w walce Dobra ze Złem? Być może. Ale co byś powiedział, jeśli Dobro uosabiają istoty uwielbiające wodzić ludzi na manowce, topić ich w grzęzawiskach czy wciągać pod lustro wody? Wyobraź sobie, jak w takim razie musi wyglądać ta zła strona!

Powieść Emmy Bull opowiada o losach amerykańskiej gitarzystki i wokalistki, której kariera polega na graniu do piwa i kotleta w obskurnych pubach odwiedzanych przez mało wybredną klientelę. W momencie, kiedy Eddie (w tym wypadku jest to imię żeńskie, w dodatku należące do miłej i seksownej blondynki. Nie ukrywam więc, że polskiemu czytelnikowi trochę trudno zrozumieć, dlaczego kobieta ma mieć na imię Edek) staje na rozstaju życiowych dróg, pojawia się PROPOZYCJA. A chodzi ni mniej, ni więcej, tylko o to, by Eddie wzięła udział w bitwie pomiędzy Jasnym (to ci od topienia i wodzenia na manowce) a Mrocznym Dworem (to ci od rozkładu, rozpaczy i absolutnego już Zła, w którym nie miejsca na urocze figle typu utopienie na trzęsawisku).

W powieści Emmy Bull jest wszystko, co powinno być w przyzwoitej, rozrywkowej lekturze. Intryga (zawikłana tylko w miarę), romans (bardzo nietypowy, ale pełen prawdziwej miłości), humor (skrzący się w dialogach), tajemnica (nie od razu wyjaśniona i nie od razu do przewidzenia), a wszystko to okraszone szczyptą prawdziwego dramatu.

Mimo ogromnych podobieństw do twórczości Gaimana „Wojna o dąb" jest lekturą, która powinna zostać umieszczona na nieco niższej półce niż „Nigdziebądź" lub „Amerykańscy bogowie". Nie znaczy to, że Emma Bull nie jest dobrą pisarką. Oczywiście, że jest! Szkopuł w tym, iż mierzyć się na pióra z Gaimanem to czynność tak samo rozsądna, jak kopanie się z koniem.

Dla kogo?

Jeśli lubisz twórczość Neila Gaimana i jeśli podobało ci się „W poszukiwaniu jednorożca Resnicka" lub „Trzy serca, trzy lwy Andersona", to powieść Emmy Bull powinna cię zauroczyć. Mam również wrażenie, że osoby zwykle nie przepadające za fantastyką ten utwór powinny akurat przeczytać z przyjemnością.

Dlaczego kupić?

Połknąłem tę powieść w jeden wieczór i żałowałem, że jest tak krótka (pomimo że obiektywnie krótka nie jest). Bull pisze z polotem, swadą, fantazją i ma ogromne poczucie humoru oraz umiejętność budowania żywych dialogów.

Tekst: Andrzej Zaremba

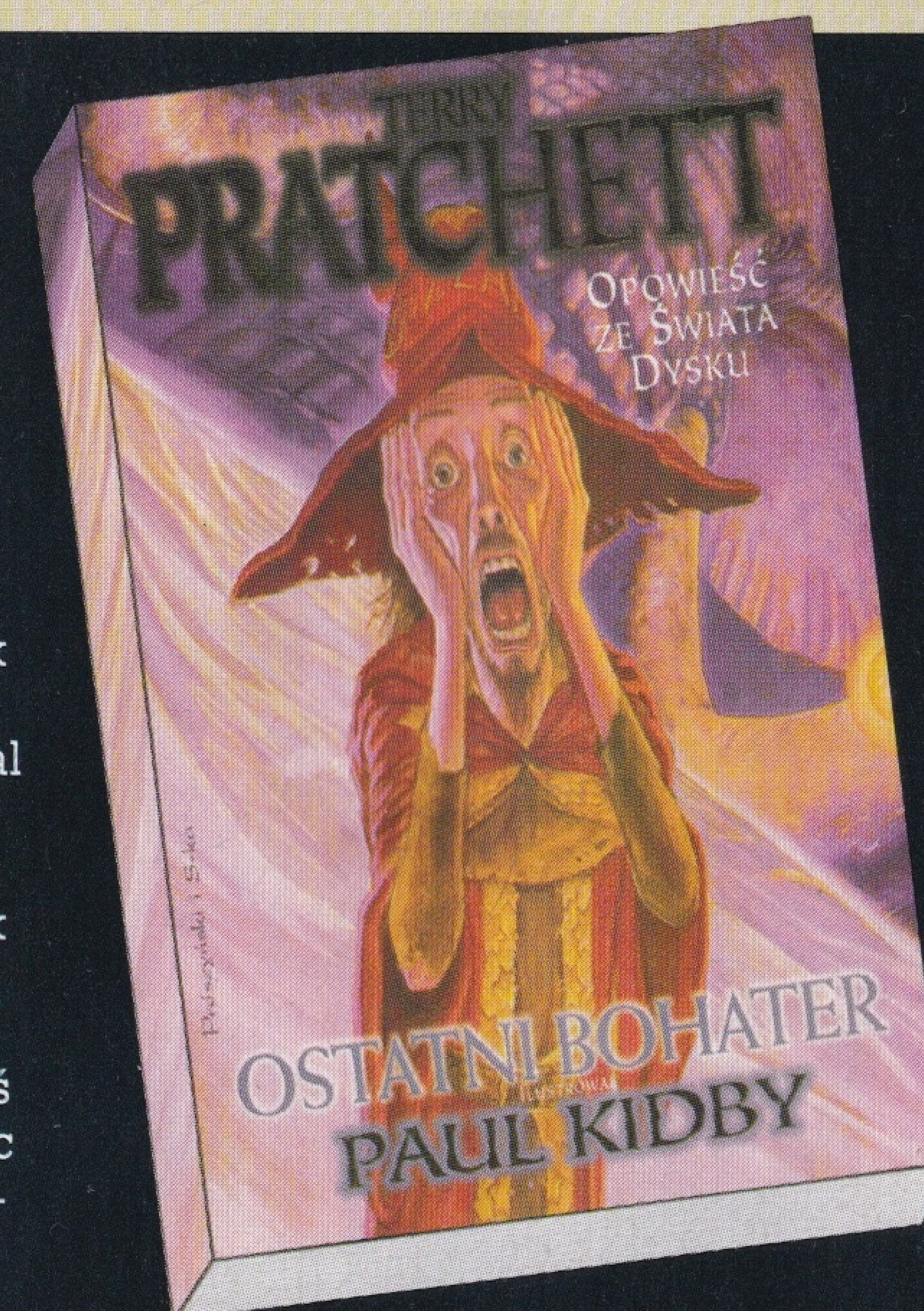
Edytorskie mistrzostwo

- Tytuł: Ostatni bohater
- Autor: Terry Pratchett, Paul Kidby
- Wydawca: Prószyński i S-ka
- Termin: październik 2003
- Cena: 69 zł

Nie od rzeczy w informacji o książce zobaczysz oprócz nazwiska Pratchetta nazwisko grafika Kidby'ego. „Ostatni bohater" to pozycja, którą można nazwać albumem bądź powieścią ilustrowaną i gdzie praca ilustratora zyskała rangę niemal równą pracy pisarza. Książka została wydana w taki sposób, że ręce same składają się do oklasków. Twarda oprawa, świetnej jakości papier oraz śliczne kolorowe ilustracje są niewątpliwymi atutami „Ostatniego bohatera". A treść? Cóż, jak to w Świecie Dysku Pratchetta: totalnie zwariowana i pełna surrealistycznego humoru (nie ukrywam i z nutą zgryźliwości dodam, że czasami trochę męczącego). Tym razem Pratchett opowiada o wspólnej wyprawie maga-nieudacznika Rincewinda, sumiennego kapitana Marchewy oraz genialnego wynalazcy Leonarda z Quirmu. Ups, pardon, zapomniałem o orangutanie-bibliotekarzu, ale on na pokład powietrznej łodzi zapłatał się całkowicie przypadkowo. Podróżują oni, aby ni mniej, ni więcej, tylko ocalić bogów przed gniewem Złotej Ordy dowodzonej przez Cohena Barbarzyńcę, któremu znudziły się już cesarskie zaszczyty i zapragnął odejść ze świata z wielkim hukiem (dosłownie oraz w przenośni).

Miłośnikom Pratchetta nie ma sensu opowiadać, czego się można spodziewać po „Ostatnim Bohaterze" – złośliwego, absurdalnego humoru w stylu Monthy Pythona i Mr Beana. Ci, którzy nie znają twórczości brytyjskiego pisarza, powinni jednak rozpocząć od wcześniejszych historii ze Świata Dysku, gdyż powieść przeznaczona jest dla czytelnika znającego realia tego uniwersum, a najlepiej dobrze pamiętającego poprzednie przygody bohaterów.

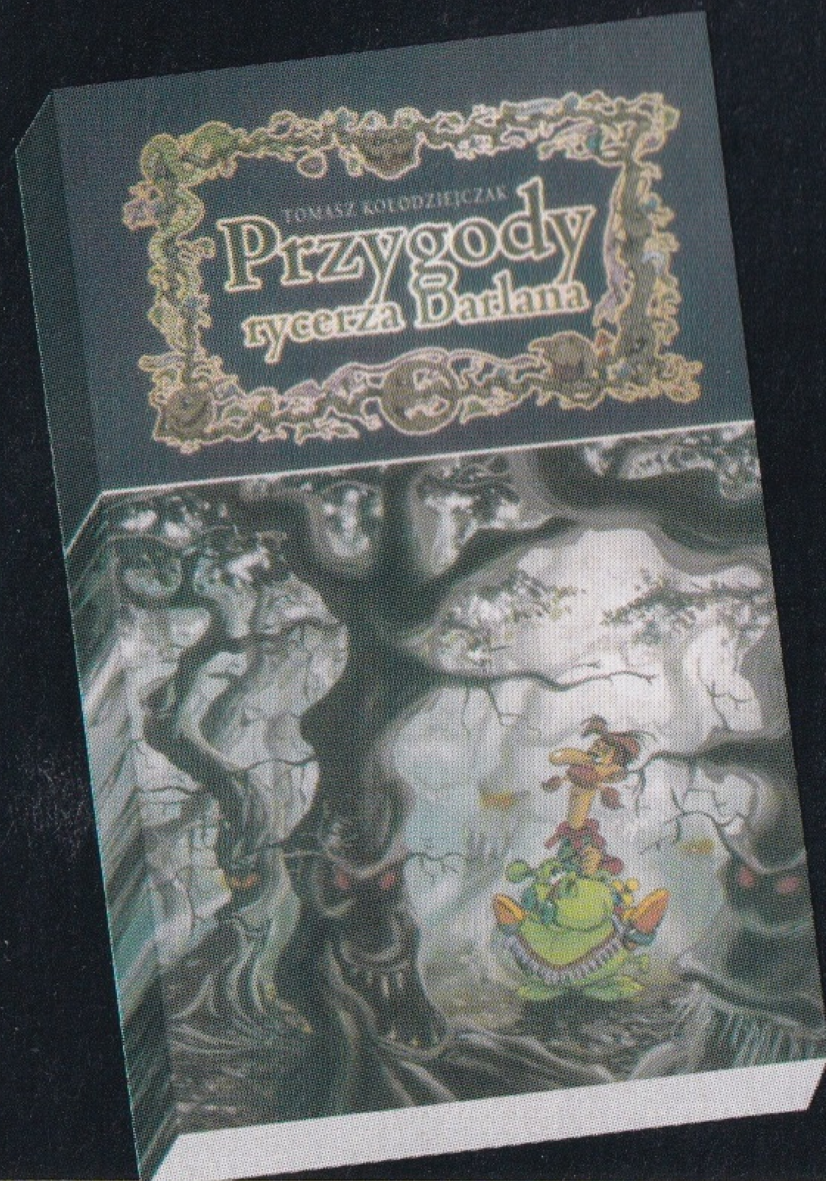
„Ostatniego bohatera" czyta się – jak niemal każdą książkę Pratchetta – doskonale, lecz po lekturze – jak w niemal każdej książce Pratchetta – pozostaje pustka. Trudno się oprzeć wrażeniu, że twórczość angielskiego pisarza jest jak wata cukrowa. Smaczna, pochłaniasz ją błyskawicznie i z apetytem, ale po chwili czujesz, że tak naprawdę łapałeś ustami tylko powietrze, a w brzuchu nic nie zostało. Nie znaczy to jednak, że niżej podpisany nie lubi waty cukrowej!



Fantastyczny Tomcio K.

- Tytuł: Przygody rycerza Darlana
- Autor: Tomasz Kołodziejczak
- Wydawca: Egmont
- Termin: październik 2003

Chociaż nie jestem już dzieckiem, z prawdziwą przyjemnością przeczytałam przeznaczoną dla najmłodszych książkę Tomka Kołodziejczaka „Przygody Rycerza Darlana". Świat stworzony przez autora zamieszkują nie tylko stwory ze świata fantasy tradycyjnie wykorzystywane w bajkach, takie jak elfy czy trolle. Dodatkowo zasiedlają go istoty, które narodziły się w wyobraźni autora. Na przykład szwindlaki (brudasy o ohydnych charakterach), lodożercy czy pocztowe kurzymisie – zapaleni zbieracze orderów oraz medali. Kurzymisie oraz pojawiający się w ich historii magiczny gadżet „MiM" stanowią zresztą prawdziwą atrakcję dla osób związanych ze środowiskiem s-f. Dlaczego? No, niech będzie, zdradzę tajniki kuchni i wyjawię, że „Kurzymisiem" nazywano nad wyraz sympatycznego redaktora naczelnego pisma „Magia i Miecz"! Innych stworzonek już nie wymienię, aby czytelnik sam mógł odkryć parę atrakcji.



Przygody sympatycznego rycerza pisane są zabawnym, ale nie infantylnym językiem, co jest niewątpliwie dużą zaletą i gwarantuje zainteresowanie ze strony dzieciaków (które wbrew błędnej opinii wielu dorosłych nienawidzą, kiedy mówi się do nich np. „puci, puci mały chłopciku"). Opisane historie pozbawione są moralizatorskiego tonu, akcja toczy się wartko (chyba po to, aby móc konkurować z kreskówkami) i trudno pozbyć się wrażenia, że pisanie ich sprawiało autorowi prawdziwą przyjemność. Potwierdza się tu zasada, że dla dzieci trzeba pisać tak samo, jak dla dorosłych, tylko lepiej.

Zbiorek został ładnie wydany, zawiera też sporo ilustracji, które mnie osobiście podobają się raczej umiarkowanie, ale niewątpliwie działają na wyobraźnię.

Dlaczego kupić?

Dlatego, że istnieją uzasadnione podejrzenia, iż dzieci zechcą ją przeczytać :-). Może ona walczyć o zainteresowanie naszych milusińskich z wszechobecnymi kreskówkami, komiksami, a nawet, kto wie, może i z grami komputerowymi (choć nie wiem, czy w tym ostatnim stwierdzeniu trochę mnie nie poniosło, bo sama jestem osobą hodowaną w dzieciństwie na książkach).

Dla kogo?

Dla dzieci i ich rodziców. Najlepiej do wspólnego czytania. Przeprowadzony przeze mnie test na własnym potomstwie dał wynik pozytywny, więc mogę z czystym sercem polecić.

Osobom stroniącym od dzieci też polecam, pod warunkiem, że potrafią ykrzesać z siebie chociaż odrobinę poczucia humoru.

Tekst: Grażyna Grzędowicz

Zalety Koontzowatości

- Tytuł: Grom
- Autor: Dean Koontz
- Wydawca: Prószyński i S-ka
- Termin: październik 2003
- Cena: 34 zł

Trzeba przyznać, że los nie oszczędza głównej bohaterki powieści oraz jej bliskich. Życie dziewczynki, a potem już kobiety, obfituje w dziwne, czasem tragiczne w skutkach zdarzenia. I czytelnikowi natychmiast nasuwa się podejrzenie, że jest ona ważnym elementem w tajemniczej rozgrywce między siłami Dobra i Zła. Bezlitosne fatum kreuje zdarzenia, które powinny prowadzić do zgładzenia dziewczyny, lecz zawsze zapobiega temu tajemniczy obrońca pojawiający się w krytycznych momentach jej życia. Wyjaśnienie tajemnicy to jednak nie koniec historii. Ma ona jeszcze inne, można śmiało powiedzieć: globalne implikacje. Pewną ciekawostką jest również pojawienie się w powieści autentycznych postaci historycznych, a nawet obecność niewielkiego „motywu polskiego".

Gdyby trzeba było jednym słowem scharakteryzować „Grom", powiedziałabym (może niegramatycznie, ale za to sądzę, że trafnie), iż jest to powieść bardzo „koontzowata". Czytelnicy na pewno zgodzą się, że charakterystyczne dla tego autora jest oryginalne, błyskotliwe podejście do wyeksploatowanych zdawałoby się tematów (w tym wypadku są to podróże w czasie). Koontz stworzył logicznie i konsekwentnie określone zasady, bohaterowie wprowadzani są do akcji w intrygujący dla czytelnika sposób, a ich losy splatają się, ukazując zaskakujące powiązania. Towarzyszy temu wartka akcja, w której nie ma miejsca na wodolejstwo czy nużące opisy. Charakterystyczne jest też, że bohaterowie Koontza zostali zdecydowanie podzieleni na postacie kryształowe i czarne charaktery. Ci pozytywni są, jak w bajce, piękni i dobrzy, a jeśli nawet popełniają (zmuszeni okolicznościami) czyny brutalne, to zawsze ze wstrętem oraz wyrzutami sumienia. Z kolei bohaterowie negatywni są brzydcy i dysponują pełną paletą wrednych cech (przy opisie takiej postaci czytelnik wręcz oczekuje czegoś w stylu brodawki na nosie złej królowej). Osobiście nie mam tego Koontzowi za złe, ale czytelnikom, którzy w przeciwnieństwie do mnie nie wyrośli już z bajek, może to jednak przeszkadzać. Irytująca może być również pewna przewidywalność zakończenia, gdyż czytelnik nie może mieć żadnych wątpliwości, że źli zostaną ukarani, a dobrzy nagrodzeni. Do puenty wiedzie jednak kręta droga, a zwroty akcji są zaskakujące. Chociaż wierni czytelnicy Koontza i tak wiedzą, że autor na koniec zadba o swych bohaterów.



Dlaczego kupić?

Bo powieść serwuje sporą porcję dobrej rozrywki, a w literaturze wielkiej czy małej chodzi przecież przede wszystkim o to, by czytelnika nie zanudzić na śmierć. I ta książka naprawdę wciąga!

Dla kogo?

Oczywiście dla miłośników Koontza! A także dla tych, którzy pochłonięci problemem przetrwania w dzisiejszych czasach (a w Polsce to dopiero jest fantastyka!), chcą na chwilę zapomnieć o otaczającej ich rzeczywistości.

Tekst: Grażyna Grzędowicz

Dla kogo?

Oczywiście dla miłośników Pratchetta, gdyż ich życie bez tej starannie wydanej, albumowej pozycji po prostu utraci sens! A poza tym dla estetów oraz dla wszystkich, którzy lubią się pochwalić swym księgozbiorem przed znajomymi. Oraz dla odpowiedzialnych za edycję redaktorów z Wydawnictwa Literackiego, którzy od lepszych od siebie powinni się nauczyć, jak wydawać książki (piję tu do żałosnego wydania „niemalOskarowej" „Katedry" Bagińskiego/Dukaja).

Dlaczego kupić?

Gdyż powieści z gatunku fantasy czy science-fiction rzadko są wydawane w tak atrakcyjnej formie i warto taką „perełkę" mieć w swojej kolekcji. Warto też zauważyć, że cena, zważywszy jakość wydania, naprawdę nie jest wygórowana.

Tekst: Andrzej Zaremba

Co słychać u pisarzy

Ania Brzezińska

Kończę właśnie „Letni deszcz. Kielich", powieść o dalszych przygodach zbója Twardokęska, osobnika nieco brutalnego, ze skłonnością do rozbojów na traktach, opilstwa, mordobicia oraz łajdaczenia się z ladacznicami. Odkąd za oknem zrobiło się szaro, zimno i ponuro, pisanie o nim jest zajęciem przyjemnym i nawet rozgrzewającym, choć prowadzi czasami do nieco krępujących sytuacji. Na przykład, bardzo trudno odpowiedzieć stęsknionej mamie, która dzwoni, żeby zapytać, co robię. Lakonicznie mówię, że pracuję, bo przecież nie wyznam, że właśnie wyrżnęłam małe miasteczko, zgwałciłam trzy mieszczki na trakcie i palę plebanię, prawda? Żeby jednak nie było zbyt jednostronnie, pisuję również opowiadania o magicznej renesansowej Italii. To świat znacznie delikatniejszy, pełen czarów, demonów, przyzywanych przez magów z dziewięciu sfer nieba i wiązanych zaklęciami. W przyszłym roku powinien z tego powstać zbiorek, zatytułowany „Wody głębokie jak niebo". A czasami wracam też do świata Wilżyńskiej Doliny i wrednej wiedźmy Babuni Jagódki. Właśnie mam w planach opowiadanie o małym, chudym i wątłym chłopcu, który miał jedno wielkie marzenie – pragnął zostać zbójem. Łupić na gościńcu porządnych kupców, pić w karczmie do nieprzytomności za zrabowane złoto, no i oczywiście bałamucić dziewczyny. I już w lutym wszyscy czytelnicy FANTASY powinni się przekonać, czy mu się udało.



Ahoj, przygodo!

- Tytuł: Achaja, tom 2
- Autor: Andrzej Ziemiański
- Wydawnictwo: Fabryka Słów
- Stron: 558
- Cena: 29,90 zł

Miłośnicy rodzimej fantastyki mogą już zacierać ręce. Oto na rynku pojawia się drugi tom przygód dzielnej Achai. W części pierwszej, rozpisanej na – bagatela – 620 stronach, poznaliśmy głównych bohaterów. Ich losy ukazano w trzech przeplatających się wątkach. Teraz Andrzej Ziemiański bardziej skoncentrował się na postaci Achai, czarownika Meredditha i księcia Siriusa traktując zdecydowanie bardziej pobieżnie.

Czytelnik przemierza więc z dziewczyną mniej lub bardziej odległe krainy i bierze udział w coraz bardziej niesamowitych zdarzeniach. Główny wątek dotyczy jednak przede wszystkim przygód Achai w królestwie Arkach. Tutaj ma ona okazję znów wstąpić do armii, tym razem złożonej z samych kobiet, i wykazać się swoją niezwykłą walecznością w starciu z Luan, by w nagrodę otrzymać tytuł... księżniczki.

Przyznać trzeba, że autor naprawdę się stara, by co i rusz zaskoczyć czymś czytelnika. Mnożą zdarzenia, sypie dowcipami jak z rękawa, każe bohaterce pakować się w nowe tarapaty. A jak Achai wyrasta ogon, to już jest naprawdę wesoło. Na brak akcji nie można narzekać. Zresztą, nie ma się czemu dziwić. Te 550 stron (tyle liczy obecne wydanie) trzeba czymś zapełnić. Mam jednak wrażenie, że całej trylogii wyszłoby na zdrowie, gdyby pisarz jednak trochę przyciął tekst. Naprawdę wszystkiego nie trzeba wałkować w niekończących się dialogach, by czytelnik pojął fabułę. A tu jest niestety właśnie tak, że postaci gadają, przerzucają się słowami i po wielokroć rozpychają zdania, które dawno powinny się skończyć. Ziemiański naprawdę potrafi pisać wartkie, inteligentne i zabawne riposty (Zaan kontra Sirius), boli mnie więc, że tak często ucieka w ględzenie. Duża ilość stron powoduje też, że autor zaczyna powtarzać pewne rozwiązania z pierwszej części, traci oryginalność, tak więc można z dużym prawdopodobieństwem przewidzieć, co zdarzy się kilka kartek dalej. Przyznam się też, że trochę zagubił mi się sens eschatologicznych wywodów: Wirus kontra Meredith.

Poza tym drażni mnie pewna nieporadność postaci. Zwłaszcza kobiecych. Biorąc pierwszy tom książki do ręki, bardzo się ucieszyłam, że wreszcie ktoś chce pokazywać świat oczami dziewczyny. Niestety, szybko zorientowałam się, że tak naprawdę cały czas oglądam to, co widzi Achaja, oczami mężczyzny. Autorowi tak sobie idzie wcielanie się w kobiecą psychikę. To widać w jej przemyśleniach i przede wszystkim w języku, jakim się posługuje. No, naprawdę, kobieta o kobiecie w pewien sposób nie powie. Może nazwać ją suką, ale śliczną dupką to już nie. Ta kwestia bardzo mi przeszkadzała już w opowiadaniu, które rok temu drukowaliśmy w FANTASY. I teraz nie daruję sobie okazji, by wytknąć to autorowi.

Poza tym uważam jednak, że ta opowieść (oba tomy) ma potencjał i może się podobać. Zwłaszcza mężczyznom, którym przypadnie do gustu szybka akcja i humor. Bohaterka jest niczego sobie, mieczem (i nie tylko) rozkłada facetów na łopatki, fajnie więc pomarzyć o takiej, gdy za oknem chlapa i wiatr hula. Co delikatniejsze oczy i uszy może co najwyżej razić stężenie brutalności oraz strony kapiące od wulgaryzmów. Nie ma się zresztą czemu dziwić – świat, w którym toczy się akcja, jest bardzo okrutny, a bohaterka co i raz wpada w ręce maltretujących ją i gnojących oprawców! Ale takie teraz czasy, że – aby przebić wieczorne wiadomości – trzeba dużego stężenia takich środków wyrazu.

Myślę jednak, że po „Achaję" warto sięgnąć. Czyta się dobrze, z niecierpliwością czeka na ciąg dalszy. To o czymś świadczy.

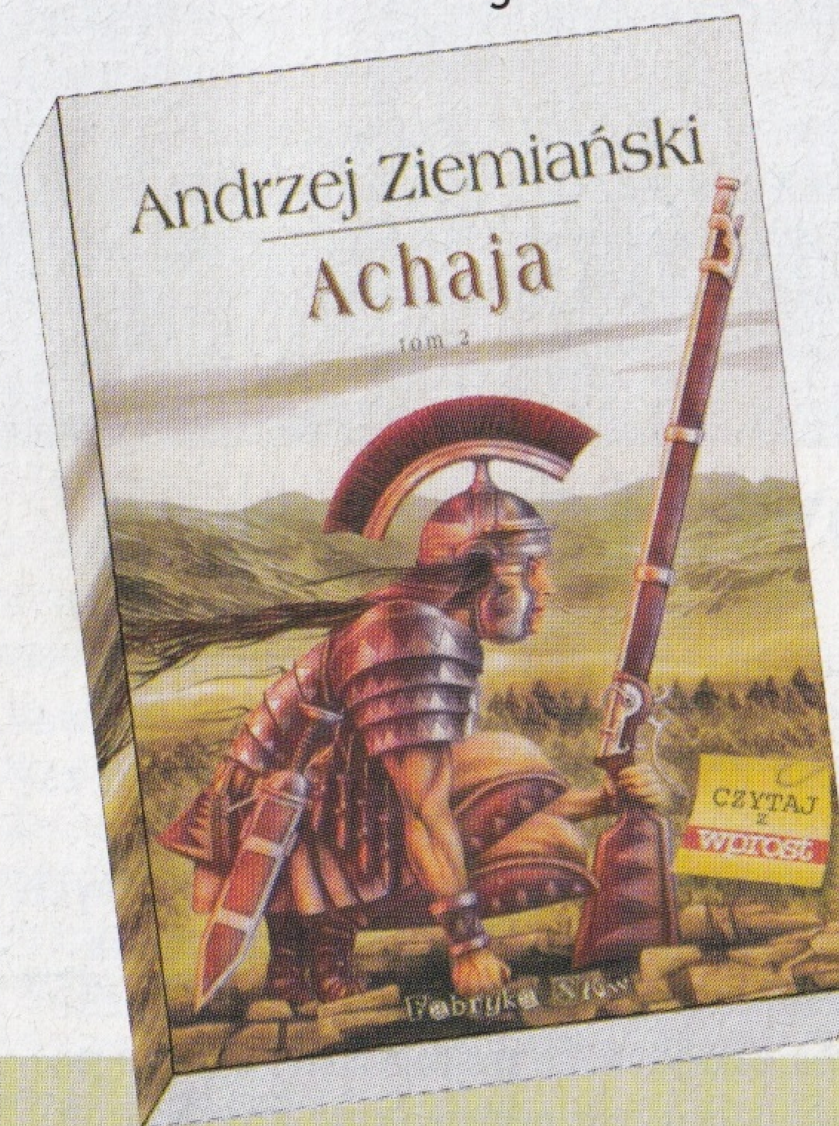
Dla kogo?

Przede wszystkim dla młodych mężczyzn, którzy mniej uwagi zwracają na psychologiczne niuanse, a bardziej na walory zewnętrzne bohaterki.

Dlaczego kupić?

To niezła powieść, która pokazuje, że można stworzyć wielowątkową opowieść z akcją, humorem i wyrazistą bohaterką. Zachęcająca cena.

Tekst: Agnieszka Trzebska



Ciepło o Zimniaku!

- Tytuł: Śmierć ma zapach szkarłatu
- Autor: Andrzej Zimniak
- Wydawca: Fabryka Słów
- Termin: listopad 2003
- Cena: 26,99 zł

Po tzw. wyborze opowiadań najczęściej nie należy oczekiwać ani spójności, jeśli chodzi o formę, ani klarowności, jeśli chodzi o wymowę. Wybór stanowi raczej przegląd możliwości pisarskich autora, a w najlepszym wypadku przedstawienie wachlarza jego literackich zainteresowań. Dla czytelnika sięgnięcie po tego typu pozycję to zawsze spore ryzyko. To, że do zupy dodamy najlepsze składniki, nie oznacza jeszcze, że musi ona być smaczna.

„Śmierć ma zapach szkarłatu" składa się z 12 opowieści powstałych w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Różnią się one wszystkim – począwszy od wielkości (opowiadanie tytułowe to prawie nowelka, podczas gdy np. „Rozpakuj ten świat, Evitt" ma zaledwie kilka stron), poprzez tematykę i styl (od fantastyki naukowej do typowego fantasy według przepisu średniowiecze plus magia), a na tzw. wymowie utworu kończąc. To ostatnie jest chyba najistotniejsze – książka Zimniaka nie jest obciążona grzechem, nagminnym w przypadku „zwykłej" fantastyki. Mianowicie, nie chodzi w niej tylko i wyłącznie o zabawienie czytelnika.

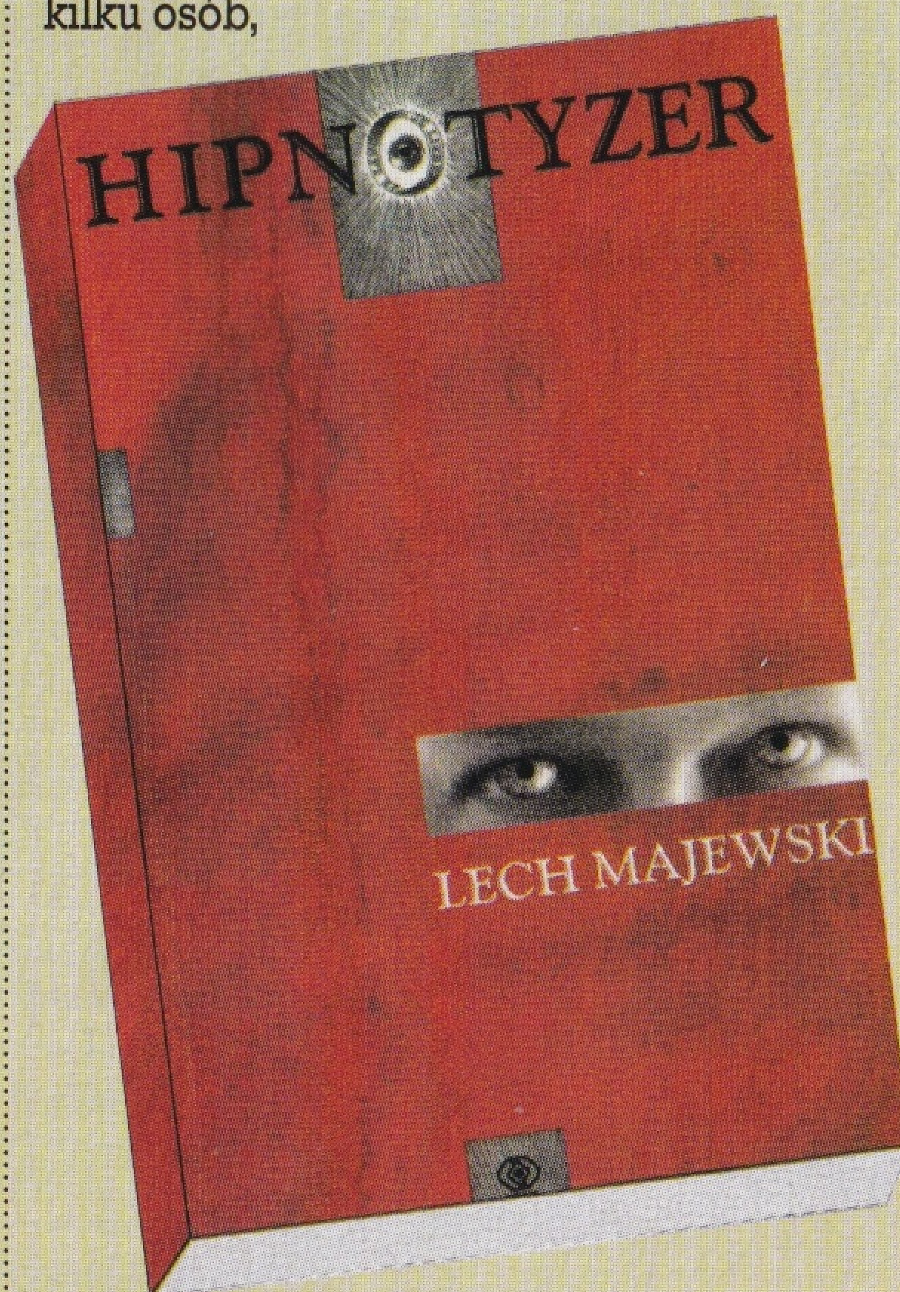
Wynika to zresztą w pewien sposób z „pierwszego" zawodu autora „Śmier-

Zero magii

- Tytuł: Hipnotyzer
- Autor: Lech Majewski
- Wydawca: Rebis
- Termin: październik 2003
- Cena: 28 zł

Marcel Reich-Ranicki, guru niemieckiej krytyki literackiej, to ma dobrze. Siedzi w cieplutkim domku, czyta książki, a potem miażdży je w TV. I nawet specjalnie nie musi się wysilać, by argumentować, dlaczego. Coś mu się nie podoba i już. Koniec, kropka. Guru może sobie na to pozwolić, bo jest guru, wszyscy o niego zabiegają i podsuwają kolejne maszynopisy. Bo jak Ranickiemu coś już przypadnie do gustu, to będzie hitem w całej Europie.

Mniej uznani krytycy na komfort zjechania dzieła bez sensownego uzasadnienia pozwolić sobie niestety nie mogą. A szkoda, bo przecież w życiu tak się zdarza, że coś nie leży, uwiera, ciśnie, tylko trudno orzec, z jakiej przyczyny. To właśnie przypadek „Hipnotyzera" Lecha Majewskiego. Ten uznany przede wszystkim na Zachodzie reżyser filmowy („Wojaczek", „Angelus"), scenarzysta („Basquait – taniec ze śmiercią") i pisarz („Szczury Manhattanu", „Metafizyka") ma naprawdę wiele do zaoferowania. Jego najnowsza powieść zaczyna się jak wciągający kryminał. Początek jest naprawdę obiecujący, dzięki czemu da się dość gładko przełknąć zawarte we wstępie frazy, opisujące wygląd weneckiego pałacu – „ogromny hall (...) kapał gobelinami i meblami gotyku" (uprzejmie proszę nakapać mi wiadro gobelinów!). Dalej poznajemy historię kilku osób,



które do pałacu przywiodła ta sama siła – stalowe spojrzenie tajemniczego mężczyzny. Jego zimne źrenice kazały im porzucić dotychczasowe zajęcia i niezwłocznie udać się do Wenecji. Zgromadzeni to naukowcy zajmujący się różnymi dziedzinami, spotykający się w wielkiej sali, by prowadzić uczone dysputy i objaśniać świat chłopcu, będącemu synem właściciela dziwnych oczu. Niestety, im dalej w las... tym coraz mniej sensu. Bohaterowie gadają, wykłady trwają, narrator notuje zdarzenia w dzienniku (który potem znajdzie policja), a czytelnik coraz częściej zadaje pytanie, o co chodzi. Jak już się nieźle wynudzi, to wreszcie dane mu będzie uchylić rąbka tajemnicy. Otóż groźny hipnotyzer ściągnął wszystkich do pałacu, by:

1. jako wystarczająco niedojrzali emocjonalnie obcowali z jego synem;
2. poznali swoją prawdziwą naturę;
3. nauczyli jego syna patrzeć wewnętrznym okiem (co akurat ponoć się udało).

W nagrodę obejrzą wizję zagłady świata. A tajemniczości całemu przedsięwzięciu doda chłopiec w złotym płaszczu zasiadający na tronie (przyszły Zbawca?), służący w purpurowym płaszczu oraz rozdwajające się źrenice hipnotyzera.

To miała być mądra książka (mogą o tym świadczyć wywody z matematyki, fizyki czy astronomii), z pomysłem. Dość dobrze napisana, choć momentami robiąca wrażenie pobieżnej i nielogicznej. Ale nie do końca się udała. Zabieg z zapisaniem wykładów tak, by do ich odczytania konieczne było użycie lusterka, może wydać się oryginalny (choć niestety utrudnia czytanie w komunikacji miejskiej ;-)). Wątłość fabuły rekompensuje aura tajemniczości (wg wydawcy to „niezwykła opowieść, pełna grozy i tajemnicy, utrzymana w duchu literatury masońskiej i osiemnastowiecznych traktatów symbolicznych"). Powieść może się nawet kojarzyć z realizmem magicznym. A mimo to mnie nie przekonuje. Z przykrością stwierdzam, że bez lektury tej książki moje życie nie byłoby uboższe.

Dla kogo?

Dla mało wymagających, ale za to zainteresowanych sztukami tajemnymi. I dla tych, którzy chcą zagiąć kolegów ciekawostkami z dziedziny matematyki.

Dlaczego nie kupować?

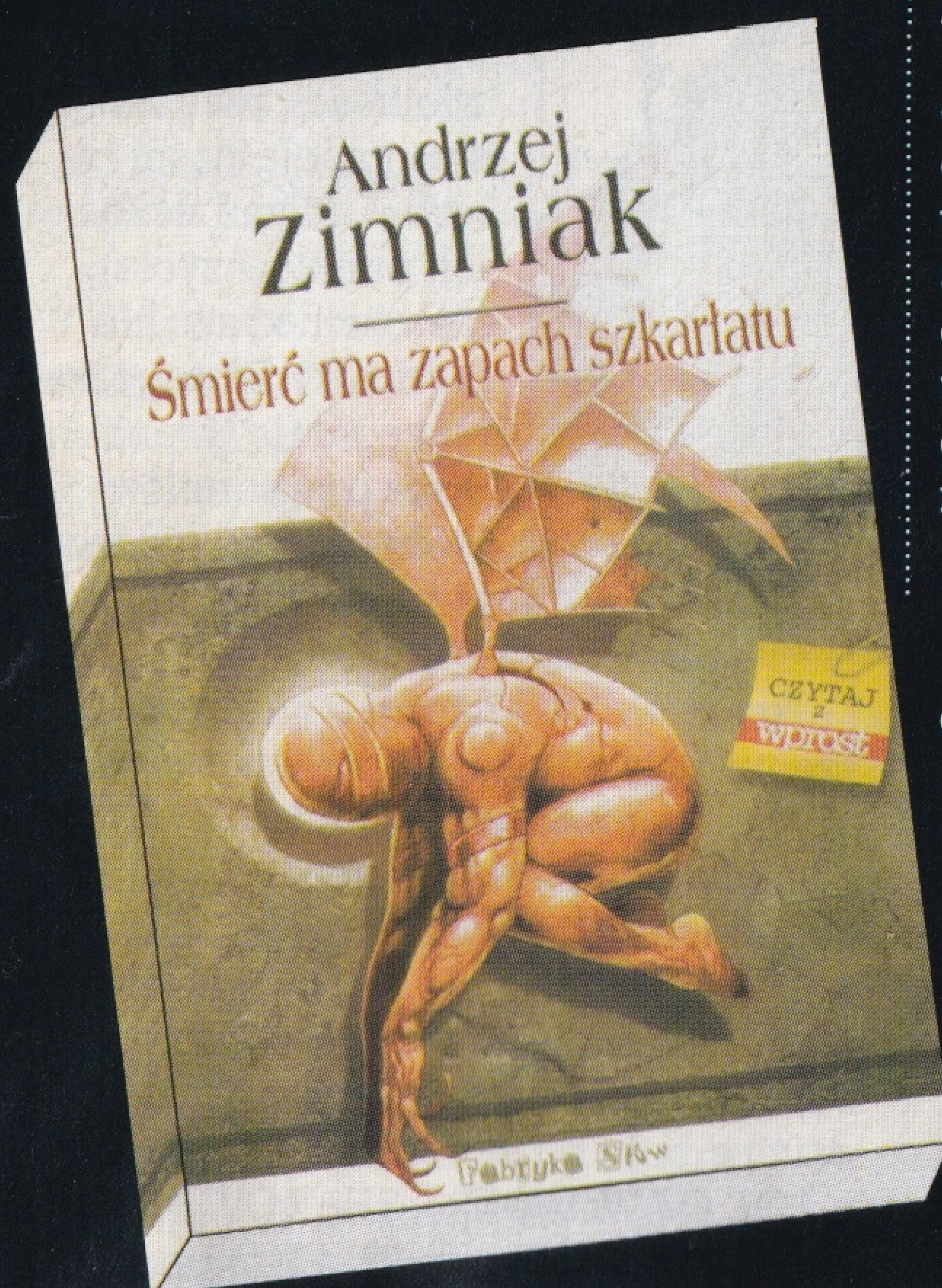
Bo ta książka stwarza tylko pozory, że jest interesująca. Tak naprawdę dobrze zapowiadająca się zagadka kryminalna przemienia się w niezbyt logiczny pseudotraktat z alchemikami w tle.

Tekst: Agnieszka Trzebska

ci...". Andrzej Zimniak jest naukowcem, utytułowanym chemikiem, który może pochwalić się liczbą opublikowanych artykułów naukowych co najmniej równą liczbie wydanych opowiadań. To wszystko powoduje, że prace Zimniaka niemal siłą rzeczy muszą zawierać w sobie co najmniej echa jakiś głębszych treści. I można je odnaleźć niemal w każdym opowiadaniu.

Zwracam uwagę na sformułowanie „można odnaleźć". Zimniak nie ma nic wspólnego z nadętym moralizatorstwem, nie proponuje żadnych prawd objawionych. Nie popełnia też częstych błędów naukowców biorących się za literaturę. Ani nie popisuje się wiedzą, ani nie wykorzystuje języka naukowego jako oryginalnego środka przekazu. Wręcz przeciwnie – jego styl pisania nie zdradza naukowca, ale wręcz sugeruje, że mamy do czynienia z „rasowym" literatem. Jeśli autor chce zwrócić uwagę czytelnika na jakąś interesującą jego zdaniem sprawę, czyni to poprzez poetycki sposób obrazowania, pełen subtelnych metafor, delikatnych lecz celnych epitetów i wyrazistych porównań. Dzięki tym czysto literackim narzędziom kreuje fantastyczne światy, w które zagłębiamy się z prawdziwą przyjemnością.

Ja zresztą stwierdziłam, że będzie dobrze, już w momencie, kiedy zobaczyłam tytuły zawarych w książce opowiadań, takie jak np. „Klatka pełna aniołów", „Czterdziestu małych kochanków" czy wspomniany „Rozpakuj ten świat, Evitt". Już one świadczą o bogactwie wyobraźni autora, a zapewniam, że dalej jest tylko lepiej.



Dla kogo?

Dla wszystkich, którym ciągle się wydaje, że fantastyka nie zasługuje na miano literatury albo stanowi jej ułomną bądź kaleką formę. Nic bardziej mylnego, proszę państwa!

Dlaczego kupić?

Bo zbiór jest ciekawy i zróżnicowany, a opowiadania dobrze się czytają.

Tekst: Magdalena Salik

Pogrzeb powieści

- Tytuł: Pogrzeb czarownicy
- Autor: Artur Baniewicz
- Wydawca: Supernowa
- Termin: październik 2003
- Cena: 34 zł

Nie sądziłem, że jakakolwiek książka, oprócz pozycji złożonej z matematycznych równań, jest mnie w stanie doprowadzić do ziewania już na 15 stronie. Na stronie 50 paszcza darła mi się już tak, że omal nie wyskakiwały mi zawiasy szczęki. Panie Baniewicz, gratulacje serdeczne, bo zabiłeś pan we mnie dziecięcą ufność w siłę mej odporności na złe książki! W dodatku „Pogrzeb czarownicy" jest powieścią niedobrą na swój własny, specyficzny sposób. Bo oto widzimy autora, który w miarę sprawnie i z wyczuciem posługuje się archaizowaną polszczyzną (od razu zastrzegam się, że słowo „w miarę" jest tu na czasie, bo świetnie posługuje się nią tylko Sapkowski). Tyle, że nic z tej zręczności w używaniu języka polskiego nie wynika.



Bohaterowie Baniewicza (znany z poprzedniej książki magun z Dumayki, a także jego przyjaciele oraz adwersarze) gadają, gadają i gadają. I jeszcze raz gadają. Słowa płyną szeroką strugą, a ja wyobrażam sobie, jak autor skwapliwie liczy każdą zarobioną w ten sposób złotówkę i jeszcze to tu to tam doda jakiś dialog albo monolog, by „nabić" dodatkowe strony. Tymczasem, drodzy czytelnicy, gadać trzeba umieć. Można wyobrazić sobie film oparty jedynie na dialogach i niemal pozbawiony akcji, który trzymać będzie widza w gorączkowym napięciu od pierwszej do ostatniej minuty – jeśli nie wierzycie, zapraszam do obejrzenia „Dwunastu gniewnych ludzi". Jednak scenarzysta musi mieć ogromny talent do konstruowania dialogów oraz fabuły. Tymczasem Baniewicz takiego talentu nie posiada za grosz. Owszem, wiele zdań jego powieści same z siebie brzmi nieźle, lecz połączone w fabularną całość rozlatują się niczym domek z kart. Bohaterowie rozprawiają o sobie, swych rodzinach, historii i zwyczajach swych krajów, dzielą się poglądami na wszystkie niemal aspekty życia i... prawie nic z tego nie wynika poza czczym nudziarstwem.

Owszem Baniewicz ma kilka uroczych pomysłów (moim faworytem jest nadpodludnik Boebbels zajmujący się kwestiami segregacji rasowej), wiele interesujących oraz zabawnych obserwacji, ale wszystko to wystarcza na serię miłych anegdotek, a nie na długaśne powieścidło. Posługując się językiem filmu można by powiedzieć, że materiału jest tu na teledysk, a powstała tasiemcowa telenowela.

Ku mojej rozpaczy wydawca zapowiada, że niedługo ukaże się następna część przygód maguna z Dumayki. Rozumiem autora i wydawcę, bo przecież coś w życiu muszą robić, ale w to że ktokolwiek pragnie z własnej i nieprzymuszonej woli zanurzyć się tej rzece nieposkromionego gadulstwa, to już mi się wierzyć nie chce.

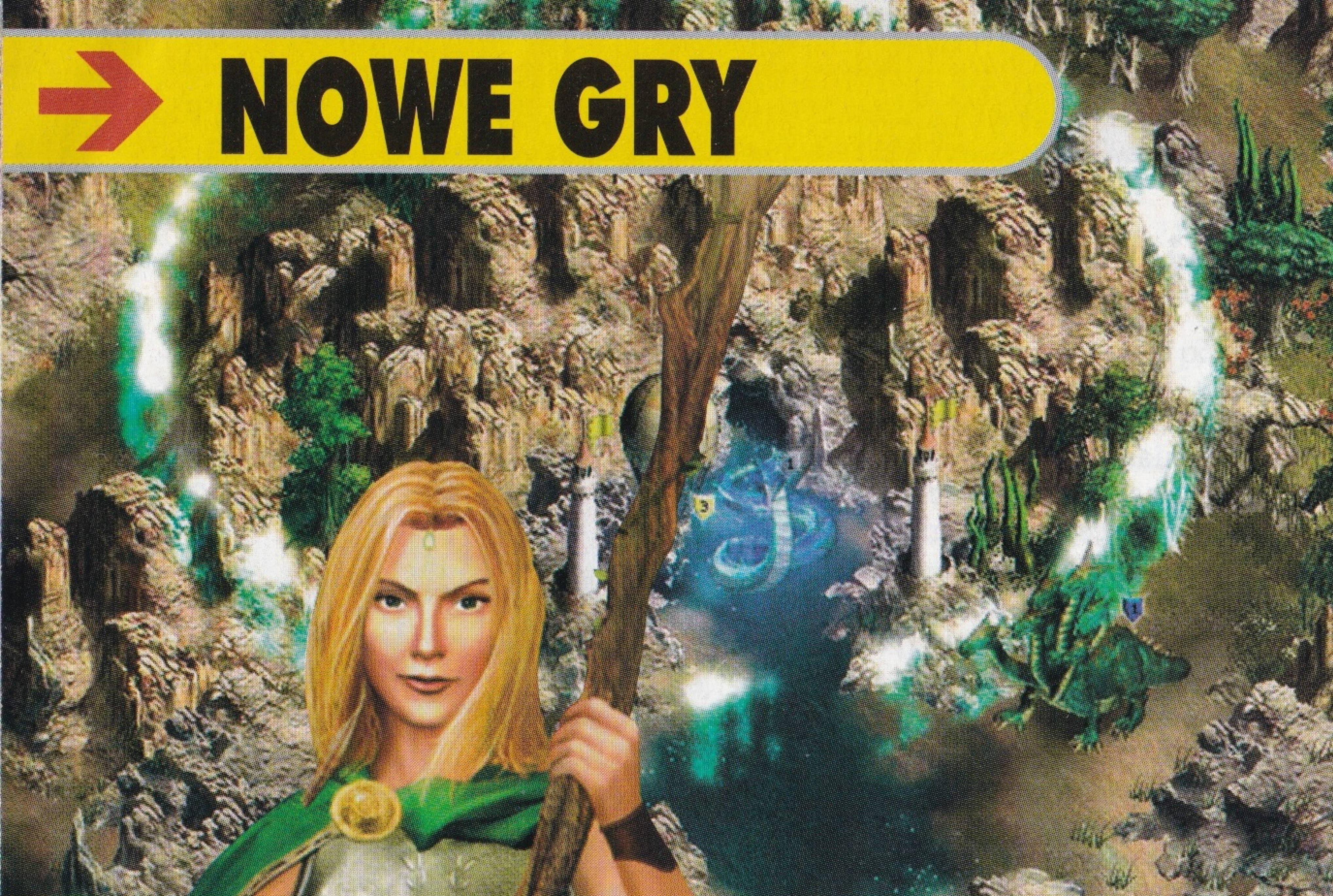
Dla kogo?

Podaruj tę powieść człowiekowi, którego masz zamiar raz na zawsze zniechęcić do literatury fantasy. Powodzenie murrrowane!

Dlaczego nie kupować?

Bo książka jest tak nieprawdopobnie nudna i przegadana, że przemówienia sejmowe są przy niej fajerwerkami akcji oraz dowcipu.

Tekst: Andrzej Zaremba





Age of Wonders: Magia Cienia

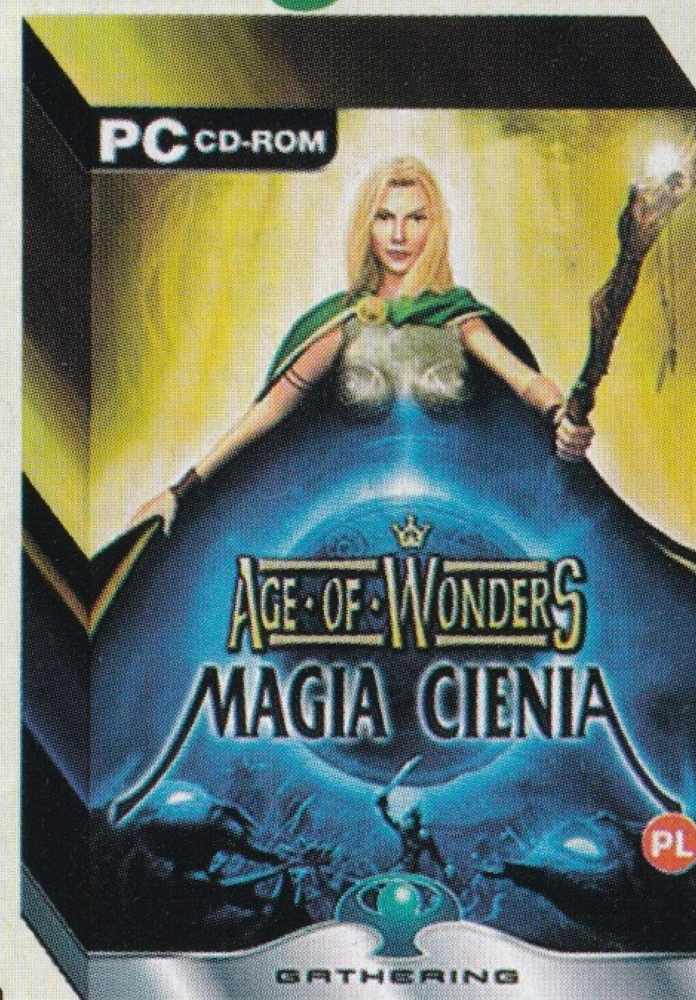
- Tytuł: AGE OF WONDERS
- Wydawca: GoD
- Dystrybutor: Cenega
- Gatunek: strategia turowa
- Cena: 99 zł

Serie AGE OF WONDERS i DISCIPLES to przykłady nielicznych programów, których autorzy nie boją się pojęcia „strategiczna turowa gra fantasy". Amerykanie już od dawna mają okazję cieszyć się trzecią odsłoną AGE OF WONDERS zatytułowaną SHADOW MAGIC. Niestety, w Polsce jak zwykle wszystko się opóźnia, a firmy rozprowadzające gry często mają pragnienia graczy tam, gdzie „pan może pana majstra w dupę pocałować".

Jeżeli nie miałeś jeszcze okazji poznać serii AGE OF WONDERS, to najwyższy czas! Cykl bardzo wyraźnie nawiązuje do cudownej, kultowej już produkcji MASTER OF MAGIC, uważanej niegdyś za szczytowe osiągnięcie turowych gier fantasy. Oto ogromne, magiczno-średniowieczne uniwersum, w którym ścierają się nie tylko siły zła i dobra, ale również rywalizuje ze sobą wiele ras tajemniczych istot. Jako przywódca jednej z frakcji będziesz mógł przewodzić państwu i zarządzać miastami oraz armiami składającymi się z elfów, krasnoludów, hobbitów, demonów, demonów cienia, zwierzoludzi, nomadów itp. Jednak ponieważ wszystko ma swoją cenę, więc też utrzymanie takiego imperium nie będzie proste z uwagi na fakt, że niektóre z ras szczerze się nie znoszą i ich morale znacznie spada, kiedy wiedzą, że w pobliżu znajdują się znienawidzeni wrogowie.



AGE OF WONDERS jest klasycznym i świetnie zrealizowanym połączeniem symulatora społeczeństwa (robionego wyraźnie pod urokiem CYWILIZACJI) z taktyczną grą turową. Bo jakież są twoje zadania jako świetlanego przywódcy narodów? Musisz dbać o rozwój miast i wznosić nowe budowle (zarówno takie, które podnoszą morale społeczeństwa, jak i te, które powiększają gospodarczy potencjał oraz gmachy wojskowe). Musisz eksplorować ogromny świat, wysyłając fruwających, pieszych i latających zwiadowców. Musisz przygotowywać i rozsyłać po świecie armie dowodzone przez bohaterów, których zadaniem będzie znalezienie magicznych miejsc, opanowanie kopalń i zdobycie drogocennych artefaktów (często znacznie ułatwiających walkę). No i, last but not least, musisz zająć się poznawaniem całej ogromnej dziedziny, jaką jest wiedza tajemna. Będziesz musiał opanować dziesiątki zaklęć, przy czym przygotowanie najtrudniejszych może trwać całymi tygodniami, zwłaszcza jeśli twe państwo ma niewielki potencjał. Następnie będziesz mógł stosować liczne czary bojowe oraz magię przywołującą pomocne stwory czy ułatwiającą rozwój gospodarki. Będziesz też mógł szkodzić swym rywalom i zsyłać na nich liczne klęski żywiołowe. Nowością w stosunku do poprzednich części jest możliwość wytwarzania własnych magicznych przedmiotów w specjalnej czarodziejskiej kuźni.



Podobnie jak w serii HEROES OF MIGHT&MAGIC, akcja gry toczy się na dwóch planach. Na pierwszym z nich sterujesz gospodarką, przesuwasz na mapie armie i decydujesz o sprawach związanych z odkrywaniem zaklęć i stosowaniem magii globalnego zasięgu. Drugi plan otwiera się, kiedy dochodzi do potyczki. Wtedy na niezbyt wielkiej (ale też wcale niemałej, o niebo większej niż w serii HoM&M) mapie pojawiają się zarówno twoje, jak i wrogie jednostki. Cała walka odbywa się w systemie turowym, gdzie decydujesz najpierw o ruchu jednostki, a potem (jeśli starcza jeszcze punktów akcji) wydajesz jej rozkaz zaatakowania konkretnego przeciwnika. W trakcie bitew możesz stosować zaklęcia, które rzuca każdy znający magię bohater (a w jednej armii może być ich nawet kilku).

Dla wszystkich miłośników role-playing absolutnie fantastyczny będzie fakt, że w grze rozwijają się nie tylko bohaterowie (zyskują mnóstwo nowych zdolności, zwiększają swe umiejętności bitewne, rośnie liczba ich punktów życia), ale również zwykłe jednostki. Dlatego też szczególnie trzeba dbać o weteranów, którzy odbyli już wiele bitew, gdyż ich skuteczność na polu walki jest o niebo większa niż nowozaciężnych rekrutów. Wyobraź sobie jeszcze, że każda z 15 występujących w grze ras dysponuje zupełnie innymi jednostkami (od słabiutkich po ogromne i silne potwory), a zrozumiesz, jak ogromnie zróżnicowaną menażerią możesz dowodzić na polu bitwy.

AGE OF WONDERS: SHADOW MAGIC oferuje graczom ogromną kampanię (5 epizodów i 16 scenariuszy) oraz 19 pojedynczych, autorskich scenariuszy. Jednak na tym zabawa nie musi się zakończyć! Dodatkową atrakcję zapewnia dołączenie do gry programu edytorskiego. Autorzy zapewniają, że będziesz miał okazję korzystać z tych samych narzędzi co twórcy gry i tworzyć światy, dla których jedynymi granicami będą granice twojej wyobraźni.

Dlaczego kupić?

Bo gra oferuje kapitalną rozrywkę na wiele, wiele dni i ma w sobie całe tony uroku.

Dla kogo?

Dla wszystkich miłośników gier spokojnych i oldschoolowych pod względem zasad, ale nowoczesnych pod względem oprawy multimedialnej. No i dla wszystkich miłośników fantasy, którzy wreszcie pobaraszkują sobie w urozmaiconym, magicznym świecie.

Tekst: Andrzej Zaremba

Już było...

Falkon 2003

W dniach 21-23 listopada 2003 odbył się coroczny konwent miłośników fantastyki w Lublinie – FALKON. W ciągu trzech dni imprezy około 800 akredytowanych gości mogło uczestniczyć w wielu spotkaniach z pisarzami (m.in. Brzezińska, Pilipiuk, Piekara, Huberath, Zimniak) oraz wydawcami, a także wziąć udział w prelekcjach tematycznych (np. ogromny cykl poświęcono kulturze, sztuce, militariom i obyczajom Japonii, rozmawiano też o średniowiecznej sztuce kochania czy słowiańskich wierzeniach i demonach). Poza tym odbyło się wiele konkursów i pokazów filmowych. W przyszłym roku organizatorzy zapraszają na konwent jak zwykle w drugiej połowie listopada.



II Turniej Gier Bitewnych „Bazyliszek 2003"

W dniach 8-9 listopada 2003 roku w Gimnazjum nr 2 przy ul. Narbutta 65/71 w Warszawie odbył się II Turniej Gier Bitewnych „Bazyliszek 2003". Organizatorem przedsięwzięcia było Stowarzyszenie Miłośników Gier Strategicznych „Bazyliszek". Pierwszego dnia odbyły się dwa turnieje Warhammer Fantasy Battles – turniej par oraz turniej klasy master, który charakteryzuje się dużo wyższymi wymaganiami. Drugiego dnia odbyły się pozostałe bitwy obydwu turniejów master – WFB i WH40k. Ponadto miał też miejsce turniej par WH40k, turniej Confrontation (nowy system pochodzący z Francji), De Bellis Antiqitatis (system historyczny) oraz turniej Warcry, karcianej gry bitewnej, gdzie figurki zastąpione są kolekcjonerskimi kartami. Zorganizowane zostały też pokazy dwóch różnych systemów, opartych na filmie „Władca Pierścieni". W niedzielę hobbyści mogli zaprezentować swoje dzieła w konkursie malarskim. Nagrodami w turniejach były specjalnie przygotowane pucharki, dyplomy, a także nagrody rzeczowe, ufundowane przez firmy Games Workshop i Mythos oraz księgarnię Faber i Faber. Wyniki turniejów, scenariusze, regulaminy i inne rzeczy związane z imprezą są dostępne na oficjalnej stronie www.bazyliszek.rsc.pl. Na jesieni przyszłego roku spodziewajcie się następnego turnieju!

Czekamy

XI Ogólnopolski Konwent Miłośników Fantastyki Krakon 2004

Termin i miejsce imprezy:
29 stycznia – 1 lutego 2004, SP nr 10, ul. Blachnickiego 1, Kraków
Program:
spotkania z pisarzami i wydawcami oraz poświęcone grom fabularnym, gry karciane, RPG i terenowe, konkursy, projekcje filmowe.
Koszt imprezy:
akredytacja do 31 grudnia – 35 złotych, po tym terminie 50 złotych.
Przedpłaty:
KKMF „Dżabbersmok", skr. poczt. 656, 30-960 Kraków 1.
Szczegóły:
www.krakon.org (pod tym adresem można się również zapoznać z regulaminem VI edycji konkursu na najlepszy scenariusz do gry fabularnej Quentin 2004).
Kontakt:
info@krakon.org

Obcy I – Ósmy pasażer Nostromo (Alien 1979)

Załoga statku kosmicznego Nostromo, zaintrygowana tajemniczymi sygnałami, odwiedza opustoszałą planetę i odkrywa dziwną formę życia. Nie wie, że jedynym celem Obcego jest całkowita destrukcja rodzaju ludzkiego.

- Format obrazu 16x9, 2.35:1
- Wersja kinowa 111:46 min.
- Wersja reżyserska: 111:02 min.

- Język: angielski 5.1, czeski, polski, węgierski, komentarze audio angielski 2.0 (w oryginalnej wersji kinowej). Wersja rozszerzona: język angielski 5.1

Obcy II Decydujące starcie (Aliens 1986)

Oficer Ellen Ripley – jedyny ocalały członek załogi statku kosmicznego Nostromo zaatakowanego przez Obcego – zostaje odnaleziona po 57 latach dryfowania w przestrzeni kosmicznej. Wraz z oddziałem specjalnym przybywa teraz na planetę, na której niegdyś załoga Nostromo spotkała przedstawiciela obcej cywilizacji.

- Format obrazu 16x9, 2.35:1
- Wersja kinowa: 131:34 min.
- Wersja reżyserska: 148:01 min.

- Język: angielski 5.1, czeski, polski, węgierski 2.0 surround (wyłącznie w oryginalnej wersji kinowej). Wersja rozszerzona: język angielski 5.1, komentarze audio angielski 2.0
- Komentarze audio (dotyczą wersji rozszerzonej)

Obcy III (Aliens 1992)

Statek kosmiczny Ripley rozbija się podczas lądowania na planecie – kolonii karnej przeznaczonej dla najniebezpieczniejszych przestępców. Ripley zostaje uratowana, okazuje się jednak, że nie przybyła sama...

- Format obrazu 16x9, 2.35:1
- Wersja kinowa 110:47 min.
- Wersja rozszerzona: 138:53 min.

- Język: angielski 5.1, czeski, polski, węgierski 2.0 surround, komentarze audio angielski 2.0 (w oryginalnej wersji kinowej). Wersja rozszerzona: język angielski 5.1
- Komentarze audio

Obcy IV – Przebudzenie (Alien: Ressurection 1997)

Dwieście lat po śmierci Ellen Ripley grupa naukowców dokonuje wstrząsającego eksperymentu. Wykorzystując próbkę krwi, klonują Ripley... a wraz z nią zarodek Obcego, który nosiła w sobie.

- Format obrazu 16x9, 2.35:1
- Wersja kinowa 104:18 min.
- Wersja rozszerzona: 111:19 min.

- Język: angielski 5.1, czeski, polski, węgierski 2.0 surround, komentarze audio angielski 2.0 (w oryginalnej wersji kinowej). Wersja rozszerzona: język angielski 5.1
- Komentarze audio



OBCY: QUADRIL

Dodatkowe DVD

Alien Alien Collectors Edition Disc
- Język: angielski 2.0
- Etap preprodukcji
- Etap produkcji
- Etap postprodukcji
- 7 scen usuniętych

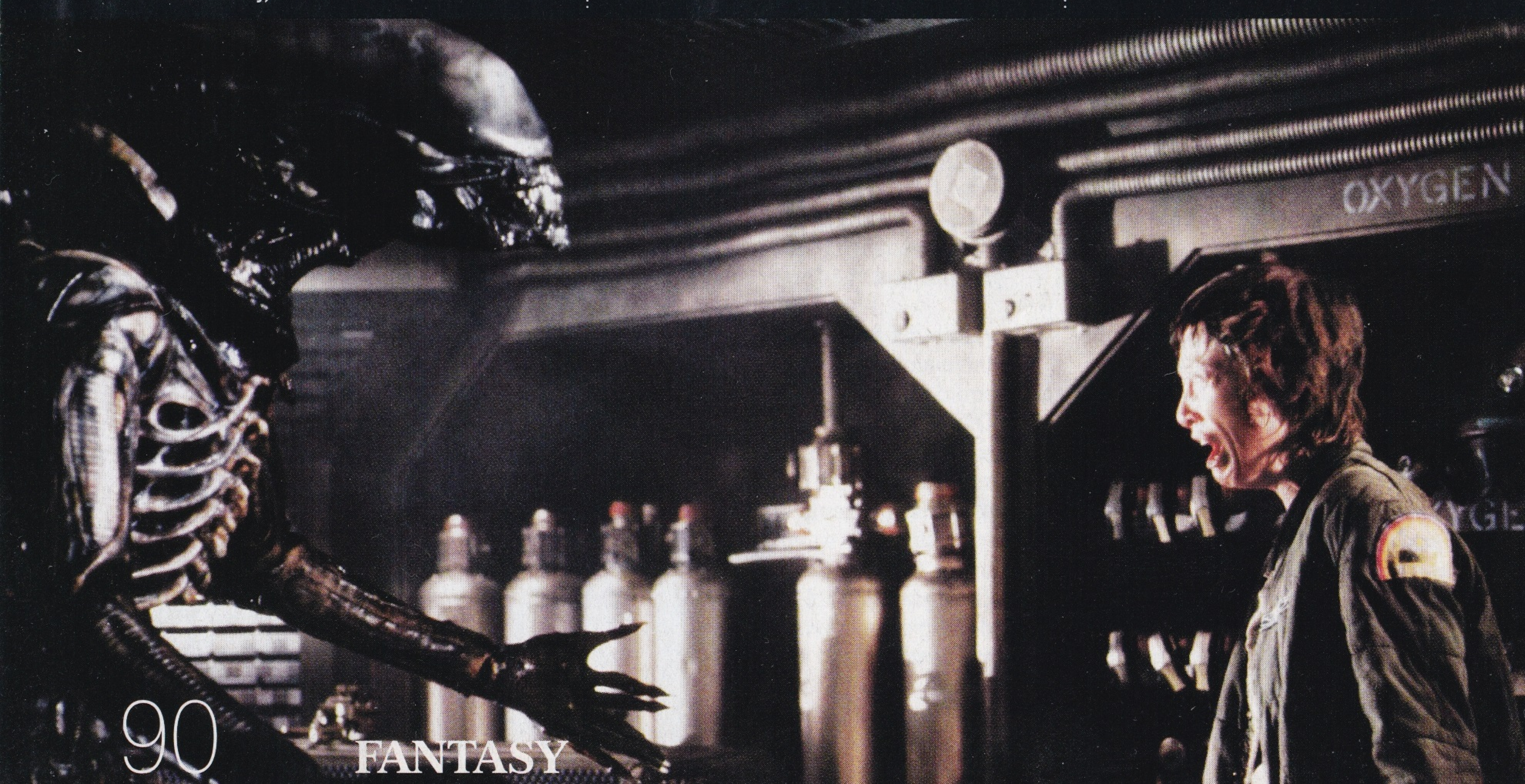
Kane In The Morning, The Derelict, Kane's Condition, Repairs Interrupted, Regrouping, Ripley SoothesLambert, Airlock Sequence
- Outward Bound: Efekty wizualne

Aliens Collectors Edition Disc 2
- Język: angielski 2.0
- Etap preprodukcji
- Etap produkcji
- Etap postprodukcji
- Galerie fotosów
- Efekty wizualne

Aliens 3 Collectors Edition Disc 2
- Język: angielski 2.0
- Etap preprodukcji
- Etap produkcji
- Etap postprodukcji
- Optical Fury: Efekty wizualne
- Muzyka, montaż, dźwięk

Aliens Ressurection Collectors Edition Disc 2
- Język angielski 2.0
- Etap preprodukcji
- Etap produkcji
- Etap postprodukcji
- Rzeczywistość wygenerowana komputerowo, zdjęcia miniatur i modeli

Alien Qaudrilogy Bonus Disc
- Język: angielski 2.0 stereo
- Materiały dokumentalne: Alien Evolution, Experience in Terror, Ridley Scott Q&A, zwiastuny i reklamówki TV
- Preprodukcja
- Produkcja: Nostromo od zewnątrz, efekty specjalne, sceny z produkcji, projektowanie kostiumów
- Postprodukcja: montaż wybranych scen i muzyka, premiera kinowa
- Wywiady z J. Cameronem, casting

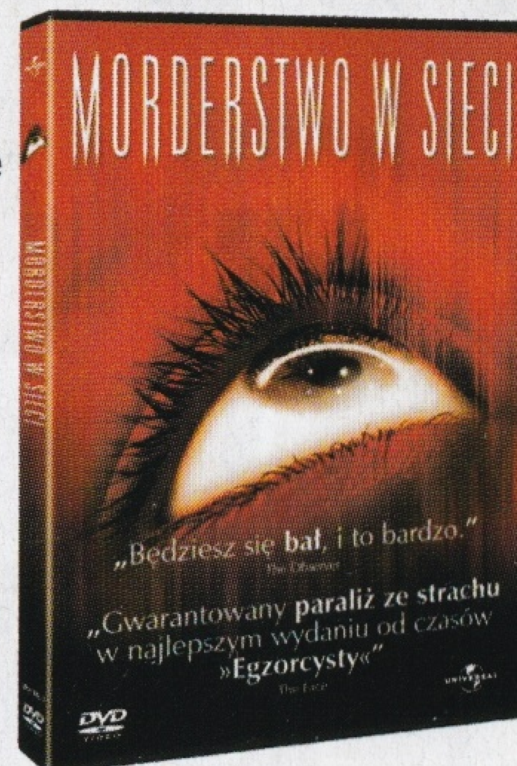




Morderstwo w sieci

My little eye
Liczba płyt DVD: 1
Produkcja: USA/GB/Francja, 2002
Reżyseria: Mark Evans
Występują: Sean CW Johnson, Kris Lemche i inni
Dystrybucja: Universal Pictures Poland
Premiera: 15 stycznia 2004

Pięcioro młodych ludzi zostaje zamkniętych na 6 miesięcy w domu, gdzie każdy ich ruch jest filmowany przez kamery. Uczestnicy gry marzą o sławie i nagrodzie w wysokości miliona dolarów. Zasada jest jedna – jeśli któreś z nich wyjdzie przed czasem, przegrywają wszyscy. Początkowo zadanie jest proste, jednak po pewnym czasie okazuje się sprawdzianem wytrzymałości i lojalności. Film porusza modny ostatnio temat reality show. Zabawa, którą oglądamy, jest widowiskiem przerażającym oraz brutalnym... ale czy tak odległym od rzeczywistości?



Dodatki: Komentarz reżysera i producenta, opcja podsłuchiwania rozmów ludzi stojących za „Firmą". 4 sceny usunięte, które mówią wszystko, realizacja filmu, pełny zapis castingu na mieszkańców domu, zapis sceny erotycznej z wielu kamer.

DVD lista przebojów

- **Sekcja 8**
  reż. John McTiernan
  wyst.: John Travolta, Samuel J. Jackson i inni
- **Życie za życie**
  reż. Alan Parker
  wyst.: Kevin Spacey, Kate Winslet, Laura Linney i inni
- **Policja**
- **Hulk**
- **Pokojówka na Manhattanie**
- **Matrix - Rekatywacja**
- **Gangi Nowego Jorku**
- **Superprodukcja**
- **Johnny English**
- **Taxi 3**
- **Czas Apokalipsy: Powrót**
- **Armia Wilków**

notowania sieci wypożyczalni Video Club
✪ nowość na liście

OGY



Alien: Quadrilogy
Collection 9x DVD

Reżyseria: Ridley Scott, James Cameron, David Fincher, Jean-Pierre Jeunet
Występują: Tom Skerritt, Sigourney Weaver, John Hurt, Ian Holm, Harry Dean Stanton, Veronica Cartwright i inni
Dystrybucja: Imperial Entertainm.
Wydanie: DVD 9 płytowe
Premiera: 3 grudnia

NA EKRANACH KIN...

Medalion
The Medalion

Reżyseria: Gordon Chan
Występują: Jackie Chan, Julian Sand, John Rhys-Davies
Produkcja: USA/Hong Kong 2003
Dystrybucja: UIP
Czas: 90 min.
Premiera: 26 grudnia 2003

Medalion" to kino akcji łączące sztuki walki w wykonaniu międzynarodowej gwiazdy Jackiego Chana z najnowocześniejszymi efektami specjalnymi. Chan wciela się w postać Eddiego Yanga, błyskotliwego policjanta z Hong Kongu, który cudem unika śmierci podczas prowadzenia śledztwa dotyczącego tajemniczego medalionu. Eddie odkrywa, że posiadając medalion nabiera niewiarygodnej szybkości, siły i nowych umiejętności, dzięki którym jego zdolności walki osiągają niespotykany poziom. Dzięki pomocy brytyjskiej agentki pracującej dla Interpolu, Nicole James, Eddie za wszelką cenę pragnie poznać sekret medalionu i stanąć twarzą w twarz z królem przestępczego świata Snakehead, pragnącym wykorzystać moc artefaktu dla swoich niecnych celów.
Rząd Hong Kongu był zainteresowany wspieraniem produkcji i zapewnił filmowcom policyjne motorówki oraz wiele innych pojazdów. Po raz pierwszy w historii siły zbrojne Hong Kongu zezwoliły filmowcom na wykorzystanie najnowocześniejszych helikopterów Blackhawk S70.



Trio z Belleville
Les Triplettes des Belleville

Reżyseria: Sylvian Chomet
Produkcja: Francja/Belgia/Kanada 2003
Dystrybucja: Gutek Film
Czas: 82 min.
Premiera: 9 stycznia 2004

Champion to samotny chłopiec, któremu radość sprawia tylko zabawa z psem i jazda na rowerze. Pewnego dnia babcia (ważne: portugalska staruszka z drewnianą nogą) – Madame Souza – postanawia poddać malca rygorystycznemu treningowi. Mijają lata i Champion staje się godny swego imienia. Gdy jest już doskonałym kolarzem, kwalifikuje się do słynnego wyścigu Tour de France. Podczas jednego z etapów zostaje porwany przez dwóch tajemniczych mężczyzn w czerni. Madame Souza i wierny pies Bruno wyruszają, by ocalić chłopca. Jeszcze nie wiedzą, że przyjdzie im przepłynąć ocean i dotrzeć do wielkiego miasta Belleville...
„Trio z Belleville" to długometrażowa animacja pełna zadziwiających pomysłów wizualnych i czarnego humoru. Jest to kreskówka przede wszystkim dla dorosłych. Reżyser zaskakująco miesza konwencje i style – czarną komedię łączy z filmem gangsterskim, thriller przeplata scenami rodem z wodewilu. Także warstwa wizualna i muzyczna to mieszanka różnych elementów. Karykaturalne, przerysowane



sylwetki bohaterów widzimy na tle monumentalnych scenografii, raz nawiązujących do gotyku, raz do art deco. Wszystko utrzymano w brązach i sepii jak ze starych fotografii, co przywołuje klimat przełomu lat 40. i 50. Na ścieżce dźwiękowej z kolei epokę swingu zmiksowano z piosenkami w stylu Edith Piaf oraz takimi eksperymentami jak wykorzystanie odkurzacza w roli instrumentu muzycznego. Dzięki tym zabiegom powstał świat, w którym może zdarzyć się absolutnie wszystko.
Nad filmem przez pięć lat pracowali rysownicy z Kanady, Belgii, Francji oraz Litwy, a rezultat, jaki udało im się osiągnąć dzięki połączeniu klasycznej animacji dwuwymiarowej z trójwymiarową, jest niezwykły. Jest to nowatorska, niesamowicie zrealizowana, mroczna i „pokręcona" kreskówka.

■ Tekst: Jolanta Lisowska, zdjęcia: arch. Wydawnictwa Bauer

MALI AGENCI 3D

Mali Agenci 3-D: Trójwymiarowy Odjazd" to już trzecia część przygód rodzeństwa, tym razem uwięzionego w grze wideo. Dwie poprzednie odsłony cieszyły się uznaniem i widzów, i krytyków. „Mali agenci" (2001) to prosta fabuła sensacyjna nakręcona według tradycyjnego klucza – gdy zabrakło dorosłych, muszą ich zastąpić dzieci. Film tylko w USA zarobił ponad 100 milionów dolarów, a jego reżyser, tworząc kino familijne, stał się gwiazdą nie tylko jednego sezonu. Nie zepsuł też kolejnej części, „Mali agenci 2: Wyspa Marzeń" (2002), gdzie dał dowód warsztatowej sprawności. Wykazał się też zjadliwą ironią oraz zdolnością selekcjonowania i poprawiania cudzych pomysłów.

I oto mamy trzecią część przygód, tym razem trójwymiarową. Technologia trójwymiarowa wysuwa się na pierwszy plan z chwilą, gdy Juni i Carmen Cortez wyruszają na swoją najbardziej niebezpieczną misję w wirtualny świat gry wideo, zaprojektowanej tak, by ich przechytrzyć. Przerażająca grafika i niebezpiecznie realne postaci gry mogły narodzić się tylko dzięki zastosowaniu najnowocześniejszych efektów specjalnych. Ich przygody wzbudzają jeszcze większe emocje, ponieważ Mali Agenci poruszają się w świecie animacji komputerowej. Czy i tym razem nie zawiedzie ich poczucie humoru, gadżety, odwaga, więzy rodzinne oraz błyskawiczny refleks? Nieraz przekonają się, że w świecie gry wideo zdarzają się rzeczy wprost nieprawdopodobne... Jednak podobnie jak we wcześniejszych częściach, tak i tutaj zaawansowanym efektom technicznym towarzyszy pochwała tradycyjnych wartości rodzinnych. Film w subtelny sposób przekonuje, w jak dużym stopniu wszyscy jesteśmy dla siebie ważni.

Rodriguez wykorzystał najnowsze osiągnięcia w dziedzinie efektów komputerowych, jak też specjalnie dla niego skonstruowane trójwymiarowe monitory i systemy kamer o niesamowitych parametrach technicznych. Wszystko to pomogło stworzyć świat fantazji doskonały w każdym szczególe. Filmowa gra zawiera w sobie różne gatunki gier komputerowych. Jeden poziom ma klimat grozy i tajemnicy, inny polega na walce przeciw mechanicznym robotom, a kolejny jest utrzymany w kolorowej stylistyce gier Nintendo 64 z gigantycznymi ropuchami, które skaczą na elastycznych drążkach i miotają jęzorami w bohaterów oraz publiczność. Na każdym poziomie pojawia się zresztą motyw ciskania przedmiotami w publiczność, tak by zmusić ją do uchylania się. By podziwiać trójwymiarowe przygody, niezbędne są specjalne okulary. Otrzymasz je razem z biletem.

Mali Agenci 3-D Trójwymiarowy Odjazd

→ Spy Kids 3D: Game Over

- **Reżyseria:** Robert Rodriguez
- **Występują:** Antonio Banderas, Sylvester Stallone, Salma Hayek i inni
- **Produkcja:** USA 2003
- **Dystrybucja:** SPI
- **Czas:** 84 min.
- **Premiera:** **16 stycznia 2004**



Tomcio Paluch

→ Le Petit Poucet

- **Reżyseria:** Olivier Dahan
- **Występują:** Catherine Deneuve, Nils Hugon i inni
- **Produkcja:** Francja 2001
- **Dystrybucja:** SPI
- **Czas:** 86 min.
- **Premiera:** **5 grudnia 2003**

Dawno, dawno temu, w domku na wsi mieszkał sobie z rodzicami i z czwórką braci nieśmiały chłopiec o imieniu Tom. Gdy wybuchła wojna domowa, rodzice nie byli w stanie wyżywić dzieci i porzucili je w zaczarowanym lesie. Dzieci w obawie przed wygłodniałymi wilkami uciekły do zamku strzeżonego przez olbrzymiego ogra-kanibala. Tylko odwaga i przebiegłość Toma może ocalić ich oraz królestwo.

„Tomcio Paluch" to opowieść o przetrwaniu i o przemianie emocjonalnej bohatera, który musi stawić czoło wszystkim lękom – tym kryjącym się w nim samym oraz realnym zagrożeniom z zewnątrz. Opowieść w gruncie rzeczy bardzo na czasie, pokazująca rozpad rodziny i zamieszanie we współczesnym świecie.

Zgromadzenie

→ The Gathering

- **Reżyseria:** Brian Gilbert
- **Występują:** Christina Ricci, Kerry Fox, Stephen Dillane, Harry Forrester i inni
- **Produkcja:** USA/GB 2002
- **Dystrybucja:** Best Film
- **Czas:** 92 min.
- **Premiera:** **16 stycznia 2004**

W angielskiej miejscowości Glastonbury zostaje odkopany starożytny kościół. Między jego murami znajduje się fresk przedstawiający Ukrzyżowanie z innej, niespotykanej dotąd perspektywy. Zamiast podobizny Chrystusa widzimy złowieszcze twarze tych, którzy zebrali się, aby oglądać jego śmierć. Miejscowy ksiądz wzywa Simona Jackmana – eksperta pracującego dla Kościoła. Żona Simona potrąca samochodem turystkę, która po wypadku zaczyna mieć dziwne wizje oraz halucynacje. Wydaje jej się, że jest śledzona przez nieznajomych, a w wyniku badań okazuje się, że te same osoby widziano przez ostatnich 2000 lat zawsze tam, gdzie miały miejsce kataklizmy i tragedie. Teraz świadkowie Ukrzyżowania zaczynają gromadzić się w okolicach Glastonbury. Czy jest to zwiastun kolejnej, wielkiej tragedii?

„Zgromadzenie" to opowieść o najgorszych skłonnościach ludzkiej natury. Jest to klasyczny horror, w którym groza i niepokój narastają stopniowo, trzymając widza do końca w napięciu.





Oni

→ They

- **Reżyseria:** Robert Harmon
- **Występują:** Laura Regan, Dagmara Dominczyk, i inni
- **Produkcja:** USA 2002
- **Dystrybucja:** Vision
- **Czas:** 89 min.
- **Premiera:** **23 stycznia 2004**

„Oni" to opowieść o ludziach, którzy w dzieciństwie byli świadkami dramatycznych wydarzeń i nawet po latach nie są w stanie o nich zapomnieć. Julię Lund dręczą wspomnienia i potworny strach przed ciemnością. Ma nadzieję, że studia na wydziale psychologii pomogą jej poznać naturę lęku i pozbyć się go. Pewnej nocy, którą spędza ze swoim chłopakiem Paulem, czuje instynktownie, że wzywa ją przyjaciel z dzieciństwa. Bez wahania jedzie na spotkanie. Billy opowiada jej o potworach dręczących go od kilkunastu lat, o tym, że nienawidzą światła, i że kiedyś po niego przyjdą. Okazuje się, że te same koszmary dręczą również innych znajomych.

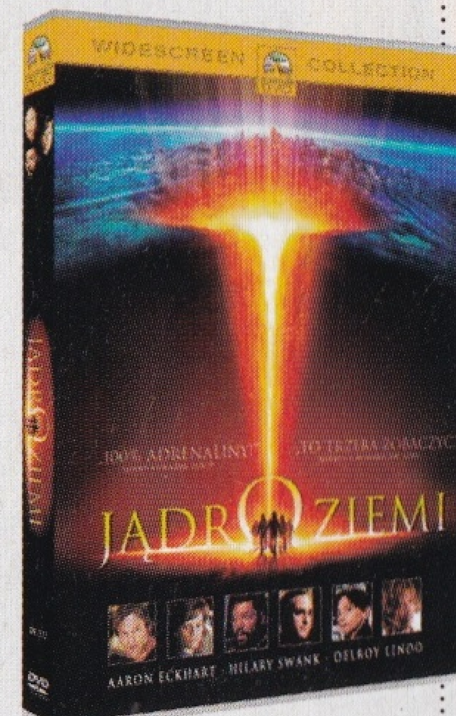
Film pokazuje, że to, czego boimy się jako dzieci, może do nas wrócić w dorosłym życiu. Jedną z najmocniejszych stron filmu są rewelacyjne zdjęcia, które tworzą niesamowity efekt. „Oni" to mrożący krew w żyłach horror, wyłącznie dla widzów o mocnych nerwach.

Jądro Ziemi

→ **The Core**

Liczba płyt DVD: 1
Produkcja: USA, 2002
Reżyseria: Jon Amiel
Występują: Aaron Eckhart, Nicole Leroux, Hilary Swank
Dystrybucja: ITI Cinema
Premiera: 4 grudnia

Z nieznanych powodów Ziemia nagle przestała się obracać. W efekcie pole elektromagnetyczne naszej planety zaczęło gwałtownie słabnąć, a życie na niej uległo dramatycznym zmianom. W San Francisco most Golden Gate nagle zerwał się, powodując śmierć setek ludzi. W Rzymie potężna, pełna wyładowań atmosferycznych nawałnica obróciła w gruzy starożytne Colosseum. W ciągu kilku miesięcy planeta ulegnie zniszczeniu. Jedyną szansą na ocalenie jest wyprawa naukowców do środka Ziemi, by odpalić ładunek nuklearny, który na nowo ożywi jądro planety.



Film zarobił w USA 31 mln USD, ale produkcja nie zdobyła uznania krytyków. Była porównywana do staroświeckiego widowiska katastroficznego.

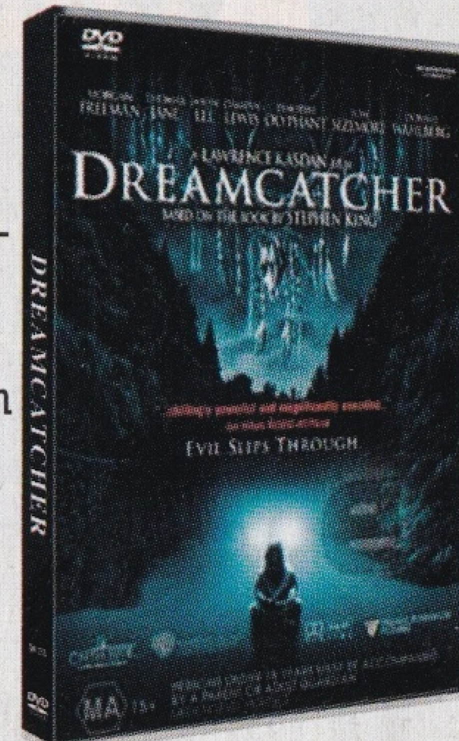
Dodatki: komentarz reżyserski Jona Amiela, zdjęcia z planu, sceny dodatkowe, analiza efektów wizualnych, sceny niewykorzystane z komentarzem reżysera.

Łowca snów

→ **Dreamcatcher**

Liczba płyt DVD: 1
Produkcja: USA, Kanada, 2003
Reżyseria: Lawrence Kasdan
Występują: Morgan Freeman, Thomas Jane
Dystrybucja: Warner Bros. Poland
Premiera: 4 grudnia

Bohaterski czyn łączy więzami przyjaźni czterech chłopców, którzy w nagrodę za odwagę zostają obdarzeni specyficznym darem. Kilka lat później wybierają się na wycieczkę do ulubionej chaty skrytej w leśnej głuszy. Gdy spotykają tajemniczą postać, mamroczącą o śmiertelnie niebezpiecznym alternatywnym świecie, podobnie jak przed laty zostają poddani ciężkiej próbie.



Film jest ekranizacją mrocznej powieści mistrza grozy Stephena Kinga. Obraz wart jest uwagi, chociaż gdzieś się zgubił specyficzny klimat książki. Opowieść rozwija się powoli, ale do ostatnich chwil trzyma w napięciu. „Łowca snów" to również ciekawe kreacje aktorskie, zwłaszcza rola Morgana Freemana, efekty specjalne, zdjęcia i dyskretna muzyka podtrzymująca nastrój.

Dodatki: bezpośredni dostęp do scen, zwiastun filmowy, sceny niewykorzystane w filmie, alternatywne zakończenie, wywiad ze Stephenem Kingiem, wizualne efekty w „Łowcy snów".

Terminator 2: Dzień Sądu

→ **Terminator 2: Judgement Day**

Liczba płyt DVD: 2, **QDVD, Wyd. Spec.**
Produkcja: USA, 1991,
Reżyseria: James Cameron,
Występują: A. Schwarzenegger
Dystrybucja: Vision
Premiera: 11 stycznia 2004

Wyprodukowanie „Terminatora 2" kosztowało 100 milionów dolarów. Nie były to pieniądze zmarnowane, bo powstał znakomity obraz akcji, pełen efektownych scen walki i rewelacyjnych jak na tamte czasy efektów specjalnych. Dwupłytowe wydanie „Terminatora 2" jest inauguracją QDVD na polskim rynku. QDVD to dbałość o najmniejsze szczegóły. Dźwięk Dolby Digital 5.1 i DTS ES oraz cyfrowo przetworzony obraz spełni oczekiwania najbardziej wymagających. Pierwszy krążek to film w wersji reżyserskiej wzbogaconej o wiele niepublikowanych scen, drugi zawiera ponad dwie godziny dodatków.



Dodatki: komentarz twórców, zwiastuny, jak powstawał film „Terminator 2", materiał o nowej wersji filmu, „T2" w 3D, scenariusz.

Władca Pierścieni: Powrót Króla

→ The Lord of the Rings: The Return of the King

- **Reżyseria:** Peter Jackson
- **Występują:** Elijah Wood, Viggo Mortensen, Ian Holm, Ian McKellen, Liv Tyler, Orlando Bloom, Christopher Lee i inni
- **Produkcja:** USA/Nowa Zel. 2003
- **Dystrybucja:** Warner Bross. Poland
- **Czas:** 210 min.
- **Premiera:** **1 stycznia 2004**

Kinowa przygoda z trylogią Tolkiena na dobre zaczęła się 19 grudnia 2001, a pierwszy film zyskał uznanie krytyków i publiczności. Wkrótce światło dzienne ujrzy trzecia i ostatnia część filmowej ekranizacji „Władcy Pierścieni". Mało który film wzbudza tak wiele emocji na całym świecie. Jednych cieszy, że mogą śledzić losy Froda i jego przyjaciół, innych irytuje, że ktoś zdecydował się na ekranizację Tolkiena oraz spore zmiany w stosunku do książki.



„Władca Pierścieni: Powrót Króla" to niesamowite sceny, efekty specjalne, malownicze krajobrazy i kapitalna muzyka.

Fanatyczni miłośnicy Tolkiena mogą jednak być trochę rozczarowani. Reżyser Peter Jackson zrezygnował ze sfilmowania ostatniej części książki (walka hobbitów o wyzwolenie Shire). Podobno w trakcie montażu wycięte zostały również wszystkie sceny z udziałem Sarumana, co doprowadziło do pasji grającego tę postać Christophera Lee (zagroził on zbojkotowaniem wszystkich oficjalnych premier, konferencji, spotkań itp.). Sceny te mają znaleźć się dopiero w wersji DVD. Jako anegdotę można traktować protest miłośników Elvisa Presleya, twierdzących że tytuł „Powrót Króla" żeruje na popularności piosenkarza i domagających się zmienienia go na inny.

■ Tekst: Jolanta Lisowska, zdjęcia: arch. Wydawnictwa Bauer

Gwiezdne Wojny cz. II

Atak klonów



Kolejna – druga chronologicznie – część legendarnej gwiezdnej sagi George'a Lucasa. Opowieść o walce między siłami Dobra i Zła.

Akcja filmu toczy się dziesięć lat po wydarzeniach z „Mrocznego widma". Anakin Skywalker i Padme Amidala, przyszli rodzice Luca i księżniczki Lei, są już prawie dorośli. W czasie pobytu na rodzinnej planecie Anakina rozkwita między nimi uczucie. Tymczasem w całej Republice panuje zamęt niespotykany od setek lat.

Zrealizowany z rozmachem film Lucasa to nie tylko komputerowe triki – zdjęcia realizowano też w naturalnych plenerach, a reżyser przykładał dużą wagę do psychologicznej wiarygodności swoich – również tych animowanych – bohaterów. Stąd w obsadzie jeden z najciekawszych obecnie brytyjskich aktorów Ewan McGregor czy Szwedka Pernilla August w epizodycznej roli matki Anakina. Jest to klasyka kina science-fiction.

- Canal + • Środa, 31.12, godz. 20.05
- Science-fiction, USA, 2002, od lat 12
- Reż: George Lucas
- Wyst: Ewan McGregor, Natalie Portman, Hayden Christensen

American Psycho 2



- Canal+ • Środa, 31 grudnia, godz. 00.05
- Horror, USA, 2002, od lat 15
- Reż: Morgan G. Freeman
- Wyst: Mila Kunis, William Shatner

Rachel Newman studiuje na pierwszym roku West Washington College. Jako mała dziewczynka była więziona przez seryjnego mordercę i ratując własne życie musiała go zabić. Ten fakt wpłynął na całe późniejsze życie Rachel. Ponieważ nie potrafi sobie poradzić ze zbrodnią, sama przyjmuje rolę mordercy. Dorosła Rachel postanawia zostać asystentką słynnego łowcy seryjnych zabójców, profesora Roberta Starkmana.

Sequel bulwersującej ekranizacji powieści Breta E. Ellisa „American Psycho". Młodego yuppie mordującego prostytutki zastąpiła w filmie Morgana G. Freemana piękna studentka college'u o zabójczych skłonnościach.



E.T.





Jeden z najważniejszych filmów w historii kina i największy sukces kasowy lat 80. Magiczna historia przyjaźni samotnego chłopca i przybysza z kosmosu opowiedziana przez mistrza współczesnego kina Stevena Spielberga.

Kilkuletni Elliott mieszka wraz z mamą i rodzeństwem na jednym z kalifornijskich przedmieść. Chłopiec bardzo przeżywa rozwód rodziców, nie ma jednak z kim porozmawiać o swoich problemach. Pewnego dnia w życie Elliotta wkracza dosyć niecodzienna postać – przybysz z innej planety. Mały i niezbyt urodziwy E.T. (jak nazywa go Elliott) gubi się na Ziemi podczas ekspedycji badawczej. Kosmita tęskni do domu i chce za wszelką cenę skontaktować się ze swoimi ziomkami. Na ślad E.T. wpadają też agenci rządowi, którzy mają wobec kosmity swoje plany.

„E.T." to już klasyka. Do historii przeszła kwestia „E.T. Phone Home" i muzyczny temat Johna Williamsa. Nowa wersja filmu jest nie tylko dłuższa (nigdy wcześniej nie pokazywane sekwencje), ale też udoskonalona (zmiksowana cyfrowo ścieżka dźwiękowa, komputerowo generowane sceny). Zmieniła się też nieco – zgodnie z duchem naszych politycznie poprawnych czasów – wymowa filmu (np. w jednej ze scen karabiny w rękach policjantów zastąpiono radiotelefonami). Dziecięce gwiazdy filmu Henry Thomas i Drew Barrymore są już dorosłymi aktorami.

- Canal+ • Niedziela, 28.12, godz. 20.00
- Science-fiction, USA, 2002, od lat 12
- Reż: Steven Spielberg
- Wyst: Henry Thomas, Drew Barrymore, Peter Coyote, Erika Eleniak

Dzień cudów

- TVN 7 • Piątek, 19.12, godz. 23.10
- Science-fiction, USA 1999, od lat 12
- Reż: Andre Van Heerden
- Wyst: Jeff Fahey, Nick Mancusco, Carol Alt, Tony Nappo, Leigh Lewis



Thorold Stone poszukuje swojej rodziny, która zaginęła przed trzema miesiącami. Fakt ten wytrącił go z równowagi i nie pozwala normalnie funkcjonować. W czasie śledztwa prowadzonego przeciwko sekcie, którą Thorold podejrzewa o porwanie bliskich, ginie jego partner. Stone zostaje oskarżony o zamordowanie kolegi. Wtedy rozpoczyna walkę o wszystko – o swoje życie, dobre imię i życie ukochanych.... Choć fabuła zapowiada się interesująco, jej rozwój niestety nie zaskakuje.

13 Duchów

- HBO • Sobota, 27.12, godz. 21.00
- Horror, USA, 2001, od lat
- Reż: Steve Beck
- Wyst: Tony Shalhoub, Shannon Elizabeth



Pewnego dnia Arthur Kriticos, po tajemniczej śmierci wuja Cyrusa, dostaje w spadku dom. Wkrótce okazuje się, że dom jest siedliskiem przerażającego zła, a jego prawdziwymi lokatorami jest 13 agresywnych duchów. Arthur wraz z dziećmi, opiekunką i medium Rafkinem zostają uwięzieni w szklanej pułapce, a ich jedyną szansą na przeżycie jest rozwiązanie mrocznej zagadki...

„13 duchów" to pełna grozy historia o nawiedzonym domu, z niesamowitymi efektami wizualnymi. Specjalnie na potrzeby filmu wybudowano unikatowy dom Cyrusa, wzorowany na futurystycznej architekturze nowojorskiego Muzeum Sztuki.

Merlin

- Hallmark • Poniedziałek, 22.12, godz. 17.00 (cz.I), wtorek, 23.12, godz. 17.00 (cz.II)
- Przygodowy-fantasy, USA, W. Brytania, 1998 r., od lat 12
- Reż: Steve Barron
- Wyst: Sam Neill, Rutger Hauer, Helena Bonham Carter i Isabella Rossellini

Merlin to miniserial przedstawiający historię największego czarnoksiężnika wszech czasów. Tytułowy bohater zostaje stworzony przez czarownicę Mab, ale gdy odmawia przewodzenia ciemnym siłom, sam staje się celem jej ataku. Tylko jeden człowiek może faktycznie pokonać zło, które uosabia Mab. Zanim jednak się to stanie, zginie wielu ludzi. W tej historii przepojonej mistyką i czarną magią, Merlin jest ostoją pokoju i miłosierdzia. Jest to klasyczna opowieść o walce Dobra ze Złem.

Spokojnie, to tylko awaria

- Canal+ • Środa, 31.12, godz. 22.30
- Komedia science-fiction, USA, 1982, od lat 12
- Reż. Ken Finkleman
- Wyst: Lloyd Bridges, Robert Hays, Julie Hagerty

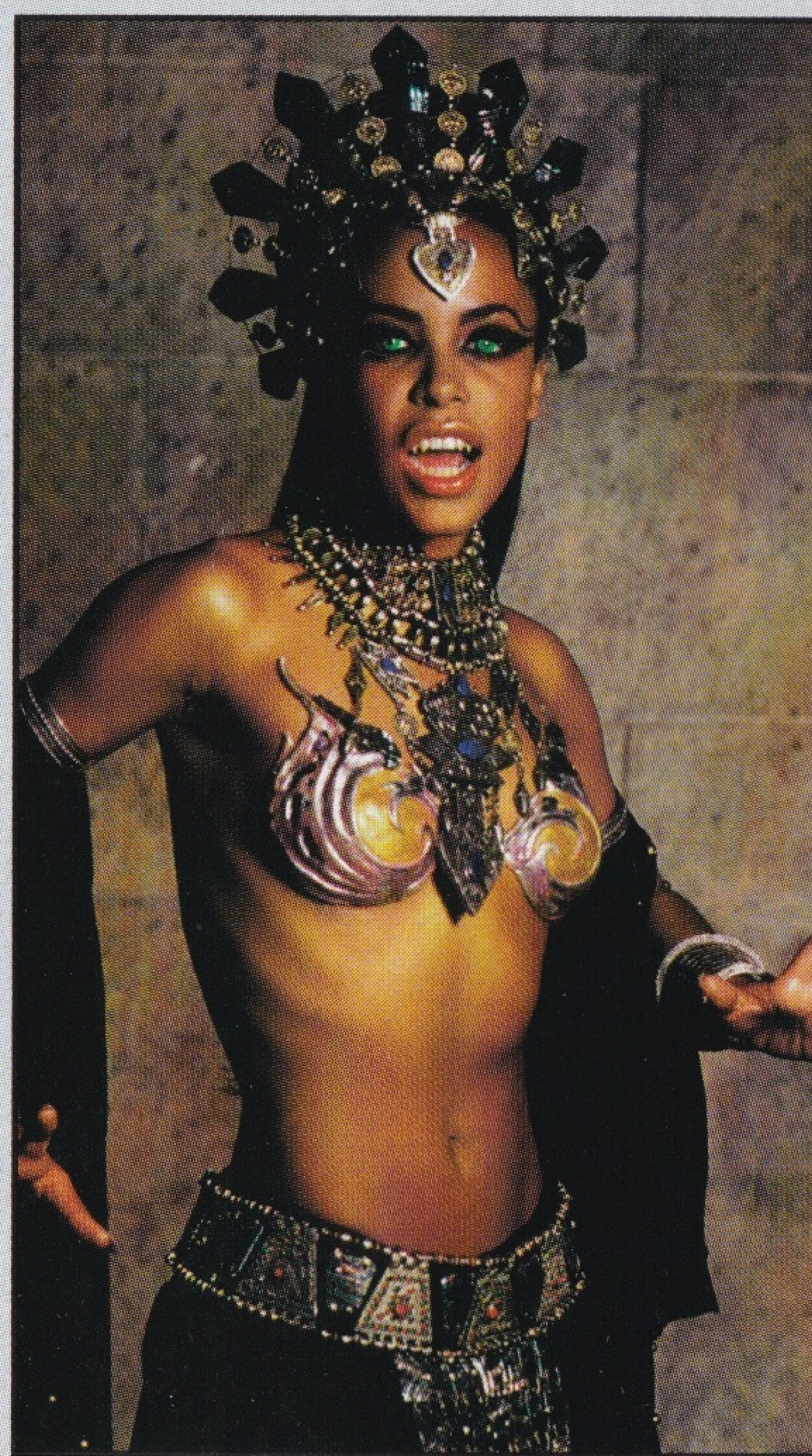


Ted Striker, były pilot wojskowy, kilka lat temu uchronił samolot przed wypadkiem. Teraz pracuje jako pilot testujący nowe statki powietrzne dla tajemniczej firmy „Lunar Shuttle". Okazuje się jednak, że dopuszcza ona do lotów źle skonstruowane maszyny. Na pokładzie jednej z nich Ted znajduje swoją byłą dziewczynę, Elaine Dickinson, która nadal pracuje jako stewardessa. W czasie lotu kontrolę nad wszystkim przejmuje pokładowy komputer i zabija załogę. Teraz los pasażerów jest ponownie w rękach Teda.

Kontynuacja przygód pechowego lotnika z przeboju Jima Abrahamsa i Davida Zuckera, teraz ubrana w kostium komediowej science-fiction.

Królowa potępionych

- HBO • Poniedziałek, 29.12, godz. 21.00
- Horror, USA 2002, od lat 15
- Reż: Michael Rymer
- Wyst: Aaliyah, Stuart Townsend



Adaptacja bestsellera Anne Rice. Wampir Lestat de Lioncourt ocknął się po wielu latach drzemki w trumnie. Ze zdumieniem odkrył, że świat bardzo się zmienił. Wcale mu to nie przeszkadza – przeciwnie, zostaje gwiazdą rocka i otacza się tłumem wielbicieli. Jego muzyka budzi jednak ze snu egipską królową wampirów Akashę, która pragnie uczynić go królem swych poddanych. Równocześnie w Lestacie bez pamięci zakochuje się zafascynowana siłami ciemności Jesse Reeves. Jest to mroczna historia przesycona erotyzmem.

Waśnie w świecie baśni

- Hallmark • Sobota 10.01, godz. 14.45 (cz. I), Niedziela, 11.01, godz. 14.45 (cz. II)
- Miniserial fantastyczno-przygodowy, W. Brytania, USA, Niemcy, 1999, od lat 12
- Reż. John Henderson
- Wyst. Colm Meaney, Randy Quaid

Bohater tej pięknej i żartobliwej baśni wyrusza do Irlandii, by spędzić wakacje swojego życia. Jack Woods spotyka tam rodzinę... krasnali i przenosi się w ich świat. Zaczyna uczestniczyć w ich codziennym życiu. Co więcej, obserwuje także imponującą bitwę o władzę pomiędzy krasnalami i wróżkami. Gwiazdą tego pełnego uroku serialu jest Whoopi Goldberg.

Siedemnaście mieć lat

- Hallmark • Piątek, 19.12, godz. 17.00
- Fantastyczny, USA, 2000, od lat 12
- Reż: Jeff Byrd
- Wyst: Tamera Mowry, Tia Mowry, Sharon Stone

Gdy pewnego dnia rodzina Donovanów postanawia opuścić Los Angeles, aby zamieszkać bliżej swoich dziadków w Connecticut, zaczynają się dziać cuda. A to wszystko za sprawą Małego Willie'go, który nawet nie wiedział, że odkrył eliksir młodości. Okazuje się, że jego od dawna rozwiedzeni dziadkowie odmłodnieli! Jest to ciepła, serdeczna opowieść o dwojgu gderliwych starych ludzi, którzy dowiadują się, jak to jest być znowu młodym. „Siedemnaście mieć lat" to film pełen gagów, humoru i zabawnych dialogów.

Nick Fury

- Polsat • Środa, 17.12, godz. 21.00
- Film akcji w scenerii s-f, USA 1998, od lat 15
- Reż: Rod Hardy
- Wyst: David Hasselhoff, Lisa Rinna, Sandra Hess, Neil Roberts



Pułkownik Nicholas „Nick" Joseph Fury jest byłym agentem S.H.I.E.L.D., międzynarodowej grupy do zwalczania terroryzmu. Gdy otrzymuje rozkaz powrotu do służby, początkowo odmawia. Nick przed 5 laty zabił nazistowskiego zbrodniarza barona von Struckera. Teraz jego ciało wykradli terroryści „Hydry", zbrodniczej grupy, która pod przywództwem Andrei, córki Struckera zwanej „Żmiją" i jego syna, zamierza kierować wszystkimi organizacjami terrorystycznymi na świecie. Chcą wprowadzić w życie zamysł Struckera, dotyczący zbudowania IV Rzeszy. Ich bronią ma być groźny wirus „Maska Śmierci", który ocalał w DNA barona von Struckera.

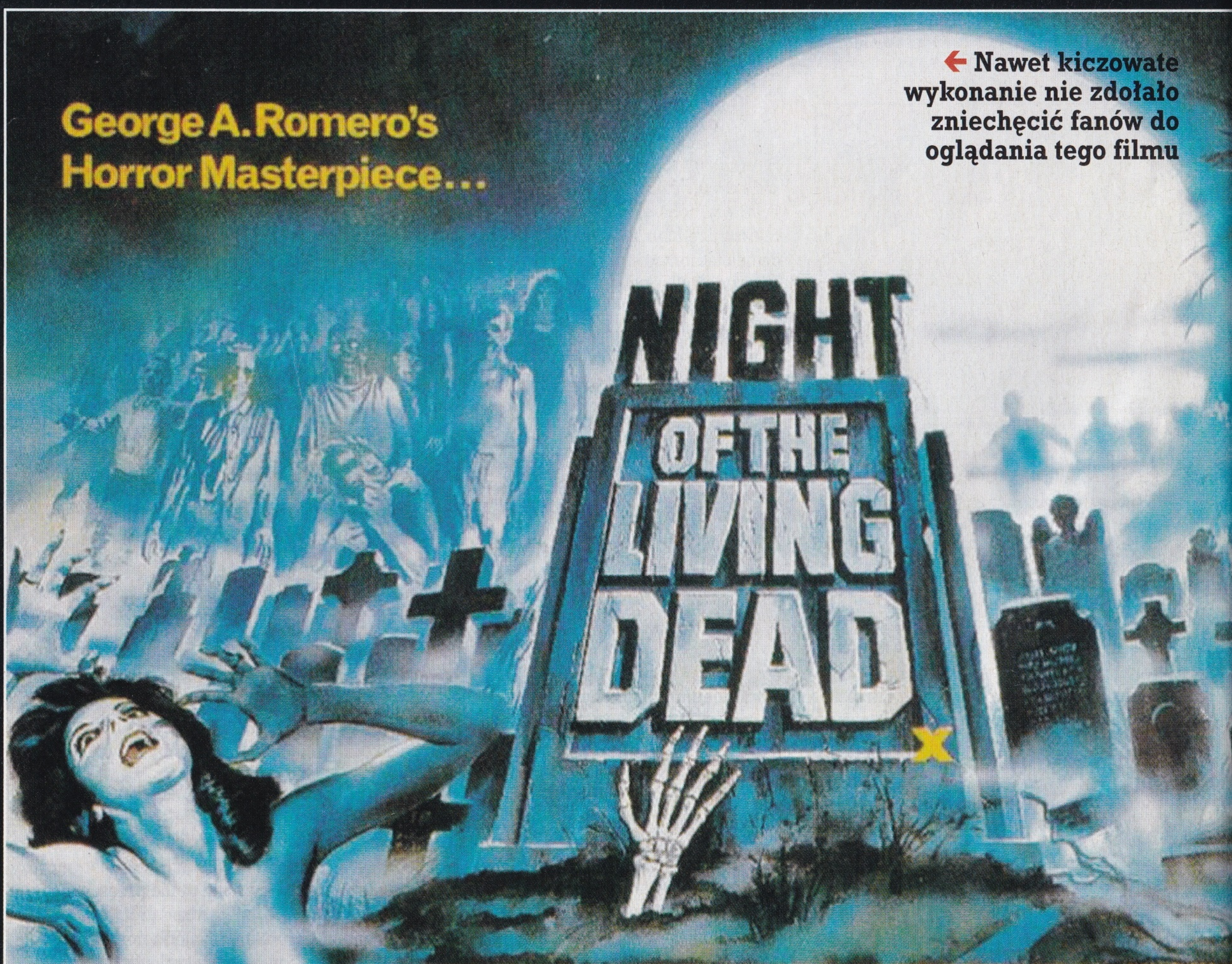
Strach w dobrym stylu

Noc żywych trupów

- AXN • Niedziela, 28.12, godz. 22.00
- Horror, USA, 1990, od lat 15
- Reż: Tom Savini
- Wyst: Pat Tallman, Tony Todd
- Klasyczny remake filmu George'a Romero z 1968 roku.

John i Barbara przyjeżdżają do Pensylwanii, aby jak co roku złożyć kwiaty na grobie swojego ojca. Jednak tym razem na cmentarzu czeka na nich śmiertelne niebezpieczeństwo. Rodzeństwo zostaje zaatakowane przez bliżej nieokreślonego stwora, który na pierwszy rzut oka niewiele różni się od przeciętnego człowieka. W wyniku bójki John ginie, a Barbarze udaje się zbiec i schować w opustoszałym domu. Na miejscu bohaterka znajduje czarnoskórego Bena, trzyosobową rodzinę Cooperów oraz Judy i Toma. Teraz cała siódemka musi wspólnie stawić czoło nieznanemu wrogowi. Tymczasem przed domem, w którym ukrywają się bohaterowie, gromadzi się coraz więcej ożywionych trupów.

„Noc żywych trupów" jest pierwszą częścią tryptyku o zombie, którego autorem jest malarz, reżyser teatralny, twórca reklamówek telewizyjnych oraz mistrz kina klasy B, George A. Romero. To film, który powstał jako produkcja niezależna. Nakręcony za jedyne 114 tysięcy dolarów, okazał się tańszy od najdroższej reklamówki zrealizowanej przez Romero, czyli krótkiego filmu o proszku „Calgon". Jednak niski budżet filmu nie przekreśla bogactwa interpretacji, jakie obraz prowokuje. Początkowo nic nie zapowiadała rewolucji w kinie.



Nawet kiczowate wykonanie nie zdołało zniechęcić fanów do oglądania tego filmu

Współczesnego odbiorcę „Nocy żywych trupów" zadziwia przede wszystkim świeżość obrazu. Mimo iż film powstał ponad trzydzieści pięć lat temu, ciągle przeraża i inspiruje. Nic więc dziwnego, że „Noc żywych trupów" weszła do grona filmów kultowych. To film, który zajmuje godne miejsce obok takich klasyków jak „Dziwolągi" Toda Browninga i „Psychoza" Alfreda Hitchcocka.



Nagi Lunch

- Ale kino! • Wtorek, 9.12, godz. 23.30
- Horror, Kanada, W.Brytania, Japonia, 1991, od lat 15
- Reż: David Cronenberg
- Wyst: Judy Davis, Ian Holm, Peter Weller, Julian Sands

Ekranizacja kultowej powieści Williama S. Burroughsa. Zyjący na marginesie społeczeństwa Burroughs należał do najbliższych przyjaciół apostołów literatury beatnikowskiej, Jacka Kerouaca i Allena Ginsberga. Słynął ze swobodnych obyczajów seksualnych i skłonności do eksperymentowania z każdym rodzajem narkotyków. Styl życia Burroughsa prowadził do konfliktów z prawem i literat musiał nieraz uciekać ze Stanów. W latach 50. schronił się w marokańskim Tangerze. Wtedy narodziła się najsłynniejsza powieść, „Nagi lunch". Jej ekranizacją zajął się David Cronenberg, kanadyjski mistrz horroru. Zarówno w książce Burroughsa, jak i w jej filmowej adaptacji, fakty z życia pisarza mieszają się ze zmyśleniami i narkotycznymi halucynacjami. Bohater opowieści, William Lee, jest pisarzem i narkomanem, który próbuje zerwać z nałogiem. Podejmuje w tym celu pracę tępiciela karaluchów. Pewnego dnia razem z żoną Joan zaczynają zażywać środek owadobójczy. Podczas narkotycznego seansu William zabawia się w Wilhelma Tella, strzelając z rewolweru do szklanki ustawionej na głowie Joan. Chybia i zabija żonę, a potem ma halucynacje, w których przenosi się krainy zwanej Międzystrefą (Interzone). Tam maszyny do pisania zmieniają się w gadające robale, w barach przesiadują dziwne stwory, a Joan wciąż żyje, choć jest zupełnie kimś innym.

Film Cronenberga to psychodeliczna wizja tylko dla posiadających silne nerwy.

Łowcy wampirów 2

- HBO • Sobota, 13.12, godz. 02.05
- Horror, USA 2002, od lat 16
- Reż: Tommy Lee Wallace
- Wyst: Jon Bon Jovi, Natasha Wagner

Horror akcji, luźny remake „Łowców wampirów" Johna Carpentera z 1998 roku. Zawodowy łowca wampirów Derek Bliss wraz z księdzem Rodrigo, nastolatkiem Sancho i ukąszoną przez wampiry Zoey, walczą z grupą „żywych trupów" w Meksyku. Wampiry ponownie ukradły tajemniczy Czarny Krzyż, wierząc, iż dzięki niemu przestaną być wrażliwe na światło dzienne. Krwiopijcom przewodzi tajemnicza i śmiertelnie groźna Una. Czy drużyna Dereka potrafi ją pokonać?

Koktajl efektów specjalnych, scen akcji i dialogów. Film wyreżyserował Tommy Lee Wallace, producentem zaś był autor oryginału, czyli mistrz horroru klasy B – John Carpenter.

Resident Evil: Domena zła

- HBO • Środa, 10.12, godz. 22.45
- Horror, USA 2002, od lat 18
- Reż: Paul Anderson
- Wyst: Mila Jovovich, Michelle Rodrigez



Jest to prequel pierwszej części japońskiej gry komputerowej, znanej pod nazwą RESIDENT EVIL lub BIOHAZARD. Akcja filmu toczy się na miesiąc przed wydarzeniami przedstawionymi w grze. W tajnym laboratorium potężnej korporacji informatyczno-farmaceutycznej Umbrella dochodzi do wypadku. Z rozbitej probówki wydostaje się śmiertelny wirus, który przenika do atmosfery. Główny komputer odcina naukowcom drogę ucieczki.

„Resident Evil" to horror science-fiction godny uwagi nie tylko ze względu na fabułę, ale także z powodu znakomitych efektów specjalnych, niezwykle dynamicznego montażu i pierwszorzędnych kreacji aktorskich.

Dziewiąta sesja

- HBO • Sobota, 27.12, godz. 2.00
- Horror, USA 2001, od lat 15
- Reż: Brad Anderson
- Wyst: David Caruso, Joshua Lucas



Właściciele firmy zajmującej się usuwaniem azbestu walczą o kontrakt na oczyszczenie starego budynku, w którym niegdyś mieścił się szpital psychiatryczny. Otrzymują to zlecenie, kiedy podejmują się niemal niemożliwego: gwarantują, że uporają się z zadaniem w ciągu dwóch tygodni. Pięcioosobowa ekipa zabiera się do pracy. Zlecenie okazuje się jednak trudne nie tylko ze względu na napięty termin, ale także z powodu dziwnych odkryć, których dokonują.

Film na pograniczu thrillera i horroru, ale bez typowych dla gatunku krwawych efektów specjalnych. Pomimo to budzi w widzu autentyczne przerażenie. „Dziewiąta sesja" to film nastroju (w stylu „Shining" Kubricka) i stopniowo narastającego napięcia. Za reżyserię Brad Anderson otrzymał nagrodę na Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Katalonii.

Impostor: Test na człowieczeństwo

- HBO • Sobota, 13.12, godz. 22.35
- Science-fiction, USA 2002, od lat 15
- Reż: Gary Flede
- Wyst: Gary Sinise, Tony Shalhoub, Mekhi Phifer



Rok 2079, na Ziemi trwa wojna z najeźdźcami z planety Alpha Centauri. Naukowcy pracują nad wynalezieniem superbroni, która zapewni ludziom zwycięstwo nad Obcymi. Badaniami kieruje Spencer Olham, który pragnie w ten sposób pomścić śmierć ojca, zakatowanego w obozie Alpha Centauri. Nieoczekiwanie zostaje jednak aresztowany i oskarżony o to, że jest... klonem Olhama, schwytanego i zabitego przez kosmitów.

„Impostor" jest adaptacją opowiadania Philipa K. Dicka. Rozgrywająca się w niedalekiej przyszłości filmowa opowieść o Spencerze Olhamie to obraz pełen zwrotów akcji, do końca trzymający w napięciu.

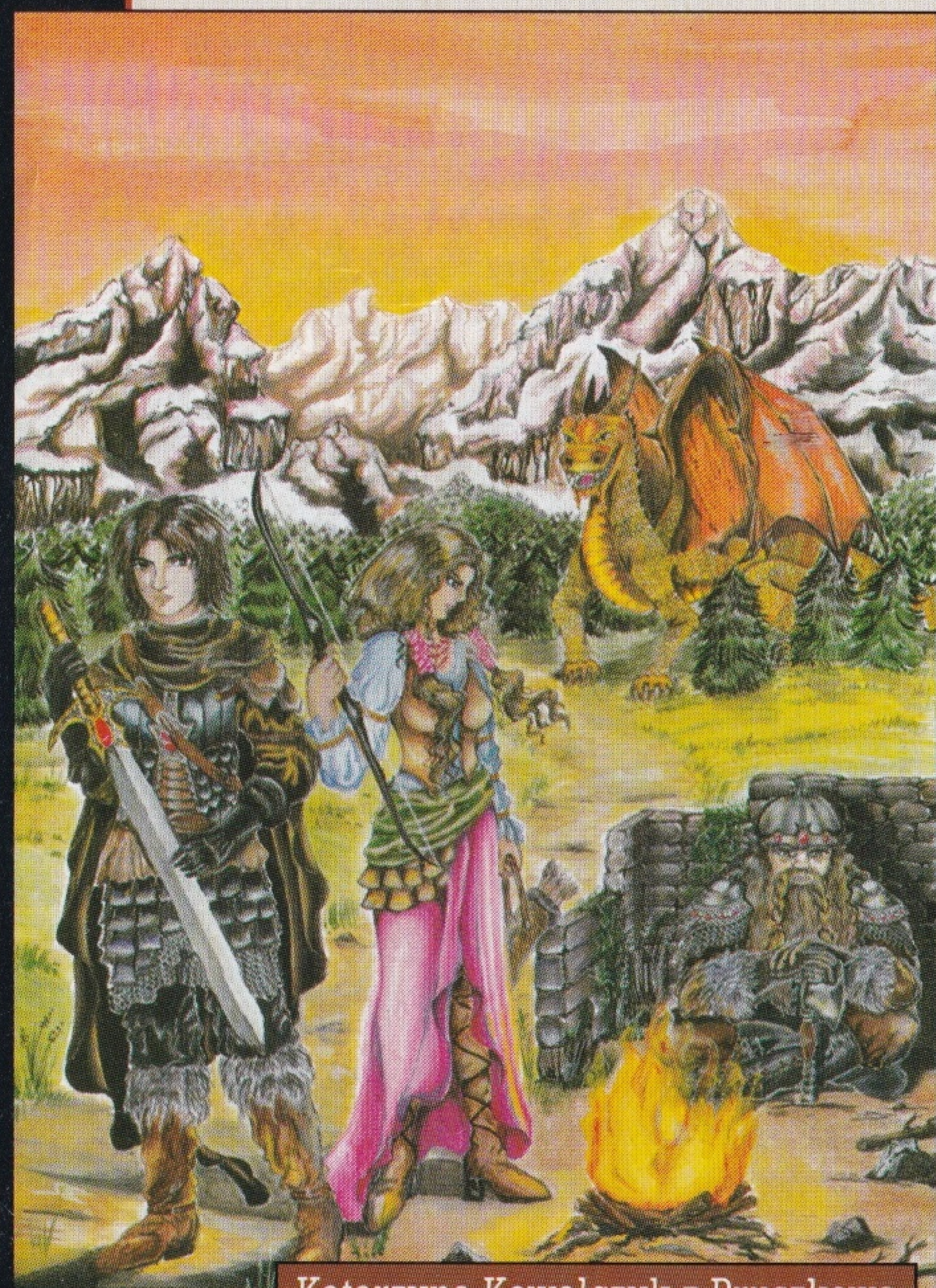
■ Jolanta Lisowska, zdjęcia: arch. wydawnictwa Bauer



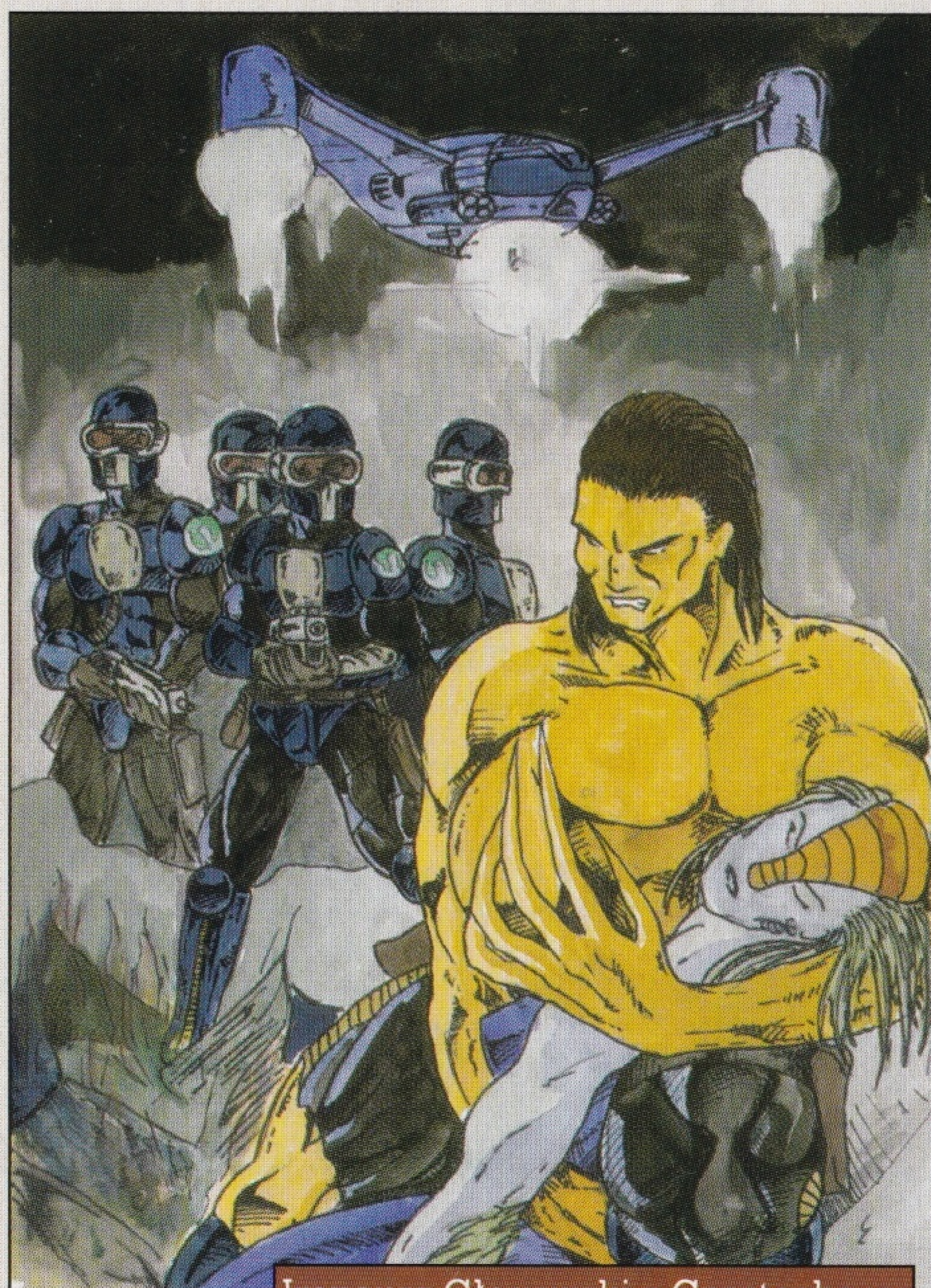
Grafika z gry Wrath Unleashed © Lucas Arts

Najlepsze prace w konkursie rysunkowym - część I

Na początku chcielibyśmy podziękować wam za udział w naszym konkursie. Wysoki poziom prac sprawił, że mieliśmy poważny problem z wyłonieniem zwycięzców. Wielu czytelników dzwoniło też do nas z pytaniem, czy mogą wysyłać swoje prace, na dzień-dwa przed terminem. W takiej w tym numerze opublikujemy prace pierwszej grupy laureatów, zaś w następnej FANTASY – kolejnej. Zgodnie z zapowiedziami, wybraliśmy tylko naprawdę profesjonalne rysunki i grafiki, których publikacji nie powstydziłaby się żadna gazeta. **Przypominamy też, że ostateczny termin przysyłania prac upływa 31 grudnia!**



Katarzyna Kowalczyk z Pruszkowa



Ireneusz Głogowski z Częstochowy



Rafał Cyman z Gdyni



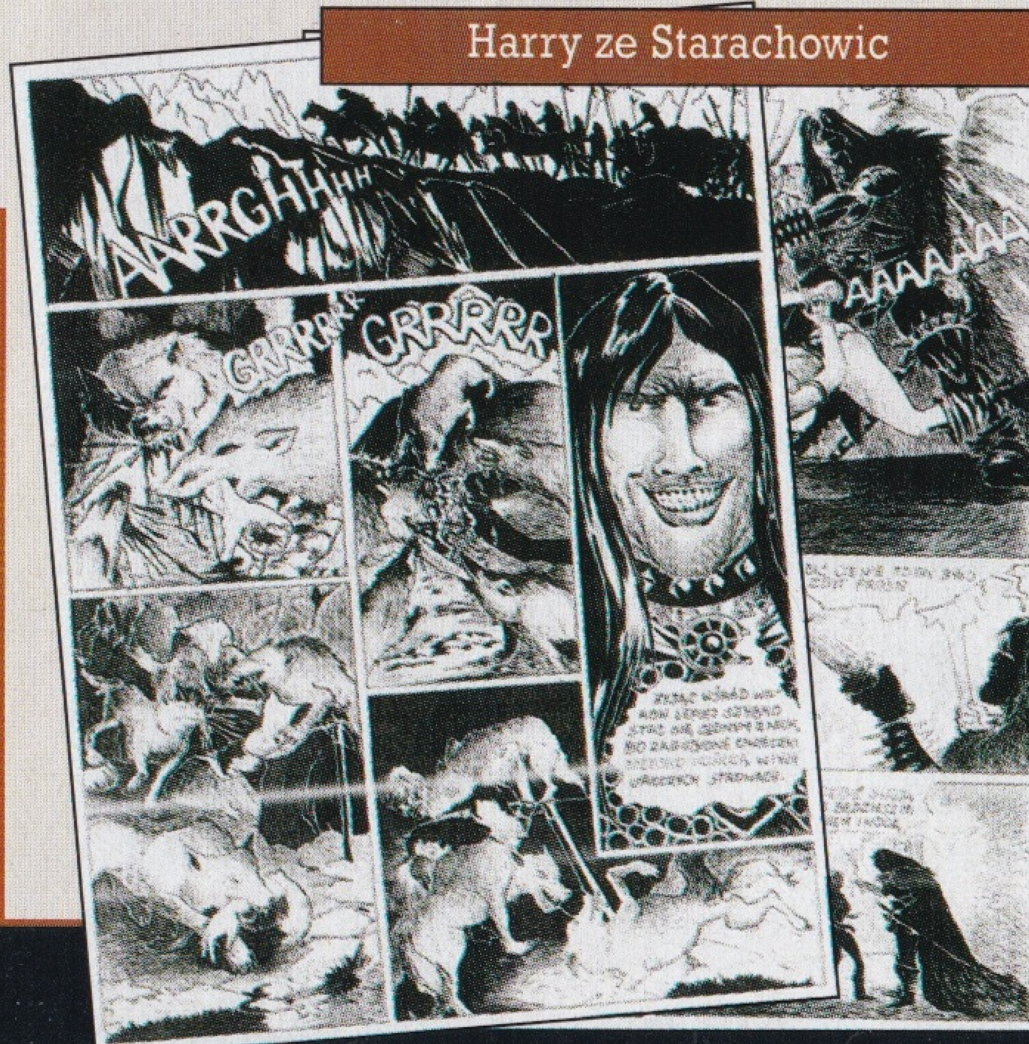
Dawid Szałarski z Chocianowa



Robert Sobota z Poniatowej



Marcinek Bogumił z Mielca



Harry ze Starachowic



Dariusz Binienda z Łęcznej

Nagrody (zestawy książek i gier komputerowych) wyślemy pocztą. Decyzje o ewentualnej współpracy z redakcją zostaną podjęte po publikacji drugiej grupy prac w następnym numerze FANTASY. Gratulujemy!

Laureaci konkursu SMS z poprzedniego numeru:

Andrzej Aumuller z Kłodzka, Robert Kwiatkowski z Warszawy, Paweł Jędral z Warszawy, Grzegorz Cieślak z Warszawy, Piotr Żuk z Tych, Marek Nowak z Buska Zdrój, Piotr Lejter z Łodzi, Mariusz Kaczerski z Zambrowa, Edward Łabus z Tarnowskich Góry, Radosław Pasternak z Rzeszowa, Joanna Czajka ze Stalowej Woli, Magdalena Szmit z Nakła nad Notecią, Dawid Domagalski z Jaworzna, Rafał Wiernicki z Warszawy, Barbara Olszewska z Rzeszowa, Cezary Borawski z Ostrołęki, Marta Namięta z Puław, Edmund Walczak z Poznania, Tomasz Stelmaszych ze Środy Wlkp., Przemysław Bojda z Lublina

gratulujemy!